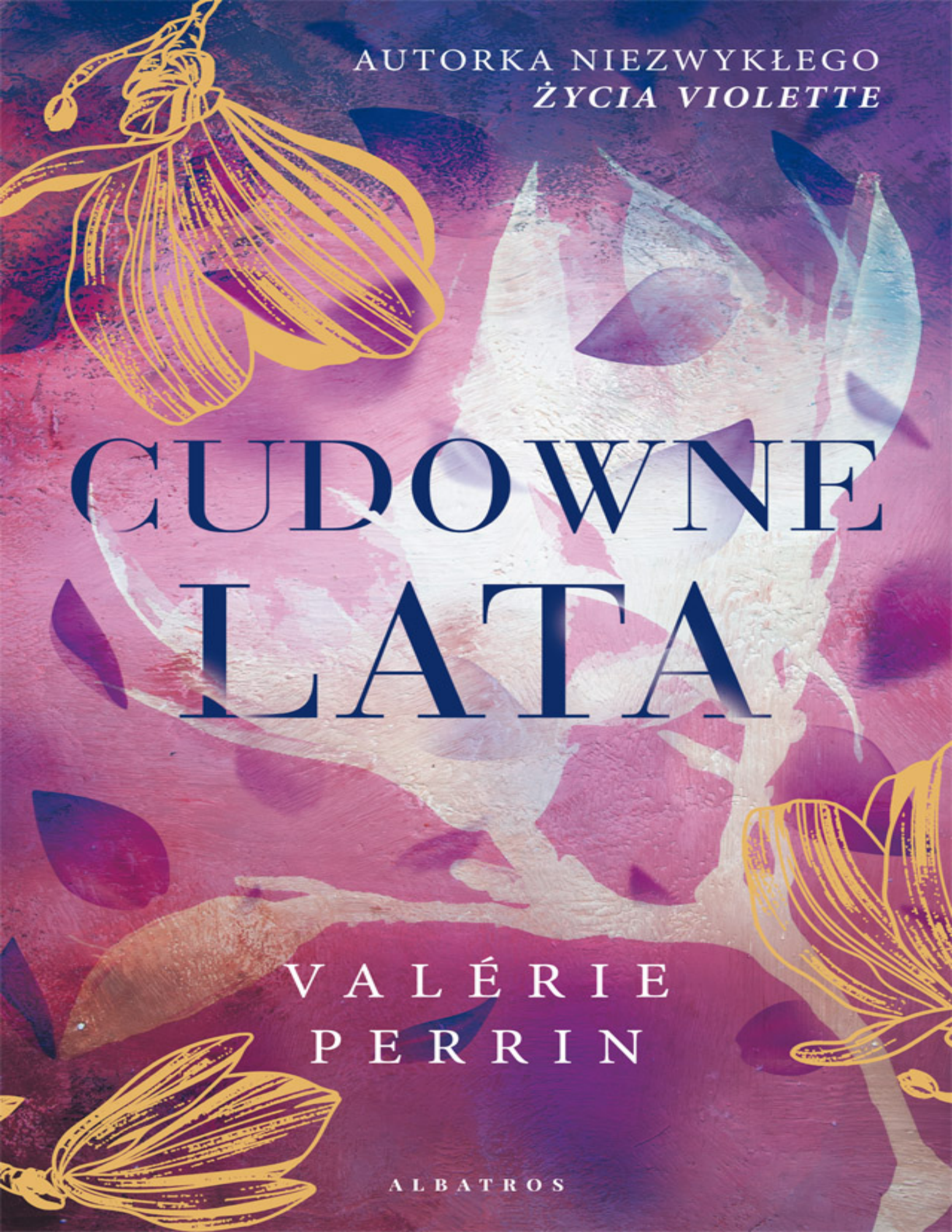
AUTORKA NIEZWYKŁEGO
ŻYCIA VIOLETTE
CUDOWNE
LATA
VALÉRIE
PERRIN
ALBATROS

VALÉRIE
PERRIN

CUDOWNE LATA

Z francuskiego przełożyła
JOANNA PRĄDZYŃSKA

ALBATROS

FRANCUSKI BESTSELLER!

POWIEŚĆ UZNANA PRZEZ DZIENNIKARZY, INFLUENCERÓW I CZYTELNIKÓW WE FRANCJI, WŁOSZECH I USA ZA JEDNĄ Z NAJLEPSZYCH W 2021 ROKU!

Oda do przyjaźni i szczęśliwych lat dzieciństwa. Opowieść o więziach, które łączą nas na całe życie, i o wyborach, które decydują o tym, kim jesteśmy.

Étienne był liderem, Nina sercem, a Adrien podążał za nimi bez narzekania.

Kiedy poznają się w szkole, natychmiast stają się nierozłączni. Spędzają razem każdą wolną chwilę, przeżywają pierwsze miłości i rozczarowania i obiecują sobie, ze nic ich nie rozłączy. I nawet gdy mijają beztroskie lata, a życie zastawia na nich coraz więcej pułapek, robią wszystko, by zachować bliski kontakt. Ale czas mija nieubłaganie, a los ma wobec nich własne plany… Jak silna jest łącząca ich przyjaźń? Która dawała im moc i dzięki której świat stawał się piękniejszy? Przecież zarzekali się: „We troje albo wcale".

W tej historii można odnaleźć skrawek swojej młodości, poczuć zapach basenowego chloru, frytek, lodów waniliowych, kawy wypijanej wspólnie z jednego kubka na śniadanie.

To powieść o prawdziwym życiu i o pięknej przyjaźni na przekór ludziom i czasom. Doprawiona przez Valérie Perrin szczypta magii, dzięki której stapiamy się w jedno z bohaterami książki.

VALÉRIE PERRIN
(ur. 1967)

Francuska fotografka, scenarzystka i pisarka. Wychowała się w Burgundii, a w 1986 roku osiadła w Paryżu. W 2006 roku poznała słynnego reżysera Claude'a Leloucha i ta znajomość wpłynęła zarówno na jej życie prywatne, jak i zawodowe: Perrin została fotografką na planach kręconych przez niego produkcji, współscenarzystką jego ostatnich filmów oraz partnerką życiową.

Popularność zdobyła jednak dzięki twórczości literackiej. Już debiutancka powieść Perrin, *Les Oubliés du dimanche* (w Polsce ukaże się w 2023 roku), przyniosła jej 13 nagród, a następna, *Życie Violette*, przebiła jej sukces – nie tylko we Francji. Została nagrodzona m.in. Maison de la Presse, a w Polsce otrzymała nominację do Bestsellera Empiku 2022 w kategorii literatura piękna.

Tej autorki

ŻYCIE VIOLETTE
CUDOWNE LATA

Tytuł oryginału:
TROIS

Copyright © Éditions Albin Michel, Paris 2021
All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023
Polish translation copyright © Joanna Prądzyńska 2023

Redakcja: Katarzyna Maciejak
Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka
Ilustracje na okładce: BiZkettE1/Freepik (*złote kwiaty*);
macrovector/Freepik (*spadające płatki kwiatów*);
rawpixel.com/Freepik (*gałąź magnolii*)

ISBN 978-83-6751-356-2

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim,

nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

woblink.com

Spis treści:

Okładka
Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17

Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45

Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Rozdział 70
Rozdział 71
Rozdział 72
Rozdział 73

Rozdział 74
Rozdział 75
Rozdział 76
Rozdział 77
Rozdział 78
Rozdział 79
Rozdział 80
Rozdział 81
Rozdział 82
Rozdział 83
Rozdział 84
Rozdział 85
Rozdział 86
Rozdział 87
Rozdział 88
Rozdział 89
Rozdział 90
Rozdział 91
Rozdział 92
Podziękowania

Nicoli Sirkisowi, Yannickowi Perrinowi

Pamięci Pascale Romiszwili

1

4 grudnia 2017

Dziś rano Nina popatrzyła na mnie niewidzącymi oczami. Jej spojrzenie ześlizgnęło się jak krople deszczu po moim płaszczu, zanim zniknęła za drzwiami schroniska.

Lało jak z cebra.

Spod kaptura jej peleryny wymykały się czarne kosmyki, zauważyłam też, że jest blada. Miała na nogach za duże kalosze, w ręce trzymała długi szlauch. Na jej widok skurczył mi się żołądek; czułam się tak, jakby poraził mnie prąd, co najmniej pięć tysięcy woltów.

Przyniosłam trzydzieści kilogramów karmy. Robię to co miesiąc, ale nigdy nie wchodzę na teren schroniska. Słyszę psy, choć ich nie widzę. Chyba że akurat ktoś wyprowadza jakiegoś na spacer.

Worki ustawione jeden obok drugiego przed wejściem. Zawsze ten sam niedogolony wysoki facet pomaga mi zanieść te nagrody pocieszenia pod tablice z napisami PORZUCIĆ ZNACZY ZABIĆ i PROSIMY DOBRZE ZAMYKAĆ BRAMĘ.

Co roku na Boże Narodzenie i przed wakacjami – ale nigdy nie tego samego dnia – wsuwam gotówkę do skrzynki pocztowej schroniska. Anonimowo. Piszę tylko na kopercie grubym flamastrem NINA BEAU. Nie

chcę, żeby wiedziała, że pieniądze są ode mnie. Nie robię tego dla zwierząt, robię to dla niej. Wiem dobrze, że wszystko pójdzie na karmę i weterynarza, ale chcę, żeby przeszło przez jej ręce, i to bez śladu. Żeby wiedziała, że tam na zewnątrz nie wszyscy wyrzucają małe kotki na śmietnik.

Trzydzieści jeden lat temu też popatrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem – jak dziś rano. Wychodziła z męskiej toalety, miała dziesięć lat. W damskiej był tłok, już wtedy nie lubiła czekać.

Jej spojrzenie ześlizgnęło się po mnie, po czym przytuliła się do Étienne’a.

Siedzieliśmy w barze Progrès, należącym do rodziców Laurence Villard. Było niedzielne popołudnie. Bar był zamknięty dla gości, żaluzje opuszczone. Prywatna impreza z okazji urodzin córki. Pamiętam krzesła ustawione jedno na drugim na stolikach. Pamiętam zaimprowizowany parkiet do tańca między fliperem a barem. Na barze rozpakowane prezenty obok chipsów i herbatników Choco BN, żółte słomki w kartonowych kubeczkach z napojem Oasis i lemoniadą.

Obecna była cała ostatnia klasa. Nie znałam nikogo. Dopiero przyjechałam do La Comelle, robotniczego miasta w centrum Francji, około dwunastu tysięcy mieszkańców.

Nina Beau. Étienne Beaulieu. Adrien Bobin.

Obserwowałam odbicie ich trojga w lustrze nad barem.

Nosili staromodne imiona, jak po przodkach. Większość z nas miała na imię Aurélien, Nadège czy Mickaël.

Cała trójka – Nina, Étienne i Adrien – weszli w dzieciństwo jako papużki nierozłączki. Tamtego dnia i później również nie zwracali na mnie uwagi.

Nina i Étienne całe popołudnie tańczyli do *Take on Me* grupy a-ha. Maxisingiel – ten kawałek trwał dwadzieścia pięć minut. Wszyscy z mojej klasy puszczali to bez przerwy, jakby nie było innych piosenek.

Nina i Étienne tańczyli jak dorośli. Jakby robili to całe życie. Tak myślałam, kiedy na nich patrzyłam.

W migającym świetle wyglądali jak dwa morskie ptaki, z wdziękiem rozkładające skrzydła w wietrzne noce. Ptaki widoczne jedynie w dalekich błyskach latarni morskiej.

Adrien siedział niedaleko nich na ziemi, plecami przyklejony do ściany. Kiedy Cyndi Lauper zaczęła śpiewać *True Colors*, szybko wstał, żeby poprosić Ninę do tańca, do tego wolnego utworu.

Étienne niechcący otarł się o mnie. Nigdy nie zapomnę jego zapachu – pachniał wetiwerią i cukrem.

*

Mieszkam sama na wzgórzach – czy raczej na pagórkowatym terenie – pod La Comelle. Wyjechałam stąd, ale wróciłam, bo muzyka tego miasta, ludzie, słoneczne dni, dwie główne ulice i alejki w supermarkecie, w którym co tydzień robię zakupy, to moje życie. Od dziesięciu lat cena metra kwadratowego jest śmiesznie niska; prawie rozdają tu ludziom ziemię. Kupiłam więc za grosze mały domek i odnowiłam. Cztery pokoje i ogród z wielką lipą. Lipa w lecie daje cień, a w zimie napary.

Wszyscy stąd wyjeżdżają. Wszyscy, ale nie Nina.

Étienne i Adrien wyjechali, wrócili na Boże Narodzenie i znów wyjechali.

Pracuję w domu, czasem redaguję albo tłumaczę teksty dla wydawnictw. A żeby mieć kontakt z ludźmi, wiedzieć, co się dzieje wokół mnie, w sierpniu i grudniu zastępuję redaktora w miejscowej gazecie.

W lecie zajmuję się rubryką zgonów, rocznic ślubów i konkursów gry w karty, w zimie to samo, z tym że dochodzą spektakle dla dzieci i jarmarki świąteczne.

Tłumaczenie i redagowanie tekstów to pozostałości z mojego poprzedniego życia.

Są wspomnienia, z teraźniejszości i przeszłości, które mają zapach. Gdy zmienia się życie, zmieniają się zapachy.

Dzieciństwo pachnie smołą, dętką, watą cukrową, środkiem odkażającym używanym w szkolnych salach, ogniem z rozpalanych w zimne dni kominków, chlorowaną wodą miejskich basenów, wonią potu z dresów wieszanych w szatni siłowni, różową gumą do żucia, klejem na palcach, karmelkami, które weszły między zęby, choinką ustawioną na podwórku.

Dorastanie ma zapach pierwszego papierosa, piżmowego dezodorantu, bułki z masłem zanurzonej na sekundę w kubku ciepłego kakao, whisky z colą, imprez w piwnicach, spragnionych ciał, wody utlenionej, żelu do włosów, szamponu z żółtek, szminki, świeżo upranych dżinsów.

Późniejsze życie pachnie szalem, który został nam po pierwszej nieszczęśliwej miłości.

A potem przychodzi lato. Lato należy do wszystkich epok. Jest ponadczasowe, przede wszystkim przez swój uporczywy zapach, który przylega do ubrań, za którym tęskni się całe życie. Kapiące słodyczą owoce, wiatr od morza, świeże ciastka, czarna kawa, krem do opalania, babciny puder… Lato należy do każdego okresu życia. Lato nie ma dzieciństwa ani wieku młodzieńczego. Lato to anioł.

Jestem wysoka, raczej zgrabna. Mam grzywkę, półdługie ciemnokasztanowe włosy. Kilka siwych niteczek kamufluję brązowym tuszem do rzęs.

Mam na imię Virginie. Jestem w tym samym wieku co oni.

Dziś z tamtej trójki tylko Adrien jeszcze ze mną rozmawia.

Nina mną gardzi.

Étienne… To ja nie chcę z nim gadać.

A przecież fascynują mnie od dzieciństwa. Nigdy nie zżyłam się z nikim poza tą trójką.

I poza Louise.

2

5 lipca 1987

Zaczyna się od bólu brzucha po zjedzeniu kanapki i frytek maczanych w keczupie. Nina siedzi pod parasolem z reklamą lodów Miko, przed budką sprzedawcy frytek. Kilka metalowych kolorowych stolików na tarasie z widokiem na trzy baseny miejskiej pływalni. Zlizując ziarenka soli z koniuszków palców, Nina słucha Madonny, *La Isla Bonita*, i rozmarzonym wzrokiem obserwuje opalonego blondyna skaczącego z pięciometrowej wieży. Palcami wygarnia resztki keczupu z rowków na dnie plastikowego pojemnika. Étienne kołysze się na krześle, pociągając przez słomkę lemoniadę z sokiem truskawkowym, Adrien odgryza kęs zbyt dojrzałej brzoskwini; sok cieknie mu po rękach, ustach, nogach, wszędzie pełno soku.

Nina często obserwuje Étienne’a i Adriena. Nigdy nie ukradkiem. Wbija wzrok w którąś część ich ciała i już go nie odrywa. Étienne tego nie lubi i często rzuca: „Przestań się gapić!”. Adrien ma to w nosie. To cała Nina, nie ma wstydu.

Znów skurcz w brzuchu i nagłe uczucie, że coś ciepłego spływa po wewnętrznej stronie ud. Nina od razu się domyśla. Och, nie! Za wcześnie! Nie chcę! Jedenaste urodziny za piętnaście dni. Myślała, że TO przychodzi

później, pod koniec gimnazjum… Za dwa miesiące będzie dopiero w pierwszej gimnazjalnej… Co za wstyd… Jeśli dziewczyny się zorientują, będą myślały, że powtarzam klasę.

Wstaje, owija się szorstkim ręczniczkiem, skąpym, ale wystarczy, żeby zakryć biodra. Jest bardzo szczupła. „Chuda jak patyk”, drażni się z nią często Étienne. Nina bez słowa podaje mu walkmana i idzie do damskiej szatni. Zwykle wchodzi do męskiej, bo tam przebierają się szybciej.

Étienne i Adrien zostali na tarasie. Nina wystrzeliła stamtąd jak z procy. Normalnie ich trójka nigdy się tak nie rozstaje; każdy, zanim wyjdzie, mówi, dokąd idzie.

– Co jej się stało? – pyta Étienne, żując słomkę sterczącą z kącika ust.

Adrien spostrzega, że syrop zaróżowił jego język.

– Nie wiem… – Wzdycha. – Może to ta astma.

Nina tego dnia już nie wraca na taras. Ruda plama na kostiumie kąpielowym. Pędem przebiera się, wciska do majtek kłąb papieru toaletowego. Czuje się tak, jakby miała guza między nogami. Przystaje przed miejscowym minimarketem i kupuje wkładki higieniczne za drobne, które zostały z frytek. Bierze najtańsze, pakowane po dziesięć.

W domu suczka Paola, machając ogonem, patrzy na nią dziwnie. Podnosi pysk, odwraca się i biegnie do Pierre’a Beau, dziadka Niny, który pracuje w ogrodzie. Dziadek nie zauważył, że wnuczka wróciła. Nina zamyka się w swoim pokoju na piętrze.

Jest gorąco. Chciałaby zanurzyć się z Étienne’em i Adrienem w głębokim na cztery metry basenie, nad którym stoją dwie trampoliny – metrowa i trzymetrowa – oraz pięciometrowa wieża. Jest tam zbyt głęboko, żeby woda się nagrzała. Codzienne wyzwanie to skoczyć tak sprytnie, by dotknąć lodowatego dna.

Wieczorem dzwoni Étienne. W tym samym czasie próbuje się z nią połączyć Adrien, ale jest zajęte.

– Dlaczego nagle zniknęłaś?

Nina się waha. Chce wymyślić jakieś kłamstwo, ale po co.

– Dostałam okres.

Według Étienne’a okres mogą mieć tylko dziewczyny, które mają już piersi, owłosienie: matki, kobiety zamężne. Nina nie zalicza się do żadnej z tych grup. Étienne zbiera jeszcze naklejki w albumach Panini i ukradkiem ssie kciuk. Nina jest taka jak on. Widział przecież cały rząd lalek Barbie w jej pokoju.

Milczy. Nie dowierza. W końcu pyta:

– Mówiłaś dziadkowi?

– Skąd! Obciach.

– Co zamierzasz zrobić?

– A co mam zrobić według ciebie?

– Może to nie jest normalne w twoim wieku.

– Podobno wszystko zależy od matki. Jeśli moja mama dostała okres w tym wieku, to normalne. Ale jak mam się dowiedzieć?

– To boli?

– Tak, trochę… takie skurcze. Jak po obrzydliwej zupie cebulowej.

– Co za szczęście, że nie jestem dziewczyną!

– Za to pójdziesz do wojska.

– Być może. Ale i tak się cieszę, że nie jestem dziewczyną. Pójdziesz do lekarza?

– Nie wiem.

– Chcesz, żebyśmy z tobą poszli?

– Może. Ale macie czekać przed gabinetem.

*

Poznali się dziesięć miesięcy wcześniej na podwórku Szkoły Podstawowej imienia Pasteura w pierwszy dzień po wakacjach. Wszyscy rozpoczynali naukę w ostatniej klasie.

Taki wiek to kompletny chaos. Dzieci nagle zaczynają różnić się od siebie. Duże, małe, dojrzałe, niedojrzałe. Jedne wyglądają na swoje dziesięć lat, inne sprawiają wrażenie, jakby miały czternaście.

Na dziedzińcu szkolnym zebrały się dwie klasy, w sumie około sześćdziesięciorga dzieci. Przed nimi stoją dwie osoby: nauczycielka, pani Bléton, i nauczyciel, pan Py. Na zmianę wywołują nazwiska.

To poranek, kiedy poznaje się różnicę między ślepym trafem i ciosem od losu.

Każde dziecko modli się po cichu – nawet to, które nigdy nie było na lekcjach religii – żeby wywołała je pani Bléton. Pan Py ma złą opinię, przekazywaną młodszym przez pokolenia starszych uczniów w przerażających opowieściach. To drań, który nie waha się uderzyć dzieciaka, unieść go za kołnierz nad ziemią, a nawet rzucać krzesłami o ścianę, gdy jest naprawdę wściekły. Poza tym co roku wybiera sobie ofiarę i jej nie wypuszcza. Ofiara to przeważnie zły uczeń. „Więc musisz się dobrze uczyć, inaczej koniec!”

Pani Bléton – rząd po prawej. Pan Py – rząd po lewej. Wywołują uczniów w kolejności alfabetycznej.

Łatwo sobie wyobrazić westchnienia ulgi dobiegające z prawej strony. Uczniowie w tym rzędzie wyglądają tak, jakby dziękowali niebu – są wyraźnie zrelaksowani. A po lewej? Wszyscy przypominają skazańców.

Tego ranka w szkole imienia Pasteura jest cicho jak makiem zasiał. Słychać tylko głosy dwojga nauczycieli na dziedzińcu szkolnym, wyczytujących nazwiska uczniów zaczynające się na A.

Adam Éric, na prawo.

Antard Sandrine, na lewo.

Antunès Flavio, na prawo.

Aubagne Julie, na lewo.

Następnie na B.

Beau Nina, na lewo.

Beauclair Nadège, na prawo.

Beaulieu Étienne, na lewo.

Bisset Aurélien, na prawo.

Bobin Adrien, na lewo.

W ten sposób trzeciego września 1986 roku Nina Beau, Étienne Beaulieu i Adrien Bobin znaleźli się w jednej grupie. Chłopcy wydają się sparaliżowani ze strachu, więc Nina bierze ich za ręce i ciągnie do rzędu przed nauczycielem. Étienne idzie za nią bez oporu. To, że dał się wziąć za rękę dziewczynie, już samo w sobie jest wstydem, a jeszcze nie dotarło do niego, że dostał podwójny wyrok: stracił przyjaciela, Auréliena Bisseta, i jest w grupie Py’ego. Ta ostatnia prosta przed gimnazjum jest przez całą szkołę uważana za trudne doświadczenie. „Cholera, trafiłeś do Py’ego, porażka!”

We troje stoją obok siebie, czekając na koniec apelu.

Étienne jest dużo wyższy od dwojga pozostałych. Ma delikatne rysy, jasne włosy, jasną cerę, wygląda jak dziecko na starych rycinach; oczy, błękitne jak woda w basenie, zwracają uwagę wszystkich, którzy napotkają jego spojrzenie.

Adrien jest ciemnym szatynem z potarganymi włosami, szczupłym, bladym i tak nieśmiałym, że wygląda, jakby chował się sam za siebie.

Nina ma wdzięk sarenki. Czarne brwi i długie rzęsy nad hebanowymi oczami. Po dwóch miesiącach wakacji jest opalona na ciemny brąz.

Pan Py obserwuje przyszłych uczniów zza okularów; wydaje się zadowolony, z uśmiechem prosi, żeby poszli za nim do klasy, i staje przed tablicą.

Wciąż ta przerażająca cisza. Każdy krok, każdy gest natychmiast zmienia się w sopel lodu.

Wybierają losowo miejsca. Ci, którzy się znają, trzymają się razem. Étienne dyskretnie odpycha Adriena biodrem, żeby stanąć przy Ninie. Adrien posłusznie staje za nią i nagle zapomina o nauczycielu. Przepada, patrząc na jej warkocze, ciemne u nasady, rozjaśnione na końcach, z dwiema gumkami i przedziałkiem pośrodku, na perłowe guziczki przy czerwonej aksamitnej sukience… Kropka nad „i” to ten meszek na karku. Piękność widziana z tyłu. Nina czuje to spojrzenie, odwraca się na chwilkę i rzuca mu figlarny uśmiech. Ten uśmiech dodaje mu animuszu. Ma przyjaciółkę! Koleżankę! Po powrocie do domu będzie mógł powiedzieć: „Mamo, mam nową przyjaciółkę!”. Ma nadzieję, że Nina będzie jadała w stołówce, tak jak on.

– Siadajcie!

Pan Py przedstawia się, pisze na tablicy swoje nazwisko. Napięcie opada, bo w sumie nie wygląda na takiego złego, jak mówią. Właściwie prawie się uśmiecha, wyjaśniając im wszystko. Może się zmienił? Czy dorośli mogą się z czasem zmieniać na lepsze?

Ranek mija szybko. Rozdawanie podręczników, które należy obłożyć jeszcze tego samego wieczoru, a nie następnego dnia.

– Nienawidzę prokrastynacji – oznajmia pan Py, grzebiąc w skórzanej teczce.

Odpowiada mu nieufna cisza.

– Widzę, że nie znacie tego słowa.

Nauczyciel wstaje, ściera gąbką swoje nazwisko i w tym miejscu pisze: PROKRASTYNACJA – od czasownika PROKRASTYNOWAĆ. Podkreśla to trzy razy.

– To znaczy: odłożyć na jutro to, co można zrobić dzisiaj.

Potem prosi, by każdy się przedstawił i powiedział o swoich słabych i mocnych stronach.

Zapada cisza.

– Ojej! Widzę, że śpimy na siedząco! No cóż, będę wywoływał na chybił trafił…

Pan Py wskazuje palcem sąsiadkę Adriena, bladą blondyneczkę. Dziewczynka wstaje.

– Nazywam się Caroline Desseigne, moją mocną stroną jest czytanie, a moim słabym punktem jest to, że mam zawroty głowy…

Caroline czerwienieje i siada.

– Następny, proszę! Twój sąsiad – rzuca Py.

Adrien wstaje. Czerwone czoło. Wilgotne ręce. Nienawidzi zabierać głosu przed całą klasą.

– Nazywam się Adrien Bobin. Moją mocną stroną również jest czytanie, a słabą… Boję się węży.

Nina podnosi rękę. Pan Py zachęca ją skinieniem głowy.

– Nazywam się Nina Beau. Moją mocną stroną jest rysowanie… Moją słabą stroną jest astma.

Teraz kolej na Étienne’a, więc wstaje.

– Nie podniosłeś ręki! – ryczy Py.

Cisza.

– Nie szkodzi, dziś jest pierwszy dzień szkoły, z reguły jeszcze nie swędzi mnie ręka… zmęczyła się na wakacjach. Siadaj. Jeśli chcesz zabrać głos, trzeba podnieść rękę. Następny!

Étienne bez słowa opada na krzesło, na plecach czuje zimny pot. Dłonie mu się trzęsą.

Jest południe, dzwonek dla wszystkich klas. Nikt się nie porusza. Pan Py prosi, żeby uczniowie, którzy się jeszcze nie przedstawili, kontynuowali. Étienne kilka razy podnosi rękę, ale Py do końca lekcji jakby przestaje go widzieć. Wreszcie zwalnia klasę na przerwę.

Étienne i Adrien, mimo że wyszli pierwsi, czekają na Ninę na korytarzu. Już czują się zżytą grupą. Gdy dołącza do nich Nina, Étienne skarży się, rozzłoszczony:

– Wszyscy się przedstawili, tylko ja nie…

– To jak ty się nazywasz? – pyta Nina.

– Étienne Beaulieu. Moją mocną stroną jest sport, a słabą… Nie wiem. Jestem raczej we wszystkim dobry.

– Nie masz żadnej słabej strony? – pyta Nina.

– Chyba nie.

– Nie boisz się niczego? – dziwi się Adrien.

– Nie.

– Nawet gdybyś znalazł się w lesie sam w nocy?

– Nie wiem… Musiałbym spróbować.

Idą razem szybkim krokiem. Są spóźnieni dwadzieścia minut na obiad w stołówce.

Nina idzie w środku, po jej prawej Adrien, po lewej – Étienne.

Nazwisko ucznia: Bobin Adrien, rue John-Kennedy 25, 71200 La Comelle, ur. 20 kwietnia 1976 roku w Paryżu.

Francuz.

Ojciec: Bobin Sylvain, rue de Rome 7, 75017 Paryż, pracownik banku, ur. 6 sierpnia 1941 roku w Paryżu, Francuz.

Matka: Simoni Joséphine, rue John-Kennedy 25, 71200 La Comelle, opiekunka w żłobku i w przedszkolu, ur. 7 września 1952 roku w Clermont-Ferrand, Francuzka.

~~Inny opiekun prawny, adres, zawód, data urodzenia, narodowość, telefon domowy / biurowy.~~

W razie wypadku zawiadomić: Joséphine Simoni, 85 67 90 03.

Nazwisko ucznia: Beaulieu Étienne Jean Joseph, rue du Bois-d'Agland 7, 71200 La Comelle, ur. 22 października 1976 roku w Paray-le-Monial, Francuz.

Brat: Paul-Émile, 19 lat. Siostra: Louise, 9 lat.

Ojciec: Beaulieu Marc, rue du Bois-d'Agland 7, 71200 La Comelle, urzędnik, pracuje w Autun, ur. 13 listopada 1941 roku w Paryżu, Francuz.

Matka: Beaulieu (nazw. panieńskie: Petit) Marie-Laure, rue du Bois-d'Agland 7, 71200 La Comelle, urzędniczka sądowa w Mâcon, ur. 1 marca 1958 roku w La Comelle, Francuzka.

~~Inny opiekun prawny, adres, zawód, data urodzenia, narodowość, telefon domowy / biurowy.~~

W razie wypadku zawiadomić: Bernadette Rancoeur (pomoc domowa), 85 30 52 11.

Nazwisko ucznia: Beau Nina, rue des Gagères 3, 71200 La Comelle, ur. 2 sierpnia 1976 w Colombes, Francuzka.

Ojciec: nieznany.

Matka: Beau Marion, rue Aubert 3, 93200 Saint-Denis, zawód nieznany, ur. 3 lipca 1958 roku w La Comelle, Francuzka.

~~Inny~~ opiekun prawny: Pierre Beau (dziadek), rue des Gagères 3, 71200 La Comelle, pracownik poczty, wdowiec, ur. 16 marca 1938 roku, Francuz.

W razie wypadku zawiadomić: Pierre Beau, 85 29 87 68.

3

5 grudnia 2017

W kółko myślę o tej informacji, tak naprawdę w nią nie wierząc. Ja, samotniczka z natury… Co mi przyszło do głowy, żeby zgłaszać swoją kandydaturę do pracy w gazecie? Chciałam się sprawdzić? Chwila szaleństwa? Nie interesują mnie plotki ani to, kto odchodzi na emeryturę, ani żadne turnieje gry w bule. I nagle znalazłam się w centrum tego wszystkiego, tsunami uderza mnie prosto w twarz.

Z pewnością to nieszczęśliwy przypadek.

Leśny Staw. Stara kopalnia piasku na południe od La Comelle, przy drodze do Autun. Wody podziemne, łącząc się z Saoną, zalały ponad sto hektarów terenu. Często kąpaliśmy się tam w dzieciństwie. Wiedzieliśmy, że to niebezpieczne; podobało nam się kuszenie losu, ale staraliśmy się nie oddalać od brzegu z powodu podwodnych osuwisk, przez które w wodzie powstawały śmiertelnie niebezpieczne dziury. Prawie nikt nie wypuszczał się na środek jeziora. Czasem tylko jakiś chłopak się popisywał. A poza tym z jeziorem łączyło się mnóstwo legend. Mówiono, że w nocy ukazywały się tam duchy topielców, które pływały po powierzchni ubrane w całuny. Ja widziałam tylko turystów na kempingach i porzucone puste puszki po piwie. Mało kto kąpał się boso. Nawet gdy było mi bardzo gorąco,

wchodziłam do wody w trampkach. Ryzyko zranienia się kawałkiem szkła albo żelaza było spore. Pływać wolałam na pływalni. Ale w letnie wieczory spotykaliśmy się nad jeziorem, żeby słuchać muzyki i pić przy ognisku.

Już całe lata tam nie byłam.

Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat Leśny Staw został częściowo osuszony w celu umocnienia brzegów. Władze gminy przeprowadzają analizy terenu. Jest plan zagospodarowania nabrzeży. Mają tu powstać piaszczysta plaża, kawiarnie, zjeżdżalnie. Zostaną zatrudnieni ratownicy. Gmina zamierza zająć się również dzikimi kempingami oraz lekkomyślnymi amatorami kąpieli.

W zeszłym tygodniu podczas osuszania zachodniej części stawu odkryto zatopiony samochód. Nad brzeg prowadzą jedynie wąskie i kręte ścieżki. Ci, którzy przyjeżdżają tu samochodami, z reguły zostawiają auta na zaimprowizowanym parkingu między dwoma polami, około trzystu metrów od głównego wejścia.

Zidentyfikowano tablice rejestracyjne wraka – to twingo ukradzione siedemnastego sierpnia 1994 roku w La Comelle. Typowa sytuacja: złodziej chciał się pozbyć kradzionego auta. Ale żandarmów zaintrygował fakt, że tamtego dnia zaginęła też Clotilde Marais.

Siedemnastego sierpnia 1994 roku. Gdy w redakcji szef podał tę datę, zmroziło mnie. Poprosiłam, żeby wysłał kogoś innego, jakiegoś bardziej doświadczonego dziennikarza, ale wszyscy wyjechali na wakacje, a ja miałam dyżur i byłam na miejscu. „Toczy się śledztwo, musi pani pojechać tam jak najprędzej. Dziś jeszcze musimy mieć zdjęcie tego zatopionego samochodu i artykuł”.

Grzebię w szufladzie, szukając legitymacji prasowej. Zwykle jej nie potrzebuję. Kiedy piszę artykuł o wyborach Miss Gry w Bule, nikt mnie o nią nie prosi.

Nie lubiłam Clotilde Marais. Pewnie zazdrościłam jej ślicznych długich nóg, którymi obejmowała Étienne’a w pasie. To głównie pamiętam, jeśli o nią chodzi. Ona siedzi na murku, on stoi przed nią, całują się. Ona jest w szortach, ściska go nogami. Jest boso, paznokcie u stóp ma starannie pomalowane. Złote rzymianki rzucone niedbale na chodnik. Kwintesencja kobiecości. Świerzbi mnie, żeby zepchnąć Clotilde z tego murku. Zająć jej miejsce. Stać się nią. Rzecz jasna byłam dyskretna: przeszłam szybko obok, wstrzymując oddech.

Clotilde Marais zniknęła latem w roku, w którym skończyła osiemnaście lat. Całe miasto było poruszone. No bo jak można tak po prostu wyjechać, nie zostawiając choćby kilku słów wyjaśnienia? Mnie to właściwie nie zaskoczyło: zawsze zadzierała nosa, nikomu się nie zwierzała, nie miała przyjaciół, przeważnie widziało się ją samą.

Mam ochotę zadzwonić do Niny do schroniska, opowiedzieć jej o samochodzie znalezionym na dnie naszego jeziora. Ale wiadomo, że nigdy tego nie zrobię. To tylko taki odruch, szybko go powstrzymałam.

Nie śmiem w ogóle wyobrażać sobie, jak to odbierze Étienne.

4

Rok szkolny 1986 / 1987 był jedynym, w trakcie którego nauczyciel Antoine Py – inaczej mówiąc, pan Py – zmienił swojego kozła ofiarnego.

Przez całą nauczycielską karierę, od 1955 do 2001 roku, zawsze we wrześniu decydował, na kogo tym razem się uweźmie. Przepadał za tą zabawą. Szykował się do niej w myślach, siedząc nad krzyżówką w Sables-d'Olonne, gdzie spędzał każde lato.

Będzie to blondyn, brunet, może rudy? Wysoki, bo drugoroczny, czy po prostu chudy, tchórzliwy? W każdym razie od samego początku irytujący. Wystarczy, że posadzi dupę w klasowej ławce i wykrzyknie „Obecny!" głosem, który zrani nauczycielskie uszy pana Py'ego jak zgrzytnięcie widelcem po talerzu.

To zawsze był chłopak. Słaba płeć go nie interesowała. Wspomagał się dokumentami ucznia, godzinami czytał je i analizował.

Z upodobaniem rozgryzał imiona, nazwiska, zawody rodziców, sytuacje rodzinne. To go fascynowało! Delektował się tym. Miał wrażenie, że zagląda przez niezasłonięte okna do oświetlonych mieszkań, samemu stojąc w cieniu.

Zawód ojca, zawód matki… Nigdy nie wybrał ucznia, którego rodzice piastowali kierownicze stanowiska lub byli urzędnikami państwowymi. To uratowało Étienne'a Beaulieu pierwszego dnia szkoły w 1986 roku. Gdyby

Py nie wyczytał z jego akt, że rodzice byli wysokimi urzędnikami, miałby przechlapane! Wstać i zabierać głos, nie będąc wywołanym, jeszcze czego!

Nie przyczepiłby się też nigdy do takiego Abdela Kadera, jak uwielbiał przezywać uczniów wyznających islam, gdy był w towarzystwie starannie dobranych przyjaciół, czyli spotykanych na tarasach kafejek w Sables-d'Olonne nauczycieli z innych szkół.

Antoine Py nie miał przyjaciół w La Comelle; stanowisko zmuszało go do zachowywania dystansu wobec ludzi.

Gdy zrobił pierwszy odsiew, analizując sytuację zawodową rodziców i ich pochodzenie, wystarczały mu trzy dni na wybranie ofiary. Miał kilka stałych kryteriów: uczeń musiał wyglądać na kompletnego idiotę, nie od razu rozumieć, co się do niego mówi, mieć głupie spojrzenie, jakiś tik, pomiętą koszulę, być trochę tłustym, zwłaszcza w talii, mieć brudne buty, niepewny krok. Jego uwagę zwracali również ci zbyt pewni siebie, którzy zachowywali się ostentacyjnie, drwiąco, tu uśmieszek, tam błysk w oku. Takim cwaniaczkom kochał zamykać pysk.

Szukał najmniej widocznej szpary i wślizgiwał się przez nią.

Zawsze uczył dziesięciolatków, czyli ostatnią klasę przed gimnazjum, które uważał za „śmietnik instytucji państwowego nauczania". Wydawało mu się, że jest jubilerem, który szlifuje cenne diamenty, a one kończą potem w rynsztoku. „Strata czasu!", mówił wieczorem żonie, siorbiąc zupę.

We wrześniu 1986 roku zarzucił sieci na Martina Delannoy, który powtarzał klasę. Chłopak miał dysleksję, chodził do logopedy. Py znajdował wyjątkową przyjemność nie w zmuszaniu go do czytania na głos przed całą klasą, nie. To byłoby zbyt proste, nie dość perwersyjne, a zwłaszcza zbyt ryzykowne; chodziło przecież o to, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń, przede wszystkim podejrzeń rodziców, ale nie tylko. Uczniowie przecież gadali, nad talerzem z kluskami opowiadali

o wszystkim, co działo się w klasie. Py wolał całe ranki trzymać Martina przy tablicy, każąc rozwiązywać nierozwiązywalne zadania matematyczne.

Trudno mu było ukryć za fałszywym uśmiechem wyjątkową przyjemność, jakiej doznawał, widząc trzęsącego się ze strachu bladego ucznia, po którego czole spływały strużki potu. Ofiara połykała łzy, ale mimo wszystko ciekły, aż na drewnianej podłodze pod nogami dzieciaka powstawała maleńka kałuża tej przezroczystej krwi, jakby uczeń starał się powstrzymać ból. Wreszcie tama puszczała, policzki zalewały się łzami. A on, Py, łagodnym głosem mówił: „Wracaj na miejsce, chłopcze, zostaniesz na długiej przerwie, to ci wszystko wytłumaczę”.

Krzyczał rzadko, był fałszywie słodki, po czym, bez uprzedzenia, dlatego że ktoś rozmawiał podczas lekcji albo że poprzedniego wieczoru żona odwróciła się do niego plecami czy rano ktoś nie ustąpił mu miejsca, rzucał się na dziecko i podnosił je za kołnierz. Zły stopień, zbaczanie z tematu, szydercze śmieszki, gadanie, zagapienie się, ziewnięcie… – w takich wypadkach mury trzęsły się od jego głosu, który grzmiał aż po czubki wielkich kasztanowców rosnących na dziedzińcu szkolnym.

Nigdy żaden rodzic się nie poskarżył, bo też nigdy żaden uczeń nie podniósł swojej średniej tak jak podczas nauki w klasie pana Py’ego. Jego nazwisko wymawiano po cichu, z porozumiewawczymi uśmiechami i zadowoleniem szeptano: „On jest w klasie pana Py’ego”.

Pod koniec roku dostawał dużo prezentów i przyjmował je ze łzami w oczach, powtarzając w kółko jedno zdanie: „Proszę państwa, to nic takiego, przecież na tym polega moja praca”.

Zajęcia prowadził jasno i precyzyjnie. Mógł poświęcać godziny na wyjaśnianie jakiegoś szczegółu, dopóki największy bałwan go nie zrozumiał. Nawet jeśli powtarzał w kółko to samo. Nawet jeśli trzeba było przepisywać lekcję sto razy, aż raz na zawsze weszła do zakutego łba.

Nawet jeśli dostawało się nieskończoną listę zadań domowych i musiało się spędzać nad nimi całe wieczory, całe niedziele.

Był wyjątkowo dobrym nauczycielem, dlatego mógł sobie pozwolić na kozła ofiarnego. Nawet dyrektor szkoły, pan Avril, biorąc pod uwagę doskonałe rezultaty pana Py'ego, zamykał oczy na takie dziwactwo.

Rok szkolny 1986/1987 pan Py zaczął więc z nowym wybrańcem, Martinem Delannoy, co trwało aż do tego marcowego dnia, w którym tuż przed długą przerwą rozdano dzieciom grupowe zdjęcie klasowe. Każde dziecko dostało kopertę z fotografią i jej ceną oraz z ceną indywidualnych zdjęć portretowych, w formie kalendarza, zakładek do książek lub pocztówek z życzeniami.

Tamtego ranka Py zatrzymał na długiej przerwie Adriena Bobina i Martina Delannoy i kazał im dokończyć przepisywanie lekcji o uzgadnianiu liczby mnogiej. Sam udał się do pokoju nauczycielskiego na kawę. Wrócił do klasy koło jedenastej, kilka minut przed kolejną lekcją.

Cicho otworzył drzwi. Uwielbiał się skradać i straszyć uczniów. Patrzył na Martina Delannoy, który z nosem w zeszycie i głową pochyloną na bok przesuwał językiem po wargach, przepisując zadanie. Py już otworzył usta, żeby powiedzieć Martinowi, że źle trzyma pióro, gdy jego uwagę zwrócił Adrien Bobin. Zawsze potargany drobny chłopak, który nigdy na nikogo nie donosił. Który uczciwie pracował. Rodzaj dzieciaka, jakiego na ogół nauczyciele zostawiają w spokoju. Ale tego dnia Adrien Bobin coś się guzdrał.

Py, gdy zawiesił na nim wzrok, poczuł nagle w piersi ukłucie lodowatego ostrza. Miał tak wytrenowany mózg, że wystarczyła jedna czwarta sekundy, żeby przeanalizował sytuację. Między uczniami przepływała milcząca wściekłość. Siedzących po przeciwnych stronach klasy Martina Delannoy i Adriena Bobina połączył jakby łuk elektryczny.

Adrien uniósł głowę i ujrzał ponure spojrzenie nauczyciela. Zza okularów Py’ego nadciągał huragan. Huragan groźny, śmiertelny. Z tych, co zabijają. Adrien zrozumiał to w sekundę. Opuścił oczy i wrócił do pracy, ale było już za późno.

5

6 grudnia 2017

Słyszę w oddali dzwony kościoła. Popołudniowe dzwony oznaczają czyjś pogrzeb. Z pewnością jakiejś starszej osoby; gdyby to był ktoś młody, wiedziałabym z racji pracy w gazecie i dyżuru. Zresztą tu są już sami starzy. Z dwóch szkół – Pasteura i Dantona – została tylko jedna, a i to nie wiadomo na jak długo. Kiedy fabryka traci robotników, tracimy też ich dzieci. Od dwudziestu lat było zbyt wiele zwolnień, zbyt dużo wczesnych emerytur. Fabryka Magellana, produkująca części zamienne do samochodów, zatrudniała w 1980 roku trzy tysiące pracowników, a w 2017 już tylko trzystu czterdziestu. Ostateczny cios nastąpił w 2003 roku, kiedy firma transportowa Damamme została sprzedana, a kilka lat później przeniesiona w inne miejsce.

Na moją lipę pada deszcz.

Poprawiam jakiś tekst, czekając na więcej wiadomości o samochodzie znalezionym w jeziorze. Przewieziono go do Autun. Policja nie pozwoliła mi podejść bliżej. Zrobiłam kilka zdjęć wraka wyciągniętego z wody. W dzisiejszej gazecie tej sprawie poświęcono krótką wzmiankę, ale gdyby we wraku odkryto ciało albo kilka ciał, wiadomość wylądowałaby na pierwszej stronie. Mam wrażenie, że żandarmi są bardzo ostrożni

w wypowiedziach. Podobno w aucie jest szkielet. Nie mogę przestać myśleć o Clotilde Marais.

Wcześniej układałam papiery i znalazłam jej zdjęcie z dawnych czasów. W marcu 1987 roku miała zaledwie jedenaście lat. Nie pamiętałam, że chodziła do mojej klasy. Byłam w szoku, gdy zobaczyłam to zdjęcie z dziecięcych lat. Przez długi czas jej fotografia wisiała we wszystkich sklepach. Ale ponieważ jakiś świadek oficjalnie zeznał, że w dzień zniknięcia Clotilde widział ją na dworcu, wszyscy myśleli, że po prostu wyjechała bez słowa.

Na tym zdjęciu jest też stary Py w szarym fartuchu oraz stojąca razem Trójka „B”: Beaulieu, Beau, Bobin. Ja stoję w drugim rzędzie, czwarta z lewej, blada, przezroczysta, nieistniejąca.

W „roku Py’ego” Nina, Étienne i Adrien spotykali się przed szkołą Pasteura dziesięć minut przed dzwonkiem na lekcje. Nie mieli innych kolegów ani koleżanek. Przypominali tulące się do siebie szczeniaki z jednego miotu. Ale nie byli w ogóle podobni. Ani z wyglądu, ani z zachowania.

Jedenaście lat to wiek, kiedy większość dziewczynek trzyma z dziewczynkami, a większość chłopaków z chłopakami.

Nina często była zmęczona, bo późno chodziła spać. Podobno pomagała dziadkowi segregować pocztę na następny dzień według ulic i dzielnic. Tak w każdym razie mówiono. To nie była prawda – listy układano rano na poczcie. Pewnie rysowała do późna w nocy. Miała zawsze pobrudzone węglem palce. Szorowała je szczoteczką i mydłem, ale grafit zabarwiał paznokcie.

Bardzo mi się podobały cienie, które miała pod oczami. Zazdrościłam jej ich. Dzięki nim robiła wrażenie starszej. Wyglądała poważnie, jak dorosła. Gdybym mogła ukraść jej te stygmaty zmęczenia! Zresztą

chciałam wówczas ukraść jej wszystko: mały nosek, wygląd, sposób, w jaki nosiła głowę, uśmiech.

Nina jako dziecko była podobna do Audrey Hepburn. Później również. Ale na smutno. Choć Audrey też miała pewną melancholię w oczach. Z tym że u Niny to nie była kropla melancholii, ale raczej całe wiadro, wiadro smutku. Tak jakby wszystko już przeżyła, mimo że była dziewczynką. Nikt nie wiedział, kim był jej ojciec, ale podejrzewano, że pochodził z Afryki Północnej albo z Włoch, bo matka, z tego, co opowiadano, miała rude włosy i zielone oczy, a oczy Niny były tak czarne, że nie dostrzegało się źrenic.

Trójka „B” chodziła do szkoły pieszo. Chłopaki, Étienne i Adrien, używali deskorolki tylko wieczorami, w środowe popołudnia i podczas wakacji.

Nina z dziadkiem mieszkali na osiedlu robotniczym, w jednym z identycznych, przyklejonych do siebie domów z czerwonej cegły, stojących w rzędach wzdłuż dziesiątek takich samych ulic. Z tyłu każdego domu znajdował się ogródek warzywny, który żywił całą rodzinę, a gdy obrodziło, jeszcze i kilku sąsiadów.

Adrien z mamą, Joséphine, mieszkali w dwóch pokojach z kuchnią, na czwartym – ostatnim – piętrze budynku zbudowanego w latach sześćdziesiątych.

Étienne, jego rodzice i młodsza siostra, Louise, mieszkali w ładnej willi otoczonej stuletnimi drzewami. Najstarszy z rodzeństwa, Paul-Émile, wyjechał na studia do Dijon.

Ninę wychowywał stary człowiek.

Étienne był synem starego człowieka.

Adrien był synem nieobecnego ojca i matki hipiski, która sama sobie skręcała papierosy i słuchała *Say It Ain’t So, Joe* Murraya Heada, kiedy

myła okna w jadalni.

Wszyscy mieszkali praktycznie w tej samej odległości od szkoły, około dwustu metrów.

I wszyscy troje pragnęli tego samego: uciec stąd, jak dorosną. Opuścić tę wiochę i zamieszkać w wielkim mieście pełnym czerwonych świateł, hałasu i szaleństwa, ruchomych schodów i kolorowych wystaw sklepowych. I świecących nawet w nocy neonów. Z tłumami ludzi na chodnikach, mnóstwem obcych – nieznajomych, o których nie da się plotkować.

Cały wolny czas spędzali razem, razem też chodzili do stołówki. Śmiali się z tych samych rzeczy. Wziąć książkę telefoniczną, otworzyć na chybił trafił, wykręcić numer i wygadywać głupstwa zmienionym głosem. Oglądać *Magnum* i *Fame* przy zamkniętych drzwiach i okiennicach, zajadając cukierki. Grać w Masterminda i bitwę morską. Czytać razem komiksy *Przygody Tintina* albo *Księgę rzeczy dziwnych*, wylegując się na łóżku Niny. „Skończyłem!”, mówili chórem Adrien i Étienne, a wtedy Nina przewracała stronę.

Uwielbiali straszyć się wzajemnie, fantazjować, rzucać śmierdzące bomby w alejkach supermarketu, nagrywać się godzinami na magnetofon, udawać prezenterów radiowych, odsłuchiwać nagrania i zanosić się śmiechem. Kierował tym wszystkim Étienne, Nina była sercem operacji, a Adrien po prostu robił, co mu kazali.

Wszystkie te rytuały zależały od ataków astmy Niny. Cała trójka zależała od jej kapryśnych oskrzeli. Bywało, że mimo ventolinu ataki trwały ponad godzinę. Przy tych najostrzejszych Nina wolała zostawać sama ze swoim świszczącym oddechem. Wtedy Adrien i Étienne wracali do domów. Adrien, żeby czytać albo wspominać wspólne rozmowy. Étienne,

żeby jeździć na deskorolce albo oglądać telewizję z Louise, młodszą siostrą.

Łączyła ich Nina. Bez niej się nie spotykali. Spędzali razem czas we trójkę albo wcale.

Chłopcy lubili ją, bo nigdy nikogo nie osądzała, podczas gdy w La Comelle wszyscy się wzajemnie obgadywali. Żyli plotkami, które przechodziły z pokolenia na pokolenie. Za Niną ciągnęła się reputacja matki – była „bękartem", „zerem". Adrien był tak nieśmiały, że nie interesował nikogo poza Niną, która uważała go za inteligentnego i tajemniczego. Matka Adriena, Joséphine Simoni, była świeżo zatrudnioną pracownicą miejskiego żłobka. Hipiska w długich spódnicach, które wycierały chodnik. Ojca nie było. Oboje, matkę i syna, zaliczano do grupy dzieci kwiatów. Co do Étienne'a, większość uczniów żywiła do niego pogardę jako do „dzianego". W La Comelle ludzie się ze sobą nie mieszali. Serwetki do serwetek, ścierki do ścierek. Szanowano robotników, mniej majstrów. Synowie dyrektorów byli źle widziani, a życie na pewnym poziomie, bogactwo, zawsze budziło podejrzenia.

Trójka „B" chodziła razem do kina. Zajmowali miejsca w pierwszym rzędzie. Adrien nie siadał wtedy gdzieś z tyłu, jak w klasie, ale obok Niny. Ona w środku, Adrien po jej prawej, Étienne po lewej.

W dniu, gdy oglądali *Manon u źródeł,* Nina złapała każdego z nich za rękę w momencie, gdy Ugolin przyszywał sobie do skóry wstążkę Manon, i nie puszczała ich dłoni jeszcze długo po tym, jak się powiesił.

Ten film, *Manon u źródeł*, został na zawsze ulubionym filmem Adriena i Étienne'a, niezależnie od tego, co mówili. Gdy ich pytano o ulubiony film, odpowiadali: *Powrót Jedi*. Kłamali.

6

7 grudnia 2017

Czwartek, dzień zakupów w supermarkecie. Wciąż mam nadzieję natknąć się na Ninę, ale na próżno. Wkładam do koszyka podstawowe produkty, potem idę na targ. Znów mam nadzieję ją spotkać; przyglądam się wszystkim przejeżdżającym samochodom, nic z tego. Jakby żyła w ukryciu.

Kiedy mam już owoce i warzywa, siadam na ogrzewanym tarasie kawiarni de l'Église na kawę. Patrzę na ludzi pchających wózki, na ich koszyki. Pary, samotne kobiety, wdowcy.

Bardzo lubię kelnerkę, która mnie zresztą nie poznaje. To Sandrine Martin. Chodziłyśmy razem do pierwszej klasy gimnazjum, w której była też Trójka. Później Sandrine poszła do zawodówki. Miała tik: co chwila spluwała na ziemię. Była ładna. Wciąż jest ładna. Ale w rysach jej twarzy łatwo dostrzec papierosy i ciągłe zmiany pracy. W zimie sweter zakrywa rozmyty tatuaż syreny na przedramieniu. Ta syrena nigdy nie wygrzewała się w słońcu na tarasie eleganckiego hotelu.

Niekiedy mam ochotę ją zaczepić i przedstawić się. „To ja, Virginie, nie poznajesz?" Ale po co? O czym będziemy rozmawiać? „Masz dzieci?" „Nie, a ty?" „Mam, dwójkę". „Ile mają lat?" „Piętnaście i osiemnaście".

„Długo już tu pracujesz?” „Jak to się stało, że tu przyjechałaś? Przecież tu nic się nie dzieje”.

W sumie wolę, żeby Sandrine mnie nie rozpoznała. Uśmiechamy się do siebie. Wręcza mi dzisiejszą gazetę. Zostawiam trzydzieści eurocentów napiwku. Mam ochotę zostawić pięćdziesiąt, ale kawa kosztuje euro dwadzieścia. Byłoby za dużo. Zwróciłabym jej uwagę.

– Do widzenia!

Czasem nierozpoznawanie ludzi ma dobre strony. Przynosi spokój.

Wracając, nadkładam drogi i przechodzę przed moim starym gimnazjum.

Od dawna jest nieczynne. Nadmiar azbestu i przeciągów. Opuszczony budynek był wiele razy okradany i niszczony. Squatersi obrzucali go kamieniami i próbowali podpalić. Kilka okien jest zasłoniętych kartonami. Wokół budynku wyrasta pole chwastów.

Zbudowano nowe gimnazjum Georges’a Pereca, na przedmieściach. Chodzi do niego młodzież z wielu okolicznych miasteczek.

Dziś rano, przejeżdżając obok starego gimnazjum, które za każdym razem przypomina mi wrak statku porzuconego przez kapitana na morzu zzieleniałych kawałków betonu, zwolniłam.

Zwykle przejeżdżam obok z przyzwyczajenia, nie patrząc – jak w moim dawnym życiu, gdy nadrabiałam drogi, żeby przejechać koło wieży Eiffla.

Teraz zatrzymałam samochód i zaparkowałam go wzdłuż chodnika. Już tyle czasu o tym mówiono. Koparki zaczęły pracę, gimnazjum Vieux-Colombier za chwilę zostanie zrównane z ziemią. Stałam tak jakieś dziesięć minut i patrzyłam, jak miażdżą przeszłość. Płyty dachowe z hartowanej stali zdemontowane, ściany błyskawicznie rozbite, jakby to była dekoracja teatralna, a nie miejsce, w którym nauczano przez kilkadziesiąt lat.

Za parę dni wszystko zniknie.

Przypomniało mi się, jak podczas przerw chodziłam do biblioteki na trzecim piętrze i przyglądałam się uczniom na podwórku. Myślałam wtedy: Za sto lat żaden z nich już nie będzie żył.

Nigdy nie sądziłam, że mury dawnego gimnazjum znikną jeszcze za życia uczniów.

Powolne bankructwo fabryki Magellana i zmiana lokalizacji przedsiębiorstwa transportowego Damamme były wyrokiem śmierci dla całych dzielnic. Tylko dwie główne ulice starają się jeszcze zachować godność. Ostatni bohaterowie naszego nowoczesnego świata, „drobni kupcy", jak nazywa się ich w dziennikach telewizyjnych, mobilizują się, żeby zmartwychwstało serce miasteczka wielkości główki od szpilki.

W miejscu, gdzie stoję, wszystko zarosło chwastami. Tu, gdzie za czasów mojego dzieciństwa było pełno ludzi, zostały tylko popękane mury, zamknięte okiennice, pordzewiałe szyldy z wypłowiałymi napisami i betonowe chodniki porośnięte mchem.

Tam gdzie Adrien i Étienne jeździli na deskorolkach, ziemia leży odłogiem.

7

Od poniedziałku dziewiątego marca 1987 roku, czyli od dnia, gdy Py uwziął się na Adriena, ten zaczął jak więzień odliczać dni do końca wyroku. Odejmując sobotnie popołudnia, niedziele, środy i święta, do wakacji letnich musiał wytrzymać sześćdziesiąt jeden i pół dnia.

Sześćdziesiąt jeden i pół ranka, gdy powłócząc nogami, wchodził do klasy ze ściśniętym żołądkiem. Sześćdziesiąt jeden i pół skreślenia czarnym flamastrem minionego dnia w Kalendarzu Strażackim, zawierającym zdjęcia strażaków interweniujących w wypadkach drogowych, powodziach i pożarach. Odpowiadało to zresztą samopoczuciu Adriena, nękanego przez nauczyciela.

Py zatrzymywał go na każdej długiej przerwie i po południu pod pretekstem, że nie odrobił lekcji czy źle napisał wypracowanie. Kazał mu przepisywać teksty kaligraficznie, z zawijasami, kazał mu wykreślać prostopadłościan, uczyć się prefiksów, sufiksów, rzędów wielkości, przepisywać po sto razy *Nie będę bujał w obłokach podczas lekcji*.

Od dziewiątego marca 1987 roku Adrien nie bujał w obłokach podczas lekcji, nie patrzył już na Ninę, nie widział jej karku, włosów, spinek, sukienki, ramion, pleców.

Py wciąż nad nim stał, wciąż go obserwował.

Gdy tylko Adrien opuszczał gardę, Py wołał go do tablicy, żeby upokorzyć przed całą klasą. Na próżno.

Nieśmiali nie są słabi ani strachliwi. Nie zawsze kaci wygrywają. Adrien nigdy nie zapłakał. Patrzył Py'emu prosto w oczy i starał się odpowiadać na jego pytania, nawet te wyjątkowo złośliwe czy niezrozumiałe, gdy tymczasem pierwszy kozioł ofiarny, Martin Delannoy, oddychał z ulgą. Wciąż nie rozumiał, jak to się stało, że rozszalały zwierz pobiegł na inne podwórko.

Gdy wreszcie wieczorem Py wypuszczał Adriena ze szkoły, Nina i Étienne czekali na niego na chodniku jak dwie udręczone dusze, żeby odprowadzić go do domu. Adriena wszystko bolało po całym dniu spiętych mięśni.

– Dlaczego tak się ciebie uczepił… – powtarzała Nina.

– Kiedyś ci powiem – odpowiadał Adrien.

– Co mi powiesz?

Adrien milczał.

Étienne proponował mu, że może przedziurawić opony w aucie pana Py'ego albo włożyć mu do skrzynki na listy psie gówno. „Wiem, gdzie on mieszka".

Ale Adrien się nie zgadzał. Py na pewno się domyśli i wtedy im również zatruje życie.

Adrien płakał we śnie. Rano cała poduszka była mokra.

Już nie czytali razem książek w pokoju Niny, nie włączali telewizora. Było tak, jakby bohaterowie ich ulubionych seriali umarli.

– Psuje nam środy!

– Psuje nam życie! Ależ mieliśmy przedtem dobrze…

– Widziałem go kiedyś na mieście. Jest fatalnie zbudowany, dlatego ciągle chodzi w fartuchu, żeby ukryć swoją wielką dupę.

– Oby do lata! – powtarzali. – Oby do lata!

Do kina chodzili teraz rzadko, na przerwach czuli, że są obserwowani. Jeśli zdarzyło im się pójść na jakiś film, siadali tak samo: Étienne po lewej, Nina w środku, Adrien po prawej.

Tak odkryli *Długą drogę*, film Jeana-Loupa Huberta. Adrien zrozumiał wówczas, że dzieło sztuki potrafi oderwać od najgorszej rzeczywistości.

*

Czwartego maja 1987 roku Py zauważył, że brakuje mu w teczce prac domowych, które wziął do poprawy. Bez zastanowienia naskoczył na Adriena, oskarżył go o kradzież wypracowań podczas odsiadywania kary i nie bacząc na spanikowaną klasę, porządnie mu przyłożył. Nina i Étienne wstali, żeby bronić przyjaciela, ale jedno spojrzenie Adriena wystarczyło, żeby natychmiast usiedli z powrotem.

Adrien fizycznie nie wytrzymał tego nowego ataku i zachorował. Jeszcze nikt w życiu go nie uderzył. Ojciec nigdy go nie tknął, nawet jeśli jego obojętność odbiła się na synu w sposób niewidoczny, ale trwały. Mamę miał dobrą, łagodną; nigdy nie podniosłaby ręki na syna.

W drodze powrotnej ze szkoły Adrien kazał przysiąc Étienne’owi i Ninie, że będą milczeć. Przyjaciele podnieśli dłonie i przysięgli.

Kiedy syn wrócił do domu, Joséphine zauważyła jego wyjątkową bladość. Był zamyślony, nieobecny. Starała się coś z niego wyciągnąć, bezskutecznie. Po kolacji zadzwoniła do Niny i spytała, czy coś się stało w szkole. Nina odpowiedziała, że nic, nie wydarzyło się nic specjalnego, wszystko było jak zwykle.

W nocy Adrien dostał dreszczy i wysokiej gorączki. Stwierdzono bronchit, który przeobraził się w groźne zapalenie płuc. Zabrano go na kilka dni do szpitala. Przez trzy tygodnie nie chodził do szkoły. Nina i Étienne przepisywali mu lekcje i przychodzili do niego codziennie wieczorem.

Joséphine, która paliła teraz tylko na balkonie, odgrzewała im podwieczorek; zjadali go, siedząc przy stoliku z laminowanym blatem.

Włosy Joséphine, kiedyś blond, były teraz pożółkłe i częściowo siwe. Z powodu małej głowy przypominała gryzonia. Ale rysy miała delikatne, ładne. Łagodne, choć nieufne spojrzenie.

Nie ułożyła sobie życia po romansie z ojcem Adriena. Ten facet bez przerwy kłamał i miał żonę, z którą nie zamierzał się rozstać. Uprzedził zresztą o tym Joséphine. „Nigdy!”, powiedział. Gdy dowiedział się, że kochanka jest w ciąży, w ogóle nie zareagował. Ani złością, ani rozgoryczeniem, ani radością. Tego dnia, kiedy odszedł na zawsze, Joséphine niczego nie podejrzewała i szykowała tartę z jabłkami. Miała ręce w maśle i mące, kiedy wręczył jej to coś. Nie zorientowała się, co to było, dopóki nie zobaczyła czeku z wypisaną sumą. Na podpisie została plama tłuszczu.

Sylvain Bobin wrócił tylko po to, żeby uznać dziecko. Joséphine nie miała siły, żeby mu to wyperswadować. Już go nie kochała. A przecież kiedyś czekała na niego, pragnęła go. Ale to było przedtem, przed tym rozczarowaniem, przed brudnym słowem, tchórzliwym gestem. Pozwoliła mu podejść do kołyski. Nie podszedł blisko.

Czasem się pojawiał. Jako kierownik robót albo policjant. Dzwonił do drzwi. Wchodził, rzucał okiem na mieszkanie, farbę na ścianach, na rury i krany, na szkolne wyniki Adriena, zostawiał kolejny czek na stole w salonie i znikał. Pewnie tak płacił za spokój ducha.

Kiedy Adrien trafił do szpitala, Joséphine po raz pierwszy od jedenastu lat zadzwoniła do jego ojca. Sylvain Bobin był za granicą, zostawiła więc wiadomość w hotelu. Oddzwonił. Trzeszczało. Uspokoiła go, że więcej było strachu niż cierpienia, Adrien czuje się dużo lepiej. Nieprzyjemne przeziębienie, ale minęło.

Teraz Joséphine obserwuje, jak cała trójka łapczywie wypija gorący napój. Podobają jej się nowi przyjaciele syna. Zwłaszcza Nina. Chciałaby mieć taką córkę. Laleczka z ciemnymi oczami. Dwie gwiazdeczki świecące na uroczej twarzyczce. A to dopiero początek, pomyślała, te oczy pokażą jeszcze, co potrafią.

Po odrobieniu lekcji Nina obejmowała Adriena na pożegnanie, Étienne natomiast klepał go po ramieniu i rzucał niezmiennie: „Oby do lata!”.

Po powrocie do szkoły Adrien wciąż skreślał czarnym flamastrem dni dzielące go od wolności. Obliczył, że jeśli odejmie długi weekend Wniebowstąpienia Pańskiego, poniedziałek Zielonych Świątek, środy, piątki po południu i niedziele, zostanie już tylko trzydzieści jeden i pół dnia.

Przeczytał gdzieś, że człowiek opętany, szalony może zrobić coś ponad ludzkie siły. Wydało mu się, że właśnie taki jest: opętany. Było dla niego nadludzkim wysiłkiem wstać, wypić ciepłe mleko, ubrać się, wyjść z domu, dojść do szkoły, przejść przez podwórze, wejść po sześciu stopniach, zawiesić kurtkę w szatni, pójść do klasy, usiąść na swoim miejscu, czuć zapach wody kolońskiej tego sztywniaka w szarym fartuchu, spotkać jego świdrujące spojrzenie zza okularów. I to wszystko jeszcze przez trzydzieści jeden i pół dnia.

Uważał za nieludzkie to, że nie ma ojca, który by wystąpił w jego obronie, wziął go za rękę, powiedział: „Nie martw się, synku, obronię cię!”.

W dniu, kiedy wrócił do klasy, nie uspokoiła go nawet obecność Niny i Étienne’a. Czuł, że ze strachu zaraz dostanie rozwolnienia, bolał go brzuch, dusił się.

Pomyślał, że może zaraził się astmą od Niny – tak trudno było mu oddychać.

Fałszywie przymilny głos pana Py’ego. Nauczyciel nie woła go do tablicy, nie zatrzymuje po lekcjach. Ani na długiej przerwie, ani po południu nie musi odsiadywać w klasie.

Py się przestraszył. Pierwszy raz kozioł ofiarny zareagował na jego specyficzne tortury chorobą. Zwykle Py wyczuwał, gdy posunął się za daleko, i starał się wówczas załagodzić sytuację, zanim zdarzy się najgorsze.

Minęło kilka tygodni. Adrien dostawał dobre stopnie za prace domowe, nauczyciel czerwonym atramentem robił na ich marginesach uwagi zachęcające do dalszej pracy; na górze z prawej strony kartki pisał: *Bardzo dobrze, świetna praca, pracowity, dobry uczeń.*

Któregoś czerwcowego wieczoru Adrien z własnej inicjatywy został po lekcjach w klasie. Py pisał coś przy swoim biurku. Uczniowie dostali zadanie, by wywołać prąd elektryczny za pomocą dwunastowoltowego wentylatora, przykleić magnes na każdym śmigle i podłączyć go do transformatora za pomocą dwóch kostek elektrycznych. Adrien z pasją podszedł do tego zadania, wyciął drewnianą deseczkę, pomalował ją na biało i podłączył trzy kolorowe żarówki. Ponieważ dochodziła szósta, a on miał jeszcze dużo do zrobienia, Py, który się spieszył, poprosił, żeby dokończył pracę w domu.

Adrien pracował nad tym urządzeniem przez cały weekend, założył nawet przełącznik do regulowania natężenia prądu, co zaimponowało Ninie.

– Ależ jesteś inteligentny! – wykrzyknęła zachwycona.

– To żadna inteligencja, to fizyka – odpowiedział.

– To to samo.

Kiedy w poniedziałek rano cała trójka weszła do klasy, dyrektor, pan Avril, czekał w drzwiach z ponurym wyrazem twarzy. Kazał im ustawić się w rzędzie, potem usiąść, wyjąć podręczniki do gramatyki i zacząć przerabiać cicho kolejną lekcję.

Pana Py’ego nie było. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło w całej jego nauczycielskiej karierze.

Uczniowie rzucali sobie pytające spojrzenia, aż wreszcie ktoś podniósł rękę i zapytał:

– Gdzie jest pan Py?

– U mnie w gabinecie – odpowiedział dyrektor.

Rozległy się pełne zawodu westchnienia. Nici z wcześniejszego powrotu do domu, z jazdy na rowerze, grania w planszówki i oglądania telewizji, nawet jeśli w poniedziałek nie nadawano nic dla młodzieży.

Czyli nie, Py nie został porwany, nie był chory ani nie umarł.

Dyrektor poszukał wzrokiem oczu Adriena.

– Adrien Bobin… chodź ze mną, proszę, chłopcze.

Gdy Adrien usłyszał swoje nazwisko, poczuł znajomy ścisk w żołądku.

Wstał z miną skazańca, który nie wie, o co jest oskarżony, spojrzał z niepokojem na Ninę i Étienne’a i poszedł ze zwieszoną głową za dyrektorem.

Kafelki na podłodze… Krzywo położone. Policzyć je, nie myśleć o niczym. Pierwszy, drugi, trzeci, czwarty… Źle to wygląda… Dlaczego Py nie przyszedł do klasy? Dlaczego dyrektor mnie wywołał, mnie, i tylko mnie?

Tak, źle to wygląda.

Kiedy weszli do gabinetu dyrektora, który urządzono w dawnej czytelni, wstawiając biurko, szafy z dokumentacją szkolną, telefon i maszynę do pisania, Py już tam był, siedział z nogą założoną na nogę. Nie miał na sobie szarego fartucha, był w jasnoniebieskiej koszuli i tergalowych spodniach, bez marynarki. Adrien pierwszy raz widział go „po cywilnemu”.

Py nie podniósł głowy, nie spojrzał na Adriena, nawet gdy ten powiedział mu „dzień dobry”. Po prostu uśmiechnął się do dyrektora; zachowywał się tak, jakby Adrien nie istniał.

– No cóż, powiem bez ogródek, pan Py powiedział mi dziś rano, że ukradłeś szkolne wyposażenie.

Adrien nie od razu zrozumiał, o co chodzi. Poszukał wzrokiem oczu Py’ego, który wciąż patrzył na dyrektora siedzącego naprzeciw niego.

– Wiesz, że wyposażenia do zajęć praktycznych nie można wynosić ze szkoły. To jeden z punktów regulaminu.

Adriena zatkało. Oskarżano go o kradzież; Py go w to wpuścił, złapał go w pułapkę i wygrał! Chłopiec poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Ale nie, Py nie zobaczy jego łez! Natychmiast je przełknął, jak gorzką zupę. Wbił paznokcie w skórę przedramion. Pomógł mu pewien szczegół – najpierw niezauważalny – który ze szczegółu zmienił się wkrótce w coś oczywistego. W miarę jak Adrien starał się spokojnie oddychać, serce przestawało mu walić w piersi i wtedy to poczuł. Najpierw lekko cierpki, potem coraz mocniejszy zapach, rozchodzący się w coraz szerszych kręgach, aż trudno było go ignorować. Zapach potu. Py śmierdział. Emanował od niego smród, smród kłamstwa.

– To wszystko, co masz do powiedzenia na swoją obronę, Bobin? – wyrwał Adriena z zamyślenia głos dyrektora.

Milczenie go oskarżało. Kto milczy, ten się zgadza. Zgodził się więc być ukaranym do końca roku szkolnego. Codziennie musiał przepisywać mnóstwo zdań i oddawać odrobioną pracę dyrektorowi.

Przed całą klasą oskarżono go o kradzież i kazano mu przenieść się do ostatniej ławki, w głębi, obok zimnego kaloryfera.

W dokumentach szkolnych nie wpisano raportu z tego zdarzenia, bo Adrien Bobin był dobrym uczniem i w poniedziałek rano przyniósł przyrządy szkolne. W grę wchodziły tylko trzy żarówki, przewody elektryczne i inne drobiazgi bez żadnej wartości. Kara została wymierzona dla zasady, żeby postawić kropkę nad „i”.

Gdy Joséphine Simoni dowiedziała się o tym zajściu, chciała od razu pójść do dyrektora i do Py’ego, a nawet wyżej, bronić syna przed fałszywym oskarżeniem.

Adrien się nie zgodził.

– Py ma rację, ukradłem ten sprzęt.

– Masz mnie za idiotkę? Dlaczego go bronisz?

– Jeszcze tylko dziewiętnaście dni i wakacje!

– Zadzwonię do twojego ojca!

– Nie mam ojca! Nic go nie obchodzę! Jeśli do niego zadzwonisz, ucieknę! I już nigdy mnie nie zobaczysz!

Joséphine ustąpiła. Nie zadzwoniła do nikogo, ani do Sylvaina Bobina, ani do władz szkolnych.

Uwierzyła synowi, że mógłby zniknąć. Czuła to od zawsze. To było jak ukryta podskórna groźba. Wyczuwała u niego jakiś ciężar, coś, co dźwigał w sobie od dawna, co nie miało nic wspólnego z dzieciństwem. Adrien nigdy nie był beztroski – był cichy, łagodny, ale poważny. Nie musiała mu mówić, żeby odrobił lekcje, umył zęby, nakrył do stołu, pomógł posprzątać; robił to wszystko sam z siebie. Często śmiał się jasnym kryształowym

śmiechem, który tak cieszył Joséphine, chętnie się bawił, zwłaszcza gdy byli przy nim Nina i Étienne i oglądali komedię albo jakiś program w telewizji. Ale zawsze potem cichł, stawał się z powrotem dorosłym, który wszedł w dziecięce buty.

Od tamtego dnia Adrien już nikomu nie ufał, wiedział, że ludzie nie są szczerzy.

Uważał na wszystkich.

Tamten rok szkolny dał mu dwoje przyjaciół, ale odebrał niewinność.

8

8 grudnia 2017

Musiałam złapać anginę. Owijam szyję szalikiem. Mieszkam sama, wokół cisza, mam bardzo wrażliwe gardło.

To nie dzień krokietów, ale przywożę do schroniska trzydzieści kilogramów karmy i zostawiam pod bramą.

Jak zwykle słyszę psy, lecz ich nie widzę.

Jak zwykle wychodzi wysoki niedogolony facet, zabiera worki i mamrocze pod nosem:

– Dzięki w ich imieniu.

– Jest Nina? – pytam.

Wysoki milczy. Jak magnetofon, w którym wcisnęło się klawisz STOP. Zwykle mówię tylko „dzień dobry” i „do widzenia”. Od razu się wycofuję, nie zostawiam czasu na odpowiedź i szybkim krokiem wracam do samochodu. On wiedzie za mną wzrokiem. Macham mu ręką na pożegnalny. Co mnie napadło?!

To pewnie te emocje z ostatnich dni. Zburzone gimnazjum, fotografia klasowa… Wspomnienie, które często wraca we śnie, wróciło zeszłej nocy. Jestem tam z powrotem. U Niny. Jest dzień pogrzebu, wieczór. Przerażenie,

osłupienie, powolne gesty, Étienne, jego upiorna bladość, podbite oczy, głośny oddech. I Nina, która pieprzy się z kimś gdzieś indziej.

Ale jeszcze bardziej prześladuje mnie co innego: ciało z zatopionego samochodu. Informacja została potwierdzona; policja bada, kto to jest. Nie wiem, dlaczego w gazecie nie pozwalają mi na razie o tym pisać.

A chciałabym tyle powiedzieć Ninie.

*

Nina siedzi przy biurku i obgryza skuwkę pióra.

Fatalny dzień. Dwie duże dostawy. Psy myśliwskie. Niezidentyfikowane. Zarobaczone. Od dwóch miesięcy nikt nie zaadoptował żadnego zwierzęcia. Jedna z wolontariuszek się zmyła. Na szczęście w tym całym nieszczęściu iskierka nadziei – ktoś zainteresował się starym Bobem. Bob jest tu już od czterech lat. Szesnaście pór roku na ulicy. Ta osoba zadzwoniła, przyjdzie dziś po południu go obejrzeć. Zauważyła jego zdjęcie na stronie schroniska i spodobał jej się. Strona ze zdjęciami psów zrobiona przez Ninę jest prawie tak skuteczna jak portal randkowy.

Nina uśmiecha się do siebie. Powinna spróbować, zapisać się na Poznajfaceta.com. Żeby zobaczyć. Ale już sama myśl, że znajdzie się w kafejce twarzą w twarz z kimś obcym, ją zniechęca. Poza tym w La Comelle wszyscy się znają. Zna wszystkich mężczyzn ze swojego pokolenia. To przeważnie faceci żonaci, brzuchaci, z zębami żółtymi od nikotyny, pijacy albo wyniszczeni byli sportowcy. Rozweselają ją te myśli, poprawiają samopoczucie, rozświetlają jej wnętrze. Trzeba się uśmiechać, zwłaszcza gdy uśmiech to jedyna rzecz, która pozwala to wszystko ciągnąć.

Do pokoju wchodzi Christophe. Nalewa sobie letniej kawy i zanurza w niej herbatnik.

– Ta kobieta, która co miesiąc przywozi krokiety, była dzisiaj. Pytała o ciebie. Normalnie nic nie mówi. Wiesz, kto to może być?

Nina unosi głowę znad przygotowywanego planu. Jej spojrzenie chmurzy się. Przyjmuje informację jak cios.

– Tak, bardzo dobrze wiem.

– Wiesz? – dziwi się Christophe.

– To duch.

Nina wkłada kurtkę i idzie do pomieszczenia dla chorych zwierząt, które znajduje się obok części z kotami. To pora zastrzyku Orlana, podejrzenie nosówki. Trzeba go natychmiast wyleczyć, zanim zarażą się inne zwierzaki.

9

Lipiec 1987

– Adrien, myślisz, że tak wcześnie dostałam okres, bo mam matkę kurwę?

– Skąd. Matka Teresa dostała okres, kiedy miała dziesięć lat. Tak jak ty.

– Matka Teresa?

– Tak.

– Jesteś pewien?

– Tak. Czytałem w „Nauce i Życiu”.

W trójkę zmierzają do gabinetu lekarskiego, Nina idzie między chłopcami. Nie widzieli się od poprzedniego dnia na basenie, gdy nagle uciekła.

Chłopcy są na deskorolkach, Nina pieszo, dostosowują więc tempo do jej kroków.

Od wczoraj Nina wciąż krwawi. Umówiła się z doktorem Lecokiem przez telefon, nie zmieniając głosu. Prawdziwa wizyta u lekarza, zapisana na własne nazwisko: Nina Beau. Znają ją tam z powodu astmy, jest pod stałą kontrolą. Ale pierwszy raz odwiedzi lekarza rodzinnego sama. Dotąd zawsze towarzyszył jej dziadek, więc teraz ma poczucie winy.

– Powiedziałaś dziadkowi? – pyta Étienne.

– Nie powiedziałam! – rzuca zirytowana.

– Możesz chodzić na basen?

– No… nie za bardzo.

– Ile czasu to trwa? – niepokoi się Étienne.

– Nie wiem… Jakieś sześć dni… Ale idźcie już!

– Nie zostawimy cię samej! – oburza się Adrien.

– Wypożyczymy sobie filmy! Ogrodnik i pani Rancoeur są na wakacjach! Będziemy mieli cały dom dla siebie! – cieszy się Étienne.

– Nie będziemy przeszkadzać twojej siostrze? – pyta Nina.

– Jej nigdy nie ma.

Kiedy dochodzą do przychodni, prosi chłopców, żeby zaczekali na nią trochę dalej.

– Nie chcesz, żebyśmy z tobą weszli?

– Nie, wolę iść sama.

Tuż obok jest parking dużego centrum ogrodniczego. Chłopcy idą pojeździć tam na deskorolkach; linie wyznaczające miejsca dla ciężarówek doskonale się do tego nadają.

Rozpędzają się, skaczą. Étienne jest zdolniejszy i odważniejszy od kolegi. I szybszy. Wprost lewituje na desce. Wyglądamy razem jak trener i uczeń, myśli Adrien. Zawodowiec i dyletant. Étienne doskonale panuje nad ciałem. Ma wrodzoną zręczność, jest gibki, giętki. Ostatnio znów urósł i przewyższa przyjaciela o dwie głowy. Na desce, w wodzie, na ziemi, nigdy nie traci równowagi, rusza się pięknie. Wystarczy zobaczyć, jak płynie kraulem.

Takie jest życie, Adrien już to wie: nie rodzimy się równi.

Strupy na kolanach, na rękach, nadgarstki obolałe od naśladowania Étienne’a… Adrien przerywa trening, pochyla się, żeby poprawić sznurowadło, i wtedy czuje na plecach czyjś wzrok, jak pchnięcie sztyletem. Zaskoczony uczuciem dziwnego oszołomienia, odwraca się i zamiera. Jakby dostał kopniaka w brzuch. Zatyka go.

On. Stoi jakieś trzysta metrów od niego. Jak długo mu się przygląda? Czy go śledzi? Błyskawicznie odwraca głowę, trzaska drzwiami samochodu i wchodzi do sklepu ogrodniczego.

To impuls, jakby ktoś Adriena popchnął, zmusił; nigdy do tej pory czegoś podobnego nie przeżył – może to osoba, za którą zwykle się chował, może ta nieznośna nieśmiałość, nagle wszystko się wali! Łzy, które hamował w starciach z nauczycielem, podchodzą do gardła i wylewają się gwałtownym strumieniem.

Jak zahipnotyzowany Adrien rusza do przodu, zostawia deskorolkę na murku; nie słyszy, jak Étienne pyta, dokąd idzie. Pędem przecina parking, nieskoordynowanymi ruchami otwiera ciężkie drzwi sklepu, tak że uderzają go w twarz. Nie panuje nad ciałem, nogi same go prowadzą.

Pierwsza alejka pusta. Druga też.

Adrien szuka pana Py’ego jak pies gończy. Po drodze jakiś pracownik uśmiecha się do niego.

– Dzień dobry, chłopcze! – rzuca.

Adrien nie słyszy. Serce łomocze mu w uszach, czuje się jak ryba w sieci.

Wraca do niego zapach klasy: papier, klej, amoniak, kreda i pot.

Trzecia alejka. Jest. Stoi w dziale z nasionami, porównuje kolorowe opakowania, robi zakupy do przydomowego ogródka. Na twarzy ma okolicznościowy uśmiech, przyklejany każdego ranka przed wyjściem z domu.

Adrien dobrze zna ten uśmiech. To on nie pozwala mu spać.

Py nawet nie ma czasu zauważyć ataku chłopca, niespodziewanie dostaje pięścią prosto w twarz. To jest maleńka pięść, piąstka drobnego jedenastolatka. Ale jest w niej tyle wściekłości, tyle napięcia, tyle smutku, że cios ma moc wystrzelonego z bliska pocisku.

Złamane okulary ranią Py'ego. Krew. Wzrok mu mętnieje. Silny kopniak w podbrzusze. Oszołomiony Py kuli się, Adrien uderza go raz po raz, wyjąc jak szaleniec. Któryś ze sprzedawców łapie chłopca, przytrzymuje, a on szarpie się jak diabeł.

Potem kolejny krzyk, straszny, rozpaczliwy, krzyk Niny.

Adrien!

Twarz Niny wykrzywiona strachem, oczy pełne łez, i twarz Étienne'a, który stoi obok dziewczynki, patrząc z niedowierzaniem, z otwartymi ustami, jakby był niedorozwinięty.

Adrien czuje gorąco w całym ciele. Wszędzie mrówki. Nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Potem już nic. Czarno.

Odzyskuje przytomność w magazynie; czuje zapach roślin i mokrej ziemi. Dwaj strażnicy miejscy i trzech pracowników centrum ogrodniczego patrzą na niego. Słyszy niewyraźnie jakieś słowa: „Pan Py nie wniesie skargi… matka zapłaci za okulary… rany powierzchowne… czy dziecku nic się nie stało… zaraz przyjdzie lekarz… Co go napadło?".

Nina dostaje ataku astmy. Ledwo oddycha, w płucach jej świszczy, jakby miała w gardle zepsuty gwizdek.

Étienne wciąż patrzy na Adriena, stoi z deskorolką pod pachą, jakby nie poznawał przyjaciela. Jakiś obcy chłopiec leżący obok worków z ziemią. Adrien zranił się w rękę, gdy pękły okulary Py'ego.

Zjawia się spanikowana Joséphine.

Gdzie jest Py? – myśli Adrien i znowu traci przytomność.

*

Od kilku dni nie chodzą na basen, więc w kółko słuchają na pełen regulator płyty *The Joshua Tree* U2. Tańczą i śpiewają, przy zasłoniętych oknach, w wielkim salonie u Étienne’a. Ponieważ jest ciemno, plączą im się kroki, tańczą byle jak, nie starają się, robią to, na co mają ochotę, śmieją się głośno jak dzieci w przedszkolu.

– *With or without youuuu…*

Te szczęśliwe popołudnia to terapia po wyskoku Adriena. Mijały dni, a oni w ogóle o tym nie rozmawiali. Adrien był u lekarza i ten starał się zrozumieć jego zachowanie, ale chłopak milczał. Od kiedy skończył sześć lat, w ogóle nie ufa lekarzom.

Tego dnia, kiedy Adrien pobił Py’ego, doktor Lecoq uspokoił Ninę w sprawie okresu. To normalne w jej wieku. Nic strasznego. Może rok czy dwa wcześniej niż inne dziewczynki, ale to naprawdę nie ma znaczenia.

– Znał pan moją mamę? – spytała doktora Lecoqa, który był ich lekarzem rodzinnym.

– Tak, oczywiście – odpowiedział, przesuwając stetoskopem po jej plecach.

– Ona też dostała okres, jak miała dziesięć lat?

Lekarz zaczął grzebać w szufladach biurka, wyjął teczkę z dokumentami niejakiej Marion Beau, urodzonej trzeciego lipca 1958 roku. Zaczął z trudem odczytywać notatki.

– Przykro mi, Nino, ale nie wiem… Nie mogę się rozczytać.

Dał jej skierowanie do laboratorium na badanie krwi; napomknął coś o poziomie progesteronu i hormonach, ale już nie słuchała. Wpatrywała się w leżącą na biurku teczkę z kartą zdrowia matki. Daty wpisano czerwonym długopisem. Daty konsultacji. Te daty były jak dowód jej istnienia. Marion

była w tym pokoju, leżała tu, Lecoq badał jej ciśnienie, mierzył wzrost, wagę, słuchał jej serca.

W domu nie było żadnych zdjęć Marion. Pierre Beau zlikwidował wszystkie ślady po córce.

Nie zostało po niej nic, tylko ona, Nina.

Lecoq nie chciał zapłaty za wizytę. Nie wziął czeku, który wydarła po kryjomu z książeczki dziadka. Wybrała ostatni, żeby zauważył jak najpóźniej. Nie do pomyślenia, by rozmawiała z nim o swojej menstruacji.

Zanim wyszła z gabinetu, lekarz spytał ją jednak, czy nie spotyka się z jakimś chłopcem. Pokręciła głową, czerwieniąc się.

– Jeśli to się zdarzy, powinnaś do mnie przyjść, żebym ci zapisał środki antykoncepcyjne.

Czy to samo powiedział jej matce?

Wyszła z gabinetu w dziwnym stanie. Wyobrażała sobie anginy, gorączki Marion, jej upadki z roweru, siniaki i bóle brzucha…

Wypatrywała kolegów na parkingu sklepu ogrodniczego, żeby wszystko im opowiedzieć, jakby wracała z dalekiej podróży.

W sklepie zobaczyła plecy znieruchomiałego Étienne’a. Py leżał na ziemi, a Adrien kopał go jak szaleniec, z wykrzywioną twarzą, czerwony jak porzeczki z ogródka, z włosami sklejonymi od potu.

Potwornie się wystraszyła. Przeraziła. Zabiorą jej Adriena, rozdzielą ich! Jak w tych filmach, na których płakała, kiedy wysyłano rozrabiające dzieci do koszmarnych internatów. Adrien zostawi ją, tak jak matka zostawiła ją zaraz po urodzeniu.

Z całych sił zawołała: „ADRIEN!”.

Adrien zamarł. Zdumiony cofnął się, spojrzał na nauczyciela leżącego na ziemi i stracił przytomność. Nina zaczęła się dusić. Dostała wyjątkowo silnego ataku astmy. Zbiegli się ludzie. Py wstał, nie patrząc na nikogo.

*

– *With or without youuuu!* – wrzeszczą z całych sił. Tańczą, zamykając oczy, mimo że w pokoju i tak jest ciemno. Od kilku dni parkiet w salonie służy im za miejsce do tańca, jedzą byle co, oglądają jak zahipnotyzowani filmy z kaset, które wsuwają do magnetowidu po kilka razy z rzędu, jeśli film im się podoba. Nina zawsze siada w środku, między Adrienem i Étienne’em. Étienne czasem ukradkiem ssie kciuk.

Postanowili również założyć zespół muzyczny, kapelę. Étienne zrezygnował z gry na fortepianie, woli syntezator. I mikrofon. Zainstalował studio w części piwnicy. Nina i Adrien będą pisać słowa piosenek, a on muzykę. Zaczęli już próbować, kilka skomplikowanych, pokręconych, angielsko brzmiących słów bez sensu. Chcą być oryginalni, jeszcze nie wiedzą, że często najpiękniejsze piosenki są zawstydzająco proste.

*

Dwudziestego lipca Étienne jedzie jak co roku do Saint-Raphaël. Rozstają się po raz pierwszy, odkąd się poznali. Poza dniami, kiedy Adrien był w szpitalu w Autun z powodu, jak to później nazwali, choroby Py’ego.

Po wyjeździe Étienne’a Nina z Adrienem taplają się całe dnie w chlorowanej wodzie niczym dwie potępione dusze. Między skokami do basenu rozkładają ręcznik kąpielowy na pożółkłej trawie przy ogrodzeniu, tam gdzie można jeść i palić, tam gdzie doroślejsi całują się na oczach zdumionych dziesięcio- i jedenastolatków. Nina i Adrien siadają zawsze pod tym samym drzewem i w wyobraźni wykreślają na niebie rysunki, które starają się rozszyfrować. Mają jednego walkmana, więc dzielą się nim. Zmieniają kasety po włożeniu na uszy słuchawek z gąbką ochronną. Adrien słucha Niagary, Nina – Mylène Farmer.

– Całowałeś się już z kimś? – pyta Nina przyjaciela.

– W usta?

– No.

– Z języczkiem?

– No.

– Zwariowałaś? Mam jedenaście lat. A ty?

– Też nie.

– Tak czy inaczej, to wygląda obrzydliwie.

Któregoś popołudnia Adrien odprowadza Ninę do domu. Mają oczy zaczerwienione od chloru i słońca. W domu witają ich koty i suczka Paola. Pierre Beau drzemie. Po porannej rundzie z listami, zanim zwróci na poczcie to, czego nie rozdał adresatom, zawsze ucina sobie popołudniową drzemkę.

Nina prosi Adriena, żeby poszedł za nią do pokoju bez okien, na końcu korytarza.

– Nie martw się, dziadek śpi. Coś ci pokażę, ale musisz przysiąc na moją głowę, że nie powiesz nikomu, nawet Étienne’owi.

Adrien przysięga.

Na starym stole leżą trzy skórzane woreczki. Nina otwiera jeden z nich i odwraca. Jest gorąco, duszno, w powietrzu unosi się woń pasty do podłogi i kurzu. Na stół wypada zawartość: dziesiątki listów i kartek pocztowych z widokami morza. Nina może je oglądać godzinami. Z tyłu zawsze ta sama treść: *Jest piękna pogoda, wszystko dobrze, całujemy Was*. Wyobraża sobie, że nad morzem jest zawsze piękna pogoda i wszystko jest dobrze.

– Jak dziadek śpi, wyciągam zawsze kilka listów. Zdarza się… że je czytam.

– Czytasz? Po co?

– No, żeby przeczytać.

– Dziadek o tym wie?

– Zwariowałeś?! Nigdy nie zauważył. Od razu odkładam je na miejsce. Chcesz spróbować?

Adrien myśli, że się przesłyszał.

– Czego spróbować?

Nina sięga po kilka kopert i zaczyna wybierać te ręcznie adresowane – rachunki czy urzędowa korespondencja jej nie interesują. Układa je w wachlarz i wyciąga do Adriena.

– Zamknij oczy i wylosuj jedną – mówi.

Chłopiec posłusznie losuje kopertę, jakby wyciągał kartę z talii w trakcie jakiejś sztuczki. Czuje, jak Nina wyszarpuje mu list z dłoni. Kiedy otwiera oczy, ona jest już za drzwiami.

– Idziemy do mojego pokoju! – mówi.

Na szafce nocnej w małym czajniku gotuje się woda. Nina przytrzymuje nad parą kopertę i szybko ją otwiera. Podaje list Adrienowi.

– Dawaj, czytaj na głos! – nakazuje.

Adrien ma wrażenie, że znalazł się w samym centrum wielkiego oszustwa, i już widzi się w domu poprawczym. Tam gdzie zamyka się małolatów i gdzie znęcają się nad nimi faceci jeszcze gorsi od Py’ego. Bo nie tylko pobił nauczyciela, ale w dodatku czyta kradzione listy. Czuje, jak serce zaczyna mu walić w piersiach, oddech ma przyspieszony. Ściska list z całych sił, żeby Nina nie zauważyła, że trzęsie się ze strachu.

Pismo w liście jest delikatne, nerwowe, atrament fioletowy. Adrien bierze głęboki oddech – zanim zacznie czytać, musi się uspokoić.

Moje drogie dzieci,

pozdrowienia z Alp. Pogoda jest piękna. Wieczory są chłodne, a jeśli spadnie deszcz, trzęsiemy się z zimna. Ale to rzadkie w lipcu.

Czas mi tu płynie miło, lekarze chcą mnie jeszcze zatrzymać w sanatorium na kilka tygodni. Mam nadzieję, że wrócę do Was, zanim zacznie się rok szkolny. Słuchajcie Taty!

Mój kochany Léo, czy powtarzasz zadania z ortografii? Sybille, kochanie, czy podoba Ci się na koloniach? Czy wychowawcy są mili?

Aniołki moje, bardzo za Wami tęsknię.

Powiedzcie Tacie, że kocham go ogromnie, tak jak i Was, i że chcę jak najszybciej wyzdrowieć!

Mama

Adrien zwraca kartkę Ninie, która patrzy na niego wyczekująco.

– Moja mama nigdy do mnie nie napisała ani słowa – mówi w końcu Nina.

– Wiesz, gdzie mieszka? – pyta Adrien.

– Nie.

– Nigdy jej nie widziałaś?

– Widziałam. Kilka razy tu była, pewnie żeby poprosić dziadka o pieniądze. Ostatnim razem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku. Miałam pięć lat.

– Pamiętasz ją?

– Trochę. Pachniała paczulą.

– Jak ma na imię?

– Marion.

– Co robi?

– Nie wiem.

– Dlaczego mówiłaś, że to kurwa?

Nina wzrusza ramionami.

– A znasz ojca? – pyta Adrien.

– Nie.

– A twój dziadek go zna?

– Nie, nie sądzę… A co z twoim tatą?

– Ożenił się, mieszka w Paryżu.

– Widujesz go?

– Czasami… Śmierdzi chlorofilową gumą, wciąż ją żuje. Nienawidzę tego zapachu. Czasem przyjeżdża i zabiera mnie do restauracji. To okropne! Nie wiem, co mam mówić. On też nie wie. Chcę, żeby jak najszybciej podali deser. Zadaję mu pytania, które sobie wcześniej przygotowałem. Żeby nie było tej ciszy.

– Myślisz, że on ma inne dzieci?

– Nie wiem.

– Może masz jeszcze brata… albo siostrę.

– Może.

– Nie powiedział ci tego?

– Nie.

Z dołu dobiegł nagle niski głos Pierre’a Beau:

– Nina, co tam wyrabiasz?

Dzieci podskoczyły. Nina wsunęła kopertę pod poduszkę.

Adrien z deskorolką pod pachą zszedł przywitać się z dziadkiem przyjaciółki. Pierre odezwał się do niego poważnym głosem:

– Muszę z tobą porozmawiać, Adrien.

Chłopca ogarnął lęk. Pomyślał, że Pierre Beau z pewnością zamierza go skarcić za zachowanie wobec Py’ego. Poszedł za starszym panem do kuchni, szurając nogami jak skazaniec. A jeśli dziadek zabroni mu spotykać się z wnuczką? Ach, to nie do pomyślenia, nie do przyjęcia, niemożliwe!

Nina to światło Adriena. Siostra i nie siostra, bo sami siebie wybrali. Nina to dla niego ktoś, kto po prostu zawsze jest. Nawet jeśli chodzi do męskiej ubikacji i czyta cudze listy.

Pierre Beau zamyka za Adrienem drzwi i przez chwilę patrzy na niego uważnie. Nina nie jest podobna do dziadka. Ten ma szaroniebieskie oczy, trochę w kolorze bielizny, którą mama wyciąga z pralki, zrzędząc: „Cholera! Znów zafarbowało!”. Cerę ma jakby wygarbowaną, przypominającą skórzaną kurtkę Steve’a McQueena z plakatu wiszącego nad łóżkiem Adriena. Twarz ogorzałą od ciągłej jazdy na rowerze. Dziadek marszczy czoło, patrzy na chłopca dziwnie, Adrienowi robi się sucho w ustach. Czuje się jak wezwany do tablicy przez Py’ego na oczach całej klasy.

– Zastanawiam się, co kupić Ninie na urodziny – mówi tymczasem Pierre Beau. – Chciałem, żebyś mi pomógł wybrać. Sztaluga i farby… Myślisz, że to dobry pomysł?

Adrien zwleka z odpowiedzią, jest tak zaskoczony.

– Tak, bardzo dobry… – odzywa się po chwili.

– Jesteś pewien?

– Tak mi się wydaje.

– Tak ci się wydaje czy jesteś pewien? Bo jej rysunki zawsze są czarne. Tak sobie pomyślałem, że praca pędzlem nauczy ją kolorów.

10

10 grudnia 2017

Nie da rady złapać piany w dłoń
Wiadomo, życie się wypala
I nie zostaje nic
Po wypalonej świeczce
Możesz jeszcze zdecydować o losie
O swoim losie
Czy myślisz, że życie
To tylko sól między palcami
Kiedy możesz lżejszy niż piórko
Pójść do przodu
Bez smutku i bez goryczy
Po prostu iść
*Skoro wszystko ucieka.**

Wczoraj był pogrzeb Johnny'ego Hallydaya.

Siostra Emmanuelle, Marie Trintignant, Nelson Mandela, Cabu, Wolinski.

Co się działo z Niną, Adrienem i Étienne’em przez te wszystkie lata?

Nie śpiewali razem piosenek Stromae, nie oklaskiwali Rogera Federera, nie oglądali *Amelii*. Nie pocieszali się wzajemnie, opłakując Michaela Jacksona, Prince’a, Alaina Bashunga i Davida Bowiego.

„Widzieliście wiadomości? Właśnie się dowiedziałem…” Wszystko to, czym człowiek natychmiast dzieli się z przyjaciółmi, a co przestaje istnieć, gdy związek się rozpada. Jakiś facet morduje dzieci na podwórku szkolnym, zdewastowana sala koncertowa… Przerażenie. Wydarzenia, po których natychmiast chwytamy za telefon, co słychać, widziałeś, co się stało? Wobec których wzajemne żale nic nie znaczą.

Nina, Adrien i Étienne po raz ostatni rozmawiali ze sobą bardzo dawno temu.

Tymczasem ja chciałabym im powiedzieć, że jutro wszyscy dziennikarze z okolicy zostaną wezwani przez prokuratora z Mâcon w sprawie zatopionego samochodu.

Chciałabym, a nie mogę. Jak w starej piosence Françoise Hardy:

Chcę, nie mogę…
Ale jeśli kiedyś stwierdzisz, że mnie kochasz,
Nie czekaj ani dnia, ani tygodnia…[**]

Powinnam już iść spać, ale wciąż rozmyślam, słuchając muzyki. Wstaję, podśpiewuję; wyobrażam sobie, że stoję pośrodku ogromnego stadionu, na przykład Wembley…

Wariatka.

Na dworze od dłuższego czasu jest ciemno.

Jestem sama w domu. Jak mogłoby być inaczej? Tego szukałam.

* Calogero, *Yalla*.

** *Message personnel*.

11

Wrzesień 1987

Początek roku szkolnego, pierwsza klasa gimnazjum. Trójka idzie razem do szkoły Vieux-Colombier.

Na drewnianej tablicy przyczepiono listę z podziałem uczniów według klas. Podchodzą do niej, krzyżując palce. Oby byli razem!

Zapada wyrok: Nina Beau i Adrien Bobin – w 1A. Étienne Beaulieu – w 1C.

Widząc swoje nazwisko pośród grona nieznajomych, Étienne czuje się odrzucony. Chce mu się płakać. Powstrzymuje się.

Adriena zatkało. Nie mieści mu się w głowie, że rozdzielono ich Trójkę. Jednocześnie uświadamia sobie, że będzie miał Ninę tylko dla siebie, i to przez cały rok!

Nina szybko ociera łzy złości i zawodu rękawem nowej kurtki. To dopiero wstyd: jest w gimnazjum i beczy jak dziecko! Nakazuje oskrzelom spokój. Dziś żadnego ataku astmy, ciało, zabraniam ci, zabraniam ci, zabraniam!

Ma na sobie bluzę od dresu, szorstkie dżinsy, zbyt białe adidasy, na plecach prawie pusty tornister.

Étienne zdejmuje sweter. Za gorąco. Odgarnia do tyłu kosmyk włosów. Pochyla głowę. Ma doskonały profil. Nina mogłaby go rysować bez przerwy. Jest jeszcze prawie dzieckiem, dopiero zaczyna dojrzewać, ale jego twarz nie pasuje do reszty ciała. Wysoki, umięśniony sportowiec o delikatnych, prawie dziewczęcych rysach. Taki sam kontrast jak między jego klasycznym strojem a dżinsowym plecakiem, do którego przypiął znaczek punkrockowego zespołu Bérurier Noir.

Adrien milczy. Obserwuje gimnazjalistów. Jest ich dużo więcej niż uczniów w podstawówce. I są o tyle wyżsi! Niektórzy z trzeciej gimnazjalnej mają po metr osiemdziesiąt! W murach tej szkoły Adrien czuje się mały. Ubranie kupione przez ojca w Paryżu – dżinsy, białe adidasy i skórzana czarna kurtka – wydaje mu się kostiumem teatralnym. Wyciął zdjęcie solisty grupy Depeche Mode i pocztą wysłał ojcu zamówienie: *Chcę taką kurtkę na nowy rok szkolny, z góry dziękuję*.

Patrzy na budynki szkolne. Na każdym oknie nazwiska poetów: Prévert, Baudelaire, Verlaine, Hugo. Nie ma wśród nich żadnych kobiet. Czy kobiety nie piszą wierszy, bo same są poezją?

Odwraca się i spogląda na Ninę. Tak, dziewczęta są niemą poezją.

Uczniowie rozchodzą się do klas.

Trójka stoi nieruchomo, oszołomiona, pod tablicą z listą. Jakby czekali, aż ktoś się pojawi i powie, że to pomyłka, przecież są wszyscy razem.

– No, dobra, idę – rzuca w końcu Étienne niby obojętnie. – Spotkamy się przed stołówką, czekajcie na mnie.

Gdy tylko odwrócił się plecami, przygryzł wewnętrzną stronę policzka aż do bólu. Gówniana lista. Tylko się nie popłakać przy innych! Znajduje swoją klasę, budynek Hugo, sala 12. Jest spóźniony, w ustach czuje smak krwi.

Wychowawczyni, wysoka, chuda tyczka, strasznie brzydka. Jakaś pokrzywiona, skolioza. Cudne okulary. To będzie jego nauczycielka angielskiego. Nie ma żartów, od razu zapowiada:

– Będą mi tu płacić aż do emerytury. Jeśli chcecie pracować, to świetnie, reszta niech siada z tyłu, nie mój problem.

Pierwsze zadanie na nowy rok szkolny: znaleźć dobrą uczennicę. Dziewczynkę samotną, intelektualistkę. Od razu będzie widać, która to – po twarzy, po kołnierzyku, po sposobie poruszania się. Étienne już wie i siada przy niej. Zna ją zresztą z widzenia. Wydaje mu się, że byli razem w pierwszej klasie podstawówki. Uśmiecha się do niego. Wszystkie dziewczyny się do niego uśmiechają. Tak, to Edwige Thomassin. Świetna uczennica. Będzie mógł od niej odpisywać na sprawdzianach. Trzeba siadać obok niej na każdej lekcji. Wszędzie.

Étienne’owi zawsze udawało się wmówić matce, że się uczy. Tymczasem oszukuje. Arsène Lupin od ściągania. W zeszłym roku łatwizna, przepisywał od Niny. Jeszcze wcześniej – od Auréliena Bisseta. Już w przedszkolu kopiował rysunki sąsiada czy sąsiadki. Nie chodzi o to, że nie mógłby tego zrobić sam, po prostu nie chce mu się pracować, nie ma zapału, żeby rzucać się na głęboką wodę. Zapał oszczędza na deskorolkę i syntezator.

Zrezygnował z tenisa. Pod pretekstem napiętego grafiku w szkole. „A poza tym mam już muzykę”.

Ile razy ojciec mu powtarzał: „Bierz przykład z brata”. Rywalizować, być najlepszym, zdobyć złoty medal, pracować jak szaleniec – to była obsesja Marca Beaulieu.

Młodsza siostra Étienne’a, Louise, tak samo jak starszy brat Paul-Émile, uczy się doskonale. On, środkowy, trochę nieudacznik, leń, ma ledwo średnie stopnie.

Skolioza nazywa się Comello, kilkakrotnie literuje swoje nazwisko. Étienne rozmyśla, co robią Nina i Adrien. Jak wygląda ich wychowawczyni. Może nie jest tak brzydka jak ta tutaj. Pewnie siedzą obok siebie. Tak czy inaczej, są razem. Chyba że się spóźnili i wszystkie miejsca były już zajęte. Boże, żeby tak było! Étienne szczypie się w dłoń. Boże, powtarza, jeśli jesteś, spraw, żeby Nina i Adrien nie siedzieli obok siebie! Wtedy wszyscy będziemy rozdzieleni i kiedy się spotkamy, będziemy równi!

Pierwsza lekcja, druga, trzecia… Trójka kilkakrotnie mija się na korytarzach przed południowym posiłkiem. Étienne czuje się jak dziecko, które przed wyjazdem na kolonie ostatni raz widzi rodziców. Zagubiony, bez oparcia, nie ma ochoty z nikim rozmawiać. Nie integruje się z innymi.

Spotykają się w południe w stołówce. Czekają na siebie przed ladą z tacami, potem idą jedno za drugim, po kolei napełniają talerze. Porównują plany lekcji.

Wszystkie jutra są podobne.

Po siedemnastej życie wraca do normy. Idą do Niny albo do Adriena. Słuchają *Never Let Me Down Again* Depeche Mode, pijąc ciepłe kakao. Potem siadają przy stole, pracują albo udają, że pracują. To sposób, który wynaleźli, żeby nie rozstawać się po szkole. Jeśli porządnie odrobią lekcje, nauczyciele potraktują ich poważnie. Jeśli będą mieli dobre stopnie, dojdą wspólnie do matury i postarają się zdawać ją wspólnie. Wówczas w liceum niezależnie od wszystkiego znajdą się na tej samej liście.

Étienne czeka, aż Nina albo Adrien skończą, żeby od nich odpisać. Zmienia tylko niektóre słowa.

Siedząc obok nich, czyta komiksy albo „Rock & Folk”. U Adriena czy Niny siada zawsze twarzą do drzwi, nigdy plecami. Dzięki temu, gdy nagle

pojawi się na horyzoncie Joséphine albo dziadek, ma czas pochylić się nad zeszytem czy podręcznikiem.

Nina i Adrien nie robią mu wyrzutów. Jakby chcieli mu wynagrodzić to, że nie są w jednej klasie. To normalne, że Étienne odpisuje; pozwalają mu na to bez problemów. Nina prosi go tylko, żeby przeczytał całość i postarał się zrozumieć, „bo nigdy nie wiadomo”.

– Czego nigdy nie wiadomo? – pyta Étienne.

– Nigdy nie wiadomo – powtarza wytrwale Nina. – Gdybym na przykład umarła z powodu astmy, nic nie będziesz rozumiał.

Czasem obie ich klasy jadą tym samym autobusem na wycieczkę do jakiegoś zamku lub opactwa. Étienne zawsze przychodzi pierwszy i zajmuje trzy miejsca z tyłu. Jest dużo wyższy od reszty, więc nikt nie protestuje. Te przejazdy rzadko trwają dłużej niż godzinę, ale tej godziny nikt mu nie odbierze.

W tym roku Étienne nienawidzi szkoły; całe szczęście, że mają siebie.

*

9 czerwca 1988

Rok szkolny kończy się za kilka tygodni.

Na imprezie u Étienne’a odkrywają na adapterze płytę Indochine *3*.

Trzydzieścioro nastolatków kręci się wokół pięknych kanap z białej skóry, które Marie-Laure Beaulieu przykryła prześcieradłami. Uczniowie pierwszej i drugiej gimnazjalnej jeszcze nie mają śmiałości tańczyć w parach. Dziewczynki tańczą z dziewczynkami, chłopcy z chłopcami.

Trochę tak jak podczas wlewania oleju do wody – krople oleju sklejają się ze sobą.

Étienne rozdał zaproszenia w kilku klasach, bo usłyszał, jak ojciec mówi do matki, że ciągle się prowadza tylko z Niną i Adrienem – „To jakaś patologia”.

Co to właściwie znaczy „patologia”? Étienne zajrzał do słownika. Definicja tam zamieszczona też była niezbyt jasna. A poza tym nie ma cierpliwości czytać do końca. Właściwie słownik to dla niego najnudniejsza lektura na świecie. Więc zaprosił kilkoro znajomych, żeby ojciec zamknął się ze swoją „patologią”.

Louise, jego młodsza siostra, siedzi w kącie pokoju. Jest podobna do Étienne’a. Też ma jasną cerę, niebieskie oczy, taki sam nos i usta. Skończyła właśnie jedenaście lat. Przedtem Étienne myślał, że Marc go nie lubi, bo nie jest jego ojcem. Że matka musiała z kimś zgrzeszyć między najstarszym a najmłodszym dzieckiem. Ale są z Louise tak podobni, że to wykluczone. A przecież matka nie mogła przespać się dwa razy z jakimś innym facetem.

Trzy noce w tygodniu
Przytulam się do niej
*Jestem z nią…**

Nathan Robert przyniósł pod płaszczem butelkę whisky i rozlewa ją do plastikowych kubeczków. Dla większości to pierwsze zetknięcie ze smakiem alkoholu.

Nadège Soler, dziewczynka z 1B, którą Nina bardzo lubi za nieschodzący z twarzy uśmiech, pyta:

– Spotykasz się z Adrienem czy z Étienne’em?

– Spotykam się?

– No, całujecie się? Obmacują cię? Jak to jest, kiedy człowiek mizia się w trójkę?

Nina jest zaszokowana.

– Ależ nie… Nic takiego nie robimy…

Nadège chyba nie wierzy, ale w sumie ma w nosie odpowiedź Niny. Odchodzi tańczyć. Kilka osób ją naśladuje, podśpiewując: *Such a shame*…

Nina, która nie chciała wypić whisky, teraz wlewa sobie kroplę i dolewa coli. Pierwszy łyk jest obrzydliwy, smak zostaje w gardle.

Już kiedyś wypiła resztkę wina z kieliszka, sprzątając ze stołu, ohyda. Alkohol jest wstrętny.

Patrzy, jak Étienne tańczy. Fajnie się rusza, no i jest tu najładniejszym chłopakiem. Wszystkie dziewczyny go obserwują. Ukradkiem albo otwarcie. Étienne wydaje się nieobecny. Nie wygląda na szczęśliwego. Z pewnością dlatego, że ich rozdzielono.

Dlaczego tak bardzo się polubili? Czy gdy dorosną, mogłaby któregoś poślubić? Nigdy w życiu! Nie wstydzą się przed sobą niczego, dłubią sobie w zębach na oczach pozostałych, nie zamykają drzwi do łazienki, nie przeszkadza im, że rano spotykają się niedobudzeni, nawzajem wyciskają sobie ropne krosty. „Śmierdzi ci z ust”, „Idź umyj zęby” – bez przerwy tak do siebie mówią – „Ale się ohydnie ubrałeś”, „Wyrwij sobie te włoski spod nosa, wyglądasz jak baba z brodą”… Dogryzają sobie jak stare małżeństwo, są o siebie zazdrośni, nie wolno im gapić się na innych, ale to nie ma nic wspólnego z flirtowaniem. Nina jest świadoma, że to ona stanowi łącznik pomiędzy Étienne’em i Adrienem, ale wie, że nie są w niej zakochani. Ani jeden, ani drugi. Dla Étienne’a jest jak siostra, a Adrien uważa ją za przykład do naśladowania, właściwie za ideał.

Uwaga Nadège i alkohol spowodowały, że zakręciło jej się w głowie. „Całujecie się? Obmacują cię? Jak to jest, kiedy człowiek mizia się w trójkę?” Przypomina sobie, jak Étienne uczył ich, pokazując palcami i językiem, co trzeba robić, na wypadek gdyby któregoś dnia chcieli pocałować kogoś, kto im się spodoba. Bo on już to robił z Solène, drugoroczną z 3D. Adrien patrzy na niego i pyta, czy język trzeba obracać w kierunku wskazówek zegara.

Nina myśli o miłości już od dawna, a o miłości fizycznej od kilku miesięcy. O takiej miłości, o jakiej czyta w listach, które wciąż potajemnie otwiera. Przypomina sobie ostatni, który czytała już kilka razy. Zna adresatkę, nazwisko jest na kopercie. To matka uczennicy z klasy Étienne’a. Nina widzi tę kobietę codziennie na parkingu przed gimnazjum. Siedzi w samochodzie i czeka na córkę, słuchając radia. Kiedy opuszcza szyby w drzwiach, Nina słyszy muzykę i widzi chmury dymu z papierosa, który matka koleżanki wydmuchuje, patrząc w niebo.

> *Chciałbym Cię rozbierać powoli, tak jak wtedy, w zeszłym roku, warstwa po warstwie, dotykać Cię tam. Doprowadzić Cię do orgazmu. Ale kiedy Cię spotykam na ulicy, przechodzisz na drugą stronę. Dlaczego? Odezwij się, odpowiedz cokolwiek, daj mi znak. Jakikolwiek.*

Doprowadzić Cię do orgazmu. Nina bez przerwy o tym myśli. Jej matka musiała mieć orgazmy. Musiała bez przerwy mieć orgazmy. I wolała je od własnej córki.

Nina odkryła orgazm sama, w łóżku. Ciepło, jakby swędzenie… pocierała się prześcieradłem, a potem – robiła to co noc – nagle kręciło jej się w głowie i ciało wyginało się w łuk. Uczucie uniesienia. Było jeszcze fajniej, niż gdy drażniła ją woda w basenie.

O tym, o miłości fizycznej, jeszcze nie rozmawiała z chłopcami. Tylko o pocałunkach z języczkiem. Przeczuwa, że nadejdzie dzień, gdy nie będą chcieli spędzać wspólnie czasu tak jak teraz. Niedługo będą chcieli całować się ze starszymi dziewczynami z trzeciej gimnazjalnej. Będą chcieli je pieścić tam, gdzie ona się dotyka. Nina wie, że to jest nieuniknione. I że wtedy ją zostawią.

Na razie Étienne i Adrien są jeszcze bardzo młodzi, młodsi od niej, nawet jeśli mają tyle samo lat co ona. Z dziewczynami tak jest, od urodzenia są dojrzalsze od chłopców.

Czuje, że rosną jej piersi, podczas gdy ani Adrien, ani Étienne nie mają jeszcze nawet jednego włoska na brodzie i myślą głównie o graniu w zespole i o deskorolce.

Piersi ją trochę bolą. Na razie ich nie widać, bo nosi za duże bluzy od dresu. Nie chce, żeby chłopcy zauważyli, że się zmienia. Jej zapach, włosy łonowe, jej pragnienia i myśli to jakby rewolucja. Nina tego nie lubi. Chciałaby wrócić do dzieciństwa, chciałaby znów być tą małą dziewczynką co kiedyś. Chciałaby wrócić do świata ciepłego słodkiego mleka, które piła co wieczór przed zaśnięciem. Dojrzewanie jest brutalne: gwałtowne zmiany, konieczność zaakceptowania ich. Na szczęście uwielbia rysować. Kreślić linie, żeby odtworzyć na papierze rysy tych, których kocha. Tak zabija strach przed nieznanym. Kiedy rysuje, nie myśli o niczym innym, to zbawienna gra. Myśli szybują, Nina czuje, że przeżywa wiele żyć. Każdy skończony rysunek to jedno życie. Czyjaś twarz. Pejzaż. Profil. Uśmiech. Zaczęła malować. Pędzel nie jest łatwy. Gdy szkicuje węglem, ma bezpośredni – fizyczny – kontakt z papierem. Farba wymusza dystans. Jest mniej precyzyjna. Nina nie lubi kolorów. Nie wie, co ma robić z tymi błękitami czy czerwienią.

Wszyscy tańczą w rytm *Troisième sexe* Indochine. Nina podchodzi do Étienne’a.

Oddechy ciężkie od alkoholu, ciała poruszają się niezgrabnie, jeszcze niewprawne; to ciała niezręcznych dzieci, które chórem intonują:

I bierzemy się za ręce
I bierzemy się za ręce
Dziewczęta jak chłopcy
Chłopcy jak dziewczęta…[**]

---

[*] Indochine, *3*.

[**] Indochine, *3*.

12

10 grudnia 2017

Ktoś otwiera drzwi. Nina nie zwraca na to uwagi, w skupieniu rozlicza rachunki. To pewnie Christophe albo jakiś wolontariusz wchodzi do biura po kawę. Każdego ranka Nina szykuje kawę dla wszystkich.

– Dzień dobry, dzwoniłem wczoraj, przychodzę obejrzeć psa, Boba…

Samotny mężczyzna to rzadkość. Z reguły na pierwszą wizytę, tę, która poprzedza adopcję, przychodzą kobiety albo rodziny z dziećmi.

Nina przywołuje na twarz serdeczny uśmiech. Niecodziennie przychodzą chętni do adopcji.

Wstaje, żeby się przywitać. Na jej silny uścisk dłoni mężczyzna odpowiada podobnie zdecydowanym uściskiem. To się jej podoba. Jest wysoki, podobny do Étienne’a, który w wieku szesnastu lat miał już metr osiemdziesiąt dwa wzrostu.

– Dzień dobry. Romain Grimaldi.

– Dzień dobry, Nina Beau, kierowniczka schroniska.

Jest zmieszana. Po raz pierwszy od potencjalnego klienta chcącego adoptować bezdomnego psa bije taki urok. Klient niepodobny do innych,

choć Nina jest pewna, że przez siedemnaście lat pracy w schronisku widziała, słyszała i przeżyła już wszystko.

Mężczyzna przypomina trochę przyjaciół Adriena. Tych, których widziała u niego, gdy mieszkał w Paryżu. Artyści, ludzie efektowni, dowcipni… Coś w tym rodzaju. Specyficzna elegancja. W każdym razie to nie jest nikt stąd.

Co do siebie, Nina wie, że od dawna nie bije od niej żaden urok, co najwyżej zapach mokrego psa. Ma krótkie włosy, bo to praktyczne. Makijaż – nie do pomyślenia, skoro dzień zaczyna się od czyszczenia klatek z psich odchodów. Jej ubranie to prawie mundur wojskowy: barwy khaki, bure, wygodne, niezniszczalne. Stale chodzi w kaloszach. Paznokcie ma krótko obcięte. Manicure to nie dla niej, to dla kobiet z innego świata.

Idą przez schronisko do klatki Boba. Opada na nich chłodna wilgotna mgła.

Romain Grimaldi rzuca pełne poczucia winy spojrzenia na szczekające w klatkach psy. Człowiekowi z zewnątrz łamie się serce, bo schronisko to trochę jak wysypisko śmieci ludzkości. Natomiast ten, kto tam pracuje, widzi wszystko inaczej: zwierzęta są bezpieczne, mają jedzenie i picie, codzienną porcję pieszczot i regularne spacery. Są szanowane, w razie choroby leczone. Rozmawia się z nimi tak jak z kumplami, z którymi dzieli się trudny los. Takie, powiedzmy, kolonie letnie, na których koniec się czeka, żeby wreszcie wrócić do domu.

– Czy macie tu rasowe psy? – pyta Romain Grimaldi.

Ninie nie podoba się to pytanie. To nie jest sklep zoologiczny, tu rasa czy uroda nie grają żadnej roli. Żyje się pośród bękartów. Rzadko znajdzie się tu pies z niebieskimi oczami i nieskalanie białą sierścią.

– Tu jest wieś – odpowiada. – Jedyne rasowe psy, jakie widywałam, to psy myśliwskie, setery, spaniele, wyżły, foksteriery… Ale to zdarza się

rzadko. Dopóki zwierzę może przynieść trochę pieniędzy, ludzie go nie zostawiają, starają się sprzedać. Albo wymienić… Widział pan zdjęcia Boba na naszej stronie?

– Tak.

– To dobry pies. Czy przygarnął pan już kiedyś bezdomnego psa?

– Zawsze przygarniałem psy.

Ta odpowiedź podoba się Ninie.

– Mieszka pan w okolicy?

– Zostałem przeniesiony do La Comelle. Jestem nowym dyrektorem gimnazjum Georges’a Pereca.

Gimnazjum… Nina myśli o swoim gimnazjum, tym zburzonym. Myśli zresztą o nim bez smutku. Dla niej przeszłość to przeszłość. Przeszło, minęło.

– Ma pan jakieś inne zwierzęta?

– Starego kota. Nazywa się Radium.

– Jak reaguje na psy?

– Jest przyzwyczajony, a poza tym cały czas śpi, ma siedemnaście lat.

Nina otwiera klatkę z Bobem i prosi Romaina Grimaldiego, żeby zaczekał przed wejściem. Nigdy nie wprowadza obcych ludzi do klatek. Zwierzak podchodzi do niej, machając ogonem. Bob to mały czarny mieszaniec, prawdopodobnie foksteriera z cockerem.

– Masz gościa, staruszku! – szepcze Nina.

Pochyla się i głaszcze Boba. Pies ma sztywną sierść. Romain odzywa się do niego spod drzwi:

– Cześć, jaką masz fajną mordkę – rzuca.

Bob nie patrzy na niego. Nina wkłada psu obrożę i przypina smycz.

– Przejdziemy się, zobaczymy, jak będzie na pana reagował.

– Myśli pani, że mu się spodobam?

Nina uśmiecha się.

– Chyba tak. Bob jest nieśmiały. Nigdy nie zbliża się spontanicznie do obcych.

– Jest podobny do mojego pierwszego psa, którego dostałem, jak byłem mały. Na waszej stronie od razu wpadł mi w oko. Ile może mieć lat?

– Weterynarz mówi, że około ośmiu.

– Wie pani, skąd jest?

– Został znaleziony tu niedaleko jakieś cztery lata temu.

– Dlaczego nikt go do tej pory nie przygarnął?

– Może Bob czekał na pana.

Idą obok siebie. Nina wręcza smycz Romainowi. Wychodzą na łąkę, która przylega do schroniska. Jest to teren bezpański. Nie należy do nikogo, tak jak psy, które wyprowadza się tu codziennie na spacer.

– Mieszka pan sam? – pyta Nina.

– Sam.

– W domu czy w mieszkaniu?

– W domu z ogrodem.

– Myślał pan już, jak zorganizuje pan sobie czas, kiedy Bob z panem zamieszka?

– Będę go zabierał ze sobą do pracy.

– Do szkoły?

– Tak. Dlatego nie chcę szczeniaka. W ciągu dnia będzie w moim gabinecie, w porze posiłku wyprowadzę go na spacer, a wieczorem wrócimy razem do domu.

– Wolno panu przyprowadzać psa do szkoły?

– Tak, jeśli będzie cały czas w moim gabinecie. Przedtem byłem dyrektorem w gimnazjum w Marnes-la-Cocquette i zawsze brałem psa ze sobą.

– Jak to się stało, że pan tu przyjechał?

– Ach, potrzebowałem zmiany… Co muszę zrobić, żeby go oficjalnie adoptować?

– Trzeba wypełnić formularz i będzie pan mógł przyjść po niego jutro.

– Ile mam zapłacić?

– Bob jest stary, proszę dać tyle, ile pan uważa.

– A gdyby był młody, ile by to kosztowało?

– Czterysta euro za psa, trzysta za kota. W to wchodzi wszystko: szczepienia, sterylizacja, czip, posiłki, opieka zdrowotna…

– A nie mogę wziąć go już dziś?

– Nie mam prawa go panu dać, nie może opuścić schroniska, dopóki nie zbada go weterynarz.

Ninę rozpiera radość. Zerka kątem oka na Boba. Tak się czuje zawsze, gdy uda jej się umieścić psa w rodzinie. W końcu zwierzak znalazł dom! Opuszcza schronisko!

Na tym polega różnica między nią a zwierzętami. Ona już nigdzie stąd nie pójdzie.

*

Nina ma siedem lat. Jest czerwcowa niedziela. W radiu Jean-Jacques Goldman śpiewa *Au bout de mes rêves*. Piękna pogoda. Poprzedniego dnia wieczorem dziadek powiedział: „Jutro cię gdzieś zabiorę, to będzie niespodzianka”.

Włożyła ładną sukienkę, nowe buciki. Zaplotła warkocze i wpięła we włosy spinki w kształcie stokrotek.

Już ponad godzinę jadą niebieskim renault 5. Pierre Beau wygląda jak spiskowiec. Dokąd jedziemy? – zastanawia się Nina, która siedzi z tyłu.

– Z przodu będziesz mogła siadać, jak skończysz dziesięć lat.

Nina spostrzega pierwszą tablicę jakieś trzydzieści kilometrów przed celem podróży. Paaa… Park Przygód i Rozrywki, minizoo. Podskakuje z radości i wykrzykuje:

– Dziadku, dziadku, wiem! Zgadłam, dokąd jedziemy!

Im bliżej parku, tym więcej widać wielkich kolorowych billboardów ze zdjęciami zwierząt i karuzeli. Nina nie może usiedzieć w miejscu. Pierre Beau uśmiecha się; udała mu się niespodzianka.

W całym regionie wszyscy opowiadają o nowym parku, jakby to był raj: karuzele, mały pociąg, który obwozi po całym terenie, frytki, wata cukrowa… Zwierzęta, jakich nigdzie indziej nie można zobaczyć: hipopotamy, tygrysy, słonie, wilki, małpy, żyrafy.

Wokół Niny całe rodziny, śmiechy, trochę płaczu, marudzące dzieci. Nina z kolorowym balonem w dłoni obserwuje ludzi przypatrujących się zwierzętom. Jak zwykle trzyma się z tyłu. Przedmioty i ludzi postrzega jak przez szerokokątny obiektyw.

Rączkę trzyma w dłoni dziadka. Ręka dziadka jest jak wyspa. Ale Nina nie czuje się dobrze. Boli ją głowa, dokucza brzuch. Słabość w nogach. Czy to z powodu tych tłumów naokoło? Albo z powodu gorąca? Czy dlatego, że nie ma tu rodziców? Jej rodziców? Wszystkie dzieci wokół, które mają tyle lat co ona, spacerują z tatami i mamami.

– Mamo, mamo, patrz! – słyszy.

– Tato, tato, zobacz!

Ona nigdy nie wymówiła tych słów. Gdy widzi zwierzęta w fosach, za ogrodzeniem czy w klatkach, wszystkie wydają jej się podobne. Jakby

niewola upodabniała je do siebie, zachowują się tak samo, mają to samo spojrzenie.

Czarna pantera z maleństwem w pysku chodzi w tę i we w tę po klatce, szukając wyjścia na oczach zaciekawionych, zafascynowanych ludzi. Nie ma się gdzie ukryć, jest wydana na pastwę obcych oczu, zniewolona, zniszczona.

Nina czuje wstyd. To, co dla innych jest rozrywką, ją paraliżuje. Jest za mała, żeby zrozumieć dlaczego. Czuje tylko, że nie jest taka jak inni. Coś w niej grzmi, warczy.

Z ulgą wsiada do małego pociągu, który powoli objeżdża cały park. Zasypia oparta o dziadka, wyczerpana doznaniami, które ją męczą, odkąd przekroczyli bramy parku.

– Chcesz, żebyśmy poszli jeszcze do wilków? – pyta dziadek, biorąc ją znów za rękę.

Maleńka dłoń zatapia się w wielkiej, ciepłej, kochanej.

– Nie, nie chcę, boję się.

Kłamie. Nigdy nie bała się żadnych zwierząt.

Z ulgą znów wsiada do renault dziadka; cieszy się, że odjeżdżają.

– Podobało ci się?

– Tak, dziękuję, dziadku.

– Co ci się bardziej podobało? Żyrafy czy lwy?

– Najbardziej podobał mi się pociąg.

– Dlaczego najbardziej podobał ci się pociąg?

– Pociąg jest wolny. Jedzie tam, gdzie mu się podoba.

13

Lipiec 1988

Trójka przechodzi do drugiej gimnazjalnej. Wszyscy wybierają niemiecki jako język dodatkowy, w ten sposób są pewni, że będą razem. Muszą, muszą być razem. Niewiele osób chce się uczyć języka Goethego, jedynie kilkoro bardzo dobrych uczniów. Większość wybiera angielski dla zaawansowanych albo hiszpański.

Rodzice Étienne’a początkowo się sprzeciwiali. „Za słabo znasz ten język”. Ale oni we troje to przewidzieli i z góry przygotowali argumenty: „Niemiecki to język przyszłości; wychowawczyni mówiła, że niemiecki jest najlepszy, żeby nauczyć się etymologii; statystycznie uczniowie, którzy wybierają niemiecki, mają lepsze wyniki w pozostałych przedmiotach; to dobra motywacja, niemiecki ćwiczy wytrzymałość umysłową i fizyczną… A jeśli spotkam Claudię Schiffer, będę mógł z nią porozmawiać w jej ojczystym języku”.

Miejski basen. Dziewczęta w ich wieku przyglądają się Étienne’owi. Étienne się popisuje. Ma cały program: najpierw idzie wzdłuż dwudziestopięciometrowego basenu, potem udając, że jest bardzo skupiony, wchodzi na środkową wieżę, tę z numerem trzecim, rozciąga się i skacze idealnym ruchem, przepływa pod wodą cały basen, natychmiast wychodzi

po drabince i wraca na wieżę. Ciało ma koloru mlecznej czekolady. Jest szczupły, umięśniony. Już teraz ma metr sześćdziesiąt wzrostu.

Nina kołysze się na wodzie, leżąc na plecach, i obserwuje niebo. Kilka białych pierzastych chmurek. W myślach zbiera je razem, jak owczarek zagania owce do stada. Jest gorąco, słońce przypieka. Och, jak dobrze!

Adrien, rozmarzony, opiera się plecami o ścianę basenu. Co jakiś czas wślizguje się pod wodę, zamykając oczy.

Za dwa tygodnie Étienne pojedzie do Saint-Raphaël, znów zostaną sami, on i Nina.

– W przyszłym roku pojedziecie ze mną! – oznajmił niedawno z entuzjazmem Étienne. – Rodzice prawie się zgodzili, muszę tylko poprawić średnią o dwa punkty…

Rok, gdy ma się jedenaście, dwanaście lat, to wieczność. Ale Nina chciałaby zobaczyć morze, więc ma nadzieję, że gdy minie wieczność, wreszcie jej się to uda. Pomoże Étienne’owi w nauce, żeby jej marzenie się spełniło.

– Ależ jestem głodny! – woła Étienne, wychodząc z wody.

Idą we trójkę na taras, podkładają pod pupy serwetki, bo rozgrzany metal krzeseł parzy.

Étienne płaci za trzy porcje frytek, a potem jedzą je, maczając w keczupie.

To martwa godzina na basenie. Ci, którzy przychodzą pływać rano, dorośli i emeryci, rozeszli się do domów. Dzieci, które przychodzą po południu, nadejdą po drugiej. Zostało tylko kilkoro nastolatków, opieszale smarujących się kremami przeciwsłonecznymi i przypatrujących się sobie ukradkiem. Dziewczęta wyciągają się na leżakach i śmieją głośno, chłopcy skaczą do wody.

Ich sylwetki się zmieniły. Urośli, nabrali ciała… Kiedy Étienne i Adrien odkryli pod stanikiem kostiumu kąpielowego piersi Niny, otworzyli szeroko oczy.

– Nie boli cię to? – spytał Adrien.

– Trochę – odpowiedziała lakonicznie.

Étienne nie zareagował. On już regularnie flirtuje z dziewczętami. Ale te „przyjaźnie” nie trwają długo. Spotyka się z dziewczyną, załóżmy, przez dwa dni, pierwszego dnia wydaje się bardzo zakochany, drugiego wcale.

Nina podkochuje się w chłopaku z trzeciej gimnazjalnej, który nazywa się Gilles Besnard. Wysoki, chudy, pali i chodzi do klubów. Nina uważa, że jest podobny do Richarda Anconiny. Ale tylko ona tak uważa. Nigdy ze sobą nie rozmawiali. Najwyżej popatrują na siebie, mijając się na korytarzach gimnazjum albo w stołówce. W przyszłym roku już go tu nie będzie, pójdzie do zawodówki. Więc Nina łazi po ulicach miasta, z nadzieją, że na niego wpadnie. Sprawdza jego pocztę i pocztę jego rodziców. On nigdy nie dostaje żadnych listów, rodzice tylko jakieś mało ważne rachunki. Ninie wydaje się, że jest poszukiwaczem złota, że ta sterta sprawdzanej przez nią korespondencji jest jak piasek na sicie. Piasek. Nigdy nie trafia się cenna bryłka.

Étienne nie wie, że Nina otwiera niektóre listy roznoszone przez dziadka. Tylko Adrien to wie. Ten sekret ich łączy.

*

Kiedy Étienne wyjeżdża do Saint-Raphaël, Nina z Adrienem podkradają wiele listów i odkrywają zwykłe życie mieszkańców La Comelle i ich korespondentów. Ludzie przeważnie piszą o pogodzie i o tym, że wnuki rosną.

Zanim Nina otworzy kopertę, wdycha jej zapach, zamyka oczy i stara się odgadnąć zawarte w niej tajemnice. Po wyjęciu listu często jest zawiedziona. Ludzie zdecydowanie nie mają wyobraźni lub brakuje im miłości.

Kiedy Étienne wraca, kończą wakacje we troje: chodzą na basen, słuchają muzyki w piwnicy u Étienne’a albo spędzają czas u Niny, która ich rysuje.

Étienne jeszcze urósł. Siedzą obok siebie na brzegu dużego basenu, obojętnie patrzą na przepływających ludzi, ssąc cukierki.

Nina ściągnęła włosy gumką w koński ogon. Opalona jak co lato, oczy też ma jakby jeszcze ciemniejsze.

Adrien nienawidzi swojej bladej twarzy, która nigdy nie brązowieje, tylko różowieje, jakby ciągle był zawstydzony.

– W Saint-Raphaël przespałem się z dziewczyną – rzuca nagle Étienne.

– Naprawdę? – pyta Nina.

– Naprawdę… Czułem się jakoś dziwnie. Ona miała szesnaście lat. Położyła się na mnie, była gorąca. To znaczy jej ciało było gorące jak wtedy, kiedy ma się wysoką gorączkę. Właściwie oparzyła mnie, ale zamknąłem oczy i mimo wszystko się z nią przespałem.

– Było fajnie?

– Było mokro… i trochę śmierdziało.

Śmieją się. Mieszanka zażenowania, zainteresowania, łapczywej ciekawości. Padają nerwowe pytania.

– Gdzie to zrobiłeś? – pyta Adrien.

– W cipce.

Chichoczą głupio.

– Ja się pytam, gdzie byliście, w łóżku, u ciebie?

– No, nie… Na plaży, jak wszyscy.

– Przy wszystkich?! – wykrzykuje Nina.

– Nieee… To było w nocy. Na plaży już nikogo nie było.

– Zakochałeś się?

– Nieee.

– No to dlaczego to zrobiłeś?

– Kiedyś trzeba to zrobić… W ten sposób nie jestem już prawiczkiem.

– Jak ona ma na imię?

– Cynthia.

– Jak jakaś aktorka… Od dawna ją znasz?

– Od małego. Co roku ją tam widuję.

– A ona jest w tobie zakochana?

– Nie wiem.

Zapada milczenie. Zamyślają się. Nina przerywa w końcu tę niezręczną ciszę.

– Ja to zrobię dopiero, jak się zakocham.

– Ty jesteś dziewczyną, to nie to samo – mówi Étienne.

– Dlaczego? – pyta Adrien.

– Bo dziewczyny są romantyczne. Zwłaszcza Nina.

– Miała orgazm? – pyta Nina.

Étienne się czerwieni. Pierwszy raz rozmawiają o seksie. Pierwszy raz Nina pyta tak prosto z mostu, co nawet im wydaje się brutalne.

– Właściwie nie wiem… Oddychała bardzo głośno.

Wszyscy wybuchają śmiechem. To śmiech dzieci, które już nie chcą być dziećmi. Ale dzieciństwa w sumie szkoda…

Ciastka, słodycze i przyszłość. Dziecinne głupstwa i mutacja. Dźwięk szprych rowerowych i marzenia o śmiganiu na motocyklu.

14

11 grudnia 2017

Nina parkuje samochód przed schroniskiem. Wita się z dwojgiem wolontariuszy, którzy czekają pod bramą. Joseph i Simone.

Joseph był robotnikiem, jest na emeryturze. Niski człowieczek z czerwoną twarzą, który nie wyjmuje z ust zgaszonego papierosa. Sam je skręca. Czasem je zapala. Simone straciła syna w wypadku samochodowym. Gdyby nie miała psów, nie wychodziła z nimi codziennie na spacer, pewnie by się zabiła. Te smycze, które ściska w dłoni, pozwalają jej nie upaść. Porzucone zwierzęta są dla niej jak laska dla niewidomego.

Nina, odkąd tu pracuje, widziała wielu wolontariuszy. Przychodzą, odchodzą. Wielobarwny, różnorodny tłum. Murarze, pielęgniarki, kobiety z mieszczańskich domów, wdowcy, ludzie starzy i młodzi, tacy trochę skrzywdzeni przez życie. Zbyt wrażliwe samotne dusze, którym pomaga żyć czyszczenie boksów, reperowanie osiatkowania, kontakt z innymi i rozmowy przy ciepłej kawie, naprawianie dachów klatek i tak dalej… Wszystko to terapia. Pewnego dnia odchodzą, bo czują się lepiej albo przeprowadzają się czy zakładają rodzinę. Oznajmiają, że nie dają rady, że to za późno, i znikają tak szybko, jak się pojawili.

Dziś rano przychodzi Romain Grimaldi. Dziś rano Bob opuszcza schronisko.

Za każdym razem, gdy kot czy pies znajduje rodzinę, wszyscy w schronisku po cichu świętują. Dni adopcji to dni specjalne. Jedno oko płacze na myśl o rozstaniu ze zwierzęciem, do którego człowiek się przywiązał i z którym musi się pożegnać, drugie śmieje się z radości, że tułaczka zwierzaka dobiegła końca. Bob nie jest już bezdomny. Co za ulga! Dzięki adopcjom człowiek się trzyma, to taki życiowy Tetris.

Romain Grimaldi czeka na Ninę przed drzwiami jej gabinetu. Ściskają sobie dłonie i wchodzą do środka. On wciąż tak przyjemnie pachnie, myśli Nina. Bardzo lubi jego zapach. Podobnie pachniał jej mąż na samym początku małżeństwa. Zmysły tak wiele znaczą.

– Przygotowałam dokumenty. Za miesiąc Bob będzie już oficjalnie należał do pana – mówi Nina.

– Nie od dzisiaj?

– Ma pan miesiąc, żeby się ewentualnie wycofać.

– Nie widzę powodu.

– Nigdy nie wiadomo. Adopcja jest jak małżeństwo. Czasem już w pierwszym roku człowiek ma ochotę się rozwieść.

– To się często zdarza?

– Nie, nie często. Ale bywa, że ludzie zwracają psa, bo nie spełnia ich oczekiwań.

Do pokoju wchodzi Simone z Bobem. Wita się z Romainem, rzuca cicho:

– To dobry pies, niech się pan nim zaopiekuje, jak należy! – Podaje mu smycz i znika za drzwiami.

Dawniej Simone olewała zwierzęta. Nie krzywdziła ich, co to, to nie, ale ich po prostu nie dostrzegała.

Dwa dni przed pogrzebem syna Érica musiała wejść do jego pokoju po ubrania, o które poprosił zakład pogrzebowy, i stanęła nos w nos ze starą suczką. Okazało się, że Éric przygarnął ją, nikomu o tym nie mówiąc. Simone uświadomiła sobie, że syn przez całe dzieciństwo marzył o psie, a ona nie pozwalała mu spełnić tego marzenia. Popatrzyły sobie z suczką w oczy. Cierpienie Simone odbiło się w oczach psa. Suczka zrozumiała, że jej pan nigdy nie wróci. Pocieszając ją, Simone pocieszała siebie. Wzięła zwierzę na ręce, przytuliła i już nigdy się z nim nie rozstała. Kiedy oddało ducha, kiedy weterynarz stwierdził, że już nic więcej nie można zrobić, Simone poszła do Niny. „Muszę wyprowadzać psy na spacer", powiedziała. Nina przyjęła ją od razu, tego samego dnia. Znała Simone z widzenia. Wiedziała o śmierci Érica, z którym chodziła do liceum, po jego pogrzebie widywała Simone z suczką, zawsze razem, zjawę, która oprowadzała psa po ulicach La Comelle, jakby spacerowała ze swoim smutkiem. Nina rozumiała jej potrzebę pracy w schronisku, jeszcze jedna ofiara losu. To nie będzie łatwe, zwierzęta chorują, starzeją się, umierają, ale nie miała wyboru. Nie mogła odmówić. Nie mogła jej spławić, odesłać do domu. Jakoś sobie dadzą radę!

– Podziwiam panią – odezwał się Romain do Niny, podpisując papiery.

– A ja podziwiam pana. Nie jest łatwo kierować gimnazjum.

– Uczniowie to nie problem, problemem są ich rodzice.

Nina uśmiechnęła się. Romain wypełnił czek.

– Nie musi pan – powiedziała.

– Wiem.

– Dziękuję w ich imieniu.

Romain zabiera Boba, idzie do samochodu. Otwiera drzwi od strony pasażera i sadza psa na przednim fotelu.

– Dam pani znać, jak nam idzie – mówi.

Nina robi telefonem zdjęcie Boba. Macha na pożegnanie i gdy samochód znika za rogiem, stoi jeszcze chwilę w zapachu spalin i mokrego psa.

Potem wraca do biura, uruchamia komputer i wrzuca na stronę schroniska zdjęcie Boba, które właśnie zrobiła. Podpisuje: BOB ZNALAZŁ DOM! Z boku umieszcza serduszko.

15

10 listopada 1989

No, cała trójka jest w trzeciej gimnazjalnej. Pierwsza lekcja. Siedzą tak samo jak w klasie Py’ego. Nina obok Étienne’a, Adrien za nią, obserwuje jej kark. Właśnie obcięła włosy. Wygląda trochę jak chłopiec i Adrienowi się to nie podoba. Nina zaczyna malować oczy, niezdarna kreska pod dolną powieką podkreśla jej mroczne spojrzenie. Étienne mówi, że wygląda, jakby była niedomyta. Na co ona odpowiada: „Bardzo śmieszne”.

Profesor Schneider, nauczyciel niemieckiego, wchodzi do klasy poruszony. Coś się wydarzyło. Od razu wszyscy cichną i patrzą na niego. Schneider zazwyczaj zachowuje się z rezerwą, ma głowę wtuloną w ramiona, jakby ktoś wbijał ją miarowo młotkiem w niezgrabne i sztywne ciało, żeby znikła. Mówi zawsze po cichu i zanudza kolejne pokolenia uczniów od ponad dwudziestu lat. Nie zdejmuje plecaka, jakby właśnie wyjeżdżał i tylko wpadł do klasy, żeby się pożegnać.

– *Eins, zwei, drei, die Mutter ist in der Küche*…

Zwykle, gdy wchodzi do klasy, nikt nie przestaje gadać. Ale tego ranka jest inaczej. Nina myśli nawet, że się napił, tak mu błyszczą oczy. Nauczyciel ściąga plecak i otwierając go, zrzuca książki z biurka na

podłogę. Klasa wybucha śmiechem. Mała klasa, bo tylko piętnaście osób wybrało niemiecki; druga i trzecia gimnazjalna siedzą tu razem.

Profesor Schneider podchodzi do tablicy, robi głęboki wdech i odzywa się uroczyście:

– *Meine lieben Kinder, ich habe gute Nachrichten, eine Nachricht, die das Gesicht der Welt verändern wird: die Berliner Mauer ist gefallen.*

Nikt nie reaguje. Pewnie nikt nie rozumie ani słowa z jego przemowy. Po raz pierwszy zwraca się do nich po niemiecku bez związku z lekcją.

Ale to, co się dzieje potem, zapiera uczniom dech w piersiach i wydaje się snem. Profesor Schneider wyjmuje z plecaka cztery butelki szampana. Śmiejąc się i pokrzykując wesoło, otwiera jedną po drugiej. Jego radosne szaleństwo sprawia, że uczniowie czują się niepewnie, bo chociaż nienawidzą szkolnej dyscypliny, ma ona jednak działanie uspokajające. Schneider ustawia na biurku plastikowe kubeczki i napełnia je, wykrzykując:

– *Lang lebe die Freiheit!*

Jest dziesięć po dziewiątej, wszyscy częstują się szampanem. Profesor Schneider radośnie stuka się kubkiem z każdym uczniem.

Koniec z murem wstydu, mówi, Niemcy znów są jednym krajem. To historyczne wydarzenie, niewiarygodne, cudowne, niespodziewane! Uczniowie zaczynają powoli rozumieć, że to upadek muru berlińskiego wprowadził nauczyciela w taki trans. Schneider zaczyna opowiadać, szybko i ze łzami w oczach, jak wiele osób zabito, gdy próbowały przejść przez ten mur. Nina pyta, czy profesor ma tam rodzinę i po której stronie. On ze smutkiem odpowiada, że jego rodzice znaleźli się po stronie wschodniej.

Po dwóch wychylonych duszkiem kubkach szampana nauczyciel rusza na korytarz, wpada bez pukania do innych klas, zapraszając profesorów i uczniów do wspólnego świętowania. O dziesiątej rano na trzecim piętrze

budynku gimnazjum Charles-Baudelaire ponad dwieście osób słucha *African Reggae* Niny Hagen. Niektórzy tańczą. Pan Schneider puścił kasetę z magnetofonu, którego używa zazwyczaj podczas lekcji gramatyki. Jak tylko piosenka się kończy, cofa taśmę, żeby puścić ją jeszcze raz. Tańczy, poruszając biodrami, i wykrzykuje wciąż te same słowa: *Lang lebe die Freiheit!*

Podchodzi do każdego chłopca, do każdej dziewczynki i wszystkich zaprasza do tańca.

Étienne stwierdza, że po raz pierwszy w szkole dzieje się coś ciekawego. I że zawsze tak powinno być. Że wszystkie mury świata powinny upaść.

Uczniowie nigdy nie przypuszczali, że profesor od niemieckiego może słuchać Niny Hagen, a tym bardziej, że w ogóle ma w sobie choć odrobinę fantazji.

Tego ranka Adrien uświadamia sobie, że poczucie wolności wywołuje bezgraniczną radość, że potrafi zmienić zachowanie i wygląd ludzi.

Wieczorem, oglądając dziennik telewizyjny, siedzi obok matki, która ściska w dłoniach chusteczkę do nosa i wyciera oczy, gdy emocje są zbyt silne. Widzi sceny oglądane przez cały świat: płaczący ze wzruszenia Niemcy, rodziny złączone po latach, dziewczęta rzucające się na szyję wartownikom, symboliczne uderzenia młotków, fragmenty rozpadającego się muru, tłum, kawałki betonu, które ludzie chowają do kieszeni na pamiątkę.

Adrien zastanawia się nad własnym murem, tym, którym się oddziela, za którym się schował, gdy tylko zaczął oddychać. Jak wysoki jest ten mur?

16

11 grudnia 2017

Zniknęło. Zostaną po nim tylko zdjęcia w archiwach i fotografie klasowe w rodzinnych szafach.

Gimnazjum Vieux-Colombier przestało istnieć. Miejsce po nim to ziemia jałowa. Traktory zbierają zwalony beton. Żegnaj, Prévercie, Baudelairze, Verlainie, żegnaj, Victorze Hugo. Merostwo postawiło już tablice, które informują, że w 2020 roku zostanie tu wybudowany dom seniora i że jeśli ktoś chce zarezerwować w nim mieszkanie, powinien się zgłosić do takiej a takiej agencji.

Zastanawiam się, co pomyślała Nina na widok zburzonego gimnazjum. Przecież codziennie przechodziła koło niego, zmierzając do schroniska, bo nie ma innej drogi. Pewnie nic, zawsze nienawidziła nostalgii.

Nigdy na nią nie wpadam, gdy robię zakupy, ale czasem widzę ją za kierownicą citroëna kombi oklejonego z każdej strony nalepkami TONZ – Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Wydaje się maleńka, gdy siedzi za ogromną kierownicą. Zawsze zamyślona, sprawia wrażenie, jakby nie istnieli dla niej przechodnie i kierowcy, których mija.

Czy wie, że wróciłam? Że znów tu mieszkam? Czy zauważyła moje artykuły w lokalnej gazecie? Czy w ogóle przeczytała choć jeden?

Dziś wieczorem miejsce po gimnazjum wygląda jak to jezioro, które fotografowałam tydzień temu. Nie wiadomo, co widać w obiektywie: ziemię czy wodę. Wszystko zamarło. Zastygło w niepamięci. Kształty drzew, drżących, nagich, które wydają się stać jeszcze na przekór wszystkiemu, jak duchy. Ponura mżawka, lodowaty mrok, który widzę w paśmie świateł samochodu. Jakby dzień zastrajkował, postanowił już nigdy nie nadejść.

Wracam z konferencji prasowej w Mâcon. Prokurator potwierdził, że w twingo wyłowionym przez żandarmerię z tak zwanego Leśnego Stawu znaleziono szkielet. Samochód zidentyfikowano dzięki tablicom rejestracyjnym. Został skradziony państwu Desnos siedemnastego kwietnia 1994 roku wczesnym popołudniem sprzed ich domu w gminie La Comelle. Jest prawie pewne, że wrak, w którym znaleziono ciało, przebywał w wodzie od tamtej pory, to znaczy dwadzieścia trzy lata.

Identyfikacja ciała będzie długa i skomplikowana, biorąc pod uwagę stan kości, z których należy wyodrębnić DNA, żeby porównać je z próbkami pozyskanymi od rodzin osób zaginionych w tamtym czasie w okolicy.

Twingo pełne błota znajdowało się na głębokości siedmiu metrów. Brygada wodna, korzystając z sonaru, kontynuuje poszukiwania wszystkich ewentualnych przedmiotów związanych z ofiarą.

Jeśli jest to Clotilde Marais, to czy odkryje się jej tajemnicę? Tę tajemnicę, którą podobno zna tylko trójka – Nina, Adrien i Étienne.

Przypominam sobie młodzieńcze lata, jak puszczaliśmy tam kaczki w letnie wieczory i siedzieliśmy na brzegu, paląc trawkę. Piło się z gwinta wszystko, co wpadło w ręce, co wyniosło się z domu: martini czyjegoś ojca, wódkę babci czy whisky brata. Étienne przynosił magnetofon. Nagrywał

kasety, miksując wszystkie style muzyki. Za nami leżały rzucone na ziemię rowery. Czekały, aż skończymy wygłupy, żeby nas zawieźć do domów.

17

20 kwietnia 1990

Na parterze trzecia gimnazjalna obchodzi urodziny Adriena; rodzice Étienne’a udostępnili z tej okazji swój wielki salon.

Nina zamknęła się w łazience państwa Beaulieu. Przyciągnęły ją tutaj kuszący zapach perfum, który poczuła, wychodząc z sąsiedniej toalety, i słońce, którego promienie prześwitują przez okno i odbijają się od podłogi.

W całym domu ryczy muzyka, ściany się trzęsą.

Nina nuci melodię *Lullaby* do wtóru Robertowi Smithowi. Wącha kremy do ciała, płyn do kąpieli ustawiony na brzegu wielkiej wanny, kolorowe mydła. Otwiera pierwszą szafkę, na półkach znajduje kosmetyczki pełne przyborów do makijażu, pęsety do depilacji i lekarstwa. Lubi grzebać w cudzych rzeczach, szukać, odkrywać drugą stronę medalu. W jej oczach te szafy są pełne sekretów, jak listy, które wykrada z torby dziadka.

Podskakuje przestraszona. Wydało jej się, że ktoś za nią stoi, tymczasem to tylko jej odbicie w lustrze do podłogi. Widzi swoją niezgrabną sylwetkę, jest zgarbiona. Prostuje plecy. Wciąga brzuch. Długie ręce, drobne ciało. Przesuwa dłonią po krótkich włosach, które

przetłuszczają się w ciągu kilku godzin po umyciu, patrzy na swoją ciemną cerę, krostki, na pozbawioną wdzięku twarz nastolatki. Wygląda jak chłopak i to się jej nie podoba. Gdyby miała długie włosy, wyglądałaby jak dziewczyna i też by się sobie nie podobała. Otwiera usta jak do uśmiechu, żeby zobaczyć aparat ortodontyczny. Dlaczego jest się tak brzydkim, gdy ma się trzynaście lat? Co to za twarz, co to za dziewczyna, kto to jest? Nina ma nadzieję, że z czasem zmieni się na lepsze. Jeśli nie, to katastrofa.

Odrywa się od lustra i wraca do przeszukiwania pomieszczenia. Ogromna rodzinna łazienka państwa Beaulieu jest chyba głównie królestwem Marie-Laure, matki Étienne'a. Tyle flakonów z perfumami… Niektóre wyglądają na puste od dawna. Jakby wcześniej należały do innych kobiet.

Ninie przychodzi do głowy pewien pomysł.

Idzie po schodach na dół do kuchni. Drzwi są zamknięte. Naciska klamkę i wpada prosto na Marie-Laure i Joséphine. Matki Étienne'a i Adriena siedzą przy stole i rozmawiają, pijąc herbatę. Nina uważa je za tak bardzo różne, że nawet nie potrafiła ich sobie wyobrazić razem w jednym miejscu.

– Dlaczego nie jesteś ze wszystkimi? – dziwi się Joséphine. – Czegoś wam brakuje?

– Nie… – odpowiada Nina.

Brakuje kogoś, i nie nam, ale w tej kuchni, brakuje mojej mamy, myśli.

Marion powinna siedzieć tu z nimi i pogryzać kruche ciasteczka, czekając, aż zakończy się przyjęcie dla dzieci.

Nina spogląda na Marie-Laure, która uśmiecha się do niej miło.

– No jak tam, Ninko, jedziesz z nami do Saint-Raphäel tego lata? Étienne wciąż mi o tym przypomina!

– Adrien też mówi tylko o tym – dodaje Joséphine.

Morze jest już blisko, myśli Nina. Morze jest już blisko… Uśmiecha się. Dzięki niej i Adrienowi Étienne poprawił średnią. Są już blisko, bliziutko biletu na pociąg do krainy szczęścia.

– Tak, tak… Bardzo bym chciała – mówi. – Ale… Zastanawiam się… czy może pani znała moją mamę, Marion Beau?

Marie-Laure odpowiada bez namysłu:

– Tak, chodziłam z nią do podstawówki. Chyba byłyśmy razem na początku… I potem w gimnazjum też, przez dwie klasy.

Nina patrzy dłuższą chwilę na Marie-Laure. Dlaczego wcześniej jej o to nie spytała?

– Jaka ona była? – pyta w końcu.

– Marion była zabawna… miła… usta jej się nie zamykały.

– Jestem do niej podobna?

– O ile ją pamiętam, to nie bardzo. Była blondynką, miała jasne włosy wpadające trochę w rudy. I chyba zielone oczy… Nie masz zdjęcia mamy?

– Nie. Żadnego. – Nina się niecierpliwi. Chciałaby zadać matce Étienne’a tysiąc pytań, ale nie wie, od czego zacząć. – No ale jaka ona była?

– Bardzo miła. Zmieniła się po śmierci twojej babci. Zamknęła się w sobie.

– Może zostawię was same, żebyście sobie porozmawiały? – proponuje Joséphine.

– Nie, nie trzeba – rzuca Nina sucho, zmuszając się do takiej reakcji. – Bardzo dziękuję! Wracam na przyjęcie!

Odwraca się i wychodzi. Do oczu napływają jej łzy. Dlaczego jest aż tak wrażliwa? Gdy tylko czuje duszność lub gdy ktoś zaczyna mówić o jej mamie, traci głowę. Traci punkty odniesienia. Traci matkę. Traci ojca.

Napisała taki tekst piosenki: *traci ojca, traci matkę szmatkę, ojca śmojca*… Debilna piosenka.

Marion zamknęła się w sobie po śmierci Odile, powiedziała Marie-Laure Beaulieu. Gdyby Nina mogła porozmawiać o tym z dziadkiem… Ale nie ma śmiałości. Zbyt bolesny temat.

Wraca do salonu. Adrien siedzi na krześle z nieobecnym wyrazem twarzy. Wszyscy inni tańczą w rytm *Charlotte Sometimes*. Adrien przytomnieje, wyczuwając obecność Niny. Rozpoznaje zapach olejku waniliowego, którym Nina perfumuje się od kilku miesięcy. Spogląda na nią. Musi przekrzyczeć muzykę, żeby go usłyszała.

– Co się dzieje? Płakałaś? – pyta.

– Mama Étienne’a… znała moją mamę.

– Wygląda na to, że tutaj wszyscy się znają.

– A ty gdzie mieszkałeś przedtem… to znaczy zanim wylądowałeś w La Comelle? – pyta Nina.

– W Clermont-Ferrand.

– Jak to się stało, że tu przyjechałeś? Nigdy mi nie mówiłeś.

Adrien wzrusza ramionami.

– Bo wiedziałem, że ty tutaj mieszkasz.

Nina uśmiecha się.

– Czy myślisz, że życie czasem coś zwraca, gdy wie, że za dużo odebrało?

– Co?

– Na przykład moja mama mnie zostawiła. A nawet kotki płaczą, gdy im się odbierze kocięta.

– Może twoja mama też płakała.

– Nie sądzę. Przecież mogła po mnie wrócić. Ale przynajmniej ty tutaj jesteś. Jakby życie zwróciło część tego, co mi zabrało, kiedy byłam mała. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Rozumiem – odpowiada Adrien.

Adrien często zaciska gardło, żeby powstrzymać łzy. Są jak podziemna rzeka, którą widział w grocie de Labeil, gdy był na wakacjach z matką. Woda, która nie wypływa na powierzchnię.

– Nigdy mnie nie opuścisz? – pyta Nina.

– Nigdy.

– Przysięgasz?

– Przysięgam.

– Będziesz zawsze przy mnie?

– Zawsze.

Podchodzi Étienne. Nie za bardzo lubi, kiedy tamci tak długo są razem, a on nie wie, o czym rozmawiają.

– Co tak siedzicie? Chodźcie tańczyć.

Nina idzie za nim. Adrien nie wstaje z krzesła. Jest szczęśliwy. Patrzenie na nich sprawia mu przyjemność.

Nagle czuje, jakby za plecami przepłynął mu prąd. To matka.

– Wszystko dobrze, kochanie? Dobrze się bawisz?

– Tak.

– Nie tańczysz?

– Och, mamo, daj spokój.

Odwraca się, ale matki już nie ma. Znów myśli o pytaniu Niny: dlaczego przyjechali do La Comelle? Któregoś ranka matka oznajmiła, że wyjeżdżają. Że ona zmienia pracę, idzie do innego żłobka, opiekować się innymi dziećmi. Że przeprowadzają się sto pięćdziesiąt kilometrów dalej,

do Saony i Loary. W ogóle go to wtedy nie obeszło. W Clermont właściwie nie miał przyjaciół.

Dopóki nie spotkał Niny i Étienne’a, Adrienowi wydawało się, że jest jak toner do drukarki, w którym skończył się tusz – drukarka pracuje, ale papier wychodzi biały. Zawsze miał wrażenie, że urodził się bezbarwny, przezroczysty. Dopiero Nina i Étienne przywrócili mu pięć zmysłów. I oddech. I nadzieję. Oto dlaczego jest z nimi tak związany.

Światła gasną, ktoś wyłącza muzykę. Joséphine i Marie-Laure zgodnym chórem anonsują, że prezent urodzinowy czeka na solenizanta w piwnicy. Okazuje się, że to syntezator. Taki sam jak Étienne’a, żeby mogli razem grać. Marie-Laure dodaje, że Adrien może do nich przychodzić, kiedy mu się podoba. Jak zwykle zresztą.

Syntezator… Adrien jest wzruszony. Marzył o nim.

Wszyscy śpiewają *Sto lat*.

Tort, a na nim czternaście migoczących świeczek. Nina krzyczy, żeby pomyślał o tym, o czym marzy. Adrien zamyka oczy. Zawsze marzy o tym samym.

18

11 grudnia 2017

Samochód leżał na dnie jeziora przez dwadzieścia trzy lata. Étienne kilka razy czyta artykuł na ekranie komputera.

Czuje ulgę. Mimo tragicznych okoliczności prawie się uśmiecha. Czyli nie zwariowałem, myśli.

Siedemnasty sierpnia 1994 roku. Skradziony samochód. Ciało w środku. Jeśli to Clotilde, co tam robiła? Może ktoś po nią przyjechał? Ale kto?

Nie, niemożliwe, to zwykły zbieg okoliczności, przypadek.

Dlaczego to wspomnienie wraca po tylu latach? Czy to ma sens? Na kilka dni przed wyjazdem do rodziców na Boże Narodzenie?

Dlaczego znajomy z żandarmerii w La Comelle nie poinformował go o tym? A Adrien i Nina… czy wiedzą?

Oczywiście, że wiedzą.

Tak dawno ich nie widział.

Zdarza mu się, że wykręca numer schroniska i rozłącza się, zanim ktoś odbierze. Czasem też dzwoni nocą, tylko po to, żeby usłyszeć głos Niny nagrany na automatycznej sekretarce: „Schronisko jest otwarte od

poniedziałku do piątku od dziewiątej do dwunastej i od czternastej do osiemnastej. W sobotę od dziewiątej do dwunastej. W pilnych przypadkach proszę kontaktować się z odpowiednim oddziałem straży miejskiej, telefon…”.

Ma niski głos, jedyny w swoim rodzaju. Głos palaczki, która nigdy nie paliła, jak trafnie określał to Adrien.

Brakuje mu ich.

Może brakuje mu też młodości, która umyka? Którą chciałby zatrzymać?

Ostatni raz widział Ninę w 2003 roku. Od tamtego czasu nie rozmawiali ze sobą.

Obiecywali sobie wieczność. Zawarli pakt krwi, kiedy byli w pierwszej gimnazjalnej, ukłuli się w palce i zmieszali lśniące krople. Na śmierć i życie… Dziecinada.

Étienne bierze do ręki gitarę i gra kilka akordów. Żona i syn śpią. Lubi te wieczorne godziny, tę samotność, gdy miasto odpoczywa. Muzyka w słuchawkach. Zmyć brud dnia. Poszukać koncertów na YouTubie. Pooglądać filmiki na Facebooku. Mógłby tam zaczepić Ninę: *Cześć, co słychać?* Znajoma z Facebooka. Wystarczyłoby wejść na jej profil i kliknąć w DODAJ DO ZNAJOMYCH.

Ale za każdym razem się wycofuje. Czego się boi?

Gdyby odpowiedziała, napisała: *Cześć, a u ciebie?*, co by jej odpowiedział? Niesamowite…

Nagle krzywi się, czując promieniujący, ostry ból w plecach. Bierze silny środek przeciwzapalny. Dostępny tylko na receptę. Całkiem praktyczne mieć lekarza w rodzinie, myśli.

Wraca do komputera i wpisuje w wyszukiwarkę słowa: *Leśny Staw, La Comelle, odnaleziony samochód*.

19

21 kwietnia 1990

Nina siedzi w swoim pokoju i rozmyśla o wczorajszych wydarzeniach. Urodziny Adriena. Syntezator. Słowa Marie-Laure: *Marion była zabawna, miła… usta jej się nie zamykały… Była blondynką, miała jasne włosy wpadające trochę w rudy… Zmieniła się po śmierci twojej babci. Zamknęła się w sobie.*

Słyszy, jak ktoś otwiera bramę przed domem. Rozpoznaje ciężki krok Étienne'a, trzask kółek deskorolki stawianej na ganku. Skoro Paola nie szczeka, to znaczy, że zna tego, kto wkroczył na jej teren.

To wyrywa Ninę z zamyślenia. Chowa otwarty list pod poduszkę. Zaintrygowało ją, gdy grzebała w torbie dziadka, że nazwisko i adres odbiorcy ułożono z liter wyciętych z gazety. Jak w starym filmie Clouzota *Kruk*.

Wsunęła kopertę do kieszeni, gdy Pierre Beau był odwrócony plecami. Potem kilka razy przeczytała list:

JEAN-LUC TY GŁÓPI STARY CAPIE WSTYDZIE LEPSZYCH DZIELNIC ZDEHNIEŻ TO TFUJ OSTATNI ROK WSZYSCY BEDOM MYŚLEĆ ŻE TO WYPADEK NIKT NIE BEDZIE

FIEDZIAŁ TYKO TY CO ZROBIŁEŚ I ZA CO PŁACISZ WYPIERDOLIMY TFOJOM RZONE

Ninę zaszokowało tyle nienawiści. Po raz pierwszy postanowiła spalić list. Nie wrzuci go z powrotem dziadkowi do torby.

A może powinna iść na policję? Nie, aresztowaliby ją, a dziadka wyrzucili z pracy na poczcie… A gdyby znaleziono jej odciski palców na kopercie i oskarżono ją? Tylko co będzie, jeśli zniszczy list, a to są prawdziwe groźby? I coś się stanie adresatowi? Jean-Luc Morand. Kto to jest Jean-Luc Morand, place Charles-de-Gaulle 12, La Comelle?

Zastanawiając się nad tym, schodzi przywitać się z Étienne'em. Étienne chce zostać policjantem, przypomina sobie, wpuszczając go. Może go zapytać?

Chłopak ma dziwną minę. Jak zwykle obejmuje Ninę na przywitanie, pyta, co słychać, mówi, że coś dla niej ma. Nina zapomina o anonimie.

– Ale zanim ci to pokażę, musisz wziąć ventolin! – ostrzega.

– Dlaczego? – pyta Nina.

– Bo już ja cię znam.

– Ale…

– Lekarstwo! – rozkazuje Étienne.

Nina przewraca oczami i idzie do pokoju po inhalator. Czasem Étienne tak ją denerwuje, że ma ochotę go zabić. Nie pokaże mu listu! Rozkazywać mu się zachciało!

Wraca na dół, Étienne jest w kuchni. Nalewa sobie do szklanki wody z kranu, plecak położył na stole.

Étienne zmienia się z dnia na dzień. Najszybciej rośnie z ich trójki. Nad górną wargą pojawił mu się meszek, którego nie lubi, więc goli go co rano. Nie ma pryszczy, w przeciwieństwie do Adriena. A jeśli na nieszczęście

pojawi mu się na twarzy zaczerwienienie, jakaś niedoskonałość, Étienne natychmiast to likwiduje rozmaitymi płynami i maściami. Bez przerwy przegląda się w lustrze. Głos zaczął mu się zmieniać. Wygląda na siedemnaście lat, chociaż jeszcze nie ma czternastu.

Nina wdycha ventolin, patrząc na niego.

Étienne wyjmuje z plecaka kopertę z trzema zdjęciami.

– Mama mi dała – mówi. – To dla ciebie. Odnalazła zdjęcia twojej mamy.

Nina patrzy na czarno-białą fotografię klasową. Dziewczynki w szkolnych fartuszkach. Ta w środku trzyma tabliczkę z napisem: *Szkoła im. Dantona, 1966/1967*. Nina wytęża wzrok, bo grupa jest bardzo duża. Zanim zacznie szukać mamy, bierze do ręki dwa pozostałe zdjęcia, które wydają się nowsze. Są prawie identyczne. Siedem uczennic stoi obok siebie; pozują, uśmiechając się. Z tyłu zdjęcia napis: *Opactwo Cluny 1973*. Na zdjęciu widać, że wieje wiatr; dziewczęta przytrzymują włosy i mrużą oczy na słońcu.

– Mama mówiła, że to było podczas wycieczki szkolnej w gimnazjum.

Étienne wskazuje dwie osoby.

– To moja mama, a twoja jest zaraz obok.

Nina pochyla się nad zdjęciem piętnastoletniej dziewczyny. Duch z jasnymi oczami. Marion Beau uśmiecha się… chyba ma lekki przodozgryz; włosy związała w koński ogon. Krótka spódniczka, sweter i białe skarpetki. Nina przygląda się też Marie-Laure, która stoi obok. Ta sama twarz co dziś, mimo dziecięcych rysów.

– Jesteś pewien, że to Marion? – szepcze Nina.

– Tak. Ta w białych skarpetkach.

– Nie jestem do niej podobna.

– Zupełnie nie.

– No to do kogo jestem podobna?

– Pewnie do ojca. Możesz zatrzymać te zdjęcia. Mama ci je daje.

– Mam to gdzieś. Porzuciła mnie.

Étienne czuje się niezręcznie. Czasem Nina dziwnie się zachowuje. Nieprzewidywalnie. Przecież sama pytała jego mamę, czy znała Marion, a teraz nagle ma to gdzieś! Ach, dziewczyny są takie skomplikowane!

– Co dziś robisz? – pyta, żeby zmienić temat.

– Nie wiem. Trochę się pouczę. Adrien czeka na nas u siebie o czwartej, mamy oglądać film. Zostaniesz i pójdziemy razem?

– Nie, spotkamy się u niego.

Étienne z ulgą wychodzi. Nie domyka za sobą drzwi. Przeciąg. Trzy zdjęcia zostawione na stole spadają na podłogę.

Nina zamyka za nim, podnosi zdjęcia i idzie na górę do swojego pokoju.

*

Nazajutrz jest dzień prania. Pierre Beau pracuje dopiero po południu. Zdejmuje pościel z łóżka, otwiera okno. Powiew wiatru na ogołoconym materacu. Potem idzie do pokoju wnuczki. Zwykle puka, ale teraz Nina jest w szkole.

Na podłodze sterta ubrań rzuconych byle jak, zmieszane czyste i brudne. Na stercie śpią dwa koty. Jeden na widok dziadka przeciąga się leniwie. Puste kubki po kakao. Piramidy podręczników i zeszytów. Setki rysunków ołówkiem leżących na podłodze, w kartonowych pudłach, niektóre przyczepione nad biurkiem. Głównie szkice zwierząt i obu przyjaciół wnuczki. Nina tak dobrze rysuje! Może kiedyś zdobędzie sławę i ludzie będą sobie wyrywali jej dzieła!

Na razie jednak trzeba tu zrobić porządek. Pierre Beau wzdycha. Niełatwo samemu wychowywać dziewczynkę. Myśli o żonie, Odile. Gdyby jeszcze żyła, nie byłoby całego tego bałaganu. Wszystko wyglądałoby inaczej.

Na ścianach przypięte pinezkami plakaty, jedne obok drugich. Indochine, The Cure, Depeche Mode. Odile lubiła tylko Joe Dassina. Pierre był nawet o niego zazdrosny. Po śmierci żony nie wyrzucił jego płyt, mógł je oddać, ale myśl, że będzie ich słuchał kto inny, była nieznośna. Pięć lat po Odile umarł Joe Dassin. Pierre pomyślał: Spotkają się tam na górze. Teraz już naprawdę ją utraciłem. Nie mógłbym z nim konkurować.

Gdybyś nie istniała
*Po co ja miałbym istnieć…**

On przynajmniej był zawsze porządnie uczesany i elegancki. Nosił białe garnitury. Nie jak te małpiszony, których wizerunkami Nina obkleja ściany swojego pokoju. Włosy sterczące jak druty i niezgrabny chód. Faceci, którzy się malują, tego jeszcze nie było! Dziwne czasy.

Któregoś dnia rodzice Odile wprowadzili się do domu naprzeciwko. Pierre, żeby z nią porozmawiać, postanowił ukraść jej rower i przyprowadzić go w następną sobotę jako znaleziony. Chował go przez trzy dni. „Dzień dobry, to chyba twój rower, znalazłem go tam dalej, stał oparty o ogrodzenie”. Odile udała, że mu wierzy. Pobrali się, mając po siedemnaście lat. Z ich związku urodziła się Marion. Nie mieli więcej dzieci. Pierre marzył o trójce: dziewczynka, chłopiec i znów dziewczynka. Odile zatrzymała się na jednym.

Pierre Beau przeskakuje przez sterty na podłodze, zdejmuje poszwę z kołdry, prześcieradło i poszewkę z poduszki. Na podłogę spadają trzy koperty. Oraz list.

JEAN-LUC TY GŁÓPI STARY CAPIE WSTYDZIE LEPSZYCH DZIELNIC ZDEHNIEŻ TO TFUJ OSTATNI ROK WSZYSCY BEDOM MYŚLEĆ ŻE TO WYPADEK NIKT NIE BEDZIE FIEDZIAŁ TYKO TY CO ZROBIŁEŚ I ZA CO PŁACISZ WYPIERDOLIMY TFOJOM RZONE

Pierre Beau odczytuje nazwiska adresatów na kopertach. Potrzebuje kilku sekund, żeby zrozumieć, że Nina otwiera listy. Tak mu się wydawało. Nie chciał w to wierzyć. Któregoś dnia zauważył, że wnuczka jakoś dziwnie patrzy, kręcąc się koło jego torby. Wyglądała jak przyłapana na gorącym uczynku. Tak jak wtedy, gdy po kryjomu przyniosła do domu małego kotka i chowała go, żeby on nie zauważył. A kilka dni później mówiła: „Litości, dziadku, zatrzymajmy go, on jest z nami już tak długo!”.

Pierre Beau wpada w panikę. W oczach ma błyskawice. Od razu myśli o córce, o Marion. To jego kara. Ta jest taka sama. Jakieś nieszczęście płynie w ich żyłach. Matka zaraziła córkę. Matka i córka. To jakaś choroba.

Pierre Beau trzęsie się ze złości. Rzuca pościel i koperty na podłogę. Wychodzi z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi.

Nie umiałby powiedzieć, co widzi, wybiegając z pokoju, z wyjątkiem czerwieni, koloru złości. Ma ochotę zabić. Wszystko robił dla niej, dla Niny. Pracował, żył dla niej. Wstawał, mył się, jadł śniadanie, szedł do pracy, wracał, szykował kolację, wszystko dla niej. Oszczędzał dla niej. Tylko dla niej. Żeby jej nigdy niczego nie zabrakło. Widzi ją, jak była maleńka. Butelki ze smoczkiem, mleko Gallia dla noworodków, potem dla niemowląt. Płacz przy ząbkowaniu, szczepienia, jej pierwsze kroki. Kupowanie ubranek, z początku nie umiał wybrać rozmiaru. Przymierzanie bucików. Ona jest tutaj każdego ranka, a on nie może się nadziwić, że wciąż jest. Że jest coraz większa. Że on ją wychowuje, a ona dorasta.

Nina otwiera listy. Za jego plecami. Zdrada. Jak długo to trwa? Jeśli ktoś się o tym dowie, straci pracę. Zwolnią go za poważne wykroczenie. Nie wolno mu przynosić listów do domu. Stanie przed sądem. Na pewno zostanie skazany. Kara więzienia w zawieszeniu, może nawet bez. A ona, co się wtedy z nią stanie? Kto się nią zajmie? Co powiedzą ludzie? Na pewno złożą skargi. Otwieranie cudzych listów to poważna sprawa. Nina trafi do rodziny zastępczej. Od samego początku, odkąd się urodziła, tego Pierre bał się najbardziej. A jeśli ja umrę, co z nią będzie? Jej matka po nią nie wróci.

Powie, że to on otwierał listy. Powie, że Nina jest niewinna. Że nic nie zrobiła. Że tylko on ponosi odpowiedzialność. Że jest roztargniony.

Parkuje samochód przed gimnazjum. Jest południe. Grupki uczniów zaczynają wychodzić na przerwę. Nina je w stołówce. Pierre wchodzi przez bramę, nie patrzy, przepycha się, wygląda jak szalony, mruga nerwowo. Najpierw spostrzega Adriena, potem Étienne'a. Wreszcie ją. Nierozłączna trójka, gadają ze sobą, stojąc pośród grupy innych uczniów. Trzyosobowe kółko otoczone piętnastką gimnazjalistów.

Nina ma na sobie dres. Nie włożyła wełnianej kurtki. Zawsze ją prosi, żeby się ciepło ubrała, z powodu astmy, ale ona i tak robi, co chce. Stoi z gołą szyją, a przecież jest kwiecień. Kwiecień plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata. Po co są przysłowia, jeśli się ich nie słucha? Odile najbardziej lubiła „Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu". Adrien musiał powiedzieć Ninie, że jej dziadek tu jest, bo wnuczka odwraca głowę w jego stronę, patrzy na niego i układa usta w uśmiech, który oznacza: „Co tu robisz? Zapomniałam czegoś z domu?".

Gdy jednak spostrzega złość w jego oczach i zaciśnięte do białości pięści, od razu pojmuje: listy. I w ciągu sekundy blednie. On wymierza jej policzek, potem drugi. Głuche klaśnięcia odbijają się echem od budynków. Na podwórku zapada martwa cisza. Uczniowie są zdumieni. Żaden nie

krzyczy; stoją jak sparaliżowani, nie rozumieją, co się dzieje. Dorosła osoba atakuje ucznia na terenie szkoły…

Pierre Beau uderza Ninę pierwszy raz w życiu. Kiedy miała sześć lat, dał jej lekkiego klapsa w pupę, bo pomalowała warzywa w ogródku farbą akrylową na niebiesko.

Teraz łapie ją za kołnierz, podnosi, potrząsa jak workiem z mąką i mówi tonem jednocześnie błagalnym i lodowatym:

– Czy ty rozumiesz, co zrobiłaś? Czy w ogóle rozumiesz, co zrobiłaś?

Mógłby ją zabić na miejscu. Zetrzeć na proch. Dopiero cisza wokół powoduje, że wraca na ziemię. Odzyskuje rozum.

Co ja najlepszego wyprawiam?

Ostrożnie stawia wnuczkę na ziemi. Ruchy ma powolne, działa jakby w malignie. Nina wygląda jak kukiełka z czerwonymi policzkami. Ślady palców tego, kto ją wychował. Łzy w oczach. Jakby odbicia, refleksy, jakby gorączka. Pierre Beau nagle uświadamia sobie, że wszyscy uczniowie na podwórku na niego patrzą. Jeden z opiekunów, dwudziestolatek, podchodzi i pyta nieśmiało: „Co tu się dzieje?”.

– Bardzo cię przepraszam… – szepcze Nina do dziadka.

Zupełnie zbity z tropu Pierre Beau robi w tył zwrot i ucieka z podwórka prawie jak złodziej. Wsiada do samochodu, ściska dłońmi kierownicę i zaczyna szlochać. Nerwowe spazmy. Wyobraża sobie, że Odile, w towarzystwie Joe Dassina, obserwuje go z góry. Na pewno nigdy mu nie wybaczy tego, co zrobił ich wnuczce.

– Ale musisz przyznać, że zasłużyła!

Odile nie odpowiada. Dąsa się. Ten cwaniak Joe Dassin bez wątpienia to wykorzysta.

* Joe Dassin, *Et si tu n’existais pas*.

20

12 grudnia 2017

Dwadzieścia siedem lat później mam przed oczami tamto kwietniowe przedpołudnie. Tę chwilę zawieszoną w czasie. Uczniowie jakby sparaliżowani na widok ataku Pierre’a Beau. Dwa wymierzone policzki, gwałtowność, z jaką dziadek rzuca się na Ninę na szkolnym podwórku, niezrozumienie, coś między snem a jawą. Ale też szybkość, z jaką się to odbyło. Zajście nie trwało przecież nawet minuty. Mała, ciemna głowa jakby miała odpaść od ciała. Nina ma na sobie czarny dres we wzór z szarych motyli, które przypominają zwiędłe kwiaty. Przeprasza dziadka. Jeszcze dziś słyszę, jak szeptem prosi go o przebaczenie. Nie broni się, nie próbuje usprawiedliwiać. Wszyscy się zastanawiają, co takiego zbroiła. No i oczywiście jedni widzieli tę scenę, inni nie. Później, jak wrócą do domu, zaczną sobie wyobrażać, snuć przypuszczenia, rozwijać temat.

„Musiała się z kimś przespać. Jest jak jej matka. Stary to odkrył i nie wytrzymał. Z którym sypia, z Beaulieu czy z Bobinem? Może z oboma? Na pewno jest w ciąży. A ma czternaście lat! Tak, tak, z pewnością. Przy nadziei… Ładna mi nadzieja. To dopiero!”

Pierre Beau odchodzi. Zaraz potem na podwórku pada jedno pytanie, przekazywane z ust do ust jak pałeczka w sztafecie: „Kto to był, ten stary?”.

Ktoś rzuca odpowiedź: „To jej dziadek”.

Niedowierzanie, ściągnięte usta, chichoty. „Jakie masz lekcje po południu?” „Zastępstwo w bibliotece”. „Wuefistka jest chora. A ty?” „Angielski, dwie matmy i sprawdzian”. Kilka uczennic pyta Ninę, czy wszystko w porządku. Stoją w pewnej odległości, jakby nagle postawiono barierkę oddzielającą Ninę od innych, jakby jedynymi, którzy mają do niej bliski dostęp, byli Étienne Beaulieu i Adrien Bobin, jakby przed Niną stała niewidzialna tablica z napisem: NIE DOTYKAĆ!

Pamiętam, że potem Adrien zaciągnął Ninę do szkolnej pielęgniarki i że Étienne został sam jak głupi na środku podwórka, zanim z siostrą poszli razem do stołówki. Tamtego dnia dwa policzki wymierzone wnuczce przez dziadka rozbiły trio.

Nina zrzuciła wszystko na matkę. Opowiedziała Adrienowi, że cały poprzedni dzień niszczyła sobie oczy, wpatrując się w zdjęcia, które przyniósł jej Étienne. Z tego powodu zapomniała o wszystkim innym. I dziadek znalazł to wszystko inne wsunięte pod poduszkę. To, o czym wiedział tylko Adrien, czyli listy wyciągane ukradkiem z torby. Tę tajemnicę, którą znali tylko oni dwoje.

Matka będzie jej zawsze przynosić pecha. Trzeba było odpuścić, nie szukać więcej zdjęć, przeszłości, dowodów jej istnienia. Nie starać się zrozumieć, jaka była i dlaczego zostawiła Ninę u swojego ojca jak worek z brudną bielizną. On jedyny ją zechciał, a teraz ona tak go zawiodła.

Wkładam do koperty banknoty, zwyczajowy prezent dla schroniska na Boże Narodzenie. Adresuję kopertę drukowanymi literami, żeby Nina nie poznała mojego pisma: *NINA BEAU, DO RĄK WŁASNYCH*. Jakby w ogóle mogło jej przyjść do głowy, że to ode mnie.

Jedna myśl przyciąga drugą: przypomina mi się anonim, który ją zdradził. Początek całej tragedii. Myślę, że Nina nigdy się nie dowiedziała,

co dziadek zrobił z tym listem. Czy go wyrzucił, czy też dostarczył pod wskazany adres. Dziś wiem jedynie to, że adresat anonimowego listu, Jean-Luc Morand, wciąż żyje i jego żona również. Biorą udział w każdym turnieju gry w belotkę.

Zawsze czekam na wieczór, by podejść pod schronisko jak złodziejka i wsunąć ten świąteczny prezent do skrzynki na listy. Jestem jak ci ludzie niemający odwagi spojrzeć innym w oczy w świetle dnia i nocą przywiązujący psy do ogrodzenia.

W tym miesiącu już trzeci raz podjeżdżam pod schronisko. Nigdy mi się to jeszcze nie zdarzyło. Koperta z pieniędzmi leży na fotelu pasażera.

Zimą nigdy nie wychodzę z domu po dwudziestej pierwszej. Mam swoje przyzwyczajenia. Drobne, ale przyzwyczajenia często są drobne. Praca, seriale, programy w telewizji, media społecznościowe, posiłki o stałych porach, sterta książek obok łóżka.

W światłach reflektorów widać plastikowe figurki Świętego Mikołaja stojące przed budynkami, wieńce z sosnowych gałązek na drzwiach, migoczące girlandy wokół okien, napis *Merry Christmas*, który odczepił się i zaraz spadnie znad wystawy.

Boże Narodzenie bez śniegu. Tu śnieg przychodzi później. Mniej więcej w połowie stycznia.

Jadę wzdłuż opuszczonego terenu, na którym jeszcze miesiąc temu starzał się i niszczał budynek gimnazjum Vieux-Colombier. Porzucone przez wszystkich. Zapomniane, nawet jeśli chodzi o najbardziej lubiane przedmioty: muzyka, rysunek, prace ręczne.

Dziś wieczorem wydaje się, że zatonęło.

Mgła. Zwolnić. Szosa trochę oblodzona. Wjeżdżam na drogę do schroniska. Dwa czy trzy samotne domki. Na jednym z nich, dość daleko, świecą czerwone i zielone lampki.

Boże Narodzenie. Za dziesięć dni Étienne przyjedzie do rodziców na Wigilię. Jak co roku. Posłuszne dziecko, które wraca o umówionej godzinie. Tylko wówczas można go zobaczyć na ulicach La Comelle – idzie do kiosku po papierosy. Stawia swój wielki samochód na placu przed kościołem. Tam gdzie jeździł na deskorolce i gdzie spotykali się z Niną i Adrienem, żeby iść razem na basen.

Czy myśli o nich? Czy myśli o „tym”? Czy będą się go czepiać, jeśli się okaże, że ciało znalezione w wyłowionym samochodzie jest ciałem Clotilde?

Dwa razy go widziałam i za każdym razem stawałam się niewidzialna. Parkowałam mojego grata w niewidocznym miejscu i czekałam, aż Étienne pójdzie dalej. Unikałam go, jak unika się lodowatego przeciągu, nagłej ulewy, palącego słońca.

Étienne Beaulieu mnie paraliżuje. Tracę mowę, kiedy go widzę, nie mogę wydusić z siebie ani słowa.

W zeszłym roku prawie się o niego otarłam, wchodząc do kościoła. Nie spodziewałam się, że tam będzie. A przecież wiem, że jedyny moment w roku, gdy można na niego wpaść, jest między dwudziestym trzecim a dwudziestym szóstym grudnia. Była osiemnasta trzydzieści. W La Comelle o tej porze odprawia się pasterkę. Otulona długim płaszczem, szłam ku wejściu, przed którym rozmawiało kilku spóźnionych przechodniów, gdy rozpoznałam go po sposobie chodzenia. Mijał mnie w odległości mniejszej niż metr. Był sam. Ubrany w grubą futrzaną kurtkę. Na głowie miał kaptur. Dostałam gęsiej skórki. To on. Nie zauważył mnie, ale ja spostrzegłam jego usta, a w nich papierosa, jego dłoń, gdy się zaciągnął. Wysoki. Bardzo wysoki. Zawsze zapominam, jaki jest wysoki. Odwróciłam się i spojrzałam za nim: szedł w kierunku centrum. A przynajmniej w kierunku tego, co z centrum zostało.

Potem dostałam dreszczy i trzęsło mną długo, bardzo długo. Tamtego wieczoru zrobiłam zdjęcia Dzieciątka Jezus do gazety; wyszły niewyraźne. Wciąż miałam przed oczami Étienne’a, jak przechodzi obok mnie, przeżywałam jeszcze raz każdą tysięczną sekundy tej chwili.

Parking przy schronisku jest pusty. Cisza. Psy muszą spać. Zostawiam włączony silnik, zapalone reflektory i wysiadam. Skrzynka pocztowa jest zardzewiała i przykrywka skrzypi, gdy wsuwam do środka kopertę. Przechodzi mnie dreszcz. Właściwie się boję. Jakbym miała coś na sumieniu.

– To ty?

Podskakuję; moja ręka z kopertą zamiera uniesiona nad skrzynką.

– To ty… – powtarza ona.

Tak jakby to było oczywiste. Jak małżeństwo z dwudziestoletnim stażem, które spotyka się po powrocie do domu. „To ty? Jak minął dzień? Siadaj, już zrobiłam ci drinka”. „Dzieci wróciły? Dzwoniła twoja mama? Co mamy w zamrażalniku?”

Sylwetka Niny za okratowaną bramą wygląda jak duch. Jej twarz w świetle reflektorów mojego auta. Jej bladość. Wilgotne od mgły włosy. Jakby cekiny. Szron.

– To ja.

21

Kwiecień 1990

Wracając z gimnazjum, roztrzęsiony Pierre Beau zalepia skradzione koperty, wkłada między listy czekające na rozniesienie. Pierze pościel, ściele łóżka. Nie wraca do tematu. Nawet z Niną. Wieczorem, gdy wnuczka chciałaby się zapaść pod ziemię ze wstydu, umrzeć, podaje jej na talerzu dwie ciepłe kanapki z sałatą, jedz, zanim ostygnie, mówi. Na policzkach dziewczynki widać jeszcze ślady jego palców. Nina nie śmie powiedzieć, że nie jest głodna. Połyka łzy i sałatę bez słowa. Potem idzie na górę do swojego pokoju, widzi posłane łóżko, czystą pościel. Machinalnie zagląda pod poduszkę, pusto. Otwiera pierwszą szufladę w biurku i wyciąga kopertę z trzema zdjęciami matki, uchyla okno, podpala kopertę zapalniczką, której zapomniał Étienne, i rzuca na dach, kilkakrotnie powtarzając: „To twoja wina, stara kurwo, twoja wina”.

Poprzedniego dnia wypatrywała sobie oczy, starając się rozszyfrować wygląd matki. O czym myślała? Czy była zakochana? Z którą z dziewczynek na zdjęciach się przyjaźniła? Z matką Étienne’a? Czy przyjaźń może się przenosić z pokolenia na pokolenie? Czy się zwierzała? Jeśli tak, to komu? Czy już wtedy znała mojego ojca? Czy mam oczy

w takim kształcie jak jej? A nos? Czy mam jej uśmiech? Jaki miała głos? Gdzie się podziały ubrania, które miała na sobie, pozując do zdjęcia?

Nina patrzy, jak koperta ze zdjęciami dopala się w rynnie.

Kilka dni później na stole w kuchni znajduje list, zaadresowany do niej. Z pieczątki na znaczku wynika, że list został wysłany poprzedniego dnia z La Comelle. Rozpoznaje charakter pisma na kopercie, ten sposób kreślenia liter.

Idzie na górę do swojego pokoju, żeby go otworzyć.

Mój skarbie,

tego listu nie będziesz musiała wykradać z mojej torby. Ten list należy do Ciebie, jest Twój. Czytanie cudzych listów to bardzo poważne wykroczenie, ale przepraszam Cię. Nie wiem, jak mogłem Cię uderzyć. Przestraszyłem się. To strach starego człowieka, który się wszystkim zamartwia. Niezależnie od tego, co zrobiłaś, absolutnie nie wolno mi było Cię uderzyć, i to jeszcze w obecności Twoich koleżanek i kolegów. Nie wolno mi było Cię dotknąć, jesteś taka mała, taka bezbronna… Jesteś moim oczkiem w głowie. Wstydzę się i do śmierci będę się wstydził tego zachowania, nie na miejscu, nie do przyjęcia. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Twój kochający dziadek

Chwiejne, dziecinne pismo Pierre’a wstrząsnęło Niną. W odpowiedzi wysyła mu pocztówkę z Niebieskim Ptakiem z bajki, którą dziadek czytał jej co wieczór do snu, gdy była dzieckiem.

Dziadku,

dostałam Twój list. To ja Ciebie przepraszam.

Szukałam listów miłosnych. Sama myśl, że może takie listy są w Twojej torbie, spowodowała, że zgłupiałam. Ale bardzo się postaram już nigdy czegoś takiego nie zrobić.

Jeszcze raz Cię, Dziadku, przepraszam.

Twój skarb

22

15 lipca 1990

Nina będzie świętować czternaste urodziny nad brzegiem morza, w Saint-Raphaël. Już się spakowała. Pierre Beau dał jej walizkę Odile. „Możesz ją zatrzymać”, powiedział. Tę walizkę widziała zawsze na szafie w pokoju dziadka. Brązowa, z kartonu i imitacji skóry, niemodna.

Zadzwoniła do Adriena.

– Jak wygląda twoja walizka? – spytała.

– Hipisowska torba mojej mamy, w różowe kwiaty, wygląda jak z Woodstocku.

– Moja walizka ma sto lat. Śmierdzi naftaliną.

– Chcesz się zamienić?

– Nie mogę… to walizka mojej babci. Gdyby dziadek zobaczył, byłoby mu przykro.

Pierre Beau dał jej dziesięć banknotów po sto franków. Po raz pierwszy Nina ma tak dużo pieniędzy w swojej maleńkiej portmonetce. Przygotował też skrzynkę warzyw. Nina uważa, że to wstyd przyjechać z pomidorami i fasolką, ale nie śmie zaprotestować. Widzi dobrze, że dziadek bardzo się stara, że sam też chciałby móc zabrać ją nad morze.

Nina leży na łóżku, oczy ma szeroko otwarte. Jest trzecia w nocy. Słucha uderzeń swojego serca. Za godzinę dziadek zapuka, będzie gotowa. Odwiezie ją do państwa Beaulieu, a ona usiądzie z tyłu renault espace z Adrienem, Étienne'em i Louise.

I na końcu podróży pojawi się morze. Jak w tym filmie Bessona *Wielki błękit*, który widzieli trzy razy. Jeden seans na każdego, żartował Adrien.

Już chyba ze dwadzieścia razy wstawała z łóżka, otwierała i zamykała walizkę, sprawdzała zawartość. Jest jej przykro, że zostawia w domu Paolę i koty, no ale to wszystko po to, żeby zobaczyć morze. Czeka na to od lat. To jakby mieć umówione spotkanie ze swoim marzeniem.

Co robić jeszcze przez całą godzinę? Już nie zaśnie, niemożliwe.

W sąsiednim pokoju Pierre Beau również nie śpi. Myśli o walizce Odile. Nigdy nie mógł się zmusić, żeby ją wyrzucić. Ostatni raz otworzył ją po powrocie ze szpitala. Nie zdążyli nawet wypakować rzeczy Odile. Odeszła w ciągu kilku dni. Za późno ją tam zawiózł…

Gdyby czas się cofnął…

Kupili tę walizkę w 1956 roku, w domu towarowym w Autun. Odile chciała suszarkę do bielizny na deszczowe dni. Ale kiedy zobaczyła walizkę na wyprzedaży, powiedziała: „Weźmy ją. Przyda się na wakacje".

Nigdy nie wybrali się na żadne wakacje. W końcu wyjechała Odile, do szpitala, i już nigdy nie wróciła.

W letnie niedziele Pierre i Odile kąpali się w rzekach i w Leśnym Stawie, wpadali na potańcówki i festyny organizowane w okolicy. Kilka razy byli nad jeziorem Settons, pływali na rowerach wodnych i piknikowali pod drzewami, ale nigdy nie wyjechali poza granice regionu Morvan.

Kiedyś nawet spali we dwójkę w tym samym śpiworze, ściśnięci jak sardynki.

Tej nocy Pierre słyszy śmiech Odile, jego oczy liczą gwiazdy.

Nina po raz pierwszy opuszcza dom. Od dnia, gdy Marion ją tu przyniosła, wnuczka nigdy nie wyjechała. Pierre stara się przygotować na tę pustkę. Wyobraża sobie nadchodzące dni. Dni wolne, ale bez odpoczynku, jak co roku w lipcu. Będzie pracował w ogródku, wyprowadzał Paolę, odmaluje nity farbą antykorozyjną, jednym słowem – wiosenne porządki w lecie. Będzie miał zajęte ręce…

Trochę mu wstyd, że nigdy nie zabrał wnuczki nad morze. Można całkiem tanio wynająć mieszkanie przez radę zakładową. To nie kwestia pieniędzy, ale zmiany przyzwyczajeń. Wyjechać z La Comelle, jechać długo, w nieznane, zgubić się nawet, szukać drogi na mapie, odkrywać nowe twarze, włożyć kąpielówki.

Stara się przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz założył kąpielówki. Co najmniej trzydzieści lat temu…

Wreszcie nadchodzi godzina odjazdu. Żegnają się przed renault espace. Nina patrzy, jak Joséphine przytula syna. Dziadek całuje ją czubkiem warg, niezręcznie. Ale nie to się liczy, liczy się miłość. Nina ma ściśnięte gardło, pierwszy raz w życiu rozstaje się z dziadkiem, który szepcze jej do ucha: „Nie zapomniałaś ventolinu?”.

Wsiadają do samochodu, zapinają pasy. Marc Beaulieu siada za kierownicą, Marie-Laure na siedzeniu pasażera – czasem, gdy mąż poczuje się zmęczony, będzie go zmieniać. Dzieci i skrzynki z warzywami z tyłu. Pożegnalne machanie ręką. Pierre Beau i Joséphine Simoni stoją obok siebie na chodniku, w ciemnościach nocy.

W życiu są ci, którzy zostają, i ci, którzy odjeżdżają, myśli Nina. I ci, którzy porzucają.

23

12 grudnia 2017

– Tak myślałam, że to ty. Te koperty z pieniędzmi – mówi Nina.

Czuję się jak przyłapana na gorącym uczynku. Prawie winna. Idę do samochodu i wyłączam silnik, wygaszam światła, po czym do niej wracam.

Nina przekręca klucz w zamku i otwiera bramę.

– Wiedziałaś, że wróciłam? – pytam.

– Wiedziałam – odpowiada.

Nalewa mi kawę do kubka z napisem *I love La Comelle*.

W biurze palą się trzy blade świetlówki.

Wiszą plakaty zachęcające do sterylizacji zwierząt.

Zdjęcie kota bez oka i podpis: *Tutaj każdy ma szansę na nowy dom!*

Na ściennej tablicy przypięte pinezkami zdjęcia kotów i psów. Wszystkie mają imiona. Diego, Rosa, Blanquette, Nougat… Zastanawiam się, czy to Nina tak je nazywa.

W szkolnej bibliotece był słownik imion. Nina zakreślała ołówkiem te, które ewentualnie nadałaby później swoim dzieciom.

Czuję, że na mnie patrzy. Nie śmiem podnieść oczu. Wpatruję się w jej dłonie. W szkole malowała paznokcie na czerwono, lakier w końcu

odpadał. Nienawidziłam tego. Wyglądało niechlujnie.

Mam ochotę wstać i wziąć ją w ramiona. Ale jak bym mogła po tym, co jej zrobiłam, kiedy widziałyśmy się ostatnim razem?

I tak mam szczęście, że zaprosiła mnie do środka i zaproponowała swoją lurę.

Milczymy. Po dłuższej chwili przerywam ciszę:

– Co robisz w schronisku o tej porze? Jest bardzo późno.

– Chyba czekałam na ciebie… – odpowiada Nina.

*

15 lipca 1990

Saint-Raphaël.

– Dojeżdżamy! – woła każde z nich innym tonem. Marie-Laure szczęśliwa, Marc z ulgą, Louise nieśmiało, Étienne, myśląc o Ninie.

Serce Niny uderza nienormalnie szybko; szczęście wybiło je z rytmu. Nina rozgląda się wokół, wypatruje błękitu.

W samochodzie pachnie chipsami. Mnóstwo pustych torebek. Długie godziny drogi za nimi. Jeden postój, na kawę i żeby zatankować, gdzieś koło Valence. Zdrętwiałe nogi, obolałe mięśnie.

Opuszczanie szyb w oknach. W oddali pas błękitu. Morze. Morze to niebo, które usiadło na ziemi. Adrienowi przypomina się piosenka Alaina Souchona.

I zobaczysz, któregoś ranka, zmęczony

*Przysiądę na chodniku obok…**

– Nina, patrz, twoje morze – szepcze Étienne.

Adrien kładzie dłoń na ramieniu Niny i lekko je ściska, jakby chciał powiedzieć: „No, już, mamy morze”.

– Dzieci, jedziemy po klucze, zaczekajcie na nas na plaży – mówi Marie-Laure.

Louise chce zostać w samochodzie, z rodzicami. Woli zostawić ich samych, tę nierozłączną trójkę, ten mur nie do przebicia.

Adrien, Étienne i Nina wysiadają z samochodu. Oślepiające światło. Jest południe, upał. Na piasku ręczniki, dziecięce zabawki. Morze jest tuż-tuż, ogromne, nieskończone, błyszczące, żywe. Morze to woda, która drży, myśli Nina. Woda, która oddycha, wdech, wydech, wdech, wydech… Takiego koloru jeszcze nie widziała. W rzeczywistości morze okazuje się dużo piękniejsze niż to z widokówek i telewizji. Robi ogromne wrażenie, paradoksalne – oczarowuje, ale i niepokoi. Dokładnie tak Nina wyobraża sobie wolność. *Koza pana Seguin*. Najokropniejsza historia, jaką do tej pory czytała. Najpotworniejsza. Mimo to wciąż do niej wraca, czyta i czyta. Kiedy w zeszłym roku dziadek kazał jej zanieść paczkę z rzeczami do Ośrodka Pomocy Społecznej, wyciągnęła z niej swoje *Bajki dla grzecznych dzieci*.

Dziadek. Chciałaby, żeby tu był. Żeby widział to, co ona widzi. Żeby oddychał powietrzem, którym ona oddycha, wiatrem niosącym ze sobą ciepło słońca i słodki zapach piżma.

Étienne podnosi Ninę i zarzuca ją sobie na prawe ramię. Szybko idzie po piasku, omijając rozłożone ręczniki. Nina zachłystuje się śmiechem i radośnie piszczy. Adrien idzie za nimi, rzucając dookoła spanikowane spojrzenia: wszędzie parasole i nagie piersi kobiet. Po raz pierwszy widzi kobiety wystawiające się na słońce bez stanika. Widział już piersi na filmach i w czasopismach, ale nigdy w prawdziwym życiu. Dla Niny ten

dzień to odkrycie morza, dla Adriena – nagich piersi kobiet. Uśmiecha się łakomie.

Étienne ściąga trampki sobie i Ninie. Ona wyrywa się i krzyczy:

– Nie, nie, przestań!

Étienne wchodzi do morza z Niną na ramieniu. Robi kilka kroków i wrzuca ją w ubraniu do wody. Woda ją kłuje, jest zimna, słona. Adrien wchodzi za nimi i też nie zdejmuje ubrania. Pływają, chlapią się, są podekscytowani. Étienne wrzeszczy: „Jestem królem świata!”. Znów bierze Ninę na ramiona, żeby skoczyła do wody, głową naprzód.

Dawno się tak nie zachowywał. Tama puściła. Przestał się pilnować. Zapomniał o swoim wyglądzie, stylu, nad którym tak pracował, ubraniach, uczesaniu, cerze, o dobrych stopniach.

Siedzą w wodzie bardzo długo. W końcu opada napięcie wywołane morską przygodą. Wpuszczają w siebie wszystkimi porami rozleniwienie, liżą i wypluwają wodę. Mokre ubrania są jak koło ratunkowe, mokre skrzydła motyla. Kołyszą się na wodzie, na plecach, ciało tańczy w powolnym rytmie, oblewane falami. Trzymają się za ręce. Tworzą gwiazdę na wodzie. Chrzest gwiazdy. Tej jednej jedynej, która spadła z nieba.

Od czasu do czasu Nina śpiewa *Tes yeux noirs*, specjalnie mieszając słowa:

Chodź, chodź ze mną, nie odchodź już nigdy beze mnie
No, chodź, chodź tu, nie odchodź już nigdy beze mnie
Gdy wrócimy, będziemy się spotykać codziennie
Świecą twoje czarne oczy
Gdzie idziesz, gdy odchodzisz w nicość
Bierzesz ubranie, wkładasz na siebie…[**]

Pływać po niebie.

*

Przez grzeczność dopijam obrzydliwą kawę, którą poczęstowała mnie Nina. Kocie siki, myślę, patrząc na zdjęcie jakiegoś owczarka. Banjo, siedem lat.

– Widziałam twoje nazwisko w „Le Journal de Saône-et-Loire” – mówi Nina.

– Zastępuję tam jednego z redaktorów. Teraz też… Wiesz o Leśnym Stawie?

– O tym samochodzie? No tak. Myślisz, że to jest ona? Że przez te wszystkie lata tam była?

– Jeszcze nie wiadomo… Znaleźli szkielet.

– Okropność…

– Jedyne, co łączy Clotilde z tym skradzionym autem, to data.

– Siedemnasty sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku… Dzień pogrzebu – szepcze Nina.

Następuje długa cisza. Wiem, że myśli o Étiennie. Tak jak ja. Ale nie wymawia jego imienia.

– Nie chcesz przypadkiem kota? – pyta.

Pochyla się i podnosi pokrywkę: maleńki czarny kotek śpi w pudełku po butach, model męski, numer 43.

Korzystam z tego momentu i patrzę na dłonie Niny, na jej szczupłe, smukłe palce z krótko obciętymi paznokciami. Udaję, że przyglądam się zwierzęciu, podczas gdy oddycham nią, Niną. Szukam zapachu, który znikł, zapachu wanilii. Mam ochotę zamknąć oczy i resztę życia spędzić blisko niej. Czasem nostalgia to przekleństwo, trucizna.

– Znaleźliśmy go przed chwilą w śmietniku. Nie chcesz go? Na czarne koty jest mało chętnych. Ten stary przesąd o przynoszeniu pecha…

– Dobra.

– Będziesz się o niego troszczyć?

– Tak, będę.

– Lepiej niż o mnie?

Milczę

– A Étienne? – pyta. – Widziałaś się z nim?

– Nie.

Znów się zamyśla. Strzepuje ze swetra wyimaginowaną drobinę kurzu i w końcu rzuca:

– A Adrien? Co u niego, wszystko dobrze?

– Tak, myślę, że jest okay.

Spogląda mi prosto w oczy. Nic się nie zmieniła – wciąż wali prosto z mostu, żadnych podchodów.

– Tęsknię za nim – mówi.

Jakby żałując, że to powiedziała, wciska mi pudełko z kotem. Maluch otwiera jedno oko i za chwilę je zamyka. Dotykam nosem futerka. Pachnie słomą.

– Już jest odstawiony od matki. Dam ci kilka torebek karmy. Przez pierwsze dni trzymaj go w zamknięciu. Zresztą jest zima, nie ma co robić na dworze. Dam ci też kuwetę i worek żwirku. Nigdy nie zapominaj o miseczce z wodą.

– Skąd wiedziałaś, że dziś przyjadę?

– Pod koniec roku zawsze pojawiasz się między piętnastym a dwudziestym grudnia, prawda? I dzięki za forsę.

– Naprawdę wiedziałaś, że to ja?

– A kto?

Nina wkłada płaszcz.

– Odwieziesz mnie do domu? Christophe wziął samochód schroniska, pojechał do weterynarza. Jestem wykończona, chciałabym już wrócić do siebie.

– Christophe to twój mąż?

– Nie, to nasz pracownik. Ten wysoki z brodą, któremu zostawiasz worki z karmą.

– Więc wiesz, że krokiety to też ja?

– Tak, wiem.

– No, tak… Chodźmy do auta.

Nina siada na fotelu pasażera. Włączam silnik i od razu rozbrzmiewa piosenka Indochine *La vie est belle*. Wyłączam radio.

– Nie wyłączaj, proszę, uwielbiam tę piosenkę! – protestuje Nina.

– Wciąż ich lubisz?

– Jasne!

Ułożylibyśmy sobie życie, przynajmniej to
Poszlibyśmy w noc tak daleko, jak zechcesz
Życie jest piękne i okrutne, tak jak my
Urodziłem się tylko, by z tobą być…

Nina podśpiewuje, obserwując drogę, jakby prowadziła.

– Jak go nazwiesz? – pyta w końcu.

– Kogo?

– Kotka.

– To dziewczynka czy chłopiec?

– Chyba chłopiec, ale jest jeszcze za mały, żebym mogła być pewna.

– Nicola. Bez „s” na końcu. Jak Nicola Sirkis z Indochine.

Na twarzy Niny po raz pierwszy pojawia się uśmiech.

---

* *S’asseoir par terre*.

** Indochine, *Tes yeux noirs*.

24

22 września 1991

Mają po piętnaście lat. Wspólnie wybrali liceum.

Trzeba było zobaczyć wyraz twarzy doradczyni zawodowej, gdy ujrzała ich troje w progu gabinetu.

Étienne jest w klasie A1, kierunek humanistyczny i ścisły, Adrien w A2, kierunek humanistyczny plus języki, Nina w A3, kierunek humanistyczny i sztuki piękne. Dużo lekcji mają wspólnych, z tymi samymi nauczycielami i w tych samych klasach.

Żadne z nich nie robi niczego bez pozostałych dwojga. Wszystkie decyzje podejmują wspólnie. Jakie spodnie, jaka sukienka, jaka muzyka, jaki T-shirt, jaki film, jaka książka, jaka impreza, u kogo.

Nina i Étienne często się sprzeczają. Nina mówi, że Étienne uważa się za jej starszego brata i wciąż rozkazuje: „Nie czesz się tak”, „Mów ciszej”, „Nie no, chyba zgłupiałaś!”, „Przestań się wymądrzać!”…

Jakby specjalnie cały czas jej się przeciwstawiał, żeby ją rozdrażnić.

Adrien ich zawsze godzi. Nigdy nie podnosi głosu. Czuje się bliższy Ninie niż Étienne’owi. Lubi te rzadkie, wyjątkowe chwile, gdy we dwoje siedzą w pokoju Niny. Po prostu chce słuchać, jak ona mu się zwierza

z tego, co czuje, pomagać jej w porządkach, pozować, kiedy rysuje go po raz enty.

– Nie ruszaj się!

Adrien nigdy nie może siebie rozpoznać na gotowym portrecie.

Z całej trójki Étienne jest największym buntownikiem, Adriena najłatwiej obrazić, Nina jest najbardziej wrażliwa.

Mimo że dorastają, nie pojawia się między nimi dystans, którego obawiała się Nina. Nie potrzebuje szukać przyjaciółki. Nawet kiedy Étienne zastanawia się na głos, ile będzie mierzył jego penis, czy będzie długi, czy gruby, czy i taki, i taki. Jak długo rośnie penis? Myślisz, że przestaje rosnąć koło dwudziestki? Myślisz, że to jest dziedziczne? Że mój będzie taki sam jak ojca i brata?

Te pytania nie wywołują w niej zażenowania. Mogą rozmawiać o rzeczach, o których nigdy nie rozmawialiby z bratem lub siostrą. Jakby dla Étienne’a Nina była osobą bez płci, terytorium neutralnym.

– Jestem twoją Szwajcarią – mówi mu czasem.

Prócz niezachwianej przyjaźni łączą ich melodie i słowa piosenek, na których tworzeniu spędzają całe godziny. Planują wspólną przyszłość. Nikt im w tym nie przeszkodzi. Zamierzają uciec stąd od razu po maturze. Wspólnie wynajmą mieszkanie, podzielą się czynszem, będą dorabiać i w końcu trafią na scenę Olympii.

Adrien w sekrecie marzy o sławie, chce, żeby jego kompozycje, muzyka i teksty stały się popularne, chce raz na zawsze zamknąć ojcu gębę i już nigdy nie czuć z bliska jego chlorofilowego zapachu. Étienne marzy o tym, co niesie za sobą rozgłos: o kasie i łatwym życiu. Nina ma nadzieję, że będzie śpiewać, rysować i przeżyje wielką miłość. Mówi to głośno i z naciskiem: „Albo wielka miłość, albo nic”. Chce wyjść za mąż i mieć troje dzieci. Dwie dziewczynki i chłopca. Już wybrała imiona: Nolwenn,

Anna i Geoffroy. Będzie malować ich portrety i będzie śpiewać dla nich i dla męża.

– Najpierw musisz go znaleźć – drażni się z nią Étienne.

Mimo flirtów z innymi, mimo okresu dojrzewania i hormonów, które budzą w nich różne pragnienia i pchają ich ku innym ciałom, wciąż dzielą się ze sobą zmartwieniami, gumą do żucia i opiniami.

– Ja jestem lewicowa – mówi Nina. – Popieram dzielenie się.

– Ja też – twierdzi Étienne, na złość ojcu.

– I ja – mamrocze Adrien, który darzy czcią François Mitterranda, głównie dlatego, że ulubioną powieścią tego polityka jest *Oblubienica Pana*.

*

Jak co roku na placu przed kościołem rozstawia się wesołe miasteczko. W ten weekend La Comelle staje się innym miastem. Na ulicach unosi się zapach ptasiego mleczka i spalenizny.

Całe popołudnie Étienne strzela z karabinu, a Adrien i Nina siedzą ściśnięci w wagoniku kolejki górskiej, wtórując przebojom z głośników: *Bouge de là*, *Auteuil Neuilly Passy*, *Black and White*, *Á nos actes manqués*.

Nina z rozwianymi włosami zerka na starszych chłopców; rówieśnicy jej nie interesują.

Całkiem już zapomniała o Gilles’u Besnardzie, w którym podkochiwała się dwa lata wcześniej. Któregoś wieczoru pocałował ją przed salą gimnastyczną; myślała, że zwymiotuje, czując język, który wsadził jej do ust, i ślinę śmierdzącą papierosami. Oderwali się od siebie, rozdzielając popękane wargi – „Cześć, do jutra”.

Spanikowana Nina zadzwoniła do Adriena. „Co mam powiedzieć, jak go spotkam? Ratunku!” Adrien odparł, że ma się normalnie przywitać,

cmoknąć go w policzek, i już. No i tak się to skończyło.

Z Adrienem wszystko wydaje się proste, spokojne, jasne. Pomijając tamten dzień, kiedy rozwalił okulary Py'emu, Adrien jest jak rzeka, w której nie widać ani wirów, ani fal.

Od czasu do czasu podchodzi Étienne i siada między nimi, żeby też się przejechać kolejką. Potem wraca na strzelnicę. Kiedy wygrywa, pyta Ninę, co woli: białego misia czy pióro pokryte brokatem. Stara się zdobyć wielką nagrodę: zestaw audio, telewizor, magnetowid, chociaż to wszystko już ma w domu. Dziewczyny kleją się do niego. Stoją obok godzinami i patrzą, jak celuje. Czasem od niechcenia wybiera którąś, często najładniejszą, najbardziej wymalowaną, która ma już piersi i nie ma trądziku. Nie chciałby się zarazić. Z wybranką idzie na samochodziki, robią jedno kółko, całują się i wraca strzelać do baloników.

Sobotnią noc zwykle spędzają razem. Chłopcy rozkładają sobie łóżka polowe w pokoju Niny. Pierre Beau nie widzi w tym nic zdrożnego, uważa Adriena i Étienne'a za członków rodziny. Woli, żeby spali tutaj, niż żeby Nina nocowała u nich.

Grzeczniutka Nina zmieniła się. Pierre ledwo poznaje wnuczkę. Wolał, kiedy po kryjomu przygarniała zwierzaki.

Teraz stała się hałaśliwa. Trzaska drzwiami, puszcza muzykę na full, aż ściany się trzęsą, wrzeszczy, że nikt jej nie rozumie, co chwila wybucha płaczem, wznosi oczy do nieba, gdy zrobi jej najmniejszą uwagę, godzinami przesiaduje w łazience, zostawia umywalkę upapraną henną, zamyka się na klucz w pokoju, nosi mocny makijaż i dostaje histerii na widok krostki na policzku.

Staje się znowu słodka, gdy czegoś potrzebuje, na przykład kiedy pyta, czy może pójść na urodziny do kolegi czy koleżanki.

– Wszyscy tam nocują… Rodzice też będą. Proszę, dziadku, proszę… Dostałam maksa z ostatniego sprawdzianu z bioli…

– Co to jest biola? – ryzykuje pytanie dziadek.

– No, biologia! – Nina wznosi oczy do nieba, jakby tłumaczyła oczywistości staremu ramolowi.

Pierre wie, że na kursie, który wybrała, nie ma biologii, ale nie oponuje. Lepiej nie mówić „nie”, bo wtedy Nina przeobraża się w tyrana. Więc ustępuje. Rozdaje pozwolenia jak żetony, za które uzyskuje spokój. A poza tym Nina dobrze się uczy, da sobie radę w życiu.

Kiedy ktoś z klasy obchodzi urodziny, wszyscy przychodzą ze śpiworami i zostają na noc. Rodzice są w domu, ale w innym pokoju. Jeśli chcą wejść, pukają do drzwi. Okna są otwarte, żeby dym z papierosów miał gdzie uciekać.

Koniec z podwieczorkami i lemoniadą. Teraz szukają wrażeń, flirtują ze wszystkim, co zabronione: alkoholem, papierosami, trawką, sziszą.

Tylko Nina tego nie tyka, z powodu astmy. Zawsze jest na mniejszym haju niż inni. Nawet po alkoholu to ona podtrzymuje włosy dziewczynom, które wymiotują, pilnuje wędrujących rąk chłopców, żeby nie wykorzystywali sytuacji, w razie potrzeby nie waha się któremuś przykopać. Wszyscy to wiedzą i akceptują. „Jeśli zaprosisz Étienne’a, Nina i Adrien też przyjdą”. Adriena mało kto zaprasza. Ale tolerują go, bo nigdy nie protestuje. Za mało mówi, żeby wzbudzić zainteresowanie piętnastoletnich podrostków, pomijając kilka dojrzałych dziewcząt, które doceniają jego milczące towarzystwo. A poza tym czyta, pisze teksty piosenek, gra na syntezatorze i pije herbatę. Niektóre dziewczyny uwielbiają muzyków, którzy czytają i piją herbatę.

25

12 grudnia 2017

Nina opuszcza osłonę po stronie pasażera, przegląda się w lusterku i podnosi ją z powrotem.

Na kolanach trzyma pudełko po butach, w którym kotek Nicola chyba wciąż śpi. Co zrobię, jak się obudzi? Czy będę umiała się nim zająć? Uświadamiam sobie, że nigdy nie miałam kota ani psa. Ani nawet ślimaka.

– Uważasz, że się zmieniłam? – pyta Nina.

– Nie – odpowiadam.

– Trochę na pewno!

– Nie, ani trochę!

– Przecież mam czterdzieści lat!

– To nie wiek zmienia ludzi.

– Aha… A co ich zmienia?

– Nie wiem. Może życie.

– Życie? Wiele mnie kosztowało do tej pory.

– Tak, ale ON nie zabrał ci wszystkiego. Dowód? Naprawdę się nie zmieniłaś, przysięgam. Jesteś wciąż tą samą Niną Beau.

– Nie, nie jestem tą samą Niną.

– Gdzie mieszkasz? – pytam.

– Dobrze wiesz.

– Skąd mam wiedzieć?

– Myślisz, że nie widzę, jak czasem spacerujesz przed moimi oknami? Patrzysz, czy jestem w domu…

Nina milknie. Znów wpatruje się w drogę. Za trzy minuty wysiądzie. Jadę bardzo wolno. Chciałabym udać, że samochód się zepsuł, ale jesteśmy pięćset metrów od jej mieszkania. Szkoda, że nie pomyliłam drogi…

– Włączyć muzykę?

– Nie, dzięki – odpowiada smutno.

Zatrzymuję samochód przed jej domem. Wysiadając, szepcze:

– Dzięki za podwiezienie.

– Spotkamy się jeszcze? – pytam.

Nina rzuca okiem na kotka.

– Do widzenia, Nicola – mówi. – Bądź grzeczny.

Zatrzaskuje za sobą drzwi. Odwraca się. Sylwetka nastolatki. Z tyłu wygląda na piętnaście lat. Mam łzy w oczach. Otwiera bramę domu i znika za nią w ciemnościach.

Nie odpowiedziała mi.

*

Nina wchodzi do mieszkania i zamyka za sobą drzwi. Słucha dźwięku odjeżdżającego samochodu. Ucieczka. Potrząsa butami, żeby wytrzepać kamyk spod pięty. Zmęczenie. Obolałe mięśnie. Pod nogami plączą się koty, w sumie sześć, stare, okaleczone, ślepe… Przygarnia te, które zebrały najwięcej ciosów, które mają niewielkie szanse na adopcję.

– Cześć, sierściuchy!

Kaszle. Musiała zmarznąć. Albo to astma. Odkąd ją dopadła, trudno odróżnić nadchodzący atak od początków przeziębienia. Idzie do kuchni, karmi koty, podśpiewując:

Życie jest piękne i okrutne, tak jak my
Urodziłem się tylko, by z tobą być
Twoja krew z moją zmieszana
Będziemy nie do pokonania
*Przynajmniej to…**

Odgrzewa w mikrofalówce wczorajszą zupę. Dwa sucharki i serek topiony. Przejeżdża odkurzaczem, żeby zebrać sierść. Na chwilę uchyla okno.

Podkręca termostat w sypialni. Jest zimno z powodu drzwiczek dla kotów, które bez przerwy łażą tam i z powrotem między domem a ogrodem.

Bierze gorący prysznic, kładzie się; trzy koty natychmiast wskakują na łóżko. Włącza laptop, wchodzi na Facebooka. Ma wiadomość na prywatnym koncie. Romain Grimaldi pisze o Bobie, dołącza zdjęcie psa śpiącego na kanapie obok wielkiego kota.

> Dzień dobry, Pani Beau! Wszystko poszło dobrze. Wiedziałem, że Bob będzie mój, gdy tylko zobaczyłem jego zdjęcie na stronie schroniska. Jesteśmy cały czas razem! Mój stary Radium zaakceptował go bez protestów. Mam nadzieję, że u Pani wszystko dobrze, pozdrawiam, Romain G.

Nie zastanawiając się, Nina wystukuje:

> Co Pan robi dziś wieczorem?

Romain Grimaldi jest wciąż online, odpowiada jej od razu:

Nic szczególnego. Jest dziewiąta, zjadłem kolację. Bob i Radium też. Czemu Pani pyta?

Chciałby się Pan spotkać?

Teraz?

Tak, teraz.

Żeby pogadać o Bobie?

Nie. Gdzie pan mieszka?

Rue Rosa-Muller 7.

Zaraz będę.

Okay…

Nina wstaje, idzie do łazienki. Smaruje kremem spierzchnięte wargi. Wciąga ulubione dżinsy – nie nosiła ich od wieków – i jedyny przyzwoity sweter, jaki ma, czarny, który zakłada tylko na wielkie okazje, czyli nigdy, z wyjątkiem noworocznych przyjęć w merostwie. Przejeżdża dłonią po włosach. Nie myśli. Przede wszystkim nie myśleć. Nie ma samochodu. Rue Rosa-Muller znajduje się niedaleko kościoła, dziesięć minut piechotą.

Idzie szybko, czuje na twarzy ciepło własnego oddechu, zatrzymywane przez podniesiony kołnierz płaszcza. Rozgrzać się, nie myśleć. Iść chodnikami, które zna na pamięć, wzdłuż ogrodzeń, mijać domy, ogrody, domki, garaże, wystawy, o których bez trudu mogłaby pisać wiersze. Iść w stronę kościoła, tak jak wtedy, kiedy spotykali się z Adrienem i Étienne’em, żeby pójść na basen. Kroki dorosłej i kroki dziecka. Szron we włosach. Od ilu już lat nie szła tak do nikogo?

* Indochine, *La vie est belle*.

26

Luty 1993

Liceum jest oddalone o dziesięć kilometrów od La Comelle; dojeżdżają tam autobusem, który wyrusza o siódmej rano. Na miejsce docierają koło siódmej trzydzieści pięć, bo autobus zbiera po drodze uczniów z porozrzucanych wokół miejscowości, którzy czekają przy drodze jak skazańcy. Wsiadają w ciszy porannego zmęczenia, słychać tylko otwieranie i zamykanie drzwi autobusu. Jeszcze przysypiają. Położyli się późno, słuchali w radiu programu *Lovin' Fun*. Dwaj znani prezenterzy, Doc i Difool, odpowiadają na pytania: tożsamość płciowa, pożądanie, trądzik, strach, fobia, punkt G, wstyd, prezerwatywa, lubrykant, sodomia. Słuchacze przyklejeni do głośnika próbują rozpoznać głos osoby, która zebrała się na odwagę, by zadać te zasadnicze pytania lub opowiedzieć w audycji na żywo o własnych uczuciach czy seksie. „Moja dziewczyna w ogóle nie robi się wilgotna, co mam robić?"

Kolejne pół godziny licealiści spędzają na zadaszonym dziedzińcu, gadają, palą, kończą zadania domowe, kryjąc się po kątach, żeby nikt ich nie przyłapał. Krzyżykiem zaznaczają w kalendarzu koniec szkoły i początek wakacji. Zastanawiają się nad tematem najbliższej klasówki. Mówią o AIDS, o głodzie na świecie, o tym, jak zrobić dziury w dżinsach,

o stylu grunge, konflikcie izraelsko-palestyńskim, serialu *Beverly Hills*. Dziewczyny chcą być podobne do Madonny albo do Mylène Farmer, czytają Verlaine’a, chłopcy – do Kurta Cobaina lub do Bono i podziwiają w telewizji Jima Couriera i Youriego Djorkaeffa.

Lekcje zaczynają się o ósmej.

Chociaż są już w liceum, nadal wspólnie odrabiają zadania domowe. Étienne’owi wciąż nie chce się pracować. Ociąga się, zagląda do notatek Adriena i Niny, często ściąga. W każdą niedzielę po południu przychodzi do niego korepetytor, nauczyciel matematyki, żeby pomóc mu nadrobić zaległości. Étienne nie ma odwagi sprzeciwić się rodzicom: „No nie, to przecież niedziela!”.

Ojciec zawsze patrzy na niego z rozczarowaniem albo z obojętnością, trudno powiedzieć. A przecież Étienne widzi, jak Marc Beaulieu spogląda na starszego syna, jak uśmiecha się do niego. Louise też zawsze obdarza spojrzeniem pełnym uczucia. A wobec niego – nic. Obojętność. Jakby się zmuszał, żeby go w ogóle dostrzec.

Około wpół do ósmej, kiedy Pierre Beau kręci się po kuchni, szykując kolację, Adrien i Étienne wracają do siebie.

Na Adriena czeka matka. Przegryzają coś w salonie, oglądając wieczorne wiadomości. Adrienowi to odpowiada; nie umiałby siedzieć z nią przy stole twarzą w twarz w kompletnej ciszy. Mimo huku bomb i strasznych obrazów z wojen domowych czy innych konfliktów, tace z jedzeniem przed telewizorem przypominają mu, że każdy wieczór można spędzać jak na wakacjach, że to taki piknik pod dachem.

Étienne wraca do domu niechętnie. Kiedy mrok zapada już o siedemnastej, ogarnia go strach. Gdyby mógł, upijałby się co wieczór, żeby pozbyć się tego ucisku w żołądku, który zaczyna mu dokuczać, gdy tylko zrobi się ciemno. Whisky z colą przynosi ulgę, sprawia, że wszystko

go rozśmiesza, wydaje mu się, że frunie w powietrzu, jakby każdą część jego ciała wypełniał hel.

W domu Étienne wpada na Louise. Siostra go nie interesuje, ledwo się z nią wita. Schodzi do piwnicy, żeby pograć na syntezatorze. Potem przy barze w kuchni jedzą razem z Louise kolację, przygotowaną przez panią Rancoeur, która przed wyjściem stara się zadbać o dzieci.

Po kolacji Étienne znów schodzi na dół, żeby pograć na keyboardzie albo konsoli. Gdy koło dziewiątej wracają rodzice, idzie na górę i zamienia kilka słów z matką – „Co w szkole? Byłeś dobry dla siostry? Jadłeś kolację? Idziesz pod prysznic?” – po czym wchodzi na piętro do swojego pokoju i ogląda telewizję albo czasopisma pornograficzne, które zwędził spod sterty prześcieradeł z szafy brata, Paula-Émile’a. Pisma są stare, mają pozaginane rogi, ale dziewczyny w nich zawsze wyglądają na dwadzieścia lat. Masturbuje się i zapada w ciężki sen.

W lutowy poranek 1993 roku uczniowie nie wsiadają do zwykłego autobusu. Rozmawiają głośno, śmieją się. Zeszyty i książki zostawili w domu, zapomnieli o zmęczeniu. Ostatki! Uczniowie i nauczyciele z całego regionu jadą do Chalon-sur-Saône, gdzie ma się odbyć wielka parada na zakończenie karnawału. Każdy trzyma na kolanach torbę z kanapką i butelką wody.

Chłopcy przebrani za dziewczyny, w perukach i butach na wysokich obcasach, dla żartu unoszą spódnice, pokazując owłosione długie nogi. Inni, w strojach Biomana, Dartha Vadera i Spider-Mana, patrzą na pejzaż za oknami i rozmawiają o wczorajszym programie w telewizji. Étienne jest przebrany za amerykańskiego futbolistę; z powodu kasku trudno mu flirtować z koleżanką z 1C. Dziewczyna siedzi mu na kolanach, konkretnie na lewym udzie. Przesadnie gestykuluje, mówi zbyt głośno, dotyka jego

rąk, pochyla się nad nim. Nina, przebrana za wróżkę, chętnie by ją parę razy zdzieliła swoją czarodziejską różdżką.

– Ależ ona mnie wkurza! Aż mnie świerzbi, żeby jej potargać te ułożone włoski – skarży się rozdrażniona Adrienowi.

Adrien, w ponurym nastroju, odkąd weszli do autokaru, odpowiada:

– Jesteś zazdrosna!

– Ciekawe o co! Ciągle jakaś się koło niego kręci, ale ta mnie wyjątkowo wkurza! A poza tym, co się z tobą dzieje? Od rana jesteś nadąsany.

– Nic się nie dzieje, wszystko w porządku – odpowiada Adrien.

– Nie wydaje mi się. Ten kostium kowboja tak cię martwi?

Adrien wzrusza ramionami. Co za bzdury. Po głowie snują mu się trzy piosenki Étienne'a Daho. *Il ne dira pas*, *Mythomane* i *Cow-boy*.

Kowboju, wracaj na konia, do karabinu,
Parking jest pełen, przewróć stronę komiksu…

Louise siedzi z przodu z licealistami z pierwszych klas. Najmłodsi siadają na początku.

Zawsze znajdą się mniejsi od ciebie, myśli Adrien. Ci, których ustawia się z przodu na zbiorowym zdjęciu.

Louise nosi strój Kolombiny. Na policzku ma namalowane trzy czarne łzy. Od czasu do czasu się odwraca, patrzy na brata, Ninę i Adriena. Gdy napotyka spojrzenie Adriena, ten nie spuszcza wzroku, tylko lekko się uśmiecha.

Mają wspólne sekretne wspomnienia z Saint-Raphaël.

Adrien ma ochotę wyć. Tylko spokój! Wbija paznokcie w dłoń. Widzi, że Nina się martwi, że oczy ma pełne łez. Jej śliczna buzia jest smutna!

Adrien ciężko wzdycha. Daje jej kuksańca i Nina spogląda na niego ponuro. Adrien pokazuje swój zabawkowy rewolwer przyczepiony do paska, wyciąga go i celuje w dziewczynę, która siedzi na Étiennie.

– Mam ją załatwić? – pyta.

Nina wybucha śmiechem.

27

12 grudnia 2017

Nie śmiem wyjąć Nicoli z pudełka. Boję się, że coś mu zrobię, jest taki delikatny. Mruczy przez sen. Nie rozpakowałam jeszcze żwirku i kuwety; są w papierowej torbie z reklamą Label Nature. Wszystko postawiłam na środku pokoju. Patrzę na kociaka, przypominając sobie głupstwa, które zrobiłam w życiu. Lista jest długa, zaczyna się dawno temu. Przyniesienie do domu czerwonej rybki z wesołego miasteczka. Wagarowanie, oszukiwanie, kradzieże w sklepach, prowadzenie po alkoholu. Puszczanie petard w opuszczonym ogrodzie, zostawienie odkręconej wody podczas napełniania wanny, oświadczyny, niewłaściwa odpowiedź, niewłaściwa osoba, przeczucie, że to złe, a jednak pójście za tym, obietnice bez pokrycia. Spóźnienie na pociąg, zaciągnięcie kredytu konsumenckiego. Odwołanie w ostatniej chwili tego, na co czekało się od lat. Wyjście w zimny dzień z gołymi ramionami. Tchórzliwe opuszczenie głowy, żeby się z kimś nie przywitać, bo to nie ten dzień i nie ta chwila, i żałowanie tego całe życie. Podpisanie u notariusza aktu sprzedaży i wycofanie się. Podły alkohol, straszne imprezy, słynny kieliszek za dużo, okropne przebudzenia. Wejście do samochodu z nieznajomym. Kupienie swetra we wzory, żeby nie nosić ciągle czerni, i niezałożenie go ani razu. Nabycie ostatniej

powieści pisarza, którego książek nigdy nie dało się rady przeczytać, bo „tym razem na pewno”. Wyprzedaże, stragany, węszenie, plotkowanie, krytykowanie, wyśmiewanie, za małe spodnie, kupione na „jak się schudnie”, wszystkie te rzeczy w szafach naszego życia, które tworzą nasze życie.

I jeszcze: wstyd, że znam Ninę, kiedy miałam dwadzieścia cztery lata. Natknięcie się na nią w Paryżu w holu sali koncertowej i okropne zachowanie. Nina podchodzi, obejmuje mnie. Ja się kurczę. Wita mnie, szczęśliwa ze spotkania, nieśmiała. „Cześć, widzisz, przyszłam, jestem z ciebie dumna!”

– Ach, no tak, cześć!

Naprawdę. Odpowiedziałam tylko: „No tak, cześć!”. Boże.

Ale wstyd! Jestem młodą, elegancko ubraną osobą. Moje nazwisko na afiszu reklamującym sztukę, którą Nina przyszła zobaczyć. Uważam się za kogoś, kim nie jestem. Za kogoś, kim się zresztą nigdy nie jest. Nigdy nie uważać się za kogoś, kim się nie jest.

Słyszę jej prowincjonalny akcent. Słyszę tylko to. A przecież Nina nie miała śladu akcentu. Ale ja chcę rozmawiać wyłącznie z tymi, którzy potrafią mówić, używają pięknych słów. Nie z mieszkańcami La Comelle, którzy kojarzą mi się z dzieciństwem i dorastaniem. O tym chcę zapomnieć, bo wyrzekam się prowincjonalnych korzeni.

Nina blednie, uśmiecha się, wciśnięta w ubrania, które, jak widzę, są nowe – wystroiła się na tę okazję. Chciała mi zrobić niespodziankę.

Zostaje jednak, nie odchodzi, nie pokazuje mi pleców, zajmuje miejsce na widowni, z biletem w dłoni, z biletem, który kupiła w kasie.

Nie dostała zaproszenia.

Siedzi z tyłu. Widzę, jak na zakończenie entuzjastycznie bije brawo.

Robię wszystko, żeby zniknąć za kulisami. Ona pewnie chwilę czeka przed teatrem.

Nikogo nie spotkać. Wrócić do domu sama. Znaleźć dla siebie okoliczności łagodzące.

Wstydu i żalu nie da się złagodzić nawet po latach.

28

12 grudnia 2017

Drzwi otwiera jej Romain Grimaldi. Widzi tylko jej czarne oczy, błyszczące jak żywy ogień.

Nina mówi „dobry wieczór” i rzuca płaszcz na krzesło. Pozbywa się zimna, zostawia je daleko od siebie. Dmucha w dłonie. Na kanapie leży Bob, podnosi łeb, rozpoznaje ją, podbiega się przywitać.

– Cześć, staruszku!

– Napije się pani czegoś? – pyta Romain.

Odwraca się ku niemu, wbija w niego wzrok, podchodzi bliżej. On uśmiecha się, najwyraźniej skrępowany.

Nina zaczyna mówić.

– Moje ciało od lat jest martwe. Skóra bez dotyku umiera. W ciele, na które nikt nie patrzy, zawsze panuje zima. Warstwy zimna nakładają się jedna na drugą. Wieczny śnieg. Inne pory roku nie istnieją. Żadnych pragnień. Żadnej nadziei. Ciało zamarzło w przeszłości, gdzieś tam. Nie wiem gdzie. Ciało się boi. Ja się boję. Moje ciało nie istnieje w teraźniejszości. Chciałabym się kochać. Chciałabym zobaczyć, czy ono

wszystko zapomniało. Czy jeszcze coś pamięta. Pan mi się podoba. A ja, podobam się panu?

– Tak – odpowiada Romain.

Jest to „tak” pytające. „Tak” nieufne. Które boi się jej, boi się jej szczerości. Z muzyką w tle zwiastującą zagrożenie.

– Napiłabym się czegoś mocniejszego – mówi Nina.

– Ja też – odpowiada Romain.

Idzie do kuchni. Nina słyszy, jak otwiera szafkę i wyjmuje kieliszki. Jej serce bije tak szybko jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyła morze. Bierze głęboki wdech, rozgląda się po salonie. Lampy, książki, niski stolik, telewizor włączony, ale bez dźwięku, jakiś film dokumentalny o Indiach, Ganges, kobiety w sari. Nie zastanawiać się. Raz w życiu zaufać sobie.

Romain wraca z dwoma kieliszkami wypełnionymi brązowym alkoholem, chyba bourbonem. Wypijają jednym haustem, patrząc sobie w oczy. On jest ubrany tak jak ona, w dżinsy i czarny sweter. Wyglądają jak bliźniaki, które matka ubrała tak samo.

On otwiera usta, żeby coś powiedzieć, pochylają się ku sobie w tym samym momencie. Pocałunek. Żadne nie zrobiło pierwszego kroku, zrobili to jednocześnie. Mimo drżenia, kilku niezręcznych ruchów, umieją się odnaleźć, dotknąć. Odkrywają znów łagodność gestów, ich powolność i szybkość. Próbują. On zdejmuje sweter, T-shirt. Ninie podoba się zapach jego skóry – to pierwszy krok. Gdy polubi się czyjś zapach, gdy ten zapach przypomina coś miłego, rodzinnego, sprawa jest wygrana. Romain dobrze całuje.

A więc nie pomyliła się. Delikatny, zniewalający.

Czuje jego język. Naprawdę nie myślała, że coś takiego jeszcze jej się przydarzy. To nie ona.

Nie uświadamia sobie w pełni, co się dzieje. Jest jak zahipnotyzowana, to nierealne. Dotyka jego gęstych włosów, nagle chciałaby go wciągnąć w siebie. Jego zarost trochę kłuje ją w policzki, brodę, usta. Teraz ona ściąga ubranie. On smakuje jej ciało, słodycz wakacji.

– Chodźmy do sypialni, będzie wygodniej – proponuje.

– Niech pan zgasi światło – mówi Nina.

Jest pewna, że chce ciemności? Tak, jest pewna.

Romain się uśmiecha. Uśmiechają się oboje.

Przed pójściem na górę nalewa im po drinku. Ostatni na drogę. Tyle drogi do pokonania! Schody. Bose stopy na dywanie. Potargani, rozpaleni, sklejeni wilgotnymi ciałami. Jęczą. Preludium. Nie ma nic wspanialszego niż gra wstępna, myśli Nina. Młodość, która nie przemija… To lepsze nad wszystkie obietnice. Nad słowa, których trzeba dotrzymać. Obejmują się, przylegają do siebie, spotykają się, dotykają, mają czas. Cała noc przed nimi. To jest ich noc. Wspaniała chwila. Pełnia.

29

Maj 1994

– Jestem w ciąży!

Nadzy w pokoju Étienne’a. Étienne koniuszkami palców ściąga prezerwatywę. Clotilde leży obok z podkulonymi nogami. Étienne patrzy na jej usta. Gryzoń. Zawsze tak myślał. Te usta są brzydkie, wąskie, za małe. Na dodatek ona je maluje, przez co uwydatnia tę wadę. Białe zęby, równe, ale trochę wysunięte do przodu. Niebieskie oczy, które podkreśla fioletem. To jej mocny punkt. Wszyscy patrzą najpierw na jej oczy. Dziewczęta i chłopcy. Mały prosty nosek. Biała skóra. Jak mleko. Étienne uwielbia jej piersi, jasnoróżowe sutki, jej twardy brzuch. Ciało atletki. Niewysoka, troszkę wyższa od Niny. Étienne wszystkie swoje zdobycze porównuje z Niną. Nigdy nie z Louise. Louise jest jego siostrą. Nie można porównywać dziewczyny z młodszą siostrą. Nina to ktoś inny niż siostra, nie wiadomo, jak ją określić. Przyjaciółka z dzieciństwa. Tak ją przedstawia: „Przyjaciółka z dzieciństwa”. To uwalnia go od głupich wyjaśnień typu: to nie jest moja dziewczyna, stale przebywamy razem, ale nie jesteśmy razem. „Mój najlepszy przyjaciel” – tak mówi o Adrienie. Nawet jeśli tak nie myśli. Adrien to też coś innego. Kiedyś nie robili niczego razem, jeśli nie było z nimi Niny. Od swoich czternastych urodzin

Adrien przychodzi do niego sam, grać na syntezatorze i na konsoli. Konsola jest na stałe podłączona do telewizora, obok leżą pady. Siadają na starej kanapie, wybierają *Mortal Kombat* albo *Sonic* i grają godzinami. Kiedy przychodzi Nina, Étienne niechętnie odstępuje jej swój pad, ale ona szybko traci cierpliwość, co irytuje chłopców.

Étienne zaciąga się skrętem. Zamyka oczy. Otwiera je, dopiero gdy słyszy słowa Clotilde:

– Nie wiem, co zrobiłam z tą cholerną tabletką.

Étienne milczy. Przykrywa podbrzusze prześcieradłem, jakby nagle zawstydził się tej bliskości i chciał jej położyć kres.

Myśli o ojcu. Jak on zareaguje, gdy się dowie. Polecą przekleństwa. Wreszcie będzie mógł się wyżyć. Do tej pory milczał, bo matka nie znosi, kiedy porównuje Étienne’a z Paulem-Émile’em. Ale jeśli się dowie, że jakaś dziewczyna zaszła w ciążę z jego synem, pozwoli sobie na wszystko.

– Niech to szlag! Co za gówniana sytuacja! – jęczy Étienne.

– Wiem – odpowiada Clotilde.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Byłaś u lekarza?

– Jeszcze nie.

– Trzeba się pospieszyć.

– Wiem.

– Za miesiąc matura.

W każdą środę po południu Clotilde i Étienne kochają się u niego. Zamykają się, robią to bez pośpiechu, najpierw rozgrzewka, eksperymenty. Dwoje siedemnastolatków, którzy badają, szukają i odkrywają przyjemność. Rekreacja, nic więcej. Miłość… Étienne odkłada to na

później. Przyszłość to dla niego ich trójka, on, Adrien i Nina, mieszkają razem, gdzieś w Paryżu.

Po raz pierwszy jednak spotyka się tak długo, bo aż pięć miesięcy, z tą samą dziewczyną. I po raz pierwszy czuje przy tym przyjemność.

Tak naprawdę nie uświadamia sobie jeszcze wagi komunikatu Clotilde. „Druga strona medalu”, powiedziałby ojciec. Po skręcie Étienne’owi trochę wiruje w głowie, miło. Dwoistość uczuć: jest tchórzem, chciałby uciec, ale jednocześnie jest z siebie dumny. Zrobił dziecko. Jakieś poczucie męskości powoduje, że prawie ma ochotę wypiąć pierś. Jednocześnie rośnie trwoga: być ojcem w wieku siedemnastu lat, co za koszmar! Ten koszmar zmusiłby go do pozostania w La Comelle. Żyć jak rodzice, Boże! Wychodzić do pracy wcześnie… wracać późno… Zapomnieć o marzeniach. Ten dzieciak zabrałby mu basen, deskorolkę, dyskoteki… i grałby na jego konsoli, podczas gdy on musiałby harować, żeby go wyżywić. Nigdy!

Za to Nina myśli tylko o tym. Wyjść za mąż, mieć dzieci i dom. Zgroza. Étienne nie może uwierzyć, gdy Nina otwiera przed nim serce i opowiada o tym wymyślonym życiu. Przejdzie jej, myśli, za chwilę jakoś urządzą się w Paryżu, przecież niewiele im potrzeba. Dadzą kilka koncertów tu i tam, staną się popularni i może nawet będą jeździć po całym świecie!

Étienne wciąga spodnie i T-shirt. Wybiera się do Niny, będzie Adrien, mają się uczyć. Wkuwają systematycznie i przepytują się wzajemnie. Bez nich Étienne nigdy nie dostałby się do liceum. Wciąż nie dowierza, że jest w klasie maturalnej! Czerpie z tego niemałe korzyści: dzięki dobrym wynikom w szkole rodzice poluzowali mu dyscyplinę. Jeśli chce w przyszłym roku wylądować w Paryżu, będzie musiał dostać się na jakąś wyższą uczelnię, obojętnie jaką. Rodzice nigdy nie puszczą go tam tak po prostu, żeby „oddał się muzyce”. Kiedy się nad tym zastanawia, oglądając w telewizji seriale kryminalne *Navarro* i *Komisarz Moulin*, wpada na

pomysł, żeby wstąpić do policji. Gliniarz i muzyk, to brzmi dumnie. No i w sporcie jest lepszy od innych.

Patrzy, jak Clotilde zakłada sukienkę. Ciąża. Tak samo nierealne jak okres Niny, którego dostała, kiedy miała dziesięć lat. Takie sprawy w jego świecie nie istnieją.

– Odwiozę cię – mówi do Clotilde.

Wychodząc, mijają Louise, która siedzi na kanapie zatopiona w lekturze. Wymieniają krótkie: „Cześć, do wieczora”. Étienne nie może zrozumieć, że ktoś czyta książkę, jeśli nie jest do tego zmuszony, po prostu dla przyjemności. Adrien i Louise wymieniają się książkami. Étienne czuje, że między jego siostrą a Adrienem coś się dzieje, ale udaje, że niczego nie widzi, chociaż to rzuca się w oczy. Nie widzieć, nie słyszeć.

Podaje Clotilde kask, ruszają, jadą szybko ulicami La Comelle. Clotilde przywiera do niego. Étienne ma ochotę gwałtownie zahamować, żeby spadła, żeby go puściła, żeby znikła. Jest przerażony tymi myślami. Właściwie z ulgą odstawia ją pod dom. Zanim się rozstaną, nalega jeszcze, żeby jak najszybciej poszła do lekarza. Trudno mu uwierzyć w tę historię. Jak zabawy w łóżku mogły doprowadzić do ciąży? Clotilde mówi, że regularnie bierze tabletki, on używa prezerwatyw… To prawda, czasem gumka się ześlizgnie albo pęknie, ale tak się zdarzyło najwyżej raz czy dwa.

– Idziesz do nich? – pyta Clotilde.

W tym pytaniu słychać wyrzut: odpuść wreszcie to towarzystwo, ciągle się razem włóczycie.

– Tak, mamy się uczyć.

Étienne wręcz ucieka do Niny, otwiera drzwi, wbiega na górę. Żadne z nich już od dawna nie puka ani nie dzwoni. Czują się jak u siebie w domu. Dorośli również do tego przywykli. Zakładali, że kiedyś im to

przejdzie, że to dziecięca przyjaźń, potem się zmienią i w gimnazjum znajdą sobie inne towarzystwo. Ale ponieważ są już w liceum i nie zamierzają się rozdzielać, dorośli się przyzwyczaili. Ich trójka to rodzina. Wzrastają razem. Nocują u siebie, dzielą się posiłkami i razem spędzają wolne dni. Są do siebie bardzo przywiązani. Matka Adriena po prostu uwielbia Étienne'a i Ninę, głaszcze ich po głowach, serdecznie obejmuje, wie, co im najbardziej smakuje, gotuje specjalnie dla nich. Dziadek przywiązał się do Adriena i Étienne'a jak do siostrzeńców czy bratanków, których nigdy nie miał. Rodzice Étienne'a zawsze biorą pod uwagę pozostałą dwójkę, planując obiady, a jeśli zdarzy się, że przez dłuższą chwilę nie widzą Niny czy Adriena i nie mają od nich wiadomości, zaczynają za nimi tęsknić. Od lat wszyscy mówią sobie na ty. Każda rodzina uczestniczyła w wychowywaniu dzieci dwóch pozostałych, obserwowała, jak się zmieniały. Jak dorastały.

Étienne wbiega po dwa schodki, pcha drzwi pokoju Niny. Nina i Adrien siedzą po turecku na podłodze. Zadają sobie pytania po angielsku. Étienne wita się i rzuca na łóżko. Nie lubi siedzieć na podłodze.

– Co ci się stało? – pyta Nina. – Jesteś cały blady. Jak ja po obejrzeniu *Egzorcysty*.

Étienne nie ma ochoty opowiadać. Trochę się wstydzi. Zazwyczaj on i Nina niczego przed sobą nie ukrywają, mówią otwarcie o wszystkim, co ich dotyka. Adrien słucha, ale zachowuje się bardziej dyskretnie. Rzadko bierze udział w tych zwierzeniach. I w przeciwieństwie do pozostałej dwójki nie porusza spraw seksu i miłości; mówi głównie o tym, jak nienawidzi ojca, o tym, co czyta, o tekstach piosenek. Kiedy zostają sami, Nina go męczy: „A ty się w kimś zakochałeś?", „Wolisz dziewczyny czy chłopaków?", „To prawda, że się kochasz w Louise?", „Już się całowaliście?", „Spałeś z nią?". Na co Adrien odpowiada niezmiennie:

„Kocham ciebie”. Ninę to irytuje. „Jesteś beznadziejny, nigdy nie odpowiesz szczerze. Zmieniasz temat. Ja ci wszystko mówię!”

W sobotnie wieczory chodzą do Club 4, dyskoteki odległej o trzydzieści kilometrów od La Comelle. Zawożą ich rodzice, raz jedni, raz drudzy, i odbierają ich z parkingu o czwartej rano.

Do wyjścia przygotowują się wspólnie, starannie wybierają stroje, wcześniej jedzą kolację, wypijają ukradkiem kilka kieliszków. Perfumują się i myją zęby, stojąc obok siebie ramię w ramię. Czasem Nina z Adrienem wymieniają się T-shirtami. Étienne, który jest dużo większy, nie może brać w tym udziału. Nina lekko się maluje, pod kontrolą chłopaków. „Nie za mocno, będziesz wyglądała wulgarnie”, poucza ją Étienne.

Oglądają kolorowe pisma, czeszą się tak jak gwiazdy rocka, dzielą się żelem do włosów. Étienne zaczesuje swoje blond loki na bok; koniecznie chce wyglądać jak Kurt Cobain, niedawno zmarły piosenkarz. Adrien suszy czarne kręcone włosy z głową w dół, marzy, żeby mieć urok Davida Bowiego. Nina dba o swoją krótką fryzurę, stara się upodobnić do młodej Debbie Harry. Ciągle zmienia kolor włosów. Eksperymentuje z różnymi rodzajami cięć.

Kiedy szykują się u Étienne’a, Louise zagląda do nich, do łazienki, w której pachnie perfumami, lakierem do włosów, papierosami, wódką i szamponem. Chciałaby iść z nimi do Club 4, kręci się, błaga rodziców, ale oni odmawiają: „Masz dopiero szesnaście lat”, mówią.

– Niedługo siedemnaście! A Adrien jest pełnoletni! Może mnie pilnować!

– Nie zawracaj głowy.

*

12 grudnia 2017

Club 4… Pamiętam, że w klasie maturalnej uwielbiałam tam chodzić. Spotykałam imprezowiczów z naszej klasy i młodych ludzi z okolicy. Club 4 był elitarny, nie każdego wpuszczano. Dzieciaki, pijani, źle ubrani zostawali przed drzwiami.

Docieraliśmy tam koło dwudziestej trzeciej, pierwsze dwa drinki przysługiwały w cenie wejściówki. Zresztą ktoś z nas zawsze wnosił pod płaszczem butelkę i dzieliliśmy się nią po kryjomu. Właścicielka klubu wiedziała, ale przymykała oko. Atrakcyjna młodzież w klubie przyciągała klientów.

W Club 4 spotykało się różnorodne towarzystwo: młodzi, starzy, geje, bywalcy nocnych klubów, małżeństwa, transwestyci. Jak na prowincję, lokal cieszył się sporą sławą, przyjeżdżali tu nawet ludzie z Paryża. Pamiętam, że w głębi sali znajdował się pokój, w którym nigdy nie byliśmy, ale wiedzieliśmy, że tam, za drzwiami osłoniętymi czerwoną kotarą, uprawia się seks.

Z perspektywy czasu wydaje mi się kompletną głupotą, że pozwalano nam chodzić do klubu, w którym działy się rzeczy na granicy przyzwoitości. Większość z nas nie była nawet pełnoletnia, a rodzice podwozili nas tam, jakby chodziło o „normalną” dyskotekę. Pewnie nie wiedzieli, że tam nic nie było normalne.

Najbardziej lubiliśmy wąchanie poppersów, które można było zwyczajnie kupić w barze. Przez cały wieczór wymienialiśmy się flakonikami i patrzyliśmy w lustra: wszystko wyglądało inaczej, obraz był rozmazany, niewyraźny, ziemia uciekała spod nóg, chichotaliśmy, mieliśmy poczucie, że wkraczamy w zakazane rejony.

Muzyka była wspaniała. DJ, egzaltowany artysta, miksował najczęściej elektro i techno. Ten rytm dodawał nam skrzydeł, przyspieszał puls. Tańczyliśmy przytuleni, pijani wspólnie odkrywanymi nowymi doznaniami. Udawaliśmy, że jesteśmy dorośli, wolni i nie mamy zahamowań, chociaż byliśmy tylko dziećmi, które całują się w usta i dopiero zaczynają poznawać swoją seksualność.

O pierwszej w nocy DJ przerywał elektroniczne eksperymenty i nasze miejsce na parkiecie zajmowali transwestyci w obcisłych sukniach obszytych cekinami. Naśladując amerykańskie gwiazdy, śpiewali *I Will Survive* Glorii Gaynor, *I Feel Love* Donny Summer, *One Way Ticket* Eruption.

Po tym przedstawieniu zawsze odbywała się gra w butelkę. Nina, gdy znalazła się w środku kółka i musiała kogoś pocałować, nigdy nie wybierała Étienne’a. Zbyt ryzykowne. Zbyt skomplikowane. Gdyby zaczęli flirtować, naraziliby przyjaźń na niebezpieczeństwo. Poza tym za dobrze się znali. Tylko osoby nieznajome wydawały im się intrygujące i godne pożądania. Byli jak stare małżeństwo, które tak naprawdę już na siebie nie patrzy.

Adrien nigdy nie brał w tym udziału. Siedział przy barze i uśmiechał się, z daleka obserwując Ninę i Étienne’a. Iluż chłopców i dziewcząt chciało pocałować Étienne’a. Miał największe powodzenie, bez przerwy wybierano go do środka. Uwielbiał to, całował się chętnie z dziewczynami, a jeśli był pijany, zdarzało mu się również dotknąć ustami chłopięcych warg. W klasie maturalnej, kiedy spotykał się z Clotilde Marais, miał dodatkowy powód, żeby w tej zabawie odpowiadać na pocałunki innych dziewczyn. Były usprawiedliwione grą, więc Clotilde nie mogła być zazdrosna. Choć czasem się dąsała, jeśli pocałunek trwał zbyt długo. Albo

w zemście sama zapraszała do kółka innego chłopca. Étienne tego nie znosił. Być zdradzonym na oczach innych? Lepiej zginąć!

Nina wciąż jeszcze z nikim nie „spała”, jak to określano. Ciągle o tym myślała. To była jej obsesja. Chciała to zrobić z chłopakiem, w którym byłaby zakochana. Zwłaszcza pierwszy raz. Oszalała na punkcie pewnego Alexandre’a, z którym jak dotąd wymieniła zaledwie krótkie: „Cześć, co słychać?”, „W porządku, a u ciebie?”, „Okay, baw się dobrze!”, po czym cała drżąca i blada zapadła w stan błogości. Alexandre pojawiał się w klubie zwykle o drugiej nad ranem. Gdy Nina w półmroku wyczuwała jego obecność, dostrzegała sylwetkę, ubranie, schodziła z parkietu. Krążyli wokół siebie, starali się być blisko, ale on miał dziewczynę, która nie opuszczała go na krok. Nawet gdy Alexandre szedł do toalety, stała przed drzwiami jak ochroniarz. Wiedziała, że Nina też korzysta z męskiej toalety, żeby nie stać w kolejce. Jedyny raz, gdy znaleźli się blisko siebie, Alexandre przycisnął Ninę do ściany, przykleił się do niej i pocałował ją zmysłowo. Nina poczuła się znokautowana. Gdy otworzyła oczy, jego już nie było.

Czuła na sobie spojrzenia Alexandre’a, uśmiechali się do siebie, mieli nadzieję na coś więcej, czasem ocierali się ramieniem czy dłońmi, ale pijawka czuwała. Był z nią, odkąd skończyli czternaście lat. Młodzi, a już starzy, jakby duchowe małżeństwo, tyle czasu razem. „On jej już nie kocha, ale nie ma odwagi z nią zerwać”, usłyszała kiedyś Nina od wspólnej koleżanki.

Nina lubiła marzyć o tej niespełnionej miłości, wyobrażać sobie, że kiedy wreszcie Alexandre będzie wolny, zostaną parą.

Alexandre miał dwadzieścia jeden lat, studiował prawo w Dijon i mieszkał z Wampirzycą. Jednak w głębi duszy Nina wyobrażała sobie idealną przyszłość: mieszkanie, czerwoną kanapę, dobrze wyposażoną

kuchnię i tego księcia z bajki do kompletu. Każdemu, kto chciał słuchać, mówiła, że po ukończeniu liceum pojedzie do Paryża z Étienne’em i Adrienem i tam wspólnie się urządzą. Ale wewnętrznie wciąż była rozdarta: jednego dnia marzyła o miłości dostarczonej na zamówienie razem z dziećmi i instrukcją obsługi, a drugiego o nieograniczonej wolności, o kochanku w każdym kraju, który będzie odwiedzać jako malarka, piosenkarka, artystka życia.

Tak sobie marzyła, ale jedno było pewne: nikt jej nie oddzieli od Adriena i Étienne’a.

30

12 grudnia 2017

– Czy tak robisz z każdym facetem, który właśnie przygarnął psa z twojego schroniska?

Nina uśmiecha się.

– Ile masz lat? – pyta Romain Grimaldi.

– W latach psich czy ludzkich?

– Jak się liczy lata u psa, bo zapomniałem?

– To zależy od wielkości. Ja mam pewnie jakieś sto osiemnaście lat, a ty?

– Tyle samo.

– No to idę – mówi Nina.

– Możesz zostać.

– Od wieków nie spałam z kimś w jednym łóżku.

– To bardzo długo.

– A ty?

– Co ja?

– Od jak dawna z nikim nie spałeś?

– Chyba też od wieków.

– Nie jesteś żonaty?

– Jestem rozwiedziony. A ty?

– Też.

– To już mamy dwa punkty wspólne.

– Masz dzieci?

– Nie. A ty?

– Też nie. Nie wiem, jak się mówi o kobiecie i mężczyźnie, którzy nie mają dzieci.

– Sieroty? Zagubieni, nieprzystosowani, bezdzietni, szczęściarze, egoiści, bezpłodni, bezbrzuszni, bezpieluszkowcy, bez-szaleństwa, bez-kłopotów, bez-potomków, wesołki, wiecznie starzy, wiecznie młodzi, wieczne dzieci, bez-znaczenia, bez-radości, bez-wyprawki, bez-wózka, bez-życia-po-życiu, z gatunku Tylko Kot Przyjdzie Na Twój Pogrzeb… – Nina wybucha śmiechem.

– Jesteś cholernie ładna, kiedy się śmiejesz – mówi Romain Grimaldi.

– Jestem jeszcze pijana. Twój burbon mnie załatwił.

– Na trzeźwo się nie śmiejesz?

Nina wstaje i ubiera się.

– Mężczyzna może mieć dzieci do osiemdziesiątki. Chaplin, na przykład, bardzo późno został ojcem. Masz jeszcze szansę.

– Co za szczęście! A ty już jej nie masz?

– Na to wygląda.

– Odwieźć cię?

– Nie, pójdę pieszo.

– Spotkamy się jeszcze?

– Tak, jeśli adoptujesz drugiego psa.

Romain uśmiecha się.

– Już ci się nie podobam?

Nina nie odpowiada. Odwraca się, idzie na dół, żeby znaleźć dżinsy i sweter porzucone w salonie. Resztki miłości. Telewizor wciąż włączony, program się zmienił, czarno-białe obrazy, Hitler, tłum, swastyki. Bob nie rusza się z kanapy, patrzy na Ninę pięknymi smutnymi oczami.

– Cześć, staruszku! – mówi Nina, wkładając płaszcz. Nie wraca na górę, żeby pożegnać się z Romainem. Wyśle mu wiadomość. Coś prostego. *Dzięki za przywrócenie do życia* albo zwyczajnie *Dziękuję*. Albo: *Do zobaczenia, dzięki*.

Po cichu zamyka za sobą drzwi. Na ulicy wraca do niej pytanie: „Już ci się nie podobam?”. Nie, myśli Nina, jesteś zbyt wygadany, nie ufam ludziom, którzy za dużo mówią.

Wzdryga się. Nie żałuje, że przyszła. Bliskości się nie zapomina.

31

15 grudnia 2017

Znajduję Nicolę w pudle na strychu. Szukałam go przez godzinę. Popłakałam się ze strachu, że wybiegł, gdy rano otworzyłam drzwi. Podnoszę go delikatnie i mocno przytulam.

– Co ty tutaj robisz? – pytam, głaszcząc jego miękkie futerko.

Włącza swój motorek do mruczenia. Lubię jego ciepło, zapach. Zaledwie kilka dni temu trafił do mnie w pudełku po butach, a już rozstanie wydaje się nie do pomyślenia. Oddanie kociaka rodzinie, która zaopiekuje się nim lepiej niż ja? Bo ja nie potrafię? Ta kulka futra z bijącym sercem, która je, biega, śpi i miauczy, już potrafi odnaleźć mnie wśród innych ludzi. Oto stałam się odpowiedzialna za czyjeś życie. Ja, która nie pragnęłam niczego, otrzymałam wszystko.

Kociak spał na moich dyplomach. Zdmuchuję z nich jego sierść, nim zamknę kartonowe pudło… Odkąd tu zamieszkałam, ani razu nie wyjęłam tych dyplomów. Po co? Oprawić je i powiesić na ścianie, żeby robiły wrażenie na tych kilku osobach, które mogłyby do mnie wpaść? Sterta bezużytecznych trofeów. Ach, przepraszam, posłanie dla mojego kotka.

Ich nazwiska na liście:

Nina Beau – przyjęta, z wynikiem dobrym.

Étienne Beaulieu – przyjęty.

Adrien Bobin – przyjęty, z wynikiem bardzo dobrym.

Wstrzymywali oddech, czekając na ogłoszenie wyników. Żeby mieć pewność i nie ucieszyć się przedwcześnie. I oto je widzą! Jednocześnie wybuchają radością. Nawet powściągliwy zwykle Adrien, który mówi tak cicho, że zawsze trzeba prosić, żeby powtórzył, wydaje z siebie okrzyk godny Tarzana. Nina szlocha w ramionach dziadka.

– Zdałam, dziadku, zdałam!

Pierre Beau nie może powstrzymać łez, patrzy w niebo i dziękuje Odile.

Za życie, za miłość

Za noce, za dnie

*Za wieczny powrót szczęścia…**

Étienne, pijany szczęściem, przechodzi z objęć Niny w objęcia Adriena, powtarzając:

– Dzięki, przyjaciele, dzięki!

Pierwszy raz obejmuje Adriena. Potem napotyka wzrok ojca, bardzo wymowny, więc rzuca się matce na szyję, a matka szepcze:

– Gratulacje, synku, brawo! Widzisz, wystarczy chcieć.

Marc Beaulieu milczy, stoi z boku. Étienne nie zdobył wyróżnienia.

W każdym rodzeństwie jest jakaś czarna owca.

Joséphine również szlocha, przytulając Adriena. Stoją tak długo. Zdołała go wychować całkiem sama. Co powie jego ojciec, gdy się dowie, że syn zdał maturę z wynikiem bardzo dobrym? Co pomyśli? Przecież zawsze uważał ich oboje za błąd młodości.

Adrien, Nina i Étienne opuszczają swój krąg, idą do kolegów i koleżanek podzielić się radością. Szczęśliwa Joséphine proponuje, by wszyscy poszli do niej, żeby spontanicznie świętować.

– Musimy się tym wspólnie nacieszyć, z trójką naszych dzieci i tymi, którzy zechcą przyjść, na pewno każdy się zmieści! – mówi wesoło. Wszyscy chętnie przyjmują zaproszenie.

Razem z Louise, moją najlepszą przyjaciółką, dyskretnie obserwujemy innych z daleka, bez afiszowania się. Louise właśnie zdała wcześniejszą maturę z francuskiego, dostała 17 na ustnym i 19 na pisemnym. Chce zostać lekarką i wie, że nic jej nie powstrzyma. To najbardziej u niej lubię, tę determinację.

Clotilde odnajduje Étienne'a w tłumie uczniów i zawisa mu na szyi. On ją całuje, odwzajemnia uścisk. Po aborcji jakoś nie ma odwagi się z nią rozstać. Poszedł z nią do szpitala, czekał, odwiózł do domu. Ciężar poczucia winy. Czeka na lipiec, zaczną się wakacje, zerwie z nią po powrocie. We wrześniu ona wyjedzie na studia do Dijon, a on przeniesie się do Paryża. Ich związek stanie się odległym wspomnieniem. „Kocham cię!", szepcze mu do ucha Clotilde. Étienne lodowacieje. „Ja też", rzuca oschle.

Szósta po południu. Jesteśmy wszyscy u Joséphine. Szeroko otwarte okna wpuszczają lipcowe słońce. Ponad dwadzieścia osób w maleńkim mieszkanku. Joséphine rozsypała do misek duże torebki orzeszków ziemnych, na niskim stoliku postawiła butelki porto, martini, whisky i pastisu.

– Proszę bardzo, częstujcie się! Lód jest w lodówce.

Palacze mają do dyspozycji maleńki balkon. Ze strachu, żeby się nie urwał, wychodzimy maksymalnie po dwie osoby naraz.

W oparach alkoholu gadamy o planach na przyszłość. Inne miasta, inne miejsca. Dijon, Chalon-sur-Saône, Autun, Paryż, Lyon. Większość

maturzystów idzie na studia. Adrien, Nina i Étienne złożyli podania o miejsce w akademiku w Paryżu. Na mieszkanie ich marzeń jeszcze przyjdzie czas. Étienne ma niewielkie szanse na akademik, ale matka obiecała, że wynajmie mu pokój blisko Adriena i Niny. Oni dostaną stypendia i będą pracowali dorywczo. Trójka dzieciaków z La Comelle decyduje o swoim przyszłym losie: Adrien pójdzie na kurs przygotowawczy na wyższe studia, Étienne przystąpi do egzaminu konkursowego, żeby dostać się do policji, Nina wybiera się na Akademię Sztuk Pięknych. Zgadzają się na wszystko, pod warunkiem że zostaną razem i będą mogli tworzyć muzykę, to ich skryte marzenie. Grać w knajpach. Na ulicach. W metrze. Nagrać płytę.

Tamtego wieczoru trzymam się blisko Louise i korzystam z tych szczęśliwych chwil, sącząc porto Joséphine. Obserwuję ją, jak się krząta. Była tu, już jest tam, a zaraz znów tu wróci. Nigdy nie zapomnę dumnego, zdecydowanego spojrzenia, jakim Pierre Beau obrzuca wnuczkę, ani Marie-Laure, która nie zwraca w ogóle uwagi na ponurą minę męża, tylko pije jedno martini za drugim. Uśmiechnięte twarze rodziców, zbiorowa ulga: wreszcie koniec, matura w kieszeni.

Bez przerwy toasty: „Za nasze dzieci!”.

Zauważam również, że można czuć się jak w raju w byle jakim mieszkanku, czterdzieści pięć metrów kwadratowych, czwarte piętro bez windy, bez krzty uroku, chyba że jest to urok życia toczącego się w tym wnętrzu. Jest tu radość, której nie można kupić. Tamtego wieczoru napawam się naszą młodością, naszymi nadziejami, nadziejami rodziców, którzy w nas wierzą, szczęściem, jakie mieliśmy, dorastając na prowincji, co w jakiś sposób nas chroniło.

A ja? Co będzie ze mną? Co wybiorę? Co zdecyduję? Co zrobię ze swoim życiem?

Po przyjęciu u Joséphine maturzyści umawiają się na spotkanie o dziesiątej wieczorem na brzegu Leśnego Stawu. Zalecenie: przynieść tyle alkoholu, ile się da.

Spotykamy się wieczorem wokół ogromnego ogniska. Jest nas ponad setka. Dołączyli też młodsi licealiści, więc jest i Louise. Pijemy piwo, whisky, śpiewamy i tańczymy. Étienne przytargał magnetofon i dwa głośniki. Inni przynieśli kasety: Nirvana, Bruce Springsteen, NTM, Mano Negra, IAM. Bez końca wyśpiewujemy chórem strofy piosenki KOD:

Każdy wybiera swoją drogę
Każdy wybiera swój głos
Każdy wybiera swoje marzenie
Każdy wybiera swój los…[**]

O jedenastej prawie wszyscy jesteśmy w wodzie, rozebrani do bielizny. Niektórzy chłopcy pływają nago. Część dziewczyn została przy ognisku. Nie chciały się rozbierać przy wszystkich. Wśród nich są Louise i Clotilde.

Gdy ostatnia grupa zbiera się do domu, zaczyna już świtać.

---

[*] Joe Dassin, *A toi*.

[**] *Chacun sa route*.

32

Piątek, 15 lipca 1994

Pierre Beau odprowadza Ninę pod drzwi firmy Transports Damamme. Nie chciał, żeby starała się o wakacyjną pracę na poczcie, chociaż dzieci pracowników mają pierwszeństwo podczas zatrudniania. Woli, żeby wnuczka nie miała nic wspólnego z listami, z daleka czy z bliska. Nie wie, że ona wciąż w nich grzebie, że wykrada i otwiera niektóre koperty, delektuje się słowami innych. To silniejsze od niej, jak skrywany nałóg.

– Dobrego dnia, powodzenia, kochaneczku.

Często do niej mówił „kochaneczku”. Gdy była dzieckiem, spytała go: „Dziadku, dlaczego mówisz do mnie »kochaneczku«, przecież jestem dziewczynką”. Odpowiedział jej: „Duszek jest rodzaju męskiego, a ty jesteś moim duszkiem”.

– Do wieczora, dziadku!

Nina wchodzi do recepcji.

– Dzień dobry, nazywam się Nina Beau, to mój pierwszy dzień.

Tę pracę pomogła jej znaleźć mama Étienne’a. Poradziła, jak napisać życiorys, i osobiście zaniosła go do kierownika kadr, swojego dobrego znajomego. Ninę prowadzą do biurka; będzie je zajmowała przez najbliższe

półtora miesiąca. Zastępuje pannę Dalem, która jest na urlopie. Przejdzie dziesięciodniowe szkolenie, przekona się, to nic trudnego: przyjmowanie i wysyłanie faksów, układanie faktur według alfabetu w archiwach w podziemiu, pisanie listów na maszynie.

– Znasz Word?

– Tak.

– Nie robisz zbyt wielu błędów ortograficznych?

– Nie.

W tej samej chwili Étienne siedzi z tyłu w samochodzie ojca, obok Louise. Ulżyło mu, gdy rano wyjechali z La Comelle. Nie jest już w stanie patrzeć na Clotilde. Gdy wspomniała, że może wpadnie do Saint-Raphaël, od razu odpowiedział, że jego tam nie będzie. Że tego lata z całą rodziną wybierają się jachtem na wycieczkę dookoła Korsyki.

To kłamstwo. Ale nie szkodzi. Już nie może jej znieść! Przedziwne, zakochać się w kimś bez pamięci, kochać w nim wszystko, zapach, ciało, ślinę, głos, i nagle to znienawidzić. Jakby druga strona winylowej płyty. Pierwszej słuchało się w kółko bez końca, a druga okazuje się nie do wytrzymania. Étienne nie cierpi już samej obecności Clotilde. Pijawka, kula u nogi, ciężar nie do uniesienia. Kochasz mnie? Przysięgnij! Zawsze będziemy razem?

Nie. Nigdy nie będziemy razem, myśli Étienne.

Patrzy na siostrę; ta wydaje się zamyślona. Próbowała czytać, ale gdy czyta podczas jazdy, robi jej się niedobrze.

– Jesteś zakochana w Adrienie? – pyta po cichu Étienne, żeby rodzice nie słyszeli.

Louise wpatruje się w niego zdumiona.

– Pierwszy raz w życiu zadajesz mi osobiste pytanie – mówi. – Normalnie odzywasz się do mnie tylko wtedy, kiedy chcesz coś pożyczyć

albo poprosić, żebym skłamała, by cię kryć.

Czuje się zraniony.

– Naprawdę, cholera z ciebie – rzuca. Odwraca głowę, udaje, że patrzy na krajobraz za oknem.

– Tak. Jestem w nim zakochana. To chyba widać, prawda?

Brat przygląda się jej podejrzliwie.

– Byłem pewien… – mówi. – Spaliście ze sobą? – Nie chce tego, ale jego ton brzmi agresywnie.

Louise wzrusza ramionami i czerwieni się. Od razu chowa się do skorupy jak ślimak. Étienne wie, że siostra nie otworzy już ust aż do Saint-Raphaël.

Adrien przegląda się w lustrze w łazience. Może ostatecznie nie będę taki brzydki, jak się zapowiadało, myśli. Jest coraz bardziej podobny do matki. Ładny, gładki. Wysoko sklepione kości policzkowe, delikatny nos, usta pełniejsze, niż się spodziewał, równe białe zęby. Od kiedy zdał maturę z wyróżnieniem, zmieniło mu się spojrzenie, jakby zwycięstwo rozświetliło jego orzechowe oczy. Jest wciąż szczupły, wręcz chudy; podobno z wiekiem to się zmienia. Z wiekiem podobno wszystko się zmienia. Chyba nie przekroczy metra siedemdziesięciu pięciu. Nienawidzi swojej białej skóry, chciałby ją zmienić, jak zmienia się ubranie. Oddałby duszę diabłu za złoty blask Étienne’a. Blada twarz, cienie pod oczami… Ma nadzieję, że w lecie zbrązowieje i będzie wyglądał lepiej, zanim znajdzie się w Paryżu.

On też, tak jak Nina, zaczyna dziś wakacyjną pracę. Nalewanie benzyny i odbieranie pustych butli z gazem przed supermarketem, za minimalną pensję. Dwa miesiące dzielą go od Paryża, na razie może robić cokolwiek, byle zarobić na życie.

*

Niedziela, 31 lipca 1994

Nina i Adrien pracują od dwóch tygodni.

Już za miesiąc Paryż!

Leżą obok siebie na wielkim ręczniku frotté, posmarowani olejkiem przyspieszającym opalanie. Adrien zaproponował, żeby poszli nad Leśny Staw, ale Nina wolała basen. Basen to błękit przypominający dzieciństwo. Błękit i zapach chloru na skórze, do którego Nina z przyjemnością wraca co lato.

– Przecież to smród wybielacza, jesteś jakaś dziwna – mówi Adrien.

– Ja dziwna? I kto to mówi? – odcina się od razu.

Nina lubi słyszeć krzyki bawiących się dzieci. Gdy skaczą z wież, ich zgrabne sylwetki rozbijają gładką taflę wody. Czuje jeszcze na języku smak loda czekoladowego. Adrien zasnął. Nina słucha jego oddechu. Co wieczór dzwonią z budki do Étienne'a, opowiadają sobie miniony dzień; chodzi głównie o to, żeby się usłyszeć, rzucić kilka banałów, streścić, co robili… Nina pyta go o morze.

– Jest okay – odpowiada zawsze tak samo Étienne.

Prosi, żeby nie mówili nikomu o tych rozmowach, że można się do niego dodzwonić. Przede wszystkim, żeby się nie wygadali przed Clotilde.

– Spokojnie, nic nie powiemy, właściwie nigdy jej nie spotykamy, podobno pracuje w pizzerii Portowej.

Adrien napełnia baki benzyną albo olejem napędowym.

– Muszę uważać, żeby się nie pomylić! – Przyjmuje pieniądze, myje przednią szybę, słucha radia w małej budce, czekając na kolejnego klienta. – Spoko, dni mijają szybko.

U Niny podobnie. Lubi swoją pracę, jest sekretarką; ma wrażenie, że gra w amerykańskim serialu. Ale najważniejsza nowina: jej życiem wstrząsnął Emmanuel Damamme. Syn szefa, dwadzieścia siedem lat, przystojny, wysoki, mroczny, wciąż na nią patrzy. Nina napotyka jego spojrzenie, gdy tylko unosi wzrok znad papierów. Nie mają okazji porozmawiać, nawet przez chwilę. Emmanuel nie ma nic do roboty w jej biurze, żadnego pretekstu, żeby ją o cokolwiek prosić. Musiałaby go gdzieś wyciągnąć, ale gdzie? Byłoby cudownie, gdyby któregoś wieczoru pojawił się w Club 4. Zdążyliby zamienić chociaż kilka słów, zanim ona skończy tu pracować i wyjedzie do Paryża.

Obserwując wiatr poruszający liśćmi drzewa rosnącego na trawniku przy małym basenie, Nina zastanawia się, jak zaciągnąć Emmanuela do klubu. Po drinku czy dwóch łatwiej będzie z nim porozmawiać niż w biurze. Nie wie, gdzie w La Comelle mogłaby na niego wpaść. On ma samochód i pewnie mieszka w pięknej posiadłości rodziców: kilka domów, kort tenisowy, basen i tak dalej. Żadnej szansy, żeby się spotkali na miejskiej pływalni. Nina wie, że Emmanuel, zanim wrócił do rodzinnej firmy, ukończył studia w Lyonie.

Gdy zobaczyła go pierwszy raz, prawie zemdlała. Poczuła, że robi się czerwona. Powiedział jej „dzień dobry”, nigdy tego nie zapomni! Uwielbia jego niski, zmysłowy głos. Odpowiadając, zaczęła się jąkać jak jakaś kretynka. Chociaż nie ma pewności, czy kretynki się jąkają. Wybucha śmiechem. Adrien się budzi, otwiera oczy.

– Śmiejesz się sama do siebie?

– Tak, myślałam o Emmanuelu.

– Znowu?

– No tak. Dobrze wiesz, że jak się zakocham, myślę tylko o tej osobie.

– A Alexandre?

– Mam go gdzieś.

– Myślałem, że to mężczyzna twojego życia.

– Jak to zrobić, żeby Emmanuel przyszedł w sobotę do klubu? – przerywa mu Nina.

– Podrzuć mu zaproszenie na biurko.

– Niemożliwe.

– Wsuń mu je pod wycieraczkę.

– Nie da się!

– Kto jest jego ulubionym piosenkarzem?

– Skąd mam wiedzieć? Dlaczego pytasz?

– Dowiedz się i rozpuść plotkę, że będzie występował tam w tę sobotę.

– Coś ty! Przecież nie uwierzy.

– Prywatny koncert. Zresztą to nie byłby pierwszy raz. Już zapraszali znanych artystów.

– A jeśli jego ulubiony piosenkarz nie żyje? Co wtedy?

Oboje wybuchają śmiechem.

– Gdzie on zostawia samochód, ten twój Emmanuel?

– Co?

– Gdzie zostawia auto, kiedy idzie do pracy?

– No, na parkingu firmy.

– Idź i zobacz, czy przy desce rozdzielczej nie walają się jakieś kasety. Będziesz wiedziała, czego słucha.

– Ale wstyd! Wyobrażasz sobie, że będę się kręciła koło jego samochodu?

– Ja to zrobię. Nikt mnie tam nie zna.

– Ty?

– Tak, ja. O której on zaczyna pracę?

*

Sobota, 6 sierpnia 1994

Emmanuel Damamme wchodzi do Club 4. Gdy tylko Nina go dostrzega, podchodzi do niego ze zmartwioną miną.

– Przykro mi, koncert jest odwołany. Étienne Daho się przeziębił. Nie mógł przyjechać.

Emmanuel patrzy na nią wesoło. W ogóle nie jest rozczarowany. Nina wie, że nie uwierzył w te bajki, których mu naopowiadała.

– W sobotę wieczorem w Club 4 wystąpi Étienne Daho. Prywatny koncert, niespodzianka. Jest zaprzyjaźniony z właścicielami. Lubi pan Étienne'a Daho?

Emmanuel uśmiecha się i odpowiada:

– Na pewno bilety już się wyprzedały.

– Nie, to ma być niespodzianka. W sobotę. Jest jeszcze dużo miejsc.

– Jeśli to niespodzianka, skąd pani o tym wie?

– Mam swoich informatorów.

Emmanuel stoi teraz blisko niej. Bardziej zrelaksowany niż w biurze. Swobodny. Oczy mu błyszczą. Nigdy jeszcze nie był tak przystojny i wzbudzający pożądanie, myśli Nina.

– Napije się pani czegoś? – proponuje.

– Z chęcią.

Uśmiechają się do siebie i ruszają do baru. Muszą krzyczeć, żeby móc rozmawiać. Idzie lepiej, niż sobie wyobrażałam, myśli Nina.

Adrien obserwuje ich z parkietu. Nigdy nie widział takiej Niny, tak całkowicie kimś pochłoniętej. Wydaje się, że nic nie odciągnęłoby teraz jej

uwagi od tego faceta. Adrien analizuje wygląd Emmanuela, który ma tę szczególną cechę, że nie jest do nikogo podobny. Do nikogo z klubu ani do nikogo z mieszkańców La Comelle. Ma klasę, wygląda jak angielski lord. Prosto z serialu *Rewolwer i melonik*. Ale Adrien natychmiast wyczuwa niebezpieczeństwo. Ten facet może ci podwędzić Ninę, myśli. Żałuje, że Étienne wyjechał. Gdyby tu teraz był, wszystko wyglądałoby inaczej. Podszedłby do Niny, wziął ją za rękę i powiedział: „Chodź tańczyć!”. Albo: „Chodź, spadamy stąd, idziemy obejrzeć film”. Albo po prostu: „Chodź, ten facet ma dziesięć lat więcej niż ty, jest za stary, żeby cię rozdziewiczyć!”.

We dwóch są silniejsi. Mogą przemówić Ninie do rozumu. Uspokoić jej zapał. Z nich dwóch to Étienne zawsze umie sprowadzić ją na ziemię.

Bo teraz Nina zdaje się lewitować.

– Często pani tu przychodzi? – pyta Emmanuel.

– W każdą sobotę.

– Też tu przychodziłem, zanim wyjechałem do Lyonu… Siedlisko zła, niebezpieczne dla młodej dziewczyny…

Nina wybucha śmiechem. Emmanuel przygląda jej się uważnie. Dziewczyna ma w sobie coś z Audrey Hepburn; nawet mu się to podoba. Jest w czarnej obcisłej sukience. Włosy prosto obcięte nad uchem, grzywka, zmysłowe usta, czarne oczy… Wspaniały rezultat krzyżowania się ras, myśli Emmanuel. Od razu wpadła mu w oko. Ma w sobie coś… delikatnego. Wnuczka listonosza, jak go poinformowano. Zaprzyjaźniona z rodziną Beaulieu; Emmanuel ich kojarzy.

– Skąd pani pochodzi?

– Ojciec nieznany, matka z depresją – żartuje Nina.

– Interesujące.

– We wrześniu przenoszę się do Paryża – informuje go Nina.

– Do Paryża?

– Jedziemy razem, ja i moi dwaj najbliżsi przyjaciele, są dla mnie jak bracia. Założyliśmy zespół. Nagramy płytę.

– Co to za muzyka?

– Elektroniczna. Mamy dwa syntezatory, ja śpiewam.

– Pani śpiewa?

– Tak… Dziwnie tak mówić sobie pan i pani. Jakbym była pana babcią.

– Zgoda, przechodzimy na ty. A więc śpiewasz?

– Tak.

– Mogłabyś mi coś zaśpiewać? Tutaj?

Powiedz, że mnie kochasz
Nawet jeśli to nieprawda
I tak wiem, że kłamiesz
Życie jest smutne
Powiedz, że mnie kochasz
Dni mijają takie same
*Chcę przeżyć romans…**

– Bardzo dobrze! Zamiast Daho mam Lio!

– Nigdy jeszcze z nikim się nie kochałam, a ty?

– To tytuł piosenki? – rzuca Emmanuel ironicznie.

Nina uśmiecha się; alkohol dodaje jej animuszu. Zbliżają się do siebie. Czuje wargi Emmanuela na swoim uchu, słyszy jego szept, czuje zapach. Dotykają się, to jak wyładowanie elektryczne. Mogłaby go poślubić tu i teraz, bez zastanowienia. Dla niego mogłaby się wyrzec ojca i matki. Dobrze się składa, że ich nie zna.

Stoją sklejeni przy barze. Ludzie ich potrącają, ale oni nic nie widzą. Emmanuel dotyka palcem wskazującym jej dłoni, przesuwa powoli w jedną

i w drugą stronę.

– Zdarzyło mi się.

– Co?

– Kochać się z kimś.

Nina wypija kilka łyków, żeby nabrać odwagi.

– Mógłbyś mnie nauczyć? Chciałabym to zrobić choć raz przed wyjazdem do Paryża.

– Można to zorganizować.

---

* Lio, *Amoureux solitaires*.

33

22 grudnia 2017

Nina po raz pierwszy w życiu weszła do małego butiku w centrum miasta, żeby kupić trzy bluzki koszulowe, biały sweter, dwie pary spodni i sukienkę.

Sukienka i biały sweter, gdzie ja w tym pójdę…

Od dziesięciu dni każdy wieczór spędza z Romainem Grimaldim. Po pracy wraca do domu, szybko coś przegryza, bierze prysznic i przebiera się. Potem idzie pieszo na rue Rosa-Muller. Po seksie wychodzi pod pretekstem, że w domu czekają na nią koty.

Wyrzuciła w błoto trzysta euro, kupując ciuchy, których nigdy nie włoży. Więc kobiety są takie głupie? Przestań, mówi jej wewnętrzny głos. Nie myśl o tym. Żyj.

Stoi w gabinecie weterynaryjnym. Patrzy na trzy małe kotki, które śpią pod lampą na podczerwień. Matka zaginęła, a one nie potrafią jeszcze same jeść. Kilkoro gimnazjalistów dyżuruje przy nich na zmianę; karmią je przez smoczek. Nastolatki chętnie pracują w schronisku, lubią zajmować się małymi zwierzętami.

Dziś jest rocznica śmierci Érica, syna Simone. Czy nie powinno się wymyślić jakiegoś osobnego słowa na określenie takiej smutnej rocznicy?

Mogłaby zapytać Romaina; potrafił znaleźć tyle określeń na ludzi, którzy nie mają dzieci…

Nina patrzy przez okno na Simone. Przywiązać długą smycz do psich szelek. Wyprowadzać jednego po drugim. Nie garbić się. Simone wygląda jak primabalerina. Otulona polarem, z chustką od Hermèsa na głowie, przypomina wielką damę, która zbłądziła między cementowe baraki. Królowa angielska w brazylijskich slumsach. Rano, szukając rękawiczek w torebce, rzuciła do Niny: „Dziś mijają trzy lata… – I dodała: – Przyjdę dwudziestego piątego grudnia, możesz wreszcie wziąć dzień wolnego!”.

Jest dopiero wpół do dziewiątej, a Simone już wyprowadziła Rosy, owczarka pirenejskiego, i Kulę u Nogi, ślicznego wielkiego czarnego gryfona. Nina nazwała go tak, bo dwukrotnie, rok po roku, uciekł od rodzin, które go przygarnęły. Sam odnalazł drogę do schroniska i siedział grzecznie pod bramą, czekając na otwarcie, żeby wrócić do swojego boksu. Umieściła go przy wyjściu, blisko biura, w największej części przytułku. Jak tylko przychodzi do pracy, wypuszcza go, żeby spacerował po całym terenie. Nie proponuje go już nikomu, zwierzak zostanie z nią do śmierci. Przez moment myślała, żeby zabrać go do domu, ale w sumie tu jest jej dom. Tu spędza najwięcej czasu.

Poranek jest zimny. Chłodne światło, stalowoniebieskie niebo. Nina wchodzi do kotów; zwierzęta przeciągają się, ziewają, czekają cierpliwie na ciepłe ramiona, na mieszkanie, na dom, na balkon, na ogród. Na coś innego niż tu. Niech będzie stary kawaler albo duża rodzina, nieważne, bogaci czy biedni, liczy się tylko, że ktoś zwróci na nie uwagę i okaże czułość. Kiedy schronisko urządza dni otwarte, ludzie oglądają koty, głaszczą je, wybierają, ten albo tamten… Na razie koty przysypiają w miękkich legowiskach ofiarowanych przez donatorów.

Nina wciąga gumowe rękawice, zmienia żwirek w kuwetach, myje podłogę środkami odkażającymi, przemawia do kotów, które patrzą na nią zmęczonym wzrokiem spod półprzymkniętych powiek. Najmłodsze lubią się bawić: gonią, wskakują na drapaki i wyciągają się na nich, ostrząc pazury. Starsze prychają, jeśli maluchy robią w boksie za dużo zamętu.

– Wczoraj wieczorem kochałam się z takim jednym facetem – mówi Nina.

Oczy kotów, żółte, niebieskie lub zielone, wpatrują się w nią z zainteresowaniem. Jakby opowiadała bajkę dzieciom.

– Nie gapcie się tak, w końcu jestem kobietą… a nie waszą służącą. Pamiętacie tego wysokiego pana, który przygarnął Boba? To on. Tak, to prawda, nie wysiliłam się zbytnio, pewnie myślicie, że jestem beznadziejna… Ale cóż, robię, co się da… Wam chyba nie muszę tego tłumaczyć.

Do pomieszczenia z kotami wchodzi Simone.

– Mówisz do siebie?

– Nie, opowiadam kotom o moim życiu erotycznym.

– Ja też miałabym co opowiadać… Ślady przeszłości…

Simone podchodzi do kotów, zaczyna je głaskać, bierze na ręce. W tej chwili jest ich ponad pięćdziesiąt. Nina niedługo nie będzie w stanie przyjmować następnych. Trzeba będzie je wysyłać do innych schronisk. Dawniej najwięcej porzuconych kociaków mieli na wiosnę, potem się uspokajało. Teraz dostają małe kotki przez cały rok. Katastrofa. Większość to zwierzęta podarowane lub sprzedane byle komu, znalezione w kuble na śmieci pośród obierek albo na ulicy, ze sklejonymi oczami, wygłodzone, zarobaczone.

Nina chciałaby przy pomocy burmistrza zorganizować kampanię sterylizowania zwierzaków.

Życie jest jednak źle pomyślane… One mają mnóstwo dzieci, ja nie mogłam mieć żadnego, a Simone miała jedno i umarło, myśli Nina.

– W porządku? – zwraca się do Simone.

– Tak, wszystko okay. Chciałabym, żeby już było jutro. Od kiedy Éric odszedł, wciąż chcę, żeby już było jutro. Teraźniejszość mnie męczy. Nie wiem, co z nią zrobić.

– Dziś jest nas dużo, jeśli czujesz się zmęczona, idź do domu.

– Ach, nie, tylko nie to! No, wracam do pracy.

Nina idzie do boksów. Wszystko rozgrywa się w spojrzeniu. Wie, które zwierzę pójdzie do kogo. Często ktoś wchodzi do schroniska obejrzeć białe kotki, a wychodzi z rudym kocurem pod pachą. Każde zwierzę ma swoją osobowość, swój sposób życia, swoje zwyczaje.

Jeśli komuś wpadnie w oko któryś z psów, ale bez wzajemności, Nina nie pozwala na adopcję. Wie, że nic by z tego nie wyszło, zwierzak zostałby w krótkim czasie przywieziony z powrotem. Nie stara się znaleźć im domu za wszelką cenę. Chce, żeby między człowiekiem i zwierzęciem coś zaiskrzyło, powstała prawdziwa więź. W ciągu siedemnastu lat pracy zdarzyły jej się pomyłki, ale pomyłki zdarzają się w każdym zawodzie. Najgorzej, gdy ludzie zwracają zwierzęta… Bo nic z tego nie będzie, on się wszystkiego boi, cały czas jęczy… Jest agresywny, chyba nas nie lubi… W sumie wolałbym raczej kota, nie psa… Rozwodzę się, żona go nie chce… On niełądnie pachnie, gubi sierść, jest brzydki, puszcza bąki… Nie stać mnie na niego…

*

Nina idzie wzdłuż klatek, gdy nagle widzi znajomą sylwetkę; chłopiec przestępuje z nogi na nogę. Nastolatek. Czeka przed wejściem do biura. Nina wyciąga z kieszeni ventolin i szybko wdycha. Robi się zimno, opada

wilgotna mgła, ciemne chmury w kilka minut zasnuwają niebo. Ninę przechodzi dreszcz. Uderzające podobieństwo. Im bliżej podchodzi, tym bardziej czuje, jakby dostała pięścią w brzuch. Chłopak chyba jest sam. Nina spogląda na parking, może stoi tam samochód, w którym czeka ktoś dorosły. Gdy jest już blisko, chłopiec uśmiecha się do niej. To JEGO uśmiech. Nina blednie. Czuje suchość w ściśniętym gardle. Od razu myśli o jakiejś złej nowinie. Boi się odezwać pierwsza.

– Dzień dobry pani – mówi chłopak wesoło.

– Dzień dobry.

– Chciałbym podarować babci kota na Gwiazdkę.

Dokładnie ten sam głos. Oczy trochę inne. Bardziej okrągłe. Ale identyczny kolor. Taki sam nos. Usta. Nogi się pod nią uginają. Chciałaby uciec i uścisnąć go jednocześnie. Uciec jak najdalej. Pogłaskać go. Wziąć w dłonie tę twarz, wdychać jej zapach. Przesunąć ręką po jego włosach.

– Babcia wie, że chcesz jej zrobić taki prezent? – pyta Nina drżącym głosem.

– Nie, to ma być niespodzianka.

– Myślisz, że babcia się ucieszy?

– Taaa… Od kiedy umarł jej kot, cały czas jest smutna. Mówi, że już nie chce zwierząt, ale nie wierzę w to.

– Gdzie ona mieszka?

– W La Comelle.

– Ile ma lat?

– Nie wiem… z sześćdziesiąt?

Nina nie może się powstrzymać.

– A ty ile masz lat?

– Czternaście.

– Jak masz na imię?

– Valentin.

Nina patrzy na niego. Nie ma wątpliwości. Przeszłość wraca jak bumerang.

– Valentin… Beaulieu? – ryzykuje.

Teraz to chłopiec na nią patrzy. Wygląda jak przyłapany na gorącym uczynku.

– Skąd pani wie?

– Jesteś podobny do ojca.

Chłopak otwiera szeroko oczy; niezręcznie udaje zaskoczenie.

– Pani go zna?

– Chodziłam z nim do szkoły.

– To z panią założył zespół?

Drugi cios w żołądek; Nina sięga po ventolin, głęboki wdech.

– Co to? – pyta Valentin, wskazując inhalator, który Nina ściska w dłoni.

– Lekarstwo na astmę.

– To boli?

Mniej niż patrzenie na ciebie, myśli Nina.

– Nie, przeciwnie, to mi pomaga.

– Ile kosztuje wzięcie od was kota?

– To zależy od wieku zwierzaka.

– A jak długo żyją?

– Piętnaście, dwadzieścia lat. Chciałbyś je obejrzeć?

Valentin uśmiecha się.

– Tak.

– Masz w domu zwierzęta?

– Matka się nie zgadza… Chciałbym mieć wilczura.

Matka… Jakiej kobiecie Étienne wreszcie zrobił dziecko?

– Miałam wilczycę, kiedy byłam mała. Nazywała się Paola.

– Super!

Valentin idzie za Niną. Wydaje się przejęty, zaskoczony widokiem psów w boksach. Gdy przechodzą obok klatek, psy szczekają, obwąchują ich, skomlą, jęczą. W drugim końcu schroniska siedzi samotny psiak ze smutnym spojrzeniem. Valentin wskazuje na niego.

– Dlaczego on tam siedzi? Wygląda, jakby stał w kącie za karę.

– Przyszedł wczoraj. Jeśli w ciągu trzech tygodni nie znajdą się właściciele, pójdzie do kolegów. Na razie ma kwarantannę.

– Dlaczego?

– Takie zasady.

– To smutne – mówi Valentin.

– Troszczymy się o niego, nie martw się.

Przechodzą przez gabinet weterynaryjny. Idą korytarzami do części dla kotów. Chłopiec widzi za szybą trzy kociaki w klatce, nad którą świeci się lampa na podczerwień. Przystaje.

– Ale śliczne!

– Tak – odpowiada Nina. – Na swoje nieszczęście.

– Dlaczego?

– Bo wszyscy chcą koty, kiedy są małe, ale gdy podrosną, nikt już się nimi nie interesuje.

– To panią złości.

– Tak. Ale nie jestem od osądzania ludzi, moją rolą jest opieka nad zwierzętami.

W części kociej panuje spokój.

– Przedstawiam ci nasze koty.

Valentin podchodzi i zaczyna je głaskać.

– Tu jest jakoś mniej smutno niż u psów – mówi cicho.

Nina nie odpowiada. Czeka. Obserwuje go. W końcu zadaje pytanie, które od początku ciśnie jej się na usta:

– Twój tata wie, że tu jesteś?

– Nie, nikt nie wie. To tajemnica.

Chłopiec wygląda, jakby wiedział, czego chce.

– Co słychać u Louise? – pyta Nina.

– U ciotki? Wszystko dobrze.

Ciotka. Nina wie, że o niej nikt tak nie powie; nie jest ani ciotką, ani matką. Jest nikim. Myśli o słowach Romaina, które ją rozśmieszyły: „Tylko kot przyjdzie na twój pogrzeb”.

Ledwo trzyma się na nogach. Siada na ławce. To ławka „miziania”. Co tydzień uczniowie z gimnazjum, przeważnie dziewczyny, przychodzą w ramach wolontariatu, żeby głaskać koty. To te same dziewczyny, które karmią kocięta. Nina stara się uspokoić, oddycha głęboko. Valentin wciąż ogląda koty, już jakieś dziesięć zwierzaków kręci mu się między nogami.

– Jak tu trafiłeś? – pyta w końcu Nina.

– Babcia ma w kuchni wasz kalendarz.

Kalendarz. Pomysł Simone. Robią zdjęcia zwierząt do adopcji i za pomocą specjalnej aplikacji składają kalendarz. Te kalendarze pod koniec roku są sprzedawane we wszystkich sklepach w La Comelle, żeby zebrać datki. Marie-Laure Beaulieu kupuje nasz kalendarz, wcale mnie to nie dziwi, myśli Nina. Ona jest taka szlachetna. Jest jednym z moich największych wyrzutów sumienia… Zajęła się mną, dbała o mnie,

podtrzymywała mnie na duchu, pokochała, a ja później nawet do niej nie zajrzałam, choćby na chwilę, żeby zapytać, co słychać…

– Jak mogę wybrać jednego? Wszystkie są przefajne – mówi Valentin zmartwiony.

– Mam pomysł. Połóż pod choinkę kopertę zaadresowaną do babci, a w niej bon na kotka ze schroniska. Babcia przyjdzie i sama wybierze.

Twarz Valentina rozświetla się.

– Chodź, zrobimy to teraz w biurze – proponuje Nina.

– W drodze do pani biura trzeba przejść koło psów?

– Tak.

Valentin krzywi się.

– Nie ma innej drogi?

– Zamkniesz oczy, poprowadzę cię za rękę. A poza tym możesz mi mówić na ty.

– Dobra!

Nina ściąga rękawice. Chciałaby, żeby droga przez schronisko trwała tysiąc lat. Trzyma tę dłoń, już większą niż jej ręka, ale taką delikatną. Palce, które ją ściskają, przypominają palce Étienne’a i Adriena. Wraca poczucie beztroski, czas dorastania. Jakby ktoś włożył wtyczkę do gniazdka. Letnie światło w zimie. Promień słońca. Valentin zamknął oczy, daje się prowadzić. Jakby szedł po linie zawieszonej wysoko nad ziemią i miał zawroty głowy. Ma doskonały profil, jak ojciec. Zaczyna padać śnieg. Płatki topnieją mu we włosach.

Wchodzą do biura i Nina puszcza rękę chłopca.

Znów jest sama.

Wysuwa szufladę, wyjmuje pieczątkę i dwie nalepki z emblematem schroniska. Zaczyna tworzyć coś w rodzaju bonu świątecznego na kartce

wyrwanej z zeszytu w kratkę. Nigdy jeszcze tego nie robiła. Nigdy już nie zrobi. Zwierzęta nie mogą być wymieniane na jakiś bon, ale to wyjątkowa sytuacja.

– Jaki był mój ojciec, jak był mały?

– Nigdy nie był mały. Zawsze był bardzo duży.

Oczy Valentina błyszczą radością, tak samo jak oczy Étienne’a. Zapada długa cisza. Nina rysuje długopisem kota. To nie jest cisza kłopotliwa, ale taka, jaką dzielą ze sobą osoby, które się dobrze znają. Które nie czują się zmuszone, żeby ją wypełniać.

– Świetnie rysujesz.

– Dzięki. Odwiozę cię – mówi Nina, wręczając bon Valentinowi.

– Mogę iść pieszo.

– Pada śnieg.

Chłopiec wyjmuje z kieszeni dwadzieścia euro.

– Ile ci jestem winien?

– Wyjątkowo nic.

– Chcę zrobić darowiznę.

– Nie mogę brać pieniędzy od niepełnoletnich.

– Dlaczego?

– Takie jest prawo.

– To głupie prawo. Tak jak z tym psem na kwarantannie. Powiesz, że te pieniądze dał ci mój ojciec, i już.

Nina bierze banknot, wsuwa do skarbonki i podaje chłopcu naklejki z emblematem schroniska.

– Proszę, to mogę ci sprzedać. Przykleisz je, gdzie będziesz chciał.

Wstają równocześnie. Valentin idzie za nią. On też ukradkiem się jej przygląda. Nie patrzy na nią normalnie, jak zwykły klient schroniska. Nina

już nie wierzy w tę historię o kocie dla babci. To pewnie pretekst. Odwraca się i wbija wzrok w oczy Valentina.

– Nie zjawiłeś się tu przypadkiem, co?

Chłopiec udaje, że nie rozumie, o co jej chodzi. Odwraca wzrok.

– Przyszedłeś specjalnie do mnie, prawda? – Nina nie ustępuje.

Valentin zmienia się na twarzy. Rysy ma ściągnięte.

– Tak… Bo… Bo mój ojciec umiera.

34

Piątek, 12 sierpnia 1994

Jeszcze trzy tygodnie i Nina wyjedzie na stałe do Paryża, myśli Pierre Beau, pchając pod górę wózek z listami. To dobrze, będzie miała udane życie, dałem sobie radę, udało mi się ją wychować, to dobre dziecko. No i nie będzie sama, będą przy niej Étienne i Adrien, nie mam się o co martwić…

Zatrzymuje się i wsuwa kopertę pod drzwi panny Brulier, uroczej starszej pani, która mieszka pod numerem 15 przy rue John-Kennedy. Okiennice zamknięte. Jest na wakacjach. Przed wyjazdem jak co roku poprosiła listonosza, żeby nie wkładał korespondencji do skrzynki.

Pierre Beau zna na pamięć ulice La Comelle. Jeździ po nich rowerem od trzydziestu sześciu lat. Jedna torba z listami z przodu, dwie z tyłu, portfel z pieniędzmi na brzuchu, przytrzymywany skórzanym paskiem przeciągniętym od lewego ramienia do prawego biodra. Rower i mundur – obie te rzeczy zmieniał co najmniej dziesięć razy. Już nie wie, nie pamięta.

Zaczął tę pracę w 1958 roku, gdy skończył dwadzieścia lat. Zna na wyrywki wszystkie uliczki, te ciemne i te słoneczne, ślepe zaułki, zacienione placyki – widział je w tylu momentach. Trzydzieści sześć lat zwiedzania ich na rowerze, sto czterdzieści cztery pory roku, sto

dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów na liczniku, siedem ugryzień przez psy, trzy upadki, z których jeden – w 1971 roku – skończył się złamaną ręką i dwoma miesiącami zwolnienia. Średnio pięćset skrzynek pocztowych dziennie. Od kepi do sztywnej czapki z daszkiem, od de Gaulle'a do Chiraca, od Giscarda do Mitterranda. Wyprzedzały go renault 4 CV, citroëny z napędem na przednie koła, teraz twingo czy safrane. Od początku pracy na poczcie pokonuje identyczną trasę. Zna na pamięć niebezpieczne zakręty, wzniesienia, drogi, na które kiedyś był zakaz wjazdu, i te, na które nie wolno wjeżdżać dzisiaj, światła, drogi z pierwszeństwem przejazdu, progi zwalniające, znaki stopu, których nikt nie respektuje, mało uczęszczane ulice, kundle, które go nienawidzą, i inne, które go ostrzegają, psy przyjacielskie, psy tchórzliwe… Jak ich właściciele… Ci, którzy się wyprowadzili i nie zostawili adresu, ci, do których pisze się na poste restante. Ci, którzy zmarli, ci, którzy częstują kawą, kieliszkiem wina (udaje, że wypija jednym haustem), sokiem pomarańczowym, ciastem. Ci, którzy mu nie otwierają, gdy przywozi list polecony wymagający potwierdzenia odbioru, ci, którzy mieszkają na szóstym piętrze bez windy, bezimienne skrzynki pocztowe, skrzynki przeładowane, jeszcze inne, do których nasikali smarkacze, wycieraczki, parapety, karteczki na drzwiach: *Panie listonoszu, jeśli mnie nie ma, proszę zostawić paczkę u sąsiada z prawej*. Ludzie, którzy wyczekują dobrych wieści, młode panny, które całują go w policzek, ojcowie rodzin, którzy boją się zbyt wysokiego rachunku albo przeklinają, bo dostali ponaglenie z urzędu skarbowego. Miłe starsze panie, którym zmienia żarówkę, którym robi zakupy, wypełnia deklaracje podatkowe, którym przynosi lekarstwa z apteki. On, listonosz, jest ich życiową kotwicą, jedyną osobą, z którą mają kontakt, jeśli akurat nie przychodzi do nich fizjoterapeuta ani nie idą na pogrzeb przyjaciółki.

Zawsze zaczyna pracę o piątej rano, zaraz po rozładowaniu ciężarówek z pocztą. Listy rozłożone na stołach, najpierw sortowanie ogólne, potem według dzielnic, w końcu według ulic, JEGO ulic. Przed wyruszeniem w teren pobiera jeszcze listy polecone i przekazy pieniężne. Odkąd jest listonoszem, chodzi z milionami franków przy sobie. Aż do minionego marca to on, Pierre Beau, wypłacał renty, zasiłki, emerytury, alimenty. W ciągu tych trzydziestu sześciu lat zdarzało mu się czasami jechać rowerem z dziesięcioma milionami franków w torbie, wypłacał do pięćdziesięciu przekazów dziennie. Od pięciu miesięcy torba jest pusta – wymyślono przelewy, które idą bezpośrednio na konto bankowe adresata. Informatyka to nie za bardzo jego działka. Podobno to oznaka postępu. Teraz ludzie wysyłają sobie faksy i uderzają w klawisze Minitela. Jeśli tak dalej pójdzie, będą korespondować przez te cholerne komputery i listonosze staną się bezużyteczni. Koledzy mówią nawet, że nie będzie służby wojskowej, nie będzie listów od młodych żołnierzy do narzeczonych i że ludzie będą chodzili z własnymi telefonami w kieszeni. Już nie będzie w sprzedaży papieru listowego w kwiatki ani wiecznych piór. Zostaną tylko melodie bez tekstu. Śmierć słów pisanych odręcznie.

Zawsze kończył obchód po piętnastej. Zawsze wpadał do domu między szesnastą a siedemnastą, żeby coś zjeść i się zdrzemnąć. Nawet kiedy żyła jego żona. Sen miał mocny, ciemny, bez marzeń. Zmęczenie w mięśniach. Na początku pedałował szybko. Dziś lata dają się odczuć w nogach i w płucach. Pedałuje coraz wolniej i to go złości.

Zawsze wracał na pocztę mniej więcej piętnaście po piątej. Przed marcem 1994 roku zdawał pieniądze, których z tych czy innych powodów nie mógł doręczyć adresatowi, i wprowadzał te sumy do rachunków. Teraz zdaje tylko polecone, które trzeba spróbować doręczyć jeszcze raz następnego dnia rano. Resztę korespondencji zabiera ze sobą, żeby nie

komplikować sortowania. Powinna zostać na poczcie, ale jego koledzy robią tak samo. Wszyscy o tym wiedzą, jednak nie mówi się o tym głośno, a szef przymyka oko. Dlatego Pierre dostał szału, gdy odkrył, że Nina otwiera listy. Było to niewybaczalne, poważne wykroczenie, a on nigdy w życiu nie zrobił niczego wbrew prawu. Oprócz tego z Odile, gdy zachorowała.

*

Tego wieczoru Pierre Beau ma wakacje. Pierwszy raz w życiu wziął wolne po piętnastym sierpnia. A to z powodu teleturnieju *Właściwa cena*, prowadzonego przez Philippe'a Risolego.

Pod koniec zeszłego roku jego przyjaciel Bertrand Delattre wziął udział w tym teleturnieju. Piętnaścioro mieszkańców La Comelle pojechało minibusem do Paryża. Kiedy Bertrand wrócił z tej wyprawy, robił tajemnicze miny i powiedział do Pierre'a dziwnym głosem: „Włącz jedynkę w poniedziałek o ósmej i w niedzielę o piętnastej, zobaczysz. Czy możemy w tym roku zamienić się urlopami?".

W poniedziałek Pierre przerwał obchód w godzinie lunchu, żeby obejrzeć przyjaciela w telewizji. Nigdy wcześniej nie oglądał tego teleturnieju. Nie wiedział, że taki program w ogóle istnieje.

Jego przyjaciel Bertrand został wylosowany spośród czterech kandydatów. Zszedł po wielkich schodach, zachęcany brawami publiczności, wśród której Pierre rozpoznał kilka osób z La Comelle. Bertrand zajął miejsce za pulpitem. Gdy prezenter spytał, skąd pochodzi, ten odpowiedział: „Z La Comelle, w departamencie Saona i Loara". Widzowie siedzący z tyłu zaczęli wiwatować, jakby to było coś wspaniałego pochodzić właśnie stamtąd. Jakby wygrali mistrzostwa świata w piłce nożnej.

– A czym się pan zajmuje w Saonie i Loarze, Bertrandzie? – spytał Philippe Risoli.

– Jestem listonoszem.

Znów wrzask, widownia szaleńczo klaszcze. Jakby wszyscy listonosze wylądowali jako pierwsi na Księżycu.

Potem pojawił się prezent. Atrakcyjna dziewczyna zaczęła głaskać „ceramiczną lampę na okrągłym trójnogu i odpowiednio dobrany abażur". Wszyscy czterej kandydaci kolejno wymieniali cenę. Wygrała Sandrine z Dordogne, zgadując, że cena lampy wynosi 2 615 franków.

Pierre nigdy jeszcze nie widział głupszego teleturnieju.

Na scenę wyszedł jakiś Gilles Lopez z Ardèche.

„Czym się pan zajmuje?", padło pytanie.

„Jestem rolnikiem".

Widownia wyje. Czyli nie tylko listonosze robią wrażenie, rolnicy również.

Trzeba było odgadnąć cenę „kompletu dodatków dla eleganckiej pani". Tym razem wygrał rolnik i zdobył pierścionek zaręczynowy z trzydziestoma dwoma brylantami osadzonymi w koronie. Szczęściarz nie wyglądał na zachwyconego, bo już był żonaty, ale Philippe Risoli znalazł rozwiązanie. Zaproponował zwycięzcy, żeby podarował pierścionek „jakiejś cudownej istocie".

Słysząc to, Pierre zaczął się śmiać na oczach zaskoczonej Paoli.

W końcu Bertrand odgadł dokładną cenę „kanapy o czystych liniach, pokrytej karminowym materiałem, doskonałej do spędzenia miłego wieczoru". Podchodząc do prezentera w studiu, potknął się. W oczach Pierre'a pojawiły się łzy, w jednym wzruszenia, w drugim – zażenowania.

Zanim Bertrand przystąpił do gry, Philippe Risoli powiedział: „Jeśli ktoś z państwa chce wziąć udział w naszym teleturnieju *Właściwa cena*,

powinien wypełnić formularz, który w każdy poniedziałek dołączony jest do pisma »Télé Z«”.

Po czym wrócono do spraw poważnych. „Komplet mebli ogrodowych z żywicy epoksydowej barwionej w masie”.

Bertrand odgadł wszystko.

Pierre musiał ściszyć telewizor, tak ogłuszająca wrzawa zapanowała w studiu. Publiczność klaskała bez umiaru, wszyscy krzyczeli, jakby byli pod wpływem narkotyków lub alkoholu, a może i tego, i tego.

Bertrand wydawał się zakłopotany wygraniem tak wielkiej kwoty. Zachował stoicki spokój, nie pokazał po sobie żadnego wzruszenia, czym chyba rozczarował publiczność.

„Czy zwykle ma pan szczęście?”

„No nie, nie za bardzo”, odpowiedział.

„W jaki sposób dostał się pan do naszego teleturnieju?”

„Żona wypełniła formularz i wysłała”.

Prezenter spojrzał w kamerę i oznajmił:

„Minitel, numer trzy-sześć-jeden-pięć, kod TF Un…”

Pod koniec programu troje uczestników kolejno puściło w ruch wielkie koło i to znów Bertrand wygrał udział w finale. Ci, którzy przegrali, dostali gadającą broszkę z portretem Philippe’a Risolego i koszyk z prezentami.

„Do zobaczenia jutro o dwunastej dwadzieścia!”

Napisy końcowe.

Pierre Beau wrócił na rower, żeby skończyć objazd. Między jedną a drugą skrzynką na listy wracał myślami do teleturnieju. Był poniedziałek, trzeba czekać do niedzieli, żeby dowiedzieć się, czy Bertrand wygrał „witrynę”, to znaczy główną nagrodę, „wielką, gigantyczną, wyjątkową”, jak powiedziały mu staruszki, którym przywiózł pocztę.

Do niedzieli Pierre nie miał żadnej wiadomości od przyjaciela; Bertrand jakby się ukrywał. Program nagrywano kilka miesięcy przed emisją i jego przebieg był objęty największą tajemnicą.

Nadszedł wielki dzień. Pierre oglądał finał z Niną, Étienne'em i Adrienem. Dzieciaki bez przerwy chichotały. Co za żenada!

Wykrzykiwali nieprawdopodobne ceny i gadali, co im ślina na język przyniosła. Na koniec Nina orzekła: „Bertrand chyba się zablokował".

Pierre zaczął się zastanawiać, czy życie ma swoją „właściwą cenę". I czy życie jednych ma tę samą cenę, co życie innych. Życie ludzi nieznajomych. Życie jego żony, która tak wcześnie odeszła. I życie jego córki, Marion. Gdzie ona teraz jest?

Dla niego najcenniejsze było życie Niny. Warte życia wszystkich innych osób razem wziętych.

Bertrand odgadł właściwą cenę „ceramicznej kolumny z lampą", która kosztowała 5 290 franków, i „mikrofalówki, siedemset watów, z grillem, turbogrillem i automatycznym rozmrażaniem siedmiu rodzajów żywności" – 3 490 franków.

Ale skąd on wiedział to wszystko? – zastanawiał się Pierre. Znał przyjaciela od trzydziestu lat i nie zauważył u niego tej znajomości wszystkich cen.

Bertrand znalazł się w finale wraz z inną uczestniczką, jakąś Martine, emerytką z Cagnes-sur-Mer.

Kiedy dziewczęta w krótkich spódniczkach zaprezentowały „witrynę", Bertrandowi opadła szczęka: sypialnia, umeblowana łazienka z wanną z hydromasażem, lampa halogenowa, stół rattanowy ze szklanym blatem, fasetowanym na krawędziach, fotele, przezroczysty wazon „ze szkła tak czystego jak woda w oceanie", samochód, motocykl, lodówka, wakacje w Tunezji, kolejka elektryczna.

Trzeba było odgadnąć przybliżoną cenę całego zestawu. Wygrywał ten, kto podał sumę najbliższą właściwej. Każdy z dwojga finalistów napisał na kartce proponowaną kwotę. Philippe Risoli odczytał na głos odpowiedzi.

– Według Bertranda „witryna” w tym tygodniu kosztuje sto trzydzieści cztery tysiące franków, według Martine dwieście dwadzieścia tysięcy. Cena właściwa to… sto sześćdziesiąt trzy tysiące czterysta pięćdziesiąt dziewięć franków! Wygrywa Bertrand!

– Kurwa, dziadku! – wrzasnęła Nina. – Twój kumpel wygrał!

„Mamy lekkie opóźnienie”, powiedział prezenter. Głos z offu zapowiedział „witrynę” na przyszły tydzień, z nową publicznością i nowymi uczestnikami.

Na ekranie pojawiły się napisy końcowe.

Pierre nie mógł wyjść z podziwu. Jego przyjaciel wygrał to wszystko i nic mu nie powiedział! Poprosił tylko, żeby zamienili się urlopami. Ale gdzie on wstawił tę łazienkę, ten samochód, ten motor? Miał maleńkie mieszkanko, nie miał nawet garażu. Jego stary renault 4L spędzał noce na ulicy.

„Wszystko sprzedałem!”, oznajmił, gdy Pierre zadał mu to pytanie. Zatrzymał tylko wakacje w Tunezji, a pieniądze dał swoim dzieciom, tym, które mu zostały. Bertrand miał troje dzieci, ale najmłodsze zmarło, kiedy miało roczek.

Właśnie dlatego Pierre Beau zamienił się terminem urlopu po raz pierwszy w życiu. Z powodu programu telewizyjnego *Właściwa cena*.

Gdyby nie był tak zmęczony, uśmiechnąłby się. A poza tym trzeba widzieć dobre strony tej sytuacji: za trzy tygodnie będzie mógł odwieźć Ninę do Paryża i zostać z nią tam kilka dni.

Szóstego maja 1981 roku jakaś kobieta, której przywiózł paczkę, otworzyła mu kompletnie naga. Był tak zaskoczony, że o mało nie dostał

zawału serca. Dokładnie tak samo się poczuł, gdy ciężarówka firmy transportowej Damamme, nie respektując zasad pierwszeństwa przejazdu, wpadła na niego z całym impetem.

35

22 grudnia 2017

Marie-Laure Beaulieu stoi w kuchni. Poprzedniego dnia przyjechały dzieci, cała trójka. Jedyny czas w roku, gdy rodzina jest razem. Pięć dni na innej planecie. Poza tym okresem nigdy nie przyjeżdżają jednocześnie, ale żadne nie zrezygnowałoby ze wspólnego Bożego Narodzenia.

Marie-Laure szykuje lunch, piecze dwa kurczaki. Jak zawsze wkłada do środka czosnek, wsypuje sól i wsuwa tymianek. Nigdy nie dodaje tłuszczu, tylko przyprawy, dzień wcześniej zamarynowane w oliwie. Usmaży ziemniaki dla Valentina i Étienne'a – przepadają za ziemniakami – i fasolkę z cebulką dla Louise. Dla Paula-Émile'a będzie zapiekanka z cukinii.

Rozsuwa firanki. Widzi, że przed dom zajeżdża samochód schroniska. Myśli, że Nina wreszcie wpadła, żeby zobaczyć się z Étienne'em, ale z auta wysiada tylko Valentin, a Nina od razu odjeżdża. Marie-Laure nie ma czasu, żeby wyjść i ją zatrzymać, zaprosić do środka, poczęstować kawą. Móc na nią spojrzeć, usłyszeć ją, dotknąć jej. Nie rozmawiały od lat. Czasem widuje ją na mieście, zawsze za kierownicą tego samochodu. Nigdy pieszo. Marie-Laure wie, że Nina od wielu lat pracuje w schronisku. Mogłaby tam pójść, porozmawiać z nią. Mogłaby też do niej wpaść. Ale nie śmie.

Chociaż minęło tyle czasu, wciąż ją boli, że Nina i Étienne przestali ze sobą rozmawiać.

– Co robiłeś z Niną Beau, kochanie? – pyta wnuka, który wchodzi do kuchni.

– Cześć, babciu. Znasz ją?

– Była dla mnie jak córka. Dawno temu.

– Przyjdzie dziś wieczorem.

– Słucham?

– Zaprosiłem ją na aperitif o szóstej. Przedtem wpadnie do siebie, żeby się umyć i ładnie pachnieć, tak powiedziała.

Marie-Laure obserwuje Valentina, zaskoczona. Jak oni się poznali? A przede wszystkim, jak mu się udało ją tutaj zaprosić?

– Idę na górę, sprawdzę, czy tata się obudził! – mówi Valentin i znika na schodach.

Marie-Laure włącza piekarnik, żeby się nagrzał. Sto osiemdziesiąt stopni. Przysuwa sobie krzesło. Oczy ma zamglone, myślami jest zupełnie gdzie indziej.

To było dwunastego sierpnia 1994 roku. Nigdy tego nie zapomni. Jeden z tych momentów w życiu, które nagle dzielą czas na „przedtem” i „potem”.

Wracała z plaży. Każdego dnia pod wieczór zostawiała tam Marca i dzieci. Uwielbiała te chwile tylko dla niej. Pusty dom. Okiennice zamknięte, chronią przed słońcem. Przyzwyczaić się do ciemności. Pod stopami zimne kafelki. Gorące mury, cykady, zimny prysznic, ciało posmarowane kremem, leżak w cieniu, ulubiona powieść. Potem szykowanie obiadu, różowe wino z lodem. Raj w ustach.

Telefon. Odebrała po jakichś dziesięciu dzwonkach; myślała, że to nie do niej, tylko do właścicieli, od których w lecie wynajmowali ten dom.

Było za wcześnie, żeby dzwonili Adrien albo Nina, a tylko oni znali ten numer. Dzwonili co wieczór koło dziewiątej. W słuchawce usłyszała zduszony jęk; ktoś płakał, pociągał nosem. Nie od razu poznała Adriena, nie zrozumiała, o co mu chodzi, a gdy w końcu pojęła, miała ochotę rzucić słuchawkę, cofnąć czas, wrócić na plażę, zdjąć ubranie, patrzeć na morze, poruszyć niebo. Zamiast tego wyjąkała:

– Czy Nina wie?

– Nie, jeszcze nie, chyba nie, jest w pracy.

– Gdzie jest twoja mama, Adrien? Gdzie jest Joséphine?

– Wyszła na cały dzień, jestem sam, co mam robić?!

Marie-Laure nie wiedziała, która jest godzina. Po czterech tygodniach w Saint-Raphaël nie pamiętała nawet, gdzie schowała zegarek. W tym domu nie ma zegara, pomyślała. Ani kalendarza.

– Która jest godzina, Adrien? – spytała.

– Dwadzieścia pięć po czwartej.

Szybko obliczyła: trzeba uprzedzić Marca i dzieci, spakować się i jechać… Będą w La Comelle nie wcześniej niż przed drugą, trzecią w nocy.

– Adrien, jaki mamy dzień?

– Piątek.

– Dobrze. To znaczy, że jutro ani Nina, ani ty nie pracujecie.

– Ja pracuję. Nina nie pracuje.

– Dobrze… Nieważne. Posłuchaj mnie. Słuchasz?

– Tak.

– Wytrzesz oczy i pójdziesz po Ninę do jej pracy. Wymyślisz cokolwiek, jakiś pretekst, i zabierzesz ją gdzieś daleko, bardzo daleko. Do

czasu, aż przyjedziemy. Nie wolno jej wrócić do domu. Zrób coś, żeby uwierzyła, że macie przed sobą dwa dni wolnego.

– Ale ona pozna, że płakałem. Nie uda mi się!

– Uda ci się! – Marie-Laure prawie krzyczała. – Uda ci się! Zrób to dla Niny!

Usłyszała w słuchawce szloch Adriena. On ma dopiero osiemnaście lat, wymagam od niego rzeczy niemożliwej, pomyślała. Pomyślała też o Damamme'ach, może trzeba do nich wpaść, uprzedzić ich. Ale Nina właściwie ich nie znała. Tyle że oni z pewnością umieliby zaopiekować się nią do czasu, aż ona wróci do La Comelle i wszystkim się zajmie. A Marion? Marie-Laure pomyślała o Marion. Wyobraziła ją sobie na szkolnym podwórku. Usłyszała jej śmiech. Były tak młode, beztroskie… Jak to się stało, że Marion zniknęła wszystkim z oczu? Dlaczego ludzie znikają? Umarł jej ojciec, jak ją zawiadomić? Jak mogła porzucić Ninę? Dlaczego to zrobiła? Nie wolno sądzić innych…

Głos Adriena wyrwał Marie-Laure z zamyślenia.

– Uda mi się! – wyszeptał i rozłączył się.

*

W tej samej chwili Nina siedziała przy biurku i układała stare faktury z 1993 roku, najpierw miesiącami, potem według alfabetu. Doszła do marca. Co robiła w marcu 1993 roku? Była jeszcze w liceum. Nie chciałaby cofnąć czasu. Znowu matura? Nie, dziękuję! Nie wiedziała, że za kilka godzin dałaby wszystko, żeby zdawać maturę co roku, gdyby tylko czas się cofnął i wrócił marzec 1993.

Była piękna pogoda. Nina nudziła się w biurze. Myślała o nadchodzącym wrześniu, o Paryżu jak o wyzwoleniu. Myślała o przyszłości jak o morzu pełnym możliwości, nieskończoności, ruchu.

Odkrywać nowe rzeczy, rysować, śpiewać, komponować, spotykać ludzi i co wieczór wracać do Étienne’a i Adriena. Hura, niedługo będą mieszkali razem!

Od sześciu dni spotykała się z Emmanuelem Damamme’em. Czekał na nią po pracy. Jedli u niego kolację. Nina nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnego, na stole w kuchni czekał posiłek dla dwóch osób. Wystarczyło odgrzać. Jak w restauracji: kilka przystawek, dwa różne dania do wyboru i deser. A więc tak to wygląda, gdy ma się służbę. Nie musi się samemu robić zakupów, odkurzać. Emmanuel wszystko miał gotowe, z posłanym łóżkiem włącznie. Mieszkał w posiadłości rodziców, w oddzielnym domu. Wczoraj wyjechał na kilka dni do Saint-Tropez, żeby spotkać się z przyjaciółmi. Zadzwonił do niej godzinę temu; był wesoły, spytał, czy dobrze jej się pracuje. „Tęsknię za tobą”, oznajmił. „Ja za tobą też”, odpowiedziała.

Nie mogła się nadziwić, jak to się stało, że ten chłopiec z dobrego domu zapałał do niej sympatią. Sama myślała o sobie jak o dziewczynie ze złej rodziny, z powodu „matki kurwy”. Od zawsze czuła się jak porzucony pies, którego na szczęście w końcu przygarnął jakiś porządny człowiek.

W sobotę w Club 4, tego wieczoru, kiedy to niby miał śpiewać Étienne Daho, Emmanuel zamawiał jej drinka za drinkiem. Stali przy barze przyklejeni do siebie, zapomniała o Adrienie, zapomniała o wszystkim. Nie była sobą, stała się inną dziewczyną, od której pożyczyła życie na kilka godzin szczęścia. Emmanuel pocałował ją. Dotknął jej języka swoim – cholerna obietnica. Nina nie wiedziała, że istnieją takie pocałunki. Chłopak był niewątpliwie pociągający. Miała wrażenie, że odrywa się od ziemi, że mu się oddaje, że on może z nią zrobić, co chce. Chwila, w której rzeczywistość okazuje się dużo lepsza od wyobrażeń. Pieścił ją, jego dłonie ślizgały się po jej sukience. Po trzecim ginie ośmielił się zejść niżej;

dotykał jej przez materiał sukienki, coraz bardziej napierając. Jęknęła, gdy poczuła na skórze armię mrówek, inwazję cudownych dreszczy. Ale nie miała ochoty na to samo co on. Ledwie dotknęła jego penisa, już się przeraziła. Poczuła się, jakby na nią napadł.

– Powinniśmy wyjść – powiedział w końcu, wziął ją za rękę i zaprowadził do swojego kabrioletu. – To twój pierwszy raz, nie będę cię pieprzył w samochodzie. Pojedziemy do mnie.

„Pieprzył”? To słowo ją zaszokowało. Wróciła na ziemię. Wytrzeźwiała. Jakby ktoś ją gwałtownie popchnął. Przestraszyła się. Czy to będzie bolało? Czy będzie krwawiła? Czy będzie w ogóle umiała to zrobić? Gdy Emmanuel wszedł do klubu i pocałowali się po raz pierwszy, nie przyszło jej do głowy, że sprawy potoczą się tak szybko. Minęła niecała godzina… A już odjeżdżali razem. Nie miała czasu uprzedzić Adriena. Joséphine miała po nich przyjechać po zamknięciu. „Spotykamy się o czwartej rano na parkingu, jak zwykle”. Nina myślała, że Emmanuel ją odwiezie; tak w żartach mówiła poprzedniego dnia Adrienowi, jednocześnie modląc się o to, gdy wyskakiwała z łóżka. Ale teraz żarty się skończyły. Zaczęła się bać. Zostały tylko modlitwy. Boże, nie wiem, gdzie się chowasz, ale proszę, spraw, żeby wszystko było dobrze…

Co pomyśli Joséphine, gdy zobaczy, że nie ma jej z Adrienem na parkingu?

Nie mogła uwierzyć, że siedzi w samochodzie, który wywoływał w niej kołatanie serca, ilekroć spostrzegła go na ulicy. Czerwone alpine A610. Samochód sportowy, samochód dla bogatych ludzi, samochód dorosłych. Tymczasem ona jest jeszcze dzieckiem. Kopciuszek w krainie Damamme’ów.

Club 4 od La Comelle dzieliło trzydzieści kilometrów, ale Ninę Beau od Emmanuela Damamme’a dzielił cały świat. Miliard lat świetlnych. Czyli

bycie „piękną jak wiosna” oznacza właśnie to? Ludzie często tak o niej mówili, kiedy ich mijała. „Piękna jak wiosna” znaczyło „wpaść w oko mężczyźnie podobnemu do księcia z bajki”?

Trzydzieści kilometrów. Emmanuel poprosił, żeby wybrała muzykę.

– Poszukaj kaset w schowku pod tablicą rozdzielczą.

Dziesiątki kaset, w tym dwa albumy Étienne’a Daho: *Pop Satori* i *Pour nos vies martiennes*. Miała ochotę się roześmiać, gdy wsuwała do magnetofonu kasetę Oasis. Głos Liama Gallaghera. Emmanuel ściszył radio.

– Opowiedz mi jeszcze o sobie, Nino! – poprosił.

Poczuła się niepotrzebna, głupia, malutka, bez żadnej kultury. Nieśmiałość wzięła górę.

– Wolałabym, żebyś to ty mi o sobie opowiedział – usłyszała własny głos.

– No to może nie rozmawiajmy?

Wziął jej dłoń i położył na penisie. Zaczął się pieścić jej palcami, łagodnie, ledwo dotykał dżinsów. Nie jak jakiś brutal. Był delikatny, ale zdeterminowany. Coś okropnego! Nina znów poczuła się, jakby ją gwałcił. Nie miało to nic wspólnego z jej marzeniami o nim. Chciała, żeby jak najszybciej dotarli do jego domu. Musi się napić. Koniecznie. Wypełnić się alkoholem, dzięki któremu zdaje się, że jest piękna pogoda, nawet kiedy leje. Przejechali przez bramę. Nina zobaczyła w oddali pałac otoczony drzewami i domyśliła się, że z przodu jest basen. Wszystko tonęło w ciemnościach.

– Czy potem będziesz mógł mnie odwieźć? – spytała prawie błagalnym tonem.

Uśmiechnął się.

– Jeśli będzie w ogóle jakieś potem – powiedział. Odgadł jednak, że Nina czuje się niepewnie. – Będzie dobrze, nie bój się – obiecał.

Przejechał jeszcze jakieś dwieście metrów i zaparkował przed domem z kamienia. Był porośnięty bluszczem, mniejszy niż tamten w oddali. Drewnianych okiennic najwyraźniej nigdy nie zamykano. Zamek w drzwiach wejściowych nie był zatrzaśnięty. W środku pachniało świecami i całe wnętrze zrobiło na Ninie jeszcze większe wrażenie niż dom Étienne’a. Stare cenne meble i ozdoby. Nigdy jeszcze nie widziała tak wielu obrazów na ścianach.

Emmanuel nalał im po drinku – gin z tonikiem, dużo ginu dla obojga – i stuknęli się. Zanim wyszedł do łazienki, powiedział:

– Czuj się jak u siebie, włącz jakąś muzykę. – Wskazał na zestaw audio.

Miał ochotę ją pożreć, zerżnąć, czuł, że ogarnia go szał, ale była taka przestraszona, że musiał się uspokoić.

– Opanuj się! – rozkazał sobie przed lustrem w łazience.

Ta mała naprawdę mu się podobała. Nigdy dotąd nie odczuwał tak intensywnego pożądania. Żadna z dziewcząt, z którymi spał, nie zrobiła na nim podobnego wrażenia. A przecież ta była taka nieporadna, taka młoda. Bardzo młoda. Musi działać powoli. Trudno mu było uwierzyć, że do tej pory nikt jej nie przeleciał – przecież dużo wychodziła, była swobodna. Widział, jak śmiałym wzrokiem patrzy na innych w biurze. Pomyślał, że skłamała, tak jak z Étienne’em Daho. Że miała go za durnia. Ale odkąd wyszli z klubu, z tą speszoną miną, bladym uśmiechem, napięciem i niepewnym głosem sprawiała wrażenie dziesięć lat młodszej. Nagle zobaczył małą dziewczynkę, a nie młodą kobietę. Zrozumiał, że naprawdę jest dziewicą.

Gdy zszedł na dół, stała przy kuchni, z nosem w pustej już szklance. Wziął ją w ramiona. „Chodź!”, powiedział. Położyli się na kanapie, ubrani.

Zaczął ją pieścić. Przede wszystkim chciał ją uspokoić, poczuć, że się rozluźnia. Potem trzeba odnaleźć to uczucie pożądania, które obudził w niej w klubie. Musieli oboje mieć ochotę, inaczej to nie miało sensu. Powinien doprowadzić ją do orgazmu, żeby niezależnie od wszystkiego pozostać dla niej pięknym wspomnieniem. Emmanuel nie był prostakiem. Przykładał wielką wagę do wrażenia, jakie po sobie zostawiał. Za wszelką cenę chciał się podobać.

Kiedy Nina zobaczyła go na schodach, wracającego z łazienki, pomyślała, że jest przystojny, tak, bardzo przystojny. Był potargany; ochota na nią wręcz paliła się w jego oczach, dwa płonące węgle… Nina czuła tę ochotę, widziała ją, wdychała razem z powietrzem. To spojrzenie, jakim ją obrzucał, to zwierzęce pożądanie. Właśnie tego się przestraszyła. Wiedziała, że nie wyjdzie z tego domu taka sama. Wiedziała, że ją rozdziewiczy. Pomyślała o Adrienie i Étiennie. Co by powiedzieli, gdyby zobaczyli ją w tym domu, tutaj, z NIM? Étienne, to pewne, wyśmiałby ją; nie znosił, gdy ktoś jej dotykał, więc ukryłby się za śmieszkami i sarkazmem. Co do Adriena… Uśmiechnąłby się pewnie tym enigmatycznym uśmiechem, którego od dzieciństwa nie udało jej się rozszyfrować. Nagle strasznie za nimi zatęskniła. Odpędziła myśli o obu przyjaciołach, jak odpędza się muchę.

Emmanuel wziął ją za rękę, powiedział „Chodź do mnie”, ta czułość na chwilę ich połączyła. Pociągnął Ninę na kanapę, położył się na plecach i posadził ją na sobie; była lekka jak piórko. Delikatnie uniósł jej sukienkę, dotknął stanika i rozpiął go. Pozwoliła mu na to; musiał wiedzieć różne rzeczy, o których ona nie miała pojęcia. Te gesty wywoływały jej jęki i powodowały, że czuła uderzenia ciepła i przyjemność w okolicach brzucha, promieniującą w dół, mimo że jej tam nie dotykał. Wystarczyło, że

zagłębił język w jej ucho czy podgryzał wrażliwe miejsca, które budził do życia i które przed nią odkrywał.

Pewnej nocy, gdy Étienne i Adrien zasnęli obok niej przed telewizorem, a ona skakała z kanału na kanał, trafiła na film porno. Sprawdziła, czy chłopcy mocno śpią; trzymała pilota w dłoni, gotowa natychmiast przełączyć, gdyby któryś otworzył oczy. Wolałaby umrzeć, niż dać się na tym złapać. Ściszyła dźwięk i patrzyła na organy płciowe, rozwarte, wilgotne. Obrzydliwe i fascynujące jednocześnie. Aktorzy się nie pieścili, nie było tam miłości. Byli jak maszyny. Jak w rzeźni. Jak w chłodni sklepu mięsnego.

Następnego dnia powiedziała chłopakom:

– Dziś w nocy widziałam w telewizji film porno. Jestem wstrząśnięta…

– Przestań, nie chcę tego słuchać, nie chcę nic wiedzieć o twoim życiu seksualnym! – przerwał jej Étienne.

– Przecież ty bez przerwy mi opowiadasz o cyckach twoich dziewczyn!

– To co innego.

– A to czemu?

– Jesteś dziewczyną.

Adrien uśmiechnął się nieśmiało.

*

Emmanuel długo ją pieścił, od czasu do czasu spoglądał na nią i pytał, czy wszystko dobrze. Był cały czerwony, zlany potem, wyglądał okropnie; już nie przypominał tego przystojniaka co wcześniej, raczej kogoś nienormalnego. Odpowiadała, że tak, dobrze.

Tylko to była w stanie z siebie wydusić.

Wstał, żeby zgasić światło. Zrobił to dla niej. Jemu było wszystko jedno. Położył ją na plecach, zdecydowanym gestem zdjął z niej sukienkę

i stanik, który wisiał jej na brzuchu. Teraz sam się rozebrał, roztoczył specyficzny zapach – mieszanina perfum i potu – położył się na niej, był bardzo ciężki. Zsunął się w dół, polizał ją między nogami. Nina poczuła mieszankę szczęścia i nieszczęścia… być tak wystawioną na język kogoś obcego, jego palce w niej, w środku, jakby ją przeszukiwał. Pożądanie i obrzydzenie trzymały się za ręce, przyjemność i niesmak, jedno w drugim. Podsunął się w górę, jego twarz znalazła się przy jej twarzy, usta miały zapach wilgotnej waginy. Nina miała ochotę natychmiast uciec. Chciała znów stać się dzieckiem, małą siedmioletnią dziewczynką, kiedy płot z białego drewna przed domem dziadka wydawał się taki wysoki! Emmanuel rozsunął jej nogi i wszedł w nią łagodnie; zabolało, wstrzymała oddech. Zaczął poruszać się w niej rytmicznie, dysząc ciężko. Zacisnął pięści, spiął się w sobie, westchnął.

– Tak bardzo cię pragnę… – I to był koniec. Zastygł, przestał się ruszać. Dyszał w jej szyję. Końcami palców zdjął prezerwatywę. – Zaczniemy znów, za chwilę – wyszeptał. – Mamy czas.

A więc to wokół tego kręci się świat, to o tym są piosenki… Muszę przerobić teksty, pomyślała Nina.

*

Adrien miał to bez przerwy przed oczami. Stoi i napełnia bak białego renault 5 z rejestracją z departamentu 69, kiedy przed stacją przejeżdża wóz strażacki na sygnale. On nie zwraca na to uwagi, chce jak najszybciej skończyć tankowanie, patrzy na cyfry przesuwające się na liczniku dystrybutora. Spieszy się do budki, do swojej pasjonującej książki.

Strażacy zatrzymali się trzysta metrów dalej, syreny cały czas wyły. Adrien odruchowo spojrzał w tamtą stronę: gapie, biegnący ludzie. Właściciel renault powiedział:

– Przejeżdżałem tamtędy, to straszne, ktoś mówił, że samochód przejechał listonosza.

Adrien od razu zrozumiał, że chodzi o Pierre’a. Znał jego trasę, wiedział, że to on obsługuje tamtą dzielnicę La Comelle.

Poprzedniego dnia Adrien jadł u nich kolację, bo Emmanuel pojechał do Saint-Tropez. Od kiedy Nina się z nim przespała, nie odstępowała go na krok. Nawet zdarzało jej się nie zadzwonić wieczorem do Étienne’a. Adrien wypytywał ją: „No i jak było? Kochasz go?”. Ale coś tam bąkała półsłówkami, aż wreszcie rzuciła tę dziwną uwagę: „Nie ma o co kruszyć kopii”. Był zaskoczony, to było tak absurdalne, że się roześmiał. Nina mu zawtórowała, nic nie dodając.

Gdy siedzieli razem przy stole w ogrodzie, Pierre poskarżył się, że bolą go mięśnie.

– Już nie jestem taki młody – wyznał z melancholijnym uśmiechem.

Adrien puścił pistolet, licznik przestał się obracać. Nie zamknąwszy baku, pognał w kierunku kogutów wirujących na dachu wozu strażackiego. Tych trzysta metrów wydawało się nie mieć końca. Jak w sennych koszmarach, gdy biegnie się, stojąc w miejscu, krzyczy się, a żaden głos nie dobywa się z gardła. W końcu zobaczył ciało leżące na ziemi, nieruchome nogi. Kałuże krwi, cynobrowe błyski. Co będzie z Niną? – dźwięczało mu w głowie. Ciężarówce nic się nie stało, nawet śladu uderzenia na lakierze, jakby kierowca po prostu zatrzymał się na środku drogi i wyszedł coś kupić. Stał zresztą obok, blady, oszołomiony; on również wyszedł z tego bez szwanku. „Nie widziałem go, nie widziałem go”, powtarzał. Jedno koło roweru Pierre’a wystawało spod ciężarówki. Jakby pojazd połknął cały rower i wypluł to, czego nie chciał. Górna część ciała Pierre’a i jego twarz były zasłonięte kocem. Jak na filmach, w których właśnie kogoś zamordowano. Adrien zobaczył torbę z listami; leżała trochę dalej, z boku,

na ławce. Skąd się tam wzięła? Była zgnieciona. Wziął ją machinalnie i wszedł do budki telefonicznej. U niego nikt nie odbierał; przypomniał sobie, że matka pojechała na cały dzień do Lyonu. Poczuł się sam na świecie. Podniósł głowę, zobaczył, że strażacy niosą Pierre’a na noszach. Pogrzebał w kieszeniach, znalazł karteczkę, na której Nina zapisała numer telefonu wakacyjnej willi państwa Beaulieu.

W końcu odebrała Marie-Laure.

Po skończonej rozmowie Adrien zaczął biec jak wariat. Wrócił na stację benzynową i wziął z kasy dwa tysiące franków. To było szaleństwo; potrzebował tej pracy, żeby móc wyjechać do Paryża, wynająć tam mieszkanie, mieć na jedzenie. Wszystko to straci, ale teraz kierował się wyłącznie instynktem – jego rozum odjechał razem z Pierre’em Beau na noszach. Musiał zabrać Ninę gdzieś daleko, jak najdalej, zanim państwo Beaulieu wrócą z Saint-Raphaël.

Szybko, szybko… Musi zdążyć, zanim ktoś ją zawiadomi.

Wszedł do firmy Damamme’ów, nie przedstawiając się, czerwony jak burak. Siedząca w recepcji gruba kobieta z siwymi włosami, w okularach z czarnymi oprawkami, spojrzała na niego zaskoczona. Zna dzieciaka z widzenia, przypomniała sobie, to przyjaciel Niny Beau, może nawet jej chłopak; młodzi teraz w ogóle się nie przejmują, patrzcie go, wchodzi sobie beztrosko do biura w godzinach urzędowania!

– Muszę się zobaczyć z Niną!

– Dzień dobry. Nina pracuje – odpowiedziała sucho kobieta.

– Muszę ją stąd zabrać, jak najdalej.

– Słucham?

– Czy ona już wie?

Gruba kobieta patrzy na niego, jakby był szalony albo naćpany. W tym samym momencie dzwonią z żandarmerii, by poinformować Czarne

Okulary, że kierowca firmy przejechał jakiegoś mężczyznę na placu de Gaulle’a. Mężczyzna nie żyje. Pan Damamme ojciec jest proszony o natychmiastowe przybycie na miejsce zdarzenia. Jeszcze nie wiadomo, z czyjej winy i dlaczego nastąpił ten śmiertelny wypadek.

Adrien już wbiegł na korytarz i otwiera wszystkie drzwi. Biura, pokoje z drukarkami, magazyny. Wsunął torbę listonosza na którąś z wysokich półek, za kartonowe pudła; Nina nie może jej zobaczyć.

W końcu znalazł Ninę za biurkiem. Na jego widok nic nie powiedziała, tylko spojrzała pytająco. Adrien wiedział, jak ma się zachować po prostu tak jak zawsze.

– Nina, słuchaj, jest piątek, jesteśmy młodzi, za miesiąc stąd wyjeżdżamy, jedziemy do Paryża! Mam ochotę zrobić coś szalonego, zaczyna się weekend, zabieram cię, dokąd tylko chcesz, teraz. Uprzedziłem dziadka. Wie, że jesteś ze mną. Zgodził się, nawet się roześmiał. Chodź, idziemy!

Nina uśmiechnęła się. W tym momencie Adrien musiał się mocno uszczypnąć w ramię, żeby nie pęknąć. Była jego siostrą, kimś najważniejszym, kochał ją najbardziej na świecie. Teraz, w tym szarym pokoju z oknem wychodzącym na szare mury, dobitnie to sobie uświadomił. Nina będzie cierpieć, nie mógł tego znieść, ale na razie podaruje jej dwa ostatnie beztroskie dni. Jej dwa ostatnie dni dzieciństwa. Będzie jeszcze czas, żeby odkryła prawdę, żeby z dnia na dzień stała się nieodwołalnie dorosła.

Chcąc ominąć recepcję, otworzył okno, przy którym stała, wyskoczył przez nie i powiedział:

– Idziemy!

– Ale ja nie skończyłam pracy!

– Do diabła z tym, przecież sypiasz z właścicielem!

– Głupi…

Włożyła żakiet, wzięła torebkę. Przemknęli uliczkami na dworzec. Najważniejsze, żeby nikogo nie spotkać! Regionalnym ekspresem odjeżdżającym dziesięć po piątej dojechali do Mâcon. Tam Nina wybrała na tablicy odjazdów Marsylię. Adrien kupił za ukradzione pieniądze dwa bilety.

– Skąd masz tę forsę?

– Od ojca, dostałem za maturę. Trzeba to wykorzystać!

O jedenastej wieczorem dojechali na dworzec Saint-Charles. Gdy Nina odeszła na chwilę, żeby kupić dwa ciepłe panini z czekoladą i bananem, Adrien zadzwonił z budki telefonicznej do matki. Joséphine już wiedziała o wypadku; wszyscy bardzo się martwili, Emmanuel Damamme szukał Niny wszędzie, wściekły kierownik stacji benzynowej dzwonił, żeby złożyć skargę na Adriena, ale zwróciła mu pieniądze i powiedziała o dziadku Niny – sprawa załatwiona. Adrien poprosił matkę, żeby poszła do domu Pierre’a Beau i zajęła się Paolą i kotami.

– Drzwi są zawsze otwarte, ale na wszelki wypadek klucz jest pod dużą czerwoną donicą obok wycieraczki. – Oni wrócą w niedzielę, od razu z dworca zaprowadzi Ninę do Étienne’a, jego rodzice mają na nich czekać i wszyscy razem jej powiedzą. Adrien się rozłączył, Joséphine zapytała w pustkę:

– Ale gdzie wy jesteście?

Adrien kupił bilety powrotne na niedzielę. Potem wsiedli do autobusu, który zjeżdżał ku morzu, zatrzymali się w małym porcie o nazwie Plaża Proroka. Było ciepło, grupka młodzieży rozpaliła ognisko; Adrien z Niną podeszli do nich. Gadali, pili piwo, jedli pizzę, tańczyli do *Sous le soleil de Bodega*, Nina wyglądała na szczęśliwą, patrzyła na Adriena, jakby była

w nim zakochana. Piasek był zimny. Adrien spytał ją, czy może chciałaby spędzić noc pod gołym niebem.

– Tak, wspaniały pomysł! – odpowiedziała.

O drugiej w nocy zrobili sobie posłanie koło plażowej budki, położyli się przytuleni do siebie.

– Kocham cię, Nina, zawsze będę cię kochał – wyszeptał Adrien.

– Wiem – odpowiedziała.

Nie zmrużył oka przez całą noc. Myślał o śmierci Pierre’a, o jej konsekwencjach, o smutku. Jak to się dzieje, że życie może tak nagle się zmienić?

Ninę obudził świt. Rozebrali się i weszli do morza. Jeszcze panował chłód, ale niebo było obiecująco błękitne. Naprzeciw mieli wyspy Frioul, biło od nich białe, prawie księżycowe światło. Długo siedzieli w wodzie, tafla morza przypominała tego ranka jezioro, jakby fale były tylko legendą.

Korzystając w pełni z każdej sekundy mijającego czasu, spędzili cały dzień na plaży, dość zatłoczonej, bo był przecież środek sierpnia. Ninie bardzo spodobał się śpiewny marsylski akcent. Słuchała rozmów jak muzyki.

Po południu, gdy odpoczywała, Adrien kupił mydło, pastę do zębów i szczoteczkę, dwie butelki wody, pomidory, arbuza i słone ciasteczka. Przez dwa dni mieli na sobie te same ubrania, dżinsy, T-shirty i kurtkę, którą przykryli się w nocy. W ciągu dnia opalali się w bieliźnie. Nina nie chciała nigdzie iść. Przed plażowymi przebieralniami był prysznic, więc pod wieczór umyli się tam i wysuszyli na słońcu, siedząc na skale, obserwując żaglówki i ostatnich kąpiących się plażowiczów.

– To najpiękniejszy dzień mojego życia – powiedziała Nina. – Szkoda, że nie ma z nami Étienne’a i dziadka.

36

22 grudnia 2017

Nina naciska dzwonek. Otwiera jej Étienne. Konsternacja, długa cisza, stoją tak twarzą w twarz, patrząc sobie w oczy. Nie widzieli się od czternastu lat. Początkowe napięcie opada jak suflet po wyjęciu z pieca. W gruncie rzeczy to nie takie straszne, już niezbyt ważne. Przecież z tego, że kiedyś tak bardzo się kochaliśmy, nie wynika, że musimy się kochać i teraz. Minął czas. Podobno czas leczy rany. Dowód? Nina nawet nie zadrżała.

Étienne ma na nogach kapcie, pewnie ojca. Wiedział, że ona ma przyjść, mógł się więc wysilić i przynajmniej zmienić strój. Nina jest pewna, że specjalnie tego nie zrobił. Pokazać się od najgorszej strony.

Utył. Ma rysy dojrzałego faceta, jest nieogolony, wygląda niechlujnie. Włosy mu ściemniały, uroda jakby trochę wyparowała, okazała się migrującym ptakiem, choć Nina myślała, że nigdy nie przeminie. Że jest wpisana w jego geny. Uroda staje się jednak taka, jaką sobie wypracujemy. Zostało tylko spojrzenie, po którym widać, że odpuścił, odpuścił to, co nazywamy życiem, radością, chęcią… Zniknęła nadzieja, zniknął śmiech. Przyszło znużenie. Znudzony facet. W końcu uśmiecha się do niej ironicznie; przynajmniej tego nie stracił.

– Nie spodziewałem się, że przyjdziesz.

Głos ma trochę niższy, mówi powoli, monotonnie. Gdzie podziała się jego harda pewność siebie? Kładzie dużą dłoń na ramieniu Niny i całuje ją w policzek. Jedno cmoknięcie. Pił. Nina czuje to w jego oddechu.

– Obiecałam Valentinowi, że przyjdę – mówi Nina.

– Fajnego mam dzieciaka, widziałaś. Czekamy na ciebie z aperitifem, chodź.

Korytarz, który Nina zna na pamięć, zapach wciąż ten sam. Syntetyczna woń róży. Schody na piętro, meble nie zmieniły miejsca, szafka pod telefon, gdzie leżały książki telefoniczne. Teraz zniknęły, zastąpione internetem. Szafka na buty, do której tak często wrzucała trampki, zanim boso wbiegała po dwa stopnie na górę, do Étienne’a, który siedział w swoim pokoju. Kuchnia na lewo, drzwi są otwarte. Nowoczesna, jakich teraz pełno, z wyspą pośrodku i białymi szafkami z dryftowego drewna. W korytarzu ta sama tapeta. Wszystko, co kiedyś wydawało jej się tak eleganckie, dziś robi wrażenie staroświeckiego. Jakby dom źle się zestarzał, tak jak Étienne. W sumie nie było to nic szczególnego.

Valentin wbiega w samych skarpetkach, z telefonem w dłoni.

– Zaprosiłem cię na Facebooku, widziałaś? Jesteś na Instagramie i Snapchacie?

– Nie – odpowiada Nina ze sztucznym uśmiechem.

W tym domu Valentin jeszcze bardziej przypomina ojca z dawnych lat. To jego obecność ją paraliżuje, nie Étienne’a. Nagle widzi, że „jej” Étienne zniknął, nie ma go. Została jedynie skóra, martwa powłoka. Wszystkie komórki jego ciała odrodziły się w tym nieznajomym młodzieńcu, który ciągnie ją do swojego pokoju. Zbyt dużo wody upłynęło od tamtych czasów. Jakie dania Étienne dziś najbardziej lubi? O której jada? Jakie ma przyzwyczajenia? Jaki jest jego ulubiony zespół? A ulubiony film? Jak

nazywają się jego przyjaciele? Zmienił się jego zapach. Kiedyś znała go doskonale. Pachniał cukrem.

Idzie za synem i ojcem do jadalni. Marie-Laure siedzi na kanapie, najwyraźniej wzruszona. Wstaje, podchodzi do Niny, bierze ją w ramiona. Zmieniła się. Ta piękna opalona kobieta pomarszczyła się. Ile może mieć lat? Jest po sześćdziesiątce, oblicza w myślach Nina.

– Tak się cieszę, że cię widzę, Nino!

Nina odwzajemnia uścisk. Czuje ten sam zapach: Fleur de rocaille.

– Przepraszam, Marie-Laure, przepraszam…

– Ale za co?

– Że nigdy cię nie odwiedziłam.

– Ja też mogłam pójść do schroniska… Dużo w tym mojej winy. Kiedy odjechałaś… Powinnam była zrozumieć… Nie mówmy już o tym. Siadaj!

Nina ukradkiem spogląda przez ramię, widzi uśmiechającego się do niej Marca, który mocno utył; całuje ją. On, który kiedyś zachowywał się z taką rezerwą, wydaje się cieplejszy.

Ile razy Étienne skarżył się, że ojciec go nie kocha? Czy w końcu się dogadali, zrozumieli, zbliżyli?

Teraz podnosi się Louise, jej przepiękne lazurowe spojrzenie… Kobieta. Nastolatka dawno zniknęła. Louise zawsze promienna, kwitnąca. Paul-Émile, starszy brat, Pauline, jego żona, i ich dwoje dzieci, Louis i Lola. Chłopiec i dziewczynka. Osiem i dziesięć lat. Wchodzi niska, szczupła blondynka, koło czterdziestki, energiczny uścisk dłoni.

– Marie-Castille, jestem żoną Étienne’a.

– Dobry wieczór!

Marie-Castille patrzy na Ninę jak na rywalkę, jakby miała się czego obawiać. To od razu widać. Jej uścisk dłoni i sposób, w jaki się

przedstawiła. „Żona Étienne’a” oznacza: „Uwaga! On jest mój”.

Zadziwiające, gdy tylko Étienne dotknie jakiejś kobiety, rodzi się w niej absurdalne poczucie własności, myśli Nina.

Nina wyjmuje z torebki pudełko czekoladek, wręcza je Marie-Laure.

– Och, nie trzeba było…

– Ależ wprost przeciwnie!

Nina ma na sobie sukienkę, którą kupiła poprzedniego dnia. Czuje się jak w przebraniu. Pobiegła nawet do supermarketu po krem BB i karminową konturówkę do ust; zmieszała ją z balsamem, żeby tylko trochę podbić ich naturalny kolor, oraz zrobiła ciemną kreskę u nasady rzęs. Myślała, że już nie umie się malować, ale to coś, czego się nie zapomina.

– A więc pracujesz w schronisku? – pyta Marie-Laure.

– Tak.

– Wcale mnie to nie dziwi. Wciąż rysujesz? Nie? Szkoda! Mam dużo portretów Étienne’a i Louise, które namalowałaś. Oprawiłam je. Wiszą w sypialni.

Louise jest chirurgiem, pracuje w Lyonie, żyje samotnie, nie ma dzieci.

– A ja wciąż jestem policjantem – mówi Étienne. – Marie-Castille poznałem w pracy, to moja przełożona.

Marie-Laure i Marc są na emeryturze. Nina słyszy jakby przez ścianę… Paul-Émile i Pauline są inżynierami, pracują w Genewie. Przestaje słuchać. Uśmiecha się. Tak. Nie.

Étienne nie wydaje się chory. Czyżby Valentin kłamał? Nie, to nie jest dzieciak, który by kłamał. Valentin robi kilka zdjęć telefonem, także selfie, przy których prosi wszystkich stojących za nim, żeby się uśmiechnęli.

Nina prawie bez przerwy czuje na sobie wzrok Étienne’a. Wie, że ją obserwuje. O czym myśli? Pewnie o tym, że ona też się zmieniła,

postarzała, ma inną skórę, zmarszczki… No cóż, cały czas jest na dworze, wyprowadzanie psów, odnajdywanie zagubionych kotów, kłopoty zawodowe, przepełnione klatki, dni otwarte, żeby zwolnić kilka boksów, stare zwierzęta, które u niej umierają, smutek, że nie udało się znaleźć im domu, ofiarować kilku miesięcy w ciepłym koszyku, zanim przyjdzie kres…

Z pewnością to wszystko odbija się na mojej twarzy, na dłoniach, myśli Nina.

Gdy tylko podnosi wzrok, szukając oczu Étienne'a, ten odwraca głowę. Wraca irytacja, jaką kiedyś w niej budził. Zirytowana miłość. Ich sprzeczki: „Nie rób tego, nie rób tamtego!", „Przestań się popisywać!".

Étienne wstaje.

– Dokąd idziesz, kochanie? – pyta Marie-Castille.

– Tam, gdzie ty nie możesz za mnie pójść – odpowiada jej mąż słabym głosem.

Wychodzi przez kuchnię. Otwiera szafkę. Bierze trzy łyki Grand Marnier, likieru, którego matka używa do flambirowanych naleśników. Ukoić ból. Robi mu się niedobrze. Idzie na górę, zamyka się w toalecie, zsuwa spodnie, siada. Kręci mu się w głowie.

Wspomnienie.

Jest na plaży w Saint-Raphaël. Obściskuje się z dziewczyną, która wpadła mu w oko. Leżą na piasku. Jak ona się nazywała? Camille. No tak. Camille. Wszyscy nazywali ją Camomille. Camomille, rumianek. „Ale uwierz, stary, to nie jest dziewczyna, która cię uśpi". Étienne nie rozumie, o co chodzi, uśmiecha się głupio. Nie wie, że wywar z rumianku działa uspokajająco. Przytrzymuje lewą ręką jej długie włosy, odsłania twarz, prawa ręka błądzi po jej ciele. Nagle z boku czuje cień, coś zasłania słońce. Ktoś. Wydaje mu się, że słyszy swoje imię. Odwraca głowę, otwiera jedno

oko: to matka. W tym momencie Étienne ma ochotę ją zabić. Nienawidzi jej za to, że wdziera się w jego intymność. Co ona tu robi? Nie widzi jej, bo matka stoi pod światło. Rzuca do niej napastliwym tonem:

– Czego chcesz?

– Musimy wracać, zdarzyło się coś strasznego.

Étienne widzi kątem oka nadchodzącego ojca. Jeszcze jego brakowało! Ojciec i matka nachylają się nad nimi. Camille wstaje. Nieee, nie odchodź, zostań, myśli Étienne. Jest w spodenkach kąpielowych, ma lekki wzwód, wstyd, wstyd przed rodzicami! Co oni mówią? Wracać? Dokąd wracać?

– Pierre Beau nie żyje.

*

W salonie Marie-Laure nalewa Ninie drugi kieliszek szampana.

– To ostatni, przyjechałam samochodem – broni się Nina.

Louis i Lola krzyczą, ganiają się, wyrywają sobie figurkę z *Gry o tron*. Ich krzyki zagłuszają jej słowa.

– Przecież zostaniesz na kolacji – mówi Marie-Laure.

Boże, znaleźć wymówkę! Jak najszybciej.

– Nie, nie zostanę, nie mogę, muszę przed ósmą odebrać psa od weterynarza.

– Jakiego psa? – pyta Valentin.

Szybko, drugie kłamstwo. Romain. Stary Bob przysypiał wczoraj wieczorem na kanapie, kiedy ona szybko narzucała na siebie ubranie.

– Ma na imię Bob, taki mały gryfon. Nie widziałeś go dziś rano, już był u weterynarza.

– Co mu jest?

– Serce.

Odpowiedź przyszła odruchowo. Kto przy tym stole ma największy problem z sercem? – zadała sobie w myślach pytanie. Czas rozdziela zakochanych… Nina napisała kiedyś o tym piosenkę, w czasach ich przyjaźni.

Czas rozdziela zakochanych
Nawet tych dwoje, trzymałaś tren panny młodej…
Z ich miłości zostały tylko blade wspomnienia
Czas rozdziela zakochanych…

Dalej już nie pamięta ani słów, ani muzyki.

Któregoś ranka jej były mąż spalił wszystkie zeszyty z tekstami i rysunkami. „Trzeba się pozbyć staroci”, powiedział. Nina patrzyła, jak płoną jej słowa, jej szkice. Nie czuła smutku. Pozwoliła mu, nie zaprotestowała ani słowem; stała obok jak lalka, z uśmiechem narysowanym na twarzy.

Marie-Castille do każdego zdania wstawia imię Étienne’a, jakby to była zabawa w fanty albo jakby ktoś się założył, że nie będzie umiała tak zrobić. „Étienne myśli, że…”, „Étienne chciałby…”, „Étienne nie za bardzo lubi, kiedy…”, „Étienne powiedział, że…”, „Étienne spał, kiedy…”.

Étienne właśnie wraca, siada na kanapie obok żony.

W tej samej chwili Marie-Castille pyta Valentina, „czy tata wie, że byłeś rano w schronisku?”.

– Nie, nikomu nie mówiłem – odpowiada chłopak.

– O czym powinienem wiedzieć? – pyta Étienne.

– Że Valentin poszedł dziś rano sam do schroniska.

– Mamo, przestań, mam już czternaście lat! Poza tym nie poszedłem sprzedawać amfy pod szkołą, poszedłem do schroniska Niny.

– W każdym razie – mówi Marie-Castille fałszywie kumpelskim tonem – mam nadzieję, że Nina nie namówiła cię do zaadoptowania jakiegoś zwierzęcia…

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła – odpowiada Nina szybko. – Na zwierzę trzeba zasłużyć.

Étienne śmieje się.

– Nic się nie zmieniłaś! – rzuca.

– Étienne mi opowiadał, że kiedyś zajmowaliście się muzyką, założyliście zespół – nie daje za wygraną Marie-Castille, zmieniając temat.

– Tak, to prawda… – odpowiada Nina. – W pewnym sensie…

Nie ma ochoty o tym mówić.

– Uwielbiam, kiedy Étienne siada do fortepianu – ciągnie Marie-Castille.

Brawo, myśli Nina, udało ci się użyć jego imienia w dziesięciu ostatnich zdaniach.

– Idziesz na papierosa? – nieoczekiwanie zwraca się do niej Étienne.

– Nie palę – odpowiada Nina.

– Dobry moment, żeby zacząć.

– Z jej astmą… – dodaje Marie-Laure.

Étienne wstaje, Nina też, nie patrząc na Marie-Castille, którą to z pewnością denerwuje. Idzie za Étienne’em do pokoju z wyjściem na ogród.

– Weź płaszcz, na dworze jest zimno – mówi Étienne.

– Dobrze, tato.

Étienne się uśmiecha. Stoją w przenikliwym chłodzie, przestępując z nogi na nogę, Étienne częstuje ją papierosem, ona odmawia.

– Dobrze wiesz, że nie mogę. Nigdy nie mogłam.

Zauważa bliznę przecinającą mu brew.

– Masz bliznę nad okiem – mówi.

Étienne uśmiecha się.

– Pamiątka z pola bitwy… Nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, kto mi to zrobił.

– Ktoś, kogo znam?

Jakby nie usłyszał.

– Jesteś szczęśliwa? – pyta.

– Nie tyle szczęśliwa, ile wreszcie spokojna. Spokojna… A ty? Szczęśliwy?

– Dobrze wiesz, że nie mogę. Nigdy nie mogłem – odpowiada Étienne słowami, którymi Nina odmówiła papierosa.

– Jesteś chory?

Spogląda na nią. Zawsze była bezpośrednia. W jego spojrzeniu pojawia się najpierw złość, potem przybicie. Jakby się poddał.

– Kto ci powiedział?

– Valentin.

Étienne wydaje się oszołomiony. Zapada długa cisza. Widać tylko ich oddechy, para w zimnym powietrzu. Gdy Étienne się zaciąga, wygląda, jakby miał pożar w ustach.

– Nie mam ochoty o tym mówić – odzywa się wreszcie.

– Co ci jest? – Nina nie ustępuje.

– Nie mam ochoty, powiedziałem.

– Dlaczego?

– Nie mam ochoty.

Zaciął się, ma zawziętą twarz, twarz z jego złych dni. Tak wyglądał, kiedy mu na coś nie pozwalano, gdy był dzieckiem i później nastolatkiem.

Człowiek starzeje się, zmienia, ale niektóre reakcje pozostają. Tylko włosy w końcu się traci.

– Twoja żona wie?

– Nie… Ale myślałem, że Valentin… Musiał się dogrzebać… Wracamy? Zimno jak cholera.

Nina nie ma czasu na odpowiedź, Étienne już popycha drzwi. Ciepło wnętrza, zapach ciasteczek, głosy, śmiechy.

– Będę się zbierała – mówi Nina głośno.

– Już? – odzywa się Marie-Laure. – Przecież dopiero przyszłaś…

– Tak, właśnie dzwonił weterynarz, przykro mi.

Wszyscy wstają, obejmują i całują Ninę.

– Miło było cię zobaczyć!

Louise ściska jej obie dłonie.

– Wpadnę do ciebie na kawę przed wyjazdem do Lyonu – mówi.

Nina wie, że Louise nie wpadnie.

– Z kim spędzasz święta? – pyta Marie-Laure.

– Z ludźmi ze schroniska, z przyjaciółmi i kolegami. Co roku spędzamy święta razem, zapraszamy się po kolei.

– Przyjdziesz jeszcze? – pyta Valentin.

– Pewnie. A ty wpadaj, kiedy chcesz. Jestem w schronisku codziennie.

– Okay.

– Ja też do ciebie wpadnę – mówi Marie-Laure. – Tym razem na pewno.

Valentin puszcza oko do Niny.

– Odprowadzę cię – rzuca cicho Étienne.

Wychodzą przed dom, zatrzymują się przy samochodzie Niny.

– Ale fura! – Étienne nie może się powstrzymać, widząc citroëna kombi.

Nina milczy.

– Dlaczego uciekasz? Nie ma żadnego psa u weterynarza – mówi w końcu Étienne.

– Nie ma.

– Dlaczego tu przyszłaś?

– Valentin.

– Co?

– Jest bardzo podobny do ciebie.

– To ja byłem do niego podobny, bardzo dawno temu. Za to ty wciąż jesteś piękna.

– Przestań.

– W gruncie rzeczy żałuję, że cię nie przeleciałem jak tych innych dziewczyn.

– Przestań, dobrze?

– Napiłem się, przepraszam. Przepraszam. Jestem beznadziejny.

Nina ma ochotę zapytać go o Clotilde. Ale milczy. Zły moment, złe miejsce. Przesuwa pieszczotliwie dłonią po jego policzku. Stary, znajomy gest. Jak podkreślenie oczu ciemną kredką – tego się nie zapomina. On uśmiecha się smutno… Klepie dwa razy dłonią w dach samochodu i odwraca się.

– Cieszę się, że cię zobaczyłem.

Nina patrzy, jak Étienne znika za drzwiami domu. Gaśnie lampa na ganku.

Rusza, ręce jej się trzęsą, emocje, bomba z opóźnionym zapłonem. Przekręca lusterko wsteczne, rzuca okiem, jak wygląda. Makijaż prawie znikł, wchłonięty przez skórę, która odzwyczaiła się od zbędnych rzeczy.

Ma dwie możliwości: wrócić do domu i odkurzyć podłogę, podczas gdy gotowe danie będzie się odgrzewać w mikrofalówce, albo pojechać do Romaina Grimaldiego, zobaczyć, jak się ma Bob.

Chyba że… Dopiero siódma. Nie jest za późno, żeby sprawdzić, co słychać u kotka Nicoli.

37

14 sierpnia 1994

Coś spoza sfery możliwości. Mózg tego nie ogarnia. Przesyła mylne informacje. Potrzebuje lat świetlnych, by zrozumieć, dokąd prowadzą go te słowa, a przez ten czas wszystko już od wieków jest martwe.

Podjęła się tego Marie-Laure.

– Usiądź, skarbie. Mam smutną wiadomość, twój dziadek miał wypadek, wpadł pod ciężarówkę. Nie odratowano go.

Jak to nie odratowano? Kto nie odratował? Nie odratowano. Czasownik w formie bezosobowej, niewskazujący wykonawcy czynności…

– Nie cierpiał – dodaje Marc.

Nina nie jest w stanie się poruszyć. Wszystko wokół skamieniało. Widziała to już w jakimś filmie rysunkowym. *Candy*. Tak, właśnie.

W krainie Candy
Jak w każdej innej
Wszyscy bawią się, płaczą i śmieją
Są źli i dobrzy
A w ciężkich chwilach
Dobrze mieć przyjaciół

Trochę miłości, trochę figlarności

To jest życie Candy…

Tak, pamięta ten odcinek, w którym dziewczyna pod wpływem klątwy zamienia się w kamienny posąg.

Stoją tu przed nią wszyscy, opaleni, wrócili z wakacji; czekają, co zrobi. Jest Étienne, są Adrien i Louise, Paul-Émile i Marc, Marie-Laure i Joséphine. Co to za ludzie? Nie poznaje nikogo.

Kamienny posąg. Za pomocą młotka i dłuta, jak Isabelle Adjani w filmie *Camille Claudel*, Marie-Laure rzeźbi w jej kamiennym ciele jedno słowo po drugim.

– Pogrzeb Pierre’a odbędzie się w środę siedemnastego sierpnia w kościele w La Comelle. Zostanie pochowany obok Odile, twojej babci. Już się tym zajęłam, wybrałam kwiaty i trumnę, jesteś za młoda na to wszystko. To był wypadek przy pracy. Zostaniesz u nas kilka dni, potem zdecydujesz, co dalej. Joséphine zajmie się Paolą i kotami.

Nina otwiera usta. Chce usłyszeć swój głos, chce wymówić to jedno jedyne słowo; jeśli powie je szeptem, on się tu natychmiast zjawi i klątwa się odwróci.

– Dziadku?

Nikt się nie rusza. Tylko Adrien wyciąga do niej dłoń, dotyka jej ramienia, Nina się cofa. Przecież to wszystko nieprawda. Przecież to, co się dzieje, to nie może być prawda.

Marie-Laure znów bierze dłuto i dalej rzeźbi.

– Czy chcesz go zobaczyć?

Nina postanawia zawołać głośniej. Dość już tego! On musi po nią przyjść.

– Dziadku! – woła błagalnie.

Pierre Beau nigdy by tu nie wszedł bez zapowiedzi. Usłyszy go, kiedy zadzwoni do drzwi, jak dzwoni do ludzi, którzy nie mają skrzynek na listy, albo kiedy jest to coś bardzo ważnego. Paczka, list polecony, przekaz pieniężny. „Te cholerne dzwonki!”, zrzędzi czasami.

Któregoś dnia, gdy była mała, posadził ją na ramie roweru i zrobili razem całą trasę. Był dumny, pokazując jej ulice, które pokonywał, i to, jak szybko potrafi pedałować. Wszystkim mówił z dumą: „To moja wnuczka!”.

Może tutaj dzwonek nie działa. Nina wstaje – z tego wszystkiego ledwo trzyma się na nogach – podchodzi do drzwi wejściowych i otwiera je. Nikogo. Musi coś zrobić, żeby wreszcie po nią przyszedł, musi powiedzieć coś, co go naprawdę zirytuje.

– Dziadku, ja wciąż grzebię w twoich listach!

Czeka. Zamyka oczy. Cicha modlitwa. Czeka, aż przyjdzie i wymierzy jej policzek.

Nic się nie dzieje.

38

22 grudnia 2017

Siedzę jeszcze przy biurku, gdy w przeszklonych kuchennych drzwiach widzę odbijające się światła samochodu. Reflektory gasną. Silnik milknie. U moich stóp Nicola bawi się z wyimaginowanym ptakiem.

Mało ludzi mnie odwiedza, tym bardziej o tej porze. Dzwonek do drzwi. Nina jest umalowana. Resztki brązowej kredki na powiekach.

– Właśnie widziałam Étienne'a, proszę cię, daj mi coś do picia! – mówi.

Nie mogę powstrzymać dreszczu. Samo napomknięcie o Étiennie tak na mnie działa, że ledwo mogę stać. Chętnie od razu bym ją wyprosiła, żeby tylko nie słyszeć tego, co powie. Żeby na zawsze zamilkła. Właściwie żałuję, że ją wpuściłam. Że się gdzieś nie schowałam. Tak jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi i nie chciałam, żeby mnie widziano. A przecież długo marzyłam o tym, żeby ujrzeć Ninę u swoich drzwi, w Paryżu i tutaj.

– Wejdź.

Nina od razu podbiega do Nicoli, wdycha zapach jego sierści, mówi do niego:

– No i jak się ma dzieciaczek, jak on się ma? – Patrzy na jego miseczkę z jedzeniem, na wodę obok. Zboczenie zawodowe.

Widzę, że jest zadowolona, kot trafił do dobrego domu. Nina siada na kanapie i wodzi oczami po salonie. Co jakiś czas rzuca: „Fajnie tu!”.

Wstaje, żeby obejrzeć książki na półkach. Wyjmuje *Biel hiszpańską*, poznaję po okładce: zbliżenie rąk dziecka z czerwoną chustą, trzymających kulę śnieżną. Za dzieckiem witryna sklepowa pokryta bielą hiszpańską, farbą, którą zamalowuje się szyby przy zmianie właściciela sklepu lub w czasie remontu. Ta biel oznacza: „Chwilowo nieczynne”.

Nina kartkuje książkę, patrzy na mnie, zamyka ją i odkłada na półkę.

Nie reaguję.

– Porto, whisky, białe martini. Mam aperol i prosecco, mogę ci zrobić szprycera.

– Dobra, tylko bez lodu.

– Wiem.

– Pamiętasz?

– Wszystko pamiętam… Jak on wygląda?

W końcu zadałam to pytanie. Nie mogłam się powstrzymać. To jak cholerna nieuleczalna choroba – cała moja istota odrzuca informacje o nim, nie chce i nie może tego słuchać. Przeszczep, który nigdy się nie przyjmie. Odrzut. Nina od razu rozumie, że mówię o Étiennie. Wraca na kanapę. Posłuszne dziecko. Trudno mi uwierzyć, że tu jest. Tu, u mnie. Myślałam, że już nigdy jej nie zobaczę.

– Zmienił się, zmienił się bardzo. Wygląda smutnie. Ma czternastoletniego syna, śliczny chłopak, Valentin.

– Louise mi o nim mówiła.

Nina wydaje się zdumiona.

– Ciągle się z nią widujesz?

– Tak. Rozmawiamy przeważnie o Adrienie, rzadko o Étiennie.

Nina milczy. Patrzy na mnie dziwnie. Jakbym powiedziała jakieś wulgarne słowo.

– Spotykasz się z kimś? – pyta, wpatrując się we mnie czarnymi oczami, tak czarnymi, że nie widać w nich nic poza ciemnością.

Wciąż umie zamknąć wzrok, jak zamyka się okiennice, żeby nic nie prześwitywało.

– Masz na myśli psychoterapeutę?

Nina śmieje się z mojego żartu.

– Nie, mam na myśli narzeczonego!

– Na drukach urzędowych zakreślam punkt: stanu wolnego, bezdzietna.

Znów się uśmiecha, jakby chciała powiedzieć: „Ja też”.

– Étienne zapytał, czy jestem szczęśliwa – mówi.

– Co odpowiedziałaś?

– Zbyt proste pytanie, zbyt skomplikowana odpowiedź, zwłaszcza żeby dać ją komuś, kogo się nie widziało od czternastu lat… Zwłaszcza jemu.

– Gdzie go spotkałaś?

– U Marca i Marie-Laure. Przez chwilę byliśmy sami w ogrodzie.

Przyjmuję tę informację jak cios. A więc Nina tam wróciła. Pod numer siódmy przy rue du Bois-d’Agland. Nagle widzę wielki dom, salon, imprezy, czyjeś urodziny. Étienne, który zajmował bardzo dużo miejsca, i Louise, zawsze z boku, z książką, cicha jak myszka. Kukiełka z wyładowanymi bateriami. Jasnowłosa lalka z wielkimi niebieskimi oczami, której mechanizm się zepsuł. Tak pełna żaru i życia wewnątrz! Nikt nigdy jej tak naprawdę nie znał.

– Widziałaś Louise?

Zmieszana Nina odpowiada twierdząco, z zakłopotaniem w głosie.

– Po co to zrobiłaś?

– Po co co zrobiłam? – pyta.

– Po co tam poszłaś? Do nich, do JEGO rodziców?

Nie odpowiada. Zamyśla się. Patrzy gdzieś przed siebie. Jak dawniej, gdy natykałam się na nią, a ona przechodziła, jakby mnie nie widziała. Po chwili powoli do mnie wraca.

– Często widujesz się z Louise? – pyta.

– Dość często.

– Powiedziała ci o Étiennie?

– Co miała mi powiedzieć?

– Nie, nic.

– Co miała mi powiedzieć?

– Że jest smutny.

– Nigdy o nim nie rozmawiamy. Louise wie, że źle to znoszę… Że właściwie nie mogę tego znieść – wyrzucam w końcu z siebie.

Nina patrzy na mnie. Podaję jej drugi szprycer, z podwójną porcją białego martini.

– Powiedział ci o Clotilde? – pytam.

– Nie… Mogę zostawić samochód pod twoim domem?

– Pewnie.

– Wrócę pieszo. Za dużo wypiłam.

– Stąd masz daleko, trzy, może nawet cztery kilometry.

– Jestem przyzwyczajona do chodzenia.

– Jest naprawdę zimno. Może zamówię ci taksówkę?

Nina wybucha śmiechem.

– Taksówkę! Naprawdę stałaś się paryżanką! Jestem przyzwyczajona do zimna.

– Może przenocujesz? Mam pokój gościnny. Doskonały dla przyjaciół. Mały, ale ogrzewany.

– Nie, nie, muszę wracać, koty czekają. I od kiedy to jestem twoją przyjaciółką?

39

17 sierpnia 1994

Wielu mieszkańców jeszcze nie wróciło z wakacji, ale kościół w La Comelle jest pełen ludzi, ledwo się mieszczą. Za każdą skrzynką na listy kryje się rodzina, często wieloosobowa. Cała dzielnica przyszła pożegnać swojego listonosza. Mnóstwo ludzi tłoczy się na zewnątrz, wypadają na dziedziniec przed kościołem jak listy z przeładowanych skrzynek.

Wycierają oczy chusteczkami z materiału. Po policzkach spływają łzy, jak krople alkoholu, który przez lata wlewali na dno szklaneczek z pyreksu, żeby poczęstować Pierre’a Beau.

Nina przyszła do kościoła z Adrienem i Étienne’em. Stoją po obu jej stronach, trzymają ją za ręce. Étienne z lewej, Adrien z prawej; nawet smutek nie jest w stanie zmienić tego zwyczaju. Podeszli za trumną pod sam ołtarz. Za nimi stoją Joséphine, rodziny Beaulieu i Damamme. Wyglądają jak zbyt długi tren panny młodej, który ciągnie się po ziemi. Ale to tren smutku, ceremonia odwrotna niż ślub, to rozerwanie związku, dezintegracja.

Nina jest zdruzgotana. Sierota. I tak zawsze była niestabilna, od dzieciństwa jakby kulawa, jednonoga, a teraz i to się skończyło, leży na

ziemi. Smutek przyjdzie później. Na razie jest skamieniała ze strachu. Strachu, od którego kręci jej się w głowie.

Pierre Beau nie znał Damamme'ów osobiście, ale rodzice Emmanuela przyszli na pogrzeb, bo przyjaźnili się z rodziną Beaulieu i chcieli podtrzymać na duchu Ninę, miłą wakacyjną stażystkę. No i to jeden z ich kierowców spowodował wypadek.

Stary Damamme… Nina go zna, widuje go codziennie w pracy. Gdy o coś pyta albo przechodzi korytarzem, wszyscy nagle zmieniają ton głosu i zachowanie. Ma ładną żonę. Blondynka o jasnej cerze, dobrze wygląda w ciemnych kolorach. Przypomina Catherine Deneuve. Emmanuel jest do niej podobny; ma ten sam wdzięk i to samo spojrzenie.

Emmanuel chciałby stać obok Niny, ale zjawił się w jej życiu niedawno, podczas gdy tamci dwaj są przy niej od zawsze. Zdecydowanie za długo. Trudno rozdzielić przyjaciół z dzieciństwa. Emmanuel, widząc Ninę przed ołtarzem, ma ochotę ją poślubić. Dziwne myśli przychodzą mu do głowy. Chciałby gąbką zmyć z niej tę czerń, chciałby ją wytrzeć, oczyścić z cierpienia. Chciałby ubrać ją w białą suknię i sprawić, żeby mu powiedziała „tak" na całe życie. Chciałby mieć czarodziejską różdżkę wróżki z bajki o Kopciuszku. Jest zakochany.

Nina nie słucha słów księdza. Ściska dłonie Adriena i Étienne'a. Chciałaby, żeby już nigdy nie puścili jej rąk.

Usiąść. Wstać. Usiąść. Wstać. Wykonywać polecenia sługi Bożego. Rzuca desperackie spojrzenia na białego Chrystusa, który wisi na krzyżu trochę dalej z boku, nad kilkoma dogasającymi gromnicami, zapalonymi poprzedniego wieczoru. O czym może myśleć ukrzyżowany? W ilu pogrzebach brał udział, odkąd go tam zawieszono? Jaki ojciec może pozwolić, żeby jego syn tak cierpiał? Czy Maryja wiedziała o tym? Czy była wspólniczką?

Jak to się stało, że ta sama banda drani rozdzieliła ją z dziadkiem? Nie dość im było jej rodziców? Chcieli więcej? Nie mogli podarować mu jeszcze paru lat? Żeby przyjechał do Paryża i usłyszał, jak wnuczka śpiewa? Żeby zdążyła zabrać go nad morze?

Czasem spogląda na trumnę, w której Pierre Beau śpi wiecznym snem. Nigdy nie widziała żadnego zmarłego. Osiemnastoletnia osoba rzadko ma okazję zobaczyć martwego człowieka, chyba że mieszka w kraju, w którym toczy się wojna.

Na małej sztaludze ustawiono zdjęcie Pierre'a. Wyszukali je jego koledzy; rzadko dawał się fotografować.

Tego ranka Nina uświadamia sobie, że żadne z nich, ani ona, ani Étienne, ani Adrien, nie chodziło na religię. Jej dziadka Bóg nie obchodził. „Kiedyś byłem komunistą", powiedział jej któregoś dnia. Nina nie za bardzo wiedziała, co to znaczy, poza tym, że taki ktoś opiekował się biednymi, dzielił pieniędzmi i miał w dupie Kościół. Później, w szkole, dowiedziała się, że mógł też być jak Stalin czy Mao Tse-tung i że komunizm to jedna z koszmarnych ideologii. Utopijna wizja władzy, nie do zrealizowania. Jak morze, którego nie da się wypić.

Mimo że Nina nie chodziła na lekcje religii, bywała w tym kościele; wchodziła czasem zapalić świeczkę, błagać niebo, żeby spełniło jej życzenie. Boże, żeby ten chłopiec się we mnie zakochał! Boże, spraw, żeby Alexandre zaprosił mnie na randkę! Adrien też się czasem modlił. Gdy Nina zapytała, o co prosi, jakby chodziło o telefoniczne zamówienie w sklepie, jak zwykle odparł: „Kiedyś ci powiem".

Étienne uważa, że modlenie się jest trochę wymuszaniem czegoś od nieba. Wchodzi do kościołów jak turysta, bez przekonania ogląda mury i posągi. Nigdy by nie padł na kolana, żeby mówić w próżnię. Uważa, że Kościół nie jest wystarczająco nowoczesny, że należy do minionych

wieków. Bo nadeszła era Minitela, komputerów i gier wideo. I że jeśli w ogóle jest jakiś Bóg, to wyraża się w postępie, w marszu do przodu, w wielkich wynalazkach, jak rakieta Ariane czy operacje na otwartym sercu.

Marie-Laure poprosiła Ninę, żeby wybrała piosenkę dla dziadka. Piosenka miała zostać puszczona zaraz po mszy, w hołdzie dla niego. Pierre Beau nigdy nie słuchał muzyki, co najwyżej stacji RTL. I cichaczem Joe Dassina.

To były płyty jego żony, słuchał ich w każdą rocznicę jej śmierci. Nina go kiedyś nakryła, pochylonego nad adapterem, który przez resztę roku kurzył się na komodzie w sypialni dziadka. Adrien, Étienne i Nina z rozdziawionymi ustami przesłuchali cały repertuar piosenkarza. To było takie frajerskie, takie dalekie od tego, co lubią i cenią. Inny świat. Zwłaszcza aranżacje. Nina w końcu wybrała *Et si tu n'existais pas*. Z powodu zdania „Jak malarz, który widzi, że spod jego pędzla wyłaniają się kolory dnia". Przecież nie wybierze *Aux Champs-Élysées*, skoro dziadek nigdy nie był w Paryżu. Miał tam pojechać po raz pierwszy w życiu właśnie we wrześniu, żeby pomóc jej urządzić się w akademiku. Oboje cieszyli się już, że wjadą na ostatnie piętro wieży Eiffla.

Gdy Nina wyczuwa drgnięcie tłumu, poruszenie wśród ściśniętych ludzi, pyta wzrokiem Marie-Laure Beaulieu, co ma teraz robić.

Po piosence pracownicy zakładu pogrzebowego wynoszą trumnę, tak jak ją wnieśli. Nina, Adrien i Étienne idą za nimi aż do wyjścia, patrzą, jak mężczyźni wkładają trumnę do karawanu.

Słońce zaczyna palić. Nina myśli, że na pogrzeb dziadka pogoda powinna się wysilić, zachować resztki przyzwoitości i też się popłakać, jak wszyscy. Wtórować smutkowi ludzi.

Czas na kondolencyjne uściski. Mnóstwo nieznanych osób zostawia na jej policzkach łzy i gile z nosa. Dziękuję, odpowiada Nina. Nie czuje już nóg. Nawet przyjmując wyrazy współczucia, które każdy chce jej złożyć, nie puszcza rąk Adriena i Étienne’a.

Podchodzi Emmanuel, przyciąga ją za szyję i całuje w usta. Gest właściciela. Ninę to oburza, a jednocześnie uspokaja. Emmanuel jest taki przystojny, wpatruje się w nią oczami pełnymi współczucia, przytula ją przy wszystkich, przy ojcu i matce. Przypieczętowuje ich związek. Gdy ją całuje, Nina czuje, że palce Adriena i Étienne’a nerwowo drgają i zaciskają się silniej na jej dłoniach.

Teraz trzeba jechać na cmentarz. Wsiadają do samochodów i ruszają za karawanem pełnym kwiatów.

Nina siedzi w renault espace państwa Beaulieu, na środkowej kanapie między Étienne’em a Adrienem. Za nimi zajęły miejsca Louise i Joséphine. Prawie tak samo jak w drodze do Saint-Raphaël.

Marie-Laure podaje jej małą butelkę wody.

– Wypij trochę, kochanie, tam będzie bardzo gorąco, to będzie trudna chwila – mówi.

Co za szczęście, że jest Marie-Laure! Po powrocie z Marsylii Nina śpi w pokoju Étienne’a. Jego matka zajmuje się wszystkim. Nawet pierze jej rzeczy. Poświęca każdy dzień na zorganizowanie pogrzebu, wypełnienie niezbędnych formularzy do banku, do ubezpieczenia, zajmuje się przyszłością Niny, a przynajmniej tym, co z niej zostało.

Parkują przed ogrodzeniem. Jest tak gorąco, że ludzie ledwo widzą się nawzajem, światło odbijające się od nagrobków oślepia, do grobowca rodziny Beau sunie orszak cieni. Nina wie, gdzie to jest; często towarzyszyła dziadkowi, gdy szedł położyć kwiaty na grobie żony. Odile, wielka miłość dziadka… Nina jej nie znała, a on o niej nie mówił. W tym

grobie leżą również rodzice Pierre’a, jakiś wuj, jakaś ciocia, babcia, brat, który zmarł w wieku czterech lat, zanim Pierre się urodził.

Ksiądz święci trumnę, kwiaty zaczynają więdnąć, łodygi tracą świeżość w palącym słońcu; nie wytrzymają dłużej niż godzinę.

Co za głupi pomysł umrzeć w sierpniu, dziadku.

Trumna spuszczana na linach dołącza do pozostałych. Któregoś dnia ja też tam trafię, myśli Nina.

Ksiądz rzuca garść ziemi do dołu, ona robi to samo, po niej inni. Potem kamieniarze zamurują grób.

Trzy tabliczki: *Mojemu Dziadkowi*, *Naszemu Przyjacielowi*, *Drogiemu Koledze*.

W tłumie, który zaczyna się rozchodzić w nieznośnym upale, Nina nie widzi wpatrzonej w nią kobiety. Nieznajoma nie spuszcza z niej wzroku od chwili, gdy Nina weszła na cmentarz, trzymana za ręce przez Adriena i Étienne’a.

Nikt jej nie zauważył; stała z boku, jakby przyszła odwiedzić jakiś inny grób, podczas gdy przybyła specjalnie po to, by towarzyszyć w ostatniej drodze Pierre’owi Beau.

40

22 grudnia 2017

Nina przed chwilą wyszła. Nicola zasnął w jednym z moich butów. Siedzę bez ruchu. Straciłam ochotę do pracy. Puste szklanki po szprycerze. Zwykle cisza mi nie przeszkadza. To nawet moja ulubiona towarzyszka. Ale cisza po wyjściu Niny jest nie do wytrzymania.

I te jej ostatnie słowa: „Od kiedy to jestem twoją przyjaciółką?”.

Wkładam płaszcz i wychodzę. Zimno od razu szczypie mnie w dłonie i twarz. Niny nie ma już na podwórku; ogród jest pusty, ciemny, wielka lipa jakby zamarzła.

Ocieram się o jej samochód, szukam jej na ulicy, dostrzegam ją daleko w świetle latarni. Krucha sylwetka, jakby uciekała. Idzie bardzo szybko. Ruszam za nią. Oby jej nie zgubić.

Komórka wibruje mi w kieszeni. To Louise. Jakby mnie widziała. Nigdy nie dzwoni po dwudziestej. Na przyjmowanie wiadomości ma wyznaczone godziny, jak w urzędzie: od dziewiątej do dwunastej i od czternastej do osiemnastej.

– Halo?

– Co robisz?

– Idę.

– Dokąd?

– Drogą, przed siebie.

– Jest ciemna noc!

– Przecież widzę! – mówię z uśmiechem.

– Chcesz, żebym wpadła?

– Zadzwoń później.

– Nie jesteś sama?

– Jestem sama.

– Masz dziwny głos.

– Zawsze mam dziwny głos.

Przerwało. Chyba że Louise się rozłączyła. Nie mam ochoty od razu oddzwaniać. Idę za Niną, w jej rytmie, kilkaset metrów z tyłu.

Ileż razy chodziłam za nią, gdy byłyśmy dziećmi? Dla przyjemności. Zawsze podobała mi się jej sylwetka. Ludzie widziani z tyłu są bardziej tajemniczy, opowiadają inne historie. Postawa jest dla mnie ciekawsza niż wygląd.

Nina nie wraca do domu. Zbacza z trasy, nadkłada drogi, idzie do centrum miasta. Jesteśmy same, wokół nie ma żywego ducha. Blade światła wystaw, które mija, nie patrząc na nie. Wreszcie skręca i zatrzymuje się na rue Rosa-Muller przed drzwiami jakiegoś domu. Jest niezdecydowana. W oknach zapala się światło. Cofa się. Chowam się na pobliskim ganku.

W końcu dzwoni do drzwi. Otwiera jej jakiś cień, Nina znika w środku. Zbliżam się najdyskretniej, jak potrafię. Na skrzynce pocztowej napisano czarnym długopisem *R. Grimaldi*. Dlaczego ona się wahała?

Mija dziesięć minut, Nina wciąż tam siedzi. Odchodzę, starając się powstrzymać dreszcze. Dzwonię do Louise.

– Możesz po mnie przyjechać?

– Gdzie jesteś?

– Przed pocztą.

– Zaraz będę.

Czekam niecałe pięć minut. Samochód zwalnia na mój widok, wsiadam. Nie widziałam Louise od lata. Jest otulona błękitną puchową kurtką, strojem na narty. Często nosi kolor niebieski jak jej oczy. Lekarka w niej bada mnie wzrokiem, zanim spojrzy oczami zwykłej kobiety. Skanuje mnie od stóp do głów w ćwierć sekundy. Błyskawiczny przegląd sytuacji. Tak jak przedtem Nina z jedzeniem dla kociaka.

– Odwieźć cię do domu? – pyta Louise.

– Tak, proszę.

– Wszystko dobrze?

– Tak.

W samochodzie osacza mnie zapach jej perfum. Patrzę na jej doskonały profil, który mimo łagodności, jaka od niej bije, wyraża stanowczość i zdecydowanie.

– Dzięki, że podjechałaś. Dzięki, że jesteś w moim życiu. Co ja bym zrobiła bez ciebie, Louise?

Nie odpowiada, tylko uśmiecha się smutno.

Pod moim domem widzi samochód ze schroniska.

– Nina jest u ciebie?

– Już wyszła.

– Dlaczego zostawiła samochód?

– Bo za dużo wypiła, poszła do domu pieszo.

Louise milczy.

– Nie wiedziałam, że znowu się spotykacie – odzywa się w końcu.

– Od niedawna. Nagle wpadłam na nią dwa razy w ciągu tygodnia. Chociaż nie widziałyśmy się od wieków!

Louise głaszcze mnie po dłoni.

– Drżysz – mówi.

41

17 sierpnia 1994

Druga po południu. Nina siedzi na kanapie u rodziców Étienne’a, w jadalni, w której tak często tańczyła. Patrzy, nie widząc, na ostatnich gości, którzy byli na pogrzebie. Na tych, którzy muszą coś zjeść, zanim znów wyruszą w drogę.

W jaką drogę?

Pierre znał tylko ludzi stąd. Podróżował wyłącznie poprzez kartki pocztowe, które doręczał. Damamme’owie już wyszli. Emmanuel wpadł tylko na chwilę. Nina czuła, że chciałby się z nią spotkać wieczorem, ale nie śmiał tego zaproponować. A może zaproponował, ale ona nie pamięta. Dwa nakrycia na kuchennym stole przygotowane przez niewidzialną obsługę, lecz Nina tam nie pójdzie. Pewnie nie pójdzie tam już nigdy. Za dwa tygodnie opuści La Comelle.

Pozostaje zorganizować opiekę dla zwierzaków. Marie-Laure i Joséphine są gotowe je przyjąć. U pierwszej suczka i dwa koty, dwa pozostałe, starsze, u drugiej.

Nina nie była w domu od powrotu z Marsylii. Wszyscy nakazywali jej, żeby tam nie chodziła, jakby dziadek przed śmiercią zaminował ogród. Jakby to było miejsce zbrodni.

Tylko Joséphine wpada nakarmić i wyprowadzić Paolę rano i wieczorem. Otworzyć okiennice, okna. Trochę przewietrzyć.

Ale teraz trzeba wracać. Nina chce stąd uciec. Wrócić do swoich rzeczy, do swojego pokoju. Musi to zrobić sama. Musi się z tym zmierzyć. Wymknąć się niepostrzeżenie z domu Étienne'a. Potem poprosi chłopców, żeby przyszli. Na początku musi pobyć sama, potrzebuje samotności. Śmierć dziadka dodała jej lat. Odnosi wrażenie, że ma ich ze sto, tyle wysiłku kosztuje ją każdy ruch.

Na dworze słońce wciąż pali. Nina nie może przestać myśleć o dziadku. Jest mu zimno czy gorąco w tej dziurze w ziemi?

Idzie po ocienionych stronach ulic i w kilka minut jest pod domem. Popycha furtkę; Paola śpi pod drzewem, w koszyku zainstalowanym przez Pierre'a obok bujanego fotela, na którym zawsze wypoczywał popołudniami. Nina siada w tym fotelu i zamyka oczy. Zanurza dłonie w sierść Paoli. Pod nogami zjawiają się od razu dwa koty.

Życie już nigdy nie będzie takie jak przedtem. Co za debilne zdanie, jak z opery mydlanej, myśli Nina. Debilne, ale jednak życie już nigdy nie będzie takie jak przedtem. W gruncie rzeczy życie z dziadkiem było dobre, spokojne, rozpieszczał ją. Kiedy widziała go ostatni raz? Tego wieczoru, gdy we trójkę z Adrienem jedli kolację w ogrodzie. Powiedziała szybko „Dobranoc, dziadku". Nie podeszła, żeby go pocałować. Kiedy wstała następnego ranka, już był w pracy. A potem Marsylia, ucieczka z Adrienem, siła, jaką się wykazał, żeby ją chronić. Siła albo słabość – może bał się samotnej konfrontacji z jej rozpaczą. Więc wywiózł ją stąd i czekał, aż Marie-Laure wykona brudną robotę. Jestem za surowa dla Adriena, myśli Nina. Ale męczy ją, czy ta wycieczka do Marsylii to był gest miłości, czy tchórzostwa.

Gdy weszła do domu, zrobiło jej się słabo. Zawrót głowy. Zły znak. Jakby przekraczała próg nieznanego wrogiego miejsca.

A przecież chciała tylko pobyć sama, sama z rzeczami Pierre’a Beau. Przyzwyczaić się do pustki, posprzątać, posegregować i przejrzeć to, co trzeba, jeszcze raz. Tymczasem wchodząc do kuchni, widzi otwarte i opróżnione szafki. Ani śladu jedzenia. Nawet sól i pieprz znikły. Został tylko stół, bez krzeseł. Odruchowo otwiera lodówkę – też jest pusta i ktoś ją wyłączył. Nina nic nie rozumie. To wygląda na przygotowania do przeprowadzki.

Odruchowo, bo to słowo, jakie od urodzenia wymawiała najczęściej, Nina woła:

– Dziadku!

Głos rozbrzmiewa w całym domu, po czym zapada cisza.

Nina wstrzymuje oddech, wchodząc do znajdującego się na piętrze pokoju Pierre’a Beau. Wszystko znikło. Ktoś włamał się do jej życia. Do ich życia. I okradł ich. Nie ma płyt, nie ma adaptera, nie ma ubrań, nie ma pościeli, nie ma łóżka.

Została tylko duża szafa, zdemontowana. Nawet zdjęcia zniknęły. Dla Niny to jak druga śmierć. Zdrada, cios ostateczny.

Ale kto to mógł zrobić?

Joséphine? Niemożliwe. Marc i Marie-Laure Beaulieu? Nie opuszczali jej na krok. I nigdy by tego nie zrobili. Nie zrobiliby jej krzywdy. To z pewnością ktoś obcy, to kradzież. Ktoś skorzystał z nagłej śmierci dziadka i obrabował ich dom. Pierre mówił jej kiedyś o cwaniakach, którzy czytają nekrologi, szukają adresu zmarłego i jeśli widzą zamknięte okiennice czy przepełnione skrzynki na listy, kradną, zanim zostanie wszczęte postępowanie spadkowe. Ale taki mały robotniczy domek… Poza miłością nie było pod tym dachem nic cennego. No, może książki oprawione

w skórę, wszystkie dzieła Victora Hugo, które jakaś „wielka dama” ofiarowała Pierre’owi na początku pracy, gdy był młodym listonoszem. Cała kolekcja zniknęła z jego pokoju razem z resztą rzeczy. Był tak dumny z tego skarbu. Za każdym razem, gdy miał kłopoty finansowe, mówił do wnuczki: „Jeśli będzie trzeba, sprzedam Victora Hugo”.

Nina waha się przed wejściem do swojego pokoju. Drzwi kilka metrów dalej na końcu wąskiego korytarza. Może złodzieje wciąż się gdzieś kryją. Nina czuje się obco we własnym domu. W ciągu kilku dni zabrano jej wszystko.

Woła Paolę. Suka wbiega po schodach i wsuwa wilgotny nos w jej dłoń. Nina myśli, że nigdy nie będzie mogła rozstać się z tymi zwierzakami. Teraz już na pewno nie.

Popycha drzwi do swojego pokoju. Wydaje się, że niczego nie brakuje. Plakaty i zdjęcia wciąż wiszą na ścianie. Kasety z muzyką, powieści, szkice węglem, kredki świecowe. Wysuwa szuflady komody, widzi swoją bieliznę i ręczniki. Wszystko zostało przeszukane, rzeczy ułożono byle jak. To jak gwałt. Ktoś dotykał jej osobistej bielizny. Schodzi do saloniku, brakuje niskiego stołu. Nie ma telewizora ani magnetowidu. Nawet kasety VHS zniknęły: jej filmy i filmy dziadka. Dała mu w prezencie na ostatnie Boże Narodzenie komplet filmów z Jeanem Gabinem.

Stara brzydka kanapa, którą przykryła prześcieradłami, wyparowała. Wypadek dziadka ukradł im życie, rabunek ukradł im codzienność. Nina siada na podłodze i czeka, aż przejdzie straszny atak astmy. Dopiero jakąś godzinę później głosy Adriena i Étienne’a wyciągają ją z odrętwienia.

Chłopcy znajdują ją na podłodze, z Paolą obok, w ogołoconym domu, duszącą się. Jedyne, czego Nina pragnie w tej chwili, to umrzeć.

42

23 grudnia 2017

Gimnazjum Georges’a Pereca jest puste. Klasy zamknięte. Tylko Romain Grimaldi pracuje, siedzi przy biurku. Wpadł ot tak. Bo jest sam. Bo w domu trochę się nudzi. Wyprowadzić Boba raz, drugi, to fajne, ale jest mróz. Przysunął do nóg mały grzejnik – nie zdjął płaszcza – czyta korespondencję i odpowiada na maile.

Uczniowie z pewnością są jeszcze w łóżkach; czekają na prezenty, oglądają telewizję. To czas rodzinny. Rodzina Romaina jest w Australii.

Wczoraj zaproponował Ninie, żeby spędzili razem Wigilię. Zgodziła się od razu. Nie spodziewał się.

Nina.

Kilka telefonów, w tym jeden do archiwów departamentu, „dzwonię z polecenia…”, i Romain zdobył fragmenty jej akt szkolnych. Strzępki informacji. Przeczytał oceny z matury i zachowane opinie. Uczennica z poważnym podejściem do każdego przedmiotu. Dopasowywał puzzle: matura z wynikiem dobrym, kierunek: sztuki piękne, siedemnaście na dwadzieścia. Powinna pójść na studia. Dlaczego tu została? Niektóre jej rysunki zeskanowano. Portrety węglem, dwaj chłopcy, wciąż ci sami, świetna kreska. Bez wątpienia duży talent. Romain zawodowo zajmuje się

wyławianiem tych naprawdę dobrych uczniów. Pewnie to wyczuł tamtego dnia w schronisku, gdy zobaczył Ninę po raz pierwszy.

Wczoraj wieczorem niespodziewanie go odwiedziła. Od dziesięciu dni wpada bez zapowiedzi. Dzwoni do drzwi i kilka minut później już są w łóżku. Romain na razie nie wie, czy to wtargnięcie mu się podoba, czy nie. Uczniowie nazywają to „mieć crusha”. Romain nie znał tego wyrażenia, oznaczającego, że ma się do kogoś słabość. „To znaczy jarać się kimś, no wie pan, ktoś się panu podoba”.

Nina jest prędka, ma gwałtowne ruchy, nie traci czasu. Jej gesty są dokładnym przeciwieństwem tego, co widać w głosie i spojrzeniu, czyli głębi, delikatności. Jakby została zraniona, jest nieufna, spięta, Romain ma wrażenie, że w łóżku z nim obsługuje się sama, a potem oddaje mu to, co wzięła, żeby był zadowolony. Nie ma w tym uczucia.

A jednak gdyby dziś wieczorem nie przyszła, poczułby straszną pustkę.

*

Étienne otwiera oczy. Z trudem wynurza się ze snu. Kiedy głowa uznaje, że pora wstać, coś w nim odmawia, ciało tego nie chce. Wolałoby natychmiast zasnąć znowu. Uciec przed rankiem, przed dniem. Jeszcze trochę pomarzyć. Obudzić się znaczy wrócić do domu, a on już nie ma na to siły.

Marie-Castille dawno wstała. Za oknem szare zimowe światło. Étienne słyszy głosy z dołu. Najpierw rodziców, potem wyższy, Valentina. Jego syn. Boże, jak on kocha tego chłopca! Nigdy nie przypuszczał, że byłby zdolny pokochać kogoś innego niż siebie. Zapach kawy. Grzanek. Szykowanego lunchu. W domu jego dzieciństwa wszystko się miesza. Rzuca okiem na budzik. Kwadrans po jedenastej. Trzeba wstać. Umyć się. Ubrać. Marie-Castille pewnie jak zwykle opowiada każdemu, kto chce jej słuchać, że on

potrzebuje wypoczynku, musi się zregenerować, „niech sobie biedak pośpi”.

Nina. Szok, jakiego doznał wczoraj na jej widok. W ogóle się nie zmieniła. Może tylko cera jej się odrobinę popsuła – kiedyś miała skórę aksamitną, pudrową, jak ciemny piasek. Myśli o tym, co mu powiedziała. Valentin wie. Jak się dowiedział? Étienne nie mówił nikomu. Wyniki badań lekarskich trzymał zawsze w biurze, w szufladzie zamkniętej na klucz. W domu buzia na kłódkę. Gdy Marie-Castille się dowie, załamie się, a Étienne chce żyć z dala od zgiełku. Nie wytrzymałby, gdyby ludzie zaczęli na niego inaczej patrzeć. Ze współczuciem albo litością. To niemożliwe. W pracy tym się właśnie zajmuje – pomocą ofiarom. Nie może znaleźć się po drugiej stronie.

Tylko Louise wie. Ale Louise milczy. Louise zawsze milczała.

Choroba jest w trzecim stadium. To znaczy „nowotwór zaawansowany”. Tłumaczenie: dużo przerzutów. Operacja, żeby zahamować postęp choroby, potem pierwsza chemia. Sześciomiesięczna terapia. Żeby zobaczyć, czy guz będzie reagował. Ambulatorium. Kroplówka w przedramieniu wprowadza truciznę. Étienne może czytać, jeśli chce. Poinformowano go, że podczas zabiegu może oglądać film albo robić to, co lubi. Ale on lubi pływać pod prąd, surfować, grać na gitarze, odprowadzać syna do szkoły, obserwować go z daleka, jak wygłupia się z kolegami, lubi wypić espresso w barze obok komisariatu, lubi adrenalinę towarzyszącą złapaniu kogoś na gorącym uczynku, lubi zatrzymać przestępcę, zaskoczyć Marie-Castille, która po kryjomu zjada loda, żeby go nie kusić, lubi zapach jej kremu na noc, kiedy kładzie się obok niego, lubi słuchać muzyki.

Nie będzie się leczył.

Wyjedzie zdechnąć gdzieś na świeżym powietrzu, nad morzem, nie będzie znosił długich miesięcy fizycznego rozpadu, kiedy żona i syn lepiej

zapamiętają numer pokoju w szpitalu niż rysy jego twarzy.

*

– Cholerny prezent na Gwiazdkę! – cedzi przez zęby Nina. Przed schroniskiem siedzi uwiązany do bramy pies. Trzy centymetry sznurka. Przerażony, kiedy Nina do niego podchodzi. Wydaje się zawstydzony, jakby czuł się winny, że go tak zostawiono. Od której godziny biedak się dusi? Młody, najwyżej roczny, mokry, głodny, wszystko naraz. Owczarek pirenejski skrzyżowany z pechem. Ninie zbiera się na płacz. Ile jeszcze czasu tu wytrzyma? I ci wszyscy kretyni, którzy dają sobie pod choinkę szczeniaczki, myśli. Kto się nimi zajmie pod koniec lipca, kiedy przestaną być „słodkie”? Takie już moje szczęście… „Co robisz w wakacje?” „Wyrzucam psa. Może też dzieci i żonę, jeśli mnie za bardzo wkurwią. Życie jest krótkie, trzeba z niego korzystać!” A ty, biedaczko, naprawiaj po innych te gówniane sytuacje.

Odwiązać go, wprowadzić do gabinetu, wytrzeć, pocieszyć. Niedobrze pachnie, cały drży. Nina sprawdza sierść i skórę: czy ma pasożyty, ewentualnie jakieś blizny, tatuaż?

Daje mu wody i suchej karmy. Pies rzuca się na jedzenie.

Nina słyszy silnik samochodu Simone. Ulga, bo nie ma siły przeżywać tego porzucenia w pojedynkę. Simone kładzie na jej stoliku pudełko czekoladek.

– To dla wszystkich! – mówi. Rozgląda się, otwiera szeroko oczy. – O cholera! A ten skąd się tu wziął?

– Prezent gwiazdkowy, przywiązany do bramy.

– Gdzie go umieścimy?

– Dobre pytanie. Trzeba go sfotografować i zawiadomić straż miejską.

– Straż miejska o tej porze jeszcze śpi.

– Wiem.

– Przyszłaś pieszo?

– Tak.

– Jesteś dzielna.

– Mniej dzielna niż ty, Simone.

Simone nie odpowiada. Wskazuje palcem przemarzniętego psa, który grzeje się pod ciepłym przykryciem i patrzy wzrokiem oskarżonego czekającego na wyrok.

– Jak go nazwiemy? – pyta. – Mikołaj? Jezus? Maria? – Głaszcze psa. – Ma kolor piernika.

– Niech będzie Piernik – decyduje Nina.

Wyprowadzić psy, wyczyścić każdego po kolei i już robi się trzecia po południu. Do schroniska przyszło dwóch wolontariuszy, żeby zabrać zwierzaki na spacer. Budynki są stare, więc w zimie Nina wysypuje słomą każdy boks, mimo że zabraniają tego jakieś tajemnicze ograniczenia sanitarne. Dodaje też kocyki do każdego koszyka i wewnątrz klatek.

Również zimą Simone gotuje odpadki, które zostawia jej rzeźnik. Dużo w tym podrobów. Nina nie cierpi zapachu unoszącego się w schronisku, kiedy Simone pichci w wielkich kotłach, ale ciepły posiłek rozgrzewa zwierzęta. Przed powrotem do domu Simone robi Piernikowi zdjęcia i Nina umieszcza je na portalach społecznościowych z podpisem:

Znaleziony dziś rano, przywiązany do bramy schroniska, pies, około roku, bez identyfikatora. Jeśli ktoś go rozpozna, prosimy o kontakt.

Zamieszczanie takich ogłoszeń jest kompletnie bez sensu. Ale Nina ma nadzieję, że może ktoś się nad Piernikiem zlituje. Z adopcjami jest jak

z zaginięciami – im więcej czasu mija, tym mniej szans na pozytywne rozwiązanie.

*

Samochód schroniska zniknął. Nina musiała przyjść po niego bardzo wcześnie, niczego nie słyszałam.

Sprawdzam wszędzie; może zostawiła mi parę słów w skrzynce, pod drzwiami lub w koszyku Nicoli. Cokolwiek, *Cześć*, *do zobaczenia*, *uściski*, *wesołych świąt*, *niedługo wpadnę*, *bądź zdrowa*, *miło było cię znów zobaczyć*.

Cokolwiek.

Mam mętlik w głowie.

Redaguję dodatek dla czytelników. Poszukiwania w Leśnym Stawie zostały definitywnie zakończone. Nie znaleziono żadnego innego ciała. Ani biżuterii, ani metalu, ani broni. Wydaje się, że jest tylko jedna ofiara, ta znaleziona pośród pordzewiałej blachy.

Jedyna informacja, którą potwierdził mi znajomy żandarm z La Comelle: ciało znajdowało się na tylnym siedzeniu, a nie z przodu. Samobójstwo, wypadek, morderstwo, wszystko to pozostaje w sferze przypuszczeń. Jedynie czas może przynieść rozwiązanie.

Dziś śniłam o Clotilde Marais: siedziała przy mnie na łóżku. Koszmar. Obudziłam się zlana potem, chyba krzyczałam przez sen.

– Virginie, niesamowite, że to ty piszesz o mnie w gazecie! – Clotilde w moim śnie drwiła sobie ze mnie, mówiła bardzo głośno.

A ja pytałam ją drżącym głosem:

– Ale, Clotilde, to przecież nie ty w tym samochodzie…

Clotilde uśmiechała się zupełnie tak samo jak w liceum, gdy mijałyśmy się na korytarzach. Uśmiechała się do ściany za mną, a tą ścianą był

Étienne. Odwróciłam się. Étienne tam stał, miał siedemnaście lat i płakał gorzkimi łzami.

43

17 sierpnia 1994

Dziewiąta wieczorem. Adrien leży na łóżku w pokoju Niny. Słucha jej oddechu, co jakiś czas dziewczyna zapada w krótki sen, potem się zrywa, mówi do niego, rzuca mnóstwo pytań, stara się zrozumieć. Dlaczego to się zdarzyło akurat mnie? Co teraz ze mną będzie? Kto ogołocił nasz dom? Myślisz, że dziadek nas widzi stamtąd, gdzie jest? Myślisz, że jest życie po śmierci? Przecież chyba nie popełnił samobójstwa z tego powodu, że chcemy wyjechać do Paryża! Jak to się stało, że kierowca go nie zauważył? O czym dziadek myślał w ostatniej chwili? Skąd mama się dowie, że jej ojciec zmarł? Myślisz, że ona po mnie przyjedzie?

W kółko te same pytania.

– Myślisz, że to za karę, że czytałam cudze listy?

– Przecież już tego nie robisz.

– Robię, znów zaczęłam.

Adrien głaszcze ją po włosach, pociesza, powtarza, że jest obok niej, że zawsze będzie.

– A jeśli ty umrzesz?

– Ja nie umrę.

– Skąd wiesz?

– Wiem.

Paola głośno chrapie. Nie wie, że wkrótce będzie musiała zmienić dom.

Dom nie był własnością Pierre’a Beau; należał do miasta. Trzeba będzie go oddać. Dramat rozgrywa się za szybko, ogarnia coraz więcej przestrzeni. Ból jest głęboki, podskórny. Miażdży wszystko jak walec.

Nawet jeśli Joséphine i Marie-Laure zapewniły ją, że nigdy nie zostanie sama, że w ich domach zawsze będzie dla niej miejsce, to jednak będzie to tylko „miejsce”: rozkładane łóżko czy kanapa w czyimś pokoju. Adrien przypomina cały czas, że za kilka tygodni wszyscy troje pojadą do Paryża. Życie będzie płynęło dalej. Ale Nina czuje się tak krucha jak czeski kryształ ustawiony na torach pociągu rozpędzonego do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nieuchronna katastrofa.

Marie-Laure i Marc Beaulieu poszli na posterunek zgłosić kradzież u Pierre’a Beau. Sąsiedzi niczego nie zauważyli. W sierpniu większość jest jeszcze na wakacjach. Złodzieje musieli to wykorzystać. Nie ma śladu włamania. Ale kiedy żandarmi dowiedzieli się, że zapasowy klucz był schowany przy drzwiach wejściowych pod donicą z kwiatami, wznieśli oczy do nieba.

– A pies? – spytali.

– Pies jest łagodny.

Adrien powoli zasypia. Oboje są wykończeni. Od powrotu z Marsylii same nieprzespane noce i smutne dni.

Ileż razy spali tu Adrien i Étienne? – rozmyśla Nina. Na podłodze walały się batoniki Kit Kat i papierki po cukierkach. Szelest śpiwora za każdym razem, gdy któryś z chłopców przewracał się przez sen na drugi bok. Ileż razy Pierre Beau, widząc, jak wygląda jej pokój, krzyczał: „Nina,

zrób tu wreszcie porządek! I otwórz okno, śmierdzi brudnymi skarpetkami!”?

Już nie będzie tak krzyczał. Nina zastanawia się, czy tam, gdzie jest dziadek, są skrzynki na listy. Naliczone podatki do doręczenia. I czy odnalazł Odile. Czy razem robią sobie wycieczki po raju.

Adrien śpi, trzymając ją za rękę. Okno jest szeroko otwarte. Temperatura powoli spada. W oddali rodzina, która jeszcze nie jest w żałobie, kręci się koło ogrodowego grilla. Nina słyszy śmiechy, stukanie kieliszków, dzieci bawiące się w plastikowym basenie. Na jej ulicy nie jest tak jak u Emmanuela – baseny są nadmuchiwane.

Właśnie dzwoni telefon stacjonarny, cudem nieukradziony, trzy razy w kilkunastominutowych odstępach. Nina jest pewna, że Emmanuel jej szuka.

Étienne pewnie jest z Clotilde. Nie spotykał się z nią od powrotu z Saint-Raphaël pod pretekstem przygotowań do pogrzebu, ale dziś wieczorem już nie miał wytłumaczenia. Chce zakończyć ten związek. Clotilde musi zrozumieć, że on niedługo wyjeżdża do Paryża i że marzy o jednym: cieszyć się młodością i nie mieć żadnych zobowiązań.

Ninie chce się pić.

Pod wieczór wpadła Joséphine i zostawiła na stole w kuchni zgrzewkę wody i jedzenie. Odkryła ze zdumieniem, że dom jest prawie pusty.

Przecież dziś rano wszystko było na miejscu.

Nina boi się iść na dół w tym pustym domu, jakby nawiedzonym przez duchy włóczęgów i kloszardów, a nie przez ducha dziadka. Zapala światło w korytarzu, idzie do kuchni, czuje w powietrzu nieznajomy zapach. Przechodzi ją dreszcz, bierze butelkę wody i szybko wraca do sypialni. Niemal natychmiast zasypia. Budzi się kilka minut później, z ulgą otwiera oczy – miała koszmar. Wydaje jej się, że słyszy jakiś hałas w ogródku,

może to koty. Wychyla się przez okno. Nikogo nie ma. Ulica jest pusta, tylko jakaś stara niebieska furgonetka zaparkowała kawałek dalej. Ćmy tańczą w świetle latarni. Adrien i Paola głęboko śpią.

Jej już się nie chce spać. Wstaje, wsuwa kapcie, wychodzi na ganek. Od razu przybiegają dwa koty i domagają się pieszczot. Otwiera drzwi, idą za nią. Siada na schodkach, patrzy na niebo, obserwuje zapadającą noc. Nie umie sobie wyobrazić przyszłości. Przedtem ta przyszłość była piękna, nieznana, wypełniona nadzieją. Tego wieczoru wydaje się niemożliwa. Nina nie ma siły, straciła energię, życie stanęło w miejscu.

Jakieś drzwi otwierają się za jej plecami. Koty umykają.

Ale to nie są drzwi wejściowe, to drzwi do piwnicy. Nina jest sparaliżowana ze strachu; zaczyna się film grozy, jak te, które oglądali bez przerwy z Étienne’em i Adrienem, zamknięci w ciemności.

Ale to się nie dzieje na ekranie. Na jej oczach bardzo wysoki mężczyzna niesie wielkie pudło pełne staroci, które co roku wystawiali z dziadkiem na majowej wyprzedaży garażowej. Za zarobione pieniądze fundowali sobie omlet i twarożek na pikniku organizowanym przez gminę. Nina poznaje lampkę nocną dziadka i kilka innych drobiazgów, w tym jej liczne lalki Barbie. Kiedy mężczyzna ją dostrzega, zatrzymuje się, a potem idzie dalej, zrzędząc pod nosem – Nina nie słyszy, co mówi – potrąca ją i znika na ulicy. Nina nie śmie się ruszyć ani zawołać Adriena na pomoc; siedzi jak sparaliżowana. Mózg jej się zaciął, jak wtedy, gdy Marie-Laure zawiadomiła ją o śmierci dziadka. Nie jest w stanie kiwnąć palcem. Do zaskoczenia i grozy dołącza strach: ktoś inny wchodzi po schodach. Ilu ich tam jest, w tej maleńkiej piwnicy, w której butelki leżą obok narzędzi ogrodowych, potłuczonych talerzy i słoików po konfiturach? Widzi jakiś cień, chyba kobiety, szczupłej, wręcz chudej, z półdługimi włosami. Ponieważ staje pod światło, Nina nie widzi jej twarzy. Kobieta niesie coś

ciężkiego, wielkiego, większego od niej. Nina od razu to poznaje: maszyna do szycia Singera, która należała do jej babci. Kobieta ramieniem naciska duży wyłącznik, żeby zgasić żarówkę. Zauważa skamieniałą sylwetkę siedzącej na ganku Niny, zwróconą w jej kierunku. W bladym świetle zapadającego zmroku obie wyglądają jak duchy.

Ninie zaschło w ustach. Nie jest w stanie wymówić słowa. Nieznajoma lekkim kopnięciem, tylko tyle, ile trzeba, zatrzaskuje drzwi do piwnicy. Najwyraźniej potrafi poruszać się po tym domu – wie, jak wyłączyć wielki kontakt, a teraz umie również zamknąć drzwi, jakby była u siebie. A Nina wpadła z wizytą.

– Cześć. Nie bój się, to tylko ja.

Nina milczy.

– Zabieram to, co mi się należy.

Nadal się nie odzywa.

Głos jest drżący, niepewny.

– Odstawię tylko to, bo ciężkie. Zaraz wrócę.

Tak jak ten facet wcześniej, teraz i ona ociera się o Ninę, wychodząc, i znika na ulicy. Kilka sekund później pojawia się z powrotem. Sama. Z pustymi rękami. Facet musi czekać na zewnątrz.

– Nie wiedziałam, że tu jesteś. Ładniutka z ciebie bestia. Widziałam cię na pogrzebie starego.

Cisza.

– Co się stało, język ci obcięli?

Znowu cisza.

– Wiesz, nie mam łatwo. Życie nikogo nie oszczędza.

Nina nadal nic nie mówi.

– Mówisz, że się nie znamy. Nie możesz mnie pamiętać, byłaś za mała.

Siada na stopniu niżej i odwraca się do Niny, zapalając papierosa. Płomień zapalniczki oświetla jej twarz. Kobieta ma na sobie obcisłe dżinsy i czerwoną bluzkę, odsłaniającą jej kościste ramiona. Worek kości. Skórę ma tak cienką, że wyraźnie widać błękitne żyły na szyi i przedramionach.

– Będę się zbierać. Długa droga przed nami.

Nerwowo zaciąga się papierosem. Paznokcie ma obgryzione do krwi.

– Nie chciałam, żeby ktoś mnie zobaczył, zwłaszcza sąsiedzi.

Gasi papierosa, zgniatając go o podeszwę buta na koturnie.

– Ty masz tu kolegów. Widziałam ich na cmentarzu, tych, co cię trzymali za ręce…

Kobieta wstaje na oczach osłupiałej Niny. Wygląda, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale tylko całuje ją w policzek i odchodzi szybkim krokiem. Kilka sekund później niebieska furgonetka cofa się na wstecznym i znika w ciemnościach nocy. Nina widzi profil Marion siedzącej po stronie pasażera, Marion opuszcza szybę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie patrzy na Ninę, nawet nie macha na pożegnanie.

Nina siedzi skamieniała przez kilka długich minut.

A więc była rano na cmentarzu… Pewnie weszli do domu podczas mszy, obejrzeli, co trzeba, potem facet wyniósł rzeczy, a ona poszła na cmentarz.

Nina wstaje, zataczając się trochę, jak po alkoholu, i wymiotuje żółcią na hortensje dziadka.

Jak staruszka dowleka się do telefonu i naciska klawisz ODDZWOŃ. Emmanuel Damamme odbiera natychmiast, jakby spał z telefonem w ręce.

– Przyjedź po mnie – mówi Nina błagalnie.

– Gdzie jesteś?

– U dziadka.

– Zaraz będę.

Nina idzie na górę do swojego pokoju i patrzy na śpiącego Adriena. To przecież dziecko. Nagle Adrien wydaje jej się bardzo młody. Ona błyskawicznie przeszła do świata dorosłych. Potrzebuje kogoś starszego. Chce zapomnieć o młodości, dzieciństwie, przeszłości. A na przyszłość jest za wcześnie. Adrien i ona dorastali w kalectwie. On bez ojca, ona bez rodziców.

W głębi duszy, w jakimś odległym ukrytym wnętrzu, zawsze miała nadzieję, że matka porzuciła ją z ważnych przyczyn. Była za młoda, niedoświadczona, samotna, przestraszona, zagubiona. Że któregoś dnia się zjawi i będzie błagać o wybaczenie.

Co spowodowało, że uśmiechnięta dziewczyna z klasowego zdjęcia, otoczona koleżankami, zmieniła się w to „coś”, co Nina właśnie widziała, co zachowuje się tak nikczemnie? Rzeczywistość jest zdecydowanie zbyt trudna do zniesienia. Nina żałuje, że zobaczyła tę kobietę. Nie powinna była jej spotkać. Nie w takich okolicznościach. Kobieta, która przyjechała okraść rodzonego ojca, nim jego ciało ostygło. Co ona zrobi z tymi bezwartościowymi rzeczami? Sprzeda je za kilka franków? I skąd w ogóle dowiedziała się, że umarł? I jak można tak olewać własne dziecko? Zwracać się do córki jak do obcej, sąsiadki z dawnych lat? A ten facet, który z nią był, kim jest? Mężem? Kochankiem? Alfonsem? Dilerem?

Teraz Nina żałuje, że się nie odezwała. Że nie zareagowała. Powinna była podziurawić opony furgonetki, wezwać policję, donieść na nich, uderzyć, wyzwać, nakrzyczeć… Tymczasem siedziała bez ruchu, jak ofiara losu. Powinna zadać pytanie, które męczyło ją całe życie: Kto jest moim ojcem? Pozwoliła, żeby Marion odfrunęła jak złowróżbny ptak.

Rozpoznaje charakterystyczny dźwięk silnika alpine Emmanuela. Samochód zatrzymuje się przed domem.

Nina spogląda ostatni raz na Adriena i Paolę. Wychodzi.

Jest dopiero dwudziesta druga.

44

24 grudnia 2017

– Ptifurki z serem, carpaccio z prawdziwków, pasztet La Bonne Foi. To przystawki. Jako główne danie krem ze słodkich ziemniaków z mlekiem kokosowym, następnie risotto ze smardzami i ravioli z truflami. Na deser ciasteczka i tort bezowy z lodami truskawkowymi. Wolisz wino czerwone czy białe?

– Naprawdę jesteś psychopatą.

– Niewykluczone.

– Albo gejem…

– Też możliwe.

Nina wchodzi do salonu z naręczem toreb, wyciąga z nich butelkę szampana, bordeaux, czekoladki i pudełko z prezentem. Patrzy na stół, nakryty w jadalni przez Romaina. Wszystko jest piękne, dopracowane i niezwykle apetyczne. Romain jest elegancko ubrany w czarne spodnie i czarną koszulę. Bob kręci się u stóp Niny; wpatruje się w nią, machając ogonem. Nina przykuca, żeby go pogłaskać.

– To dla mnie? – pyta Romain, wskazując pudełko, które właśnie wyjęła.

– Nie, dla Boba – żartuje Nina. – Chyba za dużo tego wszystkiego… Ten stół, te przygotowania… Myślałam, że zjemy omlet przy kominku.

– Omlet w Wigilię? Przypominam ci, że nie mam kominka. O jakim ogniu mówisz?

Nina nie może powstrzymać uśmiechu.

– Boże Narodzenie niewiele dla mnie znaczy – przyznaje.

– Nie jesteś katoliczką?

– Jestem sierotą, rozwódką i pracuję w schronisku dla zwierząt. Nie wiem, co Jezus mógłby dla mnie zrobić. Trochę się spóźnił. Dlaczego pytasz? Jesteś wierzący?

– Jestem ateistą. Ale skoro mam gościa w Wigilię, zamierzam to wykorzystać.

– Nie masz przyjaciół?

Romain uśmiecha się, odkorkowując butelkę różowego ruinarta.

– Wszyscy są ze swoimi rodzinami.

– A twoja rodzina?

– Rodzice mieszkają w Australii. Jeżdżę do nich na co drugie święta. Trafiłaś w dobry rok… Albo nie.

Podaje Ninie kieliszek z szampanem.

– Twoje zdrowie!

– Twoje!

– Wesołych świąt!

– Wesołych świąt!

*

W wigilijny wieczór Louise siedzi przy stole z rodzicami, braćmi, z ich żonami i dziećmi. Rozpieszcza wszystkich, zwłaszcza matkę i trzech

bratanków. Zawsze najbardziej lubiła Valentina, ale kupuje im prezenty tej samej wartości.

To chyba dziedziczne, że w tej rodzinie każdy ma swojego ulubieńca. Louise było głupio wobec Étienne'a, kiedy ojciec nazywał ją „najukochańszą córeczką". Ile razy słyszała to cholerne zdanie?

Jakie to niesprawiedliwe wyróżniać któreś z dzieci. I dla tego wyróżnionego, i dla pozostałych. Ale o miłości się nie dyskutuje. A Marc nie umie udawać. Kiedy stara się okazać zainteresowanie Étienne'em i zadaje mu pytania o pracę albo o to, jak mu się żyje, Louise widzi, że ojciec szybko odpuszcza. Étienne zdaje się tego nie zauważać.

– Mam to gdzieś, siostrzyczko, mama kocha mnie za dwoje.

– A ja za troje – mówi Louise, ukrywając smutek.

Gdy wszyscy już śpią, Louise wychodzi, by spotkać się z Adrienem i spędzić z nim noc wigilijną. Wczesnym rankiem wraca i wślizguje się na parę godzin do łóżka, zanim rodzina zbierze się wokół choinki, żeby otworzyć prezenty.

Od kiedy Adrien skończył siedemnaście, a Louise szesnaście lat, spotykają się w tym samym hotelu, pokój numer cztery na poddaszu. To najmniejszy i najtańszy pokój, proponuje się go klientom w ostatniej kolejności. W czasach gdy fabryka Magellana zatrudniała dużo ludzi, w hotelu zawsze był komplet gości; zatrzymywali się tam zewnętrzni dostawcy. Dziś bywa tu tylko kilku przedstawicieli handlowych i konsultantów, a większość pokoi od dawna stoi pusta. W wigilijny wieczór Louise i Adrien są jedynymi gośćmi i mogliby sobie wybrać inny apartament, ale nie robią tego, bo są przesądni. Gdziekolwiek na świecie przebywa Adrien, zawsze wraca do La Comelle na noc z dwudziestego czwartego na dwudziestego piątego grudnia, żeby spędzić ją z Louise.

Louise kocha go, odkąd pamięta.

Pierwszy raz zobaczyła go pierwszego dnia szkoły, gdy był w ostatniej klasie, a ona o rok niżej. Spóźnili się do stołówki razem z Étienne'em i Niną. Był nowy, patrzył na innych z roztargnieniem, czerwieniąc się, ale kiedy wracał do dwojga przyjaciół, wydawał się bardziej skoncentrowany. Louise starała się na niego nie patrzeć, ale wciąż, jakby miała jakąś chorobę oczu, kierowała na niego wzrok. Spojrzenie wyprzedzało jej myśli.

Po raz pierwszy odezwała się do niego dwa dni później. Na przerwie z rozmysłem ustawiła się na trasie brata, na środku podwórka, celując w chwilę, gdy całą trójką będą przechodzili przez punkt przecięcia dwóch wyobrażonych linii, trochę tak, jak zrobiłby strzelec wyborowy. Trzymała w ręce krążek do gry w klasy, ściskała go z całych sił. Étienne, niemal zdziwiony, że ją tam zobaczył, na podwórku JEGO szkoły, wymamrotał do Niny i Adriena: „To jest moja siostra, Louise". Louise uśmiechnęła się, powiedziała „cześć" i wróciła do koleżanek z klasy, czerwona jak piwonia. Zdążyła jednak spojrzeć swoimi niebieskimi oczami głęboko w oczy Adriena, podczas gdy on i Nina uśmiechali się do niej miło. Aż do lunchu wciąż miała w głowie obraz jego twarzy. Adrien nie był przystojny, ale miłość i uroda mają niewiele wspólnego. Wrzuca się je do jednego worka, bo tak jest prościej. Tak jakby połączyło się gwiazdę i latarkę, bo obie świecą.

Od Adriena biły tajemnica i głębia, wykraczające poza dzieciństwo. Był zagadką.

Potem przyszły środy, wieczory, weekendy. Czasem gdy Louise wracała do domu, czuła, że Adrien tam jest. W pokoju brata albo w piwnicy, gdzie razem grali. Nawet jeśli na półce przy drzwiach nie było jego butów. Obserwowała ich z ukrycia. I zawsze to czułe spojrzenie, którym Adrien obrzucał Ninę, gdy tylko otwierała usta. Louise nie była zazdrosna. Tak

samo patrzył na nią Étienne, kiedy myślał, że ona nie widzi – spojrzenie, którym tylko brat może obrzucić siostrę.

Potem nadeszła „choroba Py’ego”. Louise nie rozumiała, dlaczego Adrien marnieje, więdnie. Wyglądał jak własny cień, był zagubiony. Przerwy bez niego. I wieczory. Py wciąż go karał, zatrzymywał w klasie po lekcjach, więc Louise widywała Adriena tylko w biegu. Étienne powiedział kiedyś rodzicom: „Py daje Adrienowi porządnie popalić!”. Ale co to mogło znaczyć, że daje porządnie popalić?

Kiedy Adrien trafił przez Py’ego do szpitala, Louise kilka razy podjechała rowerem pod dom nauczyciela, wszystko dokładnie obejrzała i postanowiła podlać jego rośliny wybielaczem. Spaliły się w jedną noc. Rankiem kwietniki wokół domu miały kolor sików.

A potem nadeszły wakacje. Louise była załamana. Cała trójka dostała się do gimnazjum, podczas gdy przed nią był jeszcze rok szkoły podstawowej. Dni coraz dłuższe, podwórko szkolne coraz mniejsze…

Któregoś dnia w lipcu wszyscy przyszli do Étienne’a; słuchali muzyki, zamknęli się w salonie. Tańczyli, wrzeszczeli. Troje szaleńców. Louise przez całe popołudnie nie wychyliła nosa ze swojego pokoju. Kiedy wreszcie wyszli, poszła na dół, popatrzyła na zostawione na stole butelki po oranżadzie i zaczęła się zastanawiać, z której pił Adrien. Powąchała każdą jak pies szukający wśród różnych woni zapachu swojego pana.

Gdy już oboje chodzili do gimnazjum i przypadkiem ich drogi się skrzyżowały, witali się nieśmiało. Czasem Adrien pytał, jak jej idzie w szkole, jakie ma przedmioty, jakich nauczycieli i tak dalej. Na co Louise odpowiadała zawsze krótko: „Dobrze”, i uciekała. Nie mogła znieść jego spojrzenia. Co wieczór wyobrażała sobie ich ślub, przyjęcie weselne, stroje, jak wymieniają obrączki, jaka jest muzyka, Étienne’a i Ninę jako

świadków. Jednak stojąc naprzeciw niego, nie była w stanie wydusić z siebie trzech słów.

Zmiana nastąpiła latem 1990 roku, gdy razem pojechali do Saint-Raphaël. Całą noc przed wyjazdem nie zmrużyła oka. Od miesięcy matka powtarzała, że jeśli Étienne poprawi średnią, to w przyszłe wakacje Adrien i Nina z nimi pojadą. Louise wiedziała, że przyjaciele wzięli jej brata, totalnego lenia, w obroty i mu pomagają. Sprawdzała jego stopnie, po kryjomu zaglądała do dzienniczka i przechwyciła świadectwo, zanim rodzina położyła na nim rękę. Odkryła, że brat podciągnął średnią do 14! Wygrali! Całe lato spędzą w tym samym domu, Adrien będzie spał w pokoju obok! Adrien na plaży, wspólne posiłki, pączki, wspólne ręczniki kąpielowe, wspólny widok! Zwarty mur trójki, wydający się jej nie do pokonania, pękł w dniu, w którym odczytała szkolne wyniki brata. Zakleiła z powrotem kopertę i wsunęła ją między inne listy. Tego samego wieczoru, wśród ogólnej radości, matka zadzwoniła do dziadka Niny i do matki Adriena, żeby oficjalnie poprosić o pozwolenie zabrania ich dzieci nad morze.

Louise chowała się w korytarzu, gdy Marie-Laure oznajmiła Étienne’owi, że powiedzieli „tak”. To samo „tak” Adrien powie jej któregoś dnia w urzędzie stanu cywilnego.

*

Adrien wjeżdża do La Comelle. Odruchowo przejeżdża obok domu Niny. Toczy się powoli; dom jest ciemny. Nina pewnie spędza Wigilię gdzieś indziej. Tym lepiej, myśli, nie jest sama. Jadąc ulicami, które zna na pamięć, Adrien nie może się powstrzymać i przejeżdża niedaleko domu rodziny Beaulieu. Nie zbliża się za bardzo; nie chce, żeby go zauważono. Marie-Laure i Marc ozdobili dom migoczącymi girlandami. Adrien

wyobraża sobie, jak Louise przy rodzinnym stole spogląda na brata. Martwi się, bo może to ostatnie wspólne święta. Adrien wie, że Étienne jest chory; Louise mu powiedziała. Chce jak najszybciej wziąć ją w ramiona, przytulić, poczuć jej skórę na swojej, głaskać i pieścić. Spostrzega cienie wewnątrz. Widzi, że Étienne wychodzi na ganek. Zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów dalej; z tej odległości Adrien poznałby go w gęstym tłumie. Jest zszokowany. Czy ma wyjść z samochodu i podejść do niego, pogadać? Czy w tym wypadku obowiązuje przedawnienie? Ale nie zastanawia się; zawraca z wygaszonymi światłami jak złodziej. Jedzie do hotelu. Sięga po torbę, w której ma jeden komplet ubrań na zmianę i szczoteczkę do zębów; przyjechał na jedną noc. Bierze również podróżną lodówkę z butelką szampana, kilkoma ostrygami, kostką solonego masła i kawałkiem ciemnego chleba w środku.

Jak co roku w recepcji nie ma nikogo. Właścicielka spędza Wigilię z koleżankami, a kod przy wejściu nie zmienił się od wieków, wciąż 1820M. „Osiemnaście – pełnoletność; dwadzieścia – najpiękniejszy wiek; M jak Miłość”.

Zostawiła na widoku klucz do pokoju numer cztery. Adrien wchodzi na trzecie piętro. Na podłodze znajoma wykładzina z lat dziewięćdziesiątych, na łóżku ta sama narzuta w kwiaty, te same firanki i fryz na łososiowych ścianach. Dwa kaloryfery, tak gorące, że aż parzą. Adrien otwiera na kilka minut okno, żeby zimne powietrze odświeżyło pościel i wypędziło zapach naftaliny. Włącza stary telewizor – niech coś gada, namiastka czyjejś obecności – idzie do malutkiej łazienki i zaczyna otwierać ostrygi; układa je na fajansowym półmisku.

*

Étienne pali papierosa, obserwując gwiazdy. „Gwiazdy są odległe o lata świetlne – mówiła Nina. – To, co widzisz, już nie istnieje. Gwiazdy są jak kłamstwa”.

Przez cały dzień starał się nie myśleć o Ninie. Nie wolno. Ona należy do innego życia. Rozmyślania na jej temat do niczego nie prowadzą. Ale teraz znów ją widzi, jej obraz wpisał się w jego źrenicę. Wciąż to samo spojrzenie. Nietknięte, nieskalane, jak metal szlachetny, chroniony przez całe lata satynowym pokrowcem.

Otulona szalem Marie-Castille wychodzi na ganek i staje obok.

– Wszystko dobrze, kochanie? Co robisz? Przeziębisz się.

– Muszę ci coś powiedzieć… – mówi Étienne ponuro.

Marie-Castille posępnieje. Czuje od kilku tygodni, że Étienne się zmienił. Ma wrażenie, że coś go dręczy. Z trudem wypowiada pytanie:

– O co chodzi?

Étienne spogląda na nią z uśmieszkiem. Marie-Castille topnieje pod jego spojrzeniem. Zawsze topniała, jak tylko na nią spojrzał. Gdy zobaczyła go po raz pierwszy, wiedziała, że będzie jej. Kocha go uparcie, zazdrośnie, obsesyjnie. Kiedy urodziła Valentina, bardziej cieszyło ją, że dała Étienne’owi dziecko, niż że została matką. Matką stała się potem, przez miłość do męża, który szaleńczo kocha syna. A Valentin jest bardzo do niego podobny.

– Zdołasz dotrzymać tajemnicy? – pyta Étienne.

– Tak – odpowiada cicho Marie-Castille.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Czekam na Świętego Mikołaja.

– Co takiego?

– Wyszedłem niby na papierosa, ale naprawdę wierzę w Świętego Mikołaja. Mam nadzieję, że go zobaczę.

– Ach, głupi jesteś, przestraszyłeś mnie!

– Dlatego mnie kochasz.

Przytula ją. Marie-Castille cała drży. Étienne żałuje głupiego żartu. Jak można być takim idiotą? – myśli. I takim tchórzem.

– Mam wrażenie, że Louise jest dziś jakaś dziwna. Smutna – szepcze mu do ucha Marie-Castille.

– Ona zawsze jest smutna – kwituje Étienne. – Nie tylko w Wigilię.

– Tak? Dlaczego? Nigdy nie zauważyłam.

– To stara historia.

– Jaka znów historia?

– Był taki facet…

– Myślałam, że twoja siostra woli kobiety.

– To jest bardziej skomplikowane.

Étienne zgniata niedopałek butem i całuje żonę w usta, przede wszystkim żeby zamilkła, no i chce jej dać do zrozumienia, że ją kocha. Nie zdoła długo ukrywać przed nią choroby. Kilka tygodni. A poza tym chudnie, mięśnie kurczą się zbyt szybko.

Zaczęło się od prześwietlenia brzucha i tomografii klatki piersiowej. Poszedł na badanie, powiedziawszy kolegom w pracy, że idzie spotkać się z informatorem. To samo powiedział Marie-Castille. Musiał iść sam. Widząc wyniki i miny specjalistów, Étienne poprosił siostrę, żeby była przy nim, gdy się obudzi. Wsunięto mu endoskop do gardła, schodząc aż do dwunastnicy. Dwunastnica, nigdy nie słyszał o czymś takim. Louise mu wyjaśniła, że dwunastnica jest owinięta wokół górnej części trzustki. „Jak opona wokół felgi, jeśli wolisz”, dodała.

Za pomocą sondy zbadali trzustkę ze wszystkich stron i zrobili biopsję guza, żeby ocenić stadium choroby.

Rak trzustki rozwija się podstępnie. Nic nie boli. Śmiertelna cisza. Bezruch. Kiedy wreszcie coś się dzieje, sprawa jest poważna, zaawansowana, to jeden z najgorszych nowotworów. Wykańcza błyskawicznie.

Pierwszy raz jestem w czymś najlepszy, pomyślał Étienne. Lepszy od brata, przegoniłem go w chorobie. Wreszcie ojciec będzie ze mnie dumny.

Gdy się obudził, Louise siedziała obok. Widząc jej minę, zrozumiał, że sprawa jest przegrana. Rozciągnęła usta w sztucznym uśmiechu, w oczach miała paniczny strach. Nawet powieki jej drżały, gdy mówiła:

– Wszystko dobrze!

Już umówiła spotkania z lekarzami i przygotowała z onkologiem plan leczenia.

– Będziesz miał operację i chemię, ostrą, żeby zmniejszyć guz… Potem, jeśli będzie trzeba, wytną ci trzustkę, można żyć bez niej.

Étienne pomyślał, że już i tak żyje bez marzeń i bez miłości. Tylko Valentin się liczył, pośród wszystkich zgasłych gwiazd ta jedyna błyszczała na firmamencie jego życia. Jedyna nitka, która jeszcze go łączyła z jasnością dnia. Dlatego wolał zniknąć, żeby Valentin nie oglądał jego nędznego końca.

Dwa tygodnie wcześniej Étienne pojechał z siostrą do Lyonu na konsultację lekarską. Poprosił Louise o lekarstwa, żeby nie cierpieć.

– Daj mi jakąś porządną dawkę. Coś, od czego wydział narkotyków dostałby szoku. Potem pojadę gdzieś… wiesz, jak w tych romantycznych filmach, które tak lubisz, a których ja nienawidzę. Chcę umrzeć nad morzem, owinięty w koc. Albo na ławce. Spoko… Nikogo wokół… Wyobraź sobie wschód słońca, które oświetla moją umierającą postać.

– Przestań, Étienne, to nie jest śmieszne.

– Nigdy nie nazywasz mnie Étienne… Trening przed wspominaniem?

Louise zaczęła płakać.

– Możesz wyzdrowieć.

– E tam. Dobrze wiesz, że nie. Nie widziałaś tego? Wszędzie mam przerzuty.

– Chemia jest dokładnie wymierzona. Można przynajmniej postarać się zmniejszyć guz.

– Tego, co wlokę za sobą, odkąd skończyłem siedemnaście lat, nie da się zmniejszyć.

45

17 sierpnia 1994, 22:00

Grobowiec rodziny Beau stoi przy alejce biegnącej wzdłuż lewego muru miejskiego cmentarza.

Pierre Beau spoczywa obok żony i przodków, których nigdy nie poznał, choć mieli takie samo nazwisko jak on. Został pochowany kilka godzin temu. Wieczór jest pełen gwiazd. Nagle słychać silnik samochodu; słabe światło biegnące od drogi przez chwilę oświetla jego nazwisko i imię wycięte w marmurze. Niebieska furgonetka, w której sterty jego całego skromnego dobytku uciekają w stronę Bretanii, południowego Finistère.

Takie życie. Taki świat. *Aaa, kotki dwa, szarobure obydwa*, śpiewała Odile córeczce, wybijając rytm ładnymi dłoniami.

Marion siedzi na fotelu pasażera obok Arthusa, byłego marynarza, zajmującego się teraz handlem starzyzną, złomem i czym się da. Od Bénodet do Quimper wszyscy mówią o nim Przedsiębiorca, bo jest przedsiębiorczy i zawsze znajdzie to, co się u niego zamówi. Aluminiowa felga do renault 5 GTL, komplet angielskich mebli do ogrodu, kostka haszyszu, oryginalny album Beatlesów z 1966 roku. Przedsiębiorca załatwi wszystko. Wystarczy jeden telefon, zamówienie, Arthus odpowiada: „Zobaczę, co da się zrobić”, i załatwia. Tylko Marion nazywa go

„Kochaniutki”. Zostawia „Przedsiębiorcę” innym, tym bardziej że z nią nie udaje mu się tak dobrze jak ze starociami.

*

W tym samym momencie wnuczka Pierre’a Beau również siedzi na fotelu pasażera w samochodzie. Jedzie w kierunku posiadłości Damamme’ów, stojącej z boku, na skraju państwowego lasu. Nina tego nie wie, ale kiedy jej dziadkowie, Pierre i Odile, byli młodym małżeństwem, często jeździli tu rowerami na wycieczki, do Zamku, jak nazywali ten dom. Przejeżdżali przed bramą z kutego żelaza, a w zimie, kiedy drzewa były nagie, podziwiali z daleka wielkie okna jak świetliste obrazy i liczyli pokoje z pięknymi żyrandolami, patrząc na poruszające się wewnątrz cienie. Nigdy nie przypuszczali, że ich wnuczka będzie kiedyś jednym z nich.

Na każdej prostej Emmanuel odrywa wzrok od drogi, żeby popatrzeć na profil Niny. Dziewczyna ma ściągniętą twarz. Im bliżej Zamku, tym mniej latarni. Jej twarz okrywa się cieniem, potem kompletnie znika. Od momentu, gdy Emmanuel po nią przyjechał, Nina milczy.

Przysypiał, kiedy zadzwonił telefon. Czekał na niego. To „Przyjedź po mnie” jest jak niespodziewany prezent, a śmierć tego dziadka to błogosławieństwo. Co za ironia, że to ich ciężarówka wpadła na starszego pana. Emmanuel jest katolikiem. Był u komunii i u bierzmowania, a teraz zastanawia się, czy to nie jakiś znak, pomoc od Boga.

Bał się, że po pogrzebie straci Ninę. Myślał, że już nigdy jej nie zobaczy. Bo tych dwóch chłopaków nie odstępuje jej na krok. To z nimi ma wyjechać i zamieszkać w Paryżu.

Na razie Nina nic nie mówi. Wydaje się oszołomiona, wpatruje się w drogę pustymi oczami. Ale za chwilę, gdy tylko znajdą się blis- ko siebie,

gdy ona wtuli się w niego, zacznie mówić. Poczuje się bezpiecznie, opowie o cierpieniu spowodowanym gwałtowną śmiercią, bólu takim, jakby ciało przebijał nóż. Cierpienie niszczy wszystko, nawet plany na przyszłość. Opowie mu o swoim dzieciństwie, o matce, o tym facecie, którego zobaczyła w środku nocy, kiedy gramolił się z piwnicy, wynosząc w wielkim pudle jej lalki i niewielki dobytek dziadka, potem o tej obcej kobiecie, o jej papierosie, zapachu, cerze, dżinsach, głosie, o niebieskiej furgonetce, o rzeczach, które pokradli, aż po sól i napoczęty słoik musztardy. Marion i ten wysoki facet – Ninie nawet nie przeszło przez myśl, że to mógłby być jej ojciec – nic nie zostawili. Jak hieny, które wyżerają padlinę do ostatniej kosteczki. Tylko jej pokój ocalał. Dlaczego? Wyrzuty sumienia? Czy ludzie, którzy okradają zmarłych, mogą mieć wyrzuty sumienia?

Nina powie to później, w łóżku, a Emmanuel będzie umiał znaleźć odpowiedź, właściwe słowa, pocieszy ją, przytuli.

Na razie podaje jej drinka. Potem drugiego. Czysta whisky bez lodu i wody. Nina jest na czczo. Wychyla szklanki jak doświadczona bywalczyni barów. Od razu zaczyna jej się kręcić w głowie. Między dwoma łykami nastawia muzykę, wybiera kawałek The Cure *Boys Don't Cry*. Sprawia jej ulgę przebywanie w tym domu, obcym, ale już bliskim.

Nagle melodia i głos Roberta Smitha ściągają jej myśli ku Adrienowi i Étienne'owi. Czuje gwałtowną tęsknotę. Szuka ich rąk. Zamyka oczy, żeby o nich zapomnieć. Zatrzasnąć za sobą drzwi. Zaczyna tańczyć, tam, na środku salonu, na oczach Emmanuela, który czuje straszliwe pożądanie. Za każdym razem, gdy Nina się zbliża, musi się hamować. Chce jednocześnie ją kochać i dręczyć, bić i całować. Sam boi się tego, co czuje. Nina budzi w nim jakiegoś obcego mężczyznę. Strasznego, zaczajonego gdzieś w kącie. Emmanuel ma nadzieję, że mu to przejdzie, że po prostu tak

bardzo fizycznie jej pragnie, że to wywołuje zamieszanie w jego umyśle. Ta miłość spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Grom z jasnego nieba! Zgadza się, ale głupia nazwa dla miłości.

Nina tańczy, porusza się w rytm muzyki, jest boso, ramiona uniosła i rozłożyła, śpiewa do wtóru *Boys Don't Cry*. Emmanuel podchodzi do niej, nadludzkim wysiłkiem przywołuje całą swoją czułość i przykleja się do jej pleców. Wykonuje te same ruchy co ona, tańczą ciało przy ciele, Nina jęczy, Emmanuel bierze ją w ramiona, prowadzi do sypialni – przecież tego chciała. Sama mu powiedziała: „Przyjedź po mnie".

*

Adrien otwiera oczy. Zegar w radiu wskazuje kilka minut po dwudziestej drugiej. Niny nie ma w łóżku. Jej miejsce jest chłodne. Woła ją. To wołanie budzi Paolę; suczka ciężko wstaje i schodzi do kuchni, gdzie stoi jej miska z wodą. Adrien idzie za Paolą – drzwi wyjściowe są uchylone. Znów woła Ninę, wraca na piętro i przeszukuje puste pokoje. Pusty dom wzbudza niepokój, wygląda jak dekoracja z jakiegoś horroru. Adriena męczy jedno pytanie: kto to wszystko wyniósł? Trudno mu uwierzyć we włamywaczy. Nagle ogarnia go strach. Może po domu chodzi duch Pierre'a Beau? Chłopak się wzdryga. A jeśli to on? Jeśli tak naprawdę on żyje? Jeśli tam, w trumnie, leżał ktoś inny? W końcu nie widział jego twarzy w dniu wypadku. Tylko nogi, reszta była okryta kocem. Ach, głupoty! To byłoby zbyt proste, gdyby zmarli nie umierali. Upiory, świat pozagrobowy to dobre w kinie, w książkach. Nie w prawdziwym życiu. W prawdziwym życiu jego ojciec to kretyn, a Nina została sama.

Gdzie ona jest? Adrien wychodzi do ogrodu boso, żwir rani mu stopy. Trzy koty biegają mu pod nogami, ale ani śladu Niny. Poszła na spacer? Zastanawia się, stojąc między hortensjami i dwoma rachitycznymi

drzewkami owocowymi. Nagle czuje za plecami czyjąś obecność. Groźny cień, prawie do niego przyklejony. Odwraca się z krzykiem. Nie poznał go; myśli, że Étienne zrobił to naumyślnie, żeby go przestraszyć. Głupie żarty to jego specjalność. Adrien rzuca się na niego, ale w złości nie trafia.

– Kurwa, ale mnie wystraszyłeś! Co za głupek z ciebie!

Zwykle w takich okolicznościach Étienne by się roześmiał zadowolony i dalej żartował, tymczasem stoi i milczy, patrząc na Adriena oczami wariata. Cisza. Adrien boi się domyślać.

– To Nina? Coś jej się stało? – pyta dziwnym głosem.

– Nie.

Étienne wchodzi do domu; wygląda na załamanego. Adrien idzie za nim, zagubiony.

– Co ci jest?

Étienne milczy.

– Gdzie jest Nina? – naciska Adrien.

– Skąd mam wiedzieć? Przecież mieliście być razem.

– Byliśmy razem, ale wyparowała!

Étienne macha rękami, jakby go to nic nie obchodziło. Adrien zresztą nie rozumie tego gestu. Jego przyjaciel w końcu wyrzuca z siebie:

– To Nina…

Wchodzi na piętro, zdejmuje spodnie i w samych bokserkach rzuca się na łóżko. Zakrywa się kołdrą mimo gorąca. Zamyka oczy. Adrien patrzy na niego. Poza alkoholem czuje błoto, ten zapach, który zostaje im na skórze za każdym razem, gdy kąpią się w Leśnym Stawie. Zwykle Étienne od razu wchodzi pod prysznic, bo mówi, że „śmierdzi zgniłym jajem”.

Adrien nic nie rozumie. Étienne nigdy nie bywa tajemniczy. Tymczasem rzucił się na łóżko Niny, nawalony, i wydaje się, że zasnął. A Nina zniknęła.

– Nie obchodzi cię, gdzie ona jest? – pyta Adrien.

– Co?

– A poza tym chyba miałeś być z Clotilde?

– Chodź tu – mówi Étienne.

46

27 grudnia 2017

W hotelu Louise zasypia w ramionach Adriena. Nie wolno jej spać, więc tylko przymyka oczy; nie chce zapaść w głęboki sen. Trzeba wrócić do domu. Jak nastolatka, która wymknęła się w tajemnicy przed rodzicami i musi przed świtem wślizgnąć się w zimną pościel w dziecinnym pokoju i za kilka godzin odegrać komedię ze Świętym Mikołajem, który właśnie wszedł przez komin i zostawił prezenty dla bratanków, Louisa i Loli. Z Paulem-Émile'em Louise nigdy nie była tak blisko jak z Étienne'em, chociaż Étienne zawsze udawał, że jej nie widzi. Dzieli ich tylko rok, są jak bliźniacy, te same odruchy, emocje, lęki, zmartwienia. No i wyglądają prawie tak samo. Ile razy Étienne, przedstawiając siostrę, słyszał: „No tak, łatwo zgadnąć".

Louise wciąż czeka, aż Étienne zmieni zdanie i zdecyduje się na leczenie. Żeby do tego doprowadzić, potrzebuje pomocy; nie da rady sama. Związana tajemnicą lekarską, nie ma prawa wyjawić, co wie. W rodzinie prawdę znają tylko ona i Valentin. Bratanek przeczytał esemesa, którego wysłała do Étienne'a:

> Błagam cię, zgódź się na leczenie, nie wolno tracić nadziei, widziałam gorsze przypadki od twojego, ludzie wyzdrowieli! Musisz żyć!

Valentin natychmiast zadzwonił do ciotki; chciał zrozumieć, o co chodzi.

– Ciociu?

– Tak, kochanie?

– Tata jest chory?

– Nie rozumiem.

– Widziałem esemesa w jego telefonie.

– Grzebiesz w telefonie ojca?

– Oczywiście. I uważaj, bo mama też. Zawsze robię to pierwszy, żeby w razie czego coś wykasować i uniknąć dramatów.

– Jakich dramatów?

Valentin wzdycha i powtarza pytanie:

– Tata jest chory?

Louise naprędce wymyśla kłamstwo.

– Pomyliłam adresata. Pisałam do pacjenta, który nazywa się Edmond… Edmond, Étienne, mam ich obok siebie w kontaktach.

– Ciociu, jak możesz mnie okłamywać? Mnie? Myślałem, że mogę ci ufać…

Długa cisza. Louise domyśliła się, że Valentin tłumi szloch.

– Twój ojciec ma raka. Nie chce się leczyć. Przysięgnij, że nikomu nie powiesz.

– Przysięgam – wymamrotał.

– Nawet jemu?

– Przysięgam, ciociu. Wyleczysz go?

– Zrobię wszystko, co będę mogła, jeśli tylko on się zgodzi.

– Dlaczego miałby się nie zgodzić?

– Bo myśli, że jest za późno, że jest skazany.

Kolejna cisza. Chłopak przyjął ten cios. „Skazany” oznacza, że wszystko stracone. Że straci ojca. Po chwili wróciły pytania; chciał zrozumieć.

– Dlaczego tak myśli?

– Bo choroba jest w zaawansowanym stadium.

– A ty, ciociu, co myślisz?

– Ja uważam, że nigdy nie jest za późno. Nigdy nie wiadomo, jak organizm zareaguje na leczenie. Trzeba spróbować, żeby się przekonać.

– Ale jak sprawisz, żeby zmienił zdanie?

– Jeszcze nie wiem.

Louise się nie udało. Od rozmowy z Valentinem minęły trzy tygodnie, a Étienne wciąż nie rozpoczął chemii. Nie odbiera od niej telefonów. Nie daje znaku życia.

Któregoś wieczoru zaczaiła się przed komisariatem, ale wyszedł z Marie-Castille. Louise czekała na niego w kafejce Nazir. Widziała, że brat ją zauważył, ale przeszedł obok, zagadując Marie-Castille, żeby odwrócić jej uwagę. Wziął nawet żonę pod rękę, bo wiedział, że Louise nigdy nie ośmieli się go zaczepić w jej obecności.

Trzy dni temu, kiedy przyjechała do rodziców i zobaczyła w salonie Étienne’a, Marie-Castille i Valentina z kieliszkami w dłoniach, pomyślała, że przez tych kilka godzin w domu rodzinnym zdoła go przekonać. Odeszła na bok z Valentinem, żeby o tym porozmawiać. Chłopak jest tak mądry, że Louise czuje się onieśmielona. Jak Adrien, kiedy był mały… taka dojrzałość nie jest normalna. Dlaczego niektóre dzieci dojrzewają szybciej od innych? Co do Adriena, Louise zna odpowiedź. Ale Valentin?

– Myślałem, że pogadam z tatą, poproszę go, żeby się leczył. Dla mnie.

– Problem w tym, że oficjalnie nic o tym nie wiesz. I jesteś za młody, żeby brać na siebie taką odpowiedzialność.

– Mogę mu powiedzieć, że zobaczyłem w jego telefonie. Najwyżej mnie ochrzani… Chociaż on mnie nigdy nie ochrzania.

– A mama? – spytała Louise bez większego przekonania.

– Jeśli mama się dowie, będzie dramat. Wtedy tata naprawdę gdzieś pojedzie i nie wróci. Nikt go nie znajdzie… Może ty, ciociu, znasz kogoś, kto mógłby z nim pogadać?

Louise nie myślała długo.

– Znam… To znaczy… tak mi się wydaje.

– Kto to?

– Adrien i Nina.

– Kim oni są?

– Jego przyjaciółmi z dzieciństwa.

*

Adrien otwiera oczy i uśmiecha się do niej. To ich dwudziesta trzecia noc w tym hotelu.

– Chcesz, żebym ci zrobił dziecko?

Louise milczy. Ma czterdzieści lat, nie wyszła za mąż. Kilka romansów, niby jest wolna, ale związana z Adrienem.

– Zmarnowałem ci życie – mówi Adrien.

– Mam wspaniałe życie – odpowiada Louise. – Ale teraz mój brat marnuje swoje. Muszę znaleźć sposób, żeby zaczął się leczyć. Nie umiem go zmusić. Chciałabym, żebyś z nim porozmawiał.

Adrien zamyka oczy. Louise nie wie, co się między nimi wydarzyło, ale jedno jest pewne: są skłóceni na śmierć i życie.

*

Nina nie śpi. Słucha oddechu Romaina. Spędziła fantastyczną Wigilię, spokojną i radosną. Od czasu śmierci dziadka nigdy nie miała takiej. O północy otworzyli prezenty, czekoladki i pióro wieczne dla Romaina, pudełko z węglem i wielki zeszyt papieru rysunkowego dla niej. Zamarła, otworzyła szeroko oczy, jakby znalazła czarną skrzynkę na miejscu katastrofy samolotu, który rozbił się dwadzieścia trzy lata temu.

– Skąd wiedziałeś? – spytała w końcu.

– Wiedziałem.

– Kto ci powiedział? Nie dotknęłam ołówka od chwili, gdy skończyłam osiemnaście lat.

– Widziałem twoją ocenę z rysunku na maturze.

– Gdzie?

– Poszukałem.

– Jak?

– Świadectwa maturalne są jak dokumentacja medyczna. Nawet gdyby dużo rzeczy zaginęło… Dlaczego przestałaś rysować?

– Bo skończyło się moje dzieciństwo.

– A co się zaczęło?

– Dorosłe prawdziwe życie.

– Przecież miałaś zaledwie osiemnaście lat.

– Tak.

– Narysuj mnie.

– Teraz?

– Tak.

– Zapomniałam, jak się rysuje.

– Nie wierzę.

Otworzyła zeszyt, wzięła do ręki węgiel. Ręce jej drżały.

– Usiądź przede mną – powiedziała.

– Mam pozować?

– Nie. To nie potrwa długo.

Nina pociągnęła kilka razy węglem po papierze i podała kartkę Romainowi.

– Proszę!

Zobaczył rysunek przedszkolaka. Kółko jako głowa; dwa kółka – oczy; dwie kropki zamiast nosa i pozioma kreska zamiast ust.

– Nie wyglądam na zadowolonego, raczej się krzywię… – skomentował uszczypliwie. – To niesamowite, jak przypominam mojego ojca.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

– Już nie umiem rysować.

– To jest jak seks. Powiedziałaś mi, że twoje ciało zapomniało, tymczasem…

– Tymczasem co?

– Idziemy na górę?

Spędzili całą noc w łóżku. Teraz było to mniej gwałtowne niż za pierwszym razem. Zaczynają się poznawać. Nie są już zaskoczeni zapachem swojej skóry. Przeciwnie, odnajdują w tym coś znajomego. To bardzo miłe. Nie wolno mi się zakochać! – nakazuje sobie Nina. Ostatnim razem to się zamieniło w koszmar, a teraz, kiedy wreszcie wypłynęła na powierzchnię, nie chce znów zatonąć. Dlaczego mówi się „stracić głowę”? Ona spodziewała się raczej coś zyskać, niż stracić. Tymczasem trafiła na zło, spadła z wysoka.

Zarzuca koszulę wyjętą z szafy Romaina. Schodzi do salonu. Resztki kolacji wigilijnej, podarte opakowania po prezentach… Na kanapie śpi Bob przytulony do kota. Nina bierze szkicownik i rysuje. Nie spieszy się,

wyciera, poprawia. Godzinę później rysunek jest gotowy. Zupełnie nieźle… Umie szkicować zwierzęta, całe dzieciństwo spędziła na rysowaniu Paoli i kotów. Wcale nie zapomniała. Wpatruje się w rysunek i czuje narastający smutek. Łzy spadają na niski stół, obok pustych kieliszków po szampanie. Jedna, druga, trzecia, czwarta… Nina ich nie powstrzymuje. Pozwala im płynąć. Od jak dawna je powstrzymywała?

*

Étienne i Marie-Castille kochają się. On leży na plecach, ona na nim. On tak woli, jest wykończony. A odkąd przyjechał do rodziców, pije, żeby zagłuszyć ból fizyczny i psychiczny. W Bożym Narodzeniu dobre jest to, że ledwo się wstanie od stołu, już jest kolejny aperitif i tak w kółko. Dobre wina, które wyjeżdżają z piwnicy. Rodzice, zadowoleni, że mają wszystkich razem, rozpieszczają ich. Mimo że awansował na inspektora, ojciec wciąż uważa go za nieudacznika. Étienne dobrze widzi, że lubi też bardziej Louisa i Lolę niż Valentina. Inaczej na nich patrzy. Valentin pewnie zbyt przypomina mu jego. Wobec Louise ojciec jest inny, to dziewczyna. Podobno córki rozczulają ojców. Tymczasem według rodzinnych opowieści Louise nie była planowana, pojawiła się na świecie przypadkowo, ostatni prezent, ten zatruty. Matka musiała na parę lat zrezygnować z pracy, żeby się nią zająć. Ale przecież jego, Étienne’a, rodzice, do cholery, pragnęli!

Marie-Castille obudziła go w środku nocy. Poczuł usta żony na członku. Głaszcze ją po włosach, zamyka oczy, udaje, że mu to sprawia przyjemność. Żeby się podniecić, wyobraża sobie nieprawdopodobne rzeczy; nie wolno myśleć o niczym innym, tylko cycki i tyłki, najlepiej scena z jakąś podnieconą dziewczyną w masce, związane nadgarstki, on doprowadza ją do orgazmu. Erekcja musi potrwać, w przeciwnym razie Marie-Castille zacznie płakać, jęczeć, mówić, że już jej nie kocha i tak

dalej. A przecież ją kocha. Ale tu, teraz, jest mu trudno. Potrzebuje samotności. Jak wrócą do Lyonu, zorganizuje swoje zniknięcie. Ubezpieczył się na życie na korzyść syna, żeby nigdy niczego mu nie zabrakło. Nawet jeśli wie, że Valentinowi i tak nigdy niczego nie zabraknie oprócz ojca. W gruncie rzeczy ta choroba rozwiązuje jego problemy. Skończył się czas, gdy Étienne udawał dziecko, żeby przebywać z synkiem, czas wspólnych zabaw, zdalnie sterowanych samochodzików, wspólnego jeżdżenia na karuzeli, kiedy trzymał go w ramionach. Valentin wchodzi w wiek zadawania pytań i męskich rozmów. Cóż Étienne miałby mu do powiedzenia? Czy jakiekolwiek jego rady mogłyby mu się przydać?

Marie-Castille jest nadinspektorką, świetnie zarabia. Dom jest już spłacony. Nie mają żadnego kredytu. Ona jeszcze ułoży sobie życie. Myśl, że żona i syn przynoszą kwiaty na jego grób, jest nie do zniesienia.

Zniknąć. Nawet po śmierci. Nie wolno mieć przy sobie żadnych dokumentów. Skończyć w zbiorowym grobie.

Na razie wyobraża sobie, że bierze udział w orgii: dziewczyny pod nim i na nim, piękne, przepiękne, splecione ciała, otwarte usta, szybkie oddechy, koronki, skóra i wysokie obcasy.

Wytrysk.

Ma ochotę płakać ze szczęścia. Wreszcie koniec! Całuje żonę, która przytula się do niego i szepcze mu do ucha „Kocham cię!”. Étienne zamyka oczy. Słyszy, jak Louise parkuje pod oknami, wyłącza silnik. Skrzypienie schodów. Jasny pasek pod drzwiami, gdy zapala światło w korytarzu, szum wody płynącej z kranu w łazience. Dźwięki jego dzieciństwa, dorastania. Wystarczą dźwięki, gdy zna się dom od podszewki. Światło gaśnie. Louise weszła do swojego pokoju. Jak co roku siostra spędziła wigilijną noc z tym…

47

18 sierpnia 1994

Nina otwiera oczy. Emmanuel leży obok, patrzy i uśmiecha się.

– Mówisz przez sen.

– Wołałam dziadka?

– Nie.

– Śniło mi się, że umarł… I umarł.

– Tak mi przykro.

Nina odwraca się na bok i przyciska kolana do piersi. Pozycja embrionalna.

– Jestem teraz zupełnie sama.

– Przecież ja tu jestem.

Patrzy na Emmanuela. Czy on drwi? Czy korzysta z sytuacji? Dlaczego mężczyzna taki jak on miałby zainteresować się poważnie dziewczyną taką jak ona? Ledwo się znają.

Skupia się. Układa w myślach listę tego, co musi zrobić jak najszybciej.

– Muszę się wyprowadzić, opróżnić swój pokój, zanim wyjadę do Paryża.

– Dlaczego?

– Bo dom nie jest nasz, dziadek wynajmował go od miasta.

– Kupię ci go.

– Słucham?

– Po co są pieniądze, jeśli nie po to, żeby pomagać tym, których się kocha?

– Ale… Tego domu być może nie da się kupić. A twoi rodzice? Co powiedzą twoi rodzice?

– Kochanie, mam dwadzieścia osiem lat.

– Powiedziałeś do mnie „kochanie”.

– Tak, bo jesteś moim kochaniem, miłością mojego życia. Nigdy jeszcze nie kochałem nikogo tak, jak kocham ciebie.

Nina obejmuje Emmanuela. Pierwszy raz ktoś wyznał jej miłość. Jak w tych piosenkach, które przenoszą do krainy marzeń. Kiedy usłyszała *Un homme heureux* Williama Shellera – *Dlaczego ludzie zakochani są zawsze trochę do siebie podobni?* – rozpłakała się.

– Ja i Adrien mamy taką teorię, że gdy życie nam coś zabiera, to daje w zamian co innego.

– Masz na myśli mnie?

– Tak.

Emmanuel obejmuje ją i pieści. Muska wargami całe jej ciało, jakby była klejnotem, bada, co sprawia Ninie przyjemność, znajduje to, Nina drży. Nie jestem już sama, myśli. Ktoś mnie kocha! Nikt mnie już nigdy nie porzuci! On mnie kocha!

*

Adrien wychodzi na spacer z Paolą; Nina nie wróciła na noc. Obchodząc pobliskie ulice, stara suka wydaje się ciągnąć za sobą taki sam

smutek jak on. Trudno im iść naprzód, głowy mają schylone, patrzą na asfalt, nie rozumieją, co im się przydarzyło.

Gdzie jest Nina? – zastanawia się Adrien. Gdyby była tutaj…

Rano zadzwonił do Marie-Laure. Nie, nie widziała jej. Zasugerowała, żeby zadzwonił do Emmanuela Damamme'a. Ale Adrien nie ma na to ochoty. Coś go od tego faceta odrzuca. Nie umie powiedzieć co, poza tym, że jest o niego zazdrosny. Trudno mu znieść, że Nina spotyka się z tym przystojniakiem. Wysoki, inteligentny, bogaty, czarujący! Młodość, którą Adrien uważał do tej pory za siłę, została osłabiona, fundamenty – podkopane.

Pociesza się, że za dwa tygodnie wszystko się skończy, a on zabierze Ninę daleko stąd. Ta myśl powoduje, że Adrien podnosi głowę i przyspiesza kroku. Ale po chwili złość wraca jak bumerang. Dlaczego Pierre Beau zginął? Wszystko tak dobrze się układało. Nie zdawali sobie z tego sprawy, marzyli o Paryżu, tymczasem w La Comelle, z wyjątkiem okresu, gdy męczył go Py, mieli raj, oparcie, którego potrzebowali, żeby się rozpędzić i wzlecieć. Słodkie, bezpieczne dzieciństwo, z dala od nieszczęść. Adrien jedną ręką trzyma smycz Paoli, drugą ociera łzy. Étienne z lewej, Nina pośrodku, ja z prawej. Horyzont, który wydawał im się tak jasny, kiedy w lipcu świętowali zdaną maturę, pokrywa się chmurami. Jest ósma rano w środku lata, ale w sercu Adriena jest północ w środku zimy.

Wracają z Paolą do domu, Adrien karmi ją i koty, nalewa do misek świeżej wody, bo Étienne o tym nie pomyśli.

Étienne… Adrien wchodzi na piętro. Popycha drzwi. Patrzy na przyjaciela śpiącego w łóżku Niny. Nie, to jednak nie sen. Étienne leży na brzuchu, głowę ma zakrytą poduszką. Adrien myśli o Louise, powstrzymuje odruch wymiotny. Tutaj, w domu zmarłego i nieobecnej.

Wskakuje na rower. Pedałuje szybko, bardzo szybko, do utraty tchu. Kiedy podjeżdża do stacji benzynowej, ledwo łapie oddech. Otwiera swoją budkę, włącza dystrybutory benzyny i oleju napędowego. Podjeżdża renault clio. „Do pełna proszę, chłopcze”.

*

Nina wychodzi z łazienki; zauważyła w lustrze, że smutek zmienił jej rysy. Chce jak najszybciej znaleźć się w biurze Damamme’ów, wziąć się do pracy. Mówi Emmanuelowi, że nie może wracać do domu. Te puste pokoje…

– Rozumiem – rzuca Emmanuel.

Chce ją odwieźć, ale Nina odmawia; lepiej, żeby nie widziano ich razem. Wakacyjna stażystka i syn szefa nie mogą przyjechać do pracy tym samym samochodem.

– Ludzie zaczną się na mnie gapić… już i tak plotkują. Wystarczy, że jestem sierotą.

Emmanuel mówi, że nie ma zamiaru ukrywać ich związku.

– Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteśmy razem.

Na drodze między posiadłością a firmą Transports Damamme, w czerwonym kabriolecie Alpine A610, Emmanuel zaczyna:

– Nino, jesteś taka młoda. Potrzebujesz czasu, żeby wrócić do równowagi… To szaleństwo, żebyś za dwa tygodnie jechała do Paryża. Powinnaś odpuścić ten rok szkolny, potem dołączysz do Étienne’a i Adriena.

Tak byłoby dużo prościej, myśli Nina. Może to jest rozwiązanie… Wrócić do równowagi przed wyjazdem. Na razie czuje się nieswojo, jakby miała złą fazę po dragach. Widziała już, jak kumple z liceum wariowali po przedawkowaniu kwasu. Ból głowy i mięśni, złe samopoczucie, smutek,

obsesyjne myśli; Ninie wydaje się, że jest w takim stanie jak człowiek, który wraca do domu o ósmej rano z rave party.

– Przez ten czas będziesz u nas pracować… W ciągu roku zaoszczędzisz tyle, żeby móc wystartować swobodnie w Paryżu… A ja jeszcze trochę cię zatrzymam przy sobie – dodaje Emmanuel.

Ścisza radio. Przebój lata, myśli Nina. Gdzieś tam jest lato, ludzie siedzą na plaży.

Zjedz mnie! Zjedz mnie! Zjedz mnie!
Śpiewa magiczny grzybek
Igra z duszami
*Otwiera drzwi per-cep-cji…**

Ile razy Nina, Étienne i Adrien tańczyli i śpiewali do tych słów, rycząc ze śmiechu jak wieloryby. Tak mówiła Joséphine: „Śmiejecie się jak wieloryby”. Od kiedy dziadek umarł, wszystkie wieloryby świata musiały przestać się śmiać. Myśl o chłopcach sprawia, że Nina czuje się jak stara kobieta, przywołująca wspomnienia z dzieciństwa. Beztroska i radość wydają jej się bardzo dalekie. A zaledwie miesiąc temu tańczyłam na parkiecie w Club 4, myśli.

– Mógłbyś mnie w południe odwieźć do domu? Muszę zobaczyć, co u zwierząt.

– Oczywiście.

– Dzięki.

Emmanuel głaszcze ją po kolanie. Ma duże, piękne ręce. Nina chwyta jego palce i całuje, zamykając oczy. Nie jestem już sama, ktoś mnie kocha. Nikt mnie już nie porzuci. On mnie kocha.

– Musisz znów umeblować ten dom, twoja matka przecież wszystko wyniosła… Pojedziemy razem na zakupy.

Moja matka, myśli Nina. To coś, co wypaliło przy mnie papierosa. Zbyt dużo cierpienia zabija cierpienie. Nina podgłośnia radio i smutno wtóruje piosence:

Zjedz mnie! Zjedz mnie! Zjedz mnie!
Śpiewa magiczny grzybek
Igra z duszami
Otwiera drzwi per-cep-cji…

*

W tej samej chwili Adrien spostrzega przejeżdżające pędem czerwone alpine. Przypomina to scenę z filmu puszczoną w przyspieszonym tempie. Adrien odgaduje, że te rozwiane włosy należą do Niny, widzi jej profil, jej kark… A więc ona jest z tamtym. Zdradziła go. Woli tego elegancika.

Kiedy siedział w budce, już i tak miał czarne myśli z powodu ostatniej nocy; teraz chętnie by się zabił. Może napić się benzyny? Jak to działa? Czy ktoś już popełnił samobójstwo przez napełnienie się benzyną? Na dodatek czeka go lunch z ojcem, który chce z nim obgadać przeprowadzkę do Paryża.

– Musimy to zorganizować – powiedział mu przez telefon.

Sylvain Bobin nic innego nie robi, tylko „organizuje”. To nie jest ojciec, ale menadżer. Adrien nie miał odwagi powiedzieć, że dziękuje, że zorganizuje to sam.

Mają się spotkać w Hotelu Podróżnika. Hm, szykowne miejsce. Dotąd spotykali się w pizzerii Portowej, przy mostku. Nazwał ją tak właściciel, który tęsknił za Morzem Śródziemnym, chociaż przez La Comelle nigdy

nie przepływały żadne statki, tylko od czasu do czasu barki. To pewnie będzie ostatni raz, kiedy Sylvain Bobin postawi stopę w tym mieście. Może chce to uczcić? Koniec zobowiązań? Dlatego zmienił miejsce.

– Restauracja w Hotelu Podróżnika? No, no, twój ojciec się postawił! – zakpiła Joséphine.

*

Jest czternasta. Marie-Laure wchodzi do ogródka Pierre’a i Niny Beau.

Wszędzie sucho, kwiaty i warzywa umierają z pragnienia. A Pierre’a pochowano zaledwie wczoraj. Straszne, jak nietrwałe jest to, co człowiek po sobie zostawia.

Ilu miesięcy będą potrzebowały deszcze, żeby wypłukać żwir, pęknięcia w murze, żeby się powiększyć, chwasty, żeby zadusić wszystko inne, wilgoć, żeby zardzewiały zawiasy, wiatry, żeby zniszczyć dachówki?

Marie-Laure widzi zwiędłe krzaczki pomidorów na podpórkach. Normalnie wzięłaby się od razu do pracy, chwyciłaby za konewkę. Ale teraz dręczy ją co innego. Już kilka razy dzwoniła do Étienne’a, a on nie odpowiada. Wchodzi do domu, widzi opróżnione z mebli pokoje.

Któż mógł zrobić coś takiego?

Idzie do pokoju Niny, widzi śpiącego syna. Paola leżąca u stóp łóżka otwiera jedno oko i zaraz je zamyka.

Marie-Laure martwi się, widząc go tu samego. Dotyka jego nagiego ramienia. Przypomina sobie dzień jego narodzin; skóra wciąż jest taka sama, aksamitna, delikatna. Marie-Laure lubi wdychać jego zapach, tak jak wtedy, kiedy był dzieckiem. Teraz to prawie dorosły mężczyzna, matka już nie śmie zbliżyć nosa do jego szyi i wciągnąć głęboko powietrza. Zamiast tego zdarza jej się wdychać zapach jego T-shirtów wrzuconych do kosza na brudną bieliznę.

Étienne otwiera oczy, niezadowolony mruczy coś pod nosem.

– Clotilde zniknęła – mówi jego matka. – Jej rodzice bardzo się niepokoją, szukają jej… Powiedzieli mi, że wczorajszy wieczór spędziliście razem.

---

* Billy Ze Kick, *Mangez-moi*.

48

25 grudnia 2017

– Wesołych świąt, Simone!

– Wesołych świąt, malutka!

– Nikt nie nazwał mnie „malutką” od czasów dziadka!

Simone uśmiecha się i zrzędzi jednocześnie.

– Mówiłam ci, żebyś dziś nie przychodziła!

– Nie mogłam przecież zostawić cię samej z tym całym bałaganem!

– Spotkałam fajnego faceta – mówi Simone.

Nina jest zaskoczona. Wpatruje się w nią z niedowierzaniem, zdumiona, jakby Simone wyznała, że popełniła zbrodnię, i wskazała miejsce, gdzie ukryła ciało. Skromna, urocza, zawsze elegancka, jest wdową już od wielu lat, a od niedawna nosi żałobę po zmarłym synu. Otacza ją ołowiana zbroja… Nina prawie zapomniała, że przecież nie przestała być kobietą.

– Wczoraj zjedliśmy razem kolację wigilijną. To było bardzo miłe! Zaprosił mnie i… zostałam na noc! – oznajmia, uśmiechając się do Niny.

– Ależ, Simone, to genialnie!

– Tak, masz rację, genialnie… Nie myślałam, że coś takiego jeszcze mi się przydarzy.

Nina przygryza wargę, żeby się nie roześmiać.

– Jak go spotkałaś?

– Ach, w miejskim domu kultury, sąsiadka tam chodzi, organizują niedzielne potańcówki. To dla starych ludzi. Okropność. Ja wolę Matthieu Chedida, mówią na niego M, znasz go?

– Znam.

– No, a to był bal dla wdowców. Kolacja, dansing, światła jak w dyskotece. Na początku nie chciałam iść, trochę mnie tam zaciągnęła… Ale ostatecznie było fajnie. On ma na imię André. Od razu wpadłam mu w oko. A ty?

– Co ja?

– Spotkałaś kogoś?

Nina nie spodziewała się tego pytania, zwłaszcza od Simone. Człowiekowi się wydaje, że kogoś zna, a tymczasem… Właśnie myją boksy i polewają je wodą, chociaż jest co najmniej minus pięć stopni. Obok kręcą się trzy psy. Trzeba porządnie, do sucha, wycierać cement, inaczej woda zamarza na powierzchni, a to jest bardzo niedobre dla poduszeczek na łapach, no i powoduje reumatyzm. Mają tej pracy na kilka godzin, trzęsą się z zimna, opatulone w grube kurtki, w czapkach nasuniętych głęboko na czoła.

– Nie, nikogo nie spotkałam – odpowiada po chwili.

– Naprawdę? – dziwi się Simone. – Bo myślałam… Masz taką minę, jaką się ma po upojnej nocy.

Nina czerwieni się jak gimnazjalistka.

– Nie spotkałam nikogo, ale… powiedzmy, że spędziłam upojną Wigilię, masz rację.

– Byłam pewna! – cieszy się Simone. – Kto to jest?

– Ten pan, który zaadoptował Boba – przyznaje się Nina, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

– Ach, ten… Dobrze, bardzo dobrze. A jak się ma Bob?

– Dobrze, bardzo dobrze! – przekomarza się Nina.

– Jest szczęśliwy?

– Bardzo!

– A ja postanowiłam zaadoptować Piernika. Zabiorę go dziś do siebie.

Nina znów jest zdumiona.

– Myślałam, że już nie chcesz psa!

– Ja też tak myślałam. Wiesz, Nino, czasem myśli się, że nie, a potem okazuje się, że tak.

*

Louise wchodzi do pokoju Étienne’a i cicho zamyka za sobą drzwi. Po rozdaniu prezentów brat od razu poszedł się położyć, wymawiając się bólem głowy. Teraz śpi. Louise przysiada na łóżku i patrzy na niego. Delikatnie przykłada dwa palce do nadgarstka, mierzy puls.

Cała jest jeszcze przesiąknięta Adrienem. Nosi go jak płaszcz, który będzie zdejmowała przez wiele dni, żeby w końcu odwiesić go na wieszak w oczekiwaniu na następne spotkanie. Patrząc na śpiącego brata, wspomina Saint-Raphaël, tamte wakacje z ich trójką. Wtedy pierwszy raz patrzyła na śpiącego chłopca. Na Adriena. Wślizgnęła się do niego, jak teraz do pokoju brata. Nina i Étienne poszli nurkować z Marie-Laure i Markiem. Adrien wolał zostać. Ten jego paniczny strach przed wężami, jak ognia boi się zetknąć pod wodą z jakimś wężopodobnym potworem… Louise czekała przy nim długo, aż otworzył oczy. W mroku minęła dłuższa chwila, nim ją zobaczył, rozpoznał. Siedziała na bujanym fotelu dwa metry od niego. Uśmiechnął się i poprosił, żeby podeszła bliżej. Usiadła na brzegu łóżka.

– Wiesz, ja nie jestem takim chłopakiem jak inni… – powiedział.

– Dlatego cię kocham – odpowiedziała.

– Kochasz mnie?

– Tak, od kiedy byłam mała.

– Wciąż jesteś mała.

– Nie, mam trzynaście lat. Całowałeś się już z dziewczyną?

– W usta?

– Tak.

– Nie. Nigdy jeszcze nikogo nie całowałem.

– A kochałeś się już z kimś?

– No, nie, przecież nigdy nikogo nie całowałem.

– Chcesz, żebyśmy spróbowali? – spytała Louise.

– Kochać się?

– Nie, pocałować.

Adrien kiwnął głową. Louise wślizgnęła się pod prześcieradło obok niego i oparła głowę o jego ramię. Jej serce waliło jak oszalałe, ale tamtego ranka czuła się odważna. Mogłaby całe życie spędzić w tym pokoju z otwartym oknem i przysłoniętym żaluzjami, przez które wpadały smugi światła, przy wtórze cykad, które rozpoczynały muzykę o dziesiątej rano, jak tylko słońce musnęło czubki sosen; to był ich sygnał startowy. Louise usiadła i rozebrała się, to znaczy zdjęła bawełnianą żółtą sukienkę na ramiączkach, pod którą nie miała żadnej bielizny. Adrien został w bokserkach. Wziął do ręki tę sukienkę i wtulił w nią twarz, robiąc głęboki wdech.

– Ślicznie pachniesz.

Louise, naga, przytuliła się do niego. Odsunął się, żeby móc na nią spojrzeć. Oglądał każdy fragment jej ciała jak zafascynowany. Jakby

podziwiał obraz słynnego malarza.

– Jesteś piękna, Louise.

Potem czubkami palców zaczął jej delikatnie dotykać. Twarz, usta, kark, piersi, brzuch, uda, przesuwał opuszkami w górę i w dół. Tylko opuszkami. Louise jeszcze pamięta te dreszcze; dostała gęsiej skórki na całym ciele, na udach poczuła gorącą wilgoć. Jakby gwałtowna ochota, żeby zrobić siusiu, idąca z dołu podbrzusza. W końcu zamknęła oczy. „Często pieszczę się, myśląc o tobie, chcesz zobaczyć?”, spytała. Adrien odpowiedział: „Tak”.

Louise położyła się na brzuchu, odwróciła głowę w jego stronę, spojrzała mu w oczy i zaczęła się dotykać. Przysunął do siebie jej sukienkę, jakby chciał wdychać ją bez dotykania. Potem sam położył się na brzuchu i zaczął robić to samo. Doszli do orgazmu jednocześnie, trzymając się za ręce.

W pokoju panowała cisza, patrzyli sobie w oczy. Przysunęli się i pocałowali w usta. Potem zasnęli, przytuleni.

*

– Myślisz o nim – fuknął Étienne.

Louise podskoczyła.

– Nie, myślę o tobie. Musimy porozmawiać.

Étienne kładzie sobie poduszkę na piersi.

– Spadaj! Widzę po twoich oczach, że myślałaś o nim. Nigdy nie umiałaś kłamać.

– To prawda, w kłamaniu to ty jesteś ekspertem.

– Czego chcesz?

– Zabrać cię do szpitala.

Étienne odwraca się do niej plecami.

– Nie ma mowy.

– To śmieszne. Jeśli tobie na tym nie zależy, zrób to dla Valentina.

– Żeby patrzył, jak cierpię? Jak mnie kroją? Jak tracę włosy? Jak rzygam po chemii? Chcesz, żeby mój syn to widział?

– Przynajmniej zobaczy, że walczysz!

Do pokoju wchodzi Marie-Castille.

– Co wy wyrabiacie? Dlaczego się awanturujecie?

Louise uśmiecha się do niej.

– Nic, nic, chciałam go namówić, żeby poszedł ze mną odwiedzić starego przyjaciela.

– Co to za przyjaciel? – pyta Marie-Castille podejrzliwie.

– Dosyć tego gadania, nie pójdę, i już! – ucina Étienne. – Drogie panie, czy mogłybyście opuścić mój pokój? Chciałbym wstać, a jestem goły. Wiecie przecież, jaki jestem nieśmiały.

Louise wstaje przygnębiona. Próbuje uśmiechnąć się do Marie-Castille, ale nic z tego nie wychodzi. Przez chwilę patrzy na nią, chce jej powiedzieć prawdę, znaleźć w niej pomoc, której tak dramatycznie potrzebuje, by skłonić brata do leczenia. Étienne odgaduje to, jakby słyszał jej myśli, i krzyczy zimno: „Louise, nie!”. Jego siostra powstrzymuje chęć wycia z rozpaczy, połyka łzy i wychodzi z pokoju.

Słyszy, jak za drzwiami Marie-Castille i brat się kłócą. „Uspokój się, wszystko gra… Daj mi spokój… Kolega ze szkoły… Nie mam ochoty go widzieć. Louise się upiera… Męczycie mnie wszyscy, chcę zostać sam… proszę cię, jestem zmęczony”. „Coś przede mną ukrywasz, Étienne!” „Tak, kutasa… Nie lubię, jak się mnie ogląda nagiego… Nie płacz… Jest Boże Narodzenie… Spokoju, litości, spokoju, przecież są ferie… Odczepcie się wszyscy ode mnie!”

Valentin podchodzi do Louise, a ta jednym spojrzeniem daje mu do zrozumienia, że znów się nie udało.

*

Wracam do domu obładowana paczkami. Od kilku dni leżały w bagażniku, ale czekałam na Boże Narodzenie, żeby mu je dać. Okazuje się, że każdy może zgłupieć: oto robię prezenty swojemu kotu! Albo to przedwczesny uwiąd starczy.

Kładę nowe miękkie posłanie pod kaloryferem, drzewko dla kota stawiam obok kanapy, choć przecież za kilka miesięcy będzie miał do dyspozycji wszystkie okoliczne pola i lasy. Potrząsam kilkoma zabawkami z brzydkiego plastiku przed jego różowym noskiem. Kociak dotyka łapką małej kulki i popycha ją, kulka się toczy. Obserwując go, myślę, że nie chciałabym być jedynakiem. Może wezmę jeszcze jedno kocię? W podobnym wieku, żeby razem rosły i znalazły wspólny język. Nicola mniej się będzie nudził z kolegą na czterech łapkach niż ze mną, najbardziej ponurą i samotną istotą na ziemi. U mnie nawet rośliny popełniają samobójstwo – odmawiają odżywiania się, wypadają z okien, okaleczają się. Na szczęście lipa przed domem jest bardzo stara; miała czas urosnąć, sięgnąć nieba, zanim się tu pojawiłam.

W schronisku na pewno są dyżury. Nawet w Boże Narodzenie powinien tam ktoś być. Jeśli nie pojadę teraz, nie pojadę nigdy. Zacznę się zastanawiać, a Nicola będzie dorastał sam i skończy z depresją i nerwicą, tak jak ja.

Dziesięć minut po tym, jak przeszyła mnie ta myśl, ochota, napływ pesymizmu czy optymizmu, nie wiem, podjeżdżam przed bramę schroniska. Obok stoją dwa samochody, w tym citroën kombi Niny. Wchodzę do środka drugi raz w życiu. Kiedy Nina przyłapała mnie na

wkładaniu do skrzynki koperty z pieniędzmi i poczęstowała kawą, była noc, nic nie widziałam. Dziś rano widzę wszystko. Niespecjalnie to wygląda. Baraki sklecone z cementu i prefabrykatów. Po prawej duży czarny pies w typie gryfona szczeka bez przekonania, na lewo trzy osobne boksy, dwa puste, z napisem *Kwarantanna*, pies patrzy na mnie ze smutkiem, spuszczam wzrok zawstydzona, jakbym to ja go porzuciła. Pcham drugą furtkę i jestem w psiarni. Wszędzie napisy, żeby nie wkładać rąk między pręty klatek. Mojemu wejściu towarzyszy ogłuszający hałas, wszystkie psy zaczynają szczekać.

W końcu z któregoś pomieszczenia wychodzi jakaś drobna pani.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry… Jest Nina?

– Poszła wyprowadzić psa. W czym mogę pomóc?

– Zaadoptowałam kotka i… chciałabym wziąć drugiego, żeby miał kolegę.

Drobna pani uśmiecha się do mnie i prowadzi do części dla kotów. Czuć zapach gówna i detergentu.

– Jeszcze nie zmieniałyśmy żwirku w kuwetach – wyjaśnia.

Kilka kotów obserwuje mnie nieufnie. Inne zbliżają się, obwąchują. Jeden czy dwa mają odwagę się o mnie otrzeć.

– Nie ma adopcji w dzień Bożego Narodzenia – informuje mnie kobieta.

– Dlaczego?

– Biura są nieczynne.

– Ale Boże Narodzenie… To najlepszy czas na adopcję.

– Niegłupie – odpowiada kobieta. – Jak pani się nazywa?

– Virginie.

Kobieta przygląda mi się uważnie, jakby szukała jakiegoś znaku na mojej twarzy.

– Jak wygląda pani kotek?

– Jest bardzo mały. Czarny z różową kufą. Nie wiem, czy kot ma kufę…

– Pyszczek.

Do części dla kotów wchodzi Nina. Wygląda na kompletnie przemarzniętą. Chucha w wełniane rękawiczki.

– Co ty tu robisz? – pyta, jakby przestraszona.

– Wesołych świąt, Nina!

Odzywa się drobna pani:

– Pani przyszła, żeby adoptować kota. – Mówi łagodnie, jakby przepraszała, że mnie tu wpuściła.

– Zgubiłaś Nicolę?! – wykrzykuje Nina, w panice, prawie z pretensją.

– Skąd. Po prostu boję się, że sam będzie się nudził.

– Myślisz, że dasz sobie radę z dwoma kotami? Ty? Będziesz umiała się zorganizować?

Jest nieufna, agresywna. To taka jej osobista zemsta. Nie mogę mieć pretensji.

– Tak, tak, tak mi się wydaje.

– Chodź.

Idziemy korytarzem do pomieszczenia, w którym jest bardzo gorąco.

– To jest żłobek, izba chorych, gabinet weterynarza, zależy od dnia i od stanu porzuconego zwierzaka.

Trzy pręgowane kotki śpią przytulone do siebie.

– Mogę ci dać jednego z nich za dwa tygodnie. Na razie muszą dojść do siebie.

– Można je rozdzielić?

Nina patrzy na mnie pięknymi czarnymi oczami. Od razu przypomina mi się piosenka, którą śpiewała na uroczystości zakończenia gimnazjum.

Będziemy się codziennie spotykać, jak wrócimy
*A dokąd jedziecie, czarne oczy? Donikąd, donikąd…**

Étienne i Adrien przy instrumentach, Nina przed mikrofonem. Ostatnia klasa gimnazjum. We trójkę zorganizowali koncert w zadaszonej części podwórka Vieux-Colombier. Jeszcze dziś mam przed oczami transparent, słowo TRÓJKA ładnie namalowane przez Ninę na białym materiale. TRÓJKA to była nazwa grupy, którą założyli. Na cześć albumu *3* zespołu Indochine. Nina zaśpiewała wówczas cztery ich utwory: *Tes yeux noirs*, *Canary Bay*, *Troisième sexe*, *Trois nuits par semaine*. Potem śpiewała oryginalne piosenki napisane przez nią i Adriena z muzyką Étienne'a. Słowa były trochę dziwne. Melodie trochę staromodne. Ale Nina miała piękny głos. Uwielbiałam jej słuchać.

– Życie polega na rozdzielaniu. Muszą dorosnąć. Nie mogą być cały czas do siebie przyklejone – mówi teraz do mnie bez mrugnięcia okiem.

Zapada długie milczenie. Jak po wyliczance do zabawy w ciszę: „Cisza na morzu, wicher dmie… kto pierwszy odezwie się?". Przyglądam się śpiącym kociętom. Puste klatki, torebki z jedzeniem, apteczka, lekarstwa zamknięte na klucz, stary plakat, na którym widać psa za kratami i napis: *Czym zawinił?*

W końcu Nina się odzywa:

– Są dwa koty i jedna kotka. Którego chcesz?

– Kotkę – odpowiadam.

* Indochine, *Tes yeux noirs*.

49

Styczeń 1995

Mija pięć miesięcy, odkąd Pierre Beau spoczął na cmentarzu.

Nina jest sekretarką dyrektora finansowo-administracyjnego, Yves’a-Marie Le Camusa, uroczego człowieka. Zajmuje się korespondencją, telefonami, wysyłką i przyjmowaniem faksów, wyszukiwaniem w Minitelu informacji o sytuacji finansowej potencjalnych klientów, pisaniem sprawozdań z zebrań. Zarabia dziewięć tysięcy franków miesięcznie plus trzynastka. Nie robi błędów ortograficznych, nie rysuje, nie pisze piosenek.

U Damamme’ów wszyscy ją cenią, uwodzi ich młodość dziewczyny, jej osiemnaście wiosen wzbudza życzliwość. Jest ładna i doskonale odgrywa rolę idealnej pracownicy.

W dni powszednie wraca do domu, mieszka z Paolą i kotami. Jeden z ogrodników Damamme’ów zajmuje się jej ogródkiem. Weekendy, od piątkowego wieczoru do poniedziałkowego poranka, spędza w Zamku.

W ciągu tych pięciu miesięcy Emmanuel doskonale naoliwił tryby jej nowego życia. Za parę groszy wykupił od miasta dom dziadka, umeblował go według gustu Niny, znalazł jej stanowisko w firmie, przedstawił rodzicom, którzy traktują ją jak synową. W każdą niedzielę w południe jedzą razem lunch.

Emmanuel obsypuje ją kwiatami i prezentami, okazuje szczególne względy, nadskakuje, pisze liściki miłosne.

Każdy jej dzień jest niezwykle miły, tak miły, że czasem z wrażenia aż robi jej się gorąco. Na tym chyba polega szczęście. Życie bez strachu, bez zmartwień. Ładny dywan, wielka wanna, wszystko, na co tylko zwróci uwagę na wystawach, zaraz ląduje w jej domu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kumple z liceum są w Dijon, Autun czy w Lyonie, żywią się konserwami, zakuwają z nosami w podręcznikach, gnieżdżą się w dziuplach po piętnaście metrów kwadratowych, a ona, ona czuje się wolna. Jakby wyprzedzała ich o dziesięć lat.

Raz w tygodniu idzie na cmentarz i rozmawia z dziadkiem. Zdaje mu sprawozdanie.

– Wszystko dobrze, nie martw się. Emmanuel jest dla mnie bardzo dobry. Jesteśmy tacy zakochani! Lubię swoją pracę, dni mijają szybko. Twój ogród jest piękny. Zwierzęta czują się dobrze. W weekendy nocuje u nas Joséphine. Lubi zajmować się domem, to co innego niż jej mieszkanie. Mówi, że jedzie do domu na wsi. Adrien i Étienne często dzwonią. Czekają na mnie w Paryżu.

Obecne życie Niny przypomina sklep, w który się bawiła, gdy była mała. Rozkładała w ogrodzie owoce i warzywa, sprzedawała je wymyślonym klientom i rejestrowała transakcje na plastikowej kasie.

*

Vincennes, szybka kolejka linii A, stacja Auber, przesiadka na metro linii 7, stacja Poissonnière. Liceum Lamartine’a, które prowadzi kursy przygotowawcze na studia, rue du Faubourg-Poissonnière 121, dziewiąta dzielnica. Tę trasę Adrien pokonuje od poniedziałku do piątku. Plecak, kanapka, makaron lub sałatka w plastikowym pojemniku. Blade światło,

długie korytarze, stłoczeni ludzie, stuk automatycznych drzwi, komunikaty z głośników: „Uwaga, uwaga! Ruch wstrzymany na trasie linii A, podejrzana paczka… wypadek… strajk…” i tak dalej. Kloszardzi, którzy żebrzą, śpią na ziemi, na ławkach, przykryci starymi gazetami, grajkowie, uliczni sprzedawcy, plastikowe wieże Eiffla, owoce, papierosy, kwiaty, smród moczu, taniego wina, wrogie spojrzenia, punki z psami, faceci w garniturach i krawatach jadący na La Défense, cały ten ruchliwy tłum; ludzie biegną, popychają się, są razem, ale oddzielnie, jadą w tym samym kierunku, lecz na siebie nie patrzą. Masa ludzka. Odkąd Adrien mieszka w Paryżu, ma nieodpartą ochotę nie zrywać się rano, tylko zostać w swoim pokoju w Vincennes, w mieszkaniu, które pachnie perfumowaną świeczką.

Wyjście z domu na zajęcia dużo go kosztuje. Wolałby przespać cały dzień. Zamknąć okna. Zatonąć w ciszy. Wychodzi jednak godzinę wcześniej, a kiedy dociera na stację Auber, siada w kącie, z dala od zgiełku przesiadających się pasażerów, żeby czytać, zapomnieć o podziemnym świecie, wskoczyć w morze słów, tak jak dawniej wskakiwał z Niną do basenu w La Comelle. Odkąd mieszka w Paryżu, ma wrażenie, że już nie widzi nieba, tylko beton. Przedtem otaczała go zieleń, teraz szarość. Nikt go nie uprzedził o tego typu agresji psychicznej. Tyle się gada o konfliktach światowych, o więzieniach, o romansach, zbrodniach, kradzieżach, o nawiedzonych, o starych, o prostytucji, bezrobociu, produkcji samochodów, ale nigdy nie słyszy się opowieści o tym, co czuje człowiek z prowincji, gdy nagle znajdzie się w Paryżu. Wszystko wydaje się za wielkie, człowiek się gubi i czuje się zgubiony, nawet jeśli wie, gdzie się znajduje. Ludzie nie rozmawiają ze sobą, nie zauważają się, nie witają. Spojrzenia mają zwrócone ku ogromnemu wnętrzu, ku labiryntowi samotności. Smutek przylgnął im do podeszew butów.

Paradoksalnie, mimo tego ciśnienia, mimo tłumu, Adrien czuje się bardziej wolny. Zatopiony w masie. Anonimowość go uspokaja. Tu nie ma plotek, obgadywania, spekulacji. Ludzie mają innych w nosie. Jeśli ktoś w Paryżu umrze, nikogo to nie obchodzi. Gdy ktoś umrze w La Comelle, piszą o tym w gazecie.

Odczuł wielką ulgę, że nie musiał zamieszkać w akademiku. Przerażała go myśl, że znalazłby się w tłumie innych studentów bez Niny. Mieszka u Thérèse Lepic, nauczycielki gry na fortepianie, przyjaciółki ojca. Niesłychane, że jego stary – ponury, zimny, nieciekawy gość – może się przyjaźnić z tą fajną, wesołą, delikatną kobietą, stuprocentową artystką. W domu jest dużo świec, koronek, mnóstwo obrazów, portrety muz i rysunek Salvadora Dalego, podarowany osobiście przez mistrza. Siedemdziesięciopięcioletnia kobieta sprawia wrażenie dużo młodszej od Adriena, ma lekki, żwawy krok, entuzjastyczne nastawienie, wciąż się śmieje. Pali jak smok, ale tylko w salonie, w którym przyjmuje gości i zostawia dzień i noc uchylone okno. Nawet w zimie. Czasem jest tam tak lodowato, że jej uczniowie siadają do fortepianu w płaszczach.

Adrien nie śmie zapytać, w jaki sposób poznała ojca. Sądzi, że była jego kochanką. Zdjęcia w sepii stojące w ramkach w jej pokoju świadczą o tym, jaka była piękna.

Thérèse jest drobna, je jak wróbelek, tylko owoce i migdały. Nie tyle je, ile przegryza. Kupuje Adrienowi gotowe dania w garmażerii na dole.

Za jego mieszkanie i wyżywienie płaci Sylvain Bobin. Adrien nie wie i nie chce wiedzieć, ile to wynosi. Brzydzi go trochę myśl, że Thérèse zarabia na nim, bo ojciec go kocha. A gdyby ojciec przestał płacić? Czy nadal pozwoliłaby mu tu mieszkać?

Jaką wartość rynkową ma syn, który spadł z nieba, wyłonił się z jakiejś wiochy, nosi nazwisko Bobin, ale Thérèse nigdy o nim nie słyszała?

Jeśli Adrien zmusza się, by wstać każdego ranka i stawić czoło komunikacji publicznej z jej wszystkimi odcieniami samotności, żeby dotrzeć do Lamartine, robi to tylko dlatego, że ojciec go uprzedził: „Płacę, dopóki masz dobre wyniki w szkole. Jeśli nawalisz, idziesz do akademika”.

Adrien ma do dyspozycji pokój o powierzchni około siedemnastu metrów kwadratowych, z łazienką na wyłączność. Wszystko jest czyste, ściany białe, wygodne łóżko. Raz na tydzień dostaje świeżo upraną i uprasowaną zmianę pościeli i ręczników. Nie musi jak inni przesiadywać godzinami w pobliskiej pralni automatycznej. Ma duże biurko do pracy, okno wychodzące na ulicę; to trzecie piętro bez windy. Thérèse biega po schodach kilka razy dziennie bez żadnego problemu. Mieszka tu od trzydziestu pięciu lat, osiemdziesiąt metrów kwadratowych za śmiesznie niski czynsz. „Tym lepiej – mówi. – Nie mam żadnych oszczędności, wszystko wydałam”. Utrzymuje się z prywatnych lekcji. Thérèse młodo wyszła za mąż za zawodowego oficera. W wieku dwudziestu pięciu lat została wdową; ma córkę, z którą nie rozmawia, mieszka sama od lat. Miała kilku kochanków i lubi powtarzać, że to oni ją zrujnowali. Z Adrienem od razu się dogadała. Wczesna kolacja w kuchni, potem, około wpół do ósmej, Adrien wraca do swojego pokoju, żeby się uczyć, a Thérèse słucha radia albo ogląda w telewizji nowy program Bernarda Rappa *Wiek pisarzy*. Jest zapisana do biblioteki miejskiej w Vincennes, chodzi tam co drugi dzień, oddaje przeczytane książki i bierze nowe. Bardzo dużo czyta. Ten klasztorny tryb życia, który wywołałby wstręt u każdego innego studenta, odpowiada Adrienowi.

Dwa razy w tygodniu telefonuje do Niny. Zamyka oczy i słucha jej głosu. Rozmawiają o tym, jak mu się żyje w wielkim mieście, jakie ma zajęcia, wykłady, towarzystwo. Powtarza, że za nią tęskni. „Bez ciebie jest strasznie. Do czegokolwiek się zabieram, zaraz o tobie myślę”.

Adrien jest mało towarzyski, nie ma w Paryżu zbyt wielu przyjaciół, tylko dzień dobry, do widzenia.

Nina opowiada mu o swojej pracy, o Emmanuelu, o kolegach. Niedługo go odwiedzi. Na wiosnę, kiedy dostanie urlop i będzie już ładna pogoda, a on pokaże jej wieżę Eiffla i Champs-Élysées.

– Tak czy inaczej, we wrześniu do mnie dojeżdżasz – odpowiada Adrien. – Jakoś ułożymy się z Thérèse. Zamieszkasz ze mną, a do ciebie przeniesie się moja mama i będzie ci trochę płacić za wynajem.

– Ach, wspaniale, nie mogę się doczekać!

W sobotę wieczorem Étienne nalega, żeby poszli razem do Bus Palladium. Adrien zastanawia się, dlaczego tak bardzo mu na tym zależy. Étienne nie rozłącza się, dopóki go nie przekona.

– Jesteśmy umówieni? Poczekać na ciebie przed wejściem?

– Dobra.

Może obiecał coś Ninie albo siostrze? Coś w stylu: „Przysięgnij, że w Paryżu nie zostawisz Adriena samego… Tobie jest łatwo, jemu trudno, wiesz, jaki jest nieśmiały!”.

Każdej soboty Étienne przyprowadza inną dziewczynę. Nigdy nie przychodzi sam, ale też rzadko wychodzi z tą, z którą przyszedł. Étienne ma współlokatora, Arthura, który uczy się na tej samej uczelni i też przygotowuje się do egzaminu wstępnego do Państwowej Wyższej Szkoły Policyjnej. „Dzięki temu razem się uczymy, przerabiamy ten sam program. To upraszcza życie”. Akurat, myśli Adrien. Po prostu masz od kogo ściągać. Adrien podziwia go pod każdym względem, ale nie da się nabrać na to, że Étienne komuś pomoże; on tylko wyciąga z każdego to, co mu jest potrzebne.

W Bus Palladium cały czas kręcą się koło niego ładne dziewczyny. Zdarza się, że znika z którąś w toalecie albo wychodzi na ulicę. Potem jak

za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawia się na parkiecie, pewny siebie, uśmiechnięty jak król. Adrien lubi obserwować całą tę karuzelę uwodzenia, przyciąganie ciał, podrywanie. Sam trzyma się z daleka, obserwuje ludzi, jak się ruszają, jak są ubrani, co robią z rękami, papierosy między palcami, jak wciągają i wypuszczają dym, głębokie dekolty, spojrzenia, które się spotykają, wzajemnie wchłaniają.

Adrien pisze nawet wtedy, kiedy nie pisze.

Zaczął pracować nad powieścią, w przerwach między zajęciami, zaczernił już całe strony w zeszycie.

Tańczy rzadko, ale uwielbia muzykę elektroniczną. Działa na jego wyobraźnię. Uczucia, jakich doznaje przy tych dźwiękach, są pozytywne, kolorowe, radosne. To samo czuje, słuchając muzyki klasycznej, zwłaszcza Bacha. Elektro wprowadza go w stan oszołomienia, będący ulgą od jego zwykłej gonitwy myśli. Ta muzyka uwalnia szalonego ptaka, który szamocze się w klatce jego ciała.

Czasem podpite dziewczyny siadają blisko i przytulają się do niego, a on wdycha ich zapach, upaja się wonią ich ciał, ale nigdy ich nie dotyka. Zafascynowała go powieść Süskinda *Pachnidło*, mrożąca krew w żyłach postać bohatera, Grenouille’a.

Étienne myśli, że Adrien nie odważa się w jego obecności podrywać dziewcząt z powodu Louise.

W Boże Narodzenie Étienne ich nakrył; widział, jak razem wychodzili z hotelu w La Comelle. Wracał wtedy z Club 4, była szósta rano. Nina i Damamme podrzucili go do centrum; chcieli odwieźć go pod dom, ale odmówił, bo wolał się przespacerować, by wytrzeźwieć. Żeby rodzice nie widzieli go w takim stanie.

Étienne pomyślał, że ma halucynacje, gdy zobaczył ich tam razem. Kilka godzin wcześniej obchodzili w domu rodzinną Wigilię. O północy

Nina i ten jej adorator przyjechali po niego, żeby razem pojechać do Club 4. Adrien, gdy do niego zadzwonili, powiedział, że woli zostać z matką.

Ładna mi matka, akurat! Po kryjomu podrywa moją siostrę, pomyślał Étienne.

Jego niepełnoletnia siostra i Adrien, trzymając się za ręce, wymykali się z Hotelu Podróżnika jak dwoje złodziei. Z hotelu! Nie ma wątpliwości, na pewno ze sobą spali.

Étienne mógł ich skompromitować, przyłożyć Adrienowi i dać w twarz siostrze. Nie zrobił niczego takiego. Poszedł inną ulicą, by na nich nie wpaść, żeby go nie zauważyli. Tyle dobrego, że Louise nie puszczała się z idiotami. Poza tym wcale go nie dziwiło, że tych dwoje się zeszło – oboje dziwni, milczący, mówią po cichu, czytają, nawet kiedy nikt ich do tego nie zmusza, nigdy się nie złoszczą, wciąż ach, och, jaki piękny jest świat, co za piękny kwiat, ach, jaki wspaniały motyl, a ten obraz w muzeum zachwycający! Tacy grzeczni. Spokojni jak tafla jeziora. Monotonia, nuda. On, Étienne, woli fale, burze, wichury, śnieżną zawieruchę.

Po zaginięciu Clotilde, tuż przed przeprowadzką do Paryża, poszedł na posterunek żandarmerii. Rodzice dziewczyny szukali jej; nie rozumieli, dlaczego zniknęła, dlaczego nikogo nie uprzedziła, że wyjeżdża. Jakaś kobieta widziała ją na dworcu w La Comelle tego wieczoru, kiedy umówili się z Étienne’em nad jeziorem. Ta kobieta, świadek, czekała na ostatni pociąg, ten o 22.17 do Mâcon. Clotilde też czekała na ten pociąg.

Étienne, na prośbę rodziców Clotilde, bez oporu zgodził się na przesłuchanie. Przy okazji wypytał żandarmów, którzy spisywali jego zeznania, o ich karierę zawodową. Wyjaśnił, że wieczorem siedemnastego sierpnia 1994 roku mieli się spotkać z Clotilde o dwudziestej pierwszej nad Leśnym Stawem. Przyznał, że czekając na nią, trochę się upił; był zestresowany, bo miał jej oznajmić, że się rozstają.

– Dlaczego to rozstanie?

– Bo już jej nie kochałem.

– Pokłóciliście się?

– Nie. Nie widziałem jej od piętnastego lipca, kiedy wyjechałem na wakacje.

Już od pięciu miesięcy Clotilde nie daje znaku życia. Nie zostawiła listu, nigdy do nikogo nie zadzwoniła. W chwili, gdy zaginęła, miała osiemnaście lat. Każdy pełnoletni człowiek ma prawo zniknąć i teoretycznie nikogo nie powinno to obchodzić. Clotilde wyparowała, zabierając ze sobą tylko torebkę z dowodem osobistym i pieniędzmi. Podczas wakacji pracowała jako kelnerka i zarobiła około piętnastu tysięcy franków, a dwa tygodnie wcześniej wyjęła pieniądze z książeczki oszczędnościowej, na której było trzydzieści tysięcy franków. Wszystko wskazywało na to, że zaplanowała tę ucieczkę.

Jej matka dzwoniła kilka razy do Étienne’a i błagała, żeby ją zawiadomił, gdyby Clotilde się z nim skontaktowała. Obiecał, że to zrobi.

To zniknięcie wywróciło mu życie do góry nogami, zmieniło go radykalnie. Przede wszystkim czuje się winny. To duże obciążenie. By odkupić tę winę, wziął się naprawdę do pracy, zaczął się uczyć.

Bardzo pomaga mu mieszkanie z Arthurem, pilnym studentem. Étienne po raz pierwszy chce wszystko zrozumieć, stopień po stopniu pokonać wszystkie przeszkody i samodzielnie dostać się na szczyt.

Pozwala sobie na jedno wyjście w tygodniu, a w niedzielę trochę czasu poświęca na muzykę. Poza tym cały czas haruje. Chce zostać policjantem. I to nie krawężnikiem, ale oficerem. Najpierw zrobi dyplom z prawa. Potem zda egzamin konkursowy, żeby dostać przydział do komisariatu.

*

Od września Étienne i jego współlokator wynajmują dwa pokoje na Nation. Nation od Vincennes dzieli jedna stacja szybkiej kolejki. Czasem w niedzielę wpada do nich Adrien.

Étienne przywiózł ze sobą oba syntezatory, swój i Adriena. Ustawił je w salonie. Grają na nich, ale bez zbytniego przekonania. Często robią przerwy, gadają, piją piwo, oglądają telewizję. Próbują melodie, które Étienne skomponował przed Paryżem. Dodają rytm, drugi instrument, zmieniają tempo. Ale bez głosu Niny jest to beznadziejnie smutne. Jej nieobecność ma niedobry posmak wieczności. Nina wciąż jeszcze jest, ale jej nie ma. Jakby umarła. Muzykowanie bez jej głosu nie ma sensu; ich kompozycjom czegoś brakuje, są kulawe. Już nie komponują, nie mają czasu.

Adrien wciąż czeka na przyjazd Niny. Étienne stracił nadzieję. Ale nie mówi tego przyjacielowi.

Podczas świątecznego wieczoru w Club 4 widział doskonale, że Damamme nie odstępuje Niny na krok. Nawet kiedy szła do toalety, podążał za nią jak posłuszny piesek i czekał przed drzwiami.

Damamme nie pozwoli jej odjechać. Albo przyjedzie z nią. Albo Nina po prostu ucieknie, i już.

Już nigdy nie będą tamtą trójką. Ale wspólne granie to skarb, który muszą chronić, żeby utrzymać więź. Trzeba za wszelką cenę działać tak, jakby się wciąż w to wierzyło.

Étienne, nic nikomu nie mówiąc, zaczął się uczyć grać na gitarze basowej. Podłączył ją do wzmacniacza w swoim pokoju, żeby Adrien się nie zorientował. Jak dziecko, które zaniedbuje przyjaciela, bo zainteresowało się kimś innym, ale nie chce się do tego przyznać. Syntezator go znudził. Adrien słucha muzyki francuskiej, „piosenek z tekstem”, jak mówi, a on woli alternatywny rock.

Wydaje mu się, że jest zdrajcą.

Dzwoni telefon. Adrien i Étienne przygotowują sobie makaron w kuchni. Odbiera Arthur.

– Cześć, tu Nina. Jest Étienne?

– Tak, już ci go daję – odpowiada Arthur. – Adrien też tu jest.

– Ach, świetnie! Dzwoniłam do niego do pani Lepic, ale nikogo nie było. No jak tam, chłopaki?

– Jakoś – odpowiada Étienne.

– Możesz włączyć głośnik, żeby Adrien też mnie słyszał? – prosi Nina.

– Taaa…

Étienne wciska guzik mikrofonu. Głos Niny wypełnia niewielkie pomieszczenie. Dziwny głos, jakby po alkoholu. Wydaje się podekscytowana, oddycha głośno.

– Co robicie?

– Gotujemy makaron.

– Wszystko dobrze?

– Tak, dobrze.

– Słyszycie mnie?

– Słyszymy – odpowiadają chórem Étienne i Adrien.

No, wreszcie przyjedzie, myślą. Wyjedzie z La Comelle! A może nawet dzwoni już z budki na Dworcu Lyońskim.

Patrzą na siebie, w oczach płonie im nadzieja. Wstrzymują oddech. Cała Nina, prosto z mostu.

– Siedzicie?

– Tak…?

– Wychodzę za mąż!

50

25 grudnia 2017

Valentin męczy go już od pół godziny:

– Chodź ze mną, tato! Zanim wyjedziesz jutro do Lyonu.

Étienne w końcu słyszy samego siebie, odpowiadającego synowi:

– Dobra, zgoda!

– Ale nie mów mamie, bo będzie chciała iść z nami.

– No to co?

– No, nie chcę, żeby szła, ona nie lubi zwierząt.

– Ja też nie lubię zwierząt.

– Ty, tato, udajesz!

– Udaję? – Étienne znieruchomiał.

– Udajesz, że nie lubisz zwierząt.

Étienne patrzy na syna. Ten zawsze go zaskakuje. Stara się wyobrazić sobie, jak Valentin będzie wyglądał za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat. Ach, nie! Nie mogę. Nie mam już siły zadawać sobie bólu, myśli.

Najpierw prysznic. Étienne zatraca się w cieple wody. To miłe uczucie, już dawno go nie doświadczył. Po kłótni z żoną poszedł na całego z lekarstwami, które przepisała mu siostra. Tabletki przeciwbólowe

przynoszą ulgę, nie pozwalają myśleć. Zamyka oczy, tonie w pięknych wspomnieniach, widzi siebie na deskorolce, jak ślizga się po asfalcie, widzi basen, błękitny chłód wody w letnie dni, frytki, łzy, które podchodzą mu do oczu, bo zużył na hot doga cały słoik musztardy, ich trójka razem, wybuchy śmiechu, kanapki z masłem posypane kakaowym proszkiem, filmy grozy, dłoń Niny w jego dłoni, Nina ze strachu wbijająca mu paznokcie w skórę, imprezy, muzykowanie z Adrienem, piwnica, syntezator, woń zepsutych owoców w ogrodzie u Niny, papierosy, alkohol, jezioro, Clotilde… Otwiera oczy. Zakręca wodę. Wychodzi spod prysznica. Patrzy w lustro, nic nie widzi z powodu pary. Tym lepiej, myśli.

Na schodach wpada na ojca, ledwo na siebie patrzą.

– Mama i Marie-Castille poszły do piekarni po ciasto – mamrocze ojciec pod nosem.

Uf! – myśli Étienne.

Byłoby straszne mieć jeszcze teraz żonę na karku.

Widzi w ogrodzie brata i bratową; bawią się z dziećmi, Louisem i Lolą. Paul-Émile jest mi kompletnie obcy, myśli Étienne. Brat jest o całe życie starszy, to różnica nie do nadrobienia. Prawie dziesięć lat. Właściwie nie mają wspólnych wspomnień. Kiedy Paul-Émile opuścił dom, Étienne miał osiem lat. Brat wracał na wakacje, ale nie siedział w domu, szwendał się z kolegami. Bardzo wcześnie spotkał przyszłą żonę.

Jest tylko kilka zdjęć, które świadczą o ich braterskiej zażyłości, kiedy byli dziećmi. Étienne na kolanach starszego brata. Musi mieć jakieś trzy lata, Paul-Émile kilkanaście. Każde wakacje spędzał z nimi w Saint-Raphaël, ale zawsze miał swoje starsze towarzystwo. W gruncie rzeczy dla Étienne’a brat jest po prostu znajomym z wakacji. Facetem, z którym grał w siatkę na plaży. Model, wzór, ikona doskonałości. Zawsze najlepszy.

Duma ojca. A jednak oglądali te same czasopisma porno, schowane w pokoju Paula-Émile’a.

Étienne uświadamia sobie, że nigdy nie rozmawiał dłużej z bratową, Pauline. „Dzień dobry, jak tam? A dzieci? Praca?” Zawsze odpowiadała, że wszystko dobrze. Tak, tak. Tak. Zakreślała poprawne odpowiedzi, te, które nie wymagają rozwinięcia. Pauline jest piękna, cicha, inteligentna. Kochająca żona. Pewnie szkoda, że przechodziłem obok niej obojętnie.

Obok ilu osób przechodzimy w życiu obojętnie?

Étienne odsuwa od siebie te czarne myśli, wkłada kurtkę.

Valentin czeka na niego w samochodzie, na uszach ma słuchawki. Kiedy widzi, że nadchodzi ojciec, zdejmuje je. Étienne rusza, na tylne siedzenie w ostatniej chwili wślizguje się Louise. Étienne rzuca jej surowe spojrzenie w lusterku wstecznym.

– Czego chcesz?

– Jadę z wami.

– Co to, jakaś pułapka?

– Wiesz gdzie to jest, tato? – pyta Valentin.

– Tak, synku, wiem.

Z radia dowiadują się, że w internecie już trwa sprzedaż nietrafionych bożonarodzeniowych prezentów. Niezadowoleni nie tracą czasu.

Jak co roku Étienne się tym nie zajmował, o podarunki zadbała Marie-Castille. Rêve d’Ossian dla Louise, perfumy, które siostra uwielbia, a których on nie cierpi. Ten zapach przypomina mu kościół w La Comelle, w którym Nina zapalała świeczki. Dron i głośniki bezprzewodowe dla Valentina. A dla niego weekend w Wenecji dla dwóch osób, wszystko w wersji all inclusive, nawet miłość, jeśli wierzyć reklamie i sercom narysowanym na pudełku.

Niesamowita Marie-Castille, weekend dla dwóch osób! Étienne wyobraża sobie, co by się działo, gdyby pojechał bez niej. „Jadę z inną. Cześć, miłego weekendu, do poniedziałku!”

Ależ jestem okrutny! – myśli. Nawet w wyobrażeniach.

– O czym myślisz, tato?

– O niczym specjalnym, kochanie.

Étienne obserwuje Louise w lusterku wstecznym. Ma chęć jej dopiec. Jak w dzieciństwie, kiedy ją zaczepiał. To silniejsze od niego. Takie coś między bratem i siostrą. A poza tym to będzie zemsta za to, że wdarła się dziś rano do jego pokoju. To przez nią Marie-Castille dostała szału.

– Jak ci minęła noc? – pyta siostrę złośliwie.

Louise robi się czerwona.

– Późno wróciłaś, słyszałem. Gdzie byłaś?

Wie, że była z Adrienem. Louise nie odpowiada. Odwraca się, patrzy na puste chodniki. Zmienia temat.

– Valentin, jesteś pewien, że Nina będzie w schronisku?

– Tak, już tam jest. Wysłałem jej esemesa. Byłeś tam kiedyś, tato?

– Jak byliśmy mali, Nina znalazła bezdomnego psa i zaprowadziliśmy go tam z Adrienem.

– Kto to jest Adrien?

Serce Louise przestaje bić.

Étienne mówi drwiącym głosem:

– Louise, powiedz Valentinowi, kto to jest Adrien.

– Jesteś beznadziejny! – prycha Louise.

– Kto to? – nie ustępuje Valentin.

– Kolega z dawnych lat – odpowiada Étienne. – I bardzo bliski przyjaciel cioci.

– Cham z ciebie! – rzuca Louise.

– Ciociu, dlaczego tata tak powiedział?

– Kiedyś ci wyjaśnię.

– Dlaczego nie masz męża? Jesteś taka śliczna!

– Dziękuję, kochanie.

Louise prawie płacze. Marzeniem jej życia był ślub z Adrienem. Ale zawsze odmawiała.

Przejeżdżają obok ich starego gimnazjum. Étienne gwałtownie hamuje.

– Cholera! Zburzyli Vieux-Colombier! – wykrzykuje.

Przez chwilę brat i siostra wspominają w myślach ciężkie tornistry ciągnące do tyłu, z szelkami wpijającymi się w ramiona.

Louise patrzy na ogołocony plac. Zupełnie jak moje życie uczuciowe, myśli. Pustynia zalana azbestem. Niezdolna, by dać życie choćby chwastom. Dobrze chociaż, że ja je ratuję ludziom. W gruncie rzeczy jestem aniołem stróżem dla innych. Ale nie dla brata. Co się ze mną stanie, gdy go zabraknie? Ukradkiem wyciera łzy. Étienne obserwuje ją w lusterku. Jak zwykle słyszy jej myśli. Wzrok mu mętnieje, Louise to widzi. Rozpacz. Odpuścił. Koniec. Pozwoli się nieść falom. Błękitne oczy brata, takie same jak jej, mówią, że już odszedł. Nic ani nikt go nie zatrzyma.

Étienne rusza, włącza kierunkowskaz i skręca za czerwoną strzałką namalowaną na chwiejącej się tablicy: *Schronisko*.

Parkuje kilka metrów od wejścia. Od razu widzi samochód Niny i dwa inne auta, z których jedno się cofa, żeby wyjechać. Étienne nie zwraca uwagi na kierowcę.

Pierwszy raz był tutaj, gdy miał trzynaście czy czternaście lat. Był w wieku swojego syna. Nina znalazła wtedy małego spaniela bretońskiego, bez obroży, wygłodzonego. Całe popołudnie chodzili od domu do domu jak przedstawiciele handlowi.

– Czy to może państwa pies?

– Nie.

O dziewiątej wieczorem Pierre Beau, wściekły ze strachu, porządnie ich zbeształ. Kiedy zobaczył wnuczkę z psem, od razu zawołał:

– Nie ma mowy! Mamy już Paolę i cztery koty! To nie jest arka Noego! Natychmiast zabieraj tego kundla do schroniska!

– Ale, dziadku, o tej porze jest nieczynne!

– Nic mnie to nie obchodzi!

Nina spojrzała na przyjaciół pięknymi smutnymi oczami.

– Nie mogę go tam oddać!

Étienne wziął psa na ręce i zabrał do domu. Jego również przywitały krzyki rodziców.

– Co to jest?!

– Pies. Znaleźliśmy go na ulicy. Jutro zaprowadzę go do schroniska.

– A do jutra co?

Rodzice powiedzieli, że ma go z powrotem wyrzucić na ulicę. Zwierzę samo znajdzie drogę.

– Akurat, to nie jest film rysunkowy!

Do akcji dołączyła Louise. Dwoje dzieci przeciwko dwojgu dorosłym to niewystarczająca siła – wygrali bitwę, przegrali wojnę. Zrobili posłanie z kołdry znalezionej w piwnicy, nakarmili psa. Louise spała obok niego na kanapie. Następnego ranka obsrał cały salon. Marie-Laure o mało nie dostała apopleksji. Ojciec, czerwony ze złości, wrzeszczał:

– Zawsze mówiłem, że jesteś niepoważny!

– Co się tak denerwujesz, to tylko gówno! – odpowiedział Étienne.

Uwielbiał drażnić ojca przy matce, bo wiedział, że ta zawsze stanie po jego stronie.

Tamtego dnia Adrien przyszedł po niego o dziewiątej rano; poszli do schroniska pieszo, piesek biegł za nimi wesoło. Przyjęła ich jakaś nieprzyjemna kobieta, wzięła szczeniaka na ręce, mamrocząc coś pod nosem, i znikła, zatrzaskując furtkę. Te błagające spojrzenia psa! Zdrajcy! Étienne’owi i Adrienowi chciało się płakać, ale wstydzili się siebie nawzajem.

Przez całą drogę powrotną milczeli, potem każdy popłakał się u siebie w domu, kiedy nikt nie widział.

Louise długo prosiła rodziców, żeby pozwolili zabrać spaniela ze schroniska. Nie ustąpili. Étienne po cichu dzwonił dwa razy, żeby dowiedzieć się, czy ktoś przyszedł po psa. Za każdym razem osoba, która odbierała, rzucała słuchawką.

Jak to się stało, że znalazł się tu tego ranka? Dlaczego odpowiedział „tak” na prośbę syna?

Z dwóch powodów. Żeby zrobić przyjemność Valentinowi i uściskać Ninę przed wyjazdem. Ostatni raz.

51

Sobota, 1 lipca 1995

Merostwo powoli pustoszeje. Większość uczestników uroczystości to rodzina Damamme’ów i ich najbliżsi. Ze strony Niny są tu tylko rodzina Beaulieu oraz Adrien i Joséphine. Ale dla niej to najważniejsi goście. Ściskając szczupłymi ramionami matkę Adriena, a potem matkę Étienne’a, Nina obejmuje tak naprawdę swoje matki. Gdy mer składa gratulacje rodzicom, ona myśli o Marie-Laure i Joséphine, nie o Marion.

To one pojechały z nią do Dijon wybrać suknię: podobna do stroju tancerki, sięgająca kostek, w kolorze kości słoniowej, ma gorset z jedwabiu i koronki. Zgrabne pantofelki zapinane na paski, w ręce bukiet bladoróżowych róż, we włosach diadem z perłami. Nina wygląda przepięknie. Ściąga wszystkie spojrzenia, jest jak oślepiające światło, inni przy niej bledną. Wygląda na jeszcze młodszą, niż jest w rzeczywistości, jak dziewczyna idąca na swój pierwszy bal. Emmanuel, również elegancki, w jasnoszarym garniturze od Diora prezentuje się godnie niczym angielski lord. Mieszkańcy La Comelle nie widzieli jeszcze tak pięknego ślubu.

Étienne i Adrien, świadkowie Niny, właśnie złożyli podpisy pod aktem zawarcia związku małżeńskiego. Czują się, jakby podpisali na przyjaciółkę wyrok śmierci. I to z uśmiechem, w błysku flesza aparatu fotografa

wynajętego na cały dzień. „Panowie, proszę na mnie spojrzeć… głowa wyżej… Tak, doskonale, nie tak nieśmiało, swobodniej…”

Dwa dni wcześniej urządzili Ninie wieczór panieński. Emmanuelowi nie bardzo się to podobało, ale nic nie powiedział. W końcu pojutrze będzie moja już na zawsze, pomyślał.

On również wyszedł na drinka z kumplami ze studiów, którzy przyjechali specjalnie na wesele. Udawał, że się bawi, ale cały czas miał w głowie Ninę i myślał, że zwariuje.

Dwie ostatnie noce przed ślubem, jak każe tradycja, każde spędziło u siebie. Od dziś Nina będzie spała w Zamku. W jej domu zamieszka Joséphine.

– Mamo, czy jesteś pewna, że chcesz zostawić nasze mieszkanie? – pyta Adrien. – To małżeństwo nie potrwa długo.

– Jesteś strasznym pesymistą, synku.

– Nie, mamo, jestem optymistą.

– Nina będzie spokojniejsza. A jeśli trzeba będzie się wyprowadzić, cóż, wyprowadzę się. Wynajmę coś innego. Odkąd wyjechałeś do Paryża, nie mam siły przechodzić koło twojego ciemnego pokoju. Wydaje mi się, że umarłeś…

– Mamo…

– Naprawdę. Potrzebuję zmiany, muszę się ruszyć.

W wieczór panieński Niny Étienne i Adrien przyszli do niej o dwudziestej trzydzieści. Zaskoczyła ich obecność Emmanuela.

– Wpadłem tylko na chwilkę ucałować przyszłą żonę! – powiedział.

Energicznie uścisnęli sobie dłonie, chociaż wszystkie ich gesty i spojrzenia zdradzały wzajemną niechęć. Po zadaniu kilku uprzejmych pytań na temat przyszłych studiów w Paryżu Emmanuel w końcu wyszedł, rzucając ojcowskie przykazanie: „Bądźcie grzeczni… Nie zmuszajcie mojej

przyszłej żony do jakichś głupstw”. Étienne umiał zachować spokój, ale Adrien miał ochotę dać mu w pysk, jak kiedyś panu Py’emu.

Gdy Emmanuel wreszcie zniknął za drzwiami, na twarzy Niny pojawiła się ulga. Jakby pozwoliła sobie stać się dawną Niną. Zaczęli się naprawdę witać.

Nie widzieli się od Bożego Narodzenia. Siedem miesięcy. Wieczność. A i wtedy spędzili razem tylko dwa dni. Étienne z Adrienem przyjechali do La Comelle dwudziestego czwartego grudnia, a dwudziestego szóstego Emmanuel zabrał Ninę na jakąś słoneczną wyspę. Sylwestrowa niespodzianka.

– Zrobił to naumyślnie! – złościł się Adrien. – Wiedział, że przyjeżdżamy na święta!

Étienne starał się go pohamować.

– To jej pierwszy sylwester bez dziadka. Może lepiej, że ją stąd wywiózł.

Brali się w ramiona po kolei i długo stali przytuleni. Adrien nie wytrzymał i popłakał się, obejmując Ninę.

– Tak mi ciężko w Paryżu bez ciebie… Żyć bez ciebie… – wyszeptał jej do ucha.

Étienne patrzył na nich w milczeniu.

Chłopcy oglądali odnowiony dom Niny, wyremontowany, inaczej umeblowany, odmalowany, z oknami wymienionymi na plastikowe. Trudno było uwierzyć, że to dawny dom Pierre’a Beau.

– Emmanuel naprawdę kupił ci ten dom? – zapytał Adrien.

– Kupił na firmę.

– To znaczy, że to nie jest twój dom?

– To, co jest jego, jest moje.

Chłopcy wymienili szybkie spojrzenia i Étienne powiedział:

– No cóż, jeszcze nie skończyliśmy, moja droga, ale teraz czas się ruszyć. Przecież mamy żegnać twoje panieńskie życie. To pogrzeb.

– Gdzie mnie zabieracie?

Zawiązali jej na oczach chustkę, poprowadzili do samochodu i posadzili na miejscu pasażera. Adrien usiadł z tyłu. Jechali około pięciu minut.

Marie-Laure na tę okazję pożyczyła synowi clio. Przez pięć minut drogi Étienne powiedział tylko:

– Nowiutki samochód, pełen bak.

– Gdzie mnie wieziecie? Powiedzcie!

– Nie myślisz chyba, że zdradzimy, dokąd jedziemy, jeśli zadaliśmy sobie tyle trudu, żeby zawiązać ci oczy?

Étienne wyłączył silnik. Wyjął coś z bagażnika, zgrzytnęło, jakby metal.

– Zabijecie mnie i ukryjecie ciało, tak?

– Taaa – odpowiedział Étienne przez zaciśnięte zęby.

– Macie do mnie żal, tak?

Étienne i Adrien znów na siebie spojrzeli. W ten sam sposób, jak po słowach Niny: „To, co jest jego, jest moje”.

– Nie! – powiedział Adrien. – Mam żal do siebie, że nie umiałem cię stąd wyrwać.

– Ale mnie jest dobrze, jestem szczęśliwa – powiedziała Nina smutno, jakby chciała ich pocieszyć albo przeprosić.

Wzięli ją za ręce. Nina w środku, Étienne po lewej, Adrien po prawej. Przeszli tak kilka kroków. Étienne rozłożył metalową drabinę, Adrien stanął z przodu, wziął Ninę za ręce i pomógł jej przejść przez metalową siatkę. Poczuła pod stopami trawę, a potem zapach chloru.

– Jesteśmy na basenie!

Zdjęła chustkę z oczu. Zapadał zmierzch. O tej godzinie na miejskiej pływalni nie było nikogo, była już zamknięta. Kolor wody wahał się między granatem a fioletem. W przezroczystej tafli odbijały się jeszcze chmury gorąca. Zdjęli buty. Kafelki były zimne, powietrze ciepłe.

– Wolno nam tu być? – spytała Nina.

– Oczywiście, że nie wolno, i to jest właśnie fajne! – odpowiedział Étienne, wyciągając z plecaka butelkę malibu i sok ananasowy. – Przyniosłem twój kobiecy trunek.

Następnie wyjął z plecaka torebkę chipsów, plastikowe kubki, whisky, colę, ręczniki kąpielowe, ulubione brioszki z czekoladą Niny, cukierki i pożyczony od Louise kostium kąpielowy. Podał go Ninie.

– Powinien pasować – powiedział.

Podniosła ręce i wykrzyknęła:

– Jesteście najlepsi!

– Ciiicho, bo ktoś usłyszy!

W niecałe trzy minuty znaleźli się w największym basenie. Nurkowali, dotykali dna, mierzyli stoperem prędkość, podtapiali się nawzajem, Nina wskakiwała chłopakom na plecy i ściskała ich za szyje.

Od czasu do czasu Étienne wychodził z wody, żeby napełnić plastikowe kubki. Cicho grał jego mały magnetofon. Étienne zadał sobie trud, żeby zgrać na kasetę ich ulubione kawałki. Te, których słuchali najczęściej w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Wszystkie, nawet te, których sam nie lubił. *The Sun Always Shines on TV* a-ha, *The Promise You Made* Cock Robin, *Le Grand Sommeil* Étienne’a Daho, *Need You Tonight* INXS, *Ainsi soit je* Mylène Farmer, *Words* The Christians, *Smells Like Teen Spirit* Nirvany, *I Feel You* Depeche Mode, *Charlotte Sometimes* The Cure, *Rebel Rebel* Davida Bowiego, *Un jour dans notre vie* Indochine, *Let the Beat Control Your Body* 2 Unlimited. Nieprawdopodobna mieszanka, ale to byli cali oni.

Długo pływali w czarnej wodzie. Od czasu do czasu się straszyli, Étienne nucił muzykę ze *Szczęk*, pływając wokół Niny, która wyła ze strachu pod wodą, żeby nie było słychać. Wyszli z basenu tylko raz, wdrapali się na pięciometrową wieżę, wzięli się za ręce i skoczyli w czarną przepaść, bo basenu w dole nie było już widać.

Wrócili kompletnie pijani o czwartej nad ranem. Trzęśli się z zimna, śmiali, troje wariatów śpiewających przeboje z młodości.

– To był najpiękniejszy wieczór panieński na świecie, najpiękniejszy pogrzeb przeszłości, jaki znam! Dziękuję wam!

Zaczęła myśleć o dziadku i w ich ramionach wypłakała cały smutek. Wzięli gorący prysznic, żeby się rozgrzać, wszyscy troje wyciągnęli się na łóżku Niny i zaczęli czytać komiksy. Chłopcy wypalili skręta. Pod koniec każdej przeczytanej strony mówili „Już!” i Nina przewracała kartkę.

O piątej nad ranem, prawie zasypiając, Nina zapytała:

– Czy kiedykolwiek mieliście ochotę się ze mną przespać?

– Zamknij się! – powiedział Étienne.

– Możecie mi wszystko powiedzieć, przecież wychodzę za mąż.

– Możemy ci wszystko powiedzieć? – zapytał Adrien. – Okay. Bak jest pełen, samochód nowiuteńki, jutro rano zabieramy cię daleko stąd, bardzo daleko. A we wrześniu jedziesz z nami do Paryża.

– Ale… wychodzę za mąż.

– Właśnie to Adrien chce ci powiedzieć. Że jeszcze możesz się wycofać – odezwał się Étienne.

– A moja suknia ślubna?

– Sprzedamy ją.

– Ale nie mogę tego zrobić Emmanuelowi.

– Ratuj się, Nina, jedź z nami. Zajmiemy się tobą – powiedział Adrien błagalnie.

– A mój dom?

– Moja mama tam zamieszka, nie martw się.

– Nie mogę zostawić Emmanuela, kocham go. Jest cudowny.

– To życie jest cudowne. Jeśli Emmanuel cię kocha, to poczeka.

– Niczego nie rozumiecie… Nie możecie choć raz cieszyć się razem ze mną? Choć raz? Jesteście po prostu zazdrośni.

– Zazdrośni? Biedna dziewczyno… Wspaniałe życie w zamku, wcale w nie nie wierzę! – Étienne się zdenerwował. – Kto nas opuścił, zdradził? Mieliśmy jechać do Paryża we trójkę!

– Debil z ciebie, nie rozumiesz!

– Sama jesteś debilką!

Adrien nie mógł tego wytrzymać.

– Zwariowaliście?! – zawołał.

– Ona mnie wkurwia! – zezłościł się Étienne.

– Nie wkurwiałam cię, kiedy mnie potrzebowałeś!

– Co? Co? O co ci chodzi, gadaj!

– Kto odrabiał za ciebie lekcje, jak ty sobie bimbałeś na wszystko?

– No, spoko! A kto korzystał z mojej kasy, przepraszam bardzo?

– Z twojej kasy? Z jakiej kasy?

– Dobrze się bawiłaś na wakacjach z nami, co?

– Spokój! Uspokójcie się! – zawołał Adrien.

– Sam się uspokój! – rzuciła Nina. – I tak nigdy nie wiadomo, co ci siedzi w głowie!

– Nie wiadomo? A więc siedzi mi to, że nie powinnaś wychodzić za mąż!

– Dlaczego? Podaj mi jakiś powód!

– Jesteś za młoda!

– Nie rozumiesz, Adrien! W dniu, w którym umarł mój dziadek, przestałam być młoda. A tym, kto wyciągnął do mnie rękę, kto się mną naprawdę zajął, był Emmanuel. To było dla was wygodne, kiedy wyjechaliście do Paryża. Nie musieliście się przejmować moim smutkiem. To on musiał.

Chłopcy zamilkli. Uspokoili się. Popatrzyli na siebie. Pożałowali, że się pokłócili. Étienne zrobił kolejnego skręta. Nina zeszła do kuchni po resztkę whisky i trzy szklanki. Siedzieli w milczeniu ponad kwadrans. Zaczęło świtać. Ciszę przerwał Adrien.

– Muszę wam coś powiedzieć.

– No, wreszcie! – rzuciła Nina. – Wolisz chłopców, tak?

– Nie, on woli moją siostrę! – powiedział Étienne.

Adrien zaczerwienił się.

– Zacząłem pisać powieść.

Popatrzyli na niego, nie rozumiejąc.

– Napisać coś jest łatwiej, niż powiedzieć – dodał Adrien.

– Będziesz o mnie opowiadał w tej twojej książce? – zdenerwowała się Nina.

– Jeśli piszę o sobie, to logiczne, że również o tobie.

– I o mnie? – zaniepokoił się Étienne.

– Dlaczego się martwisz? Jest coś, czego nie powinienem zdradzić? – zapytał Adrien.

– Czyżbym coś przeoczyła? – rzuciła Nina.

Cisza.

– Jak mnie nazwałeś? – spytała po chwili.

– A jak chciałabyś się nazywać?

– Angélique.

Étienne wybuchł śmiechem.

– Ale jesteś banalna!

– A ty? – zapytał go Adrien. – Ty jak byś się chciał nazywać w mojej książce?

– Kurt. Jak Kurt Cobain.

*

– Tak.

– Nino Beau, czy chcesz wziąć obecnego tu Emmanuela Jeana-Philippe’a Damamme’a za męża?

– Tak.

– Potwierdzam małżeństwo przez was zawarte przed Bogiem. Możecie się pocałować.

Organy, Jan Sebastian Bach, wszyscy robią znak krzyża, gratulacje. Nina rzuca okiem na białego Chrystusa i nie może odegnać myśli, że jedenaście miesięcy temu pogrzebano dziadka, a teraz być może pogrzebana zostaje ona. Étienne i Adrien zasiali w jej głowie ziarno niepewności. Chce to ziarno zniszczyć, zanim zakiełkuje. Nie wie, że już za późno, obcięcie gałęzi nie wystarcza, żeby zabić korzenie.

Szesnasta. Goście ustawiają się do grupowej fotografii.

Potem aperitif w ogrodach probostwa, ufundowany przez rodzinę Damamme’ów na cześć młodej pary. Co najmniej trzysta osób, prawie całe La Comelle. Wśród nich również wybrańcy zaproszeni na uroczysty obiad.

Nieznajomi ludzie podchodzą do Niny i składają gratulacje. „Jesteś przepiękna!”, „Jest pani olśniewająca!”, „Niejedna będzie pani

zazdrościć!”, słyszy Nina wokoło. Wszystkim odpowiada krótko: „Dziękuję!”.

Rodzina Beaulieu, Adrien i Joséphine przyszli razem. Louise uśmiecha się, wydaje się szczęśliwa, od dawna podziwia Ninę. Marie-Laure i Joséphine wychylają jeden za drugim kieliszki szampana, paplając radośnie. Marc rozmawia z Adrienem, który wydaje się jak zwykle myśleć o czymś innym. O czym on tak myśli? – zastanawia się Nina. Adrien i Louise… Niczego nie zauważyłam. Człowiekowi wydaje się, że zna przyjaciół, a tymczasem o niczym nie ma pojęcia.

– Jak się ma pani Damamme? – pyta Emmanuel, całując ją w szyję.

– Pani Damamme jest szczęśliwa… A pan Damamme?

– Wariuje z radości! Kocham cię.

– Ja też cię kocham!

To się nie dzieje naprawdę, myśli Nina. Odchodzi trochę na bok, siada w cieniu. Podchodzi kelner z kieliszkiem szampana. Jestem na własnym ślubie, myśli dalej Nina. Dziś jest mój ślub. Znów obrzuca spojrzeniem całe towarzystwo. Dużo przyjaciół Emmanuela, ludzi w jego wieku, trzydziestolatków. Piękne dziewczyny, wysokie i smukłe, dwie w ciąży, reszta pochyla się nad jasnymi główkami niemowlaków i małych dzieci. Dziecięce wózki obok chodzików dla starszych ludzi. Co jakiś czas przyjaciele Emmanuela patrzą miło na Ninę, rzucają uśmiech lub komplement. Wygrała los na loterii. Emmanuel Dammame złamał wiele serc, a ta mała złowiła go w sieć. To zasługuje na podziw. Wielu bliskich było zdumionych, gdy oświadczył, że żeni się z Niną. Wszystko potoczyło się tak szybko. Nigdy nie widzieli, żeby przyjaciel się zakochał. Najprzystojniejszy z całej bandy, zawracał dziewczynom w głowach, ale sam nigdy głowy nie tracił.

Od dłuższej chwili Nina czuje się dziwnie i nie rozumie dlaczego. Coś jej przeszkadza, ściska w żołądku. Coś lub ktoś. Ta twarz pośród innych nieznajomych twarzy… Nina ściska kieliszek palcami, uświadamia sobie, kto to, przybliża jego obraz w wyobraźni, jakby oczy były aparatem fotograficznym. Niepewność zmienia się w pewność. To on. Stoi przy barze, obżerając się kiełbasą. Ma na sobie źle skrojony garnitur, rozmawia z żoną, jakby nigdy nic. Kto go zaprosił? Kto śmiał go zaprosić? Jak jej teściowie mogli okazać się tak niedelikatni? Nina wstaje, chwieje się na nogach. Z trudem posuwa się do przodu, szuka w tłumie Emmanuela. Ma ochotę stąd uciec.

„Bak jest pełen, samochód nowy!” – słowa chłopców nabierają nagle innego znaczenia.

Ktoś łapie ją za ramię, ściska zbyt mocno. To Emmanuel.

– Wszystko dobrze, kochanie?

– Nie… – wykrztusza Nina. – On tu jest.

– Jaki on?

– Człowiek, który zabił dziadka.

Emmanuel wygląda przez chwilę, jakby nie rozumiał, co ona mówi.

– Aaa! – odpowiada w końcu. – Zaprosiłem go na lampkę szampana po ślubie. Pracownikom firmy uczestnictwo w naszym święcie sprawia wielką przyjemność.

– Ty go zaprosiłeś?

– Taaa… Przepraszam, powinienem cię uprzedzić.

– Ale… On zabił mojego dziadka!

– Kochanie, to był wypadek! Biedny pan Blondin nie jest niczemu winien. No, uśmiechnij się! Dziś nie masz prawa się obrażać.

Ninę zatkało. „Biedny pan Blondin”!

– Podejdź do twoich dwóch świadków – szepcze jej Emmanuel na ucho. – Wyglądają, jakby się trochę nudzili.

Nina wreszcie spogląda na męża. Szuka czegoś w jego pięknych oczach, szuka i nie znajduje. Nie widzi. Coś jest nie tak.

– Zaprosiłeś mordercę, żeby zemścić się za to, że Étienne i Adrien są moimi świadkami?

Emmanuel pochmurnieje. Wznosi oczy do nieba.

– O czym ty mówisz?

– Byłeś przeciwko, nie chciałeś ich na świadków. Przyznaj, że ich nie lubisz, że jesteś o nich zazdrosny.

– Za dużo wypiłaś. Proszę, zachowuj się.

Po wypadku, który skończył się śmiercią Pierre’a Beau, Blondin poszedł na wcześniejszą emeryturę. Żandarmi nie byli w stanie stwierdzić, która ze stron wymusiła pierwszeństwo. Pierre Beau? Kierowca ciężarówki? Ciężarówka nadjeżdżała z lewej, powinna ustąpić rowerowi z prawej, ale kierowca twierdził, że Pierre Beau wyjechał z rue Jean-Jaurès, po lewej stronie placu. Tymczasem Nina była przekonana, że dziadek wyjechał z rue Saint-Pierre, po prawej stronie. Ciężarówka wlokła za sobą ciało listonosza przez kilka metrów; żandarmeria i rzeczoznawcy ubezpieczeniowi nie mogli nikomu niczego udowodnić. Nie było świadków wypadku.

Kilka tygodni później Nina poszła wypytać mieszkańców tych dwóch ulic, dowiedzieć się, czy tego dnia znaleźli listy w skrzynkach. Wszyscy odpowiedzieli twierdząco. Od której ulicy Pierre Beau zaczął pracę tamtego ranka? Tego nikt się nigdy nie dowie. Ale Nina cały czas ma pretensje do Blondina, uważa go za zbrodniarza. Próbowała z nim rozmawiać, nawet któregoś dnia chciała go dogonić na ulicy, ale przyspieszył kroku. Więc poszła do niego do domu. Otworzyła jego żona. „Męża nie ma”,

powiedziała. Nina była pewna, że Blondin się przed nią ukrywał. Nie upierała się jednak, bo po co? Dziadkowi nie wróci to życia. Poza tym, gdyby udało jej się dowieść, że kierowca ciężarówki jest winien, to odbiłoby się na Damamme'ach. A teraz to była jej rodzina.

*

Kilka godzin później państwo młodzi otwierają bal, tańcząc walca. Mama Emmanuela pokazała Ninie kroki. Gertrude Damamme z humorem wyjaśniła synowej, że nie znosi swojego głupiego imienia, i kazała się nazywać Gé. Oczywiście absolutnie nie Gégé. Ćwiczyły w wielkiej jadalni, Gé boso, Nina w trampkach. „Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy…" Nina poznała teściową, depcząc jej po nogach. Spędziły przy muzyce miłe, wesołe chwile.

Prywatność w Zamku właściwie nie istnieje, w niedzielę przy stole siedzi co najmniej dziesięć osób, wokół kręci się służba. Nina odkryła w teściowej wesołą i serdeczną kobietę, zupełnie inną niż przy pierwszym kontakcie, kiedy zachowywała się z rezerwą, była wręcz chłodna. Gé wypytywała o jej dzieciństwo, o dziadka. Nie przez niezdrową ciekawość, po prostu chciała zrozumieć. Żadnych niedelikatnych pytań, tylko miłe zainteresowanie. Nina nie przyznała się, że wieczorem w dniu pogrzebu pojawiła się Marion i ją okradła, „zabrała, co jej się należało". Powiedziała Gé, że nie zna matki. Że nigdy jej nie widziała, nie ma żadnych związanych z nią wspomnień, i że dziadek wychował ją w miłości.

Kiedy Nina zwraca się do teściów, waży słowa, zastanawia się. Nie pozwala sobie na spontaniczność. Oni nie są z jej świata. Pokończyli wielkie uczelnie, są w czepku urodzeni – co za dziwne wyrażenie, dziadek czasem tak mówił. Nina boi się Henriego-Georges'a, ojca Emmanuela. Przemyka pod ścianami, gdy go widzi. On stara się być serdeczny, na tyle,

na ile potrafi. Jest bardzo poważnym człowiekiem. Ma wyniosłe spojrzenie. Kiedy się do niej zwraca, Nina musi zadzierać głowę, a przynajmniej tak jej się wydaje. Wymieniają głównie uprzejmości i banały.

Tego ranka, gdy wkładała suknię ślubną pod okiem oczarowanych Marie-Laure i Joséphine, które bez przerwy mówiły: „Ale jesteś piękna!”, przyszła też Gé. „Boże, jaka piękna jest moja synowa!” Podczas gdy Marie-Laure robiła dla wszystkich kawę, Gé otworzyła swoją śliczną torebkę. „Według tradycji panna młoda w chwili ślubu musi mieć przy sobie coś niebieskiego, coś nowego, coś starego i coś pożyczonego”, powiedziała i ofiarowała Ninie szafir, bransoletkę z białego złota w pięknym pudełeczku i wspaniały stary pierścionek z diamentami. Potem zdjęła z palca własny pierścionek zaręczynowy, żeby go jej pożyczyć.

Nina patrzyła na otaczające ją kobiety, które się o nią troszczyły. Dlaczego mama nigdy jej nie chciała?

Dom weselny znajduje się siedem kilometrów od La Comelle, pomieści setkę gości. Kuchnie, wielki salon, ogrody, sala balowa, w budynkach obok apartamenty i sypialnie dla tych, którzy będą nocowali. Wspaniałe miejsce. Pełno kwiatów. Jakby białe róże od wieków pokrywały ściany i sufity. Wszędzie płoną świece. Bajkowa sceneria.

Wszystkim zajęli się rodzice Emmanuela. Gé poprosiła państwa młodych, żeby wybrali menu i muzykę. Bal będzie klasyczny, najpierw orkiestra, skrzypce. Po północy didżej i koktajle.

Na razie młoda para, patrząc sobie w oczy, tańczy w błysku fleszy. Nina jest pijana. Tylko Étienne z Adrienem widzą to, czego inni nie dostrzegają. W jej oczach błyszczy nie radość, ale szampan. Kilka par dołącza do nich, tańczą jakieś dwadzieścia minut, potem każdy wraca do swojego stolika. Doskonała choreografia, uśmiechy. Étienne jest w takim samym stanie jak Nina. Pił całe popołudnie. Na razie jeszcze popija wodą, żeby zachować

trzeźwy umysł. To on ma odczytać przemowę, którą razem z Adrienem przygotowali dla młodej pary. To znaczy napisał ją Adrien, ale ponieważ nie chciał występować publicznie, umówili się: „Ja piszę, ty czytasz”.

Dźwięk srebrnej łyżeczki uderzającej w kryształowy kieliszek. Cisza. Zdenerwowany Étienne wstaje, odchrząkuje, czuje, że zaraz dostanie ataku śmiechu. Musi się opanować. Nie teraz! – myśli.

Ależ ta cholera jest przystojna, myśli Nina, wypijając łyk szampana.

Adrien jest nieśmiały, a Étienne, chociaż też jest skryty i nieufny, wolałby umrzeć, niż dać to po sobie poznać. Jeszcze nie otworzył ust, a Nina już jest wzruszona i niespokojna. Emmanuel dotyka jej kolana, jakby chciał podtrzymać ją na duchu. Nina czuje jego palce na skórze.

– Droga Nino, razem z Adrienem napisaliśmy tę przemowę na twoją cześć. Oczywiście wiesz, że to on ją pisał, a ja patrzyłem… Tak jak kiedyś, gdy uczyliśmy się razem. Z nas obu to ja jestem durniem. A z nas trojga tym bardziej ja. Ale odbiegam od tematu…

Étienne zaczepnym wzrokiem szuka ojca. Potem wyjmuje z kieszeni karteczkę i rozkłada ją.

– Nasza kochana Nino, z okresu, zanim cię poznaliśmy, nie mamy żadnych wspomnień. A przecież spotkaliśmy się, kiedy mieliśmy po dziesięć lat. Przed tobą świat nie istniał. Ty jesteś początkiem. Jesteś dobrą uczennicą, przyjaciółką, artystką, jesteś naszym śmiechem, naszą siostrą, naszym światłem. I to nie światłem latarki, nie, ty jesteś gwiazdą, jesteś wyjątkowa, jesteś rzeką, jesteś naszym łącznikiem. Nasza Trójka. Razem wzrastaliśmy, dojrzewaliśmy. Jest powiedzenie: „Oni są jak pięć palców jednej ręki”. Aż do dzisiaj nasza ręka miała tylko trzy palce. Nie przeszkodziło nam to rozwijać się razem. Ja po lewej, ty w środku, Adrien po prawej. Wzrastaliśmy, spędzając czas w tych samych miejscach, chodząc po tych samych chodnikach, do tych samych szkół, bawiąc się w tych

samych pokojach. Mieliśmy te same marzenia. Wiesz, co to jest powitanie na trzy palce? Kciuk, wskazujący i środkowy? To gest symbolizujący przysięgę wierności. Będziemy ci zawsze wierni, nie na śmierć i życie, na życie i życie. Ty, z definicji, jesteś palcem środkowym, nawet jeśli to na palec serdeczny dzisiaj twój przystojny mąż wsunął obrączkę, symbol waszej miłości, waszego związku. Ale wracając do ciebie, Nino, jesteś przede wszystkim artystką. Żywą i żyjącą. Jesteś genialną rysowniczką zawsze, a wspaniałą piosenkarką w określonych godzinach. Te godziny teraz ci zwracamy. Nasze piosenki staną się wspomnieniami z czasów dzieciństwa i dorastania. Ty masz nowe życie do zbudowania. Bez twojego głosu nasze kompozycje przestaną istnieć, ale nie szkodzi. Publiczność nie będzie za nimi tęsknić, bo przecież nie mamy publiczności. Sylwestry i Święta Muzyki będą bez nas tylko lepsze. Dzisiaj trochę cię tracimy, ale to ty masz być szczęśliwa. Zawsze robiłaś wszystko po swojemu. Wyprzedzałaś nas o całą epokę. Pewnie dlatego, że jesteś dziewczyną, a my chłopakami. Chłopak przy dziewczynie tak niewiele znaczy. Chłopak ma o jedno życie mniej. Czyż poeta nie mówi, że kobieta jest przyszłością świata? Droga Nino, przedtem miałaś dwie rodziny, nasze rodziny. Dziś dołączasz do trzeciej. Znów wraca ta liczba, jak Święta Trójca. Ojciec, Syn, Duch Święty. To refren twojego życia. Założycie z Emmanuelem nową rodzinę. Dziś twoje szczęście należy do niego, do was. Emmanuelu, powierzamy ci naszą siostrę. Nie wszystkie jej cechy znasz, będziesz je odkrywał w miarę upływu lat, na przykład jej poczucie humoru. Uśmiech to jej druga natura. Przygotowaliśmy dla ciebie listę… niezamkniętą, bo listy ewoluują… w trzech punktach: co Nina lubi, czego nie lubi i na koniec to, czego my nie lubiliśmy u Niny. Nina lubi brioszki z czekoladą i czarną kawę, psy, koty, świnie, cielęta, krowy na wolności, nigdy na talerzu. Może rozpłakać się nad gulaszem, Emmanuelu, uprzedzaliśmy cię… I zawsze

wstydziliśmy się przy niej, zajadając kiełbasę. Nina lubi zapach wanilii, w perfumach i potrawach, piña coladę i malibu, sól na frytkach, musztardę, pomidory, lubi grzebać w cudzych szufladach, tańczyć, pływać, lubi serial *Columbo*, brzydkie trampki, tartę jabłkową, mus na deser, sos pieprzowy, kartofle, ser, kanapki, czereśnie. Nie lubi goryczy grejpfruta, nie lubi stać w kolejce, nie lubi ludzi, którzy podają na powitanie sflaczałą dłoń, nie lubi kostek lodu i ciepłych deserów. Nie dawaj jej nigdy w prezencie futra, chyba że chcesz się pozbyć nie futra, tylko żony. To, czego my nie lubimy u Niny: rysuje nas całymi dniami, kiedy się budzimy, kiedy śpimy, kiedy mamy krosty i worki pod oczami, każe nam godzinami pozować, nie umie grać w gry wideo ani w tenisa, ale chce koniecznie w tym wszystkim uczestniczyć, prawdziwy koszmar! Zadaje też dziwne pytania. Na przykład: Dlaczego banany są żółte? Skąd się bierze ślina? Dlaczego on na mnie nie spojrzał? Dlaczego łzy są słone? Dlaczego niektórzy cały czas milczą? Dlaczego ludzie przeważnie mają wszystko w dupie? Dlaczego mówi się „wykręcić się sianem”? Dlaczego sianem, czy ktoś mi może to wyjaśnić? O czym myśli robak…? Emmanuelu, uprzedzaliśmy cię. Zawsze mówiliśmy, że Nina nie ma zmysłu orientacji, że co chwila się gubi. To nieprawda. Dziś mamy tego niezbity dowód, przecież trafiła do ciebie. Życzymy wam obojgu szczęścia, takiego waszego. A reszta zrobi się sama.

Étienne siada, wszyscy klaszczą. Nina wstaje, żeby ucałować przyjaciół. Étienne skromnie mówi:

– To nie moja wina, to nie ja, nie ja!

A Adrien szepcze jej do ucha:

– Dla ciebie zawsze będziemy mieli nowy samochód z pełnym bakiem.

52

25 grudnia 2017

Zmroziło mi krew w żyłach. Od razu poznałam jego samochód. Z napędem na cztery koła, zarejestrowany w departamencie 69. Nie zauważył mnie, gdy go mijałam. Nawet nie spojrzał. Domyśliłam się, że z tyłu siedzi Louise; zobaczyłam jej jasne włosy. Ona też mnie nie zauważyła. Zresztą jak miałaby wpaść na to, że tu będę? Jakie jest prawdopodobieństwo spotkania kogoś przed schroniskiem dla zwierząt w dzień Bożego Narodzenia? Zwolniłam. Zatrzymali się i wysiedli.

Widziałam ich w lusterku wstecznym. Zaczęłam się przyglądać, rozbierać ich wzrokiem. Ręce mi się trzęsły, trzymałam kurczowo kierownicę, czułam, że wiszę nad przepaścią.

Kiedy powiedziałam Ninie, że chcę siostrzyczkę dla Nicoli, odparła:

– Przyjdź za trzy tygodnie. – Spojrzała na kalendarz ścienny. – Dziewiętnastego stycznia. Wypada w piątek. Piątek to dobry dzień na adopcję!

Nie wiem dlaczego. Szukałam piątków w naszych wspólnych wspomnieniach z dzieciństwa, ale niczego nie znalazłam.

Miałam ochotę wysiąść z samochodu i wejść za nimi do schroniska, posłuchać, o czym mówią. Słyszeć ich głosy.

Étienne miał na sobie grubą kurtkę, na głowie kaptur. Chód mu się w ogóle nie zmienił. Dostrzegłam jego nos, usta; nie widziałam oczu, miał spuszczoną głowę. A nastolatek przy nim, jego syn, to wykapany ojciec. Z tyłu szła Louise. Wyglądała na zmęczoną.

Siedziałam w samochodzie; nie mogłam ani odjechać, ani zgasić silnika i wysiąść. Nagle wyobraziłam sobie, że Étienne zabierze moją siostrzyczkę dla Nicoli. Że to będzie zemsta Niny, że odda mu moją koteczkę. Że przyjechali po te wszystkie trzy kotki, żeby ich nie rozdzielać. Zaczęłam płakać. Nie wiem, ile czasu tak siedziałam, płacząc nad kierownicą.

Uniosłam głowę i znów zobaczyłam ich w lusterku; szli w towarzystwie drobnej starszej pani, która mnie przedtem przyjęła i zaprowadziła do kotów. Teraz trzymała na smyczy pieska, a Nina, Étienne, jego syn i Louise stali wokół niej. W pewnym momencie spojrzeli w moim kierunku i Nina coś powiedziała. Étienne odwrócił się i popatrzył na mój samochód; to trwało wieczność. Wahał się, jednak po chwili podszedł do mnie, sam. Siedziałam jak skamieniała. Nie byłam w stanie odjechać. Czekałam. Serce waliło mi w piersi jak młot.

Kiedy był blisko, zapukał w szybę.

– Policja, dokumenty, proszę! – powiedział.

W jego oczach zobaczyłam cień naszego dzieciństwa. Spojrzenie wyrażało radość i rozpacz. Siedemnaście lat bez jednego spotkania. Czternaście lat bez choćby jednej rozmowy.

Ostatnim razem o mało się nie pobiliśmy. Nigdy nie nienawidziłam nikogo tak jak jego.

Stał tu, w ten zimny poranek, pochylony ku mnie.

Opuściłam szybę. Lodowate powietrze wtargnęło do środka. Patrzyłam na niego dłuższą chwilę, on też mi się przyglądał. Pewnie porównywaliśmy

nasze zmarszczki na czole, opadające powieki, bruzdy w kącikach ust. Kogo całowały te usta? Ile razy?

– Dlaczego płaczesz? – spytał.

– Bo chcesz zabrać mojego kota.

53

Maj 1996

Są małżeństwem już dziesięć miesięcy.

O siódmej rano Emmanuel całuje Ninę w szyję i wychodzi do pracy. Nina przeciąga się rozkosznie i natychmiast znów zasypia. Potem budzi się o dziesiątej, otwiera oczy kolejno o dziesiątej piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści. Nie ma odwagi zaatakować rzeczywistości. Wraca do świata snów. W końcu kwadrans po jedenastej wstaje. To ostatni moment. Musi wyglądać świeżo, gdy Emmanuel wróci w południe na lunch. Jakby wstała o ósmej. Bierze prysznic, słuchając radia. Lubi słuchać głosu niektórych prezenterów.

Schodzi do kuchni. Gospodyni, Nathalie, już tam jest. Ku rozpaczy Niny w ich życie wkroczyła cała służba, z początku niewidoczna. Nina wolałaby sama gotować i sprzątać, ale nawet nie próbowała tego proponować mężowi, z miejsca by się sprzeciwił. Nina nie lubi Nathalie, ale nie śmie się odezwać. Ta kobieta pracuje u Damamme’ów od zawsze.

To ona przygotowuje posiłki. Emmanuel wraca z pracy koło pierwszej, żeby spędzić chwilę z Niną, mówi, że w ten sposób dni wydają mu się krótsze. Chyba że ma zebranie biznesowe albo jest w delegacji. Od września to jego codzienna rutyna.

Dwa dni po ślubie poprosił Ninę, żeby zrezygnowała z pracy.

– Nie możesz pracować jako asystentka dyrektora finansowego, kiedy jesteś moją żoną.

– Lubię tę pracę, jest fajna… A pan Le Camus jest naprawdę uroczy.

– Wiem. Ale musisz sobie znaleźć jakieś inne zajęcie. Posłuchaj, Nino, w przyszłym roku przejmę stanowisko dyrektora firmy. Żona szefa nie może pracować w biurze jako asystentka. Zresztą już nie musisz zarabiać na życie.

– Ale co będę robić cały dzień?

– Będziesz się zajmować mężem, dbać o siebie, wydawać nasze pieniądze… Nie chcę, żebyś miała jakiekolwiek zmartwienia. Rób, co chcesz, kocham cię. Jestem tu, żeby cię rozpieszczać. Żeby uczynić twoje życie szczęśliwym. Lepszym. Bądź beztroska!

Nina zastanawiała się, obgryzając paznokieć kciuka.

– No to wrócę do szkoły.

– Po co?

– Żeby dalej się uczyć. Mogę to robić korespondencyjnie.

– Jeśli masz ochotę… Twoje życzenia są dla mnie rozkazem, kochanie!

Nina zapisała się do Grety* na zdalne kursy dla grafików, kupiła sobie komputer. Wytrzymała do zimy. Trzy miesiące. Uczyć się samej w domu, znaleźć wystarczająco silną motywację, odsyłać zrobione zadania, uczyć się ze wskazówek na dyskietkach – nie dała rady. Więc wyleguje się w łóżku, maluje się, zmienia sukienki i kolor włosów, je lunche z mężem, ogląda seriale w telewizji, słucha muzyki, czyta, chodzi na zakupy. Czasem odwiedza swój stary dom, żeby wypić kawę z Joséphine i pobyć ze zwierzętami. Paola umarła ze starości, we śnie. Nina skremowała ją i rozrzuciła prochy przy grobie dziadka. Będziecie sobie razem odpoczywali, jak kiedyś, pomyślała Nina.

W domu zostały już tylko dwa stare koty, które niewiele wychodzą i śpią cały dzień na łóżku. Mogłaby je zabrać do Zamku, ale Emmanuel jest uczulony na kocią sierść. Obiecał Ninie, że pójdzie się odczulić, ale dodał, że niczego nie gwarantuje, w końcu czasem to działa, a czasem nie.

W niedzielę dołączają do reszty rodziny Damamme'ów siedzącej w wielkiej jadalni, tej samej, w której Gé uczyła Ninę tańczyć walca. Jedzą obiad, rozmawiając o polityce, o interesach i bieżących wydarzeniach. Nina słucha, rzadko zabiera głos. Jeden jedyny raz, kiedy rozmowa zeszła na próby jądrowe przeprowadzane w Polinezji Francuskiej, rozgrzana pommardem z rocznika 1989, podanym przez teścia, zaczęła protestować, wzburzona decyzją Chiraca. Zaskoczyła wszystkich; uśmiechnęli się miło, nie za bardzo rozumiejąc jej reakcję. Polinezyjczycy i rafa koralowa znajdują się tak daleko od Burgundii!

Po powrocie z tych niedzielnych spotkań Nina, zawsze lekko wstawiona, dzwoni do Adriena i Étienne'a. To rytuał niedzielnego popołudnia. Emmanuel odpoczywa, a ona rozmawia z nimi, słucha, wypytuje. Każde opowiada o swoim życiu; oni w Paryżu siedzą z nosami w książkach, przygotowują się do egzaminów na studia, a ona nic nie robi i jest szczęśliwa.

– Nie nudzisz się? – bez przerwy pyta Adrien.

– Nie, korzystam.

– Korzystasz? Z czego?

– Z życia.

Nina mówi, że wkrótce ich odwiedzi; przyjedzie z Emmanuelem, jak tylko będzie miał trochę mniej pracy. Ale w lecie chłopcy muszą wpaść do niej, będą się razem kąpać w basenie, basen jest super, będą robić grilla, jeść w ogrodzie. Adrien i Étienne obiecują, że przyjadą.

Nina już nie rysuje. Tak jakby ten talent istniał w innym życiu, tym, które minęło. Życiu z dziadkiem. Któregoś ranka naszkicowała śpiącego Emmanuela; roześmiał się, gdy ujrzał swój portret. Trochę ironizował, stwierdził, że w ogóle nie jest do siebie podobny.

– Kochanie, obawiam się, że nie zostaniesz Renoirem – dodał.

Na początku poczuła się dotknięta, ale potem pomyślała, że taka szczerość, mówienie prawdy prosto z mostu, to dowód prawdziwej miłości. Pewnie przedtem wszyscy ją oszukiwali; twierdzili, że ma talent, bo nie chcieli jej robić przykrości. Popatrzyła na swój rysunek, zrozumiała, że to nic specjalnego. Teczka z rysunkami, czyste kartki i węgle spoczęły na dnie szafy.

Wieczorem Emmanuel wraca koło siódmej, piją aperitif, jedzą kolację, kochają się. Emmanuel mówi, że nigdy nie był taki szczęśliwy, że dzięki niej ma życie, o jakim mógł tylko marzyć. Kiedy w końcu zasypia, Nina włącza telewizor i ogląda coś do drugiej w nocy. *Bouillon de culture*, *Comme un lundi*, *Ça se discute*… Zafascynowana słucha uczestników programu Jeana-Luca Delarue, czasem przebranych, w peruce i w ciemnych okularach.

Składając podpis na akcie małżeńskim, Nina podpisała umowę na wieczne wakacje.

*

– Pan Bobin?

– Tak.

– Pan Désérable czeka na pana.

Adrien, czując, jak zaschło mu w ustach, ze ściśniętym gardłem wchodzi do pokoju wypełnionego książkami, ustawionymi na półkach z wiśniowego drewna. Wysłał maszynopis do kilku wydawnictw. Wszystkie

odpowiedziały, że jego powieść nie pasuje do ich profilu. Wszystkie za wyjątkiem jednego: słynnej oficyny wydawniczej, reprezentującej prestiżowych autorów.

Któregoś wieczoru Thérèse Lepic oznajmiła Adrienowi, że ktoś do niego dzwonił.

– Jakiś Fabien Désérable, z wydawnictwa… z wydawnictwa… Zapomniałam.

– Co mówił, Thérèse? Co dokładnie powiedział?

– Nic specjalnego. Prosił, żebyś do niego zadzwonił.

Adrien od razu zrozumiał, że to dobry znak. Ci ludzie nie dzwonią – jeśli tekst im się nie podoba, wysyłają standardowy list odmowny. Chyba że chciał osobiście wyrazić oburzenie naturą jego powieści.

O dwudziestej rozgorączkowany Adrien wykręcił numer. Automatyczna sekretarka. Całą noc nie spał, patrzył w sufit, wyobrażając sobie coraz bardziej szalone rzeczy. Rano wsiadł w szybką kolejkę i jak zwykle przesiadł się do metra, żeby dotrzeć do szkoły. W południe wyszedł poszukać budki telefonicznej i znowu wykręcił numer, który Thérèse nagryzmoliła na karteczce. Odebrała jakaś kobieta i wyznaczyła mu spotkanie bez dodatkowych komentarzy.

I oto Adrien ma przed sobą może czterdziestopięcioletniego łysiejącego drobnego mężczyznę o niskim głosie i figlarnym spojrzeniu.

Silny uścisk dłoni.

– Proszę siadać. Herbata? Kawa? Woda?

– Nic, dziękuję bardzo.

– Czy jest jakieś pokrewieństwo między panem a Christianem Bobinem?

Adrien zastanawia się. Nie wie, kto to jest Christian Bobin. Ojciec ma na imię Sylvain. Może jest jakiś wuj albo kuzyn, który ma na imię

Christian? W końcu Adrien nic nie wie o rodzinie ojca.

– Nie sądzę… – odpowiada w końcu zakłopotany.

Fabien Désérable przygląda mu się przez chwilę. Adrien czuje się niepewnie.

– Powiem panu od razu: pana powieść jest dobra, nawet bardzo dobra. Głęboka, fascynująca, mocna. Nigdy nie czytałem niczego tak… oryginalnego. Przepraszam, jeśli wyrażam się nieprecyzyjnie. W żadnym razie nie chciałbym być niedelikatny.

– Tak?

– Zafascynował pan wszystkich członków naszego kolegium wydawniczego. Tylko jedna lub dwie osoby miały pewne zastrzeżenia. Ale myślę, że to raczej z powodu szczególnego charakteru tekstu, który może zbijać z tropu. Czy wysłał go pan do innych wydawnictw? Czy ktoś już się z panem kontaktował? Ma pan jakieś propozycje?

– Nie.

– Dziękuję za szczerość. Czy byłby pan zainteresowany współpracą z naszym zespołem?

Adrien wydusza z siebie niewyraźne „tak”. Jakby się wahał, a przecież serce mało nie rozwali mu klatki piersiowej.

– Tytuł *Biel hiszpańska* jest doskonały.

Milczenie.

– Co pan robi w życiu?

– Jestem w szkole przygotowawczej na uniwersytet. Kierunek humanistyczny.

– Ile pan ma lat?

– Dwadzieścia.

– Czy napisał pan już coś poza tym?

– Nie. Pisałem teksty piosenek, ot, tak sobie. Nic specjalnego.

– Nie będę ukrywał, że oniemiałem z zachwytu, czytając pana tekst.

– Tak…?

– Czy nad czymś pan teraz pracuje? Inna powieść w przygotowaniu?

– Nie.

– Trzeba nad tym pomyśleć.

Adrien milczy.

– Mam do pana pytanie, na które nie musi pan odpowiadać: to autobiografia czy fikcja literacka?

Adrien zastanawia się dłuższą chwilę.

– Wierzę, że w każdej powieści jest trochę prawdy, fantazja karmi się rzeczywistością. A w autobiografiach jest dużo kłamstw.

Fabien Désérable uśmiecha się i rzuca mu pełne podziwu spojrzenie.

– Doskonale pan sobie radzi! Przygotuję umowę i kiedy wszystko będzie gotowe, skontaktujemy się z panem. Wprowadzimy drobne poprawki, jakieś cięcia, ale nieliczne i tylko za pana zgodą. Zostanę pana redaktorem, będziemy pracować wspólnie. Witam na pokładzie!

Fabien Désérable wstaje i wyciąga do niego dłoń.

Pięć minut później Adrien stoi na ulicy, oszołomiony. Trudno mu uwierzyć w to, co się właśnie stało. Ukazanie się tej powieści będzie dla jego bliskich jak wybuch bomby! Słowa, które przelał na papier, z pewnością zmienią jego życie. Książka zostanie zredagowana i opublikowana! Wszystko stało się tak szybko. Adrien nie idzie, frunie, niesiony przez dumę, może jest w niej nawet trochę pychy. To, co napisał, jest wynikiem głębokiego bólu i ludzie z wydawnictwa to zrozumieli, spodobało im się. Adrien czuje się doceniony! Po raz pierwszy zaistniał.

Wszedł w krąg światła, i to przez główną bramę! Śni na jawie. Musi zadzwonić do Niny i matki. Musi im to jak najszybciej powiedzieć!

Nagle zatrzymuje się. Oczywiście, że nie! Nikomu nie powie. Tylko Louise. Wokół tego wydarzenia nie będzie ani szampana, ani fajerwerków.

Adrien w rozmowie z Fabienem Désérable'em zapomniał zaznaczyć, że chce pozostać w cieniu. Nie może podpisać książki własnym nazwiskiem.

*

Louise się rozłącza. Adrien właśnie powiedział jej, że jego powieść zostanie wydana drukiem.

– To cudownie i wcale mnie to nie dziwi! – powiedziała. Tylko ona o tym wie. Przeczytała maszynopis, który Adrien rozesłał do wielu wydawnictw. Obiecała zachować tajemnicę. – Kocham cię! – wyszeptała na koniec rozmowy.

– Ja ciebie też!

Louise mieszka w Lyonie, studiuje na pierwszym roku medycyny. Smutno jej bez Trójki. Tęskni za swoim głupim bratem. Nina została w La Comelle, tam, gdzie się urodziła, a Adrien – Louise jest tego pewna – będzie błyszczał na innych firmamentach.

Za każdym razem, kiedy Louise wraca do La Comelle, obiecuje sobie wpaść do Niny, a potem w niedzielę wieczorem myśli: Cholera, znów zapomniałam!

*

Étienne wychodzi z auli uczelni. Jeszcze tylko rok dzieli jego i Arthura od egzaminu wstępnego do Państwowej Wyższej Szkoły Policyjnej. Dwa lata uniwersytetu są obowiązkowe. Żeby startować do policji, muszą mieć dyplomy.

Étienne liczy dni, chciałby skreślać je w kalendarzu. Nie może się doczekać, kiedy będzie w policji; wreszcie odnajdzie sens swojej egzystencji. Studia na wydziale prawa to kara, najgorsze, co go spotkało. Przy tym piekło musi być rajem. Prawo cywilne, prywatne, konstytucyjne… Koszmar. Ale nie poddaje się. Wstąpienie do policji stało się jego obsesją. Jeśli zda egzamin konkursowy, znajdzie się w szkole oficerskiej w Cannes-Écluse, a jeśli będzie miał dobre wyniki, to za osiemnaście miesięcy zostanie porucznikiem policji. Osiemnaście miesięcy szkolenia, z których sześć to staże w komisariatach; będzie brał udział w rewizjach, aresztowaniach, w śledztwach.

W zależności od wolnych miejsc i od jego osiągnięć będzie mógł wybrać miejsce pracy. Musi harować, być jednym z najlepszych w roczniku 1996. Załatwił sobie nauczycielkę z Sorbony, spotykają się trzy razy w tygodniu. Na początku był tak zły, że prawie płakał. Przypominał sobie, jak Nina powtarzała mu: „Staraj się rozumieć to, co przepisujesz, któregoś dnia mnie zabraknie”.

A więc Niny zabrakło. Nie umarła, nie, ale jakby.

Po ukończeniu szkolenia Étienne poprosi o stanowisko w Lyonie. Paryż go nie interesuje. Marzył o Paryżu, żeby grać, tworzyć muzykę. Marzenie z poprzedniego życia. Lyon wydaje się dobrym kompromisem: duże miasto, góry, no i Louise.

Wie już, że spełnia wszystkie wymagania dotyczące sprawności fizycznej i świetnie radzi sobie w strzelaniu. Już nie pali. A jeśli podczas przyjęć, na które chodzi rzadko, ludzie podają sobie skręta, on staje w otwartym oknie albo wychodzi do drugiego pokoju.

W plecaku ma sportowe ubrania. Trzy razy w tygodniu wsiada w metro, linia numer 9, żeby pobiegać wokół górnego i dolnego jeziora w Lasku Bulońskim. W słuchawkach gra mu Sonic Youth.

Nie zbliża się do wody, a jeśli tak pechowo poprowadzi go droga, czuje niepokój. Milcząca tafla, w której niezmiennie odbija się niebo, lustro, które wygląda jak obserwujące go oko. Przenosi się myślami do Leśnego Stawu. Do tego wieczoru, gdy czekał na Clotilde. Niedługo miną dwa lata od jej zaginięcia. Podobno jej rodzice chcą wziąć udział w programie telewizyjnym, w którym poszukuje się zaginionych osób. *Perdu de vue*. Étienne pamięta, że jego mama to oglądała, kiedy jeszcze mieszkał w La Comelle. Wznosił oczy do nieba, słysząc dramatyczną muzykę, która miała potęgować emocje. W programie starano się odnaleźć świadków nieszczęśliwego wydarzenia, zniknięcia albo niewyjaśnionej zbrodni. Ta potrzeba zaglądania za kulisy przytłacza Étienne'a. A przede wszystkim stawia policję w niezręcznej sytuacji: „Nie jesteście w stanie rozwiązać tej sprawy? To zwrócimy się do mediów".

Czy wezwą go na świadka? Zażądają zeznań? Nie mógłby się wykręcić, bo wyglądałoby to podejrzanie. Bieganie oczyszcza mu głowę. Tak samo jak ćwiczenia fizyczne.

Dziś okrąży oba jeziora. Nowe ścieżki. Tędy jeszcze nie biegł. Myśl o rodzicach Clotilde, proszących przed kamerami o pomoc, zniechęca go do spoglądania na wodę, unika jej wzrokiem. Gdy tylko matka mu powiedziała: „Titi, słuchaj, rodzice Clotilde wpisali się na listę do programu Pradela, czekają na odpowiedź", jeziora w Lasku Bulońskim zaczęły wyglądać groźnie, jakby założyły przerażającą maskę.

Nagranie ostatniego programu obejrzał w towarzystwie Adriena. Sam nie miał odwagi. To było w poniedziałek wieczorem. Normalnie spotykają się w sobotę lub w niedzielę, nigdy nie w tygodniu. Ale Étienne powiedział Adrienowi, że to bardzo ważne. Zamówił dwie pizze; zjedli je, siedząc obok siebie, za plecami mieli syntezatory, niewłączone całą dobę, służące

obecnie za podstawki do kładzenia różnych drobiazgów. Wyglądają jak dwa posągi, czczone przez lata, a teraz zapomniane.

– Co ci przyszło do głowy, żeby to oglądać? – pyta zaskoczony Adrien.

– Bo dziennikarze na pewno do mnie zadzwonią. Mama mówiła, że rodzice Clotilde postanowili wziąć udział w tym programie.

– Poważnie?

– Nie żartowałbym na taki temat.

– I co im powiesz?

– A co mam powiedzieć? Czekałem na nią i nie przyszła.

---

* GRETA – grupa lokalnych placówek państwowych organizujących edukację dla dorosłych.

54

25 grudnia 2017

Étienne podnosi do ust filiżankę z kawą, wypija łyk, krzywi się.

– Wesołych świąt! – mówi w końcu.

Wygląda na zmęczonego. Ściągnął kaptur, ale nie zdjął kurtki. Trudno mi uwierzyć, że jestem w tym samym pokoju co on. Czasem, gdy nadejdzie to, o czym się tyle myślało, czego człowiek pragnął i obawiał się jednocześnie, nagle nie wie, jak się zachować, trzyma się z boku.

Nina nie spuszcza z niego wzroku. W jej małym biurze Étienne wygląda jak wielkolud. Zapala papierosa, nie pytając o pozwolenie. Nina nic nie mówi. Szuka słów, jak zagubiony wędrowiec ścieżki.

Louise i Valentin poszli z Simone obejrzeć miot kociąt w części przeznaczonej dla maluchów. Louise ich wyciągnęła, żeby zostawić nas samych.

Kiedy zobaczyła, jak wysiadam z samochodu, zrobiła się zupełnie przezroczysta. I tak już była blada. Nie spodziewała się mnie tutaj.

Podeszłam do nich, Étienne szedł obok. Kolejnego szoku doznałam na widok jego syna. Identyczny.

Nie dotknęłam, nie objęłam, nie ucałowałam nikogo.

Nina, kiedy była młodsza, była bardzo dotykalska. Odczuwała potrzebę kontaktu fizycznego, żeby nawiązać porozumienie. Obejmowała, brała za ręce, przesuwała dłonią po twarzach, jakby rzeźbiła ludzi, których miała przed sobą. Podziwiałam ją, bo ja nie byłam do tego zdolna. Zawsze bałam się dotykać innych.

Teraz stoję naprzeciw Étienne'a i Niny. Ręce założyłam z tyłu, żeby nie widzieli, że drżę.

– Nie masz czegoś mocniejszego? – pyta Étienne Niny. – Ta kawa jest obrzydliwa. Jakiś alkohol, żeby uczcić święta?

– Jest jedenasta – odpowiada Nina. – I nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł, biorąc pod uwagę, w jakim jesteś stanie.

Étienne się uśmiecha. Patrzy na mnie.

– Louise ci powiedziała? – pyta.

– Co miała mi powiedzieć? – ledwo mówię.

– Że mnie niedługo szlag trafi.

W tym momencie odzywa się Nina. Ulga. Nie muszę mu odpowiadać.

– Jeśli nie będziesz się leczył, to na pewno – mówi.

– Przynajmniej ty nie zaczynaj! Dajcie mi wszyscy spokój! To nieuleczalne.

– A co zamierzasz?

– Nic.

– Jak to nic? – nie ustępuje Nina.

– Jutro wracam do Lyonu.

– I co?

– I… ucieknę gdzieś na słońce. Chcę zobaczyć morze, zanim… Louise dała mi, co trzeba. Nie będzie bolało.

– Dokąd chcesz uciec?

To ja zadałam to pytanie. A przecież z całych sił starałam się nie być częścią tej rozmowy. Słowa same wyszły mi z ust. Są takie słowa, których nie da się powstrzymać. Cisną się na usta przez tyle lat, hamujemy je, a w końcu same uciekają.

– Jeszcze nie wiem – odpowiada Étienne. – Włochy, Grecja… coś w tym rodzaju.

– Powiedziałeś synowi? – pyta Nina. Rozmawiają dalej, jakby mnie tu nie było.

– Jeszcze nie. Oczywiście powiem mu, zanim wyjadę.

– A kiedy wyjeżdżasz?

– Szybko, jak najszybciej. Na pewno w przyszłym tygodniu. Nie mam dużo czasu.

– Skąd wiesz?

– Widziałem tego guza – odpowiada gorzko.

– Można go operować. I są terapie, które mogą się okazać skuteczne – mówi Nina bez przekonania.

– Gadasz jak moja siostra! To ona cię poinstruowała?

– Wcale nie. Mam przyjaciół, którzy z tego wyszli.

– Jakich? – pyta Étienne.

Nina nie odpowiada.

– Joséphine?! – rzuca Étienne prawie napastliwie. – Myślisz, że nie wiem, ile ona wycierpiała?

– Nawet nie przyszedłeś na jej pogrzeb!

Wykrzyknęłam to dużo głośniej, niż zamierzałam. Jestem załamana. Chcę stąd uciec. Już dosyć się nasłuchałam. To jest nie do zniesienia. Wysiadłam z samochodu z miłości do Louise i Niny, nie dla Étienne’a.

A niech zdycha! Dla mnie umarł już dawno. Odwracam się, żeby wyjść. Étienne chwyta mnie za rękę.

– Byłem na grobie Joséphine następnego dnia po pogrzebie. Jak już wszyscy sobie poszli. To był czas, kiedy nie chciałem nikogo widzieć.

55

6 września 1997

Dwa miliardy oszołomionych zasmuconych widzów siedzą przed telewizorami, oglądając orszak pogrzebowy. Młodzi książęta w żarze lejącym się z nieba, złamani bólem, schyleni jak trzciny pod ciężarem siedzących na nich ptaków. Świat nie może znieść widoku cierpienia swoich królów. Tym bardziej dwojga dzieci, które straciły matkę.

Na dodatek w tym samym momencie przychodzi wiadomość o śmierci Matki Teresy. Wszyscy wyobrażają je sobie stojące razem przed świętym Piotrem, księżniczka serc i księżniczka biedaków. Rozmawiają cichym głosem… Czy razem z życiem traci się głos?

Co jeszcze nam przyniesie ten koniec lata? – myśli Adrien.

I oto cmentarz. Syn grzebie matkę. Nie ma oceanu kwiatów ani morza ludzi. Kobieta, która dawała z siebie wszystko. Palce brudne od pisaków, plastelina pod paznokciami; spędziła całe życie, podcierając cudze dzieci, brała je co rano, zwracała co wieczór. Siła robocza. Dorywcza pomoc. Tło. Dzień po dniu zabawy, śmiech, gry, karmienie, usypianie, głaskanie, przytulanie. Wycieranie nosów, układanie zabawek, czytanie bajek, organizowanie dni maluszkom, zanim pójdą do przedszkola. Dwadzieścia lat ogródków jordanowskich i miejskich żłobków. Główki jasnowłose,

ciemnowłose, uparte, posłuszne. To ona łagodzi ból przy wyrzynaniu się pierwszych zębów. Pierwsze kroki, to ona pilnuje, żeby dziecko nie upadło, wciąż się schyla, żeby złapać je w ostatniej chwili.

Jest jedenasta, gdy Nina, Adrien i Louise wchodzą na cmentarz w La Comelle. Louise z lewej, Nina w środku, Adrien z prawej. Pierwszy raz Louise zastępuje brata. Szkoła policyjna, do której w końcu się dostał, nie dała mu przepustki. Pochówek pomogły Adrienowi zorganizować Louise, Nina i Marie-Laure. Marie-Laure, wieczna opiekunka, organizuje pogrzeby rodzicom przyjaciół syna.

Ninę spotkało to trzy lata temu, Adriena dziś. Oczywiście Sylvain Bobin nalegał, że pokryje wszystkie koszty. On również jest na cmentarzu.

Joséphine odeszła w niecałe dwa miesiące. Któregoś ranka lekarz kazał jej zrobić badania krwi, bo czuła się bardziej zmęczona niż zwykle, a następnego dnia dowiedziała się, że ma raka z przerzutami w całym organizmie.

Próbowano chemii, ale Joséphine umarła, zanim zaczęły jej wypadać włosy. Nina się nią zajęła, odwiozła do szpitala w Autun i była z nią do końca, podczas którego towarzyszyli jej również Adrien i Marie-Laure. Adrien przyjeżdżał w każdy weekend, w tygodniu był zbyt zajęty nauką.

Ale prawda jest taka, że nie przystąpił do egzaminu konkursowego, do którego przygotowywał się intensywnie przez dwa lata. Okłamał wszystkich. Jego powieść, *Biel hiszpańska*, która wyszła w 1997 roku, sprzedała się już w ponad pięciuset tysiącach egzemplarzy w samej Francji i wydawcy z ponad dwudziestu krajów zakupili do niej prawa. Prawdziwy fenomen, fascynujący temat. Tym bardziej że autor życzył sobie pozostać anonimowy. Adrien wybrał pseudonim Sasha Laurent.

Zastanawiano się, czy autor jest mężczyzną, czy kobietą, stawiano na znane nazwiska. Przypuszczano też, że pisarz dawno nie żyje, a to jest

znaleziony rękopis sprzed lat.

Zaliczka, którą Adrien dostał na poczet drugiej powieści, jest tak duża, że mógł wyprowadzić się od Thérèse. Zamienił Vincennes na szóstą dzielnicę. Ma wygodne mieszkanie, sześćdziesiąt metrów kwadratowych w oficynie, niedaleko wydawnictwa. Prowadzi życie przemytnika, ukrywa się. Mówi, że studiuje, żeby bliscy nie domyślili się, że to on jest autorem *Bieli hiszpańskiej*. Przed wydawcą udaje, że pracuje nad drugą powieścią, podczas gdy wciąż nie ma na nią najmniejszego pomysłu. Wypalił się. Jego codzienność to biała kartka. *Biel hiszpańska* była wentylem bezpieczeństwa, upustem dla trudnych emocji. Jedno kłamstwo, drugie kłamstwo, znowu kłamstwo. Najwyraźniej kłamstwo leży w jego naturze.

Tak jak matka nie czuła kroplówki, pod którą leżała przez ostatnie tygodnie życia, tak Adrien nie czuł, jak bardzo się zmienił. Pewny siebie przegląda się w witrynach sklepowych, poprawia włosy. Dawny brzydal wyprzystojniał dzięki sławie. Tej sławie, z której korzysta głównie jego konto bankowe.

Co wieczór wychodzą z Fabienem Désérable’em, jego wydawcą, który przedstawia go jako jednego ze swoich „młodych geniuszy” i nie dodaje nic więcej. Jeśli kogoś ciekawi, czego autorem jest „młody geniusz”, Désérable odpowiada: „Powieść jest w redakcji, proszę o trochę cierpliwości”.

Są zapraszani na wszystkie wydarzenia, zawsze siedzą w pierwszych rzędach. Adrien kończy wieczory w modnych nocnych klubach. Sączy przez słomkę drogie drinki, obserwując tańczący tłum.

Po raz pierwszy w życiu jest świadomy, że podoba się innym. Z pewnością ma to związek z nowym sposobem bycia. Rumieniący się wciąż chłopak został pogrzebany. Sukces zadał mu cios w plecy. Podczas paryskich nocy Adrien zawsze siada tak, żeby widzieć parkiet z tańczącymi, przyglądać się do woli. Nie wyobraża sobie, że w ogóle mógł mieszkać

w Burgundii. Wymyśla przeszłość: dorastał w niej w okolicach Saint-Germain-des-Prés. Raz jest synem artystów, raz kogoś innego. Urodził się w Buenos Aires albo w Nowym Jorku, w zależności od tego, z kim rozmawia. Nie jeździ już metrem ani autobusami, rzadko opuszcza swoją dzielnicę, a kiedy musi, zamawia taksówkę. Nie dowiaduje się, co słychać u Thérèse, o której teraz mówi „moja dawna gospodyni”. W końcu przecież nie mieszkał u niej za darmo.

Nie widuje się już z Étienne’em, który dostał się do tej swojej szkoły policyjnej Cannes-Écluse w departamencie Sekwana i Marna.

To nie Joséphine powiedziała Adrienowi o swojej chorobie. Dowiedział się od Niny. Matka nie chciała go martwić. Myślała, że szybko pozbędzie się tego raka i poinformuje syna o wszystkim, jak już będzie zdrowa.

Któregoś wieczoru Nina zadzwoniła do Adriena i powiedziała, że powinien przyjechać, bo jego matka słabo się czuje. Gdy usłyszał słowo „rak”, zmroziło mu krew w żyłach.

Nazajutrz wsiadł do TGV. Po przyjeździe poszedł prosto do szpitala, gdzie była też Nina. Na widok matki doznał szoku: bardzo schudła, na twarzy nosiła już maskę śmierci. Odczuł to jako karę za to, że napisał *Biel hiszpańską*, nic nikomu nie mówiąc. Los się zemścił. Nina też się zmieniła. Twarz miała lekko spuchniętą, ciało jakby należało do kogoś innego. Przybyło jej co najmniej dziesięć kilogramów, jeśli nie więcej. Adrien pomyślał, że chyba jest w ciąży. Miał ochotę wziąć nogi za pas, uciec od tego dawnego życia, wrócić do swojej nowej, wymyślonej egzystencji. Kiedy Nina poszła do automatu po kawę i znalazł się sam z matką, miał ochotę wszystko jej wyznać: „Mamo, to ja napisałem tę powieść, *Biel hiszpańską*. Wybacz mi, proszę!”. Ale zabrakło mu odwagi.

Umarła, nie wiedząc o tym.

Poza kilkorgiem dawnych znajomych ze szkoły i z pracy w kościele nie było tłumu. Ludzie zostali w domu, żeby oglądać w telewizji pogrzeb księżnej Diany. Na cmentarzu przy składaniu trumny do grobu nie było już prawie nikogo.

Louise i Nina trzymają Adriena za ręce. Sztywny jak kij Sylvain Bobin stoi tuż za nimi. Gdyby Adrien cofnął się o centymetr, poczułby na szyi oddech ojca.

Poprosił obie dziewczyny, żeby po pogrzebie zabrały go gdzieś daleko. Nie na drinka do którejś z nich, chciał zostać z nimi sam. Nina skrzywiła się. Trudno jej będzie nie wrócić do domu; Emmanuel nienawidzi, gdy jej nie ma, ale przecież nie można w tej sytuacji zostawić Adriena samego. Okłamała więc męża, że wszyscy zbierają się po ceremonii, żeby uczcić pamięć Joséphine.

– Gdzie? Do której to będzie trwało? Może po ciebie przyjadę?

– Nie, dam sobie radę.

Ośmieliła się nawet dodać: „Wolę być tam sama, Étienne’a nie będzie”.

Gdy Joséphine umarła, Louise zadzwoniła do brata.

– Pogrzeb jest w sobotę – powiedziała.

– Robi się pogrzeby w sobotę? – spytał tylko.

– Najwyraźniej tak.

– Nie mogę przyjechać. Komisarz policji, mój szef, odmówił mi przepustki. Nie dam rady.

– Przynajmniej zadzwoń do Adriena.

– Okay.

Étienne się rozłączył. Zaczął wspominać Joséphine. Była w porządku. Nigdy nie podnosiła głosu. Zawsze żartowała. Szlug w ustach. Tarmosiła im włosy. Co za wspaniały czas, gdy bez przerwy u niej przesiadywali,

w tym małym przecież mieszkaniu! Pomyślał o smutku Adriena, o samotności Niny i jej skróconej młodości. Nina i on umarli tego samego dnia, tylko nikt tego nie rozumiał. Pomyślał, że oddałby życie, żeby tylko móc wrócić do tamtego okresu, czasu ich młodości. Czasu beztroski.

Następnego dnia była niedziela. Kupił bilet na dworcu i wsiadł do TGV, a kiedy po przyjeździe wyszedł na peron, zobaczył Adriena i Louise siedzących obok siebie przy automacie do napojów. Wyglądali na zagubionych.

Adrien z pewnością wracał do Paryża, ona do Lyonu.

Étienne przemknął pod ścianami, żeby go nie zauważyli, jak wtedy w dzień Bożego Narodzenia, kiedy spostrzegł ich wychodzących z Hotelu Podróżnika.

Co za dziwna para! – pomyślał. Można by sądzić, że są razem co najmniej od stu lat. Staruszkowie w ciałach młodych ludzi. Dlaczego nie zamieszkają razem? Dlaczego wciąż się ukrywają?

Wsiadł w autobus do La Comelle – był upał – pieszo poszedł na cmentarz i znalazł grób Joséphine Simoni w kwaterze nowych grobów. Uderzyło go, że dopiero teraz poznał jej nazwisko.

Dla niego była zawsze Jo albo matką Adriena.

Usiadł na ławce obok. Zaczął z nią rozmawiać. Najpierw podziękował za czekoladki i kanapki. Potem przeszedł do wieczoru siedemnastego sierpnia 1994 roku. Nie mówił o tym nikomu. Joséphine stamtąd, gdzie jest, nie będzie mogła nic wygadać. Ale go wysłucha. Potrzebował ulżyć swojemu sumieniu.

Był to wieczór pogrzebu Pierre’a Beau. Niezdecydowany, zdenerwowany Étienne, nie za bardzo wiedząc, co robi, przyszedł nad Leśny Staw dużo wcześniej. Przyniósł słone ciasteczka i butelkę dobrej whisky, którą ukradł rodzicom z barku. Bał się spotkania z Clotilde; nie

rozmawiał z nią od ponad miesiąca. Widzieli się rankiem w dniu pogrzebu, a po południu u niego, ale krótko, bo nie odstępował Niny na krok, cały czas trzymał ją za rękę.

To spotkanie miało się skończyć rozstaniem. Przygotował już sobie przemowę. „Kocham cię, ale za dwa tygodnie wyjeżdżam na stałe do Paryża. Być może jeszcze kiedyś się spotkamy, na pewno za kilka lat, niewykluczone, że się pobierzemy. Ale teraz musimy zrobić przerwę, inaczej będziemy nieszczęśliwi”. Słowo „przerwa” było mniej brutalne, bardziej tchórzliwe, ale mniej definitywne niż „To koniec”. Chciał uniknąć awantury i łez. Tragedie to nie dla niego.

Porządnie już napoczął butelkę whisky i przysnął, zmęczony ostatnimi dniami i alkoholem. Wtedy pojawiła się Clotilde. Podskoczył, gdy zobaczył ją wystrojoną i wymalowaną.

Rzuciła się na niego. Pozwolił się pocałować. Zaczęła mu się uważnie przyglądać.

– Nie dostałeś mojego listu? – spytała.

– Jakiego listu?

Uśmiechnęła się dziwnie, wzruszyła ramionami. Zauważył, że miała ściągniętą twarz, jakby lato ją postarzyło. Chciała od razu wejść do wody.

– Jest tak gorąco! A poza tym cała ta historia z dziadkiem Niny, ten pogrzeb, biedna Nina… Jestem wykończona.

W ogóle tak nie myślała. Była złą aktorką, zazdrosną o Ninę, o ich trójkę. Étienne usłyszał co innego, usłyszał: „Mam w dupie Ninę Beau!”.

W tej chwili nienawidził Clotilde. Chciał odejść, ale ona to wyczuła i natychmiast zmieniła zachowanie.

– Chodź, poszukamy jakiegoś spokojnego miejsca. Będziemy mogli się rozebrać… – powiedziała zmysłowym głosem, głaszcząc jego krocze.

Ciało jest słabe, zwłaszcza ciało Étienne’a. Dobra, pomyślał, ostatni raz. W końcu po to zaczął w ogóle się z nią spotykać. Zgodził się.

Wsiedli na motor i wjechali do lasu. Znaleźli zacieniony, osłonięty kąt. Plażowicze siedzieli po przeciwnej stronie, na brzegach usypanych byle jak z piasku przywiezionego z pobliskich kamieniołomów; to tam młodzież grillowała kiełbaski.

Étienne i Clotilde zamierzali wskoczyć do jeziora prosto ze skarpy obrośniętej spaloną słońcem trawą.

Rozebrał się. Skoczył. Woda była mętna. Spojrzał na Clotilde: zdejmowała ubranie, stała do niego plecami. Miała na sobie jakby bandaż, coś, co starzy ludzie noszą, żeby podtrzymać lędźwie. Obróciła głowę w jego stronę i uśmiechnęła się. Dziwnie. Znów poczuł się niepewnie… ta chęć natychmiastowej ucieczki… Penis mu opadł. Żadnego pożądania! Co za głupiec z niego, że tu przyszedł!

Zaczął odpływać. Jak najdalej od brzegu! Mętne błoto zniknęło. Woda stawała się coraz bardziej przezroczysta. Świeża. Wytrzeźwiał. Kiedy się odwrócił, zobaczył Clotilde: płynęła w jego kierunku, śmiejąc się zbyt głośno. Gdy go dogoniła, wyszeptała: „Mam dla ciebie niespodziankę!”. I znikła. Étienne myślał, że zamierza wziąć jego członek do ust i popieścić pod wodą czy coś takiego, ale po chwili wypłynęła i położyła się na plecach na wodzie. Okrągły brzuch, jak jakaś opuchlizna. Koszmar. Nigdy jeszcze nie widział brzucha kobiety w ciąży. Pod ubraniami tak, ale nagiego nigdy. Wypukły pępek.

W pół sekundy przeanalizował sytuację: idiota, powinien się tego spodziewać, wyczuć. Nie zrobiła zabiegu.

A przecież pojechał z nią do Autun. Czekał w kafejce naprzeciwko szpitala. Wyszła po południu.

– Wszystko dobrze? – spytał ją, trochę zawstydzony.

– Tak. To dobra decyzja – odpowiedziała.

Teraz go zatkało, nie mógł z siebie wydobyć żadnego dźwięku. A ona, leżąc na plecach, patrzyła na niego z uśmiechem, prawie dumna z tego dobrego lub złego żartu. Zamknął oczy, zanurzył głowę i zaczął płynąć do brzegu, żeby uciec. Chciałby skasować tę chwilę. Żeby było jak w komputerze, kiedy naciska się klawisz DELETE.

Popłynęła za nim kraulem. Doskonała pływaczka, zapomniał o tym. Poczuł, jak łapie go za kostki. Zaczął się wyrywać i szybko wyszedł na brzeg. Zobaczył ten jej bandaż rzucony na ziemię obok ubrań.

Wariatka! – pomyślał.

Trudno jej było wyjść z wody, więc poprosiła go o pomoc. Nie ruszył się, patrząc na nią zimno. Chwyciła wystający korzeń i wygramoliła się jakoś. Miał ochotę wcisnąć jej głowę pod wodę, żeby zniknęła na dnie jeziora.

Na brzegu zaczęła krzyczeć:

– Nie bój się, niczego od ciebie nie chcę! Nikt o tym nie wie, nawet rodzicom nie powiedziałam!

Wyciągnęła z torebki plik banknotów. Kilka tysięcy franków.

– Patrz, mam mnóstwo forsy, wyjadę stąd.

– Dokąd wyjedziesz?

– Jeszcze nie wiem… To spotkanie tutaj… Chciałeś ze mną zerwać, prawda?

Nie odpowiedział. Zaczęła płakać i dziwnie jęczeć. Znów powiedziała coś o liście, który niby mu wysłała. Nienawiść. Litość. Wyjął z plecaka whisky i pociągnął kilka łyków. Alkohol zawsze go rozluźniał. Étienne uspokoił się. Zakręciło mu się w głowie, usiadł na trawie.

– Kurwa, nie mam nawet jeszcze osiemnastu lat! Dlaczego to zrobiłaś?!

– Nie miałam odwagi przerwać ciąży.

– Nie wierzę ci, Clotilde. Przyznaj, że chciałaś mnie złapać na dziecko. Nie bredź mi tu o jakiejś odwadze.

Ubierała się w milczeniu, co jakiś czas pociągając nosem. Już nie zabandażowała brzucha. Zwinął sobie skręta. Kolejny łyk whisky. Usiadła obok.

– Kiedy rodzice się o tym dowiedzą, będzie straszna awantura. U mnie i u ciebie.

– Wyjadę, zanim się dowiedzą – powiedziała.

– Ale gdzie chcesz pojechać, na miłość boską?

Uśmiechnęła się.

– Dam sobie radę.

– Nie chcę dziecka. Nigdy nie chciałem. Nigdy nie będę chciał. Oszukałaś mnie. To obrzydliwe.

– A to, że chcesz mnie zostawić, nie jest obrzydliwe?

Zamknął oczy. Koszmar na jawie. Dziś rano pogrzeb Pierre’a, a teraz ta kretynka z brzuchem. Chciało mu się płakać. Ale mężczyzna nie płacze. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Wyciągnął się na trawie, zamknął oczy. Suche źdźbła kłuły go w plecy. Od czasu do czasu strącał mrówkę z ramienia lub szyi. Clotilde położyła mu na brzuchu dłoń, ciepłą, żywą. Odepchnął ją raz, drugi, trzeci… Za dziesiątym razem ustąpił. Po co walczyć? I z czym? Oszukała go, zastawiła na niego pułapkę. Więc niech chociaż da mu tę przyjemność, co prawda względną. Pieściła go – umiała z nim postępować. Po orgazmie zasnął, ukołysany upałem i whisky.

Była już noc, gdy obudził go głuchy dźwięk. Zawołał kilkakrotnie Clotilde, ale odpowiedziała mu cisza. Jej ubrania, bandaż, wszystko zniknęło. Ani śladu. Jakby ten koszmar mu się przyśnił.

Wstał. Źle się czuł, za dużo alkoholu, ledwo trzymał się na nogach. Śmierdział mułem.

Wydało mu się, że widzi, jak coś dużego topi się w jeziorze jakieś dwieście, może trzysta metrów od niego. W końcu zdał sobie sprawę, że to nie złudzenie – że na jego oczach woda pochłania jakiś samochód. Nie próbował tam płynąć. Nie próbował sprawdzić, czy ktoś jest w samochodzie, żeby ewentualnie mu pomóc. Pomyślał, że to na pewno jakieś kradzione auto. Tu zawsze kręcili się podejrzani faceci, dilerzy, narkomani. Étienne'owi nawet nie przyszło do głowy, że ta tonąca kupa blachy może mieć coś wspólnego z Clotilde.

Wsiadł na motor i nie oglądając się, pojechał do Niny.

Ach, ma to w nosie. Co go to wszystko obchodzi? Ten dzieciak to nie jego problem.

Następnego dnia dowiedział się o zaginięciu Clotilde.

Jakiś świadek oficjalnie zeznał, że widział ją na dworcu w La Comelle około dwudziestej drugiej. Godziny się zgadzały. Więc Étienne skłamał; powiedział, że Clotilde nie przyszła na spotkanie. Tak było prościej. Podtrzymując tę wersję, prawie sam w nią uwierzył, wmówił sobie, że nic się nie stało. Pojedzie do Paryża i nikt mu w tym nie przeszkodzi. Dostanie się do policji, będzie stał na straży prawa, żeby takie Clotilde i inne kretynki nie mogły łapać mężczyzn w swoje sieci.

56

25 grudnia 2017

– Co u ciebie? – pyta Étienne, oparty o parkan schroniska, jakbyśmy się przypadkiem spotkali na rogu ulicy.

Z oddali dochodzi szczekanie psów; pewnie Simone, Louise i Valentin przechodzą koło klatek.

– Wróciłam. Mieszkam tu.

– Dlaczego?

– Bo tu wszystko znam. Kupiłam domek.

– A naprawdę? – naciska Étienne.

Nie rozumiem, o co mu chodzi. Jakby chciał, żebym się do czegoś przyznała. Albo do kogoś.

– Może Nina… Może…

W tym momencie Nina do nas podchodzi.

– Moglibyśmy pójść do ciebie? – prosi.

– Oczywiście.

– Poproszę Louise, żeby zabrała Valentina. Mam tylko dwa miejsca w samochodzie, możemy pojechać twoim?

– Pewnie.

Od razu pojmuję: Nina boi się, że Étienne jej ucieknie. Oczekuje ode mnie pomocy. Denerwuje się, nie traci czasu. Już jest gotowa. Simone wychodzi ze schroniska, niesie psa; za nią idą Louise i Valentin, trzymając się za ręce. Wolałabym, żeby to oni wsiedli do mojego samochodu, a nie Nina i Étienne.

– Zabieram Piernika do domu i wieczorem jeszcze wpadnę – mówi Simone do Niny.

Skostnieliśmy z zimna. Mamy czerwone uszy i czubki nosów. Nina patrzy, jak Simone umieszcza psa na tylnym siedzeniu samochodu. Adopcja psa oznacza robienie konkretnych planów na przyszłość. A Nina sądziła, że Simone myśli tylko o śmierci. Valentin patrzy z zazdrością.

– Jak dorosnę, będę miał psa! – mówi.

Étienne uśmiecha się do syna, milczy. Ha, nawet kundla mu nie podarował, cholera.

– Mam nadzieję, że przyjdziesz tutaj po niego. – Nina próbuje rozładować atmosferę.

– Nie wiem… – odpowiada chłopak markotnie. – To okropne wybrać jednego, a wszystkie inne zostawić.

– Nie bój się, wybiorę za ciebie… Louise, zabieramy się z Étienne’em autem Virginie, możesz wziąć jego samochód? – prosi Nina.

Étienne z rezygnacją podaje kluczyki siostrze.

– Nie bój się, umiem prowadzić tę twoją landarę! – wyprzedza jego komentarz Louise.

Étienne wskazuje palcem na mnie i Ninę.

– Jeśli nie wrócę przed pierwszą, dzwoń na policję. Z tymi dwiema nigdy nie wiadomo! – żartuje, ale się nie uśmiecha.

Nina siada z tyłu, on obok mnie. Czuję zapach jego wody kolońskiej. Opuszcza szybę, zapala papierosa.

– Przypominam ci, że mam astmę – mówi Nina.

Étienne wyrzuca papierosa i podnosi szybę. Opiera głowę o zagłówek i zamyka oczy. Nina kładzie mu ręce na ramionach. On ściska jej dłoń.

Otwiera oczy dopiero, gdy dojeżdżamy do mnie.

– Tu mieszkasz? – pyta.

– Tak.

W domu wita nas Nicola. Étienne patrzy na moje biurko, na komputer. Obchodzi cały parter, jakby chciał kupić to mieszkanie albo jakby robił rewizję.

– Mieszkasz sama?

– Z kotem.

– Zostaniesz tu?

– Tak.

– Na zawsze?

– Tak… tak mi się wydaje. Kto chce kawy?

Étienne siada na kanapie. Podnosi Nicolę, kładzie go sobie na kolanach i zaczyna się z nim bawić. Wygląda, jakby się upalił. Oczy same mu się zamykają.

Po espresso otrząsa się trochę i pyta Ninę:

– No dobrze, to po co mnie tu ściągnęłaś?

– Jeśli chcesz wyjechać, jedziemy z tobą.

57

12 lipca 1998

Dziś wieczorem finał mistrzostw świata w piłce nożnej. Przyjdą Adrien z Étienne’em. Nina pcha wózek po alejkach supermarketu, wybiera produkty, z których kucharka Nathalie przygotuje później kolację.

Raz w miesiącu przyjmują w domu przyjaciół Emmanuela. Przeważnie podają tagine z kurczaka z cytryną; wszyscy to uwielbiają. Przy stole siedzi około dziesięciu osób, byli studenci BBA INSEEC, Europejskiej Szkoły Biznesu w Lyonie. Nocują w domkach dla gości i rano odjeżdżają.

Na początku Nina jest zawsze trochę skrępowana atmosferą, którą tworzą goście – zapachy miast, kobiet robiących karierę, niezależnych. Ale po kilku kieliszkach szampana się rozluźnia. Czytała gazety, jest dobrze poinformowana, to wystarczy, żeby brać udział w rozmowach. Jest jak uczennica, która wyuczyła się lekcji na pamięć. Cieszy ją, że przyjaciele męża nigdy nie przywożą dzieci. Traktują te wieczory jak okazję do wyjścia tylko we dwoje.

Emmanuel zaczyna mieć obsesję na punkcie posiadania dzieci. Rzuca się na wszystkie napotkane maluchy, zagląda do wózków, mówi do Niny: „Zobacz, jaki śliczny!”. Sprawdza jej cykle miesiączkowe, po stosunku zostaje w niej długo, tak usilnie myśląc o dziecku, że Ninie wydaje się, że

słyszy te myśli. Mało brakuje, żeby się modlił, gdy jego nasienie się w niej rozlewa. Nina ma wrażenie, że jej ciało już do niej nie należy, że stopniowo znika.

Co miesiąc, gdy jak przekleństwo pojawia się miesiączka, Emmanuel się zachmurza. Przez kilka dni wychodzi do pracy wcześnie i późno wraca do domu. Już nie je z żoną ani lunchów, ani kolacji.

Są małżeństwem od trzech lat, od roku starają się o dziecko, w przyszłym miesiącu wybierają się do specjalisty leczącego bezpłodność.

Nina boi się, że stanie się taka jak jej matka. Boi się, że nie pokocha swojego dziecka. Że je porzuci. Te myśli przeszkadzają jej zajść w ciążę, ale pomagają przetrwać. Prawda jest taka, że robi wszystko, żeby tego dziecka nie było.

Odwiedziła już dział z warzywami i nabiałem, teraz stoi zamyślona przed produktami dietetycznymi. Waha się między środkiem na odchudzanie a tym usuwającym z organizmu nadmiar wody. Czym się różnią? Czym różni się szczęście od radości? A nadzieja od pragnienia? Smutek od melancholii? Miłość od przyzwyczajenia? Strach od rozpaczy?

Dziś wieczorem, oprócz przyjaciół Emmanuela, przyjdą Adrien i Étienne. Nina powtarza sobie to zdanie jak litanię. Nie widziała ich od Bożego Narodzenia.

Bierze na chybił trafił trzy kurczaki zagrodowe. I tak nie będzie tego jadła. Jak zwykle uda, że się częstuje. Od kiedy Emmanuelowi tak zależy na dziecku, wyrzuca jej, że nie je mięsa.

– Może masz anemię przez tę dietę i dlatego to nie wychodzi.

– Nigdy nie miałam żadnej anemii.

– Nie wiesz tego, kochanie. Człowiek musi jeść mięso.

– Absolutnie nie.

– Tak, tak, taka jest jego natura.

Cytryny, cebula, czosnek, imbir, kolendra, białe wino, czerwone wino, szampan… Wózek jest pełen.

Nina myśli o ostatnim wieczorze z przyjaciółmi Emmanuela, który potoczył się dość dziwnie. Wszyscy byli lekko pijani, była piękna pogoda, usiedli nad basenem. Na stole tańczyło światło świec. Po deserze Emmanuel zaproponował grę – każdy miał powiedzieć trzy zdania, zawierające prawdę lub kłamstwa. Nie wolno było niczego sugerować, pozostali mieli odgadnąć, co jest prawdą, a co kłamstwem.

Emmanuel powiedział, że był w San Francisco, że co rano zagląda do swojego horoskopu i że przeczytał wszystkie siedem tomów *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta. Goście się rozgrzali i zaczęli się przekrzykiwać: „Ukradłem pieniądze z portfela matki”… „Dziś nie wypaliłem ani jednego skręta”… „Boję się”… „Jestem szczęśliwa”… „Jestem zestresowany”… „W przeddzień wyjazdu brata ukradłem mu paszport, żeby nie mógł wyjechać”… „Uwielbiam dzieci”… „Boję się przyszłości”… „Mój mąż nigdy mnie nie zdradził”… „Nie kochałem się od sześciu miesięcy”… „Kochałem się dziś rano”… „Wyryłem numer telefonu mojej eks na drzwiach publicznej toalety w supermarkecie, z komentarzem »Dzwońcie o dowolnej porze, dupa mnie swędzi«”… „Połknąłem robaka”… „Zjadłem muchę”… „Kradłam i czytałam cudze listy”… „Uwielbiam flaki baranie w sosie”… „Uwielbiam malibu”… „Zdarzyło mi się chodzić po rozpalonych węglach”… „Wygrałem europejski turniej szachowy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku”… „Poddałem się hipnozie, żeby przestać palić”… „Zrobiłem siku w windzie, która stanęła między piętrami”… „Powinnam nazywać się Juliette”… „Mój ulubiony film to *Zakazane zabawy*”… „Wypiłem drinka z Bono i The Edge w barze hotelowym”… „Tańczyłam *Macarenę* nago na łóżku”…

Późnym wieczorem w sypialni Emmanuel zapytał Ninę, co było kłamstwem, a co prawdą w jej trzech zdaniach. Starała się wykręcić.

– Nie, przecież chodzi o to, żeby nie wiedzieć, inaczej to nie jest śmieszne.

– Czytanie cudzych listów wcale nie jest śmieszne. Zwłaszcza jeśli jest się wnuczką listonosza.

Nina poczerwieniała.

– Wolałbym, żebyś powiedziała „Kocham męża” albo „Marzę, żeby mieć z nim dziecko”. Wierz mi, to poważna sprawa. Mogłabyś za to pójść do więzienia.

– Za co? – spytała sucho Nina. – Za to, że nie powiedziałam „Kocham męża”?

– Już mnie nie kochasz?

– Oczywiście, że cię kocham.

– Może nie zachodzisz w ciążę, bo już mnie nie kochasz…

– Mówisz głupstwa.

– Z dnia na dzień robisz się grubsza. Zakochana kobieta nie tyje.

Zraniona Nina zamknęła oczy, jakby niepatrzenie na niego pomagało go nie słyszeć. Przewrócił ją na łóżko i rzucił się na nią brutalnie. Pierwszy raz był taki: prawie ją zgwałcił. Przez ten czas Nina w myślach mówiła do wszechświata. Mogła to powiedzieć przy stole, podczas tej głupiej gry wymyślonej przez męża. „Mówię do wszechświata”.

Nieskończony wszechświecie, spraw, żebym przed śmiercią zaznała szczęścia.

Tego wieczoru Emmanuel usnął w niej. Powtarzał w kółko:

– Kocham cię, Nino, kocham cię strasznie!

*

Idąc do kasy, Nina mija dział z książkami. Komiksy, książki kucharskie, powieści. Kiedy ostatni raz tu była, kupiła powieść Nancy Huston *Dotyk anioła*. Pochłonęła ją w ciągu dwóch nocy. W pierwszym roku małżeństwa wymieniały się książkami z Gé, ale później rodzice Emmanuela przenieśli się do Maroka. Główny dom zajmują pracownicy, którzy opiekują się posiadłością. Po wyjeździe teściów i śmierci Joséphine Nina czuje się coraz bardziej samotna. Lektura pozwala jej o tym zapomnieć. Czytając, widzi bohaterów książki, wyobraża sobie, że jej pozują, szkicuje ich. Maluje własne obrazy. Dzięki książkom odnajduje też w marzeniach Adriena i Étienne'a. Dzwoni do nich w każdą niedzielę. Étienne dostał się do swojej szkoły policyjnej, opowiada o stażu, o rewizjach i przesłuchaniach.

Adrien jest bardziej milczący, woli słuchać, niż mówić.

Na półce z przodu Nina widzi powieść *Biel hiszpańska*, autor Sasha Laurent. Wszyscy o niej mówią. Czyta z tyłu okładki:

> *„Biel hiszpańska" to pigment, kalcytowy proszek, jest składnikiem farby, którą zamalowuje się witryny sklepów podczas remontu lub zmiany właściciela.*

Hmmm… Streszczenie nie budzi w Ninie specjalnego entuzjazmu, ale podoba jej się okładka. Poza tym gdzieś widziała, że książka ma dobre oceny. Wrzuca ją do wózka.

Idzie do kasy. Powtarza jak mantrę: Wieczorem przyjdą Adrien i Étienne, wieczorem przyjdą Adrien i Étienne.

*

W tej samej chwili Adrien stawia ostatnią kropkę w swoim nowym tekście. Pracował nad nim od miesięcy. Od śmierci mamy. Dzięki jego słowom mama zmartwychwstaje.

Nie będzie już pisał powieści. Jest tego pewien, ale jeszcze nie powiedział o tym wydawcy. Pisanie stało się jednak nieodłączną częścią jego życia, więc próbuje zostać dramaturgiem. Na razie napisał sztukę w pięciu aktach, zatytułowaną *Matki*. Historia pięciu przyjaciółek, które opowiadają o matkach, swoich, ale przede wszystkim cudzych.

Pierwsza matka podobna jest do Marie-Laure, druga do Joséphine. Trzy pozostałe to wytwór jego wyobraźni; sugerował się charakterami Thérèse Lepic, Louise i Niny. Wyszedł od prawdziwych zdarzeń, potem się rozpędził i stworzył malownicze postacie przeróżnych matek: szalonych, surowych, zmiennych, marzycielek, nieodpowiedzialnych, kapryśnych, kochających, egoistek.

Paleta kolorów, paleta charakterów, paleta matek.

Już wyobraża sobie tę sztukę na scenie: pięć małych domków stojących obok siebie, dziesięć osób: pięcioro dzieci i ich matki. Postacie ewoluują – kochają się, kłócą, spotykają, dyskutują, świętują. Rytm sztuki wyznacza samo życie na przestrzeni dziesięciu lat. Jedni wyjeżdżają, drudzy zostają, inni wracają… Miłości, rozstania. Dziesięć splecionych egzystencji. Bez mężów, bez ojców.

Adrien za kilka dni ma spotkanie z dyrektorem teatru. Poznali się na jakimś przyjęciu. Ten człowiek nie wie, że on to Sasha Laurent. Sztukę Adrien chce podpisać swoim nazwiskiem.

Siedzi w TGV wiozącym go do La Comelle. Jest zaproszony na wieczór do Niny i tego jej pięknisia. Nie ma na to ochoty. Étienne też ma być. Tym lepiej. Te kolacje połączone z meczami piłki nożnej, dziękuję, postoję. Ale Nina bardzo nalegała.

Chociaż Adrien czerpał temat do sztuki ze swojego poprzedniego życia, nie ma w ogóle ochoty do niego wracać. Chciałby się od niego odciąć.

Lepiej mu w Paryżu. Tam może być anonimowy. A teraz, kiedy matka umarła, nic już go nie łączy z La Comelle, poza Niną i Louise.

58

25 grudnia 2017

Étienne nie odpowiedział na słowa Niny „Jeśli chcesz wyjechać, jedziemy z tobą”. Nicola bawi się suwakiem jego kurtki, po chwili zaczyna go to nudzić i ucieka w ramiona Niny. Étienne wstaje, obchodzi salon dokoła, ogląda moje kasety wideo, CD i winyle, zwraca uwagę na kilka kaset magnetofonowych, w tym nagranie zespołu Trójka z koncertu w gimnazjum w 1990 roku.

– Jeszcze to masz? – pyta zdziwiony.

– Weź, jeśli chcesz… Dasz synowi.

– Dziś dzieciaki nie marzą już o założeniu zespołu, chcą być znanymi youtuberami.

– Co to youtuber? – pyta Nina Étienne’a.

– YouTube to jak kanał telewizyjny, ale w internecie. Ludzie wysyłają tam nagrania, które wszyscy mogą oglądać.

– Nagrania? Czego?

– Muzyka, dowcipy, ubrania, gry… Coś takiego! Od razu widać, że nigdy nie wyjechałaś z La Comelle.

– Odpierdol się.

– Marzę o tym, ale porwałaś mnie spod tego swojego schroniska…

– Gdzie chcesz jechać, żeby… umrzeć? – pyta cicho Nina.

– Jeszcze nie wiem. Mówiłem wam, gdzieś nad morze… Niezbyt oryginalne zakończenie.

Wraca na miejsce obok Niny. Siedzą ramię w ramię. Ja stoję w drzwiach kuchni, kilka metrów od nich. Jakbym się ich bała.

– A ty co tak milczysz? – rzuca Étienne w moim kierunku.

– Co mam powiedzieć? Louise z tobą rozmawiała, jest załamana, że nie chcesz się leczyć.

– A ty? Będziesz się leczyć? – pyta nagle Étienne.

Krew się we mnie zagotowała.

– Wyjdź stąd. Nie chcę cię więcej widzieć.

– Błagam, przestańcie! – woła Nina.

Głęboko oddycham, żeby uspokoić burzę, która się we mnie rozpętała, którą rozpętał we mnie Étienne. Nienawidzę się za to, że jego słowa wciąż tak na mnie działają.

– To nie ma sensu! – mówi Étienne rozzłoszczony. – Jeśli chcecie mnie namawiać na operację, to ściągnęłyście mnie tu na próżno.

Wstaje z kanapy.

– Możecie mnie odwieźć?

Nina wybucha płaczem. Étienne siada z powrotem. Ściska filiżankę z kawą tak mocno, że aż bieleją mu palce. Kilka razy przełyka ślinę.

Podchodzę do Niny, dotykam jej ramienia. Nie odpycha mnie, nie ma siły.

– Nina, dlaczego chciałaś, żebym was tu przywiozła? Co mam zrobić?

– Chcę, żebyśmy pojechały z Étienne’em.

Odwracam się i patrzę na niego. Wciąż siedzi nieruchomo. Wygląda strasznie.

– Chcesz, żebyśmy z tobą pojechały? – pytam.

– Ale ja będę prowadził.

59

1999

Cztery lata po ślubie.

Nina ma dopiero dwadzieścia trzy lata, a wygląda na trzydzieści. Od dwóch lat Emmanuel stara się zrobić jej dziecko. Ona wciąż nie chce.

Przechodzi terapie hormonalne, żeby zwiększyć płodność, ale nic się nie dzieje. Bierze leki, od których tyje. Ma mdłości. Napuchniętą twarz. Już nie przegląda się w lustrze. Oboje mieli mnóstwo różnych badań i analiz; wszystko wydaje się w porządku. Oprócz nich.

Nina nie dzwoni już co tydzień do Adriena i Étienne’a. Trochę się wszystko posypało. W tę niedzielę nie dała rady, bo nie było jej w domu, w następną, bo zapomniała albo była chora. Słowa na usprawiedliwienie nieobecności w życiu. Kiedy rozłąka staje się czymś zwyczajnym. Te wszystkie: „A po co? Przecież nie jesteśmy już dziećmi”.

Poza tym każdy zawiera nowe znajomości. Étienne ma nowych kolegów. Adrien poznaje aktorów, reżyserów i pisarzy. Jego sztuka *Matki* odniosła sukces. Napisał już dwie następne, z których jedną kupił teatr Abbesses; wystawi ją jesienią. To będzie wydarzenie września 2000 roku.

Dlatego gdy rano dzwoni telefon i Nina poznaje głos Adriena, od razu myśli, że coś musiało się stać. Po co miałby do niej dzwonić w zwykły

dzień?

– Cześć, co u ciebie? – pyta Adrien.

– Dobrze, wszystko okay.

– Czemu mówisz szeptem?

– Bo kucharka słucha pod drzwiami.

– Dlaczego?

– Bo mnie nie lubi.

– Nina, wszyscy cię lubią.

– Wszyscy mnie lubili, jak byłam młoda.

– Wciąż jesteś młoda.

– Wszyscy mnie lubili, jak byłam mała, jeśli wolisz. Dlaczego dzwonisz? Coś się stało? – Nina wstrzymuje oddech.

– Nie.

– A Étienne?

– Też w porządku.

– No to dlaczego dzwonisz, Adrien? Przecież dziś nie jest niedziela.

– W nocy coś mi się przypomniało.

– Co?

– Ukryłem torbę w firmie Damamme’ów.

– Jaką torbę?

– Torbę twojego dziadka.

– Słucham?

– Znalazłem ją w dniu wypadku, leżała na ławce. Ktoś ją tam odłożył w tym zamieszaniu. Zabrałem ją. A kiedy przyjechałem do Damamme’ów, żeby cię zabrać do Marsylii, zanim wszedłem do twojego biura, schowałem ją w którymś z pokoi, wrzuciłem na jakąś półkę.

– Adrien, to było pięć lat temu! Dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Zapomniałem. Ale dziś mi się to przyśniło. To był taki dziwny sen… Jakby…

– Jakby co?

– Przyśnił mi się twój dziadek. Mówił… Poprosił, żebym ci to powiedział. Żebyś ją odszukała, tę torbę.

„Drzwi trochę mniejsze od innych, niedaleko tego pokoju, w którym pracowałaś tamtego dnia. Wszędzie stały pudła i pudełka, pamiętam plakat przypięty pinezkami do ściany, góry, może jezioro, w każdym razie pejzaż”.

Wskazówki Adriena okazały się dobre. Nina nie szukała długo. Wskoczyła na stół i od razu ją zobaczyła.

Nietknięta. Śpi tu od pięciu lat, w cieniu, pokryta kurzem, na piątej półce przy ścianie po lewej stronie. Jest częściowo zgnieciona.

Nina aż drży z przejęcia. Zastanawia się, nie ma odwagi jej otworzyć. Od czasu do czasu pewnie widać było torbę w świetle wiszącej u sufitu gołej żarówki, ale widocznie dawno nie trafiło tu żadne pudło z archiwalnymi dokumentami. Miejsce jest niedostępne. Jak Adrienowi udało się wsadzić torbę tak wysoko?

Później jej opowie, że wrzucił ją tam siłą rozpaczy.

Nina głaszcze skórę. Dziadek umarł, zanim przeszedł wszystkie ulice. To znaczy, że w torbie zostały listy. Przyciska ją do siebie, ukrywa pod płaszczem i wychodzi, odprowadzana ciekawskim spojrzeniem dawnej koleżanki, Claudine. To jedyna osoba, na którą się natknęła, wchodząc z bijącym sercem do biura Damamme’ów. Nina powiedziała, że przyszła po starą torbę, którą zostawiła tu jeszcze przed ślubem, kiedy pracowała z Yves’em-Marie Le Camusem. Mówiła bez przerwy, podczas gdy tamta jej się przyglądała. Widać było, że na początku jej nie poznała.

– Znalazła pani?

Nina podskakuje. Prawie zapomniała o obecności Claudine.

– Tak, dziękuję bardzo. Proszę nie mówić Emmanuelowi… mojemu mężowi, że tu byłam, to ma być niespodzianka.

– Będę milczeć jak głaz! Ale pięknie wyglądaliście w dniu ślubu!

Nina czuje, że Claudine taksuje ją wzrokiem. Co zostało z młodego, pełnego wdzięku łabędzia? Nawet nie pamięta, gdzie jest jej śliczna suknia ślubna koloru kości słoniowej. Pewnie gdzieś leży, wciśnięta między pudła; przeżyła dwie przeprowadzki, dwa razy układanie wszystkiego od nowa, dwie nowe szafy. Emmanuel ma obsesję na punkcie ciągłych zmian: kupowania nowych mebli, pozbywania się starych, przestawiania czegoś. Rozpalania ognisk w ogrodzie, żeby pozbyć się „starych gratów”.

– O słodki Jezu, pani jest w ciąży! – wykrzykuje Claudine, przyglądając się zaokrąglonym kształtom Niny, w tym torbie ukrytej na brzuchu pod długim płaszczem.

Nina nie może wydusić słowa. Blednie, spuszcza wzrok i szepcze:

– Nie! Do widzenia!

Ucieka jak złodziejka, wsiada do samochodu, rusza, wyjeżdża z parkingu, oby tylko nie spotkać Emmanuela. Chociaż wie, że mąż wyjechał służbowo.

Na początku, gdy go nie było, usychała z tęsknoty. Teraz cieszy się, kiedy pakuje mu walizkę na tydzień. Czeka ją spokój, ulga. Ciężar w żołądku znika. Nina nie pracuje, ale ciągle jest zmęczona.

Położyła torbę dziadka na miejscu pasażera. Ma uczucie, że dziadek siedzi przy niej, zniszczony, jakby spłaszczony. Oto co zostało po człowieku: dowód jego tragicznego odejścia. Ponieważ matka wszystko zabrała, Nina nie ma żadnej pamiątki po dziadku, tylko wspomnienia. Nie ma nawet jego ubrań. Na szczęście schowała do pudełka starą fotografię: zdjęcie ślubne dziadków.

Pod koniec Pierre wychodził do pracy z dwiema torbami: w jednej miał przesyłki polecone, w drugiej zwykłe listy. Obok niej leży ta druga. To z niej wyciągała listy, by je po kryjomu czytać.

Może to właśnie matka zostawiła jej w spadku: skłonność do kradzieży. Normalnie powinna pójść z torbą na pocztę albo na policję i ją oddać. Ale nigdy tego nie zrobi.

*

Étienne już dawno ma za sobą swoje pierwsze przesłuchanie. Dzisiejsze prowadzi komisarz Giraud. Chociaż Étienne jest po dyplomie, stoi z boku, obserwuje.

Banalna historia kradzieży kieszonkowej. Dwie wzbudzające zaufanie drobne panny. Małolaty o twarzach aniołków, porządnie ubrane. Jedna zatrzymuje przechodnia, pyta o drogę albo godzinę, a druga w tym czasie obrabia mu kieszenie lub torbę. Forsa, szlugi, skórzane portfele, zegarki, tylko to je interesuje. Dokumenty nie, wyrzucają je do śmietnika. Od dwóch lat coraz więcej osób używa telefonów komórkowych, a upowszechnienie tych urządzeń przyczyniło się do powstania w Lyonie czarnego rynku. Komisarz ma nadzieję, że te dwie pomogą im trafić na trop siatki, która handluje komórkami.

Nastolatki przyłapał na gorącym uczynku strażnik w luksusowym butiku. Ręka w torbie od Vuittona. Próbowały uciec, broniły się, walczyły. Dopiero dwóch silnych facetów zdołało je opanować i dostarczyć do komisariatu.

Jednomyślnie wszystkiemu zaprzeczają: „Mylicie nas z kimś innym”.

A przecież od wielu miesięcy działają wokół parku de la Tête d’Or. Zostały rozpoznane, odpowiadają portretom pamięciowym. Émilie Rave i Sabrina Berger.

Émilie wydaje się mózgiem tej pary. Bezczelna, bez przerwy się uśmiecha, gdy komisarz zadaje jej pytania. Patrzy wyzywająco na Étienne’a, odkąd wszedł do pokoju. Sabrina zachowuje się z rezerwą, milczy, spuszcza oczy, nie bierze udziału w rozmowie.

Ponieważ obie są małoletnie, mają adwokata. Nie są to zwykłe złodziejki, których policjanci łapią na pęczki, to dziewczyny z dobrych domów, córki bogatych ludzi, które bawią się w Arsène’a Lupina i zachowują jak luksusowe prostytutki. Aż ma się ochotę im przywalić.

Lada chwila zjawią się ich rodzice.

Étienne, odkąd pracuje w policji, słyszał już wszystko: „Proszę pana, jestem niewinny. To te głosy, które słyszę w głowie, one mi rozkazują”. „Nie zrobiłem tego celowo. Ja nie chciałem… Myli się pan, to nie ja, to mój brat bliźniak, to on…”

„Nie masz żadnego brata”.

„Mam, proszę pana, właściwie to mój kuzyn, podobny do mnie jak dwie krople wody… wszyscy to panu powiedzą… byłem pijany, nic nie pamiętam, urwał mi się film, jestem lunatykiem…”

I zawsze: „Przysięgam, to ostatni raz!”.

Ile razy Étienne słyszał to zdanie…

– Dobrze, wszystko powiem – mówi w końcu Émilie. – Ale chcę zostać sama z nim.

Wskazuje ręką Étienne’a. Wszystkie spojrzenia kierują się na niego.

– Nie wydaje mi się, żebyś ze swojej pozycji mogła czegokolwiek chcieć – mówi natychmiast Étienne.

– Co do pozycji, to mam swój pomysł! – rzuca małolata.

– Przestań! Masz jeszcze mleko pod nosem!

– Zostaw mój nos w spokoju, mam inne pomysły!

– Dość tego! – krzyczy komisarz Giraud. – To nie zabawa! Grozi wam więzienie, moje panny!

– Jesteśmy nieletnie. – Émilie przewraca oczami. – Nic nam nie grozi.

– Żartujesz, dziewczynko! – mówi Étienne. – Wysyłaliśmy już nieletnich do więzienia. Normalnie takie dzieciaki nie siedzą razem z dorosłymi, ale wierz mi, cele są bardzo blisko siebie… Na twoim miejscu przyznałbym się, chyba że masz ochotę spotkać się z dobrymi kobietami, które nauczą cię życia!

– Proszę się pohamować! – przerywa mu adwokat.

Étienne nie zwraca na niego uwagi, nie spuszcza wzroku z dwóch dziewczyn. Przechodzi od jednej do drugiej. Giraud zostawia mu wolną rękę. Ma całkowite zaufanie do młodego kolegi, który umie wymóc zeznania nawet na twardzielach. Te dziewczynki to dla niego spacerek. Étienne potrafi być bezwzględny. Nigdy nie daje się ponieść emocjom. Wystarczy jego stalowoniebieskie chłodne spojrzenie.

– Komu sprzedajecie telefony komórkowe? – pyta.

Émilie już się nie uśmiecha, ale nie spuszcza wzroku, patrzy wyzywająco.

– Mój ojciec nie pozwoli, żebym poszła siedzieć – mówi po chwili.

– Twój ojciec nie ma nic do powiedzenia – odpowiada Étienne. – Staniesz przed sędzią dla nieletnich. Jest tu taka, prawdziwa menda. Jak tylko zobaczy ten twój uśmieszek… Panie mecenasie, powinien pan wyjaśnić swoim klientkom, że dużo ryzykują. Mamy mnóstwo świadków, którzy widzieli je w akcji, i w każdej chwili możemy przeprowadzić oficjalne rozpoznanie. Ten ich interes kręci się od miesięcy. Rewizja w domu, konfrontacja z ofiarami. Będzie ciężko. Chyba że powiedzą, komu to sprzedają.

Godzinę później sprawa jest załatwiona. Protokół z przesłuchania napisze za Étienne’a koleżanka, taki ma z nią układ. On nienawidzi papierkowej roboty. W zamian oddaje jej przysługi, dzwoni do informatorów.

Lubi robić przeszukania, prowadzić dochodzenia, a nie pisać na maszynie. Nawet jeśli w komisariacie jest już kilka komputerów, on woli pracować w terenie. Włóczyć się po barach, wypytywać, obserwować, śledzić. Tam jest jego miejsce.

Teraz siedzi na własnej kanapie i pije piwo, słuchając *Where Is My Mind*. Uwielbia ten kawałek Pixies. Słucha go w kółko, myśląc o Ninie, o ich dawnych muzycznych planach. Krótko mówiąc, o marzeniach.

Otwiera drugą puszkę, myśląc, że najbardziej kręci go przesłuchiwanie podejrzanych kobiet. Takie siusiumajtki nie zdarzają się często, ale przyjemnie się z nich wyciska zeznania. Nie trzeba być psychologiem, żeby się domyślić, że ma to związek z Clotilde. Osobista zemsta, której dokonuje od pięciu lat.

Nie opuszcza go obraz samochodu wpadającego do ciemnej wody Leśnego Stawu. Samochód. Widział go naprawdę czy tylko mu się zdawało? Jeśli naprawdę, to do kogo on należał? Czy w środku ktoś był? Kto wjechał nim do jeziora? Ona? Clotilde nie miała ani prawa jazdy, ani samochodu. Czy w ogóle widział kogoś za kierownicą? Może jakiś cień. Dlaczego nie powiedział żandarmom w La Comelle, że pływali razem tamtego wieczoru i że zasnął na trawie obok Clotilde? Whisky, zmęczenie, emocje po porannym pogrzebie Pierre’a.

Mógł przynajmniej powiedzieć, że widział samochód w wodzie.

I ten okrągły brzuch.

60

25 grudnia 2017

Adrien zatrzymał się na stacji benzynowej. Siedzi na ławce obok koszy na śmieci, które służą za popielniczki. W oddali buja się na wietrze huśtawka opuszczona przez dzieci. Otulony grubym płaszczem, pali papierosa w lodowatym powietrzu. Rano podwędził Louise paczkę. Znalazł ją teraz w kieszeni, z różową jak cukierek zapalniczką w środku. Już od dawna nie zaciągnął się szlugiem. Obrzydliwe i rozkoszne.

Zimny wiatr wieje w oczy. Étienne, rak, śmierć, która czai się w pobliżu. Nikt nie jest przygotowany na śmierć przyjaciół, nawet jeśli już nie są przyjaciółmi. Myśli Adriena biegną w przeszłość.

Styczeń 1997. Są w stolicy od ponad roku. Adrien mieszka w Vincennes, Étienne przy Nation – jeszcze nie studiuje w szkole policyjnej w Cannes-Écluse. Po raz drugi wzywa Adriena na pomoc.

– Nie mogę sam tego oglądać. Musisz przyjechać. Być ze mną. Stało się. Mają mówić o sprawie Clotilde Marais.

Dziwne, że Étienne użył jej nazwiska. Jakby chciał się od niej oddalić, trzymać ją na dystans.

Chodziło o program *Perdu de vue* na TF1, nadawany w godzinach największej oglądalności.

– Rodzice Clotilde poprosili, żebyś wystąpił?

– Nie – odpowiedział Étienne z miną dziecka przyłapanego na wyjadaniu konfitur.

Adrien przyszedł do niego koło dziewiętnastej. Étienne zamówił dwie pizze, ich ulubione, dla Adriena królewską, dla siebie calzone. Swoją jak zwykle polał litrem pikantnej oliwy. Mimo okoliczności, zdenerwowania, był głodny. Étienne był zawsze głodny.

Na Adrienie zrobiło wrażenie to, że zadzwonił właśnie do niego. Czyli wciąż uważa go za przyjaciela. Nawet bez Niny. Czyli naprawdę się dla niego liczył.

Dlaczego zawsze w to wątpił?

Étienne otworzył butelkę różowego wina, włączył telewizor i wyciszył dźwięk; obejrzeli bez głosu reportaż o Arafacie, potem był Bill Clinton. Gadali o wszystkim i o niczym.

Adrien skończył pisanie *Bieli hiszpańskiej*, ale nie mówił o tym, a Étienne nie zadawał żadnych pytań o powieść, mimo że rozmawiali o niej tamtej nocy, gdy pogrzebali panieńskie życie Niny.

Potem zaczął się program. Étienne włączył dźwięk, zapalając papierosa. Oczy mu błyszczały, jakby miał gorączkę. Mieszanina strachu i podniecenia, która zaskoczyła Adriena.

Już w trakcie czołówki zrobiło się nieprzyjemnie. Jest coś niezdrowego w wykorzystywaniu nieszczęścia innych dla rozrywki.

Państwo Marais w światłach reflektorów. Siedzą obok siebie, jak oni na kanapie u Étienne’a z kieliszkiem różowego wina.

Rodzice Clotilde wyglądają niewyraźnie – dwoje rozbitków, którzy stracili nadzieję. Ojciec udręczony strachem, zawstydzony wystąpieniem przed kamerami, ale zdecydowany. „To nasza ostatnia szansa”, wymamrotała matka.

Pokazano zdjęcia Clotilde.

Prezenter zaczął wypytywać ich o córkę: Jaka była? Skryta czy otwarta? Czy zanim tak zapadła się pod ziemię, zauważyli państwo u niej jakąś zmianę? Czy zmieniło się coś w jej zachowaniu? Może była zdenerwowana? Czy zdarzyło jej się wyjechać na kilka dni bez uprzedzenia? Jest świadek, który widział ją na dworcu w La Comelle około dwudziestej drugiej. Gdzie mogła pojechać? W jakim kierunku? I jeszcze jedno: dwa tygodnie wcześniej Clotilde wyjęła wszystkie pieniądze ze swojego konta oszczędnościowego, po co według państwa?

Potem Jacques Pradel zwrócił się do kamery:

„Może się zdarzyć, że ktoś z was posiada kluczową informację, dzięki której zagadka zniknięcia Clotilde mogłaby zostać rozwiązana. Jeśli przypomnicie sobie coś, nawet drobiazg, to proszę, natychmiast się z nami skontaktujcie. A jeśli przypadkiem nasz program ogląda sama Clotilde, jeśli chce uspokoić najbliższych, może od razu wykręcić numer, który pojawi się za chwilę w dole ekranu. Zapewniamy całkowitą anonimowość”.

Rozpoczyna się reportaż:

„La Comelle, niewielkie miasteczko w departamencie Saona i Loara. Właśnie tutaj, w samym sercu spokojnej Burgundii, siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku zniknęła osiemnastoletnia Clotilde Marais. Od dwóch i pół roku bliscy nie otrzymali od niej żadnych wieści, najmniejszego znaku życia”.

Étienne i Adrien ujrzeli sfilmowane ulice La Comelle, potem dom państwa Marais, w końcu pokój Clotilde. Kiedy Étienne zobaczył rząd lalek ustawionych na patchworkowej kapie, pobiegł do toalety zwymiotować pizzę.

Adrien nie wiedział, co powiedzieć. Nie umiał znaleźć słów. Étienne wydusił z siebie, wracając do pokoju:

– Jestem zbyt wrażliwy jak na przyszłego glinę, muszę się zahartować.

– Mam wyłączyć telewizor?

Étienne złapał się za głowę.

– Nie, zostaw… Kurwa, co ona narobiła?

– Kto?

– Clotilde…

Ale ze mnie dureń, myśli Adrien. Co za idiotyczne pytanie.

Nie lubił Clotilde. Kiedy mijali się w szkole albo na imprezie, ledwo zamieniali kilka słów. On był dla niej niegodnym uwagi prostakiem, a ona w ogóle nie była w jego typie. Sztuczna, wciąż się popisywała, głośno mówiła, głośno się śmiała, była wulgarna. Mocne spojrzenie, zaciśnięte usta. Pozbawiona wszelkiej delikatności, tego piękna inteligencji, którym były obdarzone Nina i Louise.

W gruncie rzeczy Adrien miał gdzieś, co się z nią stało. Był przekonany, że tego rodzaju dziewczyna zniknie choćby po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. Że któregoś dnia pojawi się pod rękę z jakimś księciem, z guru albo w hipisowskiej komunie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że naprawdę mogło jej się coś stać. Że jej zniknięcie mogłoby się wiązać z jakąś tragedią. Chciała się popisać, to wszystko. Pewnie się śmieje, siedząc gdzieś spokojnie przed telewizorem.

Ale bał się o Étienne’a, którego ten wypadek wprowadził w dziwny stan. Adrien nie zdawał sobie sprawy, że przyjacielowi tak zależało na tej lasce.

Tymczasem w programie nastąpił zwrot akcji. Jacques Pradel oznajmił, że ktoś, kto chce pozostać anonimowy, poinformował ich, że wieczór siedemnastego sierpnia 1994 roku Clotilde spędziła „ze swoim ówczesnym chłopakiem”. Należy to sprawdzić, ponieważ stoi to w sprzeczności z wcześniejszym twierdzeniem, jakoby Clotilde była widziana na dworcu.

Kim więc był ten chłopak wyciągnięty z kapelusza?

Odezwała się matka Clotilde:

„Ten chłopiec był umówiony z córką, czekał na nią, ale nie przyszła na spotkanie”.

Posypały się pytania.

Dlaczego nie przyszła? Czy spotkała kogoś po drodze i zmieniła zamiar? Czy ktoś ją napadł, porwał? Ale przecież pierwszy świadek, który się pojawił, utrzymywał, że z całą pewnością widział ją na dworcu.

W studiu telewizyjnym wszyscy płaczą.

Adrien przestał słuchać i oglądać. Ręce mu się trzęsły. Étienne dosłownie rozpadł się na kawałki, kiedy prezenter wspomniał o randce Clotilde z „jej chłopakiem”.

Nagle Adrien jakby się obudził. Najpierw niepewność, potem olśnienie: Étienne spotkał się z Clotilde tamtego wieczoru! Coś musiało się wydarzyć. Coś nieodwracalnego. Inaczej nie reagowałby w taki sposób, nie byłby tak przerażony, spięty. Twarz wykrzywiona strachem, ciągła obsesja…

– Étienne, co ty zrobiłeś?

– Nic. Nic nie zrobiłem. Przysięgam.

– Ale… widziałeś się z nią tamtego wieczoru?

– Tak.

Długa cisza. Patrzą na siebie w napięciu.

– Pokłóciliście się?

– Popływaliśmy… poprzytulaliśmy się trochę… Zasnąłem. A potem… Potem już nic.

– Nic? Jak to „nic”?

– Kiedy się obudziłem, jej już nie było.

– Pierdolisz, Étienne, pierdolisz, okłamujesz mnie!

– Nie!

– Coś jej zrobiłeś?

– Nie, przysięgam.

– Wypadek?

– Nie!

– Ale… To jakiś koszmar!

– Tak… Na początku myślałem, że faktycznie gdzieś uciekła. Ale ona już nigdy nie dała znaku życia.

– Co to za świadek, który widział ją na dworcu?

– Nie mam pojęcia.

– O której godzinie przyszła nad jezioro?

– Nie wiem. Nie miałem zegarka. Może między ósmą a dziewiątą.

– Ktoś was widział?

– Raczej nie.

– Mówiłeś o tym komuś? Ninie?

– Nikomu. Dopiero tobie. Nigdy nikomu nie powiedziałem, że tamtego wieczoru spotkałem się z Clotilde. I nawet na torturach nikomu nigdy o tym nie powiem.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego nigdy nikomu nie powiedziałeś?

– Nie chcę skończyć w więzieniu.

– Dlaczego miałbyś skończyć w więzieniu?

– Jestem idealnym podejrzanym… Chłopak, narzeczony to zawsze idealny podejrzany. Zwłaszcza że…

– Zwłaszcza że co, Étienne? – spytał Adrien i poczuł, że skoczył w przepaść. Co usłyszy zaraz z ust Étienne’a?

Po raz pierwszy poczuł się od niego silniejszy. Mniej wrażliwy.

– Ona była w ciąży.

61

1999

Nina wchodzi do domu. Nikogo nie ma. Ulga. „Kucharka”, jak nazywa ostatnio Nathalie, poszła po zakupy.

Emmanuel wraca dopiero za dwa dni.

Nina stawia torbę z listami na stole w kuchni. Ma wrażenie, jakby w martwym domu pojawił się skarb.

Na początku zauroczyły ją czyste podłogi i dywany, wyprasowana bielizna ułożona w szafach i gorące posiłki na nakrytym stole. Ale ten luksus ma swoją cenę: całkowity brak prywatności. Kucharka wchodzi do nich, kiedy chce, bez pukania. Nina może natknąć się na nią wszędzie, o każdej godzinie. Ile razy o mało nie zemdlała ze strachu, wpadając nagle na tę kobietę ze ścierką? Nie może jej znieść. Chciałaby, żeby szlag ją trafił. Nathalie mogłaby już iść na emeryturę, ale jest przyssana do Emmanuela Damamme’a jak ostryga do skały – nigdy się od niego nie odklei.

Nina jest przekonana, że gdy mąż wyjeżdża, każe Nathalie ją śledzić: „Liczę na panią, proszę się zaopiekować Niną, jest taka młoda…”. Młoda czy nierozsądna? Jakiego słowa używa?

Próbowała powiedzieć mężowi, że wolałaby, by Nathalie uprzedzała, zanim do nich wejdzie, ale najpierw się uśmiechnął, a potem ją ofuknął:

„Ona jest częścią tego domu, jest przywiązana, to skarb, mamy wielkie szczęście. Przestań grymasić, w gruncie rzeczy jesteś rozpieszczona”.

A co by dopiero było, gdyby zaszła w ciążę? Straszna perspektywa. Kucharka bez przerwy siedziałaby jej na głowie. Nie do zniesienia. A poza tym dziecko z nim, jego dziecko, uwięziłoby ją w tym domu na zawsze. Teraz ma przynajmniej promyk nadziei, że kiedyś uda jej się uciec. Nie tyle odejść, co właśnie uciec. Boi się tej myśli, ale ona istnieje, jak wyspa nadziei. Choć dziś wyspa wydaje się niedostępna, podróż niemożliwa. Lecz może kiedyś…

Żeby to wszystko wytrzymać, wypija co wieczór przynajmniej trzy drinki. Zdaje sobie sprawę, że się niszczy, ale tylko tak potrafi uśmierzyć ból. Alkohol czyni znośnym nieznośne, pomaga spokojnie czekać na powrót Emmanuela. Pierwszy kieliszek wypija koło piątej. Całkiem spory. Drugi o szóstej, trzeci pół godziny później. W ten sposób, kiedy mąż wraca, Nina z promienną miną ssie cukierka.

Kolacja. Przyjemna wymiana słów, na twarzy maska uśmiechu. Musi przekonać Emmanuela, że wszystko jest dobrze, że dzięki niemu jej życie jest piękne. Potem idą spać, zawsze razem, ona za nim. Wie, że Emmanuel sprawdza, czy wzięła lekarstwa leżące na stoliku nocnym. To lekarstwa stymulujące owulację.

Dopiero gdy słyszy szum jego elektrycznej szczoteczki do zębów, bierze tabletkę antykoncepcyjną. Nigdy nie zachowuje oryginalnego opakowania. Co trzy miesiące odnawia receptę u lekarza, który przyjmuje daleko od centrum miasta i nie zadaje zbędnych pytań. Nina płaci za wizytę gotówką i nie stara się o refundację. Zaraz po wyjściu z apteki wyłuskuje tabletki z listka i wrzuca je do torebeczki, w której trzyma granulki homeopatyczne, aspirynę i maść do ust.

Ta nieprawdopodobna mieszanka hormonów i alkoholu powoduje, że z dnia na dzień Nina brzydnie, nie przypomina już siebie. Walczy, wyniszczając się. Ale walczy.

Nie ma z kim o tym porozmawiać. Nie ma już przyjaciół. Étienne i Adrien wyjechali. Louise też. Przedtem miała jeszcze Joséphine, spotykały się na kawę i dzięki temu nabierała trochę chęci do życia. Ale to się skończyło. Rodzice Étienne'a, Marie-Laure i Marc Beaulieu, są cały dzień poza domem, pracują. A odkąd Emmanuel przejął zarząd spółki, jej teściowie siedzą w Maroku. Gé dzwoni do Niny co tydzień; odbywają banalną rozmowę, kilka tytułów książek, które warto przeczytać, miły, ciepły dystans. Ale jak powiedzieć matce, że jej syn jest zaborczym despotą? Że cię wykańcza?

Zostaje jeszcze ten jeden weekend w miesiącu, gdy z Lyonu zjeżdżają się przyjaciele, ale to przyjaciele Emmanuela, nie jej. Mili, przyjemnie się ich gości, zawsze grzecznie się do niej odnoszą. Ale kiedy wyjeżdżają, Nina nigdy za nimi nie tęskni. Odwrotnie niż za Étienne'em i Adrienem.

Znów z miłością przesuwa dłonią po torbie dziadka. W końcu otwiera ją, przy okazji widzi swoje spuchnięte palce. Jak mogła tak nisko upaść? Zgodzić się na te wszystkie kuracje, które nie leczą niczego poza pustką jej małżeństwa z Emmanuelem?

Białe koperty lekko pożółkły. Ponad setka listów i kartek pocztowych. Wszystkie mają pieczątkę z datą jedenastego sierpnia 1994 roku. Dzień przed wypadkiem.

Setki słów od pięciu lat śpiących w torbie listonosza. Zdania, w których ludzie dzielą się wrażeniami z wakacji. Powinna te listy roznieść do adresatów. Poczta, która nadchodzi z pięcioletnim opóźnieniem… tego jeszcze nie było.

Przede wszystkim jednak musi schować gdzieś tę torbę. Żeby nie znaleźli jej ani Emmanuel, ani kucharka. U siebie w pokoju, za sukienkami w garderobie? Nie. Zbyt ryzykowne. Jedyne miejsce, w którym Nina może zamknąć się na klucz, to łazienka przy sypialni. Jej bezpieczna przystań, gdy chce poczytać w wannie. Może wysypać zawartość torby – z wyjątkiem rachunków, te jej nie obchodzą – na trzy ręczniki kąpielowe, zawinąć je i wsunąć między inne na półkę nad wanną.

Wraca do samochodu, wrzuca torbę do bagażnika i zamyka go na klucz.

Czuje się jak recydywistka na zwolnieniu warunkowym.

Zadaje sobie pytanie, czy dzisiaj dziadek pozwoliłby jej przeczytać te listy. Czy w tym wypadku działa przedawnienie? Może ich przeznaczeniem było skończyć na półce u Damamme’ów? Może nigdy nie miały być dostarczone, a tym bardziej przeczytane? Co zrobić, żeby dziadek się odezwał? Gdzie ma szukać znaku, czy dziadek się zgadza, czy nie?

Dzwoni telefon. Znów Adrien. Dwa telefony tego samego dnia od człowieka, którego głos słyszy ostatnio coraz rzadziej.

– Znalazłaś ją? – pyta niecierpliwie.

– Tak.

– Nikt jej nie dotknął przez ten cały czas?

– Nie.

– Nie do wiary! Gdzie ją schowałaś?

– Do bagażnika w moim samochodzie.

– W środku są listy?

– Tak, cała kupa.

– Będziesz je czytać?

– Nie wiem… Nie jestem już dzieckiem. A poza tym to byłaby kradzież.

– Nie kradzież, pożyczka.

– Co?

– To jakby pożyczyć od kogoś na chwilę starą historię, a potem mu ją oddać…

– Kiedyś byś tak nie powiedział.

– Kiedyś to przeszłość, było, minęło. Teraz dostałaś prezent od dziadka. On tak chciał. Inaczej by mi się nie przyśnił i nie przypomniałbym sobie tego.

– Tak uważasz?

– Tak.

– Gdybym w końcu przeniosła się do Paryża, pomógłbyś mi?

– Dlaczego? Co się stało? Nie możecie się dogadać, co? – zapytał wyniosłym tonem. Zabrzmiało to jak: „A nie mówiłem?”.

– Nie, tak tylko pytam.

Adrien milczy. Krępująca cisza. W końcu przerywa ją Nina.

– Zdajesz sobie sprawę, że niedługo będzie dwutysięczny rok? – mówi. – Chyba zaczynamy się od siebie oddalać.

– Skąd, Nina, nie przesadzaj! – odpowiada Adrien prawie z gniewem.

– Nie przesadzam. Myślisz, że będziemy razem witać nowy rok?

– Jeszcze nie wiem. Muszę kończyć, robota czeka, nie jestem sam.

– Dobra. Ale, Adrien, przysięgnij, że razem przywitamy rok dwutysięczny!

– Przysięgam.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Całuję cię mocno.

– Ja też, no to pa!

Nina wraca do łazienki. Zamyka się na klucz. Puszcza wodę do wanny. Bierze jeden z trzech ręczników, rozkłada go. Dziesiątki listów spadają na posadzkę. Wyciąga jeden na chybił trafił. Przesuwa kopertę nad parą lecącą z kranu z gorącą wodą, udaje jej się otworzyć list, nie rozdzierając koperty.

Znajduje banknot dwudziestofrankowy wsunięty między dwie kartki.

Kochana dziecinko, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Kupisz sobie, co będziesz chciała. Mam nadzieję, że pogoda u Ciebie ładna. Tutaj się dusimy z upału. Bolą mnie nogi. Nie zapomnij nalać wody ptakom.

Twoja kochająca babcia

Nina zakleja kopertę z powrotem i odkłada na bok. Później wrzuci ją do skrzynki Rachel Marek, rue de la Pépinière 6. Emmanuela wieczorem nie będzie, więc jak zrobi się ciemno, rozniesie to, co zdąży przeczytać. Z wyjątkiem złych nowin – z pięcioletnim opóźnieniem to nie miałoby sensu.

Otwiera i zakleja koperty. Przeczytane odkłada na stosik do rozniesienia; zacznie dziś wieczorem. Czyta listy na głos, jakby dziadek siedział koło niej i słuchał. Zdarzało się, że Pierre Beau czytał listy adresatom, jeśli go o to poprosili. Często ludzie nie wiedzieli, od kogo przyszło to oficjalne pismo, albo nie rozumieli jego treści. „Panie listonoszu, co to znaczy?”, pytali.

Jest dwudziesta pierwsza, kiedy Nina kładzie na siedzeniu pasażera jakieś dwadzieścia listów i wsiada do samochodu. Na pewno pojutrze kucharka opowie Emmanuelowi, że żona wyszła po kolacji. Żeby zapobiec serii podchwytliwych pytań między kieliszkiem likieru gruszkowego na trawienie a serami, informuje Nathalie, że idzie do klubu fitness na uroczysty kieliszek wina z okazji urodzin jednego z głównych trenerów.

Klub fitness, akurat! Nie postawiła tam stopy od ponad dwóch lat. Ale wciąż płaci abonament za dwa treningi tygodniowo. Parkuje przed klubem i rusza samotnie wzdłuż rzeki.

Idzie trasą, którą dziadek miał w planie tamtego dnia. Zaczyna od place Charles-de-Gaulle, gdzie dopadła go śmierć. Słusznie jej się wydawało, że Pierre nadjeżdżał od strony rue Saint-Pierre, a nie Jean-Jaurès. Ciężarówka wymusiła pierwszeństwo i na niego wjechała. Kierowca skłamał.

Ale przecież wszyscy kłamiemy, pomyślała.

Tylko jeden adresat się wyprowadził. Nazwisko zerwane ze skrzynki, okiennice zamknięte, żwir przed drzwiami zarośnięty trawą. Nina i tak wrzuca do skrzynki pocztówkę, którą Jacques Laurent powinien dostać dwunastego sierpnia 1994 roku.

Drogi Jacques'u,

wracając z południa, wpadnę do Twojej dziury, musimy się spotkać! Nie mogę się doczekać wspólnej wyprawy na ryby. U Ciebie, o ile pamiętam, nie ma nic innego do roboty. Przygotuj zimne piwo, wstaw już teraz do lodówki i wyczyść grilla. Przywiozę gitarę jak za dawnych dobrych czasów.

Ściskam Cię, przyjacielu!

Sergio

Nina kończy obchód o dwudziestej trzeciej. Niechętnie wraca do domu. Zrobiła trasę, którą dziadek powinien zrobić tamtego dnia, ale nie zdążył przez tę cholerną ciężarówkę.

Zostało jeszcze do rozniesienia około setki listów. Na razie idzie na górę do sypialni położyć się. Co za ulga, że nie ma Emmanuela!

Na początku, gdy wyjeżdżał, dzwonił do niej co godzinę. „Wszystko dobrze, kochanie? Co robisz? Jak jesteś dzisiaj ubrana? Tak za tobą tęsknię…”

Teraz mówi, że dojechał, i koniec.

Na Boże Narodzenie dostała komórkę. „W ten sposób w każdej chwili będziemy mogli do siebie dzwonić”.

Koszmar. Cały czas pod telefonem! Co w tym fajnego?

Wolałaby dostać psa. Nie, przy dziecku to byłoby niehigieniczne. A poza tym nie uważasz, że Nathalie ma już wystarczająco dużo pracy? Wyobrażasz sobie psią sierść w całym domu? Bo ty oczywiście pozwoliłabyś mu wskakiwać na kanapy.

Po śmierci Joséphine Emmanuel sprzedał dom dziadka. „Ten dom nie jest już nikomu potrzebny”, powiedział.

Oba koty trafiły do rodziny Beaulieu. „Nie ma mowy, żebyśmy je wzięli, wiesz, że mam alergię”.

Marie-Laure obiecała jej, że się nimi zajmie.

Leżąc w łóżku, Nina w myślach idzie do łazienki, rozkłada ręcznik i wyrzuca na podłogę kolejne listy. Wywołuje ducha dziadka. Przenosi się do sierpnia 1994 roku, kiedy Étienne i Adrien trzymali ją jeszcze za ręce.

62

25 grudnia 2017

Odstawiłam Étienne’a i Ninę pod schronisko. Wyjeżdżamy jutro rano.

Mam jeden dzień, żeby się zorganizować.

Powiedziałam „tak”, zgodziłam się pojechać z nimi, towarzyszyć Étienne’owi w tej „wycieczce nad morze”.

Wszyscy składamy się z wielu „tak” i wielu „nie”. Już od dawna mówię wszystkim „nie”. Ale Nina mnie potrzebuje. Uśmiechnęła się, gdy powiedziałam „tak”. Na ten uśmiech czekałam od lat.

Jadę bez celu, myśląc, że odkąd tu wróciłam, nikomu jeszcze nie zostawiłam kluczy od domu.

Nina dała mi numer telefonu wolontariuszki, opiekunki zwierząt. „Osoba godna zaufania”, zapewniła.

Umówiłam się z nią na późne popołudnie. Tak jak prawie wszyscy spędza Boże Narodzenie z rodziną.

*

Marie-Laure i Marc Beaulieu kręcą się w kuchni.

Marie-Castille nakrywa stół, zapala świece, rozstawia ozdobne figurki i kryształowe kieliszki na złotym papierowym obrusie.

Przez okno widzi, że Louise podjeżdża samochodem jej męża, obok siedzi Valentin.

Gdzie jest Étienne?

Valentin wpada do domu jak pocisk i nie pozwala jej otworzyć ust, od razu mówi:

– Tata jest z przyjaciółmi, niedługo przyjdzie.

– Co to za przyjaciele?

– Nina i jeszcze ktoś.

– Kto?

– Nie znam.

– Gdzie jest twój ojciec, Valentin?

– Mówię ci, że poszedł na drinka.

– Dokąd?

– Nie wiem, mamo! – rzuca chłopiec z miną, która ma pokazać matce, że wygrała.

Marie-Castille spogląda pytająco na szwagierkę. Louise spuszcza wzrok i wiesza płaszcz na wieszaku

– Gdzie jest Étienne? – nie rezygnuje Marie-Castille.

– Zaraz przyjdzie.

– O co się rano pokłóciliście?

– Chciałam, żeby się z kimś spotkał.

– Z kim?

– Czy muszę ci odpowiadać? Nie jesteśmy na komendzie! – irytuje się Louise. Jest u kresu sił.

Odpowiedziała ostrzej, niż zamierzała. Marie-Castille patrzy na nią zdumiona. Louise, przełykając łzy, idzie na górę do swojego pokoju.

Marie-Castille dzwoni na komórkę Étienne’a; odpowiada jej poczta głosowa.

– Valentin! Gdzie byliście?

Chłopiec wychodzi z kuchni.

– W schronisku, poprosiłem tatę, żeby ze mną pojechał.

– Po co?

– Chciałem mu coś pokazać.

– Co? Mówiłam ci, że nie chcę w domu żadnych kundli!

Valentin patrzy na nią jak na wariatkę.

– To niespodzianka dla babci – mówi w końcu cicho.

– Jaka niespodzianka?

– Chciałem jej dać na Gwiazdkę małego kotka – szepcze matce do ucha.

Marie-Castille krzywi się z powątpiewaniem i wraca do nakrywania świątecznego stołu.

Nie lubi przyjeżdżać do La Comelle. Woli Lyon. Tam zna wszystkich kolegów Étienne’a, to gliniarze, dobrzy kumple. Nie lubi, kiedy mąż spotyka się z Niną. Nie lubi nie panować nad sytuacją. A nad jego wspomnieniami nie ma żadnej kontroli. Te portrety Étienne’a naszkicowane węglem, które Marie-Laure porozwieszała na wszystkich ścianach… Chętnie by je pozrywała.

– Valentin! – woła teraz z jadalni. – Czy ojciec wróci z Niną? Czy ona zostanie na kolacji?

– Nie, Nina idzie do swojego ukochanego! – odkrzykuje chłopak.

– Ach, tak? Nina ma jakiegoś ukochanego?

– Tak.

– Powiedziała ci?

– Nie, wiem od Simone.

– Kto to jest Simone?

– Pani, która pracuje w schronisku. Dziś adoptowała psa. Nazywa się Piernik, jak ciasto.

Marie-Castille jest tak wzburzona, że kieliszek wypada jej z dłoni. Ma ochotę się popłakać. Nie! Nie na oczach syna, który pomaga jej zbierać stłuczone szkło.

– Uważaj, kochanie, nie skalecz się – mówi spokojnie.

Musi się opanować. Nie ma powodu do zdenerwowania. Mąż po prostu spotkał się na drinka z przyjaciółmi z dzieciństwa. Przygląda się Valentinowi. Syn jest smutny. Jakiś blady. Może coś zjadł?

– Jak się czujesz, skarbie? – pyta.

– Okay.

– Boli cię brzuch?

– Nie.

– Kochanie…

– Tak, mamo?

– To nie tak, że ja nie chcę psa. Ale dobrze wiesz, że ani taty, ani mnie nie ma w ciągu dnia w domu. Pies nie byłby u nas szczęśliwy.

– Wiem.

– Chyba że…

– Chyba że co?

Valentin zdmuchuje z czoła niesforny kosmyk. Wbija w matkę swoje piękne oczy. Jak tu zrobić w tył zwrot, zastanawia się Marie-Castille. Ale właściwie co jej szkodzi.

– Chyba że znajdziemy kogoś, kto się nim zajmie.

– Nie rozumiem.

– Taką nianię. Istnieją nianie dla psów, prawda? Siedziałaby z nim w ciągu dnia, wyprowadzała go, a po powrocie ze szkoły ty byś przejmował pałeczkę.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.

– Będziemy mieli psa?

– Tylko najpierw muszę porozmawiać z tatą… Jak wróci.

Czy on w ogóle wróci? – myśli Valentin. A gdyby wyjechał już dziś? Louise boi się, że on zniknie nagle, nikogo nie uprzedzi.

Marie-Castille widzi, jak oczy syna znów zasnuwa mgła smutku. Oczekiwała gwałtownego wybuchu radości, więc jest zawiedziona.

Cholerne Boże Narodzenie, przeklina w duchu. Na dodatek nie może się już wycofać. A tak bardzo boi się psów.

*

Étienne milczy.

– Wszystko okay? – pyta Nina.

– Taaa…

– Nic cię nie boli?

– Nie, Louise dała mi, co trzeba.

Nina parkuje sto metrów od domu państwa Beaulieu. Nie chce wchodzić i witać się z Markiem i Marie-Laure. Nie chce oglądać żony Étienne’a. Biedna kobieta, myśli.

– To do jutra.

– Taaa…

– Musisz jeszcze porozmawiać z synem.

– Wiem. Kurewskie Boże Narodzenie.

– Tak mi przykro… A żonie powiesz?

– Wykluczone.

– Dlaczego?

– Bo… Napiszę do niej. Jesteś pewna, że możesz wyjechać? A zwierzęta?

– Znajdę kogoś, kto mnie zastąpi.

– Tak czy owak, to nie będzie długo trwało.

Étienne całuje ją w policzek i wysiada, rzucając ciche: „To do jutra!”. Ale nagle zawraca.

– Nina, obiecujesz, że nie będziesz smutna? Że nie spędzimy ostatnich wspólnych dni na szlochaniu?

– Obiecuję!

Przed powrotem do domu zagląda do piekarni. Piekarz już zamyka, ale poznaje „dziewczynę ze schroniska”. Lubi ją, w zeszłym roku zaadoptował u niej kota. Nina przeprasza, że tak późno, pyta o zdrowie zwierzaka, kupuje bochenek chleba i ostatnie świąteczne ciasto, roladę z egzotycznymi owocami.

Fuj! – myśli.

– Wesołych świąt! – mówi.

W domu podkręca termostat i przejeżdża podłogi odkurzaczem. Otwiera puszkę kukurydzy, robi sos winegret. Wykłada na półmisek szparagi, na drugim kładzie dwa kawałki sera. Biegnie wziąć prysznic. Krew w żyłach krąży w przyspieszonym tempie, Nina jest podekscytowana, wypełniona obietnicami. Zmienia pościel. Rozpyla perfumy nad łóżkiem. Śmierdzą starym dezodorantem, myśli, uśmiechając się do siebie, mimo że daleko jej do śmiechu. Jest rozdarta między przeszłością i teraźniejszością. Utrata

i odnalezienie. Smutek i radość. Lęk i miłość. Stracić Étienne’a. Znaleźć Romaina. Tu, za kilka minut.

Pamięta, jak z Adrienem mówili: „Kiedy życie coś zabiera, to coś oddaje”. Ale czasem życie się myli. Źle rozdaje karty, szachruje. Okłamuje nas, zwodzi.

Nina słyszy skrzypienie furtki. Po chwili Romain puka do drzwi. Nina otwiera. Na widok Boba koty syczą i czmychają.

– Muszą się przyzwyczaić – upiera się Romain.

– A to czemu? Zamierzasz mnie często odwiedzać?

– Oczywiście!

– Zaczekaj, aż poznasz mój talent kulinarny, zmienisz zdanie.

Romain patrzy na sałatkę z kukurydzy i szparagi.

– Nie jestem specjalnie głodny! – żartuje.

– Ale mam też roladę z egzotycznymi owocami! – woła Nina triumfalnie.

– Fuj! – odpowiada Romain.

Nina parska śmiechem. Zasłania usta dłonią, jakby powiedziała jakieś niewyobrażalne głupstwo. A po prostu pozwoliła sobie na szczery wybuch radości.

63

Serdeczne pozdrowienia z Nicei! Pamiętamy o Was, serdeczności z Cypru! Ucałowania z Portugalii! Całujemy Was z całego serca! Kończę i całuję Cię mocno. Mamy nadzieję, że jesteście zdrowi. Wasz Joseph. Pozdrowienia dla całej rodziny. Jest słonecznie, ale wietrznie. Georgette też Was pozdrawia. Chyba będzie padało. Codziennie się kąpiemy. Kochani, myślimy o Was. Jest piękna pogoda. Tęsknimy za Wami. Wasza oddana… Z poważaniem… Z szacunkiem…

Maj 2000

Pojawienie się w skrzynkach mieszkańców La Comelle listów napisanych pięć lat wcześniej odbiło się głośnym echem w „Le Journal de Saône-et-Loire”. Pod koniec roku regionalna telewizja zrobiła nawet o tym reportaż. Od sześciu miesięcy naliczono aż sto sześćdziesiąt cztery koperty z pieczątką jedenastego sierpnia 1994 roku. Dzień przed śmiertelnym wypadkiem Pierre’a Beau, ówczesnego listonosza.

Skąd te listy się wzięły, gdzie były do tej pory? Dlaczego pojawiły się akurat na przełomie wieków? Fascynujące! Mieszkańcy zastanawiają się,

kto następny odkryje w skrzynce taką przesyłkę. Treść jest banalna. Listy i kartki pocztowe spadają z nieba.

Pojawiają się w skrzynkach, zawsze gdy Emmanuel wyjeżdża z miasta. Nina roznosi je nocą, nie może w ciągu dnia.

Trzyma w ręce trzy ostatnie koperty. Koniec. Jest jej smutno, boi się tego zakończenia. Obiecuje sobie, że gdy rozniesie ostatnie listy, wyjedzie. Nie wie dokąd, ale definitywnie opuści La Comelle.

Jeszcze ich nie przeczytała. Przeczyta tylko dwa, bo trzeci jest zaadresowany do Étienne'a. Dostarczy mu go do rąk własnych. Lyon nie jest tak daleko. Pojedzie i wróci tego samego dnia.

Étienne przyjechał na święta do La Comelle. Boże Narodzenie spędził z rodziną, ale na sylwestra muszą być razem, powiedział Ninie. Niemożliwe, żeby ich trójka nie witała razem dwutysięcznego roku.

– Będzie też Louise. Rodzice udostępniają nam dom. Wieczór z DVD, muzyką i alkoholem.

Tymczasem dwudziestego trzeciego grudnia 1999 roku Emmanuel oznajmił:

– Pakuj się, kochanie, niespodzianka! Weź tylko letnie rzeczy, nie zapomnij kostiumu kąpielowego i kremu do opalania!

– Ale… Przecież mamy spędzić sylwestra z przyjaciółmi…

– Przyjaciele będą razem z nami!

– Nawet Étienne i Adrien?

– Ach, nie! Oni nie! Ale będą wszyscy inni.

– Jacy inni?

– Wszyscy z Lyonu.

Na samą myśl o pokazaniu się w kostiumie kąpielowym wszystkim tym jasnowłosym nimfom Nina dostaje gęsiej skórki. Nie wytrzyma tego.

Przypomina sobie, jak zażądała od Adriena obietnicy, że przywitają razem dwutysięczny rok.

– Emmanuel, wolałabym zostać… – wyjąkała w końcu ze łzami w oczach. – Wigilia z tobą, a sylwester z moimi przyjaciółmi.

– Nie grymaś, za dwie godziny wyjeżdżamy.

Tuż przed wejściem na pokład samolotu Ninie zabrakło odwagi, żeby zadzwonić do Étienne’a; z trudem wybrała numer Marie-Laure Beaulieu.

– Czy możesz im powiedzieć, że nie będzie mnie trzydziestego pierwszego? Emmanuel zabiera mnie w podróż.

– Miłych wakacji, korzystajcie! – odpowiedziała z roztargnieniem Marie-Laure. Zajęta jakimś problemem w pracy, nie zwróciła uwagi na załamany głos Niny.

Wszyscy pracują, myśli Nina, rozłączając się. Tylko ja nic nie robię, jestem do niczego.

Emmanuel, jak się okazało, zaplanował to wszystko dawno temu. Widział, jak niecierpliwie Nina czeka, jak się cieszy na sylwestra u Étienne’a, widział, jak wybiera stare kasety i CD, żeby mieli przy czym tańczyć, i nic nie mówił. Tymczasem już dawno wynajął dom na Mauritiusie przy wspaniałej plaży. Zaprosił całą ekipę „comiesięcznego weekendu”, tym razem z gromadą dzieci. Spędzą wspólnie i Boże Narodzenie, i Nowy Rok. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Przez kolejne dziesięć dni wiecznie uśmiechnięty, przystojny mąż Niny kąpał się, opalał, biegał po plaży, rozgorączkowany grał w piłkę z dziećmi przyjaciół i co noc przelatywał Ninę. Zostawał bardzo długo w jej bezpłodnym wnętrzu, powtarzając: „Kocham cię, tak bardzo cię kocham”.

Nina właściwie nie zobaczyła Oceanu Indyjskiego, bo już od śniadania zaczynała popijać koktajle i wszystko, co zawierało alkohol. Zakończyła

rok w stanie ograniczonej świadomości, ale nikt nawet tego nie zauważył. Każdy myślał o sobie i o własnym szczęściu.

Oczywiście było pięknie – cudowne światło, mieszkańcy wyspy przemili, wspaniałe jedzenie – ale żaden pokój z widokiem nie zastąpi przyjaciela.

Nina na chybił trafił wyciąga książkę z półki w swoim pokoju, żeby włożyć między kartki ostatnie trzy koperty. Patrzy na tytuł. *Biel hiszpańska*. Zapomniała to przeczytać. Kupiła już dawno. Rzuca roztargnione spojrzenie na tylną okładkę i wsuwa książkę między inne, zapomniane, już przeczytane albo porzucone w trakcie lektury.

Siedemnasta. Czas na pierwszy kieliszek. Nina chowa butelki w butach. Opanowała sztukę kamuflażu. Nie jest z tego dumna. Ale ukrywanie się oznacza trochę wolności. Te chwile, te czynności, należą tylko do niej. Nalewa alkohol do porcelanowego kubka, bo picie herbaty nigdy nie wydaje się podejrzane.

Kucharka jest na dole, Nina słyszy, jak krząta się po kuchni.

Ojciec na dole szykuje mleczko, mama na górze piecze ciasteczko,
śpij, śpij, Colas, mój braciszku…

Nina sto razy prosiła Nathalie, żeby nie przychodziła tak wcześnie szykować kolacji. Ale tamta ma w nosie jej prośby. Przychodzi już o czwartej, mimo że siadają do stołu dopiero o ósmej. Dawniej zostawała jeszcze, żeby posprzątać. Teraz już nie. I dobrze.

„To są problemy bogatych, kochanie, przestań narzekać – powtarza Emmanuel. – Nic nie robisz cały dzień, przestań narzekać! Żyjemy jak miliarderzy, przestań narzekać… Mamy szczęście, wielkie szczęście, przestań narzekać… Postaraj się trochę, zacznij jeść mięso, przestań narzekać… Chyba jeszcze utyłaś, co? Mógłbym cię zdradzić, wiesz,

mnóstwo smarkul się koło mnie kręci, mam w czym wybierać, przestań narzekać…”

*

Sierpień 2000

Poza Fabienem Désérable’em nikt nie wie, że Sasha Laurent, autor bestselleru *Biel hiszpańska*, to Adrien Bobin. Spisał tę historię, żeby się jej pozbyć i móc dalej żyć. Ale tak się nie stało. Cały czas gnębi go tajemnica, wciąż żyje w ukryciu. Pisanie pozwoliło mu po prostu zyskać niezależność finansową w wieku dwudziestu lat, oto ironia losu.

Próba generalna jego sztuki *Wspólne dzieci* odbędzie się za dwa tygodnie w teatrze Abbesses. W całym Paryżu rozwieszono plakaty reklamujące to wydarzenie.

Adrien jest obecny na ostatnich próbach, siedzi trzy rzędy za reżyserem. Obserwuje aktorów, którzy szukają rozwiązań – może przejdę tu, może powiem to tak – i napawa się sukcesem. Znalazł się w świecie ze snu. Ludzie, których podziwiał jako dziecko, recytują jego słowa! Czuje się jak naelektryzowany. Te słowa narodziły się w jego głowie!

Wpadł na pomysł tej sztuki, gdy przypomniał sobie jedną z pierwszych niedziel po przeprowadzce do Paryża. Mieszkał u Thérèse Lepic w Vincennes. Ojciec zaprosił go do siebie na lunch na rue de Rome. Adrien przyjął zaproszenie. W końcu to ojciec opłacał mu pokój i dawał na utrzymanie. Adrien nie dałby rady mieszkać w akademiku bez Niny. Inni studenci go nie interesowali. Wręcz budzili w nim przerażenie. Mieszkanie Thérèse było wówczas jego jedyną pociechą, oazą czystości i ciepła.

„Kod do bramy sześć-siedem-pięć-cztery-C, szóste piętro”, powiedział mu Sylvain Bobin przez telefon. Adrien stanął przed pięknym haussmannowskim budynkiem. W windzie z klatką z kutego żelaza spojrzał w antyczne lustro. Jak zwykle przygotował sobie pytania i odpowiedzi, żeby rozmowy nie przerwała krępująca cisza, której tak się obawiał.

Pierwszy raz wchodził w świat ojca. Dotąd zazwyczaj spotykali się na lunch w restauracjach.

Znalazł drzwi z jego nazwiskiem. Takie samo jak jego, co go zawsze dziwiło. Tylko to ich łączyło.

Drzwi otworzyła jakaś pani. Blond włosy obcięte nad karkiem, dość ładna, trochę w stylu Isabelle Huppert, pięćdziesiątka, ubrana nieco zbyt wytwornie. Adrien poczuł, że się rumieni, i znienawidził się za to.

– Dzień dobry. Jestem Marie-Hélène.

– Dzień dobry, a ja Adrien.

– Tak, wiem! – odpowiedziała z uśmiechem.

Wyciągnął rękę, a ona złapała go za ramię i niezręcznie ucałowała. Poczuł zapach jej perfum, coś Laury Ashley, czego nie lubił. W metrze uciekał jak najdalej od kobiet, które tym pachniały.

Poszedł za Marie-Hélène. Miała na sobie białą jedwabną koszulową bluzkę i czarną obcisłą spódnicę, która sięgała za kolana, z rozcięciem z tyłu. Ładne, szczupłe, umięśnione nogi, pomyślał Adrien. Pomyślał też od razu o swojej matce, która nigdy nie nosiła tego rodzaju spódnic, tylko jakieś długie, przeważnie różowe albo turkusowe.

Minęli kuchnię. Zapach dania, które dusiło się na wolnym ogniu.

– Kurczak w winnym sosie – odezwała się Marie-Hélène, jakby czytała w jego myślach.

W korytarzu prowadzącym do salonu Adrien spostrzegł zdjęcia. Marie-Hélène, młodsza, na tle choinki albo oceanu. W pareo lub w kurtce

narciarskiej. I zawsze Sylvain Bobin u jej boku. Więcej fotografii nieznanych mu osób, dzieci w piłkarskich strojach, starsi ludzie przy stole biesiadnym z kieliszkami w dłoniach.

Adrien uświadomił sobie, że po raz pierwszy wchodzi w prywatne życie ojca. To życie, które zaczęło się na długo przed jego narodzinami i biegło swoją drogą.

Ale dlaczego jego matka przespała się z tym żonatym mężczyzną? Nagle poczuł potrzebę, żeby się dowiedzieć, jak tych dwoje, których dzieliło wszystko, znalazło się w tym samym łóżku. Ta potrzeba narodziła się w nim w chwili, gdy ujrzał Marie-Hélène. Widywał ojca siedzącego w ich mieszkaniu w La Comelle. Wpadał, w milczeniu wypijał kawę; matka siedziała obok i było widać, że chce, żeby on jak najszybciej wyszedł. Do tej pory Adrien nie zastanawiał się nad tajemnicą tego związku. Może Joséphine umiała rozśmieszyć Sylvaina? Czy byli w sobie zakochani? Co zrobił, żeby ją zdobyć? Co ich do siebie przyciągnęło? On, karykatura księgowego, który liczy, ile groszków na talerzu przypada na centymetr kwadratowy, i ona, marzycielka, zwolenniczka buddyzmu i medycyny naturalnej.

Na stole w salonie kieliszki do szampana, talerzyki z ciasteczkami. Na kanapie Sylvain Bobin, obok niego dwóch młodych ludzi. Około dwudziestu pięciu i trzydziestu lat.

Wszyscy troje wstają, żeby mu uścisnąć dłoń. Adrien nigdy jeszcze nie całował ojca.

– Dzień dobry, jestem Laurent! – przedstawia się młodszy.

– Dzień dobry, Pascal!

– Dzień dobry… Adrien.

Siadają. Pascal i Laurent wypytują Adriena. Gdzie mieszkasz, co studiujesz, gdzie dokładnie leży La Comelle?

Czasem człowiek jest tak odłączony od rzeczywistości, że mija dużo czasu, zanim zrozumie oczywistość. Adriena zawsze zaliczano do „nieśmiałych, którzy żyją w swoim świecie”. I tego dnia, ukryty w swoim świecie, dopiero po dwóch kieliszkach szampana zrozumiał, że Pascal i Laurent są jego przyrodnimi braćmi. Przyrodni bracia, którzy noszą to samo nazwisko co on, którzy zostali uznani przez ojca tak jak on, z jedyną różnicą, że oni przy nim dorastali.

Gdy uświadomił sobie, że cała ta rodzinka jakby nigdy nic dyskutuje o milczącej postawie narodów wobec ludobójstwa w Rwandzie i o tym, jak wspaniale zagrał Tom Hanks w *Forreście Gumpie*, pomyślał, że znalazł się wśród wariatów, i przez chwilę bał się, że zwróci na podłogę podane do aperitifu krakersy z serem.

Usiedli przy stole. Marie-Hélène ruszyła do kuchni po przystawkę; od razu podskoczył do niej Pascal.

– Pozwól, mamo, że ci pomogę!

Adrien długo obserwował braci i zastanawiał się, czy doskwiera im to samo co jemu. Ale skąd miał wiedzieć? Ten ból był niewidzialny. A ci dwaj wysocy, silni mężczyźni w ogóle nie byli do niego podobni. Rzeczywiście ojciec musiał wybrać się na antypody i złożyć spermę w innym świecie, żeby powstał taki rachityczny młodzieniec, jakim był on.

Wyszedł koło szesnastej, lekko wstawiony. Obiecując Marie-Hélène, że jeszcze ich odwiedzi.

Odwiedził ich powtórnie, ale w myślach. Pociął na kawałki i przeanalizował każdą minutę tamtej niedzieli – obcy we własnej rodzinie – żeby stworzyć dzieło, które wszyscy „ludzie z branży” jednomyślnie okrzyknęli „mistrzowskim”.

Spotykał się z ojcem od czasu do czasu, zawsze w przepełnionych restauracjach, w tygodniu, w porze lunchu. Sylvain Bobin nigdy więcej nie

poruszył tematu swojego drugiego życia. Dlaczego? Pewnie Adrien nie zrobił dobrego wrażenia. Za nieśmiały, za blady, za to, za tamto, za… wszystko.

Było tak, jakby ta niedzielna wizyta u ojca nigdy nie miała miejsca.

*

Sierpień 2000

Étienne rozłącza się. Spocone dłonie, gonitwa myśli. Cholera, wciąż ta historia!

Uprzedził go znajomy żandarm, Sébastien Larand, kolega z gimnazjum. Ktoś zadzwonił na posterunek w La Comelle i powiedział, że Étienne był z Clotilde tamtego wieczoru, kiedy zaginęła. „Na pewno ta sama osoba, która dzwoniła do programu Pradela w dziewięćdziesiątym siódmym”, dodał Larand.

Trzy lata ciszy i znowu!

Sprawa została zamknięta. Ale żandarmi nie mogą ciągle ignorować tych anonimowych telefonów z budki telefonicznej na przedmieściach La Comelle.

Wygląda na to, że ktoś się na niego uwziął. Ale kto? Rodzice Clotilde? Jak się tego dowiedzieć? Wyznać prawdę? Powiedzieć, co widział? Czy ten samochód, który wpadł do jeziora, ma z tym w ogóle coś wspólnego? Czy to był wypadek? Étienne zadrżał z przerażenia.

A może zacząć od przesłuchania tego świadka z dworca, tej kobiety, która rzekomo widziała Clotilde na peronie?

Od razu oddzwania do Sébastiena Laranda.

– Mam do ciebie prośbę.

64

25 grudnia 2017

Étienne siedzi na łóżku. Rozmyśla o swoim zniknięciu. Najpierw Clotilde, potem on.

Jego żona jest komisarzem. Odnajdzie go w pięć minut, jeśli on dobrze tego nie zorganizuje.

Marie-Castille nie może wiedzieć, jakim samochodem odjechał. Nie może sprawdzić, gdzie i czy wyciągał pieniądze z banku. Już w zeszłym tygodniu wyjął większą sumę; w ten sposób wszystkie opłaty za autostrady i hotele będzie mógł uiścić gotówką.

Jeszcze nie wie, dokąd pojadą i czym.

Pierwsze rozwiązanie: wynajem. Ale nie na jego nazwisko, nie na Louise ani Ninę. Powinni pojechać po samochód do Autun: nie wolno im używać własnych dowodów. Powinni pożyczyć od kogoś dowód tożsamości. Od sąsiada, dalekiego kuzyna, kogoś, kto będzie milczał. Marie-Castille nie może się domyślić. Drugie rozwiązanie: pożyczyć samochód od kogoś obcego. „Dzień dobry, mógłby mi pan pożyczyć samochód, chcę pojechać umrzeć i żeby mi nikt nie zawracał głowy. Dostanie pan go z powrotem po pogrzebie. Przepraszam za kłopot, wynagrodzimy pana”.

Śmierć. Teraz to dla Étienne’a perspektywa podróży. Jakby wybierał się samolotem odkrywać nieznane tereny, krajobrazy, których nie ma w żadnym czasopiśmie.

Wraca myślami do organizacji przedsięwzięcia. Nie wolno się rozpraszać ani smucić.

Trzeba będzie wyłączyć wszystkie komórki. Dzwonić tylko z kart prepaidowych. Myśli o awaryjnych telefonach do Louise. Gdyby musiała mu wysłać receptę. Chociaż to wszystko, co mu do tej pory przepisała, wystarczy z nawiązką do wyekspediowania się na tamten świat.

Znając Marie-Castille, założy całodobowy podsłuch na wszystkie telefony. Od schroniska Niny po dom jego rodziców. Marie-Castille zwariuje. A kiedy Marie-Castille wariuje, płaci za to cały świat. Ona nie cofa się przed niczym. Gdyby wiedziała, kazałaby go aresztować, zakuć w kajdanki i siłą zawieźć do szpitala. Nawet gdyby sama miała mu wbić igłę do kroplówki z chemioterapią.

Słyszy jej głos z parteru. Świąteczny posiłek. „Zapraszam do stołu!”

Étienne pisze jeszcze esemesa do Niny, wysyła go i kasuje. Z jednej strony żona, z drugiej syn… Musi być ostrożny.

Dziś wieczorem porozmawia z Valentinem.

*

Dzwonek telefonu. Nina kilka razy czyta esemesa od Étienne’a.

> Musimy mieć jakiś obcy samochód, bo moja żona postawi na nogi całą francuską policję. Jeśli chcesz się ze mną skontaktować, dzwoń na komórkę Louise. Na razie. E.

Nina reaguje od razu. Tak jest od dzieciństwa. Jeszcze bardziej od śmierci dziadka. Początki znajomości z Emmanuelem, codzienność

z Emmanuelem, dawanie sobie rady w każdej sytuacji, zna to na pamięć. W schronisku to samo. Jest przyzwyczajona do rozwiązywania sytuacji nierozwiązywalnych. Nie zna słowa „niemożliwe”. Od razu odpisuje na komórkę Louise:

Powiedz bratu, że załatwione. Dzięki. Nina

– Wyjeżdżam na jakiś czas – mówi do Romaina, patrząc na jego ładny profil.

Leżą na jej łóżku, z Bobem w nogach. Jedzą chipsy i oglądają jakiś głupi świąteczny film.

– Dokąd? – pyta Romain.

– Jeszcze nie wiem. Jadę z przyjacielem, z przyjacielem z dzieciństwa.

– Na ile?

– Nie wiem. On ma raka w ostatnim stadium. Nie chce słyszeć o chemii.

Romain przyjmuje te wiadomości, nie mrugnąwszy okiem.

– Kiedy wyjeżdżacie?

– Jutro. No i potrzebujemy samochodu. Jego żona jest gliniarzem. Będzie go wszędzie szukać.

– Dlaczego twój przyjaciel nie jedzie z żoną?

– Żona chce go zmusić do leczenia.

Romain wyłącza telewizor. Zdejmuje delikatnie okruszek z policzka Niny.

– Chcesz wziąć mój samochód, tak?

– Tak – odpowiada Nina z mieszaniną pewności siebie i smutku.

– To jeden z tych chłopców, których rysowałaś w liceum?

– Tak.

– Nie zapomnij wziąć bloku rysunkowego i węgli.

Dlaczego poznałam cię dopiero teraz? – myśli Nina. Dlaczego moje życie jest tak spóźnione?

– Dzięki.

*

Louise czyta esemesa od Niny. Brat udaje, że zajada kanapki z pasztetem z gęsich wątróbek. Louise wie, że za pięć minut Étienne i tak wszystko wypluje w toalecie. Ninie nie udało się namówić go na leczenie. Ale uspokaja ją świadomość, że brat nie odjeżdża sam. Nie wolno płakać. Nie wolno na niego patrzeć. Nie wolno, żeby Marie-Castille domyśliła się czegokolwiek. Trzeba pić szampana, ale rozsądnie. Tylko tyle, żeby zakręciło się w głowie raz. Nie dwa. Jeśli za bardzo kręci się w głowie, smutek wyłazi na wierzch.

Rozmawiać z bratankami, z Valentinem, Louisem i Lolą. Zadawać im pytania. Odpowiedzi ma w nosie. „Co to za serial, *Gra o tron*? Opowiedzcie mi!” I znaleźć chwilę, żeby szepnąć Étienne’owi do ucha to, co napisała jej Nina.

*

Widzę na wyświetlaczu *Louise*. Natychmiast odbieram, to nie ona.

– Co robisz? – pyta Étienne.

– Pakuję się… I czekam na kogoś.

– Na kogo? – pyta, jakby był zazdrosny.

– Na dziewczynę, która zajmie się Nicolą.

– Kto to jest Nicola?

– To mój kot. Widziałeś go dziś rano.

– Ach, tak…

Zapada cisza. Trwa długo, słyszę jego oddech.

– Jesteś sama w święta? – pyta w końcu.

– Te świąteczne obiady… Nie przepadam. Słucham sobie muzyki. Jest okay.

Próbuję zgadnąć, co on robi. Nie słyszę nikogo w tle. Nagle wpadam w panikę, że pojechał sam i dlatego dzwoni. Żeby mi to powiedzieć.

– Gdzie jesteś?

– U rodziców. Schowałem się w kiblu.

Ulga. Nie pojechał sam.

– To jedyne miejsce, gdzie dają mi spokój – dodaje.

Znów cisza. Jakby chciał coś powiedzieć, a nie wie jak.

– Étienne, dlaczego dzwonisz?

– Napisałem list do żony… Nie jestem dobry z ortografii, epitetów i tak dalej. Mogę ci go wysłać mailem?

– Że co?

– Jesteś taka dobra z francuskiego… Możesz mi go wygładzić?

– Nie znam twojej żony.

– Nie musisz jej znać, żeby wiedzieć, co chcę jej powiedzieć. Znasz mnie.

– Znałam cię dawno temu.

– Możesz mi pomóc? Proszę.

– Okay.

Dostaję list wysłany z komputera Louise. Kilka minut później go odsyłam.

> Étienne,
>
> poprawiłam dwa błędy ortograficzne. Co do reszty, niczego nie zmieniłam. Bo słowa należą do tych, którzy je piszą. Zwłaszcza te.

Marie-Castille,

wyjechałem. Masz prawo mieć do mnie żal.

Być może uznasz mnie za egoistę, odrażającego, godnego pogardy. Masz prawo.

Ale tak wybrałem.

Nie ma innej kobiety. Nikogo nie spotkałem.

Jestem chory.

Louise Ci wyjaśni. Nie rób jej wyrzutów. Zabroniłem jej cokolwiek mówić.

Nie mogę się zgodzić, żebyście Ty i Valentin oglądali mnie cierpiącego jak królik doświadczalny. Zmieniającego się, w coraz gorszym stanie. Nie chcę, żebyście mnie pamiętali chorego, umierającego. Wiesz, jak nienawidzę szpitali i że jestem dumny jak Artaban. Zawsze mi powtarzałaś: „Kochanie, jesteś dumny jak Artaban". Tak więc jestem jednocześnie zbyt dumny i niewątpliwie zbyt tchórzliwy, żeby zdychać na Waszych oczach.

Błagam Cię, nie szukaj mnie. W tę ostatnią podróż zabierze mnie dwoje przyjaciół z dzieciństwa.

Nie widzieć, jak mój syn będzie dorastał, nie zestarzeć się przy Tobie to cholerne cierpienie, ale poddaję się.

Wiesz, że nie wierzę w Boga. Nie mogę zgodzić się na to, żeby mnie zapakowano do pudła, które będzie poświęcał jakiś ksiądz, a przedtem będą nieśli jacyś faceci, których nie znam. Albo gorzej: moi koledzy. Wolę rzucić się do wody, wziąć to na klatę. I tak właśnie zrobię, rzucę się do wody, gdy nadejdzie ten moment.

Nie będę się nad sobą litował. Błagam Cię, nigdy nie ubieraj się na czarno z mojego powodu. Noś ten sweter w czerwone romby, który tak lubię. Kup sobie mnóstwo takich. Wydaj całą naszą forsę, nie zastanawiaj się. Nie bądź wdową. Spotkaj kogoś innego, innych, baw się. Tak, baw się, wyrzucaj forsę w błoto, korzystaj z życia, korzystaj ze słońca. Zrób to dla mnie.

Étienne

65

Wrzesień 2000

Poniedziałek rano. Nina ma przed sobą dwa tygodnie wolności. Emmanuel wyjechał spakowany w ogromną walizkę.

Uf! Alleluja!

Kucharka ma wakacje. Spędza je na Maderze na zorganizowanej wycieczce.

Marzenia i rzeczywistość podały sobie ręce. Alleluja!

Dziesięć godzin różnicy czasu między Francją i Australią. Emmanuel wieczorem wylatuje z Paryża. Przez dwa dni nie będzie mógł do niej dzwonić. Będzie ich rozdzielać dwadzieścia godzin lotu samolotem.

Od zeszłego listopada nie wyjeżdżał, więc nie mogła się nigdzie ruszyć, musiała być w domu, gdy wracał z pracy. W przeciwnym razie wciąż słyszała tę samą gadkę: „Gdzie byłaś? Z kim? Po co? Ja się tu zamartwiałem, po co ci kupiłem komórkę, jeśli cały czas jest wyłączona? Kocham cię…”.

Zawiadomił ją, że wybiera się do Sydney, na dwa dni przed wylotem.

– Kochanie, mam smutną nowinę: muszę wyjechać na dwa tygodnie. Tak mi przykro! Do ostatniej chwili starałem się to odwołać, ale nie udało

się. Mamy nadzieję na ogromny kontrakt. Najbardziej się martwię, że to wypadło akurat w czasie wakacji Nathalie. Nie chcę cię zostawiać zupełnie samej.

Nina na początku myślała, że to żart. Czekała na zakończenie typu: „Ha, ha, ale się dałaś nabrać! Oczywiście, że nigdzie nie wyjeżdżam! Zostaniemy sami, tylko my dwoje, moja ukochana żoneczka i ja. I wreszcie wyjdzie nam to dziecko!”.

Ale kiedy zobaczyła leżący na łóżku bilet samolotowy wsunięty w paszport, obok koszuli, którą właśnie zdjął, dotarło do niej, że to prawda. Że on na serio wyjeżdża.

Tylko nie okazuj radości, pomyślała.

Otworzyła szeroko oczy i powiedziała najniewinniejszym tonem:

– Nie martw się, kochany, dwa tygodnie minie jak z bicza strzelił!

– Wolałbym usłyszeć, jak bardzo chcesz, żebym został!

Uśmiechał się, wyglądało to trochę na żart, a trochę na oskarżenie.

Te miny, które wciąż robił: ofiara, której nikt nie rozumie! I zawsze pół żartem, pół serio, żeby uchodzić za fajnego faceta i fajnego kumpla.

Nieodparta chęć przywalenia mu. Pojawiająca się coraz częściej. Miłość, którą go kiedyś darzyła, zmieniła się w odrazę. Nie czuła wrogości stale, tylko co jakiś czas. Napady rosnącej nienawiści, która mogła zniknąć natychmiast, a mogła ją męczyć bardzo długo. Jak trucizna w żyłach. Nina, z natury serdeczna, życzliwa, zmieniała się w czarownicę. Stawała się swoim własnym wrogiem. Czasem wyobrażała sobie, że zabija Emmanuela. Spycha go ze schodów. Pali żywcem. Wali w głowę, nieprzytomnego sadza za kierownicą tej jego sportowej rakiety i spycha w przepaść. Straszliwe hitchcockowskie scenariusze, których sama się bała. Zwłaszcza kiedy rano, zaraz po przebudzeniu, kładł się na niej i raz-dwa przelatywał ją przed

pójściem do pracy. Szybko, żeby tylko posiać ziarno. Niech szlag go wreszcie trafi, myślała, zamykając oczy, kiedy ją tak dręczył.

Ale teraz, w tej chwili, nie wolno dopuścić, żeby zmienił plany! Ta podróż do Australii to niespodziewana szansa!

Życiowa szansa.

Objęła go, zamknęła oczy, wyobraziła sobie, że to jej dziadek, że to Étienne, że to Adrien, i zaczęła szlochać, szepcząc mu do ucha:

– To okropne, że musisz wyjechać, ale nie martw się, wiem, jak dużo robisz dla nas… dla spółki… Kocham cię! Jestem z ciebie dumna!

Potem położyła się na ich łóżku, przywołując całą swoją słodycz i uległość. Często myślała, że nie ma żadnej różnicy między nią a dziwką. Tyle że w jej wypadku klient był zawsze ten sam i spała w haftowanej pościeli ze znakiem herbowym. Stajemy się tacy, jakimi czynią nas inni, stajemy się tacy, jakimi zgadzamy się być.

Nina wyciąga z biblioteki *Biel hiszpańską*. Wyjmuje trzy ostatnie koperty z datą jedenastego sierpnia 1994 roku, w tym tę adresowaną do Étienne’a. Dlaczego miałaby mu ją dostarczać do Lyonu? Od nieudanego sylwestra nie odezwał się do niej słowem. Ma do niej pretensje, myśli, że wolała pojechać na Mauritiusa, przywitać nowe tysiąclecie na dalekiej wyspie.

Wracając z tej podróży, zadzwoniła do niego. Nie odebrał. Zostawiła mu wiadomość: „To ja, Nina… Szczęśliwego nowego roku! Tęsknię za tobą. Byłam u was, ale twoja mama powiedziała, że już wyjechałeś. Musimy się jak najszybciej spotkać! Kocham cię tak bardzo! Jeszcze raz szczęśliwego nowego roku! Nałap wielu niedobrych złodziei i podłych morderców!”.

Étienne odpowiedział jej trzy dni później esemesem. Słowa zimne, obojętne.

Szczęśliwego nowego roku dla rodziny. Uściski.

Dla rodziny? Jakiej rodziny? Damamme’ów? W słowie „uściski” widziała więcej złości Étienne’a niż uścisków.

Tak samo dąsał się jako dziecko.

Otwiera pierwszą kopertę, adresowaną do niejakiej Julie Moreiry, i wyjmuje kartkę pocztową ozdobioną rysunkiem z komiksu *Marsupilami*.

Moja Juju,

odeszłam od François. Dwa lata życia z psychopatą! Straciłam sto kilogramów, które ciążyły mi na żołądku. Oddycham! Mam wrażenie, że od momentu, gdy go opuściłam, podłączono mnie do maski z tlenem. Ostatnio był tak zazdrosny, że nie mógł znieść, nawet gdy musnął mnie cień człowieka. Stracony czas. Żebyś wiedziała, jak żałuję! Mimo że to nie służy niczemu. Codziennie obżeram się kanapkami, nie mam już ani grosza, ale co tam!

Chcę Cię jak najszybciej znów zobaczyć. W przyszłym tygodniu pójdziemy na basen i skoczymy z pięciu metrów, tak jak kiedyś, w dzieciństwie, i będziemy lizać lizaki. To lepsze niż kutasy tych kretynów.

Całuję Cię mocno,

Lolo

Nina czyta kartkę jeszcze raz i jeszcze. Plączą jej się po głowie słowa „psychopata” i „oddycham”. Jakby ta Lolo dała jej przepis na odejście. Pozornie to takie proste. W dodatku wydaje się takie radosne – odejść od kogoś, opuścić go.

Otwiera drugą kopertę. Adres: Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Potrzebuje trochę czasu, żeby zdać sobie sprawę, że chodzi o nazwę

schroniska dla zwierząt w La Comelle. Nigdy tam nie była. Omijała to miejsce szerokim łukiem, bała się. Wciąż pamięta małego spaniela, którego znaleźli, gdy jeszcze byli Trójką, chodzenie po domach, żeby znaleźć właściciela, pamięta zdumienie dziadka, gdy zobaczył ich z psem w objęciach. Nie pozwolił go zatrzymać. Chłopcy musieli zanieść psa do schroniska, a ona płakała.

Szanowni Państwo,

piszę, żeby zawiadomić, że pies, mieszaniec labradora i golden retrievera, spędza całe noce i dnie zamknięty na balkonie, który wychodzi na prywatne podwórko. Pies jest brudny, śpi we własnych odchodach, wątpię, żeby był regularnie karmiony. Jego właścicielka jest często nieobecna.

Podaję adres: Cristelle Barratier, chemin des Cent-Pas 10, La Comelle.

List jest niepodpisany. Nie ma też nadawcy. Zemsta niezadowolonego sąsiada? Czy prawdziwy przypadek znęcania się nad zwierzęciem? List ma sześć lat. Co się od tego czasu wydarzyło? Czy odebrano tej kobiecie zwierzę? Tak czy inaczej, pewnie dziś pies i tak już nie żyje.

Nina zakleja obie koperty tak, że nie ma śladu po otwieraniu.

List zaadresowany do Étienne’a wkłada z powrotem do książki *Biel hiszpańska* i wsuwa ją na miejsce.

Z telefonu stacjonarnego dzwoni do informacji. Urzędniczka zgłasza się od razu.

– Dzień dobry, poproszę o numer telefonu teatru Abbesses, w Paryżu, w osiemnastej dzielnicy.

Notuje numer, dzwoni do teatru i rezerwuje bilet na jutrzejszy wieczór. Ponieważ to premiera, wszystkie dobre miejsca już zostały wykupione,

zostaje tylko kilka z tyłu. Nie szkodzi. Najważniejsze, że tam będzie. Zobaczy sztukę *Wspólne dzieci*, napisaną przez Adriena. Zrobi mu niespodziankę, pojawiając się bez zapowiedzi.

Musi jeszcze iść do biura podróży i kupić bilet na pociąg. A kiedy zrobi się ciemno, poszuka skrzynek na listy tej Julie Moreiry i schroniska.

Biorąc prysznic, słucha płyty Étienne'a Daho, *Corps et armes*. Płytę dał jej Emmanuel ze słowami: „To na pamiątkę koncertu, który się nigdy nie odbył, tamtego wieczoru, gdy pocałowałem cię pierwszy raz".

Na tej płycie jest piosenka *La Baie*. Nina zna jej słowa na pamięć. To jak podróż bez wychodzenia z domu. Brzegiem morza, drogą opisywaną przez piosenkarza, drogą tego, który rzuca wszystko i odchodzi.

Suszy włosy i zaczyna się pakować.

Tym razem ona też rzuci wszystko i odejdzie.

*

Poniedziałek. Jest dziewiąta, Étienne wjeżdża do La Comelle. Ma się spotkać z Sébastienem Larandem, kolegą z gimnazjum, który został żandarmem.

Wyjechał z Lyonu o szóstej. Nie odwiedzi rodziców, zresztą nikogo nie uprzedził. Tak jak w dniu, kiedy poszedł na grób Joséphine. Myśli o Ninie. Pewnie siedzi sama w domu, wegetuje w roli kobiety-zamężnej-niepracującej. Mógłby do niej wpaść na kawę, zrobić niespodziankę, ale nie ma ochoty.

Myśl, że do tego stopnia nie ma ochoty zobaczyć Niny, męczy go, aż zbiera mu się na wymioty. Nie wyobrażał sobie, że coś takiego będzie możliwe. Wciąż nie przetrawił tego, co mu zrobiła w sylwestra. Wyjechała gdzieś w ostatniej chwili, mimo że mieli spędzić ten czas razem! Étienne

wie dobrze, że to nie wina Niny, tylko jej męża, ale mogła odmówić. Ma do niej pretensje, że jest bezwolna w rękach jakiegoś typa.

Dziś Étienne ma się wreszcie spotkać ze świadkiem, który podobno widział Clotilde na peronie w dzień zniknięcia. To kobieta, nazywa się Massima Santos. Sébastien Larand umówił się z nią w kawiarni. Nieformalne spotkanie robi mniejsze wrażenie niż wezwanie na posterunek. Swobodniejsza atmosfera.

Étienne musi się dowiedzieć, co dokładnie widziała. I skąd znała Clotilde.

Co ona może pamiętać sześć lat później? Sébastien Larand wysłał mu mailem jej zeznania, spisane pięć dni po zniknięciu Clotilde.

Siedemnastego sierpnia 1994 roku Massima o dziewiętnastej zamknęła sklep z pasmanterią, w którym pracowała. Wróciła do domu, spakowała się i zostawiła klucze sąsiadom, którzy podjęli się podlewania kwiatów i karmienia kota. Potem pieszo poszła na dworzec, żeby zdążyć na ostatni pociąg do Mâcon, ten o 22.17. Clotilde Marais siedziała na ławce na peronie numer dwa; miała przy sobie torbę podróżną. Massima pomachała jej ręką i wsiadła do pociągu. Czy widziała, żeby Clotilde też do niego wsiadła? Nie mogła tego stwierdzić na pewno. Kiedy pięć dni później wróciła do La Comelle, dowiedziała się od szefowej, że Clotilde Marais zniknęła. Niepokojące zaginięcie, tak to zostało określone. Więc Massima poszła na żandarmerię.

Étienne wchodzi do kawiarni. Przy stoliku pod oknem kilku mężczyzn gra w karty. Ledwo unoszą głowy znad stołu. Sébastien już jest. Kepi trzyma pod pachą, pije kawę przy barze, rozmawiając z właścicielem. Étienne zna go z widzenia. W La Comelle wszyscy się znają z widzenia. Ale pierwszy raz wchodzi do tego lokalu. To miejsce spotkań starych ludzi,

ciemne, niezmienione od lat pięćdziesiątych. Tu nie ma gier wideo ani muzyki rockowej.

Étienne i Sébastien siadają przy stoliku w głębi sali. Zamawiają kawę i szklankę wody. Są piętnaście minut przed czasem. Opowiadają sobie pokrótce, co u nich słychać. Sébastien jest pod wrażeniem osiągnięć Étienne'a. Porucznik w policji to nie byle co. Trudny egzamin wstępny, potem studia, cholernie wymagające.

Potem przechodzą do sedna. Zanim Clotilde zniknęła, pracowała podczas wakacji jako kelnerka.

– Wówczas byłem jeszcze na szkoleniu – opowiada Sébastien. – Ale koledzy, którzy pracowali przy śledztwie, mówili, że dziewczyna była trudna, łatwo wpadała w złość. O tym nikt nie wspomniał w programie Pradela. Nam powiedział to szef pizzerii, w której pracowała. Pod koniec podobno wciąż patrzyła na drzwi, jakby na kogoś czekała.

Étienne siedzi z kamienną miną. Nie okazuje najmniejszego wzruszenia. Tego panowania nad sobą nauczył się, kiedy zdawał egzaminy ustne w konkursie. Maska na twarzy. Maska uważnego słuchacza, który zastanawia się nad słowami profesora.

– Clotilde wtedy nie przyszła, byłem wściekły, więc się zmyłem. Kto może do was wydzwaniać i utrzymywać coś innego?

Sébastien skrzywił się.

– Donosy to u nas codzienność. Któregoś dnia, żeby wreszcie mieć spokój, powinieneś poprosić tego kumpla, u którego wówczas spałeś, żeby przyszedł i to oficjalnie potwierdził. Nigdy nie wiadomo.

– Czego nie wiadomo? – przerywa mu Étienne.

– Możesz w końcu mieć kłopoty. Jedyna osoba, która odezwała się po programie, to ten typ. Regularnie dzwoni i podaje twoje nazwisko. Kto może chcieć ci zaszkodzić?

– Przecież on mnie o nic nie oskarża.

– Nie, ale tak jakby. Mówi, że tamtego wieczoru byliście nad jeziorem razem, i odkłada słuchawkę.

Kiedy Massima Santos wchodzi do kafejki, podnoszą głowy.

Massima jest onieśmielona. Może ta kafejka to był zły wybór. Kobieta nie wygląda na bywalczynię takich miejsc. Faceci, którzy ledwo podnieśli głowy, kiedy wchodził Étienne, teraz odkładają karty na stolik jak złapani na gorącym uczynku. Witają się z nią, zażenowani. Ona odpowiada uprzejmym skinieniem głowy. Zamawia kawę z mlekiem, jakby przepraszała, że tu przyszła.

Ją również Étienne zna z widzenia. Pamięta jej ciemne ubrania, delikatną jasną cerę, głęboko osadzone małe czarne oczy i złoty krzyżyk na szyi. Zawsze była chuda i lekko utykała. Musiał pewnie kiedyś towarzyszyć matce w zakupach w pasmanterii albo może mijał tę kobietę na ulicy, jak wszystkich – w końcu centrum La Comelle to były cztery ulice.

Sébastien i Étienne podnoszą się jednocześnie, żeby podsunąć jej krzesło, ona siada, skrępowana. Kładzie chude białe dłonie na blacie z laminatu. Étienne natychmiast myśli o łapkach kurczaka.

Sébastien pyta ją o zdrowie i przedstawia jej Étienne’a, „ważnego porucznika policji z Lyonu”. Massima jest zaniepokojona, ale Étienne robi na niej dobre wrażenie; stara się rozwiać jej obawy, przybierając łagodny ton głosu, tak jak zawsze, gdy chce udobruchać aresztowanego lub wyciągnąć z niego zeznania. Uśmiecha się serdecznie, mimo że z nerwów cholernie boli go brzuch. Za dużo kawy podczas postojów na autostradzie na trasie Lyon–La Comelle. Za dużo nieprzespanych nocy. Za dużo złych snów, w których widzi Clotilde pochłanianą przez mętne wody jeziora.

– Znałem Clotilde Marais – zaczyna. – Spotykaliśmy się przez jakiś czas. Tego wieczoru, gdy zauważyła ją pani na peronie, czekałem na nią…

byliśmy umówieni. Co pani dokładnie widziała?

– No więc tak jak mówiłam, była na dworcu, siedziała na ławce.

– Sama?

– Sama.

– Jest pani pewna? – naciska Étienne, niby obojętnym, uspokajającym tonem.

– Tak.

– Co robiła? Czytała? Słuchała muzyki? Miała w uszach słuchawki?

Massima mruży oczy, najwidoczniej wysilając pamięć.

– Nie. Patrzyła przed siebie.

– Wyglądała na niespokojną? Na szczęśliwą? Zmęczoną?

– Wyglądała na kogoś, kto czeka na pociąg.

Étienne milknie. Zastanawia się. W kółko wracają te same pytania, które obsesyjnie męczą go od lat: o której godzinie Clotilde przyszła nad jezioro? Czy miała czas dostać się później na dworzec? Jak? Kto był w aucie, które tonęło? Czy naprawdę to widział? Dużo wtedy wypił.

Massima miesza kawę, wbijając wzrok w zawartość filiżanki.

Étienne wie, że zeznania świadków często są nic niewarte. Ludzie zapominają, mylą się, mają pełno utartych przekonań… Są skupieni przede wszystkim na sobie, mało ich obchodzą inni. Nie trzeba wiele sprytu, żeby ich zbić z tropu. Najlepszym przykładem są portrety pamięciowe. Ile razy tak bardzo wprowadzono go w błąd, że szukał niewłaściwej osoby? „To był blondyn”. „Jest pan pewien?” „Absolutnie!” „Ale mamy świadka, który mówi, że widział bruneta. Poza tym wszystko się zgadza. Proszę popatrzeć na to zdjęcie”. „Ach, tak… być może. Było ciemno”. Ileż razy to słyszał!

A wtedy było ciemno! Étienne powstrzymuje dwa pytania, które cisną mu się na usta, a których żandarmi najwyraźniej nigdy nie postawili

Massimie Santos, myśląc, że ta sprawa to zwykła ucieczka z domu: „Czy gdy pani widziała i rozpoznała Clotilde, na dworcu było ciemno?”. I: „Czy pani nosi okulary?”.

W sierpniu słońce zachodzi koło dziewiątej, myśli. Więc po dziesiątej musiało być ciemno. Stara nie mogła wyraźnie widzieć Clotilde. Na peronie są światła… A kiedy ja się obudziłem i zobaczyłem tonące auto, zapadał już zmrok. Musiało być dobrze po wpół do dziesiątej.

Spogląda znów na Massimę. Jest po sześćdziesiątce. W sierpniu 1994 roku musiała mieć ponad pięćdziesiąt pięć lat. Kto w tym wieku ma jeszcze doskonały wzrok?

Jeśli zeznanie Massimy ma go w tej sprawie oczyścić, Étienne musi mieć pewność, czy kobieta się myli, czy nie. Przychodzi mu do głowy jeszcze coś. Czy jakaś dziewczyna w 1994 roku w La Comelle była podobna do Clotilde? Miała podobny wyraz twarzy, ubierała się w tym samym stylu, była wysoką blondynką? Z pewnością było kilka takich dziewcząt. Czy Clotilde miała jakiś znak szczególny? Sama myśl o tym wywołuje u Étienne’a bolesny skurcz żołądka, jakby ktoś uderzył go żelaznym prętem. Przypomina sobie twarz Clotilde, szuka pieprzyka, tatuażu. Może jakieś znamię? Nic. Gładka skóra. Étienne stara się nie myśleć o jej brzuchu.

Sébastien wyrywa go z zamyślenia.

– Skąd pani znała Clotilde Marais? – pyta.

– Jak była mała, przychodziła z matką do sklepu. Czasem sama. Lubiła szyć.

Étienne mimowolnie się wtrąca. Nie da się wszystkiego kontrolować.

– Pani się myli. Ona nie była typem dziewczyny, która szyje.

Kobieta rzuca mu pogardliwe spojrzenie.

– Właśnie że szyła! – mówi. – Nawet bluzki szyła sobie sama. Ładne. Moja szefowa zawsze jej mówiła, że powinna założyć butik i zacząć na tym zarabiać. Że odniosłaby wielki sukces, tak, tak jej mówiła, wielki sukces.

Faktycznie, sukces, myśli Étienne.

Przeważnie spotykali się u niego. Bardzo rzadko u niej. Nie przypomina sobie, żeby widział maszynę do szycia w jej pokoju ani gdzie indziej. I nigdy nie rozmawiała o ciuchach ani tym bardziej o szyciu. Była kobieca, ale raczej na sportowo. Étienne stara się przypomnieć sobie maturę, jakie przedmioty zdawała. Miała jechać do Dijon na jakieś studia związane ze sportem, nie chciała zostać stylistką ani nikim takim.

– Sprawdzimy, czy u rodziców jest maszyna do szycia – mówi Sébastien, gestem przywołując kelnera. – Ma pani ochotę jeszcze czegoś się napić? – pyta.

– Nie, dziękuję.

Co ty wyrabiasz? – karci się w myślach Étienne. Przecież sam kopiesz sobie grób! Jeśli zeznania tej kobiety okażą się nieprawdą, wszyscy na ciebie naskoczą. Przede wszystkim rodzice Clotilde. Nawet jeśli innym jest wszystko jedno, co się z nią stało, jej rodzicom na pewno nie. A poza tym, kto do cholery wydzwania na posterunek żandarmerii i wciąż powtarza, że byłem tamtego wieczoru razem z nią nad jeziorem? Może nadeszła pora, żeby poprosić o pomoc Adriena…

*

Adrien otwiera oczy. Jak ma się ubrać na występ przed kamerami w programie *Nocny lot*?

To jest pierwsze pytanie, które sobie stawia.

Wczoraj wieczorem był pokaz przedpremierowy jego sztuki *Wspólne dzieci*. Adrien wciąż unosi się nad ziemią.

Na widowni cały Paryż. Owacje na stojąco. Aktorzy, pisarze, dziennikarze – telewizyjni i ci piszący do najlepszych gazet.

Wcale go nie nudzą entuzjastyczne komentarze, spływające do niego od czasu, gdy napisał sztukę *Matki*. Ma nadzieję, że stary Py również czyta te recenzje… Ależ co za pomysł! Stary Py należy do innego życia.

> *Adrien Bobin, nasz mały książę… Adrien Bobin zadziwia eleganckim płynnym językiem, trafiającym prosto w serce… Młody Bobin ma w sobie coś z Szekspira… Ewenement w świecie literackim: Adrien Bobin… Adrien Bobin odmłodził współczesny teatr!*

Adrien nie może się oderwać, czyta w kółko te same nagłówki, chodzi z głową w chmurach. Zbiera wszystkie pisma z artykułami na swój temat. To jego własny tajemniczy ogród.

– Czy dzieli pan z kimś życie?

– Tak, ale nic na ten temat nie powiem.

Ludzie zaczynają rozpoznawać go na ulicy. Zwłaszcza studenci i początkujący aktorzy.

Na premierze był Thierry Ardisson, który przygotowuje kolejny odcinek programu *Wszyscy o tym mówią*, cieszącego się we Francji ogromną popularnością. Wystąpi w nim troje głównych aktorów ze sztuki Adriena.

Przedstawienie podobało się też Patrickowi Poivre’owi d’Arvorowi. Dziennikarz chce poświęcić odcinek programu *Nocny lot* dramaturgom i do dyskusji „Jak się pisze sztuki” zamierza zaprosić Adriena. Jak zacząć pisać? Dlaczego teatr? Co jest częścią wspomnień, co jest fikcją? Czy myśli pan o konkretnym aktorze lub aktorce i się nimi inspiruje? W jaki sposób widzi pan sceny w wyobraźni? Co pan czuje, gdy słyszy pan własne słowa w ustach aktorów?

Słysząc uwagę: „Rodzice muszą być z pana dumni”, Adrien robi smutną minę i cicho mówi: „Mama nie żyje”. Kropka. Ludzie nie naciskają. Nie mają śmiałości wypytywać o ojca. Zwłaszcza ci, którzy widzieli *Wspólne dzieci* na pokazie przedpremierowym.

Adrien nie spotkał się z Sylvainem Bobinem od wielu miesięcy. Po co? Żeby jeść lunch w restauracji śmierdzącej starym olejem do smażenia frytek i winegretem, patrząc, jak latają muchy? Mówić byle co, żeby tylko wypełnić czas? Znosić widok przygnębionego ojca?

Jutro wieczorem jest premiera *Wspólnych dzieci*. Pierwsze zetknięcie z prawdziwą publicznością.

Adrien nie zaprosił nikogo.

Ani ojca, ani macochy, ani przyrodnich braci.

Posłużył się nimi do budowy intrygi, koniec kropka.

Rzecznik prasowy pytał, czy chciałby zaprosić bliskich. Adrien odpowiedział, że stracił z nimi kontakt. Mógłby oczywiście zaprosić Louise, ale to by oznaczało zaproszenie Étienne’a. Étienne w teatrze, idiotyczne! Co do Niny… Nina nie rusza się nigdzie bez tego playboya, a playboy nigdy by się nie zniżył do obejrzenia w teatrze jego sztuki. Adrien nawet nie proponował.

Unika myśli o Ninie, bo budzą w nim niepokojące poczucie wstydu. Porzucił ją mimo obietnicy: „Dla ciebie zawsze będziemy mieli nowy samochód z pełnym bakiem…”. I ten refren: Nie ma miłości, są tylko dowody miłości.

Nie chce dopuścić do siebie myśli, że może powinien coś zrobić. Nie. W końcu każdy ma swoje życie, nie da się uratować całego świata. Ludzie powinni sami o siebie dbać, i tyle!

Zgoda, ale Nina to nie „ludzie”. A z drugiej strony, ile razy jej proponował, żeby zamieszkała z nim u Thérèse Lepic?

– A ta pani, u której mieszkałeś na początku, co u niej słychać? – zapytał ostatnio Désérable, gdy jedli kolację w L’Arpège, żeby uczcić jego sukces i definitywnie pogrzebać nadzieje na następną powieść.

– A tam… Nudna staruszka – uciął sucho Adrien.

Ale wydawca, rozochocony wspaniałym winem, którym popijali posiłek, nabrał odwagi. Jeszcze nigdy nie zaryzykował pytania o życie prywatne Adriena. Zachowywał się taktownie w kwestii tajemnicy Sashy Laurenta, pseudonimu Adriena.

– A ci ludzie, o których opowiadasz w *Bieli hiszpańskiej*… Czytali tę powieść?

– *Biel hiszpańska* to fikcja.

Désérable popatrzył na niego. Po raz pierwszy wymsknęło mu się: „Nie sądzę!”. Adrien zaczerwienił się, podnosząc do ust kieliszek Montrachet z 1984 roku.

– Myśl, co chcesz.

Adrien wciąż jeszcze leży w łóżku. Światło przebijające przez zasłony i hałasy dobiegające z ulicy wskazują, że musi być koło dziewiątej.

Dziś ma wolne. Pewnie pójdzie do kina. Lubi przedpołudniowe seanse. Nie widział jeszcze filmu *Harry, twój prawdziwy przyjaciel*.

Od kilku miesięcy nie udaje mu się pisać tak jak przedtem. Teraz wsłuchuje się w siebie i szuka ładnych zdań. Chcąc zaimponować innym, traci całą szczerość.

Biel hiszpańska musiała powstać. Teraz pisze na pokaz, a nie dla ratowania życia. Przedtem czerpał z tego ogromną przyjemność, dziś to uciążliwy obowiązek.

To na pewno zmęczenie. Od przyjazdu do Paryża bez przerwy pracował. Sześć lat.

Jak ten czas leci. Myśli o Louise, o Étiennie. Lubi spotykać się z nimi w La Comelle, nie w Paryżu. Perspektywa spotkania ich na dworcu lyońskim mu się nie podoba. Już raz wyszedł tam po Louise. Kiedy zobaczył ją na peronie, poczuł się niekomfortowo. Miał okropne wrażenie, że nie wie, co robić. Oprowadzał ją jak turystkę po restauracjach i muzeach. Czuł się jak potwór; ulżyło mu, kiedy wyjechała.

66

25 grudnia 2017

Nina otwiera oczy. Romain głęboko śpi. Głowę schował pod poduszkę. Zasnęli przytuleni, grzejąc się w cieple swoich ciał. Na szafce nocnej i starym stoliczku na kółkach resztki świątecznego obiadu.

Musi być koło siedemnastej. Koty przysypiają na fotelach, zerkając jednym okiem na Boba, który rozciągnięty jak pasza, śpi pod kołdrą.

Nina cicho wstaje.

Zbiera myśli. Musi zadzwonić do Simone i iść do schroniska, żeby przygotować wyjazd. Ale najpierw bierze blok rysunkowy, który dostała od Romaina, i kawałkiem węgla zaczyna kreślić jego profil. Widzi tylko część twarzy, potargane włosy. Palce odnajdują zapomniane pragnienie. Ruch ręki włącza resztę ciała, zmysły. Nadgarstek lekko ociera się o papier, wzrok przesuwa się od konturów twarzy śpiącego Romaina do tych na rysunku. Kreśląc linie nosa, ust, oczu i czoła, tworzy coś nowego. Odczuwa przyjemność, o której istnieniu zapomniała. Zostawia kartkę na łóżku obok Romaina z podpisem *Boże Narodzenie 2017*.

Wraca myślami do tego, co Simone powiedziała jej dziś rano. Chodziło o adopcję Piernika i miłosną noc, którą spędziła ze swoim nauczycielem tańca. „Wiesz, Nino, czasem myśli się, że nie, a potem okazuje się, że tak”.

Od wieków się nie pakowałam, przemyka Ninie przez głowę, gdy patrzy na ubrania w szafie. Wciąż ta sama stara walizka babci Odile. Brzydka, ze sztucznej skóry i kartonu, miała ją w Saint-Raphaël w 1990 roku. Potem w 2000 roku, gdy jechała na premierę sztuki Adriena *Wspólne dzieci*. Mogła wziąć jedną z walizek, które dostała w prezencie od Emmanuela, większą, solidniejszą, na kółkach, ale zależało jej, żeby odejść z walizką babci.

Kiedy znalazła się na dworcu lyońskim, zostawiła ją w przechowalni bagażu. Walizka zawierała uprasowane i porządnie ułożone okruchy sześciu lat życia z Damamme'em.

To była jej pierwsza wyprawa do Paryża.

Na dworcu lyońskim, z planem w dłoni, wsiadła do metra numer 14, żeby dojechać do Madeleine. Potem poszła w górę na Montmartre, do rue des Abbesses, przecinając plac Blanche. Musiała dwa razy pytać o drogę, zauważyła też, że Moulin-Rouge jest dużo mniejszy, niż sobie wyobrażała. Dekoracja teatralna.

Na rue des Abbesses usiadła w Saint-Jean, kafejce obok teatru. Był to wieczór premiery; wiedziała, że Adrien się pojawi i że może wpadnie wypić drinka albo spotkać się ze znajomymi przy barze.

O szóstej wysłała mu esemesa:

> Wpadnij do kafejki Saint-Jean na rue des Abbesses, zostawiłam dla ciebie niespodziankę.

Przez dwie godziny przyglądała się ulicy i przechodniom, podskakując za każdym razem, gdy za drzwiami pojawiał się cień nowego klienta. O ósmej poszła do teatru, nie otrzymawszy od Adriena ani słowa.

Pomyślała, że pewnie jest za kulisami obok aktorów. Nie ma przy sobie telefonu. Spotkają się później. A koło jedenastej, przy kieliszku szampana,

Nina powie: „Wyjechałam z La Comelle, chciałabym zostać w Paryżu. Czy zanim się jakoś urządzę, mogłabym zamieszkać u ciebie?”.

Adrien będzie szczęśliwy, wreszcie! Nina często myślała o zdaniu, które wyszeptał jej na ucho w dniu ślubu: „Dla ciebie zawsze będziemy mieli samochód z pełnym bakiem”. Tak długo na to czekał…

Od czasu, kiedy chłopcy wyjechali z La Comelle, do dzisiejszej premiery minęło sześć lat. Odchodziła od Emmanuela sześć długich lat. Musiał pojechać do Australii, żeby wreszcie zebrała się na odwagę. Nic nikomu nie powiedziała, nawet nie zadzwoniła do teściów. Emmanuel był zdolny do wszystkiego, również najgorszego. A tak, zanim wróci do Francji i uświadomi sobie, że jej nie ma, Adrien znajdzie rozwiązanie, żeby na jakiś czas ją ukryć. Z pewnością ma teraz dużo znajomych.

Idąc rue des Abbesses i widząc swoje odbicie w wystawach sklepowych, Nina postanowiła schudnąć, przestać pić i faszerować się hormonami. Przede wszystkim zacznie znów rysować i może nawet śpiewać!

Siedząc w pociągu do Paryża, patrząc przez okno na mijany krajobraz, pomyślała, że mogłaby wrócić do muzyki. Teraz, kiedy Adrien był znany, popularny, pisałby jej słowa, a ona by śpiewała. A gdyby się postarali, może udałoby się ściągnąć Étienne’a? Czy naprawdę był szczęśliwy w policji w Lyonie? Umiałaby go namówić, żeby do nich dołączył. Znów tworzyliby Trójkę. Byli jeszcze młodzi, życie, to prawdziwe, zacznie się po prostu sześć lat później.

W kasie teatru odebrała bilet zarezerwowany poprzedniego dnia przez telefon i poszła szerokim korytarzem pośród gęstego tłumu.

Była dumna, cieszyła się, że jest przyjaciółką tego, którego nazwisko widniało na afiszu. Miała trochę tremy, bo nie widziała Adriena od dnia, w którym Francja wygrała mistrzostwa świata w piłce nożnej.

Właśnie obliczała w pamięci – dwa lata, dokładnie dwadzieścia sześć miesięcy – kiedy napotkała jego spojrzenie.

W ciągu dwudziestu sześciu miesięcy to spojrzenie się zmieniło. Sposób, w jaki patrzył na innych, może nie, ale sposób, w jaki patrzył na nią, był inny. Najpierw poczerwieniał. Zdał sobie sprawę, że to ona. Nina. Jego Nina. Dzieliło ich kilka metrów.

Szukał oczami jej towarzyszy. Étienne’a z nadzieją, Emmanuela jako oczywistość. W końcu zobaczył, że jest sama. Ale nie ruszył się. Nie zrobił kroku w jej kierunku. To ona podeszła do niego z uśmiechem. Rzuciła mu się w ramiona i poczuła, jak Adrien sztywnieje.

Zbyt dużo emocji. Powściągliwość. Jego ogromna nieśmiałość.

Popatrzyli na siebie i zamienili kilka słów.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Masz tremę?

– Trochę.

Adrien się nie odzywał i robił miny w stylu: „Nie teraz, nie teraz”. Był odstawiony: zbyt dobrze skrojone ubranie, nowe todsy i wystylizowana fryzura. Nina ledwie zdołała wybąkać kilka banalnych słów, które nie pasowały do tej nie-rozmowy, tak jak ona nie pasowała do tego miejsca, które nagle wydało jej się ogromne i lodowate. Wydusiła z siebie coś w rodzaju: „Przyjechałam pociągiem, wysłałam ci esemesa, idę usiąść, spotkamy się po wszystkim”.

Rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nikt na nich nie patrzy, albo kogoś szukał. Nina nie umiała rozpoznać.

– No to na razie – odpowiedział, uśmiechając się niby porozumiewawczo.

Biedak, jest strasznie zdenerwowany, dlatego zachowuje się tak dziwnie, pomyślała, zajmując miejsce na widowni.

Gdy sztuka się skończyła, podniosła się jako jedna z pierwszych i zaczęła klaskać. Była szczęśliwa, podobało jej się wszystko: gra aktorów, scenografia, słowa, sytuacje. Pomyślała, że będzie wracać tu co wieczór.

Pamiętała, że Adrien był na lunchu u ojca i że odkrył swoją „drugą rodzinę", dwóch starszych braci i macochę, którzy pojawili się znikąd. Wychodząc stamtąd, zadzwonił do niej. „Nina, nie wyobrażasz sobie, co przeżyłem!" Rozmawiali może dziesięć minut, gdy Emmanuel się zniecierpliwił. Zaczął jej dawać znaki, pokazując na zegarek. „Możesz wreszcie skończyć?" Wtedy zamknęła oczy, żeby nie widzieć męża, dłonią zasłoniła lewe ucho. Rozmawiała z Adrienem przeszło godzinę. Potem pokłóciła się z Emmanuelem. Awantura. Wypiła więcej niż zwykle, żeby ukoić fizyczny ból. Alkohol pomagał jej się wyciszyć, zagłuszał wewnętrzny hałas. Zmieniał prawdziwe piekło w fałszywy raj.

Dziesięć minut oklasków.

Adrien posiadał wyjątkowy dar opowiadania. Sposób, w jaki przedstawił kilka godzin swojego życia, zapierał dech w piersiach. Aktorzy zawołali na scenę jego i reżysera. Oklaski przybrały na sile. Widok Adriena pomiędzy tymi „dorosłymi" osobami wywołał u Niny wielkie wzruszenie. Udało się! Adrien się wybił.

Potem chyba opadła kurtyna czy może zgasło światło na scenie, Nina nie pamięta. Słyszała jakieś głosy, ludzie kierowali się do wyjścia. Znalazła się w foyer, pomiędzy obcymi. Nie miała do kogo otworzyć ust. Przystanęła w kącie i czekała na Adriena, udając, że ogląda ulotki reklamowe.

Kiedy foyer opustoszało, nie ośmieliła się zapytać pracowników, którzy jeszcze się tam kręcili, gdzie jest Adrien. Wróciła do kafejki, żeby na niego poczekać. Wysłała drugiego esemesa:

Czekam w kafejce obok.

Odezwała się komórka, Nina podskoczyła. Adrien, w końcu! Pewnie ściągnie ją za kulisy, do garderoby, przedstawi jej aktorów, kostiumografów, garderobiane, techników. Ona przecież musi być przy jego triumfie!

Na ekranie nieznany numer. Odebrała z bijącym sercem.

– Halo!

– To ty?

– Słucham?

– Nie poznaję twojego głosu.

– To ja, Nina.

– Ach, przepraszam, pomyłka.

Dlaczego niektóre pomyłki są okrutniejsze od innych?

Nina zagryzła wewnętrzną stronę policzka, żeby nie popłakać się przy wszystkich.

Po dwóch godzinach czekania i czterech kieliszkach białego wina poszła pieszo do Madeleine i wsiadła do metra linii 14, żeby dotrzeć na dworzec lyoński. Odebrała z przechowalni walizkę babci. Było po północy. Następny pociąg do Mâcon odjeżdżał dopiero o szóstej trzydzieści.

Poszła uliczkami za dworcem, znalazła jakiś hotel bez gwiazdek, wzięła pojedynczy pokój za trzysta dziewięćdziesiąt cztery franki. Nie mogła zasnąć, cały czas myślała o tym wieczorze, ściskała komórkę w ręce, czekała na telefon od Adriena. Kiedy w końcu o czwartej nad ranem telefon zadzwonił, pomyślała z bijącym sercem, że to on; pewnie zapomniał komórki, dopiero teraz wrócił i zobaczył moje esemesy, szukał mnie po spektaklu, przeprosi, weźmie do siebie, musi być strasznie zaniepokojony.

– Halo?

Głos Emmanuela. Pełen euforii.

– Kochanie, czekam na przesiadkę! Nie mogę długo rozmawiać! Kocham cię. Myślę o tobie. Bądź grzeczna.

Rozłączył się.

Tak naprawdę była sama na świecie. Więc może być sama u siebie. Pójdzie na łatwiznę. Po dwóch godzinach wsiadła do pierwszego pociągu do Mâcon. Do domu dotarła koło południa. Wypakowała walizkę. Ułożyła rzeczy w szafie, wyjęła z półki *Biel hiszpańską* i wsunęła między kartki ostatni list, ten do Étienne'a.

Ale zaraz, nie! Wzięła książkę do ręki, rozkleiła kopertę…

*

– O czym myślisz? – pyta Romain.

Nina podskakuje, wyrwana z zamyślenia.

– Ach, wracają wspomnienia…

Romain znalazł ją na parterze. Na stole kuchennym otwarta walizka. Wzrok zwrócony w stronę okna, jakby obserwowała kogoś, kto wchodzi do ogrodu. Romain całuje ją w szyję.

– Ślicznie pachniesz!

– Pachnę psami. A teraz dodatkowo jeszcze kotami.

Romain wącha jej kark.

– Pachniesz ciepłem, jakbyś cały czas siedziała na słońcu… Uwielbiam twój zapach.

– Chyba jesteś chory.

– Tak, obłożnie!

Romain przeciąga się, nalewa sobie kawy.

Co robi w mojej kuchni ten piękny mężczyzna? – zastanawia się Nina. W mojej wstrętnej kuchni, która nie była odnawiana chyba od czasu, gdy Mitterrand po raz pierwszy wygrał wybory. Tacy ludzie jak on nie istnieją naprawdę. Nie w moim życiu. To mężczyzna dla innych kobiet, tych pięknych, czystych, uśmiechniętych. A może to prezent, który spadł mi z nieba. Jak w tym wczorajszym beznadziejnym filmie. Jutro Święty Mikołaj szybko zabierze go z powrotem i schowa na prezent dla innej babki w przyszłym roku…

– Nie wylegiwałem się w łóżku od czasów przedszkolnych! – mówi Romain, popijając kawę.

Podchodzi i obejmuje ją. Nina nie protestuje. Czuje armię mrówek w dole brzucha. Nic nie mówi. Zamyka oczy. Słyszy szept Romaina:

– Nigdy nikt nie zrobił mi portretu. Dzięki.

W chwili, gdy Romain szepcze jej do ucha to słowo, „dzięki”, Nina znów słyszy głos Simone: „Wiesz, Nino, czasem myśli się, że nie, a potem okazuje się, że tak”.

*

Właśnie dałam zapasowy klucz opiekunce do kotów, ładnej, miłej dziewczynie o imieniu Élisa. Wprost zwariowała z radości, widząc pyszczek Nicoli. A przecież powinna być przyzwyczajona – w schronisku takie pyszczki widzi codziennie. Tak samo jak te schorowane, stare i ślepe. Może wrażliwe dusze potrafią zachować entuzjazm.

Od jutra Élisa będzie tu spała, dopóki nie wrócę. Wie, że wyjeżdżam na czas nieokreślony i że trudno będzie się do mnie dodzwonić. Wie również, że jedzie ze mną Nina.

Élisa kończy gimnazjum, robi w tym roku małą maturę. Chodzi do odnowionego Georges’a Pereca. Szkołą kieruje ten typ, który sypia z Niną.

To znaczy… wyobrażam sobie, że śpią ze sobą, bo to ten R. Grimaldi, którego nazwisko widziałam napisane długopisem na skrzynce pocztowej w domu, do którego Nina weszła w zeszłym tygodniu. Nie wchodzi się do byle kogo po jedenastej w nocy. A poza tym przebadałam sprawę. Facet mieszka sam. Nazywa się Romain Grimaldi. Kolega z redakcji mówił, że podobno wyleciał ze szkoły w Marnes-la-Coquette z powodu skandalu seksualnego. Jakaś niepełnoletnia uczennica rzekomo złożyła na niego skargę. Ponieważ niczego mu nie udowodniono, został przeniesiony, a nie wyrzucony. Zesłano go na prowincję, gdzie diabeł mówi dobranoc, daleko od miasta. Dla nas, prowincjuszy, taki wystarczy. Już i tak odnowiono nam szkołę.

Wygląda to tak, jakby Nina przyciągała do siebie psychopatów.

Spytałam Élisę, jak jej się podoba nowy dyrektor.

– Miły – odpowiedziała.

Tylko tyle.

Więc zaczęłam naciskać.

– Co to znaczy „miły”?

– Normalnie miły. Myślę, że w szkole wszyscy go lubią. A poza tym jest bardzo przystojny.

Nie odpowiedziałam. Jestem zazdrosna. Wszystko, co ma związek z Niną, sprawia, że robię się głupia i złośliwa.

Élisa spytała mnie, czym się zajmuję. Powiedziałam jej o pracy w redakcji, o tłumaczeniach i pracach zleconych.

– Z jakiego języka pani tłumaczy?

– Z angielskiego.

– Ach, to fajnie! Piętnaście euro za dzień będzie okay? – Spojrzała pytająco.

– Doskonale.

– Kiedy zaczną się lekcje, na początku stycznia, będę wieczorem przynosiła sobie coś do jedzenia. Ma pani kuchenkę mikrofalową?

– Mam.

– Mogę pani zadać jeszcze jedno pytanie?

– Oczywiście.

– Czy to z wyboru spędza pani Boże Narodzenie sama?

– Absolutnie.

– Bo jeśli nie, to proszę wieczorem przyjść do nas, szykujemy zupę cebulową dla wszystkich sąsiadów.

Dziewczyna, która zaprasza mnie na kolację świąteczną, mimo że mnie nie zna, z pewnością będzie dobra dla mojego kota.

Zamykając torbę podróżną, pomyślałam, że jednak powinnam uprzedzić redakcję. Zasadniczo mam dyżur do drugiego stycznia, wtedy wraca ta osoba, którą zastępuję. Będę musiała coś wymyślić. Że muszę się pilnie operować czy coś takiego. Siła wyższa.

*

Nie słyszałam, jak weszła. Ani samochodu, ani drzwi wejściowych. Louise staje z tyłu i obejmuje mnie. Rozpoznam jej zapach pośród tysiąca… Czuję na szyi jej oddech.

– Wesołych świąt!

– Dzięki, tobie też!

– Mój brat umiera.

– Wiesz, że wyjeżdżamy jutro we troje?

– Wiem.

– Chcesz się czegoś napić?

– Tak.

– Będziesz nocować?

– Nie. Wolę być w domu, kiedy Marie-Castille odkryje, że Étienne wyjechał. No i rodzice… Biedna mama.

– Powiesz im prawdę?

– Tak. Nie mam chęci obciążać się kłamstwami. Dla Valentina to lepiej, żeby wiedział.

*

Siedzi na bagażniku, ojciec szybko pedałuje. Dziecko trzyma go mocno za T-shirt, jakiś biały z portretem Jima Morrisona, który będzie nosił przez lata. Plecy ojca, włosy na wietrze. To pierwsze, co pamięta. Wysoki, silny, piękny. Jego bohater. Broni go, nigdy nie karci, wciąż się uśmiecha. Valentin wrzeszczy: „Dziś skończyłem pięć lat!”. A ojciec pedałuje, śmiejąc się, udaje, że się wywracają, krzyczy: „Wszystkiego najlepszego, synku!”.

Wakacje. Wyspa Porquerolles. Jadą drogą obrośniętą sosnami. Morze bawi się z nimi w chowanego, czasem pojawia się między drzewami. W końcu lądują na jednej z plaż. Zatoczka jest jakby odbarwiona, morze straciło błękit, jest przezroczyste. Pędzą ścieżką białego piasku, rzucają ręczniki i wbiegają do wody.

Ojciec jest opalony. Brązowa skóra. Wszyscy na niego patrzą. Chłopiec wcześnie zdaje sobie sprawę z jego wyjątkowej urody – tata różni się od reszty śmiertelników. I ci ludzie, którzy wciąż powtarzają: „Jesteście z ojcem podobni jak dwie krople wody!”.

To znaczy, że potem będę wyglądał tak jak on, myśli Valentin. Przez całe dzieciństwo wiedział, że kiedyś będzie taki jak ojciec. I wszystko będzie robił tak samo.

Ale nie można robić wszystkiego tak samo. Bo on to on, a ja to ja.

No właśnie.

Osiemnasta.

Siedzą naprzeciw siebie w pokoju, w którym śpi Valentin, kiedy jest u dziadków. Łóżko na antresoli.

– Dlaczego nie chcesz się leczyć? – pyta chłopak, wpatrując się w czubki trampek. – Przecież to nie średniowiecze, mamy dwa tysiące siedemnasty rok!

Étienne zastanawia się, po co człowiek w ogóle zjawia się na ziemi, jeśli mają go spotykać takie chwile. Czy to kara? Czy to dlatego, że dwadzieścia trzy lata temu zostawił Clotilde? Że odpłynął, krzycząc, że zwariowała?

Teraz, w dzień Bożego Narodzenia, musi powiedzieć synowi tę straszną rzecz.

– Muszę ci coś powiedzieć. Jestem chory. Ale to już wiesz. Są choroby, których nie można wyleczyć.

– Nie ma takich chorób! – Valentin ma zaciśnięte pięści, jest bliski łez.

– Są, niestety, są, kochanie.

Étienne bierze syna za ręce. Valentin nie protestuje, zagryza wargi. Lubi dotyk skóry ojca. Zastanawia się, czy później będzie miał taką brodę jak on, jasną i ostrą. Tę, której ojciec nie goli, kiedy ma wolne.

– Ciocia mówi, że nie chcesz się leczyć, nie, że nie można tego wyleczyć.

– Ciocia się myli… Nie chcę cię karmić złudzeniami.

– Nigdy już cię nie zobaczę?

Étienne chciałby skłamać, chciałby uspokoić syna, ale po co? Są tu po to, żeby sobie powiedzieć prawdę. Étienne nie ufa prawdzie, nie lubi prawdy. Uważa, że prawda potrafi być podstępna. Do prawdy prowadzi

wiele dróg, prawda ma wiele odcieni. Nie jest nigdy tak prosta, jak się wydaje. Już on coś o tym wie, choćby z racji swojego zawodu. Ale tu, teraz, jest ją winien synowi.

– Dziś widzisz mnie takim, jaki jestem. Kiedy choroba weźmie górę, ja… ja nie chcę… Chcę odejść wcześniej. To ważne dla ciebie. Dużo ważniejsze dla ciebie niż dla mnie.

– Chcesz popełnić samobójstwo?

Pytanie jest tak bezpośrednie, twarde, że Étienne cofa się.

– Nie wiem… Nie. Nie popełnię samobójstwa. Ciocia dała mi lekarstwa, żebym nie cierpiał.

– Boisz się śmierci?

– Nie. Boję się o ciebie. Zostaniesz sam… Ale mama jest genialna. Z taką mamą nigdy nie będziesz sam. Słyszysz, Valentin? Nigdy!

– No to dlaczego nie chcesz jej powiedzieć?

Étienne milczy. Spuszcza wzrok. Potem patrzy synowi w oczy. Wpatrują się w siebie. Rozumieją się. Zawsze się rozumieli.

– Napisałem do niej list, wszystko w nim wyjaśniłem… Nie będzie jej łatwo, ale jestem pewien, że w końcu zrozumie.

– Jedziesz sam?

– Nina jedzie ze mną. I ta osoba, którą widziałeś dziś przed schroniskiem.

– Dlaczego nie ja i mama?

– Bo tak jest prościej. Prościej dla mnie. Prościej dla was.

Znów zapada długa cisza. Z dołu, z salonu, dobiegają stłumione głosy członków rodziny, grają w tarota.

W końcu odzywa się Valentin.

– Nic nikomu nie powiem.

– Będę do ciebie często dzwonił. Postaram się dzwonić każdego wieczoru. Kiedy będziesz w swoim pokoju. Przysięgam ci. Przysięgam, słyszysz? Numery zastrzeżone, numery, których nie znasz, odbieraj każde połączenie, okay?

– Dokąd jedziesz?

– Jeszcze nie wiem. Zdecydujemy w drodze. Nie chcę, żebyś czuł ode mnie zapach szpitala… Lekarstw… To śmierdzi.

Bierze syna w ramiona.

– Masz zachować zapach ojca, wspomnienie o człowieku, który cię kocha. Nie zapach chorego.

67

10 sierpnia 1994

Étienne,

pierwszy raz, kiedy Cię ujrzałam, wiedziałam, że będziesz mój.

Wiedziałam albo chciałam tego.

Wiedzieć, chcieć, co za różnica? Rezultat jest ten sam: jesteśmy razem.

Nigdy sobie nie wyobrażałam, że będę przez Ciebie tak cierpieć. Ale nawet gdybym sobie to wyobraziła, i tak od razu poszłabym z Tobą do łóżka.

Przeczytałam w jakimś piśmie, że im lepiej mężczyzna cię pieści, tym bardziej cierpisz, gdy go koło ciebie nie ma. Podatek od satysfakcji w łóżku jest bardzo wysoki.

Zakochać się w Tobie jest tak łatwo, że gardzę sobą za tę głupotę. Jesteś typowym „etatowym przystojniakiem”. Wystarczy, że się uśmiechniesz. To pierwsza okazja do tego, żeby nogi się pod kobietą ugięły, reszta już idzie sama. Tak łatwo…

Jakaż jestem głupia! „Głupia jak but”, mówiła moja babcia.

Ta praca w lipcu pozwoliła mi nie myśleć o Tobie, kiedy wyjechałeś na wakacje. A poza tym pizzeria Portowa jest genialna, jeśli chodzi o napiwki.

Co wieczór po powrocie do domu napełniałam moją skarbonkę forsą i łzami.

Biegiem pokonywałam schody, wpadałam do swojego pokoju, może na biurku czeka list albo kartka pocztowa.

Milczysz, od czasu gdy wyjechałeś piętnastego lipca. Już przed Twoim wyjazdem czułam, że trzymasz mnie na dystans, ale myślałam, że to przez te wakacje. Wmówiłam sobie, że trudno Ci jest rozstać się ze mną.

Więc pojechałam na weekend do koleżanki do Fréjus. Byłam tam krótko, ale nawet te kilka godzin na południu Francji okazało się bardzo pouczające.

Fréjus–Saint Raphaël, niecałe trzy kilometry. No i wiedziałam, która to plaża, przecież od dziecka jeździłeś w to samo miejsce. Dobry sposób, żeby Cię zobaczyć, zrobić Ci niespodziankę. Co do zobaczenia, to zobaczyłam Cię. To znaczy, żebym faktycznie mogła Cię zobaczyć, musiałabym zdjąć z Ciebie tę blondynkę. Nie wiedziałam, że Twój drugi zawód to koc plażowy dla przedsiębiorczych dup. Gdy zobaczyłam, jak ją obmacujesz, poczułam się upokorzona. Nawet wyplułam hot doga do kosza na śmieci. Miłość jest trudna. Trudna do zniesienia. Zazdrość może cię naprawdę zabić. Wierz mi. Długo tak na was patrzyłam, nie mogłam się ruszyć. To było gorsze niż senna mara, kiedy krzyczysz, wiesz, że to sen, ale nie możesz się obudzić. Chciałam Ci wydrapać oczy już tam, ale biorąc pod uwagę mój stan, odwróciłam się i odeszłam.

Ależ jesteś chujem.

Kłamcą.

Wiedziałam, nie, czułam, że Twój powrót z Korsyki łodzią to były głupoty.

Wróciłam do La Comelle wczoraj wieczorem.

Wczołgałam się raczej, z oczami czerwonymi od łez.

Rano dopadły mnie pytania: Czy rzucisz mnie po powrocie? Czy spojrzysz mi w oczy? Czy też rzucisz mnie przez telefon? Może nawet będziesz udawał, że jeszcze nie wróciłeś, aż zacznie się rok szkolny, przecież potem masz jechać do Paryża, a ja do Dijon?

Chyba że pokrzyżuję Twoje plany.

Zanim zdecyduję, mam Ci coś do powiedzenia. Coś, po czym będziesz musiał przeanalizować za i przeciw.

Skończyłam osiemnaście lat dwudziestego siódmego lipca. Czekałam na Twój telefon, na urodzinowe „Wszystkiego najlepszego”.

Poszłam nawet do kościoła zapalić świeczkę, poprosić Matkę Boską, żeby się u Ciebie wstawiła, żebyś dał mi znak. Ja, ateistka… Widzisz, jak nisko upadłam.

Tak, upadłam.

No ale mam osiemnaście lat. Jestem wreszcie pełnoletnia. Mogę robić, co chcę, mimo że, kochanie, nie czekałam na pełnoletność, żeby zrobić, co chcę.

Jak tylko Cię zobaczyłam po raz pierwszy, wiedziałam, że będziesz mój.

Więc wróćmy do tego dwudziestego piątego maja. Kiedy podrzuciłeś mnie do szpitala. „Podrzuciłeś” to dobre słowo, bo po prostu zostawiłeś mnie przed wejściem do izby przyjęć. Jak paczkę, którą kładzie się na wycieraczce, bo brakuje odwagi, by spojrzeć

w oczy adresatowi. Podobno nie znosisz zapachu korytarzy szpitalnych, podobno mdlejesz, gdy poczujesz woń eteru. Więc poszedłeś do jakiejś knajpy naprzeciwko, gdzie wypiłeś „najgorszą kawę na świecie” i czekałeś na mnie.

Zostawiłeś mnie samą.

Sama poszłam do recepcji, sama wjechałam windą na trzecie piętro. Oddział położniczy – sama. W poczekalni – sama. Położyłam się na łóżku – sama. Nikt nie wziął mnie za rękę.

Postawiono mi trzy pytania. Czy jest pani na czczo? Czy ma pani ze sobą legitymację ubezpieczeniową? Czy przyszła tu pani sama?

– Nie, kolega czeka naprzeciwko.

Ile czasu kolega będzie na mnie czekał? – pomyślałam. Dziś tu jest, ale jutro?

Kiedy wyszłam stamtąd parę godzin później i zobaczyłeś mnie w drzwiach kafejki, w sposób widoczny zmieniłeś się na twarzy. Mieszanina wstydu i ulgi w Twoich pięknych jasnych oczach.

Skończyło się. Mogłeś wrócić do normalnego życia. Podejść do matury.

Next.

Tymczasem w pracy wciąż chciało mi się rzygać, zapach kwaśnego wina zmieszanego z dymem papierosowym.

Te cholerne mdłości.

Podobno po zabiegu przechodzą. Ale tego nigdy się nie dowiem.

Wyszłam z pokoju, zanim po mnie przyszli. Dwie godziny błądziłam po kafeterii, obserwowałam Cię przez szybę. Jadłeś kanapkę i piłeś jedno piwo za drugim. Jak w przerwie meczu piłki nożnej.

Potem wsiedliśmy na motocykl, przytuliłam się do Ciebie i zamknęłam oczy.

Przedefilowały mi przed oczami obrazy mojego życia, tego, które miało nadejść. Mojego przyszłego życia z naszym dzieckiem.

Poprosiłam, żebyś ze mną został tamtego wieczoru, mówiąc, że jestem „zmęczona”. Nie śmiałeś mi odmówić. Zadzwoniłeś do Niny Beau, słyszałam, jak opowiadasz jej jakieś głupstwa, bo czekała na Ciebie z nauką, i spałeś u mnie. Koło mnie. Tej nocy byłam szczęśliwa, że noszę w sobie tę tajemnicę. Tylko ja wiedziałam, że będziemy mieli dziecko.

Hasta la vista

Clotilde

Październik 2000

W dniu, w którym Nina przeczytała słowa Clotilde, wiedziała, że już nigdy w życiu nie otworzy cudzego listu.

Ale co ma zrobić teraz? Zanieść list na policję? Przecież Étienne jest policjantem. To mogłoby narazić go na kłopoty. Nawet go zniszczyć.

Nie, niemożliwe, żeby Étienne się nie dowiedział.

– Dziadku, co mam robić? – spytała na głos.

Wrzucić list do skrzynki Marie-Laure i Marca w La Comelle? Jak pozostałe listy? Czy też oddać mu do rąk własnych w Lyonie? Czy on wiedział, że Clotilde była w ciąży? Czy mówiła prawdę? Czy tamtego wieczoru spotkał się z nią, czy nie?

Kiedy siedemnastego sierpnia umawiali się nad jeziorem, Nina siedziała obok. To było u państwa Beaulieu, gdzie odbywał się poczęstunek po

pogrzebie. Clotilde wstała, żeby wyjść, a Étienne powiedział:

– Zostanę jeszcze chwilę z Niną, ale spotkamy się wieczorem?

– Zgoda, nad jeziorem, pod naszym drzewem!

Clotilde pochyliła się, żeby go pocałować. Musnęła wargami jego usta, odpowiedział jej tym samym.

– To do wieczora! – mruknął.

Nina to zapamiętała, bo kiedy Clotilde powiedziała „pod naszym drzewem", przypomniało jej się drzewo dziadka w ogrodzie.

I wciąż to samo pytanie bez odpowiedzi: dlaczego dziadek zginął w dniu, kiedy miał doręczyć ten list? Żeby list nie trafił do adresata? Kto pociągał za sznurki ich losów? Jaki Bóg, jakie przeznaczenie pozwala sobie na coś takiego? Na ten ponury żart?

Co się stało z Clotilde? Czy Étienne ma gdzieś sześcioletniego syna? Dlaczego Clotilde tak postąpiła? Jak mogła? Tylko po to, żeby go przy sobie zatrzymać? Étienne zawsze mówił, że się zabezpiecza, powtarzał, że należy do pokolenia, które wyrosło „z prezerwatywą na penisie". Nina nienawidziła, kiedy tak mówił.

– Nie bądź wulgarny, Étienne!

– To prawda jest wulgarna – odpowiadał, kiedy był podpity.

Rzeczywiście od urodzenia żyli z widmem AIDS. Wszystkie reklamy, plakaty ostrzegały przed stosunkami bez prezerwatywy.

„Ja się AIDS nie zarażę!" Mieli wszyscy troje po jedenaście lat, kiedy w telewizji zaczęła się masowa kampania uczulająca ludzi na wirusa HIV. Jeśli już gdzieś na górze, w ministerstwach, starzy zaczęli dyskutować na temat życia seksualnego młodzieży, to oznaczało, że problem jest poważny. W gruncie rzeczy Étienne miał rację: należeli do pokolenia kopulującego w kondomach.

Nina, gdy przeczytała list Clotilde, odruchowo pomyślała, żeby zadzwonić do Adriena i zapytać go o radę.

Ale teraz, gdy tak ją potraktował, nie mogła.

Jeszcze dziś czuła gorycz. Stracone złudzenia, uczucie opuszczenia, upokorzenia. Bez przerwy zalewały ją fale smutku. Myślała nawet o śmierci. Wracając pociągiem z Paryża, chciała położyć się na łóżku i pójść do dziadka, do Joséphine, do Joe Dassina, do Paoli i do kotów. I dopiero gdy przeczytała ostatni list, ten do Étienne'a…

Wstrząs.

Minęły trzy tygodnie, odkąd go otworzyła. Przeczytała raz i drugi, nie wiedząc, co robić.

Wciąż nie wiedziała.

Adrien nie zadzwonił. Ani następnego dnia, ani jeszcze następnego. Ani gdy minął tydzień od jej paryskiej eskapady. Walizka babci wróciła na swoje stare miejsce w szafie.

Kiedy dwa tygodnie po premierze *Wspólnych dzieci* Emmanuel wrócił z Australii, Adrien wciąż nie dał znaku życia. Nie napisał słowa, nawet karteczki z podziękowaniem, że przyjechała.

Nic.

*

Adrien spotyka się z Étienne'em.

Étienne przysłał mu esemesa:

Przejazdem w Paryżu, musimy się spotkać.

Adrien przeczytał te słowa kilkakrotnie, zanim odpisał:

Okay, restauracja La Lorraine, place des Ternes 20.00?

Okay.

Adrien zastanawia się, co oznacza „musimy”. Ostatnim razem widział się z Étienne’em, gdy witali razem rok dwutysięczny. Trzydziestego pierwszego grudnia po południu spotkał się z Louise, Étienne’em i około dwudziestoma przyjaciółmi, studentami medycyny, młodymi gliniarzami i kolegami z liceum. Marie-Laure i Marc Beaulieu poszli na sylwestra gdzie indziej, a Nina w ostatniej chwili wycięła im ten cholerny numer. Spędzili dwa wspaniałe dni. Menu: wędzony łosoś na starych sucharkach Heudebert, „bo zapomnieliśmy kupić chleb do kanapek”, pizza, półmisek ostryg i groszek konserwowy. Poza tym alkohol, tańce, muzyka, w kółko puszczali *Tu m’oublieras* Larusso, seriale, gry wideo i sjesta. Jak nastolatki, którym rodzice zostawili mieszkanie. Adrien, choć zwykle odżegnywał się od przeszłości, po namowach Louise zgodził się wziąć w tym udział. Nawet mu się podobało: luz, nie musiał szukać dowcipnych ripost, podlizywać się jakimś elitarnym snobom. Dwa dni szlajania się po domu w kapciach i jedzenia byle czego byle kiedy.

Kiedy kładli się pierwszego stycznia nad ranem, o mało co z przyzwyczajenia nie poszedł spać do domu matki. Louise kilka minut później dołączyła do niego w jednej z gościnnych sypialni. Drugiego stycznia odstawiła go na dworzec, a sama pojechała do Lyonu. Od tego czasu nie widział ani jej, ani Étienne’a, a była już połowa października.

Adrien przychodzi pierwszy. Patrzy na swoje odbicie. Za każdym razem jest zaskoczony, gdy widzi faceta w eleganckim, granatowym, dobrze skrojonym płaszczu. Nie boi się już wejść do restauracji i powiedzieć:

– Dobry wieczór, zarezerwowałem stolik na nazwisko Bobin. Przyszedłem trochę za wcześnie.

– Proszę za mną – odpowiada hostessa, ładna ruda dziewczyna trochę podobna do Julii Roberts.

Ze względu na Étienne’a wybrał stolik w części dla palących. Po raz pierwszy znajdą się w restauracji tylko we dwóch. Zwykle Adrien jada kolację w swojej dzielnicy, ale pomyślał, że Étienne będzie się lepiej czuł w tym pięknym miejscu, którego specjalnością są owoce morza.

– Czego się pan napije?

– Poproszę butelkę wody, może Chateldon?

Czekając na przyjaciela, przez chwilę zastanawia się, czy Étienne czytał *Biel hiszpańską* albo którąkolwiek z jego sztuk. Ale czy on kiedykolwiek coś czytał? No tak, jak się uczył do tych swoich egzaminów. Ale raczej nie literaturę piękną, a już na pewno nie sztuki teatralne.

I w tym momencie drogą skojarzeń Adrien przypomina sobie swoje nikczemne zachowanie wobec Niny, gdy szukała go w tłumie w teatrze des Abbesses.

Oczywiście dostał jej esemesy po spektaklu. Natychmiast je skasował, niczym niewierny mąż wiadomości od nachalnej kochanki. Tamtego wieczoru miał w planie kolację z reżyserem, z Fabienem Désérable’em, z aktorami; miało przyjść jeszcze kilkoro wybranych dziennikarzy. Teatr zarezerwował całą salę w Café de la Paix. Adrien pomyślał, że zadzwoni do Niny rano, kiedy będzie już po wszystkim. Przecież to jej wina – nie wpada się tak bez uprzedzenia. Ciężko pracował, żeby zdobyć te przywileje. Ta premiera decydowała o jego przyszłości. Zderzenie starego życia z nowym było wykluczone. Następnego ranka, pełen wstydu, pomyślał: zadzwonię po południu. Potem po południu zmieniło się w następny tydzień. Później postanowił odczekać i zadzwonić do niej na urodziny. Ale drugiego sierpnia ta przedłużająca się tchórzliwa cisza ogłuszyła go i nie był w stanie nawet podnieść słuchawki.

Natychmiast odpędza tę myśl i zamawia kieliszek szampana.

Nie może nawet myśleć o spojrzeniu Niny, szukającej pod jego maską chłodu i próżności człowieka, którego kochała, prawie brata.

Étienne wchodzi do restauracji. Adrien w ogóle o nim zapomniał, tak jest zajęty wmiataniem pod dywan kurzu przeszłości.

Étienne jest punktualny. Adrien obserwuje go z daleka. Nie daje mu znaku. Dzięki temu może go sobie dokładnie obejrzeć. Skórzana kurtka, dżinsy, sportowe buty. Typowy strój gliniarza. Każdy ma swoje przebranie. On udaje modnego pisarza, jego obecny dress code to eleganckie ciemne ubrania.

Étienne jest szaleńczo przystojny, aż zapiera dech. Schudł. Ma cienie pod oczami, smukłą, pociągłą twarz, dwudniowy zarost. Włosy mu lekko pociemniały. Spojrzenia wszystkich gości przy stolikach kierują się na jego piękne niebieskie oczy, elastyczny, młodzieńczy chód.

Zwraca się do Julii Roberts za ladą i nawet ona robi się czerwona i uśmiecha się głupio.

Mnie się to nigdy nie uda, nikt się tak z mojego powodu nie zaczerwieni, myśli Adrien.

Hostessa wskazuje stolik, Étienne odwraca się i uśmiecha na widok Adriena. Ten wstaje, obejmują się, całują w policzki. Policzki Étienne’a są zimne i kłujące. Pokropił się jakąś mocną wodą: korzenny zapach wetiweru i cytrusy. Adrien jest zmieszany, stara się to ukryć.

– Co słychać? – pyta Étienne, ściągając kurtkę i zapalając papierosa.

– Dobrze.

– No, widzę, że bardzo dobrze! Czytałem gdzieś nawet artykuł o jednej z twoich sztuk.

– Tak? O której?

Étienne wzrusza ramionami. Nie pamięta. Adrien uśmiecha się; nie ma ochoty z nim gadać o swojej pracy.

– Co u twojej siostry?

– Zapracowuje się na śmierć. Studia medyczne to szaleństwo.

– A ty?

– Wciąż mi się podoba to, co robię. Rewizje, śledztwa, cały czas w samochodzie, nie ma rutyny… to coś, co lubię. Z wyjątkiem papierkowej roboty.

Kelner podchodzi i pyta Étienne’a, czego chciałby się napić.

– Whisky bez lodu, poproszę.

– Dla mnie jeszcze jeden kieliszek szampana – wtrąca Adrien.

Zaczynają przeglądać menu. Adrien zamawia solę i warzywa, Étienne vol-au-vent z frytkami i sałatą.

– Chcesz kilka ostryg, krewetki albo małże na początek? Może weźmy talerz? – proponuje Adrien, rozochocony dwoma kieliszkami szampana wypitymi jeden po drugim.

– Nie, dzięki.

Adrien odbiera tę odmowę jako niechęć Étienne’a do długiego przesiadywania z nim w restauracji. Bo przecież od dziecka uwielbia owoce morza. W Saint-Raphaël i na ostatniego sylwestra między dwoma kawałkami świątecznej rolady z kremem jadł tylko to.

– Masz ochotę na wino?

– Kieliszek czerwonego do vol-au-vent. Wybierz dla mnie, wygląda, że teraz się na tym dobrze znasz. No, no, widzę, klasa!

Adrien nie reaguje. Wyczuwa odrobinę ironii w głosie Étienne’a.

– Dużo zarabiasz na tym pisaniu?

– To zależy. To, co naprawdę zmieniło moje życie… wszystko… to powieść.

Étienne unosi brwi, smarując kawałek ciepłego chleba masłem.

– Jaka powieść?

– *Biel hiszpańska*.

Étienne milczy. Patrzy na przyjaciela. Adrien widzi po jego oczach, że słyszał już o tej książce. Że ten tytuł coś mu mówi. Ale co? Kiedy? Gdzie? Szuka, nie może znaleźć.

Adrien nie wie, dlaczego się przyznał, że jest autorem tej tak popularnej obecnie powieści. Przecież nawet matce nie powiedział. Wiedzą o tym tylko Fabien Désérable i Louise.

Uśmiecha się, myśląc, że jutro Étienne zapomni nawet tytuł. A ponieważ powieść jest wydana pod pseudonimem Sasha Laurent, nie skojarzy tego. Albo zadzwoni i powie: „Słuchaj, jaki jest tytuł tej książki, na której się tyle nachapałeś, bo zapomniałem?”. Albo zacznie wypytywać Louise. A ta zrobi zdziwioną minę. Ona go nigdy nie zdradzi.

Zadaje Étienne’owi pytanie, które ciśnie mu się na usta, odkąd go zobaczył w drzwiach restauracji.

– Co cię sprowadza do Paryża?

– Przyjechałem specjalnie, żeby się z tobą zobaczyć – odpowiada Étienne między dwoma łykami whisky.

– Ze mną?

– Taaa… Będziesz mi potrzebny.

– Ja?

– Clotilde…

– Jest coś nowego?

– Nie, jeszcze nie. Ale będzie. Okazuje się, że to zeznanie nie trzyma się kupy.

– Jakie zeznanie?

– Tej starej, która niby widziała Clotilde na stacji. Tego wieczoru, kiedy znikła. Więc mogę mieć kłopoty.

– Jak ci mogę pomóc?

– Musisz powiedzieć, że byłeś ze mną… Najpierw nad jeziorem, potem u Niny.

– Byłem u Niny, z Niną. Ty doszedłeś później.

– Wiem.

– Chcesz, żebym skłamał?

– Tak.

– Czy Nina też skłamie? – pyta Adrien.

– Nina jest w stanie nieważkości dwadzieścia cztery godziny na dobę, od kiedy wyszła za mąż za tego durnia. I powie to, o co ją poproszę. Tak czy inaczej, jej to nie dotyczy, zostaw ją w spokoju. Tamtego wieczoru była u Damamme’ów.

– Niezupełnie – mówi Adrien. – Tamtego wieczoru była ze mną u siebie, to znaczy u jej dziadka. Byliśmy tam we dwoje, wyszła, zanim przyszedłeś.

Adrien widzi, że Étienne’owi jest przykro, tak jak kiedyś, gdy był dzieckiem i nie dostawał tego, czego chciał. To niezauważalne dla kogoś, kto go nie zna. Coś ciemnego w spojrzeniu, zmarszczka na czole, niedostrzegalne drgnięcie górnej wargi.

Jakby trzy niedostrojone instrumenty zagrały nagle unisono, myśli Adrien.

– Tego nikt nie wie! – protestuje Étienne, zirytowany. – Nie wciągaj w to Niny.

Adrien już nic nie mówi. Wyjmuje ości z soli, nie krzyżując sztućców.

– Widziałem ją wczoraj – rzuca Étienne.

Adrien unosi głowę.

– Gdzie?

– W Lyonie. Wpadła na jeden dzień, żeby mi przywieźć list.

– Jaki list?

– Stary list od Clotilde… Wiedziałeś, że grzebała w listach dziadka, gdy byliśmy mali?

– Nie widzę związku.

– Ja widzę. Jestem gliniarzem.

– Co, aresztujesz ją? – rzuca drwiąco Adrien.

– Opowiedziała mi o teatrze Abbesses… Jak się zachowałeś.

Adrien czerwieni się, milczy.

– Wiesz, co najbardziej mi się podoba w zawodzie policjanta?

– Kajdanki?

Étienne uśmiecha się dziwnie.

– Granie komedii podczas przesłuchań. Stałem się wyjątkowo dobrym aktorem. Belmondo się chowa. Zły, dobry, fałszywy, idiota, łatwowierny… Umiem zagrać wszystko. Z łatwością dostałbym się do szkoły teatralnej.

– W takim razie zaangażuję cię do którejś z moich sztuk.

Étienne spogląda na niego z mieszaniną litości i pogardy.

– Adrien, posłuchaj… Czy ty naprawdę myślisz, że ja nie przeczytałem *Bieli hiszpańskiej*? Naprawdę myślisz, że moja siostra mi niczego nie powiedziała? Jak tylko wyszła twoja książka, od razu wiedziałem, że coś jest nie tak. A jestem nie do pobicia, jeśli chodzi o wyciąganie od kogoś informacji. Tym bardziej od siostry…

Adrien zamiera. Kręci mu się w głowie. Nagle czuje się nagi, wystawiony na jarmarku, na podwyższeniu, na oczach wszystkich, podczas

gdy Étienne zwołuje gapiów: „Ludzie, chodźcie, patrzcie, kim jest naprawdę Adrien Bobin! Podziwiajcie widowisko!”.

– Przeczytałeś? – szepcze.

– Tak – mówi Étienne, odgryzając kawałek chleba i nie odrywając wzroku od Adriena.

Ten przyjmuje cios.

– Powiedziałeś Ninie?

– Tak. Bez wahania, wczoraj, kiedy mi opowiedziała o numerze, jaki jej wyciąłeś. Szukałem dla ciebie usprawiedliwienia i powiedziałem o książce.

– Co ona na to?

– Że od dawna ma ją na półce, ale że jeszcze do niej nie zajrzała.

Adrien zastygł, jak żona Lota. To koszmar. Chciałby obudzić się u siebie, na swojej kanapie. Żeby ktoś mu powiedział, że to nieprawda, to sen.

– Znam cię, wiem, co myślisz. Myślisz, że ja nie czytam. Że matoł ze mnie. Ale mylisz się, przyjacielu. Przeczytałem wszystko, co napisałeś. I ten artykuł z zeszłego tygodnia, który mówił o *Wspólnych dzieciach*, też.

Étienne milknie. Wydaje się delektować zakończeniem kolacji. Adrien patrzy na niego, czuje, że zaraz zemdleje. Jest zlany potem. Kurwa, on wpadł w gówno z tą Clotilde, a ja cierpię z powodu wyrzutów sumienia, myśli.

– Czego chcesz, Étienne? – pyta w końcu.

– Żebyś mi dał alibi. Żebyś powiedział, że byłeś ze mną nad Leśnym Stawem siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, że czekaliśmy razem na Clotilde i że razem wróciliśmy do Niny, bo ona nie przyszła.

– I nikt się nie zdziwi, że dopiero teraz to mówię?

– Nie, bo do tej pory nikt nie podejrzewał, że mogę mieć coś wspólnego ze zniknięciem Clotilde.

– Zrobiłeś jej coś?

– Nie, przysięgam ci.

– Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

Étienne nic nie mówi, a po chwili rzuca:

– Wydaje mi się, że coś wtedy zobaczyłem…

– Co?

– Widziałem, jak w jeziorze tonie samochód.

Étienne podnosi rękę i zamawia jeszcze jeden kieliszek wina.

– Jaki samochód? – naciska Adrien.

– Nie wiem. Jakiś czerwony. Wydaje mi się, że był czerwony. Ale to nie ma nic do rzeczy. Ty masz tylko powiedzieć, że byłeś ze mną.

– A jeśli odmówię?

– Dlaczego miałbyś odmówić?

– Fałszywe zeznania.

– Tylko częściowo… Przypominam ci, że resztę tego wieczoru spędziliśmy razem. Dobra, byliśmy młodzi, wszyscy tak się bawili, ale…

Adrien wstaje, Étienne chwyta go za rękę. Silny, zdecydowany uścisk dłoni, prawie dwa razy większej niż jego, rozgniata mu palce. Jasne oczy Étienne’a już nie są jasne. Przysłoniły je dwa szare cienie. Jego górna warga już nie drży. Irytacja zmieniła się w determinację.

– Siadaj. Nie skończyłem jeszcze. Pamiętasz, jak Nina mi powtarzała: „Nigdy nie wiadomo”?

– O czym ty mówisz? – Spocony Adrien jest bliski płaczu.

– Ściągałem od was, przepisywałem prace domowe, ale ona wciąż mnie zmuszała, żebym starał się zrozumieć, co piszę. „Nigdy nie wiadomo”,

mówiła. Pytałem: „Czego nie wiadomo?”. A ona tylko powtarzała: „Nigdy nie wiadomo”. Miała rację. Wszystko jej zawdzięczam. Bo siłą rzeczy zacząłem to robić. Zacząłem pojmować to, co od was przepisywałem.

Adrien się nie odzywa.

Étienne puszcza jego dłoń i łagodnieje.

– Możemy wyjść stąd razem, jeśli chcesz…

Adrien nadal milczy.

– Wyobrażam sobie, że masz bardzo piękne mieszkanie. Tak samo piękne jak ciuchy, które nosisz.

Nadal nic nie mówi.

– Będziemy mogli się pomacać, jeśli będziesz chciał.

Adrien chlusta mu wodą ze szklanki prosto w twarz i natychmiast żałuje tego gestu.

– Kocham twoją siostrę.

– Szkoda – odpowiada Étienne, wycierając twarz serwetką. – Nie zmuszałbym się, umiałbym się odwdzięczyć… Masz ochotę na deser?

Adrien nie jest w stanie wymówić słowa ani się ruszyć.

– Zrobiłem głupstwo – ciągnie Étienne. – Miesiąc temu widziałem świadka… i sam wszystko zepsułem. Zasiałem wątpliwości w głowach śledczych z La Comelle. To nie mogła być Clotilde, ta dziewczyna, którą stara widziała na peronie.

– Dlaczego? – udaje się wyjąkać Adrienowi.

– Pomyliła ją z inną dziewczyną.

– Skąd wiesz? Bo ją zabiłeś?

Étienne wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Przestań się wygłupiać”.

– To historia z szyciem. Z maszyną do szycia.

– Jesteś nienormalny, Étienne, mówisz głupstwa.

– Pozwól, że od razu ci przerwę. Z nas dwóch to ty jesteś nienormalny, nie ja.

Adrien bez protestu przyjmuje kolejny cios. Chętnie dałby Étienne’owi w mordę. Tu i teraz. Zalewa go nienawiść. Na wierzch wypływa sprawa z panem Py.

– Nie chcę cię już nigdy widzieć.

– Ja również nie chcę ciebie widzieć. Ale zanim postawisz na mnie krzyżyk, będziesz na tyle miły, że udasz się na komisariat i powiesz, że tamtego wieczoru cały czas byliśmy razem.

– A jeśli nie?

– Jeśli nie, rozgłoszę wszędzie, kim naprawdę jest Sasha Laurent… Wierz mi, nie będę się ograniczał w podawaniu szczegółów. Moja siostra bardzo się ucieszy, gdy się dowie, że to o mnie piszesz w *Bieli hiszpańskiej*.

Adrien wstaje i łapie Étienne’a za kołnierz. Podbiega do nich Julia Roberts. Nieliczni klienci przy stolikach obok milkną. Étienne popycha gwałtownie Adriena, ten traci równowagę i opada z powrotem na krzesło.

– Pozwól, że to ja zapłacę – mówi Étienne.

– Że co?

– Nalegam!

Idzie do kasy i wyjmuje kartę kredytową. Adrien siedzi na krześle bez sił, podobny do szmacianej lalki.

68

26 grudnia 2017

Marie-Castille kilkakrotnie czyta list od Étienne’a.

Zwykle to ona prowadzi śledztwo, przepytuje, magluje, poniewiera. To ona ocenia żałosny los zatrzymanych, ich zejście z prostej drogi, ich zagubienie, szaleństwo.

A dziś rano to życie aresztuje ją. Sędzia bez litości.

Odkłada list na łóżko.

Od zawsze wiedziała, że był z nią tymczasowo, że nie zostałby. Nie z powodu choroby, ale z powodu jakiejś innej kobiety. Zawsze myślała, że będzie musiała zwalczać rywalki.

Étienne chory… Jakim sposobem w ogóle wyjechał? Ich samochód stoi na podwórku. Pewnie wzięli samochód Niny. Albo są w pociągu. Może nawet w samolocie. Tak czy inaczej, daleko.

Marie-Castille drży na całym ciele. Uświadamia sobie, że już nigdy nie zobaczy męża. Że zorganizował swoje odejście. Odruchowo dzwoni do niego. Poczta głosowa.

Jak mógł do tego stopnia jej nie ufać? Odejść, zostawiając na poduszce list z przeprosinami i wyjaśnieniem?

Jak ten facet, co chciał, żebym się leczył

*A sam porzucił psa w sierpniu w Hiszpanii…**

Marie-Castille czuje się samotna jak pies porzucony w drodze na wakacje. Jak śmieć. Jak wyładowana bateria.

Na pytanie, od kiedy się znają, odpowiadali, że mają tyle lat, co ataki z jedenastego września.

Spotkali się przed telewizorem. Był to telewizor jakiegoś dilera i jego dwóch wspólników, których właśnie zatrzymali.

Étienne podlegał komisariatowi lyońskiemu w szóstej dzielnicy, ją przydzielono do dzielnicy pierwszej.

Ponieważ przestępcy byli niebezpieczni i uzbrojeni, wezwano posiłki.

Wychodząc z mieszkania przestępców, Marie-Castille zajrzała do któregoś z pokoi i zobaczyła faceta siedzącego w fotelu przed telewizorem. Był sam. Na ręce miał opaskę z napisem POLICJA. Nie zauważył, że weszła, jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ekran, w obrazy apokalipsy.

Kiedy poczuł ją obok, powiedział tylko:

– Wyłączyłem dźwięk, to jest nie do wytrzymania.

Nie wiedział nawet, do kogo mówi.

I wtedy, kiedy gdzieś świat legł w gruzach, kiedy na ekranie widać było tylko dym, Marie-Castille się zakochała.

Zakochiwanie się w dniu, gdy tysiące niewinnych ginęło tam, tu i jeszcze gdzieś indziej, powinno być zabronione przez jakieś wewnętrzne przepisy. Deontologię serca. Zła wróżba. Zła karma, zły początek, złe spotkanie. Jej serce powinno wówczas być zamknięte na kłódkę, nie wpuszczać nikogo i niczego, tymczasem w dniu zamachów jedenastego września narodziła się w nim miłość.

Komórka, którą wsadziła do kieszeni dżinsów, bez przerwy wibrowała. Powinna od razu odebrać, ale zamiast tego przysiadła na poręczy jego fotela. Prawie do niego przylgnęła. Ramieniem dotykała jego ręki. Oddychała nim. Z trudem się powstrzymała, żeby nie przesunąć dłonią po jego włosach. Patrzyła, jak patrzy na ekran. Tymczasem właściciel mieszkania czekał na nią w celi, miała go przesłuchać.

– Jak się pan nazywa? – wydusiła wreszcie z siebie.

– Porucznik Beaulieu.

– Komisarz Blanc.

– To pani jest ta nowa? – spytał obcesowo, mimo że zwracał się do wyższej rangą.

– Tak.

Mówiąc do niej, nie odrywał wzroku od telewizora, jak nastolatek pochłonięty katastroficzną grą wideo.

Wyszli stamtąd koło dwudziestej pierwszej, udręczeni zimnem. Osłupieli na widok opustoszałych ulic.

Lyon wyglądał jak w styczniową niedzielę. Mieszkańcy siedzieli w domach. Bary, zwykle pełne ludzi, były zamknięte albo puste.

Zamówili kanapki i piwo, wpatrzeni w ekran telewizora stojącego na ladzie. Wszystkie kanały puszczały w kółko zdjęcia dwóch samolotów wbijających się w szklaną fasadę. Czterech klientów oglądało w milczeniu symbol ekonomicznej siły USA rozpadający się jak domek z kart.

Marie-Castille spytała Étienne’a, gdzie mieszka.

– Mam studio niedaleko stąd. A pani?

– Wynajmuję umeblowane mieszkanie… czekając na pana.

Poczerwieniała.

– Przepraszam… czekając… boję się wracać sama dziś wieczorem. Mogę z panem zostać?

Étienne jej nie uwierzył. Ta kobieta niczego się nie bała. To się czuło po sposobie, w jaki skrycie mu się przyglądała. Spodobała mu się. Trochę jak chłopak, ale paradoksalnie bardzo kobieca. Na palcach pierścionki, nie ma obrączki. Jakieś dziesięć lat starsza od niego. Krótko obcięte blond włosy, dość zmysłowe usta, zielone oczy. Spojrzenie jednocześnie łobuzerskie i ciekawskie.

– Uprzedzam, że u mnie jest straszny burdel. Wszystkie moje panie sprzątające kończą na środkach uspokajających.

Poszła za nim jak pies za swoim panem. Zobaczyła garsonierę Étienne’a. Ani śladu żony i dzieci.

Kawaler.

Z miejsca pomyślała, że musi go złowić, zanim zrobi to jakaś inna. Trzeba działać inteligentnie, w rękawiczkach.

*

Marie-Castille wkłada szlafrok i bez pukania wchodzi do pokoju szwagierki. Louise nie śpi. Pije herbatę, siedząc na parapecie i wyglądając na ulicę. Jakby na nią czekała.

– Od dawna jest chory?

– Tak, od zbyt dawna.

– Wiedziałaś, że odjeżdża?

– Tak.

– To dlatego kłóciliście się wczoraj?

– Tak… Chciałam, żeby cię uprzedził.

Marie-Castille zaciska pięści, powstrzymuje łzy. Porywa ją rzeka rozpaczy i goryczy.

– A Valentin? Wie?

– Wie. Wpadł przypadkiem na nasze esemesy.

Marie-Castille przyjmuje ten drugi cios. To tak, jakby cały świat spiskował przeciwko niej. Jakby była wrogiem albo najsłabszym ogniwem. Tą, która nie jest w stanie przyjąć prawdy.

– Rzeczywiście nie można nic zrobić?

Louise załamuje się. Wydaje się wyczerpana. Jak dzielny żołnierz, który zgubił broń na placu bitwy.

– Zawsze można coś zrobić, przynajmniej spróbować. Nie mówię, że wyzdrowiałby, ale leczenie mogłoby przedłużyć mu życie.

– On to wie?

– Mówiłam mu sto razy. Nie chciał mnie słuchać.

– Postanowił umrzeć – mówi Marie-Castille jakby do siebie. – Wiesz, dokąd pojechali?

– Przysięgam, że nie wiem, gdzie są. Wyjechali w nocy wszyscy troje.

*

Pojechałyśmy po Étienne’a o czwartej nad ranem. Czekał na nas na rogu ulicy, z torbą podróżną na ramieniu.

– Czyj to wóz? – spytał Niny.

– Mojego narzeczonego.

– Masz narzeczonego?

– Tak.

– Jakiś normalny facet?

– Tak.

Nic nie powiedziałam. Siedziałam z tyłu, uszczypnęłam się, żeby mnie nie kusiło. Nie pisnąć słowa o tym, czego dowiedziałam się o Grimaldim.

Jechaliśmy tak, aż dojechaliśmy do Mâcon. Étienne obgryzał paznokcie, przyglądając się mapie Europy rozłożonej na kolanach. Wahał się, Włochy czy Grecja.

– Ile czasu możecie być ze mną? – spytał.

– Odkąd pracuję w schronisku, praktycznie w ogóle nie brałam wolnego.

– To znaczy ile?

– Tyle, ile będzie trzeba.

Étienne odwrócił się i popatrzył na mnie.

– A ty?

– Tak samo.

– Tak czy inaczej, to nie będzie trwało w nieskończoność.

Nie pozwolił, żeby głos mu się załamał. Od razu zebrał się w sobie.

– Chciałem wam podziękować. I… też przeprosić… was.

Milczałyśmy z Niną, podczas gdy Étienne przesuwał palcem po mapie, zastanawiając się nad różnymi trasami. W końcu sięgnął do kieszeni i wyjął jedno euro.

– Orzeł, Grecja. Reszka, Włochy.

Podrzucił monetę, złapał, przyklepał wierzchem dłoni.

– Reszka.

---

* Alain Bashung, *Gaby Oh Gaby*.

69

Październik 2000

Minęło dużo czasu, zanim powiedziała całą prawdę Emmanuelowi. Czekał na nią, spięty, na kanapie w salonie. Była dwudziesta trzydzieści. Kucharka przygotowała zapiekankę – mielone mięso z ziemniakami – i sałatę. Ponieważ Nina nie jadła mięsa, była skazana na ziemniaki, ale brzydziło ją zgarnianie łyżką górnej warstwy upapranej mięsnym sosem. Kucharka nie kryła się już ze wznoszeniem oczu do nieba, gdy Nina prosiła o inne dania. Według niej wegetarianizm był wariactwem. Jakimś kaprysem. Czasem nawet zrzędziła: „Gdyby była naprawdę głodna, zjadłaby befszyka, widać od razu, że nie przeżyła wojny”.

Ty też nie przeżyłaś wojny, myślała Nina, ale udawała, że nie słyszy.

– Dziś byłam w Lyonie – zaczęła. – Musiałam coś zawieźć Étienne’owi.

– Co znowu? – spytał Emmanuel z irytacją.

– Coś z dawnych czasów, co ostatnio znalazłam.

– A gdzie masz komórkę? Wydzwaniałem do ciebie cały dzień.

– Zapomniałam naładować.

Widzi, jak mąż zaciska pięści. Od początku nie znosił Étienne’a. Zbyt przystojny, zbyt arogancki, silny, spokojny – to go denerwuje. A poza tym

Nina wciąż go bardzo lubi, podczas gdy mąż wzbudza w niej wstręt. Nawet jeśli stara się wciąż uśmiechać, jej ciało, niestety, nie kłamie.

Od jak dawna udaje orgazmy? Ile kobiet po prostu udaje, podczas gdy tak naprawdę brzydzą się mężów?

Ile kobiet robi w tej chwili to co ja? – myśli Nina, udając, że czuje rozkosz.

Nie chce już czuć męża. W każdym tego słowa znaczeniu. Nawet jego zapach wywołuje w niej mdłości. Nauczyła się oddychać tylko przez usta, jeśli on jest w pobliżu.

Powiedziała to Étienne'owi, gdy dawała mu list od Clotilde. „Odchodzę od Emmanuela".

Podjęła tę decyzję rano, tuż po przebudzeniu. Muszę pojechać do Étienne'a. Jestem mu winna prawdę i list od Clotilde, pomyślała.

Najpierw próbowała skontaktować się z nim telefonicznie, odebrał za trzecim razem.

Chłód w głosie, gdy ją poznał. Wciąż miał żal o tego sylwestra. Nina nie pozwoliła mu nic powiedzieć, wyrzuciła z siebie wszystko, nie dopuszczając go do głosu.

– Mam coś dla ciebie… Przywiozę ci to dzisiaj. Za pięć minut wyjeżdżam. Wyjaśnię ci na miejscu, w Lyonie.

Długa cisza.

– Czekam. Będę w komisariacie. Pójdziemy coś przegryźć.

Podał jej adres.

– Zobaczysz, to proste. Obok jest parking. Jaki masz samochód?

Wciąż ta jego obsesja samochodowa.

– Czarne polo.

– Okay.

Tym razem Nina wyczuła w jego głosie radość na myśl o spotkaniu. Nawet jeśli się dąsał, nie umiał udawać. Kiedy przyjechała, poznała od razu, że czymś się martwi. Zanim jeszcze ją objął, spytał:

– Co masz dla mnie? Zdjęcie klasowe?

– Przede wszystkim cześć!

– Cześć, przepraszam cię.

W przeciwieństwie do Adriena, Étienne w ogóle się nie zmienił. Wciąż walił prosto z mostu. Nie przykrył swojej prawdziwej natury warstwą pozłocenia. Nina poczuła się szczęśliwa, że go widzi. Długo go obejmowała.

– Co się z nami stało? – szepnęła. – Dlaczego straciliśmy się z oczu?

– Przypominam ci, że to ty w sylwestra potraktowałaś nas jak gówno.

– Gdybyś choć trochę pomyślał, wiedziałbyś, że nie miałam wyboru.

– Zawsze ma się wybór. W końcu od czego jest rozwód? – Wyciągnął ją na zewnątrz. – Chodź, spadamy stąd!

Ruszyli chodnikiem obok siebie. Nina wzięła go pod rękę. Kiedy byli dziećmi, nienawidził tego. „Przestań, ludzie pomyślą, że jesteś moją dziewczyną”. Adrien zgadzał się bez problemu.

– Tu obok jest dobra restauracja, ale podają głównie flaki i móżdżek jagnięcy, nie sądzę, żeby ci smakowało – powiedział ironicznie.

Roześmiali się jednocześnie. Weszli do jakiejś restauracji. Było dziesięć po dwunastej.

– Nie mogę zbyt długo siedzieć, bo Emmanuel mnie zabije – powiedziała Nina, patrząc na zegar na ścianie.

– Jeśli ten facet dotknie cię choćby palcem, natychmiast do mnie dzwoń!

– On jest na to za cwany. Jeśli któregoś dnia mnie dotknie, będzie za późno.

Usiedli przy stoliku w głębi sali. Étienne zamówił butelkę wina.

– Gliniarz może pić? – zdziwiła się Nina.

– Jestem na urlopie.

– Od kiedy?

– Od kiedy zadzwoniłaś dziś rano.

– Wiesz, naprawdę, tak się cieszę, że cię widzę! Widzisz, jak zbrzydłam…

– Nie zbrzydłaś, po prostu masz dużą dupę. Jak wszystkie mężatki. Wszystkie kończą z tłuszczykiem.

Nina opowiedziała mu o codziennym życiu z Emmanuelem, zwyczajnie, bez litowania się nad sobą. Widziała już światło w tunelu, wyjście z ciemności, w której utknęła z własnej winy. Wszystkie jej działania cały czas obserwowane przez męża i kucharkę. Żadnego życia prywatnego, za grosz intymności, nawet we własnym pokoju, bo ten babsztyl mógł wejść w każdej chwili, pod pretekstem układania pościeli w szafach. Obsesja Emmanuela na punkcie dziecka. Tabletki antykoncepcyjne, którymi się potajemnie faszerowała. Brak pieniędzy. Nawet jej samochód nie był jej, należał do spółki. Wszystkie wydatki przechodziły jako wydatki przedsiębiorstwa, księgowy Damamme’ów sprawdzał je co do cyferki.

– Myślałem, że jesteś dziana…

– Wszyscy tak myślą.

– A dom twojego dziadka?

– Emmanuel już dawno go sprzedał…

Tak, odejdzie, znajdzie pracę, ma dopiero dwadzieścia cztery lata, nawet jeśli teraz wygląda na trzydzieści. Schudnie, weźmie się w garść, zapanuje nad ciałem i głową.

Pewnie będzie potrzebowała jego pomocy, bo jest sama na świecie. Bo nie śmie się zwierzyć Marie-Laure, a ucieczka do rodziców Étienne'a wydaje jej się najgorszym rozwiązaniem. Emmanuel będzie jej szukał przede wszystkim u nich. Musi wyjechać z La Comelle, zniknąć. Inaczej ją znajdzie. W styczniu on wyjeżdża służbowo na trzy miesiące, to będzie dobry moment. W końcu po latach męki, które ma za sobą, jeszcze trzy miesiące to nie tragedia. A jeśli chodzi o picie… Piła codziennie, po prostu żeby wytrzymać w tej złotej klatce.

– Kurwa, to po prostu Zola! – zaklął Étienne. – Pamiętasz ze szkoły? Lektury obowiązkowe. *W matni*, *Nana*, *Germinal*… Tak mnie to nudziło, że musiałaś mi czytać na głos, pamiętasz? Siedzieliśmy w twoim pokoju… A to, co mi teraz opowiadasz, brzmi tak samo.

Porządnie się pośmiali – z siebie, ze swoich głupich wyborów, nierozsądnych decyzji. Potem Nina zeszła na temat Adriena. Opowiedziała, że pojechała do Paryża, żeby ukryć się u niego, ale tamtego wieczoru w teatrze potraktował ją tak, że prawie umarła ze smutku.

Étienne starał się go bronić.

– Może to przez to, o czym pisze w tej swojej książce…

– W jakiej książce? – spytała Nina.

– *Biel hiszpańska*.

– O czym ty mówisz?

– Myślałem, że wiesz.

– O czym?

– To on napisał tę książkę.

Nina przyjęła cios. *Biel hiszpańska*. Powieść, w której ukryła listy. Jak to możliwe, że nie wiedziała? Że Adrien nic jej nie powiedział?

– Chyba się mylisz. To jakiś Sasha coś tam jest autorem.

– To jego pseudonim.

– Louise ci powiedziała?

– Tak.

– I o czym to jest?

– Przeczytaj.

Druga zdrada. Nina poczuła napływające łzy. Powstrzymała je. Odrzuciła wspomnienie lekceważącego zachowania Adriena wtedy, w teatrze. Myślała, że był jej przyjacielem, bratem, przysięgał wieczną miłość. Okazał się zwykłym śmieciem.

Mając w głowie to, czego się przed chwilą dowiedziała, świadomie zmieniła temat rozmowy. Zaczęła wypytywać Étienne'a, jak się ma Louise, jak mu się żyje w Lyonie, czy ma narzeczoną.

– Czy wyglądam na takiego, który ma narzeczoną? Poważnie, Nina, dziękuję, postoję. Ale to dobry wybór, nie żałuję. Gdy mam trzy dni wolnego, jadę na narty albo surfować, góry i morze są bardzo blisko… Mam fajnych kolegów. Zimne kawy, strach w żołądku, zmęczenie po tych wszystkich aresztowaniach, gonienie co miesiąc tego samego złodzieja, bo sędzia kretyn dał mu jeszcze jedną szansę… I miejsca zbrodni… Wtedy nie odpuszczasz, dopóki nie znajdziesz winnego. Nawet nie możesz spać.

– Czy interesowałeś się już sprawą Clotilde?

Étienne poczuł, że traci grunt pod nogami.

– Taaa… Dlaczego pytasz?

– W dzieciństwie wykradałam listy z torby dziadka. To dlatego tak strasznie mnie okrzyczał wtedy w szkole. Pamiętasz?

– Pewnie, że pamiętam. Zawsze się zastanawiałem, dlaczego to zrobił.

– Kiedy umarł, miałam wyrzuty sumienia. Wydawało mi się, że to przeze mnie. Że Bóg mnie tak ukarał.

– Wiesz, że nie wierzę w takie bzdury.

– Wiem… to długa historia. Ale w zeszłym roku odzyskałam torbę z listami do rozniesienia, którą miał przy sobie w momencie wypadku. Była pełna niedoręczonych listów. Nikt o tym nie wiedział. Wszystko przeczytałam, zakleiłam z powrotem koperty i rozniosłam te listy do skrzynek… Pięć lat później.

– Mówisz serio?

Nina spuściła wzrok. Étienne był szkolony w wykrywaniu kłamstw, to była jego codzienność, od razu wiedział, że Nina nie zmyśla. Zresztą po co by miała zmyślić coś takiego? Pamiętał dobrze ten dzień, kiedy Pierre Beau wpadł na podwórko szkolne jak szaleniec i wymierzył policzek wnuczce. To go bardzo poruszyło. Nie umiał wtedy obronić przyjaciółki. Tak jak teraz przed tym idiotą, za którego wyszła. Broni ludzi, których w ogóle nie zna, a nie umie obronić najbliższej osoby.

– Pośród listów – ciągnie Nina – był list do ciebie. Od Clotilde.

Chyba śnię, pomyślał Étienne. Jak to się stało, że miła rozmowa nagle zmieniła się w koszmar? Nina dostrzegła panikę w jego oczach.

– Jaką datę ma ten list?

– Dziesiąty sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Dwa dni przed wypadkiem dziadka.

Étienne zbladł jak prześcieradło.

– Chyba go nie otworzyłaś…

– Otworzyłam. Tego wieczoru, gdy Adrien mnie zdradził, byłam wściekła na niego, na ciebie też… I przez wiele dni zastanawiałam się: oddać ci ten list czy nie.

Wyjęła go i wręczyła Étienne’owi. Przeczytał go kilka razy. Od czasu do czasu patrzył na Ninę morderczym wzrokiem. Był zawstydzony i urażony. Poza Adrienem nigdy nikomu nie powiedział, że Clotilde była w ciąży.

Wsunął list do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Wiesz, że mógłbym cię za to zatrzymać? Wiesz, że za to można iść do więzienia?

– Tak mi przykro… To się już nigdy nie powtórzy… Ja…

Nie skończyła zdania. Étienne wstał, rzucił na stolik garść banknotów – „Rachunek i benzyna dla ciebie na drogę” – i wybiegł z restauracji jak szalony. Zawołała go raz i drugi, ale się nie odwrócił.

Sama na świecie.

Poszła do samochodu, który stał na parkingu, i wróciła „do siebie”.

*

Emmanuel siedzi na kanapie i patrzy na nią uważnie.

– Siadamy do stołu? Jestem strasznie głodny przez te idiotyzmy… Wszystko dobrze u Étienne’a?

– Tak – odpowiada Nina, zdrapując warstwę mięsa z zapiekanki.

– Skontaktowałem się z organizacją zajmującą się adopcjami.

– Słucham?

– Dobrze usłyszałaś.

Zwykle o tej godzinie Nina już jest po kilku kieliszkach wina, inaczej nie zniosłaby towarzystwa Emmanuela. Ale teraz jest kompletnie trzeźwa. Uświadamia sobie, że przy nim nigdy nie jest trzeźwa, i to od lat.

– Zrobiłeś coś takiego bez porozumienia się ze mną? Ze mną? Z matką?

Wymawiając słowo „matka”, Nina wypluwa purée ziemniaczane na stół na oczach przerażonego męża. Sama tego nie rozumie. Zawstydzona chwyta papier, wyciera stół.

I nagle ogarnia ją szaleńczy śmiech.

– Piłaś? – pyta Emmanuel.

To pytanie jeszcze bardziej ją rozśmiesza. Próbuje powiedzieć: „Tym razem nie!”, ale nie daje rady. Skręca się ze śmiechu. Od kiedy tak się nie śmiała? Przypomina sobie słowa Étienne’a: „Twoje życie to po prostu Zola!”. Nie może się uwolnić od tego zdania, przyczepiło się do niej jak pijawka.

Widzi siebie: siedzi w kuchni, która kosztowała majątek, obok męża, o jakim marzy każda kobieta, zdrapuje mięso z ziemniaków, bo nienawidzi go, a kucharka na złość je przygotowuje, i dowiaduje się, że mąż, nie uprzedzając jej, złożył podanie o adopcję.

Twoje życie to po prostu Zola!

Coś, co powinno doprowadzić ją do płaczu, przynosi odwrotny skutek. Jej nerwowy śmiech odbija się od pięknych kilimów na ścianach domu, w którym mieszka, ale w którym nie żyje.

Zbliża się Nathalie, która patrzy powątpiewająco. Nina spogląda na nią jak porażona prądem.

Co ta kurwa jeszcze tu robi? – myśli.

Ledwo może złapać oddech. Za chwilę dostanie ataku astmy. Prostuje się na krześle. Już się nie śmieje. Zaczyna wrzeszczeć na kucharkę:

– Wynoś się z mojego domu! Nie chcę cię więcej widzieć! Precz! Wynoś się!

Zaskoczona kucharka patrzy na Emmanuela, nie wie, co ma robić.

– Przestań się gapić na mojego męża, to ja z tobą rozmawiam! Natychmiast wyjdź!

Nathalie chwyta płaszcz wiszący w korytarzu, wychodzi i trzaska drzwiami.

– Co ty robisz? Oszalałaś? – pyta Emmanuel.

– Co ja robię? Dotarło do mnie, że nie chcę żadnego dziecka. Nigdy nie chciałam. Oszukałam cię, jeśli o to chodzi. Zastanawiam się… tak, zastanawiam się… jak to w ogóle możliwe, że rozpoczęłeś procedurę adopcyjną, nie pytając mnie o zdanie?!

Nina zaczyna się trząść. Wyrzuciła z siebie zbyt długo powstrzymywane słowa. Wychodzą z niej niezgrabnie, uwalniane pod wpływem złości. Reakcja Emmanuela jest tak nieoczekiwana, jak wcześniej jej nerwowy śmiech: uśmiecha się z pogardą. Pewny siebie, patrzy na nią, jakby była nic niewarta albo jakby była lalką, która nagle zaczęła mówić, czymś dziwnym, szokującym. Wtedy Nina rzuca się na niego z pięściami. Najpierw uderza go w ramiona, potem w przedramiona, plecy, brzuch, wali pięściami gdzie popadnie, zaślepiona wściekłością, bije i kopie. A on coraz szerzej się uśmiecha. Kiedy Nina wreszcie zdaje sobie sprawę z tego, co robi, zaczyna szlochać. On wciąż patrzy na nią z uśmiechem. Ten uśmiech jest przerażający.

– Moja biedaczko, wziąłem cię z ulicy… I wierz mi, będziemy mieli dziecko… A ty będziesz się nim zajmowała dzień i noc. Teraz bardzo cię proszę, zadzwoń do Nathalie i przeproś ją.

– Nigdy!

– Zastanów się! Mam prawo natychmiast zamknąć cię w szpitalu dla psychicznie chorych. Te miejsca są pełne ludzi takich jak ty, samotnych, w depresji, bezczynnych, alkoholików. Mogę bardzo wiele. Wystarczy jeden telefon do naszego lekarza rodzinnego i skończysz w kaftanie. Nie będziesz nawet wiedziała, jak się nazywasz. Nie wolno ci nigdy, przenigdy zapomnieć o tym, że jesteś moją żoną. Wszystkie podania podpisuję ja:

podanie o adopcję, podanie o rozwód, podanie o zamknięcie w szpitalu psychiatrycznym. I nie masz co liczyć, że ci twoi tak zwani przyjaciele po ciebie przyjdą. Twój gliniarz i ten drugi pedał mają cię gdzieś. Pozwolą ci zatopić się w gównie po szyję i nie kiwną palcem. Jedyną osobą, która cię kocha i na którą możesz liczyć na tym świecie, jestem ja. Ale jesteś zbyt durna, żeby to pojąć.

Emmanuel idzie na górę do sypialni, zostawiając ją, żeby sprzątnęła po kolacji.

*

Kilka minut później na górę wchodzi Nina. Rozbiera się, bierze prysznic, myśli o tym, jak wkurzył się na nią Étienne, i o słowie „adopcja” w ustach męża. Nie patrząc, smaruje kremem całe ciało, przytula się posłusznie do Emmanuela. Jak skarcony pies, który pogryzł buty właściciela i prosi o przebaczenie.

Pozwala Emmanuelowi na wszystko, jęczy na rozkaz.

Gdy wychodzi z niej, Nina przez dwadzieścia minut leży bez ruchu, z otwartymi oczami, w ciemnościach. Potem zsuwa go z siebie delikatnie, cichutko wstaje, zapala lampkę przy łóżku i bierze do ręki *Biel hiszpańską*; książkę miała na wyciągnięcie ręki od dnia, kiedy Francja wygrała mistrzostwa świata w piłce nożnej w 1998 roku. Pamięta dokładnie moment, gdy włożyła ją do wózka w supermarkecie. To był szczęśliwy dzień. Od rana myślała tylko o tym, że wieczorem przyjdą do niej Étienne z Adrienem. I przyszli obaj, razem. Nina powstrzymywała łzy na ich widok, żeby Emmanuel nie zauważył, że dwóch przyjaciół kocha dużo bardziej niż jego. Miał na szczęście swoich kumpli z Lyonu. Wszyscy krzyczeli z radości przed ekranem telewizora.

To był ostatni piękny dzień jej życia. Potem ich troje definitywnie straciło się z oczu. A ona? Czas jej się dłużył. Co za celne określenie: czas się dłuży…

Pustka, cisza i nieobecność między rozmowami telefonicznymi i spotkaniami. I odłożyła powieść, której okładka tylko trochę ją poruszyła. To tak, jakby nie wiedząc, przeszła obok Adriena. Są książki, które się przegapia, tak jak niektóre spotkania; mija się ludzi, historie, które mogłyby wszystko zmienić. Nieporozumienia, banalne podsumowania, wątpliwości… Na szczęście czasem życie upiera się i nie chce odpuścić.

*

Wygląd to pozór. Prawdziwa rana znajduje się w głębi serca.

Eurypides

Mam trzy lata. Bawimy się w kółkach na podwórku. Na ziemi leżą piłki, obręcze do gry, nakreślone kredą trasy zabaw. Czasami się rozdzielamy. Dziewczynki z dziewczynkami, chłopcy z chłopcami. Zostaję w grupie dziewczynek. Śmieją się. Uwielbiam ich śmiech, łykam go jak cukierki, które rozdają nam po popołudniowym odpoczynku.

Mam sześć lat. Mówię to komuś po raz pierwszy. Otwieram się jak książka. To stary człowiek, nie znałem go wcześniej i nie mam do niego zaufania. Pamiętam, że brzydko pachniał, miał grube krzaczaste brwi i woskową cerę.

Mam fatalną anginę. Trzęsę się z gorączki na kozetce u lekarza. Mama została w poczekalni. Po raz pierwszy jestem sam na sam z kimś dorosłym.

Doktor to ktoś, kto ma cię wyleczyć, jeśli coś cię boli.

Coś mnie boli.

Od pięciu minut zafascynowany analizuję treść dwóch plakatów przypiętych pinezkami, jeden obok drugiego, na ścianie obok miarki do mierzenia wzrostu. Na plakatach są rysunki chłopca i dziewczynki w okresie dojrzewania. Wszystkie części ciała i narządy mają swoje nazwy. Są takie same. Przewód pokarmowy. Wątroba. Nerki. Żołądek. Ramiona, nogi, stopy, serce. Tylko na poziomie podbrzusza nazwy są inne. Z trudnością odczytuję „genitalia”. Nie mam pojęcia, co to znaczy.

Pod wpływem tych ilustracji po raz pierwszy otwieram szkatułkę, w której zamknąłem swoją największą tajemnicę.

– Jestem dziewczynką – mówię.

– Słucham? – rzuca nieuważnie mężczyzna, skupiony na aparacie, którym mierzy mi ciśnienie.

– Jestem dziewczynką.

Lekarz marszczy krzaczaste brwi, przez co wygląda dobrodusznie… ten bałagan nad oczami… Ale nagle zaczynam widzieć w nim klauna, jak w cyrku czy na przyjęciach urodzinowych. Dzieci go lubią, śmieją się, a ja się go boję. Lekarz nie odpowiada, przykłada szorstką łapę do mojego czoła.

– Jesteś gorący, bredzisz, dziecko.

– Co to znaczy „bredzisz”?

– Opowiadasz głupstwa, to z powodu gorączki.

Chciałbym cofnąć to, co powiedziałem mu w tajemnicy, ale ostatnie słowa same wychodzą mi z ust. Kiedy wypuszcza się zbyt długo powstrzymywane słowa, one po prostu korzystają z wolności.

– Ten mój siusiak… kiedy on odpadnie? – pytam.

Lekarz przestaje marszczyć brwi. Chwyta mnie za ramiona, mocno, aż zabolało. Znikła gdzieś woskowa twarz, cała krew z ciała musiała mu uderzyć do głowy. Ma kolor czerwonego wina.

– Kto ci naopowiadał takich bzdur?

Rozumiem od razu, że muszę zamurować tę dziewczynkę, którą mam w sobie. Obudować murem ciszy. Więc kłamię. Wybucham śmiechem, w gardle mnie pali.

– Nikt… Jakiś chłopak tak mówił na przerwie…

– O tych rzeczach się nie rozmawia, słyszysz? Twoi rodzice zrobili cię takiego, jaki jesteś. A jesteś małym chłopczykiem. Urodziłeś się chłopczykiem, umrzesz chłopczykiem. Nie wyobrażaj sobie żadnych głupstw. To jest wbrew naturze.

– Co to znaczy „wbrew naturze”?

– To oznacza diabła. A diabła należy wyrzucić z myśli… z głowy, jeśli wolisz. W tym celu należy dobrze się uczyć w szkole i uprawiać dużo sportu.

Lekarz wraca za biurko. Przepisuje mi antybiotyk, aspirynę, spray i pastylki na gardło.

Wręczam mu czek, który podpisała moja mama, i mówię:

– Do widzenia panu.

Zamykam temat na zawsze.

*

Emmanuel się budzi. Mówi Ninie, że musi wcześnie wstać i światło mu przeszkadza. Nina zamyka *Biel hiszpańską* i gasi lampkę.

Drży.

Zgasiła światło. Tak, zgasiła światło, jak ci ludzie, którzy nie chcą nic widzieć. Zamknąć szczelnie okiennice, drzwi.

Przyciska książkę do piersi, wdycha jej zapach. Szuka między stronicami zapachu Adriena, zapachu jego skóry albo zapachu skóry tej drugiej osoby. Jak mogła się nie zorientować, jak mogła nigdy nie odgadnąć?

Przez osiem lat razem jedli, spacerowali, spali, wchodzili pod prysznic, odrabiali lekcje, pływali, śpiewali. Codziennie wieczorem przed snem dzwonili do siebie. „Co robisz, co oglądasz, o czym myślisz?”… „Dobranoc, kocham cię, do jutra”.

– Adrien, dlaczego nigdy nic nie mówisz?

– Słucham cię, to mi wystarcza.

Przez osiem lat nie rozstali się ani na krok. Od podstawówki po liceum. Wspólne plany na przyszłość. Pakt krwi. Płakali, śmiali się, bali się, wszystko robili wspólnie. Trzymali się za ręce, wiedzieli, co zaraz zrobi to drugie lub co robi teraz, jak żyje, nawet jeśli przez chwilę nie byli razem.

Po odkryciu tajemnicy Adriena, sekretu, który w sobie dusił, Nina ma wrażenie, że jest sobie obca. Boże, jak mogłam być tak naiwna i ślepa?

Wydaje jej się, że jest jak żony zbrodniarzy wojennych albo seryjnych morderców, które niczego nie zauważyły.

Żyją w świecie ułudy, fantazji.

Podświadomie wszystko odrzucają.

Jak te wszystkie idiotki z bajek, Królewna Śnieżka, Śpiąca Królewna albo Czerwony Kapturek, które budzą się pewnego dnia i zatyka je ze zdumienia, gdy widzą rzeczywistość.

Czytając powieść Adriena po raz pierwszy, Nina odebrała ją jak oskarżenie. Palec wymierzony w nią. „Nie zrozumiałaś. Nie kochałaś mnie”.

Ale czytając ją jeszcze raz, pojęła, że ten chłopiec i ta dziewczynka to jedna i ta sama osoba. Osoba, z którą przez osiem lat była najbliżej na

świecie.

Jego zamiłowanie do książek, do filmów, do niebieskiego, do babek z rumem, do tarty migdałowej na Trzech Króli, do Louise, do jajek na miękko, do lata, obrzydzenie do węży, do klaunów i do karnawału, to wszystko było częścią jednego i tego samego człowieka.

70

26 grudnia 2017

Leżę na tylnym siedzeniu, przez szybę w dachu patrzę na chmury. Krople deszczu spadają, rozpłaszczają się, przyczepiają na kilka sekund, po czym zmiata je wiatr.

Étienne siedzi na miejscu śmierci.

Nina prowadzi powoli, ostrożnie, co wydaje się go irytować, ale nic nie mówi. Nina i ja dobrze wiemy, że hamuje złość. Co chwilę rzuca rozpaczliwe spojrzenie na licznik, pokazujący sto dziesięć kilometrów na godzinę, mimo że jesteśmy na autostradzie.

Umówiliśmy się, wyjeżdżając z La Comelle, że Nina i ja będziemy się zmieniały i co dwieście kilometrów robiły postój, żeby coś zjeść i wypić kawę.

– Zgodziłem się, żebyście ze mną jechały, pod warunkiem że będę prowadził… Nie jestem kaleką. Mam raka.

Nina ustąpiła.

– Okay, dwieście kilometrów każdy. Dzielimy dystans na trzy.

Zgodziliśmy się też co do radia: będziemy słuchać RTL 2, stacji z mieszanką pop-rocka, która, powiedzmy, odpowiada każdemu z nas.

Na ziemi każdej nocy

Z tobą

Wszędzie pod rękę

Wiem wszystko o tobie

Bóg mi powiedział

Przyjacielu, chodź

Wiem o tobie wszystko

Słuchając ostatniej zwrotki *Karma Girls* Indochine, zdecydowałam się odezwać.

– Byłam u Py’ego.

Zdanie rzucone w małej przestrzeni auta wywołuje efekt jak po wybuchu bomby. Nina gwałtownie hamuje. Tracę równowagę i chwytam się jej zagłówka. Nina zjeżdża gwałtownym skrętem na prawo, między dwie ciężarówki.

Étienne, który według mnie wygląda jak zwiędły kwiat, wyłącza radio i spogląda na mnie przez ramię.

– Kiedy? – pyta Nina, nie spuszczając wzroku z drogi.

– Kiedy wróciłam na stałe do La Comelle.

– Gdzie?

– Poszłam do niego do domu.

– Ile on ma teraz lat?

– Nie wiem… z osiemdziesiąt.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pyta Étienne.

– Musiałam na niego spojrzeć oczami dorosłej osoby. Zadzwoniłam do drzwi, otworzył. Poznał mnie od razu. Nie był w stanie nic powiedzieć. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu minutę, może dwie, po czym wetknęłam mu w rękę *Biel hiszpańską*. Wziął książkę, wciąż nic nie mówiąc. Wróciłam

do samochodu. Ruszając, spojrzałam w kierunku domu, Py już zamknął drzwi.

– Jak się czułaś, widząc go po tylu latach?

– Zakończyłam coś. Definitywnie. Ulżyło mi.

– Myślisz, że to przeczytał?

– Nie wiem. Ale teraz już mnie to nie obchodzi.

*

Mam dziesięć lat, jestem w ostatniej klasie podstawówki. Właśnie poznałam dwoje przyjaciół, chłopca i dziewczynkę. Dzięki nim nie czuję się już sama. Kocham ich.

Dla wszystkich innych jestem nieciekawym chudzielcem. Nikt nie wie, że mam w środku ukrytą dziewczynkę.

Wielki rodzinny sekret tylko dla mnie.

Jak czyjś bękart, nieślubna córka. Schowana w suterenie, chodzi ukrytymi korytarzami, przechodzi przez niewidzialne drzwi, ucieka przed wzrokiem innych.

Odrzucona przez wszystkie religie i przez państwo. Kto nie był nigdy ochrzczony, nie dostanie ostatniego namaszczenia, nie zostanie nazwany.

Nikt nigdy nie wymówi mojego prawdziwego imienia.

Później odnajdę się jakoś, znajdę sobie imię.

Listy imion. Élodie, Anna, Marianne, Lisa, Angèle, Virginie…

Mam dziesięć lat. Moich dwoje przyjaciół i ja jesteśmy nierozłączni. Czasem chciałabym im powiedzieć, kim jestem naprawdę, mam tę dziewczynkę na końcu języka, ale nie śmiem. Połykam ją z powrotem.

Boję się, że mnie odrzucą, będą osądzać.

My to nas troje albo nikt. Nas troje albo samotność.

Gdyby mnie zostawili, wpadłabym w przepaść. W przepaść, w pustkę, w których żyłam, zanim się tu przeprowadziliśmy. Kiedy wszyscy uważali mnie za dziwaka, milczka.

Nieśmiałość to worek, do którego wrzuca się wszystko, żeby nie musieć stawiać sobie pytań.

W klasie przez całe godziny wpatruję się w plecy mojej przyjaciółki, w jej ramiona, długie czarne włosy, w jej kark, gdy splata włosy w warkocze albo gdy podnosi je wdzięcznym gestem.

Któregoś ranka moja przyjaciółka ma nową spinkę. Kiedy siada w ławce i schyla się, żeby wyjąć coś z tornistra, spostrzegam tuż nad jej uchem małego czerwonego motylka w białe kropki. Jestem tak poruszona tym kawałkiem materiału wczepionym w jej włosy, że zapominam o wszystkim, nawet o tym, gdzie się znajduję. Nie słucham nauczyciela. Pióro, które trzymam w dłoni, jest martwe. Jestem zauroczona tą spinką. Od czasu do czasu moja przyjaciółka przypina ją w innym miejscu. Mam ochotę ją zabrać. Wyjąć jej z rąk.

Tuż przed długą przerwą motylek spada bezszelestnie na posadzkę. Tak jakby podłoga była pokryta sypkim śniegiem, który tłumi dźwięk. Nauczyciel pochyla się nad moją niezapisaną kartką papieru, szczypie mnie w ramię. „Zasnąłeś czy co?” Zatrzymuje mnie po lekcjach, żebym przepisała za karę wszystko z tablicy.

Nazywa się go „profesor”, mówi się do niego „panie profesorze”, do tego potwora w okularach, wbitego w szary fartuch z szorstkiej bawełny. To wąż, który wślizguje się cicho między ławki.

Wszyscy wychodzą z klasy, za wyjątkiem mnie i chłopca, który jest jego kozłem ofiarnym. Siedzę w drugim rzędzie, kozioł ofiarny w pierwszym.

Wąż wyszedł z klasy razem z uczniami, którzy po chwili śmieją się i krzyczą na dziedzińcu szkolnym. Wyobrażam sobie, jak się bawią. Wracam do ciszy w pustej klasie.

Przez kilka sekund patrzę na tego nieuka pochylonego nad kartką papieru, przesuwa pracowicie językiem po dolnej wardze, jakby szukał drogi. Pisanie wymaga od niego wielkiego wysiłku.

A ja? Podnoszę głowę, odczytuję zdanie z tablicy i przepisuję je z łatwością na podwójnej kartce w dużą kratkę. Równocześnie obserwuję motylka na ziemi, prawie u moich stóp.

Odwracam się kilkakrotnie: nikogo.

Nieuk mnie ignoruje. Kiedy jest się bez przerwy prześladowanym, zapomina się o innych wokół. Wiem, o czym mówię. Zanim zjawiła się w moim życiu ta dwójka, patrzono na mnie jak na zbędny przecinek.

W końcu schylam się i podnoszę spinkę. To niewielka wsuwka przyklejona do kawałka satyny, jedna z tych maleńkich spineczek, które symbolicznie przytrzymują kilka kosmyków. Delikatnie ją rozciągam i wsuwam nad uchem. Chcę wiedzieć, jak to jest, gdy się to nosi, zrozumieć, na czym to polega, poczuć ją we własnych włosach.

Przesuwam po niej palcem, delikatnie, jakby to było malutkie zwierzątko, które na mnie wylądowało. Jestem zawiedziona. Okazuje się, że bycie dziewczynką nie polega na noszeniu ozdobnych dodatków. Odkrywam, że to jest dużo bardziej skomplikowane; z pewnością musiałabym sięgnąć głębiej. Siedzę

zamyślona, gdy nagle widzę oczy węża. Są pełne nienawiści. Po cichu wrócił do klasy. Ściągam motylka z włosów, materiał się odrywa, razem z kilkoma włosami.

Nauczyciel milczy. Jest mi wstyd, ale jednocześnie jestem dumna. Nie opuszczam wzroku, patrzę mu w oczy. Jestem pokryta nienawiścią, jego nienawiścią. Małe oczka profesora strzelają pogardą w moje.

W tym momencie profesor znajduje sobie innego kozła ofiarnego.

Będę nim ja.

71

Październik 2000

Nina stoi w dziale warzywno-owocowym w supermarkecie, gdy ktoś kładzie jej dłoń na ramieniu. Waży czerwone jabłka, ulubione Emmanuela, chrupkie, słodkie, z uprawy ekologicznej. Jest na etapie odpuszczenia, bo nie wie, jak wyjść z tego labiryntu, jak uciec, zakończyć to okropne życie. Nie widzi wyjścia. A przecież musi się śpieszyć, powinna odejść, zanim mąż zjawi się z niemowlakiem na rękach. Jest zdolny do wszystkiego, może nawet ukraść dziecko. Nina zaczyna rozumieć, że w obsesji Emmanuela nie chodzi o posiadanie potomka, ale o to, żeby ją uwięzić. Nigdy nie uda jej się odejść, jeśli będą mieli dziecko. Kręci jej się w głowie, czuje mdłości. Piła już dzisiaj. Trzy kieliszki wina do lunchu. Zwykle zaczyna później, ale dziś postanowiła pić do upadłego. Bo wczorajszy dzień był kroplą, która przepełniła czarę.

Najpierw Lyon. Étienne zostawił ją, wyszedł z restauracji obrażony, ponieważ przeczytała list od Clotilde. Potem w domu wyrzuciła za drzwi kucharkę, Emmanuel bredził o adopcji. No i ta *Biel hiszpańska*…

W wózku pod zapakowanym próżniowo wędzonym łososiem skitrała dwie butelki whisky. Whisky zmieszana ze środkami uspokajającymi prowadzi do śpiączki, z której się nie wraca.

Spotka się z dziadkiem w grobowcu rodziny Beau.

Ale Adrien z Étienne’em będą mieli miny, stojąc nad jej grobem! Dopiero pożałują, że ją tak porzucili.

Albo nie pożałują. Dla nich należy do przeszłości. W końcu tak naprawdę liczą się przyjaciele z dorosłego życia, a nie z młodości, z gimnazjum czy liceum.

Od wczoraj próbuje się dodzwonić do Étienne’a, na próżno. Za każdym razem, gdy ją słyszy, odkłada słuchawkę.

Adrien? Jak może mu wybaczyć? I jak może wybaczyć sobie? Zawrócenie z tej drogi wydaje się niemożliwe.

Bo nigdy nie był przyjacielem ten, kto przestaje nagle nim być
Im więcej serce o nim myśli, tym bardziej nie chce mu się żyć.

Tak, musi odejść.

I jeszcze ta groźba szpitala psychiatrycznego. Nina pogrąża się każdego dnia, nietrudno byłoby ją zamknąć. Emmanuel jest do tego zdolny. Zawsze będzie ją wolał oszołomioną lekami niż wolną.

Cokolwiek się stanie, cokolwiek by zrobiła, nie zdoła mu uciec.

Wszystko jej się miesza w głowie.

Nawet słowa Adriena, które odkryła wczoraj, czytając *Biel hiszpańską*. Wróciła do lektury dziś rano. Przeczytała resztę jednym tchem i zalewała się łzami, dopóki nie zadzwonił Emmanuel z pytaniem, czy przeprosiła Nathalie.

– Nie.

– Zadzwoń do niej natychmiast.

– Dobrze.

Kucharka odebrała po pierwszym sygnale.

– Dzień dobry, Nathalie, tu Nina. Proszę mi wybaczyć wczorajszy wieczór. To przez te leki, które biorę, żeby zajść w ciążę. Chyba źle mi robią na głowę… Naprawdę mi przykro. Proszę do nas wrócić. Bardzo jest nam pani potrzebna.

Nina usłyszała triumf w oddechu tej baby, mimo że nie otrzymała odpowiedzi.

Więc tak, w chwili, gdy obca dłoń dotyka jej ramienia, Nina od pięciu dobrych minut stoi przed wagą, szukając ceny jabłek pink lady, i jest pogrążona w rozpaczy. Kobieta musi jej dotknąć kilka razy, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– To pani?

Nina podskakuje.

– Słucham? – pyta.

– Tak, to na pewno pani… Poznaję.

Kobieta promienieje. Sześćdziesiątka, ma na sobie czarne legginsy, które w ogóle do niej nie pasują, i sportową górę w jaskrawe romby. Waży z osiemdziesiąt kilogramów. Niestarannie rozjaśnione włosy ściągnęła różową gumką. Ma równe białe zęby. Lekko matową cerę. Błyszczące zielone oczy. Nina widzi ją pierwszy raz w życiu. W jej wózku jest piramida puszek z jedzeniem dla psów i kotów.

– Jak pani znalazła ten list?

Ninie ziemia usuwa się spod nóg.

– Nie rozumiem… – bąka.

– To pani była w schronisku trzy tygodnie temu.

Oczywiście, to ona. Podrzuciła anonimowy list, w którym opisano dramatyczny los psa przetrzymywanego na balkonie. To było w przeddzień jej wyjazdu do Paryża. Nina czuje, że słabnie. Kobieta widzi to i chwyta ją za ramię.

– Chodźmy, napijemy się kawy – mówi.

Ton ma łagodny, ale stanowczy, nieznoszący sprzeciwu. Nina nie ma wyboru, musi pójść za nieznajomą. Nie rozumie. Jest przekonana, że wtedy w schronisku nie było nikogo. Idą do kasy, płacą; nieznajoma widzi dwie butelki whisky przesuwające się na taśmie, ale nic nie mówi, uśmiecha się tylko. Miło. Bez podtekstów. Bez babrania się w emocjach.

Siadają naprzeciwko siebie w małej kafeterii, obok automatu do gry, na którym wisi kartka z napisem *Popsute*.

– No więc proszę powiedzieć: jak pani znalazła ten list?

Nina nie odpowiada. Musi iść. Musi wrócić do domu przed mężem. Musi się pozbyć tej grubaski.

– Ile pani ma lat? – nie odpuszcza kobieta.

– Dwadzieścia cztery.

– Całe życie przed panią!

– Słucham

– Mam na imię Éliane, ale wszyscy nazywają mnie Lili.

– Jak w tej piosence Pierre’a Perreta… – Nina nie ma pojęcia, dlaczego przyszedł jej do głowy ten piosenkarz. – Ach, nie, to nie Pierre Perret, to Philippe Chatel! Pierre Perret to *Mon p’tit loup… Nie przejmuj się, wilczku, takie jest życie, nie płacz…*

Nina zaczyna płakać. Zasłania twarz rękami. Któregoś ranka przyłapała dziadka na mamrotaniu słów tej piosenki, kiedy akurat leciała w radiu. Zaskoczyło ją to, bo dziadek oprócz ulubionych płyt żony w ogóle nie słuchał muzyki. Nie odważyła się zapytać, jak to się stało, że zna tę piosenkę na pamięć.

Lili przywołuje kelnera.

– Poprosimy kawę i jeszcze dwa kieliszki czegoś na rozgrzewkę.

– Czego konkretnie?

– Konkretnie czegoś, co pomoże zacząć trzeźwo myśleć.

Patrzy na Ninę.

– Widzę, że nie czuje się pani najlepiej, moja droga.

– Skąd pani wie, że to ja… Z tym listem…

– Widziałam panią. Mieszkam naprzeciwko schroniska. Kiedy wieczorem słychać silnik samochodu, można być pewnym, że ktoś właśnie zostawił nam pod bramą pudło z miotem kociaków… Wstałam, żeby zobaczyć. Nie spodziewałam się, że jakaś młoda kobieta będzie wrzucać list do skrzynki, i to o dwudziestej trzeciej. Nie wyobraża sobie pani, jak mną wstrząsnęło… Bo to ja napisałam ten list.

Dziwne, myśli Nina, wysłać sobie samej list, to jak wysłać sobie samej kwiaty. Milczy, nie reaguje. Pije małymi łykami kawę i alkohol o zapachu gruszki, wbijając niewidzące oczy w rozmówczynię. Lili jest poruszona głębią rozpaczy młodej kobiety siedzącej naprzeciwko.

– Gdzie pani mieszka? – pyta, tak jak się pyta zagubione dziecko, które szuka rodziców.

– U męża.

– U męża… To znaczy nie u siebie?

Nina milczy.

– Chce pani coś zjeść?

– Nie, dziękuję. Muszę już wracać.

– Do męża?

– Tak.

– Cieszę się, że panią spotkałam. Chciałam pani podziękować, bo…

– Muszę wracać…

– Jeszcze chwilka… Mąż na panią czeka?

Nina zdaje się zastanawiać.

– Nie… On wraca koło siódmej.

– Jest dopiero druga, jeszcze ma pani czas.

– Ale muszę przedtem coś zrobić.

Lili czuje, że musi zyskać czas. Jak wtedy, kiedy ratuje bezpańską ciężarną kotkę, która krąży wokół wejścia do klatki. Ta młoda kobieta najwyraźniej stoi nad przepaścią. Lili nie ma pojęcia, co to za przepaść, ale nie wierzy w przypadki.

– Wysłałam ten list do schroniska sześć lat temu. Minęły dwa miesiące i nikt nie zareagował. Wreszcie właścicielka psa wyjechała na wakacje i go zostawiła… Wtedy poszłam do schroniska i pokłóciłam się z ówczesną kierowniczką. Zapytałam, na co czeka. Powiedziała, że nie wie, o czym mówię, nie dostała żadnego listu. Nie uwierzyłam jej. Nie będę wchodziła w szczegóły, ale uratowanie tego psa nie było proste. Potem zaprzyjaźniłam się z kierowniczką, zaczęłam pracować jako wolontariuszka: najpierw wyprowadzałam zwierzaki na spacer, czyściłam klatki, załatwiałam trochę spraw administracyjnych, prowadziłam księgowość, a kiedy kierowniczka przechodziła na emeryturę, zaproponowała mi, żebym ją zastąpiła. A więc chcę powiedzieć, że gdyby mój list do niej dotarł, gdyby ona go dostała, nigdy bym tam nie poszła! Przedtem unikałam takich miejsc jak ognia! Wszyscy, którzy zdają sobie sprawę z ogromu cierpienia zwierząt, boją się schronisk. Myślą, że nie dadzą rady, że nie wytrzymają. Mylą się. Owszem, pierwszy raz faktycznie, człowiek porządnie się popłacze, ale potem to przechodzi.

– Ja bym tego nie wytrzymała – szepcze Nina.

– Oczywiście, że by pani wytrzymała. Nie do wytrzymania jest nierobienie niczego.

Nina ma wrażenie, że kobieta nie mówi teraz o zwierzętach, tylko o niej.

– Dlaczego pani tam mieszka? – pyta.

– Co za różnica… A pani? Czemu pani mieszka u męża?

– Bo nie mam dokąd pójść. To skomplikowane. On by mnie odnalazł… Jestem sama… – Nina z wściekłością wyciera trzy łzy, które spłynęły jej po policzku. – Bardzo panią przepraszam.

– Powinniśmy raczej przepraszać tych, przed którymi nigdy nie płaczemy… Jestem poruszona, że pani tak przede mną płacze. To strach nie pozwala się ruszyć. Paraliżuje. Ale proszę mi wierzyć, zawsze można odejść. Jak pani ma na imię?

– Nina.

*

To jeszcze nieoficjalne, ale już się o tym mówi – w maju sztuka *Wspólne dzieci* powinna zgarnąć wszystkie możliwe nagrody podczas ceremonii rozdania Molierów. Jest nominowana w kilku kategoriach: odkrycie teatralne, najlepszy aktor i aktorka w rolach głównych i drugoplanowych, a przede wszystkim, o czym w kółko myśli Adrien, w kategorii najlepszy dramatopisarz.

Molier dla najlepszego dramatopisarza, Molier dla najlepszego dramatopisarza, Molier dla najlepszego dramatopisarza…

Uroczystość odbędzie się dopiero za siedem miesięcy, nie ma sensu o tym myśleć, to tylko przypuszczenia, nic nie jest oficjalne.

Ale Adrien nie może się powstrzymać. Myśli.

To hipotetyczne wydarzenie budzi go co noc.

A gdyby mnie zaproszono na scenę? „Tegorocznym laureatem w kategorii najlepszy dramaturg jest… Adrien Bobin!” A gdyby wręczała

mi nagrodę Isabelle Adjani? Ach, nie, to będzie z pewnością ostatni laureat. Zaraz, kto nim był? Dario Fo. *Przypadkowa śmierć anarchisty*.

Adrien już słyszy te oklaski. Wyobraża sobie, jak wstaje ze zdziwioną miną: to niemożliwe, nigdy bym się nie spodziewał… chwila zastanowienia, niby dopiero teraz to do niego dociera, uśmiecha się do siebie, zamyka oczy, potrząsa głową, obejmuje i całuje aktorów, reżysera… Nie, to niemożliwe, nigdy bym nie pomyślał… Musi całym sobą wyrażać to niedowierzanie, to zaskoczenie. Iść powoli, po drodze uścisnąć kilka dłoni, wejść na scenę, odebrać Moliera, podziękować. Teraz przemowa. Napisał ją już dawno i zna tekst na pamięć.

Te przyjemne rozmyślania przerywa dzwonek telefonu. Adrien szykuje się do wyjścia. Kolacja u reżyserki Danièle Thompson. Wprost zakochał się w jej filmie *Ciasto świąteczne*, widział go trzy razy. Postarał się, żeby jej to powiedziano, i zaprosiła go przez ich wspólnego przyjaciela.

Wkurzony odbiera.

– Gdzie ona jest? – ryczy Emmanuel Damamme.

– Słucham?

– Gdzie jest Nina? Nie pierdol mi tylko głupot, gadaj, gdzie jest!

– Coś się stało?

– Tak, stało się: od wczoraj jej nie ma! Jest u ciebie?

Adrien skulił się, jakby ktoś walnął go w brzuch. W sekundę uświadomił sobie, że Nina uciekła, nie dzwoniąc do niego, nie prosząc go o pomoc. Wiadomo dlaczego! Nina jest gdzieś, nie wiadomo gdzie, sama, bez niego, i być może już nigdy jej nie zobaczy.

Stara się natychmiast zapomnieć o bólu. Przecież jest mistrzem w panowaniu nad sobą. W ukrywaniu tego, kim naprawdę jest. Od kiedy napisał *Biel hiszpańską*, jego serce zmieniło się w sopel lodu. Zamknął swoją prawdziwą tożsamość na kłódkę, a klucz wyrzucił.

Przybrał wizerunek milczącego młodego człowieka z talentem. Mały książę, który pewnie dostanie tego Moliera.

Nie ma ani kochanka, ani kochanki. Flirtuje, uwodzi, pozwala się uwodzić, ale zawsze znajduje pretekst, żeby wrócić do domu samotnie.

Chyba że spotka się z Louise.

– Nie mam z nią ostatnio żadnego kontaktu – odpowiada w końcu Damamme’owi. – Ostatnim razem widziałem ją miesiąc temu, w Paryżu.

– Była w Paryżu miesiąc temu? – pyta Emmanuel lodowatym głosem.

A potem dodaje groźnie:

– Uważaj, Adrien, jeśli kłamiesz, dowiem się.

Adrien bezwiednie wydaje z siebie drwiący chichot. Gardzi Emmanuelem Damamme’em i nikogo się nie boi.

– Ja i Nina to dawno skończone – mówi.

Rozłącza się. Za chwilę telefon znów dzwoni. Dzwoni i dzwoni. Adrien nie odbiera, wkłada płaszcz, idzie do łazienki sprawdzić w lustrze, jak wygląda. Taksówka już czeka.

*

Nina przeczytała list od Clotilde… Étienne jej za to nienawidzi. To jak gwałt. Nigdy jej tego nie wybaczy. Nawet jeśli od dziecka otwierała cudze listy, co go to obchodzi? Cudze. Ale nie jego.

Ależ się zawiódł.

Nie wie, co go bardziej boli. To, że Nina dowiedziała się o ciąży Clotilde, czy to, że wtargnęła w jego prywatność. Męczy go mieszanina złości i wstydu, której nie może się pozbyć.

Ten list, szok. Nie do pomyślenia, że dostał go dopiero teraz. Słowa z zaświatów.

Próbuje sobie przypomnieć, odtworzyć, jak wyglądała Clotilde rankiem w dniu pogrzebu Pierre’a Beau. Czy patrzyła na niego, myśląc, że on wie, podczas gdy nie miał pojęcia, że nie usunęła ciąży? Nie może sobie przypomnieć. W kościele i na dziedzińcu było bardzo dużo ludzi. I ten smutek, z którym nie umiał sobie radzić. Martwa dłoń Niny w jego dłoni. Wtedy na pewno uciekał wzrokiem przed spojrzeniem Clotilde, a w każdym razie tego spojrzenia nie szukał.

O ile pamięta, Clotilde nie było na cmentarzu. Dołączyła do nich potem, u niego.

Po raz enty Étienne myśli o jej bólu. Jak musiała przez niego cierpieć, przez jego bezmyślność. Wciąż go zadziwia, że pojechała wówczas aż do Saint-Raphaël, nic mu nie mówiąc. Przebyła całą tę drogę tylko po to, żeby zobaczyć go w ramionach innej dziewczyny.

Ile razy w pracy miał przed sobą mężczyzn, którzy bili lub gwałcili żony? Którzy podczas przesłuchania szukali u niego poparcia, męskiej solidarności. „My, mężczyźni… czasem trzeba żonie przyłożyć, bez tego się nie obejdzie, to normalne…” Albo: „Nie zdawałem sobie sprawy z mojej siły, prowokowała mnie, wreszcie nie wytrzymałem, wie pan, jak to jest”.

Étienne zawsze gardził takimi typami. Ale w gruncie rzeczy, czy nie jest od nich gorszy?

Wymaga się od policjantów, żeby byli nieskazitelnie uczciwi, prawi, ale czy mężczyźni w mundurze są bez zarzutu? Kto wierzy w takie głupoty? Czy są mniej obrzydliwi tylko dlatego, że złożyli przysięgę? Codzienność jest dużo bardziej złożona. Ile razy Étienne albo któryś z jego kolegów pragnął śmierci tego czy tamtego nikczemnika? Czy nie zdarza im się wydawać w myślach wyroku, zanim podejrzany naprawdę stanie przed sądem?

Widok samochodu zanurzającego się powoli w Leśnym Stawie będzie go prześladował do śmierci. Do końca życia nie dowie się, czy siedziała w nim Clotilde. Czasem go kusi, żeby wrócić tam w nocy, zanurkować i się przekonać.

Ale za bardzo się boi. To irracjonalny strach.

Przeraził go film z Harrisonem Fordem i Michelle Pfeiffer. Historia zamordowanej kochanki, leżącej bez życia w jeziorze niedaleko domu, w którym sprawca mieszkał z żoną. Duch zmarłej uwięzionej w samochodzie, blond włosy tańczące w otchłani. Wróciła, by ich prześladować.

Étienne nie dotrwał do końca.

Dzwoni telefon, matka.

– Wszystko dobrze?

– Tak.

Marie-Laure ma głos zwiastujący złe nowiny.

– Nina odeszła…

Cios. Étienne musi usiąść. Nogi się pod nim uginają. Przez „odeszła” rozumie „umarła”. Tak jak przez „zaginęła”, bo łączy to od razu z Clotilde.

Od sierpniowego wieczoru w 1994 roku ani razu nie pomyślał, że mogłaby gdzieś być, żyć.

Wyczuwając zamęt w głowie syna, Marie-Laure dodaje:

– Wysłała list pożegnalny do Emmanuela.

List pożegnalny… Nina nie żyje… Powinien odbierać jej telefony. Powinny go zaniepokoić te przedwczorajsze zwierzenia. Była taka delikatna. Jej życie z tym wariatem musiało być piekłem.

Étienne drży. Nie jest w stanie zapłakać, nie może nic powiedzieć, siedzi jak skamieniały z telefonem przy uchu.

– Emmanuel był u nas dziś rano. Szukał jej wszędzie. Wyglądał jak szaleniec.

– Co?

– Ten pożegnalny list jest w trzech egzemplarzach. Jeden dla niego, jeden dla Adriena i jeden dla ciebie.

*

Emmanuel biega po całym domu.

Zniknęła. Niczego nie zabrała. Gdy przyjechał z pracy, wszystkie jej rzeczy były na miejscu. Nathalie wróciła, była w kuchni. Na jego prośbę Nina zadzwoniła do niej i ją przeprosiła.

Smakowity zapach dziczyzny duszonej w sosie. Jaki wspaniały wieczór ich czekał! Był głodny, wrócił do domu w dobrym humorze. Wpadł po drodze do jubilera, kupił kochanej żonie pierścionek z brylantem.

Poprzedniego dnia podczas kłótni Nina powiedziała mu, że nie chce być matką, ale potem pogodzili się w łóżku. Lubiła się kochać, tym ją trzymał przy sobie. Co wieczór prosiła o więcej.

Nina? Nie, Nathalie jej nie widziała. Kiedy o czternastej przyszła do pracy, samochodu nie było.

Gdzie ona się podziała?

Poprzedniego dnia zrobiła ten potajemny wypad do Lyonu, więc dziś powinna mieć wyrzuty sumienia i siedzieć cicho.

Mijały godziny. W jej komórce wciąż zgłaszała się poczta głosowa.

O dwudziestej drugiej Emmanuel pomyślał, że miała wypadek. Poszedł na policję, żeby zgłosić zaginięcie żony, ale powiedziano mu, że to za wcześnie.

– Wiecie, kim jestem?

– Tak jest, panie Damamme.

– Utrzymuję prawie wszystkich mieszkańców La Comelle, więc proszę przynajmniej to dla mnie zrobić i natychmiast zacząć jej szukać!

Przez całą noc i cały następny dzień przeczesywano miasto i okolice w poszukiwaniu czarnego polo. Bezskutecznie.

Potem Emmanuel dostał list od Niny, nadany poprzedniego dnia na poczcie w La Comelle.

Zebrał w ogrodzie jej ubrania, książki, kasety z muzyką i filmami, dorzucił szczoteczkę do zębów i ułożył wszystko w stos, żeby zrobić ognisko. Wielkie radosne ognisko, tylko bez radości.

Nina zatrzymała kartę kredytową. Ale jeszcze z niej nie skorzystała; nie wyciągnęła żadnych pieniędzy. W dzień zniknięcia zrobiła zakupy w swoim ulubionym supermarkecie i… na tym koniec. Co kupiła? Emmanuel wypytywał kasjerki, ale nie mogły sobie przypomnieć.

Komórkę miała wyłączoną. Nie można się dodzwonić.

Czy od dawna wiedziała, że odejdzie? Do kogo? Po co?

Emmanuel zatrudnił dwóch prywatnych detektywów. „Zapłacę każdą sumę, tylko proszę mi ją odnaleźć! Żywą, jeśli to możliwe!”

Zażądał, żeby jeden pojechał i sprawdził u Étienne’a Beaulieu, a drugi u Adriena Bobina. Ale ani w Lyonie, ani w Paryżu Niny nie znaleziono.

Na razie.

Bo ona nie jest orłem, tylko słabym wróbelkiem. Z pewnością prędzej czy później się pojawi; zdradzi ją jakieś głupstwo. Wróci z podkulonym ogonem błagać, żeby ją wziął z powrotem. Nie będzie tęsknił.

Czyta po raz setny list Niny, mimo że zna go na pamięć.

Adrienie, Emmanuelu, Étiennie,
odchodzę. Zdecydowałam sama, nikt mnie nie zmusił.

Moi dwaj kochani przyjaciele, byliście słońcem mojego dzieciństwa. Dzięki Wam moje życie było wtedy wspaniałe.

Miałam wielkie szczęście, że Was spotkałam. I wielkie nieszczęście, że Was straciłam.

Ale podobno tak już jest w życiu.

Mężu, życzę Ci szczęścia z kimś dobrym. Ja już nie jestem taka ani dla Ciebie, ani dla siebie, ani dla nikogo.

Całuję Was wszystkich trzech

Nina

Emmanuel najpierw pomyślał, że to zasadzka. Nina zaadresowała list do ich trzech, żeby zdjąć podejrzenia z tamtych dwóch. Ale Marie-Laure potwierdziła, że Étienne też dostał taki list, pisany ręcznie. Wysłany z tego samego miejsca, z rue de la Liberté, tego samego dnia co jego list.

Próbował dodzwonić się do Adriena, żeby dowiedzieć się, czy on też dostał list, ale Adrien nie odebrał.

Emmanuel poszedł na posterunek żandarmerii i zgłosił, że żona porzuciła dom, a za pośrednictwem adwokata złożył pozew o rozwód. To standardowa procedura, kiedy jeden z małżonków znika z własnej woli, nie zostawiając adresu. Nie ma mowy, żeby Nina dostała choćby grosz z majątku Damamme’ów. Mogłaby domagać się alimentów, została o tym uprzedzona, mimo że przed ślubem spisali u notariusza intercyzę. Gdyby jednak przyszło jej to do głowy, zrobi wszystko, żeby nic nie dostała.

Jedyna rzecz, która sprawiłaby mu teraz przyjemność, to widok Niny zdychającej z głodu w jakiejś dziurze.

Ale jest coś gorszego: wyobrażenie jej sobie w ramionach innego mężczyzny. Emmanuel nie przypuszczał, że można tak cierpieć. Wydaje mu się, że umiera. Od kiedy Nina odeszła, jest na antydepresantach. Lekarz nie

pozostawił mu wyboru. Emmanuel był w strasznym stanie. Przestał jeść, prawie nie spał. Kiedy się budził, szukał jej w łóżku. Teraz śpi na kanapie w salonie.

Uprzedził rodziców, matka musiała mu obiecać, że zadzwoni do niego natychmiast, jeśli Nina się z nią skontaktuje. Gé obiecała, jednocześnie myśląc, że gdyby synowa poprosiła ją o pomoc, nikomu by o tym nie powiedziała.

72

26 grudnia 2017

Louise siedzi w kuchni z Marie-Laure. Zamyślone piją herbatę.

Valentin i Marie-Castille przed chwilą wyjechali do Lyonu. Paul-Émile, Pauline i ich dwoje dzieci do Genewy.

No i tak, dom znów jest pusty. Jak co roku każdy wraca do swoich spraw, swojego życia. Ale tym razem Étienne nie wróci. Na poświąteczną melancholijną zadumę nakłada się zawrót głowy, strach przed czymś niewyobrażalnym.

Jak zwykle, gdy dzieje się coś, co dotyczy Étienne’a, Marc idzie do garażu, gdzie urządził sobie warsztat majsterkowicza. Musi znaleźć coś do zreperowania.

Gdyby tylko mógł zreperować naszego syna, myśli Marie-Laure.

Ma do siebie pretensje, że niczego nie zauważyła, nie zrozumiała. Myślała, że Étienne jest po prostu zmęczony. A poza tym pod koniec roku, w okresie świąt, wszyscy są zawsze wykończeni. Mało się wychodzi, człowiek siedzi w domu, za dużo je, za dużo pije, w ogóle robi wszystkiego za dużo. Tak się cieszyła widokiem dzieci i wnuków, że nie zwróciła uwagi na swojego synka.

Mój synek, myśli.

W duszach matek dzieci pozostają na zawsze dziećmi. Zajmują całą przestrzeń, ale pozostają małe. Myśli się o nich, jakby dopiero co się urodziły. Marie-Laure przypomina sobie, jak wczoraj wieczorem pocałowała Étienne'a na dobranoc. Dobranoc, kochanie, do jutra! Przecież musiał już wiedzieć, że widzi matkę ostatni raz, ale uścisk pozostał krótki. Cmok, cmok i do łóżka.

– Naprawdę nie wiesz, dokąd pojechali? – po raz kolejny próbuje wyciągnąć informacje z Louise.

– Nie wiem. Étienne chciał światła i wody. Pewnie pojadą gdzieś nad morze.

– Może są w Saint-Raphaël. Cała trójka.

– Może.

– Étienne uwielbia Saint-Raphaël… Myślisz, że zadzwoni? Powiedzieć, co robią?

– Na pewno! – Louise kładzie rękę na dłoni matki.

– Jesteś pewna, że nie będzie cierpiał?

– Jestem absolutnie pewna, mamo.

Marie-Laure patrzy na swoje łzy, które wpadają do kubka z herbatą. Potem spogląda na córkę. Jest tak piękna… i tak samotna. Czy jest szczęśliwa? Świetne studia, wymagająca praca i ta samotność, którą chyba zaakceptowała z pełną odpowiedzialnością. Samotność z wyboru, jak to się dzisiaj mówi.

– Dlaczego nigdy nie pobraliście się z Adrienem?

Louise jest zaskoczona, zdziwiona, że matka porusza ten temat. Nigdy o tym nie rozmawiały. Historia między nią a Adrienem, która trwa, od kiedy Louise skończyła dziewięć lat… Wydaje się, że wszyscy wiedzą, ale nikt

z nią o tym nie rozmawia. Trzeba jednak przyznać, że przy najmniejszej aluzji Louise od razu wycofuje się do skorupy, jak ślimak.

– To z powodu twojego brata? – nie ustępuje Marie-Laure.

– Nie, to ja nigdy nie chciałam.

– Dlaczego?

– Przez nią.

– Przez jaką „nią”?

– Przez Adriena.

*

Pierwszy raz widzę ją na dziedzińcu naszej nowej szkoły. Instynktownie wiem, że nie wpadam na nią przypadkowo. Czuję, że ona stoi tam celowo, tam, przede mną, jak kwiat.

Ma w ręce krążek, przed chwilą grała w klasy, jest zdyszana, wrzesień, gorąco, kilka blond kosmyków przyklejonych do twarzy. Zresztą kosmyki nie są blond, ale prawie białe. Wypłowiałe od słońca. To ona: dziewczynka o srebrnych włosach. Gdy na mnie patrzy, na jej policzki wypływa rumieniec.

To Louise. Ma dziewięć lat. Louise jest wszystkim, ale nie dziewięciolatką.

To siostra mojego nowego przyjaciela.

Są do siebie podobni. Takie same niebieskie oczy. Ale w oczach nie to samo, coś przeciwnego. On błądzi, ona jest spełniona.

Nikt nigdy nie patrzył na mnie tak jak Louise. W chwili, gdy piszę te słowa, wiem, że nikt już na mnie tak nie spojrzy. Jej spojrzenie to szczęście, moje szczęście.

Ona wie, kim jestem, mimo pozorów.

Brat ją przedstawia: „To jest moja siostra, Louise”, mówi.

Ona mówi „cześć”. Ja mówię swoje imię. Ona mi nie wierzy. W jej spojrzeniu jest powątpiewanie. Niepewność przy wymawianiu mojego imienia. Czuję to natychmiast. Nie dzieli nas żadna poczekalnia.

Louise to jedwab. To klejnot. Louise to również metal, i porcelana. Delikatność i siła. Jest niezniszczalna, jest łagodna i słodka.

Często na nią wpadam na dziedzińcu, widuję ją w każdą środę u jej brata, no i podczas wakacji. Jest częścią mojego życia. Widząc ją, myślę o tych lalkach w koronkowych sukniach, które kładzie się na kanapie. Louise to również koronka. Cicha, milcząca, z nosem w książkach. Lubi się uczyć. To jej natura. Najbardziej lubi odkrywać.

Gdy czuje, że jestem w pokoju, unosi głowę, uśmiecha się, nie spuszczając wzroku, różowieją jej policzki. Wraca do lektury, nie przestając się uśmiechać. Jestem jakby jej słońcem, a gdy ktoś uważa cię za gwiazdę, starasz się do niego zbliżyć. I zostać przy nim.

Ale między nami wyrósł mur, który przeszkadza mi ogrzewać się w jej cieple. Ten mur to nasza trójka. Moich dwoje przyjaciół i ja nigdzie się bez siebie nie ruszamy. Świat wokół postrzegamy z perspektywy nas trojga. Nie mamy innego punktu widzenia. Jesteśmy zwartym szeregiem.

Któregoś lata wszyscy razem jedziemy na wakacje. Louise leży pod parasolem; często się do mnie uśmiecha. Jej piękno mnie wzrusza. Ale tracę dużo energii na ukrywanie przed innymi, że

jestem dziewczyną. Chodząc, poruszając się, mówiąc, udaję chłopca. Zresztą niedługo pewnie dopadnie mnie mutacja.

Tamtego lata mam czternaście lat. Męczy mnie jedno: jabłko Adama. Kiedy się pojawi? Wciąż jest małe, ale jak długo jeszcze? Golę się, mimo że nie rośnie mi broda, ale może jeśli się będę golić, to urośnie. Z drugiej strony, boję się tego jak śmierci… Dlaczego tak się siebie wstydzę? Dlaczego tak obsesyjnie ukrywam tę dziewczynę, która jest we mnie? Z perspektywy czasu myślę, że gdyby nie moich dwoje przyjaciół, pchnęłaby mnie do samobójstwa.

I że gdyby nie Louise, nigdy nie wiedziałabym, co to znaczy się zakochać.

Któregoś ranka się budzę, a Louise siedzi na bujanym fotelu naprzeciwko mojego łóżka. Zjawisko.

Dom jest pusty. Wszyscy wyszli na cały dzień. Jesteśmy tylko we dwie. Po raz pierwszy zupełnie same.

– Kochasz mnie?

To pierwsze pytanie, które jej zadaję. Bo nie mogę uwierzyć, że ktoś może mnie pokochać.

– Tak. Od dziecka.

– Wciąż jesteś dzieckiem.

– Nie, mam trzynaście lat. Pocałowałeś kiedyś dziewczynę?

– W usta?

– Tak.

– Nie. Nigdy nikogo nie pocałowałem.

– Czy już się z kimś kochałeś?

To pytanie mnie zdumiewa i oszałamia.

– No nie, przecież nikogo nie całowałem.

– Chcesz spróbować? – pyta Louise.

– Kochać się?

– Nie! Pocałować.

Odpowiadam, że chcę. Louise wślizguje się do łóżka obok mnie, ale nie przytula się.

– Czujesz, jak szybko bije?

Bierze moją dłoń i przykłada ją do piersi.

Czuję bicie jej serca. Jest cała ciepła.

Rozbiera się, to naturalny gest. Ofiarowuje mi swoją nagość, ja biorę jej sukienkę. Nie mogę wziąć jej, nie mogę jej objąć, uścisnąć. Jesteśmy za młodzi, za bardzo przerażeni, niezręczni. Trzeba zachować dystans. Przebiegam wzrokiem jej ciało. Jest taka piękna. Zazdroszczę jej. Czubkiem palców delikatnie przesuwam po jej ciele, wgrywam ją w siebie. Ona zamyka oczy, drży. Jęczy. Zgina się. W drugiej ręce wciąż trzymam jej sukienkę, ściskam ją mocno, wczepiam się w materiał, chwytam się go jak sznurka, żeby nie wpaść w przepaść, którą otwiera przede mną strach.

Po długiej chwili jakbyśmy znaleźli się oboje na końcu ogromnego korytarza. Louise mówi: „Często pieszczę się, myśląc o tobie. Chcesz zobaczyć?”.

Znowu mnie zaskakuje. Skąd ta dziewczynka ma tyle śmiałości i zaufania do mnie?

Odpowiadam: „Tak”.

Louise kładzie się na brzuchu, obraca głowę w moją stronę, patrzy na mnie. Nigdy w życiu nie widziałam kogoś tak pięknego.

Kładę na sobie jej sukienkę. To tak, jakbym kładła na sobie ją. Rozbieram się, biorę do ręki dłoń Louise, nie spuszczamy z siebie

wzroku. Ona godzi mnie ze mną. Godzi nas ze sobą. Już nie wiem. Czuję się tak dobrze, że zapominam, kim jestem.

Louise jest zakochana, ale w kim? I które „ja” jej pragnie?

Jestem przerażona kwestią swoich upodobań, bo ich nie mam. Moje „preferencje seksualne” nie chcą się ujawnić. Ponieważ jestem dziewczyną, powinnam mieć pociąg do chłopców. To byłoby logiczne. Ale nic tu nie jest logiczne. Zresztą żadna historia miłosna nie jest logiczna. Louise porusza mnie do głębi. Przy niej dostaję erekcji.

Zasypiamy razem.

Budząc się, czuję, że obejmuje dłonią mojego penisa.

Odpycham ją.

– Nie dotykaj mnie tam, to nie jest moje.

*

W nocy, kiedy wyjeżdżaliśmy, Louise powiedziała mi:

– Ponieważ towarzyszysz mojemu bratu w drodze do śmierci, chciałabym, żebyś to wykorzystała i definitywnie ukręciła łeb Adrienowi.

– Louise, to zbyt brutalne.

– Życie jest brutalne, to nie moja wina.

Louise została chirurgiem przeze mnie. Kiedy tak mówię, ona zawsze mnie poprawia: „Dzięki tobie!”.

Stara się namówić mnie na kurację hormonalną, a potem na zabieg chirurgiczny.

Żebym stał się… stała się tym, kim jestem.

Od lat zręcznie omijam ten temat.

Zręcznie omijać, ociągać się, odrzucać, odkładać na później, kłamać, dopasowywać się… Znam na pamięć wszystkie fortele.

Boję się.

Wiem, że jestem kobietą. To moja współlokatorka. Przez nią Louise nigdy nie chciała ze mną zamieszkać. Mówi, że okłamuję wszystkich, począwszy od siebie samej. Że będzie mnie tak samo kochać, kiedy będę miała „cycki i cipkę”. Gdy zaczyna używać takich słów, zamykam się w sobie. Nienawidzę wulgarności. Ona o tym wie, specjalnie mnie prowokuje. Próbuje wszystkiego.

Nigdy nie byłam w zgodzie ze swoim ciałem. Nigdy jednak nie udało mi się przekroczyć Rubikonu. Odrzucam to przejście, pozornie proste, o którym rozprawiają media. Dziś jest dostępne dla „osób takich jak ja”. Louise setki razy starała się poprowadzić mnie w tym kierunku, na próżno.

Przedstawiła mi psychologów, endokrynologów, ale nie daję rady o tym rozmawiać, nie jestem w stanie podjąć takiej decyzji. Irytuje się, gdy wspominam tego lekarza, do którego zaprowadzono mnie, kiedy miałam sześć lat, albo kiedy wspominam Py’ego. „Było, minęło – mówi. – Musisz iść naprzód”.

Czasem tak się denerwuje, że aż płacze. Kiedyś, u kresu wytrzymałości, rzuciła się na mnie z pięściami, krzycząc, że nienawidzi Adriena, że chce, żeby zdechł. Powiedziała, że jestem zwykłym tchórzem. Nie widziałyśmy się wtedy przez jedenaście miesięcy.

*

Jest dwudziesta. Nina, Étienne i ja siedzimy po turecku na wielkim łóżku. Znaleźliśmy pensjonat w Savonie, tuż obok Genui, na północy Włoch. Jesteśmy wykończeni.

Przed nami stoi taca, smarujemy kromki chleba świeżym pesto i pijemy białe wino; zakupy zrobiliśmy naprędce. Étienne chciał, żebyśmy spali w jednym pokoju. Właściciel nic nie powiedział, kiedy zobaczył, że wchodzimy tu wszyscy troje. Od razu umówiliśmy się, że ja śpię w łóżku jednoosobowym, oni w podwójnym.

Nina już wzięła prysznic. Ma na sobie brzydką piżamę z różowej bawełny. Étienne roześmiał się, kiedy wyszła z łazienki.

– Kurde, co za ohyda, jak na tym filmie *Święty Mikołaj to śmieć*!

Śmialiśmy się jak dawniej. Jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi i nocowaliśmy u Pierre'a Beau, i się kochaliśmy.

Nina powiedziała, że jest sama już tak długo, że śpi nago, ale że teraz nie będzie paradować bez ubrania.

– Jutro kupimy ci jakieś ciuchy i trzeba kupić karty do telefonu… Muszę zadzwonić do Valentina.

– A ja do mojego ukochanego – dodaje Nina.

– Jeśli masz ukochanego, spal tę piżamę! A co on ma takiego wyjątkowego, ten twój ukochany?

– Jest taki… normalny, dobry… I bardzo przystojny.

– Co ty w ogóle o nim wiesz? – nie mogłam się powstrzymać.

Étienne i Nina patrzą na mnie pytająco.

– O co ci chodzi? Chcesz nam coś powiedzieć?

– Nie.

– Kłamiesz! – słyszę. Nina mówi teraz zmienionym głosem. – Wiem, kiedy kłamiesz. W każdym razie… teraz wiem. Przeczytałam *Biel hiszpańską*.

Milczę.

– Czy masz mi coś do powiedzenia à propos Romaina? – upiera się Nina.

– Zapytaj go, dlaczego musiał wyjechać z Marnes-la-Coquette.

Nina traci pewność siebie, nie rozumie moich słów.

– Skąd wiesz, że pracował w Marnes?

– Wiem.

– W gruncie rzeczy jesteś potworem. Chcesz mi zniszczyć życie, tak?

– Absolutnie nie.

– Nie? To po co te aluzje?

– Powiedziano mi pewne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Że go wyrzucono z tamtej szkoły, bo miał kłopoty w związku z jakąś uczennicą. I że sprawa została mniej lub bardziej zatuszowana.

– Skąd to wiesz?

– Od kolegi z gazety.

– Jak ci to powiedział? Przyszedł i powiedział: „Ach, ten nowy dyrektor gimnazjum Pereca miał podobno kłopoty z powodu jakiejś uczennicy”?

– Nie. Zapytałam go.

Podnosimy głosy. Widzę w jej oczach, że ma do mnie pretensje. Że nic już nie będzie takie jak przedtem.

– Dlaczego o niego pytałaś?

– Bo zobaczyłam, jak wchodzisz do jego mieszkania.

– Szłaś za mną?

– Tak.

– Psychopatka!

Étienne stara się opanować sytuację.

– Spokój, koleżanki!

– Zadzwoń do niego, zapytaj. Przynajmniej będziesz miała spokojne sumienie – mówię.

– Będę miała spokojne sumienie? Kto z naszej trójki w ogóle ma spokojne sumienie?

– Skończyłyście? – przerywa nam Étienne. – Możemy zacząć oglądać serial?

– Jaki serial? – pyta Nina.

– *Breaking Bad*? – proponuje Étienne.

– Nie wiem w ogóle, co to jest.

– Ja też nie – dodaję.

– Głupie jesteście… To jest genialne.

Étienne znika w łazience; wcześniej połknął mnóstwo tabletek. Nina i ja patrzymy na siebie dłuższą chwilę. A tak się kochałyśmy!

– Jeszcze cię nie przeprosiłam za Paryż, za ten teatr… Zachowałam się skandalicznie. Do dziś się tego wstydzę.

– Ja też chcę cię przeprosić, za to, że niczego nie zauważyłam, że po prostu cię nie widziałam. A wydawało mi się, że cię doskonale znam. Myślałam, że jesteś moim bratem, a tymczasem byłaś moją milczącą siostrą… byłaś tą dziewczyną, którą zakneblowałaś.

– No ale teraz już wszystko się wyjaśniło.

– Tak.

Nina wstaje, wkłada sportowe buty, nie sznuruje ich, zarzuca kurtkę Étienne’a na ramiona i wychodzi z pokoju.

– Zaraz wracam – mówi.

*

Schodzi na dół. Właściciele pensjonatu siedzą przed telewizorem. Podskakują zaskoczeni, gdy staje za kanapą. Składa dłonie w geście przeprosin, wręcza mężczyźnie dwadzieścia euro, pokazuje na migi, że chciałaby zadzwonić. Étienne zwariował, boi się żony, która jest komisarzem, poprosił, żeby pod żadnym pozorem nie włączali komórek i nie wyciągali pieniędzy z bankomatów… „Pod żadnym pozorem, pamiętajcie! Bo to będzie mój koniec!”, zażartował.

– Niech pani schowa pieniądze – odzywa się kobieta płynną francuszczyzną.

Pokazują jej telefon stacjonarny w małym saloniku koło kuchni. Nina wykręca numer Romaina; gospodarz pilotem pogłaśnia telewizor.

Romain natychmiast odbiera. Co ona ma powiedzieć? Spytać o tę ponurą historię „dla spokoju sumienia”? Jest jej dobrze z Romainem. Nie ma ochoty wiedzieć. Kiedy wreszcie znalazł się ktoś, kto wprowadził ją choć na chwilę do świata bajki, w którą już przestała wierzyć…

– To ja – mówi.

– Wszystko dobrze? Gdzie jesteście?

– We Włoszech…

73

Grudzień 2000

Dwa miesiące, a on wciąż nie wie, gdzie jest Nina. Szukał jej wszędzie. Nawet w rowach, pod łóżkami, w przepastnych szafach rodzinnego domu.

Można zwariować.

Przemierzył wszystkie wiejskie drogi w całej okolicy. W dzień. W nocy. Pukał do drzwi, pokazywał obcym jej fotografię, nikt jej nie widział. Zażądał, by w „Journal de Saône-et-Loire” umieszczono jej zdjęcie, oczywiście zapłacił, z podpisem: *Niepokojące zniknięcie*.

Co jest ewidentnym kłamstwem. Żadne „niepokojące zniknięcie”. Nina wysłała trzy listy, do Adriena, do Étienne’a i do Emmanuela, w których wyraźnie napisała, że wyjechała z własnej woli.

Detektywi zatrudnieni przez Emmanuela są pewni, że jego żona nie ukryła się u żadnego z przyjaciół.

Ani śladu Niny u Adriena Bobina. Ani w jego mieszkaniu, ani u jego przyjaciół i znajomych. To samo w Lyonie. Étienne Beaulieu mieszka sam i poza godzinami pracy widuje niewielu ludzi, z wyjątkiem kilku kolegów i od czasu do czasu przypadkowych dziewczyn.

Kto pozostaje? Kto mógł ją przygarnąć?

Emmanuel pomyślał nawet o matce Niny. Niewiele o niej wie. Tyle że nazywa się Marion Beau i że urodziła się trzeciego lipca 1958 roku w La Comelle. „Z tą informacją mógłbym ewentualnie ją odnaleźć… Z numerem ubezpieczenia zdrowotnego”, poinformował go jeden z jego dwóch detektywów kilka tygodni temu.

I oto Emmanuel z bijącym sercem czyta adres, który dostał esemesem:

Znalazłem: Marion Beau, Zakątek Złodziei 3, 14640 Auberville.

Sprawdza od razu na mapie samochodowej. Matka Niny mieszka w Normandii, w wiosce gdzieś niedaleko Deauville. Zna dobrze to nadmorskie miasteczko, wiele razy spędzał tam wakacje.

Drugi esemes od detektywa przychodzi zaraz po pierwszym.

Życzy pan sobie, żebym tam pojechał?

Nie.

Wychodzi z biura, informując, że musi w tej chwili wyjechać.

– Ale… konferencja telefoniczna… i umówione spotkanie z…

– Dacie sobie radę sami – ucina i wychodzi.

Nigdy nie zachowywał się w ten sposób wobec pracowników. Od zniknięcia Niny stał się kimś innym. Nikt go nie poznaje. Zamyślony, mętne spojrzenie. Wszyscy mówią, że „to się źle skończy”.

Bez zastanowienia pokonuje pięćset kilometrów, niemal nie zdejmując nogi z gazu. Zatrzymuje się dwa razy, żeby zatankować, wypić kawę, zjeść baton czekoladowy.

Kiedy dociera do celu, widzi kolonię dwudziestu domków z prefabrykatów, jeden obok drugiego. Jest prawie północ. Pusta ulica. Kilka latarni rzuca blade światło na mokry asfalt i mieszkania komunalne.

Mżawka na przedniej szybie samochodu. Tu nawet w lecie musi być zimno, myśli Emmanuel.

Pod numerem trzecim, za plastikową firanką, wielki telewizor rzuca niebieską poświatę. Marion raczej nie śpi. Chyba że to Nina. Czy otworzy mu drzwi? Jeśli to Nina, uderzy ją; czuje to w kościach. Nie pozwoli jej mówić ani przepraszać. Chwyci ją za włosy i wyciągnie. Niech wyje, niech się wyrywa; jak tylko ją porządnie złapie, nigdy jej nie wypuści.

Chwiejąc się, wychodzi z samochodu. Ledwo idzie, to pewnie zmęczenie ostatnich tygodni. Wciąż bierze leki na depresję, inaczej już dawno by ze sobą skończył. Ale zanim się zabije, ma jeden cel: zabrać Ninę ze sobą. Nie odejdzie sam.

Pcha nadgryzioną zębem czasu furtkę, której zamek wygląda, jakby nigdy niczego nie zamykał. Dzwoni. Czeka minutę. Otwiera mu kobieta, kaprawe oczy, chyba spała.

– Pani jest Marion?

Nie odpowiada. Zastanawia się, co na jej podartej wycieraczce o północy robi ten przystojny młody człowiek, klasa, nowe buty. Rzuca okiem na sportowe auto, zaparkowane pod latarnią tuż za jego plecami. Czy to może jakaś ukryta kamera? Patrick Sabatier ze swoją ekipą czasami zjawiali się niespodziewanie u różnych ludzi, żeby zrobić niespodziankę, dać prezent… Zaraz, jak nazywał się ten program… Ale już chyba tego nie nadają.

– Nina tu jest? – pyta wreszcie przystojniak.

Pytanie tak zaskakuje Marion Beau, że ledwo jest w stanie wydukać:

– Jaka Nina?

– Pani córka.

Nikt jej nigdy przy niej tak nie nazywał. Pani córka.

Kiedy ją zostawiła swojemu staremu, bachor dopiero co się urodził. Marion tak o niej myśli, tak ją nazywa, trzyma ją na dystans. Bachor. Nigdy nie „moja córka”. Bo nic nie jest jej, nic do niej nie należy.

Już dawno temu została pozbawiona wszelkiej własności.

Kiedy ktoś ją pyta, czy ma dzieci, Marion odpowiada „nie”. Dzięki temu dalej nie pytają. Zresztą ona nikogo nie obchodzi. Nikt nie zadaje jej żadnych pytań.

– Mogę wejść?

Marion waha się. Potem sobie przypomina, że w domu jest czysto; sprzątała po południu, szmatą przeciągnęła podłogę, wytarła kurze. Więc kiwa głową. Proszę wejść.

Zapach starego tytoniu.

Telewizor zajmuje prawie cały salon. Naprzeciwko szara kanapa ze sztucznej skóry. W głębi pokoju niski stolik. Dalej kuchnia, w której króluje kuchenka mikrofalowa.

– Jestem mężem pani córki – odzywa się Emmanuel słabym głosem, opadając na kanapę.

Zamyka oczy. Od razu zrozumiał, po pierwszym spojrzeniu na to wnętrze, że stopa Niny nigdy tu nie postała. Czuje się wyczerpany. Chciałby się stąd nie ruszać. Zrobił ponad pięćset kilometrów na nic. Tylko po to, żeby znaleźć się naprzeciw tej kobiety, którą Nina opisała mu jako chudą i wulgarną. Nie jest już chuda. Jest napuchnięta; przypomina serdelek i wydaje się pozbawiona energii, kiedy tak stoi w zadeptanych kapciach.

– Ach, nie wiedziałam, że Nina wyszła za mąż! – mówi Marion, wkładając sweter. – Napije się pan czegoś?

– Jeśli pani napije się ze mną.

Marion uśmiecha się. Otwiera kuchenną szafkę, w której stoją napoczęte butelki syropów owocowych, pastis, porto i suze.

– Mam jeszcze muscat w lodówce.

– Niech będzie muscat.

Nalewa kieliszek słodkiego wina najpierw Emmanuelowi, potem sobie.

– Skąd pan przyjeżdża?

– Z La Comelle.

– Ach! Dziwnie słyszeć tę nazwę!

– Mieszka pani sama?

– Tak… A dlaczego pan jej szuka? – Marion nie jest w stanie wypowiedzieć słowa „Nina” ani „córka”.

– Bo zniknęła.

– Jak to zniknęła?

– Wyszła i nie wróciła.

– Dlaczego?

– Właśnie staram się to pojąć.

Emmanuel wychyla kieliszek jednym haustem.

– Chętnie napiję się jeszcze tego pani muscatu, jeśli można.

Marion natychmiast mu dolewa, sobie też. Prawie do pełna. Nie zaproponowała mu tego, ale Emmanuel postanowił przespać się tu na kanapie. Nie ma ani odwagi, ani siły szukać po nocy hotelu. Marion siedzi naprzeciw niego na krześle i przygląda mu się, sącząc trunek. Dobrze, znalazł słaby punkt, jaka matka, taka córka, myśli Emmanuel. Ona prawie skończyła drugi kieliszek.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni… Ja też odeszłam.

– Czy miała pani ostatnio od niej jakieś wiadomości?

– Nieee… – odpowiada Marion jakby z żalem.

Wydaje się szczera.

– A pani zdaniem gdzie ona może być? – pyta zdesperowany.

Marion patrzy na niego jak na wariata. Jakby nie wiedział, z kim rozmawia. Przecież chyba powiedziano mu, że porzuciła dwumiesięczne dziecko?

Właściwie nie porzuciła Niny. Powierzyła ją ojcu. A kiedy chciała ją odebrać, było za późno. Minęło zbyt dużo czasu. Dziewczynka chodziła i gadała jak zepsuta lalka, taka, która zbyt szybko urosła.

Marion dwa razy wróciła, żeby ją zobaczyć; pocałowała tę obcą małą, ale niczego nie poczuła. Smarkata należała już do starego – Marion uświadomiła sobie, że zostawiając mu córkę, straciła ją.

Tak czy inaczej, co ona by z nią zrobiła? Dzieciak miał dobrze tam, gdzie był.

Młody człowiek siedzący tu nad trzecim kieliszkiem… Czy wie, że ona nigdy nie widziała dorosłej Niny?

Ich ostatnie spotkanie odbyło się w dniu pogrzebu starego. Marion czuje ciepło rozchodzącego się w organizmie alkoholu. Alkohol zawsze tak na nią działa. Potrzeba mówienia, wylania z siebie nadmiaru słów.

– Kiedyś byłam przyzwoitą dziewczyną – mówi. – Byłam ładna i w ogóle. Wesoła. Cały czas się śmiałam. I byłam dobrą uczennicą. Nie należy wierzyć w to, co się widzi. Umiałam ładnie mówić i tak dalej. Miałam dobre stopnie. A potem… Matka zachorowała. Przez długie miesiące błagałam ją, żeby się leczyła! Ale ojciec nie chciał… A ona tylko powtarzała: „To nic, nie martw się, to przejdzie”. Ojciec nie chciał jej wypuścić z domu, nie chciał, żeby wychodziła, nie chciał, żeby poszła do szpitala… Chciał ją mieć tylko dla siebie, chciał, żeby leczyła się we własnym łóżku, u nas w domu. Wzywał wciąż naszego lekarza, który nie wiedział, co robić, przepisywał złe lekarstwa. Wciąż błagałam rodziców,

mówiłam ojcu, zabierz mamę tam, gdzie będą wiedzieli, jak ją leczyć… Był uparty jak osioł. Gdyby można było cofnąć czas, sama bym ją zabrała do szpitala… To trwało rok. Kiedy ojciec wreszcie zmienił zdanie, było za późno. Mama zmarła w szpitalu. Jak tylko została przyjęta. Nawet nie miała czasu rozpakować walizki… Kiedy straciłam matkę, coś mi się stało… To mnie… zabiło. Zeszłam na złą drogę. Zeszłam na złą drogę i uciekłam z domu. Stałam się krnąbrna. Tak mówił ojciec, „krnąbrna”. Ludzie, sąsiedzi, też tak mówili: „Ta Marion jest taka krnąbrna, taka krnąbrna”. Wszystkim było żal starego. „Biedak”, mówili. Biedny skurwysyn, tak!

– Kim jest ojciec Niny?

Marion zapala papierosa. Czarny tytoń. Śmierdzi w całym pokoju.

– Próbuję przestać palić… Trudna sprawa. Chce pan jeszcze kieliszek?

– Chętnie.

– Jej ojciec… Jej ojciec uciekł gdzie pieprz rośnie. Urodziłam ją sama. Mówiłam panu, żyłam własnym życiem. Ale nie tym dobrym, tym złym.

– Dlaczego nie zatrzymała pani Niny przy sobie?

– Nie mogłam. Nie byłam w stanie. Czy mogę pana o coś poprosić?

– Tak.

– Czy ma pan jej numer telefonu? Niny, znaczy?

– Tak.

– Może mi pan go dać?

– Jej komórka jest cały czas wyłączona, to na nic.

– Chciałabym tylko mieć jakiś drobiazg, coś, co do niej należy. Nawet jeśli to tylko cyfry.

Emmanuel kładzie się na kanapie.

– Mogę się tu chwilę przespać?

– Może pan, może.

Marion zdusza niedopałek. Patrzy na mężczyznę, który leży na jej kanapie, kupionej na dziesięć rat zero procent w Conforamie, kiedy odeszła od Arthusa. Pod koniec miał ciężkawą rękę. Przyłożył jej tyle razy, że w końcu dała dyla.

Tak jak Nina. Ale właściwie dlaczego Nina uciekła? Ten facet, jej mąż, wygląda na miłego.

Ale czy w ogóle istnieją mili mężowie?

Teraz, myśli Marion, teraz wreszcie mam spokój. Karmię okoliczne koty, w lecie podlewam pelargonie, pracuję na pół etatu w stołówce, mam trochę zapomogi… Żadne wielkie życie, ale zawsze życie. Przede wszystkim nikt mi nie ciosa kołków na głowie. Skończyłam z facetami, nie chcę ich ani w łóżku, ani w kuchni. Wypaliłam się.

Ale Nina? Dlaczego uciekła?

*

Piąta rano. Budzi ją szczekanie psa.

Przez te kilka tygodni Nina nauczyła się je rozpoznawać. Odróżniać jednego od drugiego. To szczekał Papryka, stary spaniel skrzyżowany z cockerem. Ma zniszczone struny głosowe, jak pies, który za dużo szczekał. Nina rzuca okiem na budzik – dlaczego Papryka szczeka tak wcześnie? Czy usłyszał coś? Może kogoś? Zwykle psy budzą się później, kiedy zjawia się Lili i potem reszta wolontariuszy.

Machina strachu rusza, rozpędza się: to on. Psy go wyczuły.

To silniejsze od niej; jej ręce, mięśnie, żołądek, wszystko się kurczy, zaciska, zamyka. Skamieniała ze strachu Nina leży długo bez ruchu, oczy ma szeroko otwarte, wpatruje się w sufit, wszystkie zmysły w stanie pogotowia, nasłuchuje nietypowych dźwięków. Wydaje jej się nawet, że słyszy, jak ktoś porusza zamkiem w drzwiach wejściowych.

Z trudem wstaje. Jest piąta trzydzieści pięć. Nie zapala światła. Wszystko robi w ciemnościach; przyzwyczaiła się nie włączać górnej lampy. Żyć jakby w nocy.

Powoli idzie do toalety. Na górze znajduje się wąskie okno, przez które można obserwować teren przy wejściu do schroniska. Wchodzi na sedes, odsłania zasłony. Nikogo. Nogi jej drżą, ledwo może utrzymać równowagę. Grzeje wodę, parzy zioła na uspokojenie.

Podkręca trochę termostat kaloryfera, zarzuca coś na ramiona. Znów wskakuje na sedes i tym razem długo wpatruje się w ciemności, węszy niebezpieczeństwo. Jest naprawdę ciemna noc, nawet nie widać klatek. Papryka musiał wyczuć jakieś zwierzę, może lisa albo szczura.

Lili miała rację. Na początku człowiek jest poruszony widokiem zwierząt w klatkach. Ale potem się przyzwyczaja. Gdy zwierzęta widzą kogoś po raz pierwszy, patrzą na niego jak na wybawiciela. Albo są tak skrzywdzone, że chowają się za ścianą, która osłania je od spojrzeń i zimna. Potem, gdy przywykną, widzą w człowieku tego, kto wyprowadzi je na spacer albo nakarmi.

Zwierzęta pochodzą zewsząd. Głównie z dróg, lasów, ze śmietników. Tydzień temu zabrano pięć sztuk z pseudohodowli.

Nina śpi obok nich już dwa miesiące.

Różnica między nią a zwierzętami: ona nie czeka na nikogo, kto by ją stamtąd zabrał. Pragnie tylko spokoju. A gdy słyszy szum silnika samochodowego, nie wybiega z radością na powitanie, ale się chowa. Znika we własnym ciele. Wie, że Emmanuel jej szuka. Czuje to. Co noc budzi się zlana potem, bo czuje jego zapach. Jakby był w tym samym pokoju, jakby pochylał się nad jej łóżkiem.

Lili pokazała jej list gończy, który Emmanuel kazał opublikować w lokalnej gazecie, z jej zdjęciem. Rozpoznała z przerażeniem tę starą

fotografię. Musiał przejrzeć wszystkie jej rzeczy. Szukał najmniejszego śladu, tak jak się robi podczas nagonki, gdy chce się zagonić zwierzę w pułapkę. Jest tak wściekły, że węszył nawet w jej bieliźnie.

To facet zdolny do wszystkiego.

Wiedziała to od dawna, ale teraz, kiedy jest od niego daleko, naprawdę sobie to uświadomiła. Żyła z perwersyjnie zaborczym mężem, nie widząc tego.

Czasem nie może się powstrzymać i czuje się winna.

– Był taki miły, kiedy go poznałam. To przeze mnie stał się taki…

Kiedy mówi coś takiego, Lili z humorem rzuca:

– Chętnie dałabym ci po głowie, żeby ci się tam wszystko po kolei ułożyło!

Nina żałuje jednego: że nigdy nie wróciła do domu dziadka i nie zabrała stamtąd kilku swoich rzeczy, ulubionego T-shirtu i swetra, książek i kasetki ze zdjęciami. Była tam fotografia dziadków zrobiona w dniu ich ślubu i dużo zdjęć Étienne’a, Adriena, Louise, Joséphine i Marie-Laure.

Gdy opuszczała tamten dom, wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyła nawet o tym pomyśleć, zresztą wymazała przeszłość, zostawiła wszystko za sobą. Jak ktoś, kto ginie w wypadku samochodowym, a potem na stole w kuchni znajduje się filiżankę zimnej kawy i resztki śniadania. Pusty przesunięty wieszak, z którego zdjął wcześniej płaszcz, spiesząc się do wyjścia.

Wtedy to była konieczność. Nie zastanawiać się.

*

W dniu, kiedy Nina spotkała Lili, gdy wyszły z kafeterii w supermarkecie, poszły na parking, do samochodów. Popatrzyły na siebie.

– Na pewno nie chce pani wracać do męża? – spytała Lili.

– Czy mam jakiś wybór?

– Nie ma pani żadnej rodziny?

– Nie mam nikogo.

– Przyjaciele?

– Mogłabym pójść do rodziców Étienne’a… to znaczy… takiego przyjaciela… Ale mój mąż ich zna, znalazłby mnie w pięć minut.

Lili przełożyła puszki z jedzeniem z wózka do bagażnika, uniosła głowę i powiedziała:

– Ratuję życie psom i kotom. Zdarzyło mi się też uratować świnkę morską i kury… Ale nigdy nie ratowałam młodej kobiety.

Nina uśmiechnęła się po raz pierwszy, od kiedy Lili zaczepiła ją w dziale warzywno-owocowym.

Pół godziny później polo zostało wstawione do garażu zamkniętego na kłódkę, do której tylko Lili miała klucz, a Nina zaprowadzona do pokoju gościnnego. Zapadła cisza, przepastna cisza.

– Co mam teraz robić?

– Czekać – odpowiedziała Lili. – Tyle czasu, ile będzie trzeba.

To było jak znalezienie się w więzieniu, zamknięcie w czterech ścianach. Z tym że w więzieniu są widzenia, można spotkać się z kimś raz na tydzień.

Lili doradziła Ninie napisanie listu pożegnalnego do męża, żeby policja nie zaczęła jej szukać. Nina napisała go w trzech egzemplarzach. Taki sam do Emmanuela, Adriena i Étienne’a.

Kiedy wręczyła Lili trzy koperty, miała wrażenie, że wyrzuca przeszłość do śmieci. Została tylko pusta teraźniejszość. Wszystko do zbudowania od nowa.

Piętnaście dni później, kiedy Lili już wszystko przygotowała, Nina przeniosła się do maleńkiego mieszkanka na tyłach schroniska, w głębi, poza zasięgiem wzroku wszystkich, nawet pracowników.

– W ten sposób będziesz miała swoje „u siebie”. A wieczorem wystarczy przejść na drugą stronę ulicy i będziesz mogła zjeść ze mną kolację.

Nina mieszka na dwudziestu metrach kwadratowych, urządzonych po spartańsku, z dwoma oknami wychodzącymi na pola. Jedynie przez umieszczone w toalecie wąskie, wysokie okno widać klatki ze zwierzętami. Tutaj mieszkała dawno temu Annie-Claude Miniau, która założyła to schronisko.

– Teraz będziesz naprawdę u siebie. Jest telewizor, dużo książek i pełna lodówka.

– Lili, nie mam ani grosza, żeby ci zapłacić.

Nina zdjęła obrączkę, szafir i pierścionek z brylantami.

– Gdybym to sprzedała, powinno wystarczyć na jakiś czas.

– Weź to żelastwo – powiedziała Lili. – Zobaczymy później.

Ale kiedy później? Jak długo trzeba będzie się ukrywać? Nina schowała biżuterię do szuflady.

Kiedy wychodzi rozprostować nogi, zakłada kurtkę z kapturem i dżinsy. Już schudła dziesięć kilogramów. Nie musi pić, żeby wytrzymać, ani zażywać leków hormonalnych, które ją wyniszczały. Bierze tylko coś na sen, inaczej męczą ją koszmary. Lili poszła kupić jej kilka ubrań i przybory toaletowe. To ona regularnie robi jej zakupy. Od dwóch miesięcy Nina nie opuściła schroniska.

– Jakbyś ukrywała jakiegoś uciekiniera… albo przestępcę…

– Na świecie są tylko dwa dobre miejsca, jeśli chcesz zniknąć: cmentarze i schroniska. Nikt nie przychodzi tu ot tak sobie. Ludzie boją się

chorób albo pogryzienia.

Schronisko stoi między dwoma opuszczonymi budynkami, daleko od centrum La Comelle. Lili jako jedyna spędza tu cały dzień. Przed południem, od dziewiątej do trzynastej, pracuje z nią jakieś dziesięć osób. Właściwie nikt nie odwiedza schroniska bez uprzedzenia. Ci, którzy podrzucają psy albo miot kociąt, robią to z opuszczonymi głowami, jak złodzieje, więc nie ma ryzyka, że powiedzą komuś o zakapturzonej postaci przemykającej między klatkami… Nikt nie wie, kto przebywa w schronisku.

Trzeba tylko uważać na dwóch strażników miejskich, gdy przynoszą bezdomne zwierzęta znalezione na ulicy. Nie wolno na nich wpaść.

O trzynastej, gdy wszyscy już sobie idą i słychać ostatni samochód odjeżdżający z parkingu, Nina wychodzi, przechodzi od klatki do klatki, głaszcze zwierzęta i z nimi rozmawia. Teraz, kiedy już ją znają, cieszą się na jej widok, nie boją się. Jest jedną z nich. Nie widzą różnicy.

Jest grudzień 2000 roku, w schronisku przebywają trzydzieści dwa psy i czterdzieści dziewięć kotów. Po przywitaniu się z każdym zwierzakiem Nina idzie do biura i razem z Lili je kanapkę. W czasie przerwy obiadowej schronisko jest zamknięte. Mają spokój, gadają jak stare przyjaciółki, wymieniają się nowinami ze swoich światów.

– Dlaczego to dla mnie robisz, Lili?

– A dlaczego nie?

74

27 grudnia 2017

– Znam na pamięć całe fragmenty *Bieli hiszpańskiej* – oznajmia Nina.

Leżymy obok siebie na wielkim łóżku, obejrzeliśmy dwa odcinki serialu *Breaking Bad*. Uwielbiam go! Nina mniej.

Wróciłam na moje jednoosobowe łóżko. W gruncie rzeczy od dzieciństwa powinnam spać na podwójnym.

Ten fragment wybiera Nina, żeby udowodnić, że zna moją powieść na pamięć. Zaczyna recytować. W mroku jej głos przeszywa mnie jak sztylet.

> *Ona. Kiedy ją pytam: „Jak chciałabyś się nazywać w mojej powieści?”, odpowiada: „Angélique”. On się z niej śmieje: „Ale jesteś banalna!”. Kiedy pytam jego: „A ty jak chciałbyś się nazywać?”, odpowiada: „Kurt, jak Cobain”. Ona nic nie mówi, tylko się uśmiecha. To wystarczy. Tak właśnie żyje Angélique, tym „wystarczy”. A ja tym jej „wystarczy” cały czas się żywię.*

Nina przerywa. Jakby miała książkę przed oczami i przewracała kartki, jedną, drugą… Wraca do lektury.

Uwielbiam patrzeć na nich, jak tańczą, chodzą, jak się ruszają. Na obserwowaniu niektórych można by spędzić całe życie. To nie ich wina, nic nie zrobili, niczego nie sprowokowali. Tym się różnią od pozostałych. Do dziś nie rozumiem, dlaczego zwrócili na mnie uwagę. Nasze nazwiska zaczynają się na tę samą literę. Podczas apelu w szkole wyczytuje się je jedno po drugim. Dzięki temu alfabetycznemu przypadkowi lub z jego powodu Angélique bierze nas za ręce. Chłopiec, ona, chłopiec. Jak trzy fragmenty układanki, które do siebie pasują. Zwykła kolej rzeczy. Z Angélique jesteśmy jak sklejeni. Ona tak ładnie pachnie. Znam jej zapach na pamięć. Mieszanka migdałowego mydła i balsamu dla niemowląt. Zostawia ten balsam na ubraniach, ja je podkradam, a potem oddaję. „Masz, zostawiłaś u mnie". Kiedy ma jedenaście lat, pachnie jak wysmarowana wanilią. Chętnie bym ją zjadła. Powoli, delikatnie się zmienia, zaokrągla. Chciałabym być nią. Gdy mnie rysuje, wciąż mam nadzieję, że zobaczę dziewczynkę, którą jestem. Marzę, żeby ona ją zobaczyła. Żeby kredki pokazały jej drogę do mnie. Ona nie wie, że gdy się z nią bawię, jestem jej siostrą. Ale nigdy się nie przebieram. Nie jestem zniewieściałym chłopcem. Jestem nieudaną dziewczyną. Miała być dziewczynka, ale nie wyszła. Pech.

Nina znów milknie. Nie jestem w stanie powiedzieć słowa. Napisałam *Biel hiszpańską* bardzo dawno i nigdy do niej nie wróciłam. Ten tekst w jej ustach… Jestem oszołomiona. Étienne nic nie mówi, słyszę jego oddech. Czy boi się, że Nina zacznie recytować fragment, który wprawi go w zakłopotanie albo postawi w dwuznacznej sytuacji?

On, Kurt, jest wspaniały. Ma to coś w spojrzeniu, jakby tułaczkę, co podkreśla jego poczucie wolności, wyznacza mu trasę.

Samowystarczalna nonszalancja. Żadnych roszczeń. Kurt nigdy nie żebrze. Czuje się swobodnie wszędzie…

– Jest jeszcze wino? – pyta Étienne.

Wstaję i wlewam resztkę do jego kieliszka. Podaję mu.

– Dzięki.

Nina łapie mnie za rękę.

– Kiedy odkryłam *Biel hiszpańską*, myślałam, że umrę z żalu, że wtedy się nie domyśliłam. A potem zrozumiałam, że przecież dusza jest jedna. Czy jest w Adrienie, czy w Virginie, jesteś tą samą osobą, dusza nie ma rodzaju. Nie wybiera się ludzi, bo są chłopcem albo dziewczynką, wybiera się ludzi dla tego, co z nich emanuje.

Całuję ją w rękę i w milczeniu wracam do małego łóżka. Nie ma tu nic do dodania.

*

Musi być jakaś trzecia w nocy, a ja wciąż nie mogę zasnąć. Zapętlam się we wspomnieniach. Słucham oddechów Niny i Étienne’a, nie spałam obok nich od wieczoru panieńskiego Niny. Tej nocy pogrzebaliśmy również nasze dzieciństwo. Choć Nina już nie recytuje fragmentów mojej powieści, mam wrażenie, że wciąż ją słyszę, jak wyimaginowane echo.

Myślałam, że śpią, kiedy Étienne wstał i powiedział:

– Już tęsknię za moim dzieciakiem.

Nie widzę jego twarzy, ale wyobrażam sobie tę wielką postać przechodzącą przez pokój.

– Chcesz wracać? – pytam cicho, żeby nie obudzić Niny.

– Dokąd?

– Do Lyonu. Chcesz, żebyśmy zawrócili?

– Stąd nie ma powrotu.

– Louise mówi, że jest.

– Och, przynajmniej ty nie zaczynaj.

Słyszę, jak otwiera okienko w łazience i zapala papierosa.

– A poza tym… Wyobrażam sobie, że szczątki Clotilde zostały już odnalezione… – słyszę jego cichy głos. – Będą mi zawracać głowę. Nie chcę więcej o tym słyszeć. Nie wyobrażasz sobie, jak mi ulżyło, gdy usłyszałem, że wyłowili ten gruchot.

– Myślałam, że się bałeś.

Mija dłuższa chwila, zanim Étienne odpowie:

– Wprost przeciwnie, to był dowód, że mi się nie wydawało. Nie jestem wariatem, dobrze widziałem, jak ta kurewska landara zanurzała się w wodzie. Ile razy się zastanawiałem, czy to się zdarzyło naprawdę…

– Myślisz, że tam w środku znaleźli Clotilde? Że była tam przez tyle lat?

– Ona była zdolna do wszystkiego. Tak czy inaczej, nigdy się nie dowiem.

– Dlaczego? DNA w końcu wyjaśni tę zagadkę.

– Już mnie nie będzie na tym świecie.

Milczę.

– Zaopiekujesz się Louise?

– Tak.

– Przysięgasz?

– Przysięgam.

– Nadal jesteś na mnie zła?

– Do śmierci. Nienawidzę cię, posłużyłeś się mną, szantażowałeś mnie…

– Rozumiem. Zachowałem się jak świnia.

– Ja też… Wobec Niny.

– Dlaczego wszystko zostawiłaś? Paryż, teatr, twoje sztuki i tak dalej. Przecież wszystko tak dobrze szło!

– To było piekło. Powrót do La Comelle mnie uratował.

Étienne zamyka okno i przysiada na moim łóżku. Zamieram.

– Dlaczego sobie nigdy tego nie obcięłaś?

– Kurwa, Étienne, naprawdę, klasa! Co za delikatność!

– Cicho… Obudzisz Ninę. Przepraszam cię, wiesz, że te wszystkie historie to nie dla mnie, mam zerową inteligencję, jeśli o to chodzi.

– Masz na myśli pedalstwo? Tego słowa szukasz? Ja nie jestem homoseksualistką, Étienne, jestem kobietą.

– Jesteś facetką, która kocha moją siostrę. Więc jesteś homoseksualna.

– Nie mam ochoty z tobą o tym gadać.

– Dlaczego? Przecież zdycham, zaraz mnie nie będzie, możesz mi powiedzieć. Boisz się, tak?

– Otóż to, boję się.

– Czego?

– Szczęścia, wyzwolenia, stania się tym, kim jestem… Bo nie wiem, kim jestem.

75

Maj 2001

Pięć nominacji do Molierów za *Wspólne dzieci*, tymczasem wszystko zgarnęło *Zamyślone zwierzę* w reżyserii Richarda Kalinoskiego, autorstwa Iriny Brook. Cudowne, wspaniałe. Adrien nigdy jeszcze nie widział czegoś tak poruszającego. Do śmierci będzie pamiętał wyczyn aktorski Simona Abkariana i Corinne Jaber. Gdy wychodził z teatru de l’Oeuvre, drżały mu dłonie.

Ale mimo to ma żal do głosujących. To tak, jakby środowisko literackie odrzuciło jego sztukę. Nie może się pozbyć tej myśli, czuje gorycz. O ile łatwiej przyznać honorowe miejsce ludobójstwu Ormian niż konfliktom rodzinnym z własnego podwórka.

Po ceremonii Adrien nie bierze udziału w uroczystej kolacji na cześć nominowanych. Wraca do domu pieszo, zostawia swoich aktorów. Nawet nie wykręca się bólem głowy; mówi, że to wszystko go męczy, że woli wyjść. Nie ma ochoty gratulować laureatom.

Idzie sam ulicami Paryża, jest ciepło. Wielkimi krokami zbliża się kolejne lato. Co on będzie robił?

Od kilku tygodni pragnie Louise, i nikogo innego. Dlaczego tak myśli? Zawsze pragnął tylko jej.

Biedaku, myśli. Jak ponura jest twoja egzystencja, och, przepraszam… Biedaczko. Biedacy! Ale z was para!

Często dzwoni do Louise. Dziś wieczorem chciała mu towarzyszyć, być przy nim, włożyć ładną sukienkę. Wyjaśnił jej, że woli „utrzymać tajemnicę”.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że mam kogoś. Zrozum, Louise, wyobraź sobie, że dostaję Moliera, nikt nie może wiedzieć, że ty istniejesz!

– Że ja istnieję? Ja? Czy że TY nie istniejesz?

Rozłączyła się.

Dobrze mi tak, pomyślał.

Ale tuż przed uroczystością dostał od niej esemesa:

Powodzenia, jestem z ciebie dumna!

Odpowiedział:

Kocham cię.

Żadnej wiadomości od Niny. Do Louise też się nie odezwała. Naprawdę zniknęła. Ale nie tak jak Clotilde. Inaczej. Siedem miesięcy temu wyjechała, nikt nie wie dokąd, zostawiła tylko listy pożegnalne. Adrien odrzuca myśli o niej, jak tylko przychodzą do głowy.

W październiku po spotkaniu z Étienne’em w restauracji La Lorraine od razu zadzwonił na posterunek żandarmerii w La Comelle. Poprosił do telefonu Sébastiena Laranda, tak jak poinstruował go Étienne, „kolegę z gimnazjum, który jest tam podoficerem”.

– Adrien Bobin? Oczywiście, poznaję! No, no, stałeś się sławny! Widzieliśmy cię z żoną w programie Patricka Poivre’a d’Arvora! Bardzo nam się podobało, dobrze gadałeś! Dlaczego dzwonisz?

– Chciałem ci powiedzieć, że wieczorem tego dnia, kiedy zniknęła Clotilde Marais, byłem cały czas z Étienne’em Beaulieu.

– Taaa… Mówił mi.

– Spędziliśmy razem cały dzień. I noc. Po pogrzebie Pierre’a Beau pojechaliśmy razem nad Leśny Staw, czekaliśmy na Clotilde… Miałem zostawić ich samych, kiedy przyjdzie, ale nie przyszła. Więc wróciliśmy razem do Niny Beau i …

– Przepraszam cię, Adrien, ale dlaczego mi to wszystko opowiadasz właśnie dzisiaj?

– Żeby nie czepiać się Étienne’a, w razie gdyby go podejrzewano… I…

– To ty nie wiesz?

– Czego?

– Ktoś widział Clotilde Marais.

– Słucham?

– Jakaś kobieta, mieszkanka Chalon-sur-Saône… na wakacjach w Salvadorze… Ta kobieta jest pewna, że to była ona.

– Jak ona może być pewna? Zna ją?

– Widziała program Pradela. Dziewczyna podobna jak dwie krople wody do Clotilde Marais piła drinka, a gdy ta kobieta podeszła do niej, żeby porozmawiać, spytać, czy jest tą zaginioną dziewczyną, której zdjęcie widziała w telewizji, tamta odeszła bez słowa… Jakby złapana na gorącym uczynku… Dowód jak dowód, ale czemu nie? Tak czy inaczej, nie można wszcząć oficjalnych poszukiwań. To nie porwanie, to zniknięcie z własnej woli. Każdy robi, co chce. Dla nas sprawa jest zamknięta.

*

Wiadomość rozniosła się błyskawicznie po całym La Comelle: podobno ktoś widział Clotilde Marais w Brazylii. Emmanuel jest wściekły. A więc

ten kutas Étienne Beaulieu wykręci się sianem!

Mimo że Emmanuel tak bardzo się starał…

Gdy tylko po raz pierwszy uścisnął dłoń Étienne’a, którego Nina przedstawiła mu jako „jej drugiego najlepszego przyjaciela”, od razu go znienawidził. Étienne miał luz, którego jemu, Emmanuelowi Damamme’owi, temu wspaniałemu jedynakowi, zawsze brakowało.

Gdy witał się z Adrienem, nie poczuł niczego. Ale tamtego natychmiast znienawidził. Sposób, w jaki patrzyli na siebie z Niną, ich porozumienie… To było w dniu pogrzebu Pierre’a Beau. Nina nie puszczała rąk obu przyjaciół. Ale to jej ręka ściskająca dłoń Étienne’a wzbudziła w Emmanuelu szczególny wstręt.

Po ceremonii nie poszedł na cmentarz, poznał Ninę zaledwie kilka dni wcześniej, to nie było miejsce dla niego. Dołączy do niej później, na poczęstunku u państwa Beaulieu.

Wyszedł z kościoła z rodzicami, ojciec odwiózł go do firmy. Emmanuel usiadł za biurkiem. Siedział tak kilka minut, nie umiał się skupić, patrzył bezmyślnie w dal. Potem wziął służbowy samochód – jego auto za bardzo zwracało uwagę – i pojechał za nimi. Podczepić się do orszaku żałobnego.

Podjechał pod kościół. Karawan jeszcze stał.

Na cmentarzu trzymał się z daleka. Było straszliwie gorąco. Schował się pod drzewem, obserwował Ninę i jej dwóch przyjaciół; byli jak sklejeni. Trzy sylwetki, jeden cień. Poczekał, aż wszyscy pójdą, zanim wrócił do samochodu. Wpadł do domu, wziął prysznic, przebrał się i pojechał do państwa Beaulieu. Gdy tylko wszedł, ujrzał Ninę siedzącą na kanapie, z zagubionym wzrokiem; jej cholerna dłoń wciąż tkwiła w dłoni Étienne’a. Obok siedziała Clotilde Marais. Ładna blondynka o smutnych oczach. Gapiła się na Étienne’a, który nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Gdy Emmanuel podszedł do Niny, ledwo na niego spojrzała. W tym momencie zrozumiał, że ją stracił. Że ona wyjedzie, że cokolwiek by zrobił, nie zatrzyma jej. Zaczął rozmawiać z Marie-Laure, pijąc drinka. Cóż mógł powiedzieć o zmarłym? Wszyscy wokół niego mówili tylko o nim. „Porządny listonosz”, nie znał go. Okropne, że rozjechała go ciężarówka ich firmy. Nina z pewnością będzie miała o to do niego żal. Podszedł do niej. Pocałował ją we włosy; pachniała potem i szamponem kokosowym. Miał ochotę przewrócić ją na kanapę i przelecieć tu i teraz.

Był załatwiony. Śmiertelnie się zakochał.

– To do wieczora – wyszeptał. – Może do mnie zadzwonisz…

– Tak.

„Tak” rzucone w przestrzeń, jakby mówiła do wiatru.

Wyszedł stamtąd wykończony.

Nie był w stanie odjechać, czekał. Na co?

Najpierw zobaczył, jak Nina wychodzi i wraca do siebie, sama. Szła uliczkami ze schyloną głową, smutna. Szła szybko, jakby chciała uciec od własnego życia.

Ostrożnie jechał za nią. Nie może go zauważyć. Gdy znalazł się w pobliżu jej domu, zaparkował auto na równoległej uliczce, wyłączył silnik.

Bobin i Beaulieu przyszli jakąś godzinę po niej.

Emmanuel siedział w samochodzie przez całe popołudnie, szyby miał opuszczone; nie miał odwagi włączyć silnika i wrócić do siebie.

Gdzieś koło osiemnastej, może dziewiętnastej, Étienne Beaulieu wyszedł z domu dziadka Niny sam. Emmanuel jak ktoś, kto stracił rozum, ruszył za nim. Trzymał się z daleka. W przeciwieństwie do Niny Étienne szedł powoli, aż dotarł do swojego domu. Zniknął w środku. Po pięciu minutach zjawił się znowu. Wsiadł na motocykl.

Emmanuel pomyślał, że najwyższy czas wrócić do siebie. Mógłby popływać w basenie. Zrobić cokolwiek. Pomyślał, że zachowuje się jak idiota. Ma na sobie przepoconą koszulę, jest mu niedobrze, a wszystko z powodu wkurzającej osiemnastolatki. Chwastu dorastającego w dzielnicy robotniczej.

Już skręcał w kierunku Zamku, ale zawrócił i pojechał za Étienne'em. Przez chwilę chciał go rozjechać. Wystarczyłoby wcisnąć gaz i rozgniótłby przystojniaczka. Poza tym to auto firmy. Nikt by nie zauważył wgniecenia czy kilku rys.

Co ciekawe, Beaulieu skręcił w przeciwnym kierunku niż dom dziadka Niny, pojechał nad Leśny Staw.

*

Już od siedmiu miesięcy Nina ukrywa się w schronisku w La Comelle. Dni mijają jej szybko. To życie w odosobnieniu prawie ją uszczęśliwia. Do trzynastej, dopóki personel nie wyjdzie, siedzi u siebie w mieszkanku. Spędza czas na pracy – wyrabia różne przedmioty, które potem są sprzedawane podczas dni otwartych odbywających się raz w miesiącu, w soboty. Robi kolaże, które oprawia w ramki, świeczniki, bransoletki, mozaiki, malunki na fajansie.

Lili jest zachwycona jej obrazkami. Nina zbywa ten temat; mówi, że jako dziecko brała lekcje rysunku. Nie dotyka już węgla ani kredek świecowych. Gdyby Emmanuel przypadkiem zobaczył jakiś jej szkic, rozpoznałby go i znalazł ją. Po nitce do kłębka.

Podczas dni otwartych ludzie mogą przynieść karmę, wpłacić pieniądze, podarować koce, środki czyszczące, worki na śmieci. Piją kawę z pracownikami, poznają zwierzęta przeznaczone do adopcji. Wyroby Niny wystawione są przy wejściu i większość przedmiotów znajduje kupców.

Ludzie zachwycają się: co za piękne dekoracje! Jest na nie coraz więcej amatorów, co przekłada się na coraz większy dopływ gotówki. A kiedy klienci pytają Lili, skąd pochodzą te przedmioty, ona odpowiada niezmiennie: „Ze szkół plastycznych, z którymi współpracujemy”.

Dni robią się coraz dłuższe. Pole, które Nina widzi ze swojego mieszkanka, powoli zmieniającego się w pracownię, jest teraz zupełnie inne. Drzewa odzyskały liście, przestrzeń jak okiem sięgnąć jest żółta od kwitnących mleczy. Zdarza się, że koło piętnastej Nina wystawia krzesło obok klatek i pół godziny wygrzewa się na słońcu albo siada na ławce w części kociej. Pomaga Lili w pielęgnacji, leczeniu, myciu i czesaniu zwierząt.

Czasem po zapadnięciu zmroku Lili zabiera ją na przejażdżkę do centrum La Comelle, kiedy w sklepach zaciągnięto już żaluzje. Tak tylko, żeby wyjść ze schroniska. Nina ma wrażenie, że nie żyje i na czas przejażdżki samochodem wraca pomiędzy żywych jak duch.

76

27 grudnia 2017

Romain zamyka książkę. Nie może się skupić. Myśli o niej.

A dokładniej o nich, o obu kobietach.

Dobro i zło mieszają mu się w głowie.

Wczoraj przez telefon Nina była chłodna. Dlaczego istnieją osoby, które spotkało się przed chwilą, a ma się wrażenie, że się je dobrze zna?

Powiedziała, że są w jakimś pensjonacie we Włoszech, wszyscy troje razem, w jednym pokoju, jak wtedy, kiedy byli dziećmi, i że ona dzieli łóżko z Étienne’em.

Głos Niny był zagłuszany przez włączony telewizor. Romain musiał prosić ją o powtarzanie niektórych zdań, co chyba ją irytowało. Tak jak uczniów denerwuje stary profesor, który niedosłyszy.

Romain egoistycznie ma nadzieję, że Nina szybko wróci. Że ta podróż nie będzie trwała w nieskończoność.

Tuż przed zakończeniem rozmowy szepnęła:

– Ach, przypomniało mi się, nigdy nie mówiłeś, dlaczego przenieśli cię z Marnes-la-Coquette do La Comelle…

Romain znów nie zrozumiał albo nie chciał zrozumieć, co powiedziała. Poprosił, żeby powtórzyła.

– Dlaczego przeniesiono cię do La Comelle? Dlaczego wyjechałeś z Marnes? – powtórzyła głośno Nina.

Tym razem usłyszał doskonale. Czy to było pytanie, czy insynuacja? Tak go to zaskoczyło, że nie wiedział, co odpowiedzieć. Nastąpiła długa cisza. Chciał się rozłączyć. Poczuł się brudny. Nie ma nic gorszego niż bycie skazanym bez sądu. Straszne uczucie, że ludzie już nigdy nie będą postrzegać cię tak jak przedtem. Paranoja, która przykleja się do skóry i ciągnie za człowiekiem jak cień.

Po długiej przerwie powiedział:

– Nic ci na ten temat nie mówiłem, bo w ogóle nie mam ochoty o tym mówić. – Teraz on zaczął zachowywać się z dystansem. Potem wymienili kilka banałów na temat pogody, samochodu, że nie pali dużo, i Nina się rozłączyła. Romain natychmiast tego pożałował. Powinien był ją uspokoić. Nie odpowiadać głupotą na głupotę. Ponieważ po raz pierwszy Nina zachowała się jak idiotka. Jak mogła okazać się taka sama jak inni?

Nie, oczywiście, że nie jest taka sama jak inni.

Natychmiast zadzwonił drugi raz.

Nina patrzyła na swoje rozwiązane adidasy na tym brzydkim dywanie o spranych kolorach. Zastanawiała się, jak mogła okazać się taka głupia podczas rozmowy z Romainem. Gdy zadzwonił telefon, wiedziała, że to on. Wiedziała albo miała nadzieję. Odebrała natychmiast.

Romain nigdy nie zapomni wyjazdu z Marnes, ale teraz mniej o tym myśli. Wczorajsze pytanie Niny pogrążyło go z powrotem w tym, co przeżył jako ogromne nieszczęście. Do dziś nie wie, jak się z tego podźwignął.

Nazywała się Rebecca, jak bohaterka powieści Daphne du Maurier. Może to było ostrzeżenie?

Rebecca Lalo. Przyjaciele nazywali ją Becca.

Romain znał ją po prostu tak jak wszystkich uczniów szkoły, którą kierował. Co trymestr dyskutowali w pokoju nauczycielskim o ich przyszłości, wyborach, rezultatach w nauce. Kiedy nowy uczeń przychodził do pierwszej klasy, Romain potrzebował paru miesięcy, żeby zacząć go rozpoznawać. Pod koniec roku znał już wszystkich i od drugiej do czwartej gimnazjalnej mówił do każdego po imieniu. Romain nie był surowym dyrektorem, ale chciał, żeby go szanowano. Ponieważ był dość młody, starał się zaznaczyć wyraźną granicę; nie mogli myśleć, że jest ich kolegą. Zdarzało mu się zdenerwować na ucznia, nie raz wyprowadziło go z równowagi zachowanie, które uważał za niestosowne. Wszyscy wiedzieli, że może się rozgniewać, podnieść głos, uderzyć pięścią w stół, żeby wymóc posłuch.

Rebecca Lalo była w trzeciej klasie gimnazjum. W czasie trzeciego trymestru 2014 roku, konkretnie ósmego kwietnia, wpadła do jego gabinetu. Uczniowie rzadko wchodzili tu z własnej woli. Tylko gdy byli wezwani, z rodzicami albo z którymś nauczycielem. Zwykłe problemy rozwiązywali wychowawcy, nigdy dyrektor. Już na progu Rebecca oświadczyła:

– W zeszły weekend przespał się pan z moją matką. Z tą ładną zgrabną blondynką, którą pan poderwał w Dickensie. To moja stara. Widziałam was. Spędziła noc u pana w domu.

Pierwszy raz w życiu uczeń tak zaskoczył Romaina. Zatkało go.

– Jeśli nie da mi pan tysiąca euro, wszystkim o tym powiem.

To ostatnie jeszcze bardziej go oszołomiło. Potem wybuchnął śmiechem, śmiechem sarkastycznym.

– Coś takiego! To chyba sen!

– Nie sen, tylko koszmar. Moja matka ma męża. Jeśli powiem o tym ojcu, nie tylko straci pan reputację, ale też będzie pan skończony!

Romain nigdy nie dał się zmanipulować ani zastraszyć. Te ostatnie słowa postawiły go na nogi.

– Może ci się to nie podobać, moja panno, ale moje życie prywatne, jak sama nazwa wskazuje, jest prywatne. Zapomnę o tej rozmowie i o próbie szantażu. Natychmiast wyjdziesz z mojego gabinetu. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy, nigdy się nie spotkaliśmy, nic się nie stało, zrozumiano? I w twoim interesie jest mnie posłuchać!

– To znaczy? – spytała prowokacyjnie, nie ukrywając bezczelnego uśmieszku.

– To znaczy, że to, co się wydarzyło teraz w tych czterech ścianach, nie miało miejsca. Dla twojego dobra. Jeśli nie…

– Jeśli nie, to co?

– Zrobię wszystko, żebyś odwołała te słowa raz na zawsze.

Rebecca zaczęła szlochać. Krokodyle łzy, które jeszcze bardziej wyprowadziły Romaina z równowagi. Po raz pierwszy w całej swojej karierze naprawdę miał ochotę wymierzyć uczniowi porządny policzek.

– A jeśli to rozgadam, to co się stanie? – wyszeptała.

– Twoje słowo przeciwko mojemu. I wylecisz ze szkoły natychmiast, za niesubordynację, skandaliczne zachowanie i próbę szantażu.

Rebecca porządnie się rozryczała.

– Nie, panie dyrektorze… – wyjęczała. – Błagam pana…

– Panno Lalo, niech pani przestanie się wygłupiać. Bo się naprawdę zdenerwuję. Co to za komedia?! Dość tego! Proszę natychmiast stąd wyjść!

Rebecca popatrzyła na niego błagalnie.

– Jeśli nic nikomu nie powiem, zostawi mnie pan w spokoju? Nie wyrzuci mnie pan ze szkoły?

– Oczywiście, że nie.

– Obiecuje pan?

– Tak. A teraz znikaj.

– Nigdy nikomu pan nie powie, co się tu stało?

– Proszę wyjść!

W tym momencie Rebecca rzuciła się na niego i pocałowała go w usta. Romain chwycił ją za ramiona i odepchnął; Rebecca nie starała się utrzymać równowagi, tylko upadła na podłogę, potrącając głową biurko. Od razu wstała, z nosa leciały jej smarki pomieszane z krwią.

– Boże święty! – jęknął.

– Do widzenia panu, nic nie powiem.

Romain chciał za nią pójść i zaprowadzić do higienistki. Ale zrezygnował i usiadł; był w szoku.

Do gabinetu wszedł jego zastępca i spanikowany, zapytał, co się stało. Zobaczył uczennicę, która wychodziła zapłakana i zakrwawiona. „Nie ma o czym mówić!”, powiedział Romain sucho. Zastępca nie naciskał, ale rzucił mu podejrzliwe spojrzenie. Pierwsze z długiej serii.

Matka Rebekki Lalo… Romain doskonale ją pamiętał. Nazywała się Sylvie. „Ale wszyscy mówią mi Syl”. Rzeczywiście spotkał ją w Dickensie. Bardzo dużo wypili, spędzili razem noc. Skąd mógł wiedzieć, że była matką uczennicy z jego szkoły? Znalazł jej numer w komórce. Imię: *Syl*. Nazwisko: *Piwo*.

Zadzwonił do niej i wszystko opowiedział. Wpadła w panikę. Kazała mu obiecać, że nigdy nikomu nie powie, że spędzili razem noc. Romain obiecał.

Następnego dnia wezwano go na policję i zaczęła się długa droga do piekła.

NAGRANIE DOSTARCZONE WŁADZOM

REBECCA LALO: Jeśli powiem o tym ojcu, nie tylko straci pan reputację, ale też będzie pan skończony.

ROMAIN GRIMALDI: Może ci się to nie podobać, moja panno, ale moje życie prywatne, jak sama nazwa wskazuje, jest prywatne. Zapomnę o tej rozmowie i o próbie szantażu. Natychmiast wyjdziesz z mojego gabinetu. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy, nigdy się nie spotkaliśmy, nic się nie stało, zrozumiano? I w twoim interesie jest mnie posłuchać!

REBECCA LALO: To znaczy?

ROMAIN GRIMALDI: To znaczy, że to, co się wydarzyło teraz w tych czterech ścianach, nie miało miejsca. Dla twojego dobra. Jeśli nie…

REBECCA LALO: Jeśli nie, to co?

ROMAIN GRIMALDI: Zrobię wszystko, żebyś odwołała te słowa raz na zawsze.

Płacz Rebekki Lalo.

REBECCA LALO: A jeśli to rozgadam, to co się stanie?

ROMAIN GRIMALDI: Twoje słowo przeciwko mojemu. I wylecisz ze szkoły natychmiast za niesubordynację, skandaliczne zachowanie i próbę szantażu.

Płacz Rebekki Lalo.

REBECCA LALO: Nie, panie dyrektorze, błagam pana.

ROMAIN GRIMALDI: Panno Lalo, niech pani przestanie się wygłupiać. Bo się naprawdę zdenerwuję. Co to za komedia?! Dość tego! Proszę natychmiast stąd wyjść!

REBECCA LALO: Jeśli nic nikomu nie powiem, zostawi mnie pan w spokoju? Nie wyrzuci mnie pan ze szkoły?

ROMAIN GRIMALDI: Oczywiście, że nie.

REBECCA LALO: Obiecuje pan?

ROMAIN GRIMALDI: Tak. A teraz znikaj.

REBECCA LALO: Nigdy nikomu pan nie powie, co się tu stało?

ROMAIN GRIMALDI: Proszę wyjść!

Odgłosy walki.

ROMAIN GRIMALDI: Boże święty!

REBECCA LALO: Do widzenia panu, nic nie powiem.

Dziewczyna nagrała wszystko smartfonem, z wyjątkiem początku rozmowy. Zjawiła się z urazem głowy, powiedziała na policji, że dyrektor szkoły zalecał się do niej i zachował się w stosunku do niej nieprzyzwoicie. Zagroziła, że to ujawni, wtedy on się na nią rzucił i zaczął ją bić. Bała się go i dlatego wszystko nagrała, na wszelki wypadek, gdyby spotkanie miało stać się dla niej niebezpieczne.

Romain wysłuchał oskarżenia w milczeniu.

Wszystko to było jego winą. Powinien wtedy zachować spokój. Powinien zaprowadzić ją do higienistki, powinien cały czas pamiętać, że ona ma czternaście lat, powinien wiedzieć, że to trudny wiek, powinien…

Nie czekał, aż go zwolnią, sam wysłał list z rezygnacją. Całe tygodnie siedział w domu za zamkniętymi okiennicami. Posiłki zamawiał. Nie odpowiadał na telefony.

Aż do dnia, kiedy na początku czerwca zjawili się u niego rodzice. Otworzyli wszystkie okna. „Dwadzieścia godzin w samolocie po to, żeby przewietrzyć mi mieszkanie”, powiedział ze łzami.

Dowiedział się, że Rebecca odwołała swoje zeznania. Został oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Ale za późno. W Marnes-la-Coquette był skończony. Nigdy nie przekroczy progu tego gimnazjum. Nie był w stanie nawet normalnie kupić pieczywa, natychmiast robił się czerwony i trzęsły mu się ręce.

Cały czas miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą, że się go boją.

Mimo że sprawa została umorzona, zżerał go wstyd, zaraza, przez którą ma się ochotę jedynie zgasnąć i zniknąć.

Fakt, że dziewczyna odwołała zeznania, bardziej go przygnębiał, niż przynosił ulgę. Bo rzeczywiście ta nastolatka okazała się od niego silniejsza. Dała mu dobrą lekcję. Zaczął wpadać w otchłań. Ogarnęła go przerażająca obojętność. Wstawał z łóżka tylko do toalety. W końcu za namową starych kumpli poszedł do szpitala, wlewy leków antydepresyjnych. Życie uratowała mu profesorka, pani psychiatra, która zmusiła go do mówienia. Dlaczego obwiniał się aż tak, że chciał umrzeć?

Jeszcze dziś Romain jest przekonany, że wszystko stało się z jego winy. Że nie miał prawa tak zareagować wobec czternastoletniego dziecka.

Powoli wróciła mu jednak chęć do życia. Nauczył się z powrotem jeść, chodzić, polubił znowu zapach herbaty i kawy, ciastka. Zaczął jeździć na rowerze, robić zakupy, słuchać muzyki. Nabrał ochoty na kino, na popcorn, na wizyty w księgarni. Długo się wahał, czy powinien wrócić do szkoły. Zmierzyć się z codziennością dyrektora. Patrzeć dzieciom w oczy i nie widzieć wlepionych w niego oczu Rebekki, gdy wstawała z podłogi z zakrwawioną twarzą.

Był złym dyrektorem, młodym, zbyt pewnym siebie. Myślał, że poprowadzi wychowanków, że pomoże im, bo zna wielkie teorie humanistyczne. A gdy znalazł się w niezręcznej sytuacji, upadł.

W Burgundii otwierała się jakaś nowa szkoła, kompletowano zespół nauczycielski. Jeden z przyjaciół zachęcił go do wysłania aplikacji. „Romain, jesteś stworzony do tej pracy. Zgódź się, przestań się bać”.

Romain opowiedział to wszystko Ninie przez telefon. Zanim się rozłączyła, powiedziała: „Dziękuję, że mi zaufałeś. Dziękuję, że powiedziałeś mi prawdę. Dziękuję, że przyszedłeś do schroniska po Boba”.

77

Gdybym była sobą
Nie bałabym się
Ani stron do zapisania
Ani znalezienia słów
Ale puszczam swoją dłoń
Oddalam się od siebie
I rano widzę
Że stoję na złym torze
Gdy człowiek gubi się w drodze
Jak pokonać nieludzkie przeszkody
Żeby móc wrócić do siebie
Gdybym była sobą
Nie bałabym się
Ani kobiety, którą jestem
Ani nawet mężczyzny w moim łóżku
Gdybym była sobą
Nie bałabym się niczego, co mi leży na sercu
Ani najgorszego, ani najlepszego
*Nie bałabym się…**

Listopad 2001

Jest ich ośmioro. Siedzą przy ładnie nakrytym stole. Filet z dorsza ze szparagami. Dyskutują o przemowie Tony’ego Blaira na temat przyszłości Europy. W tle rozbrzmiewa ta piosenka, nowa dla Adriena. Zaczyna słyszeć jej słowa głośniej niż rozmowę przy stole, mimo że piosenka leci bardzo cicho. Słucha już tylko ich. Im bardziej skupia się na ich treści, tym powolniejsze stają się jego gesty. W końcu zamierają. Adrien nieruchomieje. Ktoś pyta:

– Adrien, jak się czujesz?

Wstaje i mówi:

– Nie jestem Adrien.

Zdumienie wśród biesiadników.

– Mam na imię Virginie.

Nikt nie rozumie. Wszyscy milczą. Nikt nie próbuje się roześmiać. Adrien pyta pani domu:

– Co to za piosenka?

– Jaka piosenka?

– Ta, którą przed chwilą słyszałem.

– Nie zwróciłam uwagi.

Gdy uświadamia sobie, co przed chwilą powiedział, i widzi, jak wszyscy na niego patrzą, wszyscy ci, przed którymi od dzieciństwa ucieka, mdleje.

Budzi się na noszach.

– Proszę pana, jest pan w szpitalu Saint-Louis, zasłabł pan – słyszy. – Osoby, które nas wezwały, twierdziły, że zaczął pan majaczyć i stracił pan przytomność. Przeprowadzimy badania neurologiczne, zgadza się pan?

– Tak.

– Najpierw musimy sprawdzić kilka rzeczy… Który mamy rok?

– Dwa tysiące pierwszy.

– Jaki miesiąc?

– Listopad.

– Jak się pan nazywa?

– Adrien Bobin.

– Data urodzenia?

– Dwudziesty kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego.

– Doskonale.

*

27 grudnia 2017

– Po wyjściu ze szpitala Saint-Louis wsiadłam do pociągu i na zawsze wyjechałam z Paryża. Nie widziałam się z nikim. Miałam kontakt tylko z moim wydawcą i przyjacielem, Fabienem Désérable’em. On zajął się sprzedażą mojego mieszkania.

Nina i Étienne patrzą na mnie. W bladym porannym świetle wyglądają przepięknie. Podaję im moje życie na tacy, małymi fragmentami. To życie, o którym nigdy nie mieli pojęcia. Życie po nas trojgu.

Moje życie po nich.

Siedzimy w barze pod wielkim oknem na stacji benzynowej na trasie Genua–Florencja. Nina zanurza w kawie rogalik z czekoladą, Étienne nie jest głodny i zmusza się do wypicia espresso. Dziwne miejsce na spowiedź.

Nina otwiera szeroko swoje piękne ciemne oczy.

– Opuściłaś nas z powodu piosenki?

– Dzięki piosence. Miałam już dość okłamywania wszystkich. Począwszy od siebie… W gruncie rzeczy *Biel hiszpańska* nie przydała mi się do niczego. Myślałam, że gdy wszystko opiszę, ozdrowieję… Ale z czego miałam ozdrowieć? Nie jestem chora. Urodziłam się w złym ciele.

– I co robiłaś przez ten cały czas? – pyta Étienne.

– Podróżowałam. Wróciłam do Francji na Boże Narodzenie, spotkałam się z Louise w Hotelu Podróżnika. Potem miałam już dość. Ciągłe podróżowanie oznacza ucieczkę. W końcu kupiłam dom w La Comelle.

– Dlaczego akurat w La Comelle? – dziwi się Étienne, jakby ten wybór brzmiał jak pierwszorzędny pogrzeb.

– Nina… Louise… Moja lipa…

– Dlaczego ja? – pyta Nina. – Przecież od wieków nie rozmawiałyśmy.

– To, że się nie rozmawia, nie znaczy, że się nie wie, że ta bliska osoba jest tuż obok.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam prawdy? – ośmiela się zapytać Nina.

– Jakiej prawdy?

– Nie wymiguj się. Przyznaj, że mimo wszystko nam nie ufałaś.

– Przede wszystkim nie ufałam sobie.

Nina spuszcza wzrok, patrzy na kubek z kawą.

Étienne krzywi się.

– Okropna ta kawa… dlaczego Virginie? Czemu nie Simone albo Julia? – pyta.

– Jest jakieś połączenie między tym imieniem a kobietą we mnie. Virginie to moja tożsamość. Mogę zmienić jej wygląd, ale nie jej tożsamość. Kiedy przyjechałam do Paryża, opisałam ją w *Bieli hiszpańskiej*. Swój wygląd mogę zmienić każdego dnia, każdej godziny,

każdej minuty. Jak te gry dla dzieci, gdzie można wymieniać sylwetkę i głowę. Tak się do tego przyzwyczaiłam… to zresztą fatalne przyzwyczajenie… że jestem przerażona perspektywą definitywnej zmiany. Dziś, mając czterdzieści jeden lat, jestem wysoką brunetką i noszę grzywkę.

Étienne patrzy na mnie tak, jak patrzy się na wariatów. Stara się zachować niewzruszoną minę. Ale w jego oczach odbija się to szaleństwo, które według niego mną zawładnęło. Wariatka. Obłąkana. Ponownie uświadamiam sobie, dlaczego nigdy nikomu nie mówiłam. Jako dziecko nie dałabym rady tego znieść, nie miałam żadnej obrony.

– Kochasz się z moją siostrą?

– Pomidor. Nie odpowiem nigdy na to pytanie, Étienne. Zwłaszcza tobie.

Nina uśmiecha się. Łagodny uśmiech. Jaka ona jest piękna, gdy wpuszcza do siebie promień światła!

– Dla wszystkich jestem Adrienem. Dla siebie Virginie.

Nina bierze mnie za rękę. Sądzę, że nie trzymałam jej dłoni w swojej od czasu pogrzebu mamy. Myśl o mamie mnie załamuje. Zaczynam płakać. Nina mnie obejmuje.

– Cierpię przez siebie. Przez strach przed transformacją, zmianą ciała.

– Czego się boisz?

– Nie boję się. Jestem przerażona, gdy pomyślę, że zobaczę się w lustrze prawdziwa. Louise próbowała wszystkiego. Przedstawiła mi najlepszych specjalistów. Ale są osoby, które żałują, że to zrobiły. Chirurgiczna zmiana płci jest nieodwracalna. Hormony, usunięcie penisa, całe to późniejsze łatanie, implanty piersi. Góra nie do pokonania. A poza tym jest jeszcze coś…

– Co?

– Nie interesują mnie kobiece stroje, sukienki, makijaż, obcasy…

– Mnie też nie – mówi Nina. – To nie przeszkadza w byciu kobietą.

– Wyrosłam w pewnym schemacie: urodziłam się jako dziewczynka w ciele chłopca. I przetrwałam tak już czterdzieści jeden lat. Możliwe, że gdybym zabiła Adriena, zabiłabym Virginie. Tak jak u bliźniąt syjamskich. Jak jedno umiera, drugie też.

– Jesteś kobietą, której nie pociągają stereotypowe atrybuty kobiecości – mówi Nina. – Sukienki, obcasy, makijaż… Ale jakie to ma znaczenie? Nie to określa człowieka. Takie szufladkowanie już nie ma sensu.

Zapada długa cisza. W końcu znów przerywa ją Nina.

– W *Bieli hiszpańskiej* postać, którą stworzyłaś, poddaje się operacji. Zmierza do celu. To historia uwolnienia się. Nie chcesz uwolnić się od Adriena? Tak bardzo podobał mi się fragment, gdy twoja bohaterka idzie ulicą w swoim nowym ciele… *Wszystko się zmieniło. Nic się nie zmieniło. Tak samo widzę to, co mnie otacza, to inni po raz pierwszy zwracają się do mnie inaczej. Urodziłam się na nowo w wieku lat dwudziestu…* To piękne, daje tyle nadziei. Kiedy wróciłaś do La Comelle, kiedy mijałam cię samochodem, nie mogłam zrozumieć, dlaczego wciąż jesteś Adrienem.

– *Biel hiszpańska* to powieść. Powieść to tekst, w którym opisuje się to, czego nie jest się w stanie zrobić w prawdziwym życiu.

– Nie tylko… – upiera się Nina.

– A moja siostra? – pyta Étienne. – Co ona o tym myśli?

– Że to normalne wahać się, mieć wątpliwości. Ale to, że się boję, nie znaczy, że mam rację. Louise uważa, że jestem jak ptak w klatce, którego trzeba uwolnić.

– Kiedy myślisz o sobie, myślisz o kobiecie czy o mężczyźnie? – pyta Nina.

– O kobiecie.

– Pierwszy raz mówisz nam o sobie. To znaczy… pierwszy raz naprawdę. A znamy się już trzydzieści jeden lat. Chociaż tyle.

– Tak, chociaż tyle.

Wychodzimy ze stacji na zewnątrz, na parking. Nina w środku, Étienne po lewej, ja po prawej. Ona trzyma nas za ręce. Niebo jest czyste, jasnoniebieskie.

– Zatrzymujemy się we Florencji? – pytam.

– Wolałbym spędzić noc w Neapolu – odpowiada Étienne. – Ale jeśli Nina będzie prowadzić, nie dojedziemy tam wcześniej niż jutro rano. Będę musiał zmieniać ją za kierownicą. Tak się umawialiśmy.

– Do Neapolu jest około sześciuset kilometrów – mówię.

– Dobrze, Étienne, ty prowadzisz. Ale zatrzymujemy się co dwie godziny na odpoczynek, tak jak się umawialiśmy.

– Dobrze, mamo.

– Jak się czujesz? – pytam.

– Szczerze mówiąc, jak na faceta, który ma odwalić kitę, całkiem nieźle.

---

* Zazie, *Si j’étais moi*.

78

1 stycznia 2003

Wczorajszy wieczór spędził z przyjaciółmi z Lyonu. Przyjechali do niego na sylwestra. Oni go nie zostawili, w przeciwieństwie do tej brudnej, żmijowatej dziwki.

Wszyscy jeszcze śpią, na piętrze i w domkach gościnnych. Tu i tam walają się puste butelki po szampanie, chociaż Nathalie, zanim poszła do siebie, sprzątnęła po kolacji. Ale goście witali nowy rok do białego rana.

Jest dopiero ósma. Emmanuel nie zmrużył oka przez całą noc. Siedzi na kanapie z filiżanką kawy w ręce i myśli.

Nina zniknęła dwadzieścia sześć miesięcy temu. Stracił nadzieję, że kiedykolwiek ją odnajdzie.

Odwiedzał nawet wróżki i jasnowidzów. Wahadełko, karty, szklana kula, próbował wszystkiego, wszystko już usłyszał. Że Nina nie żyje, jest pochowana w Puy-de-Dôme. Że ukrywa się w Irlandii, konkretnie w Cork. Emmanuel udał się pod ten adres, lecz nikt tam jej nigdy nie widział. Ostatnia osoba, której się radził, rzekomo słynna astrolożka, powiedziała, że Nina jest tak blisko La Comelle, „w promieniu najwyżej trzech, czterech kilometrów”, że ona wręcz czuje jej zapach. Szarlatani gotowi wydusić z niego ostatnie pieniądze w zamian za absurdalne informacje.

Nie ma nadziei.

Nina nigdy nie wróci. Zresztą czemu miałaby wrócić? Do tej dziury?

Chyba że…

Chyba że uzna, że z jego strony już nic jej nie grozi.

Jest bardzo przywiązana do Marie-Laure Beaulieu. Jeśli się dowie, że Emmanuel wyjechał, może zakradnie się tu na palcach, żeby odwiedzić mamę Étienne’a.

A wtedy on ją przyłapie.

Uśmiecha się do siebie.

Dzwoni do rodziców do Maroka. Po pięciu sygnałach odbiera Gé.

– Halo?

– Szczęśliwego nowego roku, mamo.

Matka brzmi, jakby dopiero się obudziła. Ma dziwny głos, myśli Emmanuel.

– I nawzajem, kochanie – odpowiada w końcu matka.

– Nina do ciebie dzwoniła?

– Nie… Oczywiście, że nie.

– Przysięgasz?

– Przysięgam.

– Na moją głowę?

– Na twoją głowę.

– Powtórz: przysięgam na twoją głowę.

– Przysięgam na twoją głowę.

– Powiedz całe zdanie: Przysięgam na twoją głowę, że nie mam żadnych wiadomości od Niny.

– Przysięgam na twoją głowę, że Nina nie dzwoniła. I że nie mam od niej żadnych wiadomości.

– Tata jest gdzieś blisko?

– Tak.

– Słyszy mnie?

– Zaczekaj, dam ci go.

– Podjąłem decyzję. Opuszczam Francję. Sprzedaję firmę.

*

Kilka minut później Gé wolnym krokiem spaceruje po ogrodzie otaczającym riad. Myśli o tym, że przeprowadzając się na stałe do Maroka, oboje z mężem okazali się tchórzami.

Tu zawsze jest piękna pogoda, a zapachy, które wdycha dzisiejszego ranka, są niewątpliwie upajające. I to światło, szczególnie piękne. Lecz Gé wie, że prawdziwe słońce świeci tam, gdzie są nasi bliscy. Ci najbliżsi.

Kiedy Emmanuel był dzieckiem, myślała: Gdyby syn mnie poprosił, mogłabym nawet ukryć zwłoki. Nigdy nie kochała nikogo tak mocno jak Emmanuela. Niezależnie od tego, co zrobił, zawsze go usprawiedliwiała.

A potem zjawiła się Nina. I Gé zobaczyła, jak syn się zmienia. Jak Nina powoli gaśnie, a w oczach syna kiełkuje szaleństwo. Najpierw kiełkuje, ale z czasem niebezpiecznie się zakotwicza. Jego stosunek do niej, obsesja na jej punkcie, śledzenie jej, pilnowanie na każdym kroku, niemal prześladowanie.

Jeden jedyny raz ośmieliła się zwrócić mu uwagę. „Powinieneś zostawić Ninę w spokoju”. Naskoczył na nią. Moja żona jest bardzo młoda. Muszę się nią opiekować jak ojciec.

Ta odpowiedź ją zmroziła. Co ja zrobiłam? Jak go wychowałam? Czego nie zauważyłam? Czy to ode mnie nauczył się podobnych bzdur? Czy nasze dzieci są do nas podobne?

Tak, Gé postąpiła tchórzliwie, wyprowadzając się.

Rok po ślubie Emmanuela z Niną, kiedy syn przejął zarządzanie firmą, wspomniała o Maroku jako o nowej perspektywie życia dla niej i męża. Oczywiście będą przyjeżdżać do Francji, gdy tylko zatęsknią za rodziną i przyjaciółmi. Poza tym nic nie jest ostateczne, w każdej chwili mogą wrócić. Henri-Georges, zaskoczony, z początku odniósł się chłodno do tego pomysłu, ale z czasem nabierał entuzjazmu.

Ile razy zdarza nam się przymykać oczy? – myśli Gé. Dziecko, które zbyt często płacze. Sąsiad, który się awanturuje. Samotna starsza pani, którą się zna z widzenia… maltretowane zwierzę… Zamiast reagować, wtrącić się, człowiek pakuje się i wyjeżdża. Żeby nie widzieć. Nie czuć.

Tego ranka, gdy zadzwonił telefon, Gé nie pomyślała: To mój syn, dzwoni z życzeniami. Pomyślała: Dzwonią, żeby mnie zawiadomić, że Emmanuelowi coś się stało.

Była prawie zaskoczona, gdy usłyszała jego głos: „Szczęśliwego nowego roku, mamo”.

Gé zdaje sobie sprawę, że od kiedy Nina zniknęła, szaleństwo syna się pogłębiło, rozlało po całym organizmie jak nieuleczalna choroba z przerzutami. Była u niego dwa razy, za każdym razem skróciła pobyt. Nie było sensu z nim dyskutować. Kręci się w kółko jak lew w klatce, mówi sam do siebie, godzinami rozmawia przez telefon z różnymi detektywami, wróżbitami i uzdrowicielami. A kiedy ona chce coś powiedzieć, staje się nerwowy, gwałtowny, prawie groźny. I wciąż powtarza to samo: „W końcu ją znajdę!”. Tymczasem Gé modli się w myślach, błaga Boga: Boże, spraw, żeby jej nigdy nie znalazł!

Nawet Henri-Georges, gdy próbował rozmawiać z synem, niczego nie wskórał.

Podczas porannej rozmowy telefonicznej chciał porozumieć się z synem w kwestii sprzedaży firmy, zaproponował, żeby powierzyć zarządzanie nią

komuś innemu. Emmanuel nie chciał o tym słyszeć.

– Oddać zarządzanie w inne ręce to znaczy zatrzymać firmę. Ja nie chcę jej zatrzymać. Chcę ją sprzedać, stawiam na niej krzyżyk. Zresztą mam już bardzo dużo ofert.

– Nie można ot tak pozbyć się czegoś, na co pracowały trzy pokolenia. I przypominam ci, że mam jeszcze część udziałów.

– Mam w dupie forsę, zostawiam ci wszystko, tato.

Podnieśli głosy. Gé posłała mężowi błagalne spojrzenie.

– Jeśli kiedyś zostaniesz ojcem, będziesz szczęśliwy, mogąc przekazać dzieciom firmę, tak jak ja przekazałem ją tobie.

– Nigdy nie zostanę ojcem.

Kiedy w końcu Emmanuel się rozłączył, Gé znów musiała wyjaśnić mężowi, że od kiedy Nina odeszła, ich syn stracił grunt pod nogami. Że trzeba mu pozwolić zamknąć przeszłość, to kwestia życia i śmierci. Wyjazd z La Comelle to dla niego jedyny sposób, żeby się z tego wyplątać. A życie ich syna jest ważniejsze niż jakaś tam firma.

Załamany Henri-Georges zadzwonił do syna i powiedział mu, że się zgadza. Sprzeda swoje udziały, żeby nie pokrzyżować mu planów.

*

Tego ranka Nina spaceruje swobodnie po całym schronisku. Pierwszego stycznia nie ma żadnego ryzyka, że się na kogoś wpadnie, poza Lili. A ona została właśnie wezwana do nagłego wypadku: znaleziono wielkiego psa typu cane corso, przywiązanego przy torach w l’Allier. Lili pojechała tam z pracownikiem merostwa, sama czułaby się niepewnie. Lili niczego się nie boi, ale „Lepiej nie igrać z ogniem!”, zawołała, wsiadając do samochodu.

Wczoraj wieczorem, z okazji sylwestra, w ratuszu miejskim w La Comelle odbył się bal kostiumowy. Przeciwieństwo balu maskowego

w Wenecji. Wszyscy kupili kostiumy na pchlim targu albo znaleźli stare koszule nocne, sukienki i leżące na dnie szaf stroje po dziadkach. Plastikowe maski z wizerunkami Bernadette i Jacques'a Chiraca, boa, teatralne makijaże. Zabawne gadżety. Miejscowa orkiestra. Ogromne fondue, kieliszki wypełnione lokalnym burgundzkim winem. Lili zaciągnęła tam Ninę siłą. „Daję słowo, że nikt cię nie pozna!" Przebrała ją w hipisowską sukienkę, „pamiątka po mojej matce", oczy zakryła jej kolorową maską, na głowę włożyła blond perukę.

– A to relikt z mojego poprzedniego życia…

– Nosiłaś blond peruki, Lili?

– Ech, tak.

– Nigdy mi nie opowiadałaś o swoim życiu z okresu przed schroniskiem…

– Pochodzę z Nogent.

– Gdzie jest Nogent?

– Niedaleko Paryża.

Ale znów nie powiedziała niczego więcej. Włożyła zielony strój, a na głowę kominiarkę z twarzą Shreka, co rozśmieszyło Ninę. Dawno już się tak nie śmiała. Chciałaby, żeby Lili opowiedziała jej coś więcej, ale czuje, że przeszłość tej kobiety to zakazany teren. Któregoś dnia, gdy w południe jadły kanapkę, Lili między jednym a drugim kęsem powiedziała:

– Nie opowiem ci nic o moim dawniejszym życiu, bo było wstrętne i nawet nie śmieszne. W dniu, gdy z niego zrezygnowałam, wyrzuciłam wszystko, co się z nim wiązało. Zmienić życie to znaczy wyprowadzić się, porzucić przeszłość. Nowe życie musi lśnić jak złota moneta. Żebyś wiedziała, jak bardzo doceniam każdą sekundę mojej cholernej egzystencji!

Lili mieszka sama. Czasem wpada do niej na noc jakiś mężczyzna. Nina nie wie, kto to jest, nigdy też go nie spotkała. Kiedy Lili o nim mówi, rzuca

krótko:

– Dziś wieczorem mam gościa, chrupiący przysmak, zostanie na noc.

– Co to znaczy „chrupiący przysmak”? – spytała Nina za pierwszym razem.

– To znaczy „stary kochanek”. Niczego sobie nie obiecujemy, nie opowiadamy głupstw, szanujemy się nawzajem i spędzamy miło kilka chwil.

Koniec dyskusji. A Nina nie jest z tych, którzy nalegają.

Już dwadzieścia sześć miesięcy mieszka w schronisku. Czasem pyta Lili:

– Jak długo jeszcze, jak myślisz?

– Aż będziesz się czuła gotowa.

– Ale ja…

– Nie męcz się tym, jak będziesz gotowa, to będziesz gotowa.

*

W październiku przypadek młodej kobiety spalonej żywcem w Vitry-sur-Seine przeraził Ninę i napełnił ją grozą. Gdyby Emmanuel mnie odnalazł, zrobiłby tak ze mną, pomyślała. Na skutek tego tragicznego wydarzenia znów w środku nocy poczuła, jakby pochylał się nad nią i chciał ją unicestwić. Pomyślała, że w gruncie rzeczy znikając z powierzchni ziemi, spełniła mroczne pragnienie męża.

A wczoraj wieczorem podrygiwała w rytm *Macareny* i *Free From Desire* w interpretacji miejscowej orkiestry, przebrana w cudaczną długą żółtą suknię w zielone kwiaty i syntetyczną blond perukę. To była zbawienna chwila. Łyk świeżego powietrza. Do czwartej nad ranem tańczyły z Lili przebraną za Shreka wymyślone przez siebie tańce na laminowanej podłodze w ratuszu. Wokół nich dwieście osób, co jedna to

bardziej pijana. Nikt nie zwraca na nikogo uwagi. Ale Nina nie zdjęła maski. To kilka godzin swobody, jednak wciąż nie jest wolna, głos w środku krzyczy: „Uważaj! Pilnuj się!”.

*

Jest południe, gdy Lili wraca z wycieczki z molosem na smyczy. Po drodze odwiozła do domu pracownika merostwa. Cane corso robi wrażenie, jest ogromny. Nina podchodzi.

– Jest przyjacielski?

– Tak wygląda. Przeważnie te ogromne psy są łagodne – odpowiada Lili. – Ma tatuaż, ale z nieaktualnym numerem telefonu i adresem.

– Skąd jesteś, biedaku? – pyta Nina zwierzęcia.

Pies warczy i zanim Lili zdąży pociągnąć za smycz, a Nina się odsunąć, łapie Ninę za łydkę i zaciska na niej wielki pysk.

Mimo protestów Lili zabiera ją na pogotowie. Założyła jej opaskę uciskową na wysokości kolana. Najbliższy szpital jest w Autun.

– Mów do mnie! – wrzeszczy Lili. – Nie zasypiaj!

Nina nie może powstrzymać śmiechu, mimo że z bólu ciekną jej łzy.

– Nie zasnę, to tak boli… psiakość!

Godzinę później rezydent robi jej dwa zastrzyki, przeciwtężcowy i przeciw wściekliźnie, bo Nina nie wie, gdzie jest jej książeczka zdrowia. Potem lekarz zaszywa ranę – okazała się głęboka. Przez pierwsze dni opatrunek musi być codziennie zmieniany przez pielęgniarkę.

Już nie można się ukrywać. Nina musiała podać swoje imię i nazwisko, a Lili musiała tłumaczyć się z pochodzenia zwierzęcia.

Jeszcze nie wyszły ze szpitala, a już pojawia się oficjalna informacja: Nina Beau była na pogotowiu w Autun.

79

28 grudnia 2017

Étienne nie może zasnąć. Cierpi. Czuje, że czarne myśli niszczą jego ciało, jego odporność.

Rozpamiętuje spowiedź Adriena na stacji benzynowej. „Virginie to moja tożsamość. Mogę zmienić jej wygląd, ale nie jej tożsamość”.

Postąpił źle. Zachował się niewłaściwie, ale to było takie kuszące… Siedemnastego sierpnia 1994 roku po raz pierwszy spali sami, bez Niny. Odkąd się spotkali i zaprzyjaźnili, to się nigdy nie zdarzyło. Zawsze między nimi dwoma była Nina. Już kiedy byli dziećmi, Étienne czuł różnicę w zachowaniu Adriena, czuł, że przyjaciel czegoś szuka, coś przemilcza. Zauważył kilkakrotnie, że Adrien rzuca mu ukradkowe spojrzenia, a przyłapany, natychmiast odwraca wzrok. Czyżby mimo pociągu do jego siostry Adrien był gejem?

Tego strasznego wieczoru Étienne przyszedł do Niny pijany. Musiał się na kimś oprzeć, potrzebował pomocy, nadziei. Adrien był w ogrodzie, blady i tak samo zagubiony jak on. Étienne zaciągnął go do pokoju Niny. Adrien położył się koło niego w milczeniu, bez protestu. To Étienne był królem Trójki. Tym, któremu się nie odmawiało. Pociągnął Adriena za sobą celowo, świadomie. Dziś to wie, wie na sto procent. Nie zrobił tego

z rozpaczy, z samotności, ale dlatego, że miał na to ochotę. W ciemności zaczęli się pieścić i całować. „Tylko jeden krok dzieli przyjaźń od miłości”, takie bzdury powtarzała im z powagą Marie-Laure, czuli się wtedy zażenowani. „Ach, mamo, daj spokój!”, rzucał Étienne, popijając kakao.

Czy wyczuł dziewczynę ukrytą w Adrienie? Czy nieświadomie się w niej zakochał?

Nigdy później nie rozmawiali o tamtej nocy. Żyli dalej tak, jakby to się nie zdarzyło. Étienne to bagatelizował: dziecinada, wygłupy dwóch siedemnastoletnich palantów.

Ale Adrien? Czym to było dla niego?

Kiedy Étienne przeczytał *Biel hiszpańską*, poczuł się po pierwsze zdradzony, po drugie zawstydzony. Te same odczucia miała Nina, wyrażane tymi samymi słowami, ale w zupełnie innym znaczeniu.

Étienne również zna na pamięć niektóre fragmenty tej cholernej książki. Narrator nazywa się Sasha. Za kilka dni będzie miał zabieg chirurgiczny, SRS – Sex Reassignment Surgery – operację korekty płci. Ten barbarzyński termin, przypominający formułę matematyczną, oznacza szereg procedur medycznych, którym Sasha ma się poddać, by stać się tym, kim jest od urodzenia. Tę ostatnią noc przed operacją spędza z nieznajomym mężczyzną, to jedyny miłosny akt w jego życiu, który zdarza się przypadkiem.

> *Leżymy obok siebie. Nigdy nie dotykałem ciała chłopaka, on również nie. On sypia z dziewczynami, ja sypiam z Louise. Jesteśmy młodzi, niedoświadczeni, i on, i ja. To on robi pierwszy krok; jego dłoń dotyka mnie pierwsza, ja nigdy nie ośmieliłbym się go dotknąć. Jestem ziarnkiem piasku, on jest oceanem. Choć znajdujemy się w tym samym pokoju, żyjemy w różnych światach. On jest panem, ja*

jestem jednym z wielu poddanych. On zaczyna, przytyka palce do mojej szyi, boję się, że chce mnie udusić. Dlaczego myślę, że chciałby mnie wyeliminować? Nie jesteśmy łagodni, jesteśmy gwałtowni, nieporadni. Przez cały ten czas nie próbujemy penetracji, pozostajemy na krawędzi. Dopiero gdy on dotyka wargami moich ust, uświadamiam sobie, że to dzieje się naprawdę. Jeszcze dziś czuję w ustach smak jego języka, smak słonej śliny, pachnącej alkoholem. Nasze złączenie ciał trwa długo, bardzo długo, jesteśmy obaj panami czasu, który nam darowano, jak para, która kocha się ostatni raz, dwóch skazanych na śmierć, wiedzących, że ranek postawi definitywną kropkę w tej historii, która nigdy się nie zaczęła.

Tak naprawdę, myśli Étienne, zdradziłem Clotilde, Adriena i Louise tego samego dnia, w dniu pogrzebu Pierre'a Beau. Ten pogrzeb okazał się również pogrzebem mojego honoru i mojej uczciwości.

Gdy Étienne przeczytał te zdania, miał ochotę zamordować Adriena. Jak on śmiał mówić o nich, o nim? Teraz wszystko może się wydać, mogą go rozpoznać, zidentyfikować.

Blefował, grożąc Adrienowi, że ujawni, kim jest autor *Bieli hiszpańskiej*, jeśli nie zgodzi się zeznawać na jego korzyść.

Jakie szczęście, że jest Valentin, myśli.

Gdy tylko dojechali do Neapolu, zadzwonił do syna z budki telefonicznej. Valentin już leżał w łóżku, z komórką w ręce.

– Tata… – wyszeptał z ulgą.

Valentin jest jedyną osobą na świecie, która postrzega Étienne'a jako przyzwoitego człowieka. Jedyną osobą na świecie, która uczyniła z Étienne'a przyzwoitego człowieka.

W roku, w którym Étienne wyjechał do Paryża, Nina słuchała ciągle piosenki jak na jego gust zbyt cukierkowej, naiwnej, *Juste quelqu’un de bien*.

Étienne chwyta dłoń śpiącej Niny i ściska ją mocno. Zdusza łzy, wtulając się w poduszkę. Mężczyźni nie płaczą.

*

Mężczyźni nie płaczą. Nina myśli o tytule powieści Faïzy Guène, która tak jej się podobała i którą przeczytała kilka razy. Teraz udaje, że śpi, podczas gdy dłoń Étienne’a ściska jej rękę. Étienne nie może się zorientować, poczuć, że ona nie śpi, że słyszy, jak on tłumi płacz. Udaje martwą, podczas gdy to on prawdopodobnie umrze.

Pomyślała „prawdopodobnie”, bo nie chce w to uwierzyć. Nastąpi cud, życie gwałtownie wróci, jakieś nowe leczenie, zawieszenie wyroku, Étienne nie może umrzeć.

Ona udaje martwą, kiedy jej życie tak naprawdę się zaczyna. Początek, narodziny w wieku czterdziestu jeden lat. Nigdy nie jest za późno, jak mówi piosenka.

Jaka piosenka? Ta, którą napisali z Adrienem. Musieli mieć trzynaście czy czternaście lat. Nie pamięta dokładnie słów. Oczywiście coś kompletnie głupiego, w rodzaju: *Nigdy nie jest za późno, żeby przejrzeć się w lustrze, nigdy nie jest za późno, mimo że myślisz, że wszystko jest czarne…* Po tym, co przeszła z Emmanuelem, wie, że niczego nie tworzy się z kimś ani dla kogoś. Życie to samotność, a jeśli cudem trafi się na bratnią duszę, trzeba to traktować jak prezent od losu. Od kiedy spotkała Romaina, po raz pierwszy w dorosłym życiu Nina czuje, że nie jest już niezamieszkała. To samo poczuła z Lili, ale z Romainem jest trochę inaczej. To jej ukochany. Być

może się nie rozstaną. Być może będą razem. Nina wie, że człowiek składa się z samych „być może”.

Czuje, że Étienne zapada w sen. Uścisk jego dłoni robi się lżejszy. Oddech regularniejszy. Nina sprawdza, pochyla się nad nim: Étienne śpi.

*

Słyszę oddech Étienne’a. On płacze. Nie śmiem się ruszyć. Nie zniósłby mojego pocieszania, jest zbyt dumny. Przy nim zawsze trzeba było udawać, że nie widzimy, co naprawdę czuje. Jest jak ci faceci, którzy wciąż się popisują. Przyjemnie się na nich patrzy, ale nigdy nie wiadomo, co w nich siedzi. Robią wszystko, żeby ukryć się za fasadą. Złudzenie optyczne.

Dziś śpimy tak samo jak w poprzednim pensjonacie: mnie przypadło pojedyncze łóżko, dostawka dla dziecka, dla tego trzeciego. Étienne i Nina śpią w łóżku rodziców.

Znaleźliśmy hotel niedaleko plaży Mappatella.

Zjedliśmy makaron z małżami i wypiliśmy butelkę cudownego białego wina. Jakbyśmy byli na wakacjach nad morzem, a nie jechali z Étienne’em w jego ostatnią podróż.

Gdy tylko wysiedliśmy z samochodu, rozebrał się i rzucił z krzykiem do wody. Nie wiem, czy to był krzyk radości, czy rozpaczy. Pewnie i tego, i tego. Nina wrzasnęła: „Zwariowałeś?! Woda jest lodowata!”. Zaczęła go wyciągać i holować do brzegu. „Pozwól mi choć raz poszaleć!”, poprosił Étienne.

Nie spuszczała z niego wzroku, gdy pływał. Kupiłam na straganie obok dwa plażowe ręczniki. Kiedy Étienne wyszedł z wody, zziębnięty, długo go wycierałyśmy, każda swoim. Trząsł się, a jednak wydawał się szczęśliwy. Uśmiechał się. Ciało miał zaróżowione z zimna, ale twarz pozostawała

blada. Po raz pierwszy od wieczoru panieńskiego Niny widziałam go z nagim torsem. Jego skóra, ramiona, brzuch, zarost… Dorosły facet.

Mamy po czterdzieści jeden lat, nasze pokolenie chciało zmienić świat i zawiedliśmy, pomyślałam.

W hotelu Étienne od razu wszedł do wanny z gorącą wodą, połknąwszy uprzednio całą baterię leków. Ja z Niną opróżniłyśmy barek; wybierałyśmy buteleczki na chybił trafił i wypijałyśmy, nie patrząc na etykietki. Nina skakała po łóżku, ja puściłam muzykę, przypadkowa playlista.

Étienne krzyknął z łazienki:

– Wciąż macie beznadziejny gust!

Zachowujemy się jak rodzeństwo, które dawno się nie widziało: robią razem to samo co kiedyś. Gdy spotykają się dorośli, którzy razem dorastali, dzieciństwo wypływa na powierzchnię.

Mimo zakazów Étienne’a włączyłam potajemnie komórkę, żeby sprawdzić pocztę, a przede wszystkim dowiedzieć się, co u Nicoli.

– Nina? – pytam cicho.

– Co? – szepcze.

– Dostałam poufny mail z redakcji. Kości w tym samochodzie… To szkielet kobiety. Jednej kobiety.

– Clotilde? – mówi ściszonym głosem Nina, jakby bała się wypowiedzieć to imię.

– Jeszcze nie wiadomo.

– Myślisz, że to ona? Że odnajdą kości… tego dziecka?

– Nie po tylu latach… Embrion to chrząstki, nie kości.

– To straszne.

– Wszystko słyszę – dobiega nas cichy głos Étienne’a. – Jeszcze nie umarłem, do cholery. Jeśli to ona, znajdą czaszkę, miednicę i kość biodrową

płodu. Słodka woda jest mniej żrąca od wody morskiej. A ciało było chronione przez muł. Od dwudziestu trzech lat myślę tylko o tym.

80

Sobota, 13 sierpnia 1994

Głuchy ból. Clotilde jest uwięziona w sennym koszmarze, chce się obudzić, liczy: raz, dwa, trzy, pobudka!

I cały czas ta piosenka Francisa Cabrela, którą ostatnio w kółko nadają wszystkie stacje radiowe, a którą ona słyszy nawet we śnie.

Nie muszę wyjaśniać dokładniej
Ta historia już się skończyła
Zresztą byłoby tak samo
Gdyby czas się cofnął
To po prostu, po prostu
*Sobotni wieczór na ziemi…**

Raz, dwa, trzy, pobudka! Mam dziesięć lat. Jestem księżniczką, ukochaną jedynaczką, mama przygotowała śniadanie na werandzie, niebo jest błękitne, życie podobne do reklamy, w której wszystko, począwszy ode mnie, jest doskonałe. Mam blond włosy, stopy ogrzewają mi liliowe kapcie z futerkiem, ozdobione cekinami. Jestem w ostatniej klasie przed gimnazjum. Kocham się w pewnym

chłopcu, w tym, który siedzi w drugim rzędzie obok Niny Beau. Nazywa się Étienne Beaulieu. Kładę trochę różu na policzki, błyszczyk na usta, żeby mnie zauważył. Ale on patrzy tylko na tych swoich przyjaciół, tego robala i tę Lolitę. Wciąż jest do nich przyklejony. Ale mam czas, poczekam. Któregoś dnia spojrzy i na mnie.

Raz, dwa, trzy, pobudka! Stopy mam lodowate, łóżko zasypane śniegiem…

Teraz ból jest tak ostry, że Clotilde musi stłumić krzyk.

Otwiera oczy. Udało się. Raz, dwa, trzy, budzę się! Koniec piosenki.

W życiu, tym prawdziwym, jest jeszcze noc. Clotilde może wrócić do spania, zanim wyjdzie na swoją zmianę w pizzerii. Jeszcze tylko piętnaście dni. Ma już dość tych slalomów między stolikami.

Wczoraj, kiedy podawała klientom pizzę cztery sery, królewską i lasagne, pomyślała, że służąca u państwa Beaulieu na pewno wyjęła już jej list ze skrzynki i położyła na biurku w pokoju Étienne’a. Podczas gdy cała święta rodzina opala sobie tyłki na południu, bomba z opóźnionym zapłonem czeka już w pokoju synka. Za dziesięć dni, jak wrócą, wybuchnie im prosto w twarz.

Clotilde śmieje się sama do siebie, jest zlana potem, czuje się coraz gorzej. Wraca ten straszny koszmar, przez który bez przerwy boli ją brzuch.

Myślała, że już nie śpi, tymczasem cały czas jest więźniem tego snu.

Raz, dwa, trzy, pobudka!

Ale myśli na głos: „Ten list na biurku Étienne’a”…

Ile razy spotykała się z Étienne’em w jego pokoju, ile razy kochali się w tamtym łóżku? Ile razy ubierała się, zbierając w pośpiechu rzucone byle gdzie ciuchy? Szukając ich jak Tomcio Paluch białych kamyków, którymi

oznaczył drogę powrotną do domu? W przeciwieństwie do chłopczyka z baśni Perraulta Clotilde pragnęła zatracić się w ramionach złego wilka i nigdy nie wrócić do domu.

Ile razy, podnosząc dżinsy Étienne’a, leżące na jej swetrze lub butach, na próżno czekała, żeby poprosił: „Zostań!”?

Rozleniwiona, odrętwiała po doznanej przyjemności, schylona, szukając stanika, obserwuje go przez firankę blond włosów. Leży – nagi, złocista skóra, swobodnym, pełnym wdzięku gestem zapala skręta. Piękne, nieobecne spojrzenie. Tajemniczy uśmiech. O czym myśli? O kim?

W liceum wreszcie ją zauważył. Przez całe lata gimnazjum dla niego nie istniała, ledwie „cześć” rzucone przez przymknięte usta, gdy mijali się na korytarzu. A potem, w ostatniej klasie liceum, po dwóch miesiącach Clotilde widzi, że wreszcie ją dostrzegł. Wodzi za nią wzrokiem. Urodziny kumpla, trzeci listopada. „Będzie Étienne”.

Będzie Étienne.

Nie traci czasu na uwodzenie Clotilde. Flirt? Nie zna się na tym. Nie umie mówić ładnych słów, ma to w nosie, po prostu podchodzi do niej i całuje ją w usta. Naokoło nich muzyka, *Zombie* Cranberries, wszyscy wrzeszczą słowa: *In your head! In your heeeaaad!*

No i to wszystko. Marzenie małej dziewczynki ziściło się. Tego samego wieczoru śpią ze sobą u Étienne’a, w jego pokoju. Po co czekać? Kto powiedział „Nigdy pierwszego wieczoru”? Życie jest zbyt krótkie. Co z tego, że królewicz śmierdzi alkoholem.

Clotilde już dawno wyrzuciła liliowe kapcie z cekinami. Wspomnienia są jak stare szafy, w końcu się je opróżnia.

Ma dopiero siedemnaście lat, ale już dawno to zrozumiała. To młoda stara kobieta. Nie robi sobie żadnych złudzeń. Ma jedną obsesję: Étienne

Beaulieu. Mimo że w głębi siebie wie, że kiedyś nawet on przestanie ją obchodzić.

„Tylko ty potrafisz mi zrobić dobrze”, powtarza Étienne jak refren.

Dla niej to zdanie ma smak miłości.

Kolejny skurcz, Clotilde zwija się z bólu. Nie, nie! Nie tutaj! Nie teraz! To niemożliwe! Za wcześnie!

Negocjuje ze snem. Raz, dwa, trzy, pobudka!

Zapala światło. Wszędzie krew. Chce zawołać: „Mamo! Tato! Na pomoc!”. Ale z ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

Wstaje, idzie do toalety. To koniec. Trzeba będzie zacząć od początku. Lont bomby z opóźnionym zapłonem zrobił pssst! Clotilde ściąga pościel i ochraniacz na materac, idzie korytarzem, bierze proszek do prania, wybielacz, nastawia pralkę na dziewięćdziesiąt stopni, wraca do pokoju.

Wchodzi pod prysznic. Ból minął. Powstrzymuje odruch, żeby wypchnąć to z brzucha. Nie tutaj. Płacze. Nie dlatego, że właśnie traci dziecko Étienne’a Beaulieu, ale dlatego, że do odpływu trafiają jej ostatnie marzenia.

Trafiony, zatopiony.

Wkłada starą sukienkę, czarną i brzydką; kupiła ją dwa lata temu, bo wyglądała jak strój tancerki, ale nigdy jej nie włożyła. Idzie ulicą, wstaje świt, nikogo w tej zapadłej dziurze, buty ma przemoczone od porannej rosy. Rusza się jak automat, jak tańczące zombie z klipu Michaela Jacksona albo jak w tych beznadziejnych filmach, w których blade wrażliwe dziewczyny w bawełnianych czapkach, długich sukienkach i chodakach płaczą nad swoim losem, podczas gdy ich faceci siedzą w barze, piją i robią zamieszanie.

Znów widzi Étienne’a na plaży w Saint-Raphaël, na nim leży ta blondynka.

Już nie ma skurczów.

Kuca, wyrzuca to z siebie do rowu, nic jej nie boli, ona nie patrzy, to nie oddycha, jest martwe. Bo postanowiło być martwe, wyjść z niej samo, zostawić ją, nie chcieć jej.

Zresztą Clotilde nie pragnęła być matką. Kto chce być matką, mając osiemnaście lat? Chciała zatrzymać Étienne'a, przykuć go do siebie. Żeby się zmienił w kochającego tatę. Żeby to „szczęśliwe wydarzenie" radykalnie go zmieniło. Żeby stał się posłuszny, żeby jej nadskakiwał. Grzeczny piesek, którego w końcu by znielubiła, a nawet znienawidziła.

Clotilde wyciera nos w sukienkę tancerki. Uspokój się, mała! Całe szczęście, że tak to się skończyło! Co byś zrobiła z bachorem? Ale musisz się zemścić. I to porządnie. Zasrać mu życie. Nie ma lekko.

Wraca do domu, jest siódma. Kładzie się na materacu bez pościeli, owija kocem.

Przysypia do dziewiątej. Słyszy z dołu głosy rodziców, brzęk talerzy.

Muszę iść do pracy. Muszę iść do pracy. Muszę iść do pracy.

Jest wykończona. Jeszcze krwawi, jakby powrót okresu. Powrót do normalnego życia.

Nie poszła do lekarza. Nie zrobiła USG, nie zapisała się do ginekologa. Nikt nie wiedział o jej stanie. Przeczytała książkę o ciąży, tak jak czyta się podręcznik do historii, o czymś, co się zdarza innym, co jej nie dotyczy. *W czwartym miesiącu płód waży około czterystu gramów i mierzy piętnaście centymetrów*. Obliczyła, że zaszła w ciążę w połowie kwietnia. W którąś środę po południu. Dzień wolny od szkoły. To nie był przypadek, jak cały czas utrzymywała. Zaplanowała to. Przekłuła prezerwatywę ostrym jak nóż paznokciem palca wskazującego.

Pamięta dzień, w którym zrobiła test ciążowy. Dwie kreski – tak; jedna kreska – nie. Wprost nie posiadała się z radości, siedząc na muszli

klozetowej i odczytując wynik. Étienne jest mój.

Znów idzie pod prysznic. Wkłada inną sukienkę, zapinaną z przodu. Zdaje sobie sprawę, że zapomniała o zabandażowaniu brzucha, której to operacji dokonuje od mniej więcej miesiąca. Ma wciąż okrągły brzuch kobiety w ciąży. Dlaczego? Jak długo jeszcze?

Te myśli przerywa matka, która puka do drzwi jej pokoju.

– Kochanie, nie żyje dziadek twojej przyjaciółki!

Nie mam żadnej przyjaciółki, myśli Clotilde. Nienawidzę dziewczyn. Moim marzeniem jest bycie alfonsem i wystawianie ich na ulicę, żeby przynosiły mi jak najwięcej forsy. Prawda jest taka, że chciałabym rąbać w karty z facetami, podczas gdy moje dziwki by dla mnie harowały. Prawda jest taka, że nie lubię być dziewczyną.

– Jaki dziadek? Jakiej przyjaciółki, mamo?

– Tej drobnej brunetki… Ten listonosz. Pierre Beau… Rozjechała go ciężarówka. Biedaczysko.

Clotilde przytrzymuje się drzwi. Zaraz, to znaczy, że Étienne wróci wcześniej, niż było zaplanowane. Jutro już tu będzie! Jutro przeczyta mój list, a może nawet… dzisiaj!

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj po południu.

Godzinę później, jak co rano od pierwszego lipca, Clotilde nakrywa stoliki, wyrównuje obrusy, sprawdza czystość naczyń. Klienci zjawiają się dokładnie o dwunastej, a kończą jeść równo o wpół do trzeciej. Podczas lunchu niektórzy wspominają wypadek: listonosz, zmasakrowany, ciężarówka, której nie zauważył.

Clotilde ma po południu przerwę i wraca do restauracji o szóstej, żeby przygotować salę na wieczór. Podczas przerwy często wyleguje się na trawniku koło miejskiego basenu, ale dziś idzie do biblioteki i dyskretnie

przegląda podręczniki o ciąży. W końcu znajduje to, czego szukała: *Po poronieniu albo po porodzie macica potrzebuje czasu, żeby wrócić do normalnych rozmiarów, mięśnie brzucha są zdeformowane, a skóra rozciągnięta. Powrót do normalnej sylwetki może zabrać wiele tygodni*. Clotilde nie ma wcale zamiaru wrócić do normalnej sylwetki. Wychodząc z biblioteki, połyka, właściwie nie czując smaku, dwa ciastka.

Ma przed sobą dwie godziny. Wraca do parku przy bibliotece i kładzie się na ławce pod dużą sosną. Nikogo nie ma, huśtawki puste, powietrze ciepłe. Chce jej się pić. Zamyka oczy.

Nie muszę wyjaśniać dokładniej,
Ta historia się skończyła…[**]

Cicho, piosenko!

Znów widzi Étienne’a i tę blondynkę na plaży w Saint-Raphaël. Kiedy to było? Liczy w myślach. Trzy dni temu.

Przypomina sobie dzień, w którym dziadek Niny Beau wpadł na dziedziniec szkolny i ją uderzył. Gdyby jej rodzice zrobili coś takiego, umarłaby ze wstydu! Wolałaby zapaść się pod ziemię, niż wrócić do szkoły.

Nina… Dziadek rozjechany przez ciężarówkę. Étienne siłą rzeczy musi być załamany. Wszystko, co dotyczy jego „najlepszej przyjaciółki”, jakby dotyczyło jego. Trzeba było zobaczyć, jak wyglądał tamtego dnia, kiedy stary trzasnął wnuczkę w gębę! Étienne zamarł i zrobił się biały jak prześcieradło.

Clotilde patrzy na niebo. Wydaje jej się, że jest pustą torbą, torbą, z której złodziej ukradł całą zawartość. Czuje na policzkach łzy, zamyka oczy, przypomina sobie wyraz twarzy Étienne’a, kiedy w maju, tuż po seksie, powiedziała mu, że jest w ciąży.

– O kurwa… kurwa! – jęknął.

Przez cały wieczór, biegając po restauracji, co chwila wygląda na ulicę. Może przyszedł. Czy przyjdzie, czy na nią spojrzy? Ma nadzieję, że po nią przyjdzie, że zrobi jej niespodziankę. Nie jest w stanie oderwać spojrzenia od trzech wielkich okien wychodzących na zewnątrz. Szef pyta w końcu, czy na kogoś czeka. Clotilde każe mu spadać.

Po wyjściu z restauracji nadkłada drogi, żeby przejść ulicą, przy której mieszkają Beaulieu. Czuje gwałtowne uderzenie w klatce piersiowej, gdy widzi przed domem ich samochód.

Wrócili.

W pokoju Étienne’a jest ciemno. Czy wyszedł, przeczytawszy list od niej? Może na nią czeka pod jej domem? Zawraca i idzie ulicami, nie czuje się zbyt pewnie. A gdyby chciał się mnie pozbyć? – myśli.

Przechodząc przed domem Niny, przyspiesza kroku i schyla głowę. Nikogo. Ani w środku, ani na zewnątrz.

Gdzie może być Trójka? Gdzie się chowają? Gdzie pocieszają Ninę?

Jest już prawie północ, gdy ledwo żywa wreszcie dociera do siebie. I wciąż nikogo. Czy Étienne przeczytał jej list? Czy może rozpoznał jej charakter pisma i jak wszyscy tchórze postanowił otworzyć kopertę później? Może nawet wyrzucił ją, podarł, nie przeczytawszy listu?

Clotilde niechętnie idzie na górę do swojego pokoju. Długo wyczekuje jakiegoś znaku, ruchu, czyjejś obecności na ulicy. Nic.

Nieumyta i w ubraniu, rzuca się na łóżko i od razu zasypia.

*

Niedziela czternastego i poniedziałek piętnastego sierpnia. Dwa dni odpoczynku. Straszne nerwy. Puste La Comelle dyszy upałem. Sklepy pozamykane, żaluzje spuszczone.

Otwarty jest tylko miejski basen. Nie postawi tam stopy. Ten wielki pusty brzuch by ją zdradził. Nie chce wychodzić. Siedzi w domu, czekając na telefon, może wizytę…

Matka się niepokoi, widzi, że Clotilde jest jakaś zmartwiona. Bezskutecznie stara się wyciągnąć z niej choć słowo. Może na te dwa dni wyjadą odpocząć? Dokąd chciałaby pojechać?

– Zarezerwujmy pokój w hoteliku koło Valence! Ojciec znalazł jakieś fajne miejsce z masażami i basenem. To dwie godziny samochodem.

– Nie, dzięki, ale wy jedźcie.

– Nie zostawimy cię samej, kochanie.

– Jedźcie, chcę zostać sama. Potrzebuję tego. Zacznę przeglądać rzeczy przed wyjazdem na uczelnię.

Clotilde dostała się na wydział zarządzania sportem i turystyką w Dijon. Ze średnią 6 na maturze będzie najlepsza na roku.

Najlepsza z głupoty, to na pewno…

Nie pojedzie do Dijon, ani tam, ani nigdzie indziej. Wyjedzie gdzieś daleko. Tak jak zamierzała zrobić, gdyby Étienne odrzucił ich dwoje, ją i dziecko. Teraz nie ma dziecka. Ale nawet jeśli go przekona, że nadal jest w ciąży, co jej pozostaje? Brzuch w końcu stopnieje jak śnieg w słońcu, a Étienne opuści ją na zawsze.

Nie może sobie znaleźć miejsca. Nie ma już planów, nie ma przyszłości, nie ma Étienne’a Beaulieu.

Obżera się, żeby nie schudnąć. Połyka kromki chleba posmarowane sosami i pastami.

Telefon! Étienne, wreszcie! Nie, to tylko koleżanka ze szkoły.

– Pogrzeb dziadka Niny Beau jest w środę. Idziesz?

– Tak – słyszy własny głos Clotilde.

– Co założysz?

Co za kretynka! Przecież to nie Club 4 ani wybory Miss Francji. Miałam rację, dziewczyny to kretynki.

– Nie wiem.

– Będzie upał.

– Z pewnością.

– To będzie takie smutne…

Idiotka nadal gada, Clotilde już jej nie słucha. Teraz jest pewna, że za trzy dni go zobaczy. W sumie idiotka ma rację: jak się ubrać, pomalować, uczesać? Musi wyglądać naturalnie… Włącza się z powrotem do rozmowy, gdy tamta pyta:

– Masz wiadomości od Étienne’a?

– Tak – kłamie Clotilde. – Dzwoni do mnie codziennie. Wrócił wcześniej, bo musi zająć się Niną. Dla niej to tragedia.

– Biedaczko, musisz się o nich martwić…

– Tak, to straszne. Muszę kończyć, ktoś puka na dole, pewnie Étienne.

Clotilde odkłada słuchawkę.

We wtorek szesnastego sierpnia idzie do pracy jak na ścięcie.

– Naprawdę źle wyglądasz, miałaś wolne, szkoda, że się choć trochę nie opaliłaś! – mówi szef.

Clotilde nie odpowiada. Układa serwetki na stole i wygląda przez okno, może on przyjdzie? Wrócił już trzy dni temu i w ogóle się nie odezwał.

Co za cham! Podobno od miłości do nienawiści jest jeden krok. Otóż to. Jeden, i to mały.

Dzień wlecze się w nieskończoność, klienci ją denerwują, ma ochotę wszystko rzucić. Przed wyjściem uprzedza:

– Jutro nie przyjdę, mam pogrzeb.

– Prawda, ten biedny listonosz… Ale przecież to nie będzie trwało cały dzień.

– Dla mnie tak.

Szef się krzywi, robi minę: „A ja co zrobię?”. Ale nie naciska, dawno nie miał tak zaradnej kelnerki. Świetna na sali, świetna przy kasie, świetna z klientami. Gdyby miał jej dać ocenę, Clotilde Marais, mimo swoich dziwacznych humorów, zdałaby celująco, doskonała na każdym froncie. Gdyby mógł, zatrudniłby ją na stałe, ale nie ma złudzeń: dziewczyna u niego nie zostanie. Nawet jeśli dostanie pensję wyższą niż płaca minimalna, bony do restauracji i premię na koniec roku, ma lepsze rzeczy do roboty niż podawanie pizzy przez cały dzień.

Po pracy Clotilde wraca prosto do domu, z nadzieją, że gdzieś po drodze wpadnie na Étienne’a.

Już nie krwawi. Odwinęła bandaż i ogląda się z profilu w lustrze, brzuch jest wciąż duży. Ponieważ jest drobna i szczupła, widać go jeszcze bardziej.

Straciła to trzy dni temu. Jego czy ją? Chłopca czy dziewczynkę? Jakie to ma teraz znaczenie…

Kładzie maseczkę oczyszczającą i nawilża twarz. Przesuwa czarną kredką wokół oczu, dzięki czemu jutro ich błękit będzie widać wyraźniej, a ona nie będzie wyglądała, jakby się umalowała.

Kładzie się, powtarzając w myślach, co ma zrobić rano. Umyć włosy szamponem jajecznym, lekko wysuszyć, posmarować końcówki specjalną odżywką. Podkręcić rzęsy, nałożyć korektor pod oczy, róż na policzki, błyszczyk na usta, taki odrobinę opalizujący, rozetrzeć go lekko chusteczką. Nasmarować kremem całe ciało, rozpylić delikatne perfumy na skroniach i na nadgarstkach. Włożyć T-shirt z szarej bawełny, pasujące do niego spodnie, ma wyglądać luźno, szykownie i dyskretnie, do tego czarne

sandały rzymianki. Sprawdzić, czy pedikiur jest idealny. Nic tak nie zabija uczucia jak zrogowaciała skóra na stopach.

Zabija uczucie.

Powtarza na głos, do siebie: „Zabija uczucie”.

Co robi Étienne? Gdzie jest? O czym myśli? Czy w końcu otworzył ten cholerny list? Kiedy go dostał?

Zemścić się. Zemsta jest rozkoszą bogów. Zemścić się, i to szybko! Zanim się połapie, że ona nie jest już w ciąży.

*

Gdy siedemnastego sierpnia Clotilde zjawia się na placu przed kościołem, widzi, że zebrało się już sporo ludzi. Czuje ulgę, wchodząc do chłodnego budynku. Dyskretnie przeczesuje włosy, stara się znaleźć miejsce przy głównym przejściu, żeby widzieć, jak będą wchodzić. Prawie odpycha jakąś grubą panią, żeby zbliżyć się do wybranego punktu. Czeka już około kwadransa, obserwując ludzi i witając się, gdy nagle wszyscy wstają. Organy. Trumna. Za nią Nina, Étienne i Adrien. Trzymają się za ręce, troje sierot żegnających rodzica. Clotilde pęka serce, gdy uświadamia sobie, jak oni się kochają. Ona nigdy nie zdobyła w sercu Étienne’a takiego miejsca. Nawet ten robal jest dla niego ważniejszy od niej.

Nina jakby się skurczyła, smutek ją zgarbił. Adrien wciąż tak samo nijaki. Co do Étienne’a… włosy spłowiałe od słońca, piękna opalenizna, ból malujący się na jego poważnej twarzy, to wszystko czyni go jeszcze piękniejszym, jeśli to w ogóle możliwe. On, w przeciwieństwie do Niny, zrobił się jakiś większy, wyższy.

Étienne jej nie widzi, idzie z podniesioną głową, patrzy przed siebie. Za Trójką idą rodziny Beaulieu i Damamme’ów, i matka Adriena, u której wszyscy niecały miesiąc temu beztrosko oblewali zdane matury.

Z wyjątkiem jej, Clotilde. Była wówczas w ciąży i tylko ona o tym wiedziała.

Przez całą mszę Étienne stoi bez ruchu. Od czasu do czasu spogląda pełnym troski wzrokiem na Ninę. Clotilde widzi go z ukosa. Chciałaby go dotknąć. Chodź, spadamy stąd. Niemożliwe.

Przed kościołem, po mszy, kiedy do Niny podchodzą ludzie z kondolencjami, Clotilde czuje na ramieniu dłoń. To jest jak sen. Nierealne.

– Cześć, wpadniesz do mnie po cmentarzu? Mama robi poczęstunek dla najbliższych.

Clotilde kiwa głową, tak, przyjdę. Étienne już wrócił do Niny.

Odradza się nadzieja. Skoro poprosił, żeby do niego wpadła, to może jeszcze nie koniec? Może chce wrócić do punktu, w którym zatrzymali się przed wakacjami? Może ta blondynka, która leżała na nim w Saint-Raphaël, była bez znaczenia? To cały Étienne, dla niego liczy się tylko tu i teraz.

Napełniona nadzieją, ledwo może się pohamować, żeby nie wybuchnąć śmiechem tu, przy wszystkich. Zauważa tylko, że Trójka wsiada na tylne siedzenie samochodu państwa Beaulieu i ruszają za karawanem.

Clotilde odwraca się; nie ma ochoty rozmawiać z ludźmi, którzy stoją przygnębieni przed księgą kondolencyjną, trzymając długopis w ręce. Rzuca okiem na stawiane równo słowa: *Dzielimy z Wami ból, najszczersze kondolencje, nie zapomnimy nigdy uśmiechu naszego drogiego kolegi* i uświadamia sobie, że musi odzyskać swój list. Étienne może jeszcze go nie otworzył, a ona ma przed sobą dużo czasu.

Rusza piechotą do domu Beaulieu. Jeśli po uroczystości pogrzebowej ma być przyjęcie, z pewnością ktoś już zajmuje się przygotowaniami. Ta służąca… zaraz, jak ona się nazywa? Pani… pani… No, zaraz, skup się, przecież wpadałaś na nią za każdym razem, kiedy przychodziłaś do

Étienne’a… Pani… takie dziwne nazwisko… Coś z uczuciem… z żalem… Pani Rancoeur! No tak, jasne!

Clotilde puka do drzwi. Czuje się dziwnie. Nie postawiła tu stopy od początku wakacji. Po rzekomej aborcji oboje zabrali się do nauki i popołudniowy seks stał się coraz rzadszy, rzadszy, aż wreszcie znikł. Wieczorem, kiedy oblewali maturę u matki Adriena, a potem nad Leśnym Stawem, Clotilde została u Étienne’a na noc. Przeleciał ją szybko, był zbyt pijany, żeby zorientować się, że jej brzuch i piersi jeszcze bardziej się zaokrągliły.

Czeka kilka minut przed drzwiami, a ponieważ nikt nie otwiera, wchodzi. Słyszy w oddali hałasy; wychodzące na ogród drzwi salonu są otwarte. Clotilde korzysta z sytuacji, wchodzi po schodach, które znajdują się naprzeciwko wejścia – nie ma tu żywego ducha – i zamyka się w pokoju Étienne’a. Jeśli ktoś ją zapyta, co tam robi, odpowie, że Étienne ją zaprosił i powiedział, żeby poczekała na niego „jak zwykle”.

Zaczyna szukać listu. Nic nie leży na widoku. Otwiera szuflady biurka, kartkuje kilka numerów „Rock & Folk”, słownik Larousse’a, przeszukuje półki – nigdzie żadnej koperty. Zagląda do kosza na śmieci. Kilka niedopałków i stary program telewizyjny. W szafie ubrania na wieszakach i ułożona porządnie bielizna.

Siada na łóżku i zaczyna się zastanawiać. Nagle rzuca jej się w oczy plecak Étienne’a, zaczepiony o klamkę okna, za zasłoną. Plecak jest pomazany rysunkami zrobionymi długopisem. Wszędzie graffiti. W przedostatniej i ostatniej klasie liceum kolejni uczniowie powypisywali głupstwa, gdzie się da. Dwie przypinki, jedna Nirvany, druga Pearl Jam. Rozpoznaje zdanie, które sama napisała czarnym flamastrem na jednym z pasków: *Bardziej niż wczoraj, mniej niż jutro*.

Otwiera plecak i znajduje lekcje przepisane szybko, byle jakim pismem, na podwójnych kartkach, podręcznik do zajęć praktycznych, magazyn „Best” ze zdjęciem grupy Velvet na okładce. Ale żadnego listu. W końcu wyjmuje kalendarzyk na rok szkolny 1993/1994, w którym Étienne rysował różne ludziki, kiedy nudził się na lekcjach, zamiast wpisywać plany zajęć albo terminy sprawdzianów. Miał w nosie plan zajęć. Wystarczyło, że przepisywał od Niny Beau albo tej gnidy Adriena, i tak przechodził z klasy do klasy.

Clotilde przegląda kalendarz strona po stronie. Znajduje bilet na koncert zespołu Indochine z dwudziestego dziewiątego kwietnia 1994 roku. Pamięta, że Étienne poszedł na ten koncert z tamtą dwójką, nie chciał iść z nią.

Gdzie jest ten cholerny list? I po co go w ogóle wysłała? Najchętniej sama by się spoliczkowała. A jeśli on go nie dostał? Jeśli na poczcie jest zamieszanie po śmierci tego listonosza?

Uff, po kłopocie!

Te słowa, nabazgrane przez Étienne’a pod datą dwudziestego piątego maja 1994 roku, przykuwają wzrok Clotilde. Potrzebuje kilku sekund, żeby skojarzyć. Nie wie, co ją bardziej wkurza, same słowa czy wykrzyknik.

Najbardziej w sumie wkurza ją data, napisał to dwudziestego piątego maja, czyli dokładnie tego dnia, kiedy zawiózł ją pod szpital w Autun.

Jak śmiał?

I do tego napisane bez błędu, choć Étienne nawet nie umie porządnie pisać.

Co za dupek, skurwysyn!

Jeśli dostał list, tym lepiej. Clotilde ogarnia wściekłość. Ciska kalendarzyk do kosza i wypada z pokoju prosto na panią Rancoeur.

– Och, Clotilde! Dzień dobry!

– Dzień dobry pani.

– Czekasz na Étienne’a?

– Właśnie…

– Nie słyszałam, jak przyszłaś… Widziałam cię niedawno w pizzerii… Wszystko w porządku?

– Tak, w porządku.

– Co za okropna historia z tym biednym listonoszem… Co się teraz stanie z małą? Szczęście, że pani Beaulieu wszystkim się zajęła. W gruncie rzeczy to dobrze, że Étienne zabiera Ninę do Paryża. Będzie miała nowe życie.

Clotilde milczy.

– Na dworze jest za gorąco – mówi pani Rancoeur. – Możesz mi pomóc przenieść stół ogrodowy do jadalni?

– Oczywiście.

– Jak dobrze, że wpadłaś! Jestem spóźniona ze wszystkim. Pomożesz mi, zanim ludzie się zejdą.

Clotilde pomaga pani Rancoeur, ale cały czas ma przed oczami to: *Uff, po kłopocie!*, wpisane pod datą dwudziestego piątego maja. Nie może się pozbyć tych słów. Marzy tylko o tym, żeby wejść na górę do łazienki, wykraść leki z rodzinnej apteczki, zrobić z nich śmiercionośną mieszankę i wlać ją do kieliszka Étienne’a. Ledwo zdążyła ustawić talerze z owocami i schłodzone napoje, on już jest. Czuje jego zapach, zanim jeszcze usłyszy głos. Tak już jest, kiedy się kogoś kocha. Wyczuwa się jego obecność.

– Widzimy się dziś wieczorem? – szepcze jej do ucha.

Uff, po kłopocie! – myśli Clotilde.

– Gdzie? – pyta.

– Nie wiem, w jakimś spokojnym miejscu.

– Dobra.

Clotilde podchodzi do Niny.

– Tak mi przykro z powodu twojego dziadka – mówi cicho.

– Dziękuję, jesteś bardzo miła – odpowiada Nina.

Clotilde wcale nie jest przykro, a Nina po prostu nie myśli, odpowiada jak robot.

Clotilde opada na kanapę obok Étienne’a i jego „najlepszej przyjaciółki”. Nie wie, co zrobić z rękami, Étienne trzyma dłoń Niny. Szuka jego spojrzenia, ale on patrzy na ścianę na wprost.

Mija godzina. Clotilde wstaje.

Proponuje Étienne’owi spotkanie nad jeziorem o dwudziestej pierwszej, w ich miejscu, pod drzewem.

– Okay, widzimy się później! – odpowiada Étienne.

I koniec.

Ulica przed domem państwa Beaulieu. Nagrzane słońcem chodniki. Clotilde wraca do domu. Sama.

Za dwa tygodnie Étienne i Nina pojadą do Paryża. A ona? Co się z nią stanie?

Co robić: umrzeć czy żyć?

Dlaczego Étienne zaproponował jej to spotkanie? Pewnie chce się oficjalnie rozstać.

Uff, po kłopocie!

*

Wychodzi z domu o wpół do ósmej. Przebrała się, włożyła koszulową sukienkę, którą łatwo zdjąć, czarną w białe kropki, zapinaną z przodu na guziki w kształcie biedronek.

Biedronka, panienka

Boża krówka

Biedronka, panienka

Leci ku niebu…

Nad jezioro ma godzinę drogi piechotą. Nie może się doczekać, kiedy zrobi prawo jazdy. Nie wolno jej wsiadać na motorower czy skuter; rodzice uważają, że to niebezpieczne.

Nie tak niebezpieczne, jak zakochać się w Étiennie!

Przechodzi przez La Comelle, mija kościół, ulicę przecinającą kolonię domków i wychodzi na pola. Z naprzeciwka nadjeżdża samochód i zatrzymuje się przy niej. Nie od razu poznaje kierowcę, który opuszcza szybę.

– Może cię podwieźć? – pyta.

To syn Damamme’ów. Był rano na pogrzebie i po południu na poczęstunku. Podkochuje się w Ninie Beau, to oczywiste. Clotilde jest zaskoczona, że nie jedzie swoim sportowym samochodem i że znalazł się tu, na tej wiejskiej drodze. To nie jest facet, który by się kolegował z chuliganami z przedmieścia.

Nie czeka na jej odpowiedź, zawraca. Clotilde waha się chwilę, po czym wsiada do samochodu.

– Idziesz nad jezioro? – pyta Damamme.

– Tak.

– To nie jezioro, to śmietnik… – mówi chłopak ironicznie.

– To zależy.

– Od czego?

– Są fajne miejsca.

– Po co tam idziesz?

– Umówiłam się. Z Étienne’em.

– A! Długo się z nim spotykasz?

– Dziewięć miesięcy. A ty? Spotykasz się z Niną?

– Mniej więcej.

– Mniej czy więcej?

– Teraz, po śmierci jej dziadka, mniej. A poza tym oni wyjeżdżają. Twój chłopak zabiera ją do Paryża.

– Wyglądasz na smutnego.

– Ty też wyglądasz na smutną.

– Nie ma dla nas przy nich miejsca. Jest ich troje. Zawsze będą Trójką… Jeśli nie lubisz tego jeziora, skąd się tu wziąłeś? – pyta Clotilde.

– Jechałem za Étienne’em, był na motorze.

– Po co?

– Miałem ochotę go załatwić.

– Żartujesz!

– Tak. I nie. Nie chciałabyś go zabić?

– Czasami.

– Zobacz, on wszystkich krzywdzi.

– A co to ma wspólnego z tobą?

– Nina.

– Ale między nimi nic nie ma! – protestuje Clotilde.

– Jesteś naiwna… Wysiadasz tu czy gdzieś dalej?

Emmanuel Damamme zostawia Clotilde na końcu ścieżki, obok motocykla Étienne’a, i odjeżdża.

Étienne leży na plecach pod ich drzewem. To drzewo łatwo poznać; pełno na nim wyrytych inicjałów i serc. Oczywiście nie ich, to byłoby frajerskie. Étienne’a prawie do połowy zakrywa wysoka trawa. Clotilde

domyśla się, że to on, po włosach i koszulce. Étienne się nie rusza. Boże, czy przypadkiem Emmanuel mu czegoś nie zrobił? Był taki dziwny; powiedział, że jechał za nim, żeby go zabić.

Clotilde ostrożnie podchodzi bliżej. Czuje niechęć, zupełnie nie tak to sobie wyobrażała. Étienne leży nieruchomo, obok niego paczka słonych ciasteczek i butelka whisky, jedno i drugie napoczęte. Kiedy otwiera oczy, Clotilde zamiera. Potem kładzie się na nim, całuje go i mimo że całą siłą woli odpycha od siebie ten obraz, widzi blondynkę z Saint-Raphaël. Ma ochotę wyrwać mu ten jęzor, ale to zostawi sobie na później. Najpierw się trochę zabawię twoim kosztem, kochany.

Stawia pytanie, które ciśnie się jej na usta:

– Nie dostałeś mojego listu?

– Jakiego listu?

Od razu widzi, że on nie kłamie.

Patrzy na nią, a to, co widać w jego spojrzeniu, nie przypada jej do gustu. To nie jest wzrok zakochanego. Étienne jest zakłopotany.

Uff, po kłopocie!

Chodźmy się wykąpać, jest tak gorąco, proponuje Clotilde i dodaje parę słów o dziadku Niny. Im więcej mówi, tym bardziej wzrok Étienne’a twardnieje. Clotilde czuje, że on odchodzi, że jej umyka. Ucieka się do ostateczności, pieści go tam, gdzie trzeba, wie gdzie. On natychmiast reaguje. Ale to gorzkie zwycięstwo. Étienne jest łatwym chłopakiem. Trudno go utrzymać, ale łatwo zadowolić.

Wsiadają na motocykl, wjeżdżają w las i szukają odludnego miejsca.

Rozbierają się jednocześnie, on szybko, ona powoli; musi dobrze zaprezentować niespodziankę.

Étienne skacze do wody i odpływa od brzegu. Płynie długo, czasem odwraca się, żeby na nią spojrzeć. Ona stoi do niego plecami, odwija

bandaż i myśli: A gdybyśmy się tak oboje utopili? Jak w greckiej tragedii. Umrzeć wraz z nim, najpiękniejszy koniec świata… Już widzi tytuły w prasie: *Tragiczny wypadek… Para zakochanych traci życie*.

Wspólny pogrzeb. Nazwiska wyryte obok siebie na wieczność – byliby jak Romeo i Julia. *Tu leżą Étienne Beaulieu i Clotilde Marais, 1976–1994.*

Ale jak wciągnąć go pod wodę? Jest od niej dużo silniejszy. Musiałby być na porządnym haju albo kompletnie zalany.

Patrzy na niego z daleka i wyczekuje momentu, gdy będzie miał głowę pod wodą, i wtedy wskakuje do jeziora. Płynie w jego kierunku, śmiejąc się głośno, zbyt głośno. Wie o tym. Ale nie umie się powstrzymać, dostała nerwowej czkawki na myśl o tym, jaką zrobi minę, gdy zobaczy jej brzuch.

Dołącza do niego na środku jeziora, myśląc: Może będzie chciał mnie zatopić, żebym zginęła, zniknęła, i po kłopocie! Tym razem raz na zawsze. Poza Niną i młodym Damamme’em nikt nie wie o tym wieczornym spotkaniu.

Tym lepiej, niech to się skończy!

– Mam dla ciebie niespodziankę!

Zanurza się, robi kilka ruchów i wypływa na powierzchnię na plecach. To musi być spektakularny widok, myśli, wypinając maksymalnie brzuch.

Widzi, jak Étienne blednie. Widzi, że przez głowę przebiega mu jak błyskawica ten dzień dwudziestego piątego maja. Och, ale dał się nabrać, ależ jest głupi, przecież mógł się tego spodziewać.

Étienne nie jest w stanie wydusić z siebie słowa, a ona udaje, że cieszy się z żartu, jaki mu zrobiła. Patrzy na niego prowokująco, z drwiącym uśmieszkiem na ustach. Ma nadzieję, że chłopak się na nią rzuci, wepchnie jej głowę pod wodę, unicestwi ją. Tworzy drugą hipotezę, najstraszniejszą: Zabije mnie i dostanie dożywocie. To będzie najpiękniejsza zemsta.

Ale sprawy rzadko idą po naszej myśli. Étienne znika pod wodą. Clotilde zaczyna się bać, woła go. Wrzeszczy z całych sił jego imię. Kiedy Étienne wypływa, jest już daleko od niej, prawie przy brzegu.

Tchórz, kolejny raz uciekł.

Clotilde zbiera wszystkie siły, dogania go kraulem – szóstka na maturze ze sportu, wybrała pływanie.

W kilka sekund łapie go za kostki i nie pozwala mu wyjść z wody. Myśli o słowach Damamme'a: „Nie chciałabyś go zabić?".

Ale Étienne jest od niej dużo silniejszy. Wyrywa się i wychodzi, wręcz wyskakuje na brzeg, jakby gonił go diabeł.

Clotilde chwyta korzeń i wdrapuje się na skarpę. W spojrzeniu Étienne'a jest już tylko pogarda. Już nie patrzy na jej brzuch, patrzy na nią, patrzy jej w oczy z nienawiścią, która brzydko wykrzywia jego ładną twarz.

Przegrała.

Wybucha płaczem.

– Nie bój się, niczego od ciebie nie chcę! Nikt o tym nie wie, nawet rodzicom nie powiedziałam.

Chwyta torbę i pokazuje pieniądze wyjęte z książeczki oszczędnościowej.

– Patrz, mam mnóstwo forsy, wyjadę stąd.

– Dokąd wyjedziesz?

– Jeszcze nie wiem… To spotkanie tutaj… Chciałeś ze mną zerwać, prawda?

Clotilde traci grunt pod nogami, czuje, że go denerwuje, że on ma jej dość, że jej nienawidzi. Jeśli będzie tak jęczeć, Étienne zaraz odejdzie i nigdy go już nie zobaczy. Musi się uspokoić, musi znaleźć jakiś sposób, żeby go zatrzymać. Nawet gdyby miała go ogłuszyć kamieniem… Jest

o dwa kroki od wyznania mu prawdy, że poroniła, że natura wykonała brudną robotę za niego.

– Kurwa, nie mam nawet jeszcze osiemnastu lat! Dlaczego to zrobiłaś? – jęczy Étienne, połykając ogromne łyki whisky.

– Nie miałam odwagi przerwać ciąży.

– Nie wierzę ci, Clotilde. Przyznaj, że chciałaś mnie złapać na dziecko. Nie bredź mi tu o jakiejś odwadze.

Clotilde szybko się ubiera. Jej brzuch w wodzie jeszcze ujdzie, ale teraz boi się, czuje się pusta.

Étienne siedzi na trawie i robi sobie skręta. Ręce mu się trzęsą.

Clotilde siada przy nim.

– Kiedy rodzice się o tym dowiedzą, dostaną szału. U mnie i u ciebie – mówi Étienne, zwilżając bibułkę językiem.

– Wyjadę, zanim się dowiedzą – uspokaja go.

– Ale gdzie chcesz pojechać, na miłość boską?

Uśmiecha się.

– Dam sobie radę.

– Nie chcę dziecka. Nigdy nie chciałem. Nigdy nie będę chciał. Oszukałaś mnie. To obrzydliwe.

– A to, że chcesz mnie zostawić, nie jest obrzydliwe?

Étienne zamyka oczy. Clotilde czuje, wie, że go maksymalnie irytuje. Chciałaby się z nim kochać ostatni raz. Zyskać na czasie. Teraz już jej wszystko jedno: umrze czy będzie żyć. Pragnie tylko go dotknąć, patrzeć na niego, jak przeżywa orgazm. Ona jedyna ma dar, którego nie posiadają inne: zawsze potrafi mu zrobić dobrze. Umie doprowadzić go do odlotu. Étienne leży na trawie. Clotilde zręcznie przesuwa dłonią po jego ciele, on ją odpycha, raz, drugi, w końcu się poddaje. Pieści go długo, bardzo długo,

patrzy na jego sterczący członek, dotyka go, on jęczy głośno, coraz głośniej, oddycha coraz szybciej, kończy na jej dłoni. Nie otwiera oczu. Już nic nie mówi. Skręt zgasł, leży obok prawie pustej butelki.

To koniec końca świata, myśli Clotilde. Nawet na nią nie spojrzał. Brzydzi się nią. Odrzuca go jej ciało zdeformowane przez ciążę. Ma siedemnaście lat, pragnie młodych, niedojrzałych dziewczyn, a nie grubej baby.

Patrzy, jak Étienne zasypia. Jego oddech cuchnie alkoholem. Na wargach ma okruchy ciastka. Teraz ona brzydzi się jego.

Wciąż jest bardzo gorąco, ale Clotilde przeszywa zimny dreszcz. Chce wrócić do domu, do swojego pokoju. Nie, nie do mojego pokoju, nie pod ten prysznic, ten odpływ, myśli. Nie chce już nigdy widzieć rodziców, nikogo.

Ubiera się, na stopach i łydkach ma zaschnięte błoto. Jestem brudna.

Zagłębia się w las, szuka bitej drogi prowadzącej do La Comelle. Kieruje się światłami na horyzoncie. Dziesięć minut marszu pośród drzew, szelest liści pod stopami. Z daleka, z drugiej strony jeziora, dobiegają głosy i muzyka techno.

Gdy dotrze do drogi, zostaną jakieś dwa kilometry, zanim ujrzy pierwsze domy.

Kilometr pieszo, to męczy. Kilometr pieszo, to męczy… Sprawa jest więcej niż jasna, to koniec tej historii…

To koniec tej historii. Już nie zobaczy Étienne’a. Może za kilka lat wpadną na siebie przypadkiem w alejce supermarketu albo przed kioskiem z papierosami w La Comelle. „Cześć!” „Cześć! Pozwól, że ci przedstawię mojego męża”. „Dzień dobry, bardzo mi miło, to moja żona”. „Jak ci się wiedzie? Co robisz?” „No to do zobaczenia”.

Skończone. Skończone, myśli, dochodząc do bitej drogi.

Przeskakuje przez rów oddzielający las od drogi. Słyszy za plecami samochód. Nadjeżdża od strony jeziora. Młody Damamme? Może ich śledził… Może widział, jak się kąpali i potem, kiedy ona… Wszystko zaczyna jej się mieszać.

Trzecia hipoteza. Znajdują ją martwą, rozjechał ją samochód. Banalny wypadek drogowy czy samobójstwo? W obu wypadkach życie Étienne’a Beaulieu jest zniszczone. Na zawsze z poczuciem winy. Akurat, szybko by się otrząsnął!

Clotilde jest bardzo zmęczona.

Zresztą byłoby tak samo
Gdyby czas się cofnął
To po prostu, po prostu
Jeszcze jeden sobotni wieczór na ziemi
Nadchodzi, ona go widzi, ona go chce
Wkłada tyle ognia w każdy swój gest…

Przeklęta piosenka… Jaki dziś dzień? Środa? Ach, tak, dzieci nie mają szkoły. Jak wtedy, kiedy zaszłam w ciążę…

Samochód wznieca na drodze tumany kurzu, niedługo znajdzie się obok niej. Clotilde odwraca się, cały czas idzie szybkim krokiem; ocenia odległość, jaka ją od niego dzieli, nie widzi kierowcy, który nagle przyspiesza…

Pięć metrów, cztery metry, trzy, dwa… Clotilde rozpędza się…

---

* Francis Cabrel, *Samedi soir sur la terre*.

** Zazie, *Si j’étais moi*.

81

2 stycznia 2003

Ktoś stuka do drzwi. Dwa psy zaczynają szczekać.

Trzy suche stuknięcia. Lili nigdy tak nie robi. Wie, że Nina żyje w ciągłym strachu, więc jeśli z jakiegoś powodu musi zjawić się niespodziewanie, jeśli ma jej coś pilnego do powiedzenia, zawsze głośno uprzedza: „To ja, Lili!”.

Kto puka do schroniska? O dziewiątej? Schronisko o tej porze jest zamknięte dla odwiedzających, a pracownicy nadal nie podejrzewają, że z tyłu ktoś mieszka.

Nina boi się ruszyć. Jeszcze leży, półprzytomna z powodu leków przeciwbólowych, które przepisano jej wczoraj w szpitalu. Podciąga kołdrę pod brodę. Stukanie. Znów. I jeszcze raz.

Zaciska pięści i woła niepewnym głosem:

– Kto tam?!

– To ja.

Znajomy głos. Uff! Zaczyna normalnie oddychać.

Wstaje, wkłada długi sweter, krzywi się, bo rana po ugryzieniu wciąż boli. Pies się przestraszył, kiedy do niego podeszła; Nina lepiej niż

ktokolwiek wie, jak można się zachowywać pod wpływem strachu.

Przesuwa dłonią po włosach i otwiera drzwi.

Wysoka sylwetka Étienne’a ledwo mieści się w drzwiach. Jego zapach. Nina ma ochotę rzucić mu się w ramiona, ale stoi nieruchomo. Gdy ostatni raz się widzieli, w knajpie w Lyonie, obraził się i wyszedł bez pożegnania.

Nie całują się. Étienne wchodzi. Ogląda pokój; jego wzrok zatrzymuje się na stole, na którym leżą papier, klej, pędzle, tubki farby, drut, koraliki, kolorowe kafelki… Na środku schnie lampka nocna z odmalowaną nóżką.

– To mój wkład – mówi Nina, żeby wytłumaczyć tę graciarnię na stoliku. – Robię różne rzeczy dla schroniska… Jak mnie znalazłeś?

– Informatorzy.

– A poza tym?

– Szpital.

Étienne patrzy na jej obandażowaną kostkę. Nina ma na sobie długi sweter. Gołe nogi. Chude, delikatne ramiona i nadgarstki, cała jest szczupła – taka jak wtedy, kiedy ją poznał. Sylwetka i twarz odzyskały dawny wdzięk. Ale mieszka w norze, wśród psów. To miejsce to obraz nędzy. Nie śmie jej tego powiedzieć. Gdyby nie bandaż na nodze, wyglądałaby prawie jak po powrocie z wakacji. Wydaje się o wiele spokojniejsza niż ostatnim razem… Kiedy mieszkała w czymś przypominającym fortecę, z tym szaleńcem…

– Właściwie nigdy nie wyjechałaś z La Comelle – mówi cicho, jakby do siebie. – Mieszkasz tu od ilu… od dwóch lat?

– Od dwóch lat i dwóch miesięcy.

– To wariactwo.

– Boję się, że on mnie znajdzie – mówi Nina.

– Damamme?

– Tak.

– Zajmę się tym.

Nina blednie, spina się, wpada w panikę.

– Z wariatami nikt sobie nie da rady, nawet policja. Nigdy do niego nie idź. Wiedziałby, jak z ciebie wyciągnąć, gdzie mieszkam. Przysięgasz?

– Przysięgam – odpowiada niechętnie Étienne.

– Dzięki! – Nina składa ręce jak do modlitwy.

Podchodzi do stolika, na którym stoi czajnik, bierze dwie filiżanki i herbatę w torebkach. Étienne nie śmie powiedzieć, że dziękuje za herbatę.

– Masz wiadomości od Adriena? – pyta Nina.

Widzi w jego spojrzeniu cień zazdrości. Ledwo do niej przyszedł, a ona już mówi o tym drugim.

– Podobno gdzieś wyjechał, wszystko zostawił. Paryż, te swoje sztuki, wystawne życie… Louise mówi, że podróżuje. Ona czasem wsiada w samolot i gdzieś do niego leci. Wiesz, zawsze byli dziwni… Nie mogą się pobrać i mieć dzieci, jak wszyscy?

– Dlaczego tu przyszedłeś, Étienne?

– Stęskniłem się za tobą. Ostatnim razem wściekłem się z powodu listu Clotilde… Potem się obwiniałem. Bo odeszłaś… a ja cię zostawiłem samą, mimo że byłaś w takim okropnym stanie… Jak zarabiasz na życie?

– Nie zarabiam.

Étienne patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Niewiele potrzebuję… Chciałam sprzedać biżuterię, którą dostałam od Emmanuela, ale Lili mi nie pozwala. Lili to kierowniczka tego schroniska. Moja przyjaciółka. Uratowała mnie. Raz, dwa razy w roku kupuje mi na wyprzedaży kilka ciuchów, zaopatruje mnie w pastę do zębów, mydło, aspirynę, jeśli boli mnie głowa… Robię u niej pranie. Ma

ogródek i warzywa, biorę stamtąd, co chcę. Robi przetwory na zimę i piecze ciasta. W zamian za to pomagam jej w prowadzeniu schroniska i wyrabiam różne przedmioty, które potem sprzedajemy podczas dni otwartych.

– Jak długo jeszcze zamierzasz tu być?

– Nie wiem.

– Ale, Nina, to nie jest życie!

– To jest moje życie.

– Żyjesz jak człowiek wyjęty spod prawa. A przecież nic złego nie zrobiłaś!

– Zrobiłam coś złego, wychodząc za mąż za Emmanuela Damamme’a.

– Miałaś osiemnaście lat! Umarł twój dziadek!

Nina podaje Étienne’owi filiżankę z herbatą i zamyślona wygląda przez okno.

– Czy mógłbyś poprosić Marie-Laure, żeby poszła na cmentarz? Ja nie mogę teraz pójść do dziadka, a chciałabym wiedzieć, czy wszystko dobrze. Od czasu do czasu zanieść mu kwiaty… Ale pamiętaj, nie widziałeś się ze mną, nie wiesz, gdzie jestem.

– Nina, nie możesz dłużej tak mieszkać.

– To mi odpowiada. Czuję się tu dobrze. Étienne, znam cię na tyle, że wiem, co myślisz o tym miejscu. Widzę, że z obrzydzeniem patrzysz na ściany, na zniszczone fugi, stare okna, ale nie masz pojęcia, jak mi tu dobrze… Pewnie, że wolałabym móc spacerować po mieście, usiąść na tarasie kafejki i napić się kawy, ale nie czuję się jeszcze gotowa. Wiem, że Emmanuel mnie szuka, czuję to. To jest irracjonalne, myślisz pewnie, że zwariowałam, ale tak długo, jak Lili jest przy mnie, czuję się bezpieczna.

– Twoja Lili tak naprawdę nazywa się Éliane Folon… Wiesz, że to była prostytutka?

– Słucham?!

– Nawet siedziała w więzieniu i…

– Étienne, idź już sobie.

– Nina, nie miej mi tego za złe, ale musisz przyznać, że masz talent do otaczania się dziwnymi ludźmi.

– Tak, mam ci to za złe. Przyszedłeś tu, żeby sobie oczyścić sumienie? Jak widzisz, czuję się dobrze, możesz wracać do Lyonu. Nie obrzucaj błotem jedynej osoby, która wyciągnęła do mnie rękę, nie oczekując niczego w zamian.

– Aż do dnia, kiedy każe ci iść zarabiać na ulicę?

– Idź sobie, Étienne.

– Jak chcesz.

– Chcę. Dziękuję, że wpadłeś.

– Jesteś wciąż tak samo irytująca.

– Robię, co mogę.

Nina od razu żałuje swoich słów. Ma ochotę go zatrzymać. Chciałaby, żeby usiadł, żeby zaczęli rozmowę od początku. Na pewno przyszedł z jakąś propozycją. Na pewno miał dobre intencje. Musi mu spokojnie wytłumaczyć, dlaczego boi się stąd ruszyć.

– Spotkałem kogoś – mówi Étienne już na progu.

– Cieszę się.

– Możesz do mnie dzwonić, kiedy chcesz. Mam wciąż ten sam numer.

– Nie włączam komórki.

Patrzą na siebie ostatni raz. Nina dotyka dłonią policzka Étienne’a, on bierze tę dłoń i całuje jej palce.

*

Étienne idzie wzdłuż klatek. Dwoje młodych ludzi spłukuje podłogi szlauchem, wolontariusz od spacerów bierze na smycz psa collie i kieruje się ku wyjściu. Étienne czyta identyfikator psa przyczepiony do kraty: DEBBY: RASA X OWCZAREK, SUKA, WYSTERYLIZOWANA, UR. 1999, W SCHRONISKU OD 2001. Dwa inne psy szczekają, merdając ogonami.

Kiedy przechodzi przed biurem znajdującym się tuż koło wyjścia, woła go Lili.

– Widział się pan z Niną? – pyta.

– Tak.

– Powiedziała panu, że się boi?

– Tak.

– Pan to Étienne, jej przyjaciel?

– Tak.

– To pan jest policjantem?

– Taaa…

– Zrobi pan coś, żeby zatrzymać tego wariata?

– Nie.

– Na co pan czeka? Aż przyjdzie tu i ją zabije?

– Nie będzie mi pani rozkazywać. Wiem, kim pani jest. Co pani zrobiła.

– To, co zrobiłam, to wyłącznie moja sprawa, młody człowieku.

Étienne natychmiast żałuje, że to powiedział. Jeśli ma pretensje, to tylko do siebie, a nie do tej biednej kobiety.

– Bardzo panią przepraszam.

– Nie szkodzi.

Étienne milczy.

– To dobra dziewczyna – dodaje Lili. – Kiedy ją spotkałam, była w okropnym stanie. Niech pan tak nie stoi, proszę wejść na kawę.

Étienne idzie za nią i siada w zdezelowanym fotelu naprzeciw. Lili przesuwa stos papierów i stawia na biurku dwie dymiące filiżanki. Éliane Folon ma na sobie spodnie z zielonego nylonu i długi sweter z żółto-różowymi pomponami. Włosy niedbale upięte w kok przytrzymuje wielka czarna spinka.

– Widział pan moje papiery?

– Taaa… Usiłowanie zabójstwa.

– Był strasznym śmieciem.

– Nie jestem sędzią.

– Tak, jest pan sędzią, młody człowieku. Rzucił mi pan w twarz, tonem prokuratora, że zna pan moją przeszłość.

Étienne nie odzywa się.

– Ale jak już powiedziałam, wybaczam panu.

– Jak się pani tu znalazła? – pyta Étienne.

– Wyszłam na wolność dziesięć lat temu. Wychowawca więzienny znalazł mi pracę w La Comelle. Sprzątaczka w fabryce Magellana. Z powodu historii z maltretowanym psem poznałam poprzednią kierowniczkę schroniska, którą potem zastąpiłam. Krótko mówiąc, psy uratowały mi życie. A więc teraz ja ratuję życie im.

– Dlaczego pani pomaga Ninie?

– Nina przypomina mi dziewczynę, którą poznałam w poprzednim życiu. Tamtej się nie udało… Kiedy chciałam pomóc, sutener ją zlikwidował. Wie pan, mam dar rozpoznawania strachu w oczach dziewcząt, a Nina go miała.

Étienne zaciska pięści. Uświadamia sobie, że w ogóle się nie sprawdził. Ładny przyjaciel!

– Co to za facet, którego chciała pani zabić?

– Mój ukochany.

Étienne jest zaskoczony. Myślał, że kobieta powie „mój alfons” albo „mój facet”. Lili wybucha śmiechem.

– Ale pan zrobił minę! Żartuję. Straszny był z niego śmieć, mówiłam już. Któregoś ranka powiedział coś złego i uderzył mnie w twarz o jeden raz za dużo, więc cisnęłam w niego nożem. Wyszedł z tego. Rana się zagoiła, została ładna blizna. Ale co ma być, to będzie, w końcu trafiła go zabłąkana kula. Powie pan, że znalazł się w złym miejscu w złym czasie, ale ja myślę, że Bóg wybrał dobry czas i dobre miejsce, żeby pomóc mu opuścić ten świat.

82

29 grudnia 2017

Z kolanami podciągniętymi pod brodę siedzimy obok siebie na słońcu, na górnym pokładzie promu do Palermo. Étienne z lewej, Nina w środku, ja z prawej. Plecami oparci o reling, poddajemy się łagodnym powiewom wiatru. Morze jakby nas obserwowało.

– Sto lat temu była pierwsza wojna, tysiąc dziewięćset czternaście– tysiąc dziewięćset osiemnaście…

– Zwariowałaś, Nina? Skąd ci się to wzięło? Nigdy się nie zmienisz, ale za to cię lovciam, jak by powiedział mój syn. Dlaczego myślisz o tej wojnie?

Nina uśmiecha się, roztaczając światło.

– Nie wiem, okopy, mijający czas… Dla mnie czas bardzo się wlókł, odkąd my troje przestaliśmy sobie składać życzenia urodzinowe. Za pierwszym razem czułam się tak, jakbym utonęła w jakiejś cholernej ciszy. Wcześniej co roku te wydarzenia odmierzały czas, a potem nagle nic. Wcześniej gadaliśmy o wszystkim.

– Ja nigdy nie miałem pamięci do dat – przypomina nam Étienne.

Zapala papierosa. Widzę, jak Nina powstrzymuje chęć, żeby mu go wytrącić z dłoni, zdmuchnąć płomień zapalniczki, ale nie śmie.

Ja milczę, jak zwykle. Cisza mnie odpręża. I wiem, że ani Étienne, ani Nina nie zapytają, dlaczego nic nie mówię. To jedna z dobrych stron długiej znajomości.

– Dlaczego jesteście ze mną? Dlaczego to dla mnie robicie? – pyta Étienne. – Przecież w gruncie rzeczy nigdy nie byłem lojalny wobec żadnej z was.

– Nigdy nie byłeś lojalny?! – wykrzykuje Nina. – A drugiego stycznia dwa tysiące trzeciego roku, kiedy przyszedłeś do schroniska? Nie wiem, co wtedy zrobiłeś ani co się stało, ale się stało.

– O czym wy mówicie?

– O tym dniu, kiedy do ciebie zadzwoniłem – odpowiada mi Étienne. – Byłaś w Cagliari z moją siostrą. W sumie niedaleko stąd. Pamiętasz?

– Jak mogłabym zapomnieć? Wtedy ostatni raz z tobą rozmawiałam. Aż do teraz, ostatnich czterech dni.

– Gadaliście ze sobą tamtego dnia? – Nina zakrywa dłońmi usta, jak mała dziewczynka złapana na gorącym uczynku.

Uśmiecham się. Milczę.

Étienne zamyka oczy, prostuje nogi.

Pamięta doskonale spojrzenie Éliane Folon, Lili, jak nazywała ją Nina, w schronisku. Dwie zielone kulki wpatrujące się w niego wnikliwie. Dające mu do zrozumienia, że najwyższy czas „zająć się” Emmanuelem Damamme’em, żeby Nina mogła wreszcie zacząć normalnie żyć.

Wychodząc, Étienne zadzwonił do Adriena, myśląc, że to pewnie nie ma sensu, ale… Adrien od razu odebrał.

– Myślałem, że zmieniłeś numer – takie były pierwsze słowa Étienne’a.

Nie widzieli się od burzliwego spotkania w restauracji La Lorraine.

– Po co miałem zmieniać? Nikt już mnie nie szuka z wyjątkiem Louise i mojego byłego wydawcy.

– No, właściwie bałem się, że nie odbierzesz, jak zobaczysz, że to ja dzwonię.

– Skoro do mnie dzwonisz, wiem, że chodzi o Ninę. Inaczej byś się nie odezwał. Masz jakieś wieści, prawda?

– Taaa… Nawet się z nią widziałem.

– Gdzie ona jest?

– Nie uwierzysz…

Ostatni raz Étienne był w posiadłości Damamme’ów podczas mistrzostw świata w piłce nożnej w 1998 roku. Dlaczego już wtedy nie próbował wyrwać Niny z tego strasznego życia? Co mu przeszkodziło? Wyglądała na okropnie nieszczęśliwą.

Drugiego stycznia 2003 roku o dziesiątej rano Étienne złożył wizytę Emmanuelowi. Ten był rozmemłany, wychudzony i samotny. Miał kilkudniowy zarost, T-shirt i bokserki. Budził litość.

– Przychodzisz złożyć życzenia noworoczne? – spytał ironicznie na widok Étienne’a.

– Dlaczego doprowadziłeś się do takiego stanu?

– Miłość! – zadrwił. – Wiesz, gdzie jest Nina?

– Zapomnij o niej.

– Nigdy.

– Dlaczego? Jeśli od ciebie odeszła, to znaczy, że chce, żebyś o niej zapomniał.

– Być może, ale ja muszę się z nią zobaczyć.

– Powinieneś wybić ją sobie z głowy raz na zawsze.

– Przyszedłeś, żeby mi opowiadać te bzdury?

– Możesz mieć kłopoty. Duże kłopoty.

– Jakiego rodzaju?

– Z rodzaju tych ostatecznych.

– Grozisz mi?

Emmanuel zaczął groteskowo gestykulować i śpiewać głośno:

– Étienne Beaulieu mi grozi! Étienne Beaulieu mi grozi!

– Teraz rozumiem, czemu uciekła. Strach na ciebie patrzeć, sam bym się bał.

Emmanuel zamilkł. Nastała cisza. Potem nagle rzucił:

– Czyli… wiesz, gdzie ona jest? Powiedz! No, powiedz to! Powiedz! – Emmanuel krzyczał, podskakując jak rozhisteryzowany dzieciak.

Étienne usiadł na kanapie. Jak dotąd wszystko szło według planu.

– Dlaczego akurat dziś? Dlaczego dziś do mnie przyszedłeś? Widziałeś się z nią? Wiesz, gdzie jest? Oczywiście, że wiesz, kurwa! Przyznaj się! – wykrzyknął Emmanuel i uderzył pięścią w ścianę.

– Ty zasrany psychopato! – wysyczał Étienne przez zęby.

Emmanuel natychmiast spoważniał.

– Pieprz się, Beaulieu, ty i twoje kazania… Tak czy inaczej, sprzedaję firmę i wyjeżdżam stąd.

– Dokąd?

– Jeszcze nie wiem. Jak najdalej. Masz rację, muszę zapomnieć o tej kurwie.

Słysząc, jak nazwał Ninę, Étienne musiał bardzo się wysilić, żeby mu nie rozkwasić mordy.

– Wiesz, że to ja podwiozłem Clotilde Marais nad jezioro tamtego wieczoru, gdy zniknęła? Naopowiadałeś wszędzie, że nie przyszła na

spotkanie, ale ja wiem, że kłamałeś… Wysadziłem ją przy twoim motocyklu.

Étienne udaje, że mu nie wierzy. Ale dostał cios prosto w serce. Tamten pewnie kłamie, żeby zmusić go do powiedzenia prawdy. Jakim cudem ten wariat miałby wpaść na Clotilde akurat wieczorem siedemnastego sierpnia? Emmanuel wyczuł zmieszanie Étienne’a, który spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego.

– Przyznaj się: co zrobiłeś tej biednej dziewczynie? – wycharczał.

– Nie przyszedłem tu rozmawiać o Clotilde, tylko o Ninie.

– Nie wierzysz mi, co? Mogę ci dokładnie opisać, w co była ubrana. Miała na sobie sukienkę, czarną w białe kropki. Zapinaną z przodu na guziki w kształcie biedronek. I miała białe tenisówki. Pamiętam dobrze, bo pomyślałem, że to zły pomysł włóczyć się w białych butach po tamtych terenach.

– Mitoman z ciebie. Każdy wie, w co była ubrana, podawali to w ogłoszeniu o zaginięciu. A co ty w ogóle miałbyś tam robić? Masz basen olimpijski w swoim ogrodzie. Nigdy nie szwendałeś się nad jeziorem.

Emmanuel Damamme uśmiechnął się złośliwie i smutno zarazem. Étienne czuł do niego litość i obrzydzenie. Ten dandys, który nie miał już w sobie nic eleganckiego, najwyraźniej cierpiał męki i nie miał już kontroli nad niczym. Patrzył na Étienne’a, nie widząc go, zagubiony w myślach.

– Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że w twoim nazwisku jest słowo „piękny”*…

Étienne milczał.

– Widziałem was w dniu pogrzebu, jak po południu przyszliście do domu dziadka Niny, ty i ten pedał. Czekałem, a potem zobaczyłem, jak wychodzisz sam. Nie wiem, dlaczego zacząłem cię śledzić. Widziałem, jak wszedłeś do siebie i jak potem wyszedłeś i wsiadłeś na motocykl. Miałem

ochotę zepchnąć cię do rowu przy drodze. Jechałem tuż za tobą, nie alpine, tylko samochodem firmy. Kilka razy prawie na ciebie wpadłem. Żegnaj, Beaulieu! Jeśli tego nie zrobiłem, to tylko ze względu na dziadka Niny. Zbyt dużo zmarłych w tym samym czasie. Bałem się, że Nina tego nie zniesie. Potem zobaczyłem, jak kładziesz się na trawie nad brzegiem jeziora… to znaczy tego miejskiego wysypiska, i jak zaczynasz chlać whisky. A potem miałem chwilę olśnienia i zapytałem siebie, co ja tam, do cholery, robię. Wracając do La Comelle, zauważyłem Clotilde Marais, która szła skrajem drogi. Zawróciłem i ją podwiozłem. Powiedziała, że idzie się z tobą spotkać. Było jasne jak słońce, że ma bzika na twoim punkcie.

– To ty ją skrzywdziłeś? – Étienne słyszy własny głos, dochodzący jakby z boku.

– Jedyną krzywdą, jaką jej zrobiłem, było to, że zostawiłem ją tam, przy twoim motocyklu. Nie jesteś niewinny. Więc nie przychodź tu prawić mi kazań.

– Byłeś tam cały czas? Szpiegowałeś nas?

– Nie. Wróciłem tutaj.

– Kłamiesz.

– Miałem was w dupie, w ogóle mnie nie obchodziliście. Wtedy myślałem wyłącznie o Ninie. Musiałem być w domu, gdyby nagle mnie potrzebowała. Dobrze wiesz, że wtedy nie było komórek. Godzinami czekało się przy telefonie. I cud się zdarzył. Myślałem, że jej już nigdy nie zobaczę, tymczasem zadzwoniła i poprosiła, żebym po nią przyjechał… Była sama z tym pedałem…

– Przestań tak mówić o Adrienie.

– Dlaczego? Kochasz się w nim? Nina ci nie wystarcza?

Emmanuel wybuchnął śmiechem. Był to śmiech pełen bólu, który wykrzywił mu twarz.

– A wracając do Clotilde Marais, wiesz, że to ja wciąż dzwonię na policję i mówię, że tamten wieczór spędziła z tobą?

Étienne powstrzymał się, żeby na niego nie skoczyć. To nie był wariat, to był zimny, perwersyjny manipulator. Ale po jego wyznaniu Étienne'owi trochę ulżyło. Często myślał, że nieznajomy, który donosi na niego na żandarmerię, to jego własny ojciec. Ten ojciec, który go nie kochał, tak bardzo nie kochał, że mógł go oskarżyć o najgorsze.

– I to ja zadzwoniłem do telewizji, kiedy mówili o tym zaginięciu – perorował niezrażony Damamme. – Zawsze marzyłem, żebyś skończył w pierdlu. Jak pomyślę, że zostałeś policjantem… Jesteś zwykłym oszustem, Beaulieu. No, przyznaj się, że to ty zabiłeś Clotilde Marais.

Étienne zapomniał o przygotowanej strategii, nie zdołał się powstrzymać przed odpowiedzią:

– Ja nie jestem wariatem, nie zastraszam dziewczyn. Zresztą żadna mnie nigdy nie zostawiła, czego nie można powiedzieć o tobie.

Emmanuel chwycił patelnię z kuchenki i uderzył go z taką siłą, że Étienne, który się tego nie spodziewał, stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, leżał w kałuży krwi; łuk brwiowy miał rozcięty na dwa centymetry, Emmanuela nie było. Étienne zatamował krwotok. Był na siebie wściekły. Dlaczego dał się sprowokować temu idiocie? Zaczął go szukać po całym domu. Otworzył nawet szafy w sypialni i zobaczył przy okazji, że po Ninie nie ma tu już ani śladu.

Ale nawet jeśli ten kretyn uciekł, atak patelnią miał swoje dobre strony – była to napaść na przedstawiciela władzy. Étienne mógł teraz zamknąć Damamme'a. Ale najpierw musi go dorwać.

Emmanuel stał w kuchni, koło szafek, blady, nieobecny, ze szklanką wody w ręce.

To był dobry moment, żeby przejść do planowanej akcji.

– Wiem, gdzie jest Nina – oznajmił Étienne.

Emmanuel spojrzał na niego, jakby zobaczył diabła. Czekał na to ponad dwa lata, tropił jak oszalały myśliwy, a teraz już nie chciał tego wiedzieć. Jakby zdobycie szczytu zawaliło górę.

Usiadł. Wciąż trzymał w dłoni szklankę z wodą. Oskarżony czekający na wyrok. Étienne zaczął mówić, łagodnie, łaskawie. Starannie dobierając słowa.

– Znalazłem ją dzięki jednemu z moich informatorów. Mieszka jakieś trzysta kilometrów stąd. Myślę… Wydaje mi się, że jest szczęśliwa. Żyje z mężczyzną starszym od niej o jakieś dziesięć lat… Mają dziecko… Dziewięciomiesięcznego chłopczyka, ma na imię Lino. Na wiosnę urodzi im się drugie… Nina poznała tego człowieka w pracy.

Emmanuel miał ochotę wrzasnąć: „Ale to ja jestem jej mężem!”, zanim uświadomił sobie, że nie, że jest już nikim.

Étienne mówił dalej, czując, że z każdym słowem głębiej wbija nóż w ciało swojej ofiary.

– Nina pracuje przy renowacji obrazów. To było zawsze jej marzenie, wiesz, jak lubiła malować… Przykro mi. Nigdy za tobą nie przepadałem, Damamme, ale zasługujesz na prawdę, widzę, że jesteś w złym stanie… Cierpisz z powodu kogoś, kto już nie istnieje. Nina skreśliła ciebie, nas, Adriena, moich rodziców, mnie, La Comelle… Nigdy już jej nie zobaczymy.

– Gdzie mieszka? – zapytał Emmanuel ostatkiem sił.

– W Annecy, ładny dom nad jeziorem… Pojechałem to sprawdzić. Byłem w szoku… Widziałem ją z daleka. Piękną… W ciąży. Pchała wózek z synkiem, obok szedł pies… Definitywnie zamknęła nasz rozdział. Zrób tak jak ona. To skończone.

Emmanuel położył się w pozycji embrionalnej, z kolanami przyciśniętymi do piersi, i zaczął płakać. Wyobrażał sobie żonę nieszczęśliwą, samotną, zagubioną, trzęsącą się ze strachu. Ale takiego scenariusza nie przewidział. Inny mężczyzna, dwójka dzieci, pies… Zorganizowała sobie nowe życie. Teraz odnalezienie jej, zabicie i popełnienie samobójstwa wydało mu się nagle czymś absurdalnym. Nina, jego Nina, uległa, przestraszona, bezpłodna i ciągle pijana, przestała istnieć. Dziewczyna z Annecy z dwojgiem dzieci to już nie była ona.

Wracając do samochodu, Étienne zadzwonił do Adriena, żeby powiadomić go, że ich plan się udał. Adrien nie odebrał.

Plan powstał w ich głowie, gdy Étienne wychodził ze schroniska. Ustalili wszystko przez telefon, przed wizytą Étienne’a u Emmanuela Damamme’a.

Musieli znaleźć rozwiązanie, żeby uwolnić Ninę od męża. Wynająć płatnego zabójcę? Niemożliwe. Zabić go własnymi rękami? Też niemożliwe. Popchnąć go do samobójstwa, wmawiając mu, że Nina nie żyje? To by nie zadziałało. Dać mu fałszywy adres gdzieś w Polinezji, w nadziei, że tam pojedzie i nie wróci? Nierealne…

Rozwiązanie znalazł Adrien: po prostu należy mu powiedzieć, że Nina zbudowała sobie inne, szczęśliwe, życie z mężem i dziećmi. To stanie się tarczą. Adrien podyktował Étienne’owi tekst, który należało wygłosić: jezioro Annecy, kochający partner, dzieci, pies, wózek, wiosna, praca przy renowacji obrazów, wszystko to, czego Damamme nie był w stanie dać żonie. Nigdy nie ośmieli się skonfrontować z tą rzeczywistością i być może zrezygnuje z dalszych poszukiwań.

– Widać, że piszesz książki – zachwycił się Étienne. – To kurewsko dobry pomysł!

Potem Adrien i Étienne już nigdy ze sobą nie rozmawiali ani się nie spotkali.

---

* Beau (franc.) – piękny.

83

29 grudnia 2017

Bernard Roi zawsze był przeciętniakiem. W szkole podstawowej i później w gimnazjum trója była jego najwyższym stopniem. Najlepiej się czuł, gdy nikt na niego nie zwracał uwagi. Gdyby zrobił test IQ, okazałoby się, że należy do grupy z przeciętnym poziomem inteligencji.

W gimnazjum zdecydował się na szkołę zawodową i ledwo zdobył dyplom mechanika samochodowego.

Ale kiedy skończył szesnaście lat, jego szef, właściciel warsztatu w La Comelle, wyrzucił go z pracy, bo chłopak wciąż się spóźniał. Bernard palił zbyt dużo skrętów, więc miał trudności z obudzeniem się.

Pod koniec 1994 roku został zatrudniony w fabryce Magellana, która produkowała części zamienne do samochodów. Pracował na końcu linii produkcyjnej, przy kontroli jakości. Najpierw tymczasowo, potem na stałe. Robił to od dwudziestu trzech lat, nie stwarzając żadnych problemów. Nie zwalniano go podczas redukcji etatów ani gdy ludzie odchodzili na wcześniejsze emerytury. Zarabiał, miał oszczędności, kupił skromny domek na przedmieściach i samochód na kredyt.

W gimnazjum słuchał The Clash i nosił T-shirty z wizerunkiem grupy Sex Pistols, ale nie bardzo pamięta dlaczego. Kiedy dzieci pytają: „Tato, jak

to było, kiedy byłeś młody?”, Bernard odpowiada: „Ciężko, wszyscy mi zarzucali, że uważam się za króla*”.

Kiedy był nastolatkiem, w wesołym miasteczku w La Comelle zaczepiła go stara Cyganka. Nie ośmielił się odmówić, gdy chwyciła go za rękę. Przepowiedziała mu raczej szczęśliwe małżeństwo i dwójkę dzieci, ale dodała, że kiedy skończy siedemnaście lat, coś się wydarzy. „Nie widzę wyraźnie co, ale to będzie brutalne”, oznajmiła, wpatrując się w jego linię życia, po czym zażądała dziesięciu franków.

Bernard szybko o tym zapomniał, aż do dnia, gdy to coś się wydarzyło. Przypomniały mu się wówczas ostatnie słowa starej kobiety: „Synku, jeśli wtedy nie powiesz prawdy, będziesz zgubiony!”.

Tej prawdy Bernard nigdy nie powiedział.

Był dobrym mężem i ojcem, prowadził regularny tryb życia: najpierw poranna kawa, w której maczał kupną magdalenkę, potem rower, którym jechał do fabryki znajdującej się w odległości kilometra od jego domu, w południe kanapka, którą jadł, siedząc wówczas na „swojej” ławce, i powrót do domu o siedemnastej trzydzieści, żeby pomóc żonie w obowiązkach domowych.

Tego roku wziął wolne na Boże Narodzenie już dwudziestego drugiego grudnia. Ale w przeciwieństwie do poprzednich lat tym razem oglądał telewizję ze swoimi dużymi już dziećmi, nic nie widząc, i odpowiadał bezmyślnie na zadawane mu pytania, właściwie ich nie słysząc.

Poprzedniego wieczoru postanowił wreszcie wszystko powiedzieć.

Dwudziestego dziewiątego grudnia, o dziewiątej rano, Bernard wsiada na rower. Jedzie nie do fabryki, ale na posterunek żandarmerii.

Szczęście w nieszczęściu, trafia na Sébastiena Laranda, który akurat wtedy przechodzi przez poczekalnię; to jego kolega z gimnazjum, żaden przyjaciel, ale fakt, że się znają, dodaje Bernardowi odwagi. Nie chciałby

natknąć się na kogoś obcego w mundurze, a jeszcze gorzej, gdyby to była kobieta.

Znajomy funkcjonariusz uśmiecha się do niego.

– Cześć, co cię tu sprowadza tak wcześnie rano?

– Clotilde Marais – odpowiada Bernard, wpatrując się w czubki swoich wypastowanych butów, które Céline, jego żona, czyści w każdą pierwszą sobotę miesiąca.

Uśmiech znika z twarzy Sébastiena Laranda. Pomyśleć, że wpadł tu na chwilkę… Od wielu dni mieszkańcy La Comelle mówią tylko o tym, czy ciało znalezione w zatopionym samochodzie to Clotilde Marais. W tym małym miasteczku rzadko zdarza się coś niezwykłego.

Sébastien i Bernard znają się, od kiedy byli dzieciakami; Bernard Roi jest może o rok czy dwa starszy, ale to nie jest facet skłonny do żartów, więc jeśli dzisiaj tu przyszedł, to chyba jakaś poważna sprawa, myśli żandarm.

– Chodź. Będzie nam wygodniej w moim pokoju.

– Nie aresztujesz mnie? – dziwi się Bernard.

– Jak na razie, o ile mi wiadomo, nie jesteśmy w serialu *Prawo i porządek: Sekcja specjalna*.

Bernard Roi opada na krzesło i od razu zaczyna żałować, że przyszedł. Po co? Co to zmieni?

– Słucham cię – zachęca go Sébastien Larand, podając mu szklankę wody.

Zapada cisza. W końcu Bernard się odzywa:

– Tamtego dnia… Kiedy ona, jak to się mówi, zniknęła… Clotilde Marais… Nie wiodło mi się za dobrze. Pół roku wcześniej szef wywalił mnie z pracy. Byłem w słabej formie. Paliłem dużo zioła, czasem hasz. Ale nigdy nie dotknąłem niczego innego, przysięgam na głowy moich dzieci.

Tamtego dnia było bardzo gorąco. I smutno. Rano odbył się pogrzeb naszego listonosza… To był dobry człowiek. Byłem zły i znudzony. Ludzie powyjeżdżali na wakacje, tylko ja jak zwykle, jak co roku, nigdzie nie pojechałem. U mnie w domu morze widywaliśmy tylko w telewizji. Więc robiło się różne głupstwa. Człowiek się nudził. Nie usprawiedliwiam się… Ale widzisz, jak jestem zbudowany? A wtedy sama skóra i kości. Nie odważyłbym się iść na basen miejski. Wszyscy ze mnie kpili. Ech, Królu, słabeusz z ciebie, nie dałbym wiele za twoje królestwo. Rozumiesz? Zostawało mi to cholerne jezioro. Tam mogłem w spokoju zapalić i się napić. Nie chciało mi się nic robić. Nie miałem prawa jazdy, brat zabrał rower… Postanowiłem zakosić twingo sąsiada, starego Desnosa. Nienawidziłem go, bo rok wcześniej otruł naszego psa. Nie było dowodów, ale wiedzieliśmy, że to on. Nie zamykał tego swojego gruchota, łatwo było go odpalić. Pojechałem prosto nad jezioro, bałem się jak cholera. Bez prawa jazdy, kradziony samochód, hasz i alkohol w schowku… Nie miałem zamiaru oddawać Desnosowi auta, zamierzałem je wykorzystać i potem gdzieś porzucić. Nad jeziorem nie było nikogo; wykąpałem się, upaliłem, przespałem, połaziłem… Kiedy zaczęło się robić ciemno, ruszyłem twingo, w radiu leciała piosenka, *Foule sentimentale*, historia fajnego życia. Później nie mogłem jej słuchać. Bo na końcu drogi, na poboczu, zobaczyłem tę dziewczynę. Była z La Comelle, pamiętałem ją ze szkoły, nie przyjaźniła się z takimi jak ja. Ale byłem zjarany, przestraszyłem się… Spanikowałem, przyspieszyłem, żeby nie zauważyła mnie w tym kradzionym aucie. Rozpędziłem się, myśląc: Szybko, przejedź koło niej, spuść głowę. Ale nie miałem czasu spuścić głowy, bo ona rzuciła się jak jakaś gimnastyczka, która chce pobić rekord olimpijski. Rzuciła mi się pod koła, jakby frunęła. Dobrze wycelowała. Nie miałem kiedy zahamować. Zacząłem krzyczeć. Blady strach. Uderzenie było tak gwałtowne, że roztrzaskały się oba

reflektory. Siedziałem oniemiały za kierownicą, nie byłem w stanie się ruszyć. Ręce mi się trzęsły. Tyle wypaliłem przez całe popołudnie, że nie wiedziałem, czy to się stało naprawdę, czy mam halucynacje. I ta *Foule sentimentale* w radiu… Wyłączyłem je. Silnik wciąż chodził. Rozpłakałem się. Cofnąłem samochód. Zobaczyłem ją w blasku świateł postojowych. Leżała na drodze jak martwe zwierzę. Przypomniał mi się nasz wielki pies, ten, którego sąsiad otruł. Jego zimne ciało leżące w ogrodzie, które zobaczyłem po powrocie do domu. W końcu wysiadłem z samochodu. Na początku w ogóle nie chciałem jej dotknąć. Potem zacząłem szukać pulsu. Nie żyła. Dlaczego padło właśnie na mnie? Dlaczego to zrobiła? Popełniła samobójstwo na moich oczach… Dlaczego taka księżniczka jak ona zakończyła życie na oczach takiego przegranego jak ja? Byłem kompletnie skamieniały ze strachu. Pomyślałem, że trzeba zatopić ten samochód razem z nią. I zapomnieć. Zapomnieć o wszystkim. Poza tym, kto by mi uwierzył? Kto? Nikt. Tyle alkoholu i to całe zioło, które miałem we krwi… Kradziony samochód, ja bez prawa jazdy, ojciec by mnie zabił, jeszcze zanimby przyszła policja. Zapłakany, objąłem ją. Dlaczego to zrobiłaś? – powtarzałem. Wciąż to samo pytanie: dlaczego? Śmierć dużo waży, dziewczyna wyglądała na leciutką, a ledwo mogłem ją podnieść. Była jeszcze ciepła, spocona. Położyłem ją na tylnym siedzeniu, najdelikatniej jak umiałem, jakbym bał się zrobić jej krzywdę. Zawróciłem w kierunku jeziora, modląc się, żeby nikogo nie spotkać. Wypatrzyłem takie miejsce, które schodziło prosto do wody, polanka między paprociami. Przyspieszyłem na ostatnich stu metrach, silnik zaczął wyć, rozpędziłem samochód i tak jak James Dean w tym filmie *Buntownik bez powodu* otworzyłem drzwi i wyskoczyłem. Złamałem sobie nadgarstek. Samochód frunął, jak Clotilde, kiedy rzucała mi się pod koła, wpadł do wody i poszedł na dno… Był tam dwadzieścia trzy lata. Myślałem, że nikt go nigdy nie

znajdzie. Aż przeczytałem ten artykuł. Strata czasu na sprawdzanie DNA czy jak to tam się nazywa. To jest Clotilde Marais. A najgorsze, jeśli można tak powiedzieć, jest to, że ta dziewczyna, rzucając mi się pod koła, uratowała mnie. Zerwałem z przeszłością, wróciłem do formy. Nigdy więcej nie tknąłem alkoholu ani narkotyków. Clotilde sprowadziła mnie na dobrą drogę. Często myślałem o jej rodzicach. Ale wolałem, żeby sądzili, że ona żyje i po prostu wyjechała, tak jak opowiadano. Nawet ktoś mówił, że widział ją w Brazylii. Nie chciałem być tym, przez którego matka i ojciec dowiedzieliby się o samobójstwie córki. Był moment, podczas tego programu Jacques'a Pradela, że prawie zadzwoniłem do telewizji. Tylko że mój starszy syn miał dopiero rok, a żona była w ciąży. Ci ludzie z Paryża są mili, ale nie mają pojęcia, jak ciężko jest wykarmić i ochronić rodzinę. Czasem lepiej nie mówić prawdy. Prawda może narobić dużo złego.

---

* *Roi* (franc.) – król.

84

30 grudnia 2017

Marie-Castille rozłącza się.

Wreszcie wie.

Marie-Laure przeczytała jej artykuł. Podobno Clotilde Marais rzuciła się pod koła jakiegoś samochodu. Facet, który prowadził, jest niekarany, to porządny ojciec rodziny. Wolał milczeć na temat wypadku, bo w tamtych czasach to wszystko nie było takie oczywiste. Pozostaje to sprawdzić. Może ją przejechał, bo był pijany, i potem pozbył się ciała.

No i ta stara sprawa wreszcie doczekała się rozwiązania. Odgrzebana historia. Wszystko dzięki władzom miasteczka, które zdecydowały się uporządkować teren wokół jeziora.

Kiedy trzy tygodnie temu Étienne dowiedział się, że na dnie znaleziono stary samochód, Marie-Castille stała obok. Étienne zrobił się blady jak ściana. Kilka razy powtórzył:

– Widziałem to, naprawdę to widziałem, nie jestem wariatem.

– Co, kochanie? Co widziałeś?

– Ten samochód.

Ile razy Étienne budził się w nocy, wołając Clotilde? – myśli Marie-Castille. To go zabiło. Zniszczyło. Clotilde Marais to zwierzę, które zjadło Étienne’a od środka. Umierając, zabrała go ze sobą, popchnęła do grobu.

Étienne musi się dowiedzieć. Marie-Castille czuje, że to sprawa życia i śmierci. Jeśli będzie wiedział, że nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Clotilde, może wszystko się zmieni. Czy można zawrócić bieg rzeki? Czasem tak. Są przecież przeciwne prądy.

Musi wrócić do domu. Jedyną osobą, która może przekazać Étienne’owi tę informację, jest Valentin. Marie-Castille podejrzewa, że ojciec się z nim kontaktuje. Tylko syn łączy go jeszcze z ich światem, ze światem żywych. Jeśli mąż odjechał z Niną i tamtym kimś, to dlatego, że należą do przeszłości. Nie do teraźniejszości. To duchy.

Wsiada do samochodu i powtarza na głos, co powie synowi. „Kochanie, jeśli tata do ciebie zadzwoni, a wiem, że dzwoni, powiedz mu dokładnie to: zgłosił się człowiek, który przyznał się, że to on zatopił samochód w jeziorze. Tata zrozumie”.

Ale zaraz… Valentin zacznie mnie wypytywać o szczegóły, uświadamia sobie Marie-Castille. Kurwa. Co mu odpowiedzieć? Kurwa, kurwa, kurwa!

Gwałtownie hamuje i zatrzymuje się na poboczu. Zaczyna płakać, opada na kierownicę bez sił. Szlocha. Nie może przecież oznajmić czternastoletniemu synowi, że kiedy tata był młody, sypiał z dziewczyną, która zaszła z nim w ciążę, a potem zniknęła w dniu, kiedy ojciec dziecka miał się z nią spotkać… Męczyło go to przez całe życie, dlatego pojechał umrzeć z dala od rodziny…

Czuje w kieszeni wibrującą komórkę. Patrzy na ekran. Nieznany numer. Wyciera nos, w końcu odpowiada.

– Mówi Nina – słyszy.

*

Palermo. Osiemnaście stopni w miejscu osłoniętym od wiatru. Leżymy z Étienne’em na Spiaggia dell’Arenella, dwa kroki od naszego pensjonatu. Rysuję na piasku dziwne domy z krzywymi ścianami, Étienne patrzy na morze. W oddali dostrzegam Ninę, która chodzi w wodzie. Zima we Włoszech jest piękna.

– Tego chciałeś? – pytam Étienne’a.

– Tak – odpowiada, patrząc w horyzont.

– Jesteś głodny?

– Nie.

– Boli cię?

– Nie.

– Może zadzwonić do kogoś? Powiedzieć twoim rodzicom, że wszystko w porządku?

– Nie. Mój ojciec mnie nie kocha.

– Dlaczego mówisz coś takiego?

– Bo wiem. Pewnie mu się nie podobam. Może gdybym miał więcej dzieci, też któreś z nich kochałbym mniej. Miłość jest albo jej nie ma.

– Ja nie widziałam ojca, odkąd napisałam *Wspólne dzieci*. Kawał czasu.

– Nie tęsknisz za nim?

– Nie można tęsknić za nieznajomymi.

– On wie, że tak naprawdę jesteś dziewczyną?

Nauczyłam się tak spójnie łączyć dwie tożsamości, że pytanie Étienne’a mnie zaskakuje. Jak tylko znajdziemy się sami, chce rozmawiać tylko o mnie.

– Nawet moja mama o tym nie wiedziała. Najbardziej żałuję, że nie zdążyłam jej powiedzieć.

– Louise… Louise wie, że jesteśmy w Palermo?

– Louise wie wszystko. Poprosić ją, żeby do nas przyjechała?

– Nie, absolutnie nie. Kiedy umrę… chciałbym, żebyś się zoperowała. Bo wiem, że nigdy się na to nie zdecydowałaś z mojego powodu. Boisz się, że inaczej bym na ciebie patrzył. Jestem dla ciebie przeszkodą.

– Étienne, to nie ma z tobą nic wspólnego. To jest dużo bardziej skomplikowane.

– Obiecaj.

– Nie mogę ci tego obiecać.

– Louise będzie przy tobie? To znaczy… gdybyś się kiedyś zdecydowała, ona będzie przy tobie cały czas?

– Tak. Louise tylko na to czeka, na mnie. Louise czeka na Virginie od trzydziestu lat.

– Więc zrób to. Przysięgnij.

– Przysięgam.

– Na moją głowę?

– To bez sensu przysięgać na twoją głowę, przecież umrzesz. Przysięga się na głowę tych, którzy są zdrowi.

Wybuchamy śmiechem.

Nina biegnie do nas, jakby zobaczyła diabła. Kiedy jest już blisko, dyszy tak, że nie może nic powiedzieć. Słyszymy tylko jej chrapliwy oddech, znamy go na pamięć.

Étienne ją strofuje:

– No i po co tak biegłaś? Zwariowałaś czy co?

– Bo… Bo… Étienne, słuchaj… Clotilde… Sprawa się wyjaśniła…

*

Matka Clotilde Marais siedzi na kanapie. Nigdy jej nie zmieniła, to ta sama kanapa, która była tu, kiedy córka zniknęła, myśli.

Dwadzieścia trzy lata.

Częściowo odnowiła mieszkanie, położyła w jadalni nowe tapety, nową wykładzinę w sypialni, ale tę kanapę zatrzymała.

Słyszy, jak mąż chodzi na piętrze tam i z powrotem. Pewnie myśli o procesie, o adwokatach. To jego sposób na przetrwanie; szuka jeszcze w sobie tej iskry. Chciałby dowieść, że Clotilde nie popełniła samobójstwa, tylko przejechał ją pijany kierowca. Albo jeszcze gorzej.

Ale ja dobrze wiem, że córka była w złym stanie. I tak zeznam. Powiem, że ten Bernard Roi padł ofiarą okoliczności.

Tak jak my.

Wszyscy jesteśmy ofiarami „zaginionej”.

Od dwudziestu trzech lat dla ludzi jestem matką Clotilde Marais. Matką tej dziewczyny, która zapadła się pod ziemię siedemnastego sierpnia 1994 roku. Matką córki, która wyrzekła się swojej rodziny. Matką, która występowała w telewizji z podkrążonymi oczami. Która opowiadała publicznie o swoim prywatnym życiu.

Nikt nie wie, jak się nazywam. Tak jak nikt nie wie, jak nazywają się rodzice wszystkich zaginionych dzieci. Kto to? To rodzice tej… rodzice tego… Staliśmy się nikim, bo nasze dzieci zniknęły. Wyjechały, nie zostawiając adresu. Od dwudziestu trzech lat nikt nie wie, jak się nazywam, a jestem już stara. Na emeryturze.

*I oto koniec**. Jest taka piosenka. Nigdy jej nie lubiłam, jest strasznie smutna.

Myśl, że Clotilde mieszka w brazylijskim Salvadorze, była dla wszystkich najlepsza. Że pije na śniadanie wodę kokosową, a piękne blond włosy upina w koczek na karku. Że dojrzewa gdzieś indziej.

Pojechaliśmy do Brazylii w 2001 roku. Pokazywaliśmy ludziom specjalnie postarzone zdjęcie. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że nikt jej tu nie widział. Udawałam, że jej szukam, żeby zrobić przyjemność mężowi.

Zawsze myślałam, że ukrywała się, żeby umrzeć, nie żeby żyć.

Pod koniec nic mi już nie mówiła, moja córka. Była jedną wielką tajemnicą. Otaczały ją chmury smutku. W domu udawała kogoś innego. Miałam wrażenie, że mieszkam z jakąś słabą aktorką. Z obcą kobietą, która udusiła moją córeczkę.

Pozwalałam innym wierzyć, że Clotilde ma czterdzieści jeden lat, ale w głębi duszy zawsze wiedziałam, że ma osiemnaście.

Matka to czuje.

Siedemnasty sierpnia 1994. Ta data nie odpowiada ani dacie urodzenia, ani śmierci, ani rocznicy urodzin. To tylko data zniknięcia.

I kiedy tamta kobieta z Chalon upierała się, że na pewno widziała Clotilde w Salvadorze, udawałam, że jej wierzę. Tak samo z tą starą wiedźmą, która niby widziała ją tamtego dnia na dworcu.

Udawanie, że im wierzymy, pozwalało nam żyć dalej bez Clotilde.

W końcu jednak zbezcześciłam jej pokój. Zgarnęłam jej rzeczy do plastikowych worków i zaniosłam do ośrodka pomocy społecznej. Wyrzuciłam jej łóżko i na jego miejsce wstawiłam biurko z komputerem. Biurko, mnóstwo pustych segregatorów, które niczemu nie służą. Mąż miał o to do mnie pretensje.

Zastanawiam się, dlaczego się nie przeprowadziliśmy. Na wypadek gdyby wróciła? Żeby mogła bez problemu trafić do domu?

Nawet sąsiedzi się wyprowadzili. Starych zastąpili młodzi, nowe rodziny, nowe dzieci.

Tylko my zostaliśmy. Córka skazała nas na pozostanie w tym miejscu. Na czekanie. No a teraz wszystko się skończyło.

Już nie będziemy na nią czekać.

Telefon. Ciągle dzwoni. Kondolencje, przyjaciele, ciekawscy, dziennikarze. Étienne Beaulieu. Ile razy nasza córka odbierała telefon z nadzieją, że usłyszy jego głos? Ile razy po powrocie do domu pytała: „Ktoś do mnie dzwonił?”.

Étienne Beaulieu. Dwadzieścia trzy lata za późno.

– Tak mi przykro, Annie – mówi.

– Jestem wzruszona, że pamiętasz, jak mam na imię.

Rozmówca się nie odzywa.

– Twoja matka wpadła do mnie dziś rano. Powiedziała, że nie chcesz się leczyć – mówię.

– Trzecie stadium… To koniec.

– Étienne, koniec nie istnieje. Chyba że żandarmi przychodzą powiedzieć, że twoja córka nie żyje… Wiedziałeś, że Clo była w ciąży?

Étienne milczy.

– Tak – odpowiada w końcu.

– Wiedziałeś, że poroniła?

Znowu milczenie.

– Nie mówiłam tego nikomu… Cztery dni przed jej zniknięciem znalazłam pościel w pralce. Pełno krwi. Nigdy nie umiała nastawić pralki. Wlała do niej całą butelkę wybielacza i wcisnęła niewłaściwy przycisk. Od razu się zorientowałam, co to było. Potem w szufladzie jej szafki nocnej znalazłam książkę o ciąży. Tamtego ranka, o którym ci opowiadam, poszłam do niej, żeby powiedzieć, że listonosz nie żyje. Wiedziałam, że był dziadkiem twojej najlepszej przyjaciółki. To oczywiście był pretekst, żeby

zajrzeć do jej pokoju. Chciałam ją zobaczyć. Nigdy nie zapomnę jej twarzy. Była tak blada… właściwie sina. Wychodziła spod prysznica, zobaczyłam jej sylwetkę. Kształty. Nic nie powiedziałam. A powinnam się odezwać. Niby uszanowałam jej milczenie, ale z tchórzostwa. Nie odważyłam się. Wyrzuciłam pościel do śmieci, udawałam, że nie widzę podpasek w łazience.

Długa cisza. Étienne myśli, że coś przerwało połączenie.

– Jest tam pani jeszcze?

– Jestem… – szepcze mama Clotilde.

– Muszę pani coś powiedzieć, Annie…

Matka Clotilde przerywa mu, jakby nie chciała już słyszeć nic więcej.

– Przyjdziesz na pogrzeb? – pyta.

– Ja umieram.

– Co ty opowiadasz? Przecież wciąż oddychasz.

– Już niedługo.

– Skąd wiesz?

– Czuję to.

– Walcz, na miłość boską.

Annie się rozłącza.

---

* Jean-Louis Aubert, *Voilà c’est fini*.

85

2 stycznia 2003

Étienne Beaulieu właśnie wyszedł. Emmanuel wciąż leży na kanapie.

Szukał Niny wszędzie przez ponad dwa lata, tymczasem ona wyjechała i została szczęśliwą żoną i matką gdzieś indziej. Tyle straconej energii i na tym koniec? Scenariusz, którego nigdy by nawet nie wziął pod uwagę.

Co robił, zanim ją spotkał? Zawsze trzeba sobie przypomnieć, z czego składała się nasza codzienność przed spotkaniem osoby, która zniszczyła nam życie. Zacząć jeszcze raz, od miejsca, w którym dokonało się złego wyboru.

Po cholerę przywiązywać się do kogoś, kto nawet nie zapłacze, gdy umrzesz? – myśli. Kto nigdy nie skręci w boczną alejkę, żeby złożyć kwiaty na twoim grobie? Kto odszedł z dnia na dzień, porzucając cię jak gówno? Komu wystarczyło kilka miesięcy, żeby urządzić się gdzieś indziej, tak jakby wasze wspólne życie nigdy nie istniało?

Ma ochotę się umyć, ogolić, ubrać. Dawno już tego nie czuł. Impuls.

Wstaje i wbiega po schodach do łazienki. Widzi swoje odbicie w lustrze. Wygląda żałośnie, skóra i kości.

Musi stąd wyjechać, wyprowadzić się z tego domu. Pojedzie do Lyonu, tam ma przyjaciół, pozna kogoś, nie taką zagubioną sierotę, tylko prawdziwą kobietę. Zbyt długo już się nie kochał. Właśnie tak, czuć jakieś ciało przy swoim. Zbrukać tamtą, dotykając skóry innych kobiet, zapomnieć o niej, wymazać wspomnienia, zastępując je innymi.

Ostatnio przyjaciele z Lyonu zarejestrowali go na portalu randkowym. „Musisz wreszcie zacząć się z kimś spotykać!” Założyli mu profil pod zmienionym nazwiskiem. *Emmanuel Mésange, 187 cm wzrostu, oczy zielone, szatyn. Zainteresowania: golf, literatura klasyczna, kino, wyścigi samochodowe*.

– Dlaczego nagle golf?

– Bo robi wrażenie – odpowiedzieli.

– Ale ja w życiu nie miałem w ręce kija golfowego!

– Co z tego?

– Nie chcę w tym brać udziału.

– Chcesz, chcesz, musisz wyjść, wypić drinka, zacząć myśleć o czymś innym. To do niczego nie zobowiązuje.

– Nie byłem w kinie od czasu *Podróży rozpieszczonego dziecka*… Czternaście lat temu.

– Na pierwszej randce i tak się o tym nie rozmawia.

– Ach, tak? A o czym?

– Sam zobaczysz.

Wybrali mu zdjęcie, to zrobione na Mauritiusie; stoi profilem, jest opalony i uśmiechnięty.

Setki kobiet wysyłały mu wiadomości, w których prezentowały swoje „oferty”.

Emmanuel przejrzał dokładnie każdą, jakby wybierał z katalogu. Żadna go nie zainteresowała. Z jednym wyjątkiem.

Isabelle, 35 lat, mieszka w Chalon-sur-Saône, wielbicielka koni. 170 cm wzrostu, oczy niebieskie. Przeciwieństwo Niny.

Jej pierwsza wiadomość brzmiała tak:

> Co pan robi na tym portalu, panie Mésange? Panie Sikorku? Co to za ptasie nazwisko? Kto się ukrywa pod tym profilem? I proszę mi nie wmawiać, że zapisali pana przyjaciele wbrew pana woli, bo nie uwierzę.

Emmanuel odpowiedział głównie dlatego, że przeczytawszy to, uśmiechnął się po raz pierwszy od bardzo dawna.

> Tak, rzeczywiście przyjaciele zapisali mnie do tego supermarketu.
>
> Dlaczego to zrobili?
>
> Mają dość oglądania, jak powłóczę nogami. Nie jestem zabawny.
>
> Tak mi przykro!
>
> Przykro pani, że nie jestem zabawny?

Wysłali sobie jeszcze kilka maili, potem się zdzwonili. Kontynuowali wymianę wiadomości, aż wreszcie Isabelle zaproponowała spotkanie.

> A może byśmy się umówili w barze L'Hexagone na kawę? Jeśli będzie miło, zaproszę pana gdzieś na kolację, jeśli nie, po prostu się rozstaniemy, bez żalu.

Emmanuelowi podjęcie decyzji, że się zgadza, zajęło tydzień.

Potem się wycofywał pod fałszywymi pretekstami.

Za pierwszym razem złożyła go ciężka grypa. Za drugim wypadek samochodowy, nic strasznego, blacha się trochę wygięła. Za trzecim –

wyjazd służbowy za granicę.

W sylwestrową noc Emmanuel wysłał jej życzenia noworoczne. Nie odpowiedziała. Położyła na nim lachę.

A gdyby on też położył lachę? Gdyby położył lachę na Ninie?

Czy nie powinien wreszcie rzucić się na głęboką wodę? Spotkać się z Isabelle?

Wsiada do samochodu. Zadzwoni do niej, jak już będzie w Chalon. „To ja, przyjechałem, jestem gotów, przepraszam za spóźnienie”.

Jedzie do Beaune, żeby włączyć się na autostradę. Jest w połowie drogi, gdy dzwoni telefon. Nie od razu rozpoznaje głos.

– Odnalazłem Ninę Beau…

– Tak, wiem, mieszka w Annecy. To już nieważne. Rezygnuję. Proszę przysłać mi rachunek i już nigdy nie wymieniać nawet imienia tej suki.

– Ale skąd, wcale nie…

Połączenie zostaje przerwane. Emmanuel rzuca komórkę na siedzenie obok. Miejsce Niny, myśli. Zapomnij o niej wreszcie, na Boga, zapomnij!

Detektyw dzwoni powtórnie.

– Ona nie jest w żadnym Annecy. Nigdzie nie wyjechała… Mieszka w schronisku w La Comelle.

Emmanuelowi zakręciło się w głowie.

– W jakim schronisku?

– W schronisku dla bezdomnych psów, pracuje tam.

– To może ktoś do niej podobny…

– Nie, to ona, Nina Beau. – Detektyw podaje mu numer jej ubezpieczenia. – Była wczoraj w szpitalu w Autun.

Emmanuel rozłącza się bez słowa, zawraca gwałtownie i zatrzymuje na pasie awaryjnym. Serce bije mu jak szalone. Beaulieu zadrwił sobie

z niego. Oczywiście! Jak on w ogóle mógł uwierzyć w te wszystkie brednie? Że Nina jest mężatką! Kto miałby ochotę poślubić tę opuchniętą alkoholiczkę? Podciera psom dupy, jasne, szmata będzie zawsze szmatą. Jak w ogóle mógł uwierzyć, że ona ma dziecko? Jest bezpłodna. Schronisko dla psów… A więc tam się chowała przez cały czas, była tuż obok. Nawet nie umiała wyjechać dalej niż trzy kilometry stąd w linii prostej. I ten kretyn, który naopowiadał mu o Annecy, wózku z dzieckiem i jakimś kundlu. A on był na tyle głupi, żeby go słuchać! Nigdy nie powinien otwierać mu drzwi i wpuszczać go do domu.

Emmanuel ma teraz dwie możliwości.

Pierwsza:

Jedzie do Chalon, zostawia samochód na parkingu w centrum, szuka baru L’Hexagone, siada przy stoliku, zamawia gorącą czekoladę, dzwoni do Isabelle, nie odpuszcza, dopóki ta nie odbierze, prosi ją, żeby przyszła, że na nią czeka. „Bardzo panią proszę, siedzę w głębi sali, stolik dwuosobowy, pod lustrem, mam na sobie granatową kurtkę. Nie ruszę się stąd, przywiążę się do krzesła, jeśli będą chcieli mnie wyrzucić po zamknięciu. Proszę przyjść, co pani ryzykuje? Spotkamy się i wyjedziemy gdzieś, gdzie pani chce, gdzie pani się będzie podobało. Praca? Powie pani, że jest pani chora”.

A więc czeka na kogoś. Randka. Od ilu lat mu się to nie zdarzyło?

W końcu Isabelle się zjawia. Uśmiecha się do niego. Jest jeszcze ładniejsza niż na zdjęciach. Podoba mu się jej głos, dłonie, zapach… Pachnie L’Heure Bleue. Na prawym nadgarstku ma srebrną bransoletkę. Natychmiast znajdują wspólny język, dobrze się ze sobą czują. Nie muszą szukać tematów do rozmowy, słowa przychodzą same. Isabelle zamawia gorącą czekoladę. „Tak jak pan – mówi. – Czy spotkał się pan z jakimiś innymi kobietami z tego portalu?” „Nie, pani jest pierwsza”, odpowiada

Emmanuel. „Kłamczuch!” „Przysięgam! A pani? Jacyś inni kandydaci?” „Nie, pan jest pierwszy”. „Kłamczucha!” „Przysięgam!”

Isabelle jest delikatna, po sposobie, w jaki na niego spogląda, widzi, że jej się spodobał. Ciężar, który przygniata go od ponad dwóch lat, znika; Emmanuel prostuje się. Wreszcie ktoś go pragnie, słucha. Im dłużej rozmawiają, tym bardziej zaczyna się nią interesować. Spędzi z nią wieczór, potem noc. Czemu nie jutrzejszy dzień? Czemu nie przyszły tydzień?

Wciąga się w rozmowę, zadaje pytania. „Ma pani dwie siostry, tak?” Podobają mu się jej głos, jej odpowiedzi, jej zęby, jej usta. Na szyi ma chustkę, której często dotyka, nosi długi beżowy płaszcz; nie zdjęła go, tylko rozpięła. Paznokcie zadbane, ale niepomalowane; nie ma w sobie żadnej przesady, usta pociągnięte błyszczykiem, wielkie niebieskie oczy patrzą na niego inteligentnie. Idealna kandydatka, myśli Emmanuel. Gdyby to był konkurs, zajęłaby pierwsze miejsce.

Opowiada jej trochę o sobie, o rodzinnej firmie, którą chce sprzedać, odciąć pępowinę.

„Chcę zacząć wszystko od zera, co za dziwne sformułowanie, ale pasuje do mnie jak ulał… – mówi. – A pani często jeździ konno?” „Gdy tylko mogę, co wieczór po pracy i w weekendy. Moglibyśmy przejść na ty, jak pan myśli?” „Doskonale. Jesteś piękna”. „Ty też nie jesteś zły”.

Podoba mu się jej śmiałość. To znaczy nie wie, czy mu się naprawdę podoba. Być może. Nie wie, co mu się podoba. Zobaczy.

Druga możliwość:

Nie jedzie do Chalon, nie spotyka się z Isabelle, nie myśli o przyszłości, zamyka się na zawsze w chwili obecnej.

Wraca do La Comelle. Wpada do mieszkania, bierze strzelbę ojca, jedzie do schroniska, znajduje Ninę, zabija ją dwoma strzałami. Dwa

naboje. Tak, dwa naboje powinny wystarczyć, żeby ją zmieść z powierzchni ziemi. Nie pozwala jej się odezwać ani słowem. Ani słówkiem. BUM.

Chociaż nie, zanim ją zabije, każe jej uklęknąć i błagać o przebaczenie. Przynajmniej to, usłyszeć, jak mówi „przepraszam”. Potem jedzie do Lyonu, odnajduje Étienne’a; ma zapisany jego adres domowy i adres komisariatu. I znów BUM. Dwa kolejne naboje dla tego faceta, który tak sobie z niego zadrwił tamtego ranka. „Szczęśliwego nowego roku”, powie. I dużo zdrowia, pedale!

A więc ma do wyboru dwie możliwości. Przeszłość, teraźniejszość. Nina zarzuciła kotwicę w teraźniejszości i przeszkadza mu odpłynąć. Bo tylko od niego zależy, czy rzuci to wszystko, czy nie. Ma jeszcze pięć kilometrów, zanim będzie musiał podjąć decyzję: jechać prosto czy zawrócić. Przejechał przez bramki na autostradzie, jedzie dalej aż do Chalon, sprawdza, czy nie widać policji, zawraca, jedzie jakiejś pięćset metrów pod prąd i wjeżdża na A6 w kierunku La Comelle.

*

W pierwszej chwili Nina nie uwierzyła, gdy Lili powiedziała:

– Twój mąż zabił się na autostradzie.

Potem pomyślała o Étiennie. Co on narobił po wyjściu ze schroniska? Co sprowokował? To nie może być zwykły zbieg okoliczności.

Trzy tygodnie po pogrzebie Emmanuela Lili i Nina poszły na cmentarz na grób Pierre’a Beau. Odwiedziły również grób Emmanuela, dwieście metrów dalej, w rodzinnej krypcie. Gé i Henri-Georges nie umieścili fotografii na czarnym marmurze. Tylko tabliczkę z napisem: *Ukochanemu synowi*.

Dlaczego Emmanuel jechał autostradą pod prąd? Samobójstwo czy wypadek? Czy wyprowadziły go z równowagi słowa Étienne’a? Czy

w ogóle się widzieli?

Pewnie nigdy się tego nie dowie.

Gdy Nina stała przy jego grobie, przeszedł ją dreszcz i na chwilę zastygła. Poczuła obecność mężczyzny, którego nazwisko wciąż nosiła. Jakby mąż krążył wokół niej, rycząc z nienawiści, że ona tam jest, żyje, stoi przed nim.

Nigdy już tu nie wróci.

Wychodząc z cmentarza, włączyła komórkę. Głos Emmanuela, jakby z zaświatów, z dawnego życia, z daleka. Dziesiątki wiadomości, groźby, krzyki, płacze, błagania. „Gdzie jesteś? Wróć! Nic ci nie zrobię!”

Wysłuchała każdej, po kolei, mając nadzieję, że pośród całej tej histerii usłyszy choć raz głos Adriena. „Nina, to ja”.

Nic.

Wszystko wykasowała.

Potem poprosiła Lili, żeby zawiozła ją do urzędu pracy. Musi się zarejestrować, znaleźć pracę, mieszkanie, odzyskać życie.

86

31 grudnia 2017

Spontaniczny sylwester na Spiaggia dell’Arenella. Blisko setka mieszkańców Palermo, większość mieszkająca w domach stojących wzdłuż brzegu morza, rozpaliła ogromne ognisko. Połączyli stoły, nakryli je papierowymi obrusami przytrzymywanymi przez miski pełne owoców, każdy niesie jedzenie, naczynia, butelki.

Dołączamy do nich, uzbrojeni w jedzenie: oliwę, pieczywo z ziołami i suszonymi pomidorami, sałatki, paluszki, migdały, sycylijskie ciastka, szampan, whisky, wino.

Dwa ogromne stalowe rondle z wrzątkiem czekają na makaron, który zostanie podany z odrobiną sosu pomidorowego z czosnkiem i parmezanu.

Wszyscy są ubrani stosownie do okazji, elegancja na każdym kroku.

Gdyby nie perspektywa rozstania, gdyby widma Valentina i Marie-Castille nie czepiały się tak uparcie Étienne’a, bylibyśmy prawie szczęśliwi. Jesteśmy razem w otoczeniu jak z bajki, reszty dopełniają żywiołowe rozmowy i legendarny dobry humor Włochów. Tutejsi ludzie jakby świecą się od środka. Tak jak Nina, kiedy się uśmiecha.

Étienne jest ubrany na biało, ma cienie pod oczami, ściągnięte rysy, gaśnie z dnia na dzień, błękit jego oczu matowieje – pewnie to te wszystkie

leki utrzymujące go w permanentnym stanie nieważkości. Jednak mimo tego letargu zachowuje uśmiech na ustach.

Nina i ja jesteśmy pewne, że jutro rano już nie będzie go w pokoju, że ucieknie.

Nie wie, że my wiemy, że wszystko przewidział, zaplanował noce, które spędzimy w Palermo, tę i następną. Pewnie zostawi nam pieniądze na prom i benzynę. Jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi i wrzucał nam do plecaków kilka monet, żebyśmy mogły kupić sobie cukierki na basenie.

I ten raz będzie musiał się wysilić, żeby samemu napisać do nas list. Karteczka i na niej tekst w rodzaju: *Dzięki za towarzyszenie mi aż tutaj, odchodzę umrzeć w spokoju*.

– „Umrzeć” to przez „rz” czy „ż” z kropką? – spytał jakiś czas temu, ubierając się przed wyjściem.

Nina popatrzyła na niego i powiedziała jak gdyby nigdy nic:

– Przez „rz”. Ale „żyć” jest prostsze, tylko „ż” z kropką.

W tej chwili wszystkie myśli Étienne’a zajmuje muzyka na dzisiejszy wieczór. Włoskie przyśpiewki, które zawodzi do mikrofonu jakaś brunetka przy akompaniamencie gitarzysty o mocno podejrzanym wyglądzie, nie pasują mu do naszego ostatniego wspólnego sylwestra. Trzeba wykombinować przenośny głośnik, trochę się oddalić i puścić własną playlistę.

– Mam głośnik w walizce – mówię. – Pójdę po niego, jak Nina skończy się ubierać.

– Pewnie nie będę miał pogrzebu – mówi Étienne. – Ale ponieważ nigdy nic nie wiadomo, chciałbym, żebyście mi obiecały, że nie będzie gównianej muzyki. Najlepiej, żeby był rock alternatywny… Obiecujecie?

– Obiecujemy – odpowiadamy.

Przysiedliśmy na dużej skale. Powietrze jest cudownie delikatne. Nie ma wiatru. Niebo pełne gwiazd. Zapach smażonych pomidorów, rozmarynu i ogniska. Nina siedzi po turecku, lewą ręką podtrzymuje blok rysunkowy i szkicuje nas węglem. Przygląda się naszym twarzom, marszczy brwi, jakby widziała nas po raz pierwszy, potem przenosi wzrok na rysunek, dłoń pieści papier krótkimi, szybkimi ruchami. Nina ma na sobie dżinsy Étienne'a i jego białą koszulę. Na ramionach czarny sweter. Wciąż jest młodzieńczo szczupła. Jej czarne oczy błyszczą jak dwa węgle, radośnie. Jest zakochana.

Byłam przy niej, jak godzinę temu dzwoniła z pensjonatu do Romaina Grimaldiego. Powiedziała mu, że dzwoni, żeby zawiadomić go, jak się czuje jego samochód. Roześmiała się jak dziecko, kiedy Romain powiedział, że zamrozi ich kolację noworoczną i zjedzą ją, jak wróci. „Nawet jeśli to będzie piętnastego marca, nie szkodzi, nie będę jadł noworocznej kolacji bez ciebie", powiedział.

Kiedy Nina się rozłączyła, chciałam zapytać, czy to wszystko nie dzieje się za szybko, ale powstrzymałam się. Przecież to nie moja sprawa.

Zadzwoniłam do Louise.

– Jak tam, wszystko okay? – zapytała.

– Tak jest.

– Mój brat nie cierpi?

– Myślę, że nie.

Przez chwilę milczymy.

– Louise? – odzywam się w końcu.

– Słucham?

– Zakochałaś się w Adrienie, nie w Virginie.

– Adrien i Virginie to ta sama osoba. To ją kocham – powiedziała Louise po raz tysięczny. – Ale nie chcę mieszkać z uwięzioną kobietą.

Kiedy ją uwolnisz, możemy adoptować dziecko.

– Ale ja mam kota, a niedługo pojawi się drugi!

Usłyszałam, jak się uśmiecha.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.

– Ufasz mi?

– Tak. Zadzwonisz o północy?

– Tak.

Kiedy skończyłam, Nina przytuliła się do mnie. Wdychałam zapach jej włosów, jej karku, delikatnej, ciepłej skóry – to moja proustowska magdalenka.

– Dziecko i dwa koty, to wspaniałe… A teraz bawimy się? – wymruczała mi do ucha. – Ale porządnie, żeby nas sponiewierało…

– O tak!

Nina złapała mnie za rękę i idąc w stronę plaży, zaczęła śpiewać jak smutna nastolatka. Prawie zapomniałam, jak brzmi ten jej wyjątkowy głos, który z czasem stał się jeszcze bardziej zachrypnięty. Głos palaczki, która nigdy nie paliła.

A jeśli któregoś dnia zwątpisz we mnie
Mam fant, dowód potrójny
Kocham cię tak bardzo, tak bardzo
Krwią napisałem na ręce
Na śmierć i życie, to się nie ściera
*Kocham cię tak bardzo, tak bardzo.**

Nina podaje nam dwa szkice. Mnie narysowała po raz pierwszy.

– Dzięki! – mówię.

– Jak ja wyglądam! – Étienne się krzywi.

Wstajemy wszyscy troje jednocześnie. Nie wolno nam poddać się nostalgii i melancholii! Nie wolno nam zmarnować tych chwil, to byłoby niewybaczalne! Biegnę do pokoju po głośnik.

– Zadzwoniłam do Marie-Castille – oznajmia Nina Étienne’owi.

– Nie wierzę.

– Tak. Ty też powinieneś. Wiesz, ona wcale nas nie szuka.

W oczach Étienne’a widać po kolei rozmaite sprzeczne uczucia: strach, radość, niezadowolenie, ulga, wstyd, rezygnacja, nadzieja.

Kiedy wracam z głośnikiem, nagradza mnie szerokim uśmiechem. Zanim ruszy ze swoją playlistą, mówi do Niny:

– Widzisz, jednak jestem kompletnym idiotą.

---

* Indochine, *Je t’aime tant*.

87

27 kwietnia 2003

BADI: RASA X SPANIEL, SENIOR, PIES, UR. 1991, W SCHRONISKU OD 1999.

– Badi to nasz ostatni staruszek… No, nie licząc mnie – żartuje Lili.

Tego ranka Lili ma na sobie czarne legginsy, zielone trampki i długi żółty T-shirt. Włosy zebrała na czubku głowy w koczek, który wygląda trochę jak palma. Jest podobna do ananasa.

Nina dopiero przyszła. Wpada do schroniska co rano, zanim zaczyna pracę w agencji ubezpieczeniowej. Wynajmuje mały dom w dzielnicy, w której dorastała pod opieką dziadka, dwie ulice od swojego dawnego ogrodu.

Emmanuel Damamme zginął trzy miesiące temu, ale Nina nadal podskakuje przy najmniejszym niespodziewanym hałasie, budzi się spocona, ma okropne sny, w których odkrywa, że jego trumna jest pusta.

– Musi minąć trochę czasu, żebyś zrozumiała, że jego już nie ma.

– Ile, jak myślisz?

Nina pomaga Lili zawiesić tablicę, na której można przeczytać: *Prosimy nie stać długo przed klatkami, żeby nie denerwować psów. Liczymy na*

zrozumienie!

– Wiesz, że to ty przejmiesz obowiązki?

– Jakie obowiązki?

– Moje. Jestem zmęczona. Harowałam całe życie.

– O czym ty mówisz?

– Idę na emeryturę.

– Żeby co robić? – żartuje Nina.

– Żeby rano wylegiwać się w łóżku.

– Mówisz poważnie?

– Jak najpoważniej. Teraz, kiedy już stanęłaś na nogi, mogę odejść.

Nina patrzy na Lili w panice. Dlaczego, do diabła, wszyscy ludzie, których kocha, znikają?

– Nie jestem jeszcze w formie. Wciąż się boję Emmanuela, śni mi się, że on nie umarł. Jeśli odejdziesz, idę z tobą – mówi.

– Słuchaj, mała, może w końcu dasz mi choć trochę spokoju? To jasne, że będziesz nową kierowniczką schroniska. Kiedy zaczniesz tu pracować, nie będziesz miała czasu na złe sny.

Nina nie odpowiada.

– Niektóre sprawy są oczywiste, a to jest jedna z nich.

Cisza.

– Straciłaś mowę?

– A gdzie ty chcesz wyjechać? – pyta Nina słabym głosem.

– Do Cagnes-sur-Mer.

– To daleko.

– Mają tam śliczny żółty kościół na plaży du Cros.

– Och, Lili, przecież nie jesteś wierząca – denerwuje się Nina.

– To nie znaczy, że nie lubię kościołów. Poza tym przyjedziesz mnie odwiedzić.

– Tak się mówi, „przyjedziesz mnie odwiedzić”, a potem się nie przyjeżdża, wiem, o czym mówię.

88

1 stycznia 2018

Étienne wchodzi do kościoła, jest sam. Zapala świeczkę, nie umie rozmawiać z Bogiem, nigdy nie umiał. To tak jak z ojcem; człowiek nie potrafi rozmawiać z tymi, w których nie wierzy.

Jak bardzo był zawiedziony, gdy zadzwonił do rodziców z wielką nowiną. Odebrał Marc, na co Étienne liczył w najciemniejszym zakamarku swojej podświadomości i do czego by się nigdy nie przyznał.

– Tato, usiądź, zdałem egzamin!

– Jaki egzamin?

Étienne’owi zaćmiło się przed oczami. Wydało mu się, że spada w przepaść. Z trudem wyjąkał:

– No ten konkursowy egzamin na oficera policji… Niewielu z nas zdało… To znaczy, że jestem w grupie najlepszych…

– Ach, to! Brawo, jesteśmy z ciebie dumni, daję ci mamę.

Zwykła uprzejmość. „Jesteśmy z ciebie dumni” to nie to samo, co „Jestem z ciebie dumny”.

Étienne nie wierzy w ojca, bo ojciec nigdy nie wierzył w niego. Odczepił się od niego, tak jak statek zrzucający cumę.

Kiedy zadzwonił, żeby zawiadomić o narodzinach syna, rozłączył się, gdy usłyszał ojca. Dzwonił tak długo, aż wreszcie odebrała Marie-Laure.

– Mamo, mam syna, ma na imię Valentin, jest śliczny, waży cztery kilogramy, ma niebieskie oczy.

– To chyba za wcześnie, żeby wiedzieć, jaki będzie miał kolor oczu, kochanie…

– Ach, nie, mamo, mówię ci, mój syn ma niebieskie oczy!

Dziś rano chce po prostu zostawić za sobą pasmo światła, tu, we Włoszech, gdy zamkną się za nim ciężkie drzwi.

Dzwoni mu w lewym uchu. Kiedy byli mali, Nina zawsze mówiła, że jeśli dzwoni w lewym uchu, po stronie serca, to znaczy, że ktoś o nas dobrze mówi. „Wiesz, że to głupoty, Nina!”

Kto może go wspominać o szóstej rano? Marie-Castille i Valentin?

Rozmawiał z nimi wczoraj wieczorem.

– Szczęśliwego nowego roku! Kocham was bardzo!

– Kiedy wracasz? – spytała Marie-Castille.

– Nie wracam.

– Nina ci mówiła o Clotilde Marais? Sprawa wreszcie zakończona.

– Tak, tak, wiem.

Trzy ulice dalej jest morze. Étienne czuje zapach morskiej wody. Nigdy nie był tak pewny swego.

Jacyś przechodnie wracający do domu wykrzykują: *Buon anno!*

Prawdopodobnie spędził tu jeden z piękniejszych sylwestrów w życiu. Tak jak sobie obiecali, znaleźli kącik na plaży, mieli własny głośnik, szampana, whisky, oliwki i pachnący ziołami chleb. Nie zwrócili uwagi na nadejście północy, dla nich nie będzie przyszłego roku, tylko ten. Do świtu

tańczyli do playlisty Étienne’a, do jego muzyki: Spacemen 3, Sonic Youth, Radiohead…

Podjeżdża taksówka. Znalazł jeden jedyny lot Palermo–Paryż.

Na lotnisku wszystkie stanowiska są już zamknięte. Stewardesa rejestruje jego bagaż i podaje mu kartę pokładową. Étienne wchodzi do samolotu niemal od razu i zasypia w fotelu przy oknie. Po raz pierwszy nie śni mu się Clotilde. Wyprowadziła się z jego snów.

Po przejściu przez recepcję, gdzie poproszono go o dowód osobisty, wchodzi do pokoju numer 21. Na łóżku kładzie portret, który zrobiła mu Nina poprzedniego wieczoru, zdjęcie Valentina i Marie-Castille, zdjęcie Louise, Paula-Émile’a, matki i ich trójki na koncercie Indochine w 1994 roku.

„Walcz, na miłość boską!” Od kiedy matka Clotilde wypowiedziała do niego te słowa, miotają się w nim jak wściekłe zwierzę w klatce.

Otwiera kosmetyczkę, wyjmuje lekarstwa, połyka, kładzie się i zamyka oczy. Ból znikł. Stoi na podwórku szkoły Pasteura, czekając na werdykt, nazwisko nauczyciela. Ta chwila jest uwieczniona w *Bieli hiszpańskiej*: *Tamtego ranka widzę tylko ich, jakby połknęli promień światła – pozostali uczniowie są statystami – i wybierają mnie, ona mnie wybiera, chwyta mnie za rękę.*

We trójkę dają uliczny koncert, jest Święto Muzyki, mają po czternaście lat. Nina śpiewa. Głęboka wewnętrzna radość, mieszanina tremy i szczęścia, nirwana. Na ulicach La Comelle nigdy nie było tylu ludzi i takich oklasków. Jeżdżą rowerami, na deskorolkach, nagrywają się na taśmę, pływają, filmują się kamerą, którą podwędził ojcu, kocha się, tańczy, słońce, wspomnienia z wakacji zawsze są na pierwszym miejscu, podgląda siostrę, miksuje, zakłada kosmyk za ucho, sprawdzając, czy dziewczyny na

niego patrzą, wie, że jest przystojny, piękny, że „spija światło”, jak napisano w *Bieli hiszpańskiej*.

Tuż przed zaśnięciem kładzie kwiat na grobie Clotilde. Jest sam. Nic nie mówi.

Śpi.

Śni mu się, że pływa z synem, oddalają się od brzegu, radość i potem nagle strach. Étienne prosi Valentina, żeby wracał na brzeg. Valentin mówi: „Nie, tato, zostaję z tobą”.

Étienne budzi się. Widzi pielęgniarkę w białym kitlu. Trzyma go za przedramię, mówi cicho, lekko, ale pewnie.

– Dzień dobry, panie Beaulieu, powiedziano mi, że pan już jest. Jak się pan czuje? Profesor ma pana wyniki, operacja będzie trzeciego. Jutro zrobimy ostatnie badania i przyjdzie anestezjolog. Tu ma pan kilka formularzy do wypełnienia. Pana siostra poinformowała, że nie życzy pan sobie podtrzymywania życia, gdyby podczas operacji wystąpił jakiś problem, musi pan podpisać upoważnienie. Czy coś panu przynieść?

– Nie, dziękuję.

– Kolacja będzie o wpół do siódmej. Czy ma pan jakieś życzenia?

– Nie.

– Uczulenia?

– Nie.

– Pana siostra mówiła również, że nie życzy pan sobie wizyt. Czy oprócz niej ktoś jeszcze wie, że jest pan w szpitalu Gustave-Roussy?

– Nie. Wolałem być dalej od Lyonu.

– Jeszcze jedno. Tu jest formularz, proszę wpisać nazwiska osób, które mamy powiadomić w nagłych wypadkach. Lepiej, żeby to były przynajmniej dwie osoby.

– Nina i Virginie.

– Poproszę wpisać pełne dane. Najlepiej podać i numery komórek, i telefonów stacjonarnych.

89

2011

Już od siedmiu lat Nina prowadzi schronisko, gdy ktoś zawiadamia ją przez telefon, że jej matka miała wylew i przebywa w szpitalu w Caen, jest na granicy życia i śmierci. Jeśli Nina chce ją jeszcze zobaczyć, musi się pospieszyć.

– Jak państwo mnie znaleźli?

– W jej torbie był pani adres.

Lili przyjeżdża z Cagnes-sur-Mer, żeby z nią pojechać.

– Nie mam odwagi wybrać się tam sama – wyznała jej Nina.

Co to za stan na granicy życia i śmierci?

W łóżku na oddziale intensywnej terapii Nina widzi obcą kobietę. Ta kobieta nie ma nic wspólnego z tą, którą widziała w ogrodzie dziadka z maszyną do szycia pod pachą. Marion utyła. Nina zastanawia się; może się pomylili i to wcale nie ona. Sprawdza u pielęgniarki.

– Jest pani pewna, że ta kobieta to Marion Beau?

– Zostawiam cię z nią – mówi Lili i wychodzi z sali.

Nina wpada w panikę. Boi się zostać sama z kimś prawie umarłym. Żeby zabić ciszę, zaczyna mówić, jakby brała udział w terapii grupowej.

– To ja, Nina. Za każdym razem, gdy ktoś mnie gdzieś zaprasza, muszę przepraszać. Schylam głowę. Jeśli ktoś nie je mięsa, jest jak alkoholik, który musi powiedzieć „Nie, dziękuję”, gdy częstują go kieliszkiem. Może jednak kropelka, aperitif? Może chociaż plasterek kiełbasy na spróbowanie? Wygląda się podejrzanie, nienormalnie, jak z marginesu. Żyjemy w świecie, w którym filmuje się krowy jak gwiazdy filmowe, głaszcze się je i podziwia. A kilka dni później podrzyna im się gardło za zamkniętymi drzwiami. Mnie to szokuje. Przypomina mi moje życie z Emmanuelem, kiedy byłam bardziej zamężna niż szczęśliwa. Żyłam w udawanym świecie. Tam gdzie woli się nie wiedzieć. Często słyszę: „Zajmowanie się schroniskiem jest jak kapłaństwo, poświęcenie”. Szukanie tam satysfakcji, dobrych stron jest trudne. Ale trzeba wytrzymać. Robisz to dla nich, dla ich spojrzeń. Kochasz zwierzęta, ale nie wielbisz ich, bo umarłabyś ze smutku. Często mam ochotę rzucić to wszystko w diabły. Opuścić opuszczonych. Znaleźć jakąś spokojną robotę, gdzieś indziej, gdzie będzie czysto, ciepło, sucho i cicho. Gdzie nie będę słyszała szczekania czy miauczenia i nikt nie będzie mnie obwąchiwał przed spacerem. Gdzie nie będę wiecznie ubrudzona sierścią, z psimi włosami zamiast biżuterii. Gdzie przydadzą się wreszcie perfumy, które dostałam na Boże Narodzenie. Gdzie inni nie będą na mnie patrzeć jak na nienormalną, wariatkę, desperatkę. „Ach, zajmujesz się zwierzętami? A ile tam się zarabia?” Albo: „A jest tylu ludzi, którymi trzeba by się zająć”. Wytłumaczenie komuś, że w sumie to to samo, jest trudne, wręcz niemożliwe. Człowiek czy zwierzę – odruch jest ten sam. Mijają lata, znajduję pod schroniskiem pudła z kurami, królikami, świnkami morskimi czy fretkami. Ludzie wybierają coraz inne zwierzęta domowe, ale nie zmieniają swoich zwyczajów. Nie mówiąc już o milionach anonimowych wezwań do zaniedbywanych, zagłodzonych krów. Psy myśliwskie i inne nieszczęśniki zdychające na łańcuchu, upakowane

w klatkach jedne na drugich albo trzymane na balkonie. „Halo? Sąsiedzi zostawili konia na łące, już trzy miesiące temu”. „Halo? W klatce na rondzie koło supermarketu są dwa tygrysy z cyrku, klatka stoi w pełnym słońcu”. Jesteśmy biurem skarg i zażaleń. Robimy, co możemy. Staramy się co jakiś czas organizować coś wesołego, drinki, kawa z rogalikiem, inaczej byśmy nie wytrzymali. Zimy są ciężkie, lata rozpaczliwe, kiedy inni jadą na wakacje, a ty harujesz, zajmujesz się kolejnymi psami, które nie dostąpiły łaski jazdy na tylnym siedzeniu samochodu, kotami przypominającymi skórę i kości. Trzeba znaleźć więcej miejsca. Klatki pękają w szwach. Więc reorganizujemy przestrzeń, przesuwamy ściany. Ale zatrzymujemy wszystkich. U nas nie ma celi śmierci. A równolegle mnóstwo hodowli, całkowicie bezkarnie, sprzedaje rasowe psy. To ludzie z rządu tworzą przepisy. A rząd jest oddalony o lata świetlne od tego gówna, w którym my taplamy się codziennie. Najtrudniejsze chyba są momenty, gdy przygarniamy zwierzę po jakiejś starszej osobie, zmarłej albo oddanej do domu starców, bo żadne z jej dzieci nie chce się tym zwierzęciem zająć. Wiele razy próbowałam się uwolnić, czytałam ogłoszenia w gazetach, chciałam znaleźć jakąś pracę w biurze, zrobić jakiś kurs, otworzyć sklep z pamiątkami, cokolwiek. Ale nie. Bo przychodzi ranek, kiedy jak zwykle idziesz do pracy z ciężkim sercem, i oto znajduje się ktoś, kto adoptuje zwierzę. To wydarzenie rozświetla cały dzień, lżej oddychasz, ocaliłaś przynajmniej jedno życie, tak samo ważne jak każde inne. Poza tym miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo z twoim ojcem.

Przez ten cały czas Nina nie usiadła, nie dotknęła Marion. Odeszła tak, jak przyszła, z Lili. Jest za późno. Tęskniła za matką, ale to było zbyt dawno temu.

90

2 stycznia 2018

Jest prawie północ. Nina odstawiła mnie pod sam dom, dwa tysiące dwieście sześćdziesiąt sześć kilometrów samochodem jednym ciągiem, kilka krótkich postojów na stacjach benzynowych, kawa i kanapka.

Na kanapie w mieszkaniu, zamiast dziewczyny opiekującej się kotem, widzę śpiącą Louise. Nogi przykryte pledem. Ma na sobie dżinsy, te, które najbardziej lubię, i mój sweter, stary, brzydki, ale z miękkiego kaszmiru. Nicola zwinięty w kłębek leży w jej ramionach. Dwa razy grubszy niż tydzień temu. Można powiedzieć, że to już nie on. Odstawiam cicho torbę podróżną, żeby ich nie budzić. Louise nigdy nie śpi, kiedy jest ze mną, jakby musiała znikać o świcie. To przekleństwo wisi nad nami i tylko ja mogę ukręcić mu łeb.

Przypominam sobie lunch z ojcem w restauracji w Hotelu Podróżnika osiemnastego sierpnia 1994 roku, dzień po pogrzebie Pierre’a Beau.

Ojciec chciał uczcić maturę, którą właśnie zdałam z wyróżnieniem, pogadać o mojej przyszłości w Paryżu. Od ponad tygodnia szykowałam sobie pytania, które mogę mu zadać: praca, koledzy, życie w Paryżu, wystawy, koncerty, czy chodzisz do teatru? Sama mówiłabym o muzyce,

o książkach, które ostatnio czytałam i które mi się podobały, o Ninie i Étiennie. My troje w Paryżu, decyzja, żeby mieszkać razem.

I oto Pierre Beau zginął w wypadku. Katastrofa.

Przyszedł ojciec, żuł gumę, wypluł ją i zawinął w serwetkę. To było okropne, odrażające. Zły początek. Zamówił dwa kieliszki szampana. „Musimy uczcić twoje wyniki!”

Tak bardzo mnie nie znał, że nawet nie zdawał sobie sprawy, że straciłam kogoś, kto był dla mnie jak ojciec. Właściwie straciłam ojca.

Wypiliśmy po drugim kieliszku. Przy trzecim wyczerpałam już wszystkie przygotowane tematy do konwersacji; wisiała nad nami groźba niezręcznej ciszy, byłam pijana. Po raz pierwszy upiłam się z ojcem. Po raz pierwszy myślałam o nim jak o ojcu.

– Co chcesz zjeść?

– To co ty.

Zamówił dwie przystawki i specjalność dnia.

– Wypijmy za twoją przyszłość!

– Moja przyszłość tak ogólnie jest niepewna.

– Dlaczego tak mówisz?

– Kim ja właściwie jestem? Wypadkiem przy pracy. – Zachichotałam.

– Nie rozumiem.

– Widziałeś ten film z Alem Pacino *Pieskie popołudnie*?

– Ten staroć? – zapytał, wycierając bułką resztki sosu z talerza.

– Z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku.

– Ach, tak? Właśnie mówię, że staroć. Pewnie widziałem, nie pamiętam. Nie jesteś głodny? Nic nie jesz.

– To historia faceta, który napada na bank, żeby zapłacić za operację brata. To specjalna operacja, zmiana… zmiana…

– Jakaś smutna historia, mój drogi.

– Tak, tragicznie smutna.

Wstałam, mówiąc, że muszę iść do toalety. Ledwo mogłam oddychać, weszłam po jakichś schodach i znalazłam się w długim korytarzu wyłożonym krwistoczerwonym dywanem. Drzwi jednego z pokoi były otwarte, łóżko nieposłane, okno uchylone. Wychyliłam się, przez chwilę miałam zamiar się z niego rzucić. Nina była z Damamme'em, Étienne wciąż spał w jej łóżku. Pościel musiała jeszcze nami pachnieć.

Zobaczyłam telefon. Wykręciłam numer stacjonarny państwa Beaulieu, który znałam na pamięć. Odebrała Louise.

– To ja. Jak tam?

– Okay. Chcesz rozmawiać z moim bratem?

– Nie, z tobą.

– Gdzie jesteś?

– W Hotelu Podróżnika, w jakimś pokoju.

– Myślałam, że jesz lunch z ojcem.

– Jem lunch z ojcem, on siedzi na dole, w restauracji.

– Dlaczego jesteś w jakimś pokoju? Masz dziwny głos. Piłeś?

– Przyjdziemy jeszcze tutaj?

– Przecież przeprowadzasz się do Paryża.

– Wrócę do La Comelle. Na Boże Narodzenie. Ludzie zawsze wracają do siebie na Boże Narodzenie. Obiecaj mi, że wynajmiemy pokój w tym hotelu dwudziestego czwartego grudnia, będziemy tu razem o północy.

– Obiecuję.

Odłożyłam słuchawkę. Myślę, że gdyby odpowiedziała: „Nie, odpieprz się. Ty i ten twój hotel!", rzuciłabym się przez to okno. Louise zawsze mówiła mi „tak", to szczęście mojego życia. Ile osób może powiedzieć, że

ma choć jednego przyjaciela, który na wszystko odpowiada „tak”? Zeszłam na dół, skończyłam jeść, trochę już weselsza. Nie jestem sama. Tamtego dnia wiedziałam, że nigdy już nie będę sama.

Louise otwiera oczy, uśmiecha się.

– Wiem, gdzie jest Étienne, ale nie mogę powiedzieć, obiecałam. Szczęśliwego nowego roku, kochanie! Jak było we Włoszech?

– Przywiozłam ci oliwę, pesto, różaniec z papieżem Franciszkiem i suszone pomidory. Étienne pytał, czy ze sobą śpimy.

Louise wybucha śmiechem, potem płacze. Przytulam ją.

– To już za długo trwa, Louise. Wciąż chcesz mi towarzyszyć w przemianie w dziewczynę?

– Tak.

Patrzę na nią. Jest piękna. Gdybym umiała w tej chwili to opisać, to jej piękno, jej spojrzenie, jego głębię, ciężar, a jednocześnie okruchy dzieciństwa na twarzy. Słodycz.

– Jeśli zmienię zdanie i kolejny raz się wycofam w ostatniej chwili, czy mimo to zostaniesz ze mną?

– Tak mi się wydaje. Może. Nie wiem… Nie. Czekam na ciebie zbyt długo.

– Pierwszy raz mówisz mi „nie”.

– Kilka dni temu coś przeczytałam. Wyobraź sobie, że od lat nie możesz się poruszyć, bo trzymasz pięść zaciśniętą w jakimś naczyniu, a żeby tę pięść wyciągnąć, żeby się uwolnić, wystarczy, żebyś puścił to, na czym ją zaciskasz.

Louise ilustruje gestem swoje słowa.

– Otwierasz pięść, tracisz to, co trzymałaś tak zaciekle, i to coś opada na dno naczynia. A ty jesteś wolna.

91

2018

Jest kwiecień. Powinno być ładnie. Nina siedzi na kamieniach na plaży du Cros, patrzy na żółty kościół, o którym kiedyś, piętnaście lat temu, opowiadała jej Lili. Od tamtego czasu Nina wiele razy wchodziła do środka, żeby zapalić świeczki. *Kimkolwiek jesteś, chroń tych, których kocham.* Kilka miesięcy temu do listy jej modlitewnych życzeń dołączył Romain.

Tego ranka morze jest wzburzone. Odcienie błękitu i zieleni walczą ze sobą, horyzont jest fioletowy, wiatr wysusza wargi.

Nina przyjechała do Cagnes-sur-Mer z Romainem; w ostatniej chwili postanowili spędzić wielkanocny weekend z Lili.

Romain i Lili poszli na targ. Nina uwielbia te chwile samotności. Słucha muzyki w słuchawkach, odcina się od świata, siedząc na swojej wysepce z wyobraźni, patrzy na Morze Śródziemne, na leniwie uderzające o brzeg fale, na oślepiającą toń, od której aż bolą oczy. Myśli o dziadku, któremu nie było dane tego zobaczyć.

Zaczyna padać. Nina wraca do domu, wchodzi na trzecie piętro starego budynku; podłoga z przedpotopowych czerwonych kafelków, na schodach czuć kuchenne zapachy. Na balkonie, którego dwie wielkie szyby są

uchylone i drżą na wietrze, Lili zasadziła w doniczkach maleńkie pomidory. Mają takie same kolory jak jej ubrania: czerwone, żółte i zielone.

Nina idzie do łazienki, wyciera twarz, przegląda się w lustrze. Dziś Romain powiedział, że jest podobna do Chinki i Afganki. Wymyśla jej różne mieszanki ras, codziennie inną. To jego ulubiona poranna zabawa: dziś wyglądasz na Turczynkę z Rosji… Arabka i Polinezyjka… Tajlandia, Serbia, Chorwacja… Włochy, Brazylia… Włochy, Maroko…

Przesuwa dłonią po równo obciętych czarnych włosach. Jej oczy w kształcie migdałów mają ten sam kolor co włosy. Nad pełnymi wargami pojawiło się kilka ciemnych piegów.

Dzwoni komórka. Numer zaczyna się na 03, kierunkowy z Burgundii. To nie numer schroniska ani Simone.

– Nie mogę czekać do przyszłego wtorku, żeby z panią porozmawiać.

Głos jej lekarki, trzeszczy jak wiatr tu na zewnątrz. Mylène Vidal zastąpiła doktora Lecoqa, gdy w 2006 roku poszedł na emeryturę. Już na pierwszym spotkaniu Nina poczuła się dobrze; konsultacja trwała ponad godzinę, Nina opowiedziała o swoim dzieciństwie i o dniu, gdy zobaczyła w rękach doktora Lecoqa dokumentację medyczną matki sprzed dwudziestu lat.

Mylène Vidal zajrzała do komputera i zobaczyła, że akta Marion Beau w 1999 roku odesłano do centrum medycznego w Villiers-sur-Mer. Zadzwoniła do kolegów w Normandii. „Dzień dobry, prowadzę badania genetyczne w celu pobrania organów, chciałabym skontaktować się z Marion Beau, waszą byłą pacjentką, urodzona trzeciego lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku”. Chwilę potem Nina miała adres matki oraz jej numer telefonu.

Zatrzymała ten adres, cyfry nabazgrane czarnym flamastrem przez długie lata leżały na dnie szuflady. Kilka razy wykręcała numer i rozłączała

się, zanim ktoś odebrał.

Potem, w 2011 roku, zobaczyła Marion „na granicy życia i śmierci”. Matka również miała jej numer telefonu. Jak go zdobyła? Dlaczego nigdy się nie porozumiały? Dlaczego tak się siebie bały?

Na pogrzebie Marion były cztery osoby: Nina, Lili, pracownik zakładu pogrzebowego i niski łysy mężczyzna o jasnych oczach i dobrodusznym wyglądzie. Nina nie spodziewała się ujrzeć tego ranka na cmentarzu w Auberville kogoś obcego. Poczuła się, jakby jakiś intruz zjawił się na jej przyjęciu.

– Znał pan Marion Beau?

– Tak, to moja przyjaciółka z dzieciństwa.

– Pan jest moim ojcem?

– Nie. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Po prostu przyjaźniliśmy się.

– Nie istnieje coś takiego jak „po prostu przyjaźń”.

Mężczyzna zmieszał się. Pożegnali się i rozeszli, każde w swoją stronę.

Kilka tygodni później Nina dostała na adres schroniska list.

Droga Nino,

nazywam się Laurent, byłem przyjacielem Twojej mamy. Rozmawialiśmy przez chwilę na cmentarzu, zbyt krótko.

Z perspektywy czasu myślę, że miałaś rację, nie ma „po prostu przyjaźni”. Ona była dla mnie trochę jak siostra, której nigdy nie miałem.

Dobrze znałem Twoich dziadków, zwłaszcza babcię. To jeden z powodów, dla których do Ciebie piszę. Powinniśmy wiedzieć, skąd pochodzimy. A wyczułem, że masz wiele pytań.

Twoja babcia była kobietą dobrą, delikatną. Zależy mi, żebyś wiedziała, że Odile Beau to jedno z moich najpiękniejszych

wspomnień. Kiedy piekła ciasto, robiła go zawsze tyle, żeby starczyło dla innych. Roznosiła zupę kawalerom i samotnym starym ludziom z okolicy. Gdy ją odwiedzałem, nigdy nie wypuściła mnie z pustymi rękami. „To dla rodziców!”, mówiła. Kawałek tarty, słoik konfitur, jabłka z ogrodu. Czasem wychodziłem po kryjomu, żeby mnie nie widziała. Miałem dość noszenia rzeczy, którymi mnie niezmiennie obdarowywała. Żebyś wiedziała, jak teraz żałuję.

Życie jest niesprawiedliwe, ale tego nie muszę ci mówić, Nino. Diabeł atakuje częściej anioły niż nikczemników, wiadomo, serce anioła jest łatwe do pożarcia. W 1973 roku Odile zachorowała. Mówiła o tym raku jak o niedobrej grypie: „To minie!”. Nie chciała robić zamieszania. Była delikatna. Za delikatna, to jasne. Jej stan się pogarszał, osłabła. Wychodziłem od niej z pustymi rękami, już nie musiałem się chować.

Marion się zmieniła. Ona, taka wesoła, swobodna, błyskotliwa, bezceremonialna, stała się smutna i złośliwa. Obrażała mnie, znieważała niebo, Boga i wszystko, co miała pod ręką. A przede wszystkim o wszystko oskarżała swojego ojca. Zarzucała mu, że bagatelizuje chorobę matki.

„Nie chce jej zabrać do szpitala, musi mieć służącą pod ręką! Kurwa, Laurent, matka w domu zdechnie!” Starałem się jej wytłumaczyć, że Twój dziadek nie jest za to odpowiedzialny. Powtarzałem: „Pozwól czarnym myślom latać Ci nad głową, ale nie dopuść do tego, żeby uwiły Ci we włosach gniazdo”. Ale Marion już przestała mnie słuchać.

Gdy Odile zgasła w szpitalu, Twój dziadek zadzwonił do moich rodziców, żeby ich o tym zawiadomić. Marion była wtedy u mnie.

Potłukła wszystko, co znalazło się w zasięgu jej wzroku. Nie można było nad nią zapanować.

Nie poszła na pogrzeb. Całe miasto było w szoku, ale ona się tym nie przejmowała, za bardzo cierpiała, żeby myśleć o innych.

Od tej chwili przestała chodzić do szkoły, zaczęła pić, włóczyć się, uciekać z domu, robić nie wiadomo co. Wydawało jej się, że im bardziej sama się krzywdzi, tym bardziej krzywdzi ojca. Nie chcę tu opowiadać różnych ponurych rzeczy, które zbrukałyby pamięć o Marion, zbyt wówczas młodej na przeżywanie takiego dramatu. Stracić matkę to stracić świat.

Wciąż się z nią widywałem, regularnie spotykaliśmy się w La Comelle, w takiej małej knajpce, której już nie ma.

Teraz przechodzę do Ciebie.

Zapytałaś, czy to ja jestem Twoim ojcem.

Nie nazywasz się Nina przypadkiem. Gdybyś była chłopcem, miałabyś na imię Nawal.

Któregoś wieczoru Marion oznajmiła mi, że się zakochała, że teraz zmieni się jej życie. Miała siedemnaście lat, chłopak był w tym samym wieku. Znałem go z widzenia, jeździł do liceum tym samym autobusem co ja. Nazywał się Idras Zenati, był Kabylem. Nieśmiały, przystojny. Marion się ustatkowała, gdy go poznała. Spędzali razem całe dnie, rozstawali się dopiero wieczorami, gdy każde wracało do swoich rodziców. Marion jechała z nami autobusem, ale nie szła do szkoły; cały dzień czekała na nas w kawiarni.

Zaszła w ciążę. Zaplanowali to. Chcieli opuścić rodziny i założyć własną. Ponieważ byli niepełnoletni, wszczęli postępowanie administracyjne o wyzwolenie od władzy rodzicielskiej.

Ale wszystko się zawaliło.

Jak tylko Idras zaczął mówić o dziewczynie, w której się zakochał, Francuzce, która jest z nim w ciąży, do akcji wkroczył jego ojciec. Już następnego dnia wywiózł całą rodzinę do Algierii. Uciekli jak złodzieje, zostawili wszystko, żeby tylko uciec przed „wstydem”.

Idrasowi udało się jeszcze przez telefon uprzedzić Marion: „Rodzina mnie porywa, wrócę, jak będę pełnoletni. Czekaj na mnie. Wrócę”.

Marion była w szóstym miesiącu. Pustka wokół niej, nieobecność ukochanego, samotność. Miała już tylko mnie, wszyscy od niej uciekli.

Miesiąc przed Twoim przyjściem na świat uczciliśmy jej osiemnaste urodziny. Już wtedy Marion ukuła diaboliczny plan, żeby, jak mówiła, „zniszczyć” Twojego dziadka.

Urodziła Ciebie i prawie od razu oddała Cię jemu. Pojechaliśmy do Paryża. Bo Twoja mama tuż po porodzie uciekła do mnie. Mieszkaliśmy w pokoiku na poddaszu, ja studiowałem, ona pracowała w pobliskiej piekarni. Nie chciała słyszeć o dalszej nauce, nawet o kursach czegoś praktycznego, o przyszłości, o Idrasie.

„Tak naprawdę to bardzo dobrze, że wyjechał – powtarzała. – Co ja bym zrobiła z mężem w moim wieku?” Kłamała. Wciąż czekała, aż Idras skończy osiemnaście lat, wróci do Francji i oboje zabiorą Cię od dziadka.

Ale Idras nigdy nie wrócił.

I jest jeszcze coś gorszego. Marion tak bardzo nienawidziła ojca za to, że pozwolił Odile umrzeć, że wymyśliła straszną historię.

Powiedziała mu, że jesteś dzieckiem z gwałtu. „Gdybyś go zobaczył, jak mu to mówiłam – wyznała mi ze smutnym uśmiechem – tobyś wiedział, że mama została pomszczona”.

Błagałem, żeby mu powiedziała prawdę, że jesteś dzieckiem z miłości, że jeśli tego nie zrobi, sam mu powiem. Odpowiedziała: „Wszyscy mnie zdradzili, ale nie ty, Laurent, nie ty!”.

Któregoś wieczoru, gdy wróciłem z uczelni, jej nie było. Zostawiła mi liścik: Dzięki za wszystko! Całuję Cię mocno.

Przestała na Was czekać, na Idrasa i na Ciebie.

Myślę, że jego ojciec przekonał go, że Marion to zła dziewczyna i że on z pewnością nie jest ojcem dziecka. Gdyby tylko na Ciebie spojrzał, zrozumiałby, że to nieprawda.

Marion zadzwoniła do mnie kilka lat po swojej ucieczce. Mieszkała w Bretanii, handlowała na bazarach z jakimś gościem, którego tam poznała. „Wiesz, Lolo, jest mi dobrze, mam teraz swoje życie”.

Co to znaczy „mam teraz swoje życie”?

Latem 1980 roku odwiedziłem Twojego dziadka. Bawiłaś się w ogrodzie. Twój widok zrobił na mnie ogromne wrażenie. Byłaś taka śliczna, wyglądałaś jak sarenka. Taką Cię pamiętam, maleńkie, pełne wdzięku zwierzątko. Powiedziałaś mi „Dzień dobry”. A ja się rozpłakałem.

Tego dnia powiedziałem Pierre’owi prawdę, że jesteś dzieckiem Idrasa Zenatiego, że nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Udawał, że mi wierzy. Odpowiedział: „Nina jest moja, nieważne, skąd pochodzi, jest moja”.

No i tak, Nino, wiesz teraz trochę więcej o sobie.

Załączam mój numer telefonu i zdjęcie klasowe, które znalazłem. Twój tata to drugi chłopiec z lewej w pierwszym rzędzie, ten w swetrze w niebieskie paski. Na zdjęciu ma szesnaście lat.

Całuję Cię mocno i pozdrawiam

Laurent

Nina długo przyglądała się ślicznemu chłopcu o jasnych, łagodnych oczach. Miała ochotę krzyczeć na cały głos: „To jest mój tata! Mam ojca! Patrzcie, jaki jest piękny!”.

Zdjęcie trafiło do szuflady, w której leżała już karteczka z adresem Marion w Normandii, nagryzmolonym kilka lat wcześniej przez doktor Vidal.

A więc jej ojciec będzie miał zawsze szesnaście lat.

Idras i Marion naprawdę się kochali, to jest najważniejsze.

Dziadek ją wychował, to jest najważniejsze.

Ona jest owocem młodzieńczej szalonej miłości.

Na ten list Nina czekała całe życie. W końcu go dostała.

*

Nadal siedzi w łazience, z telefonem przy uchu. Słyszy śmiech Lili i Romaina na schodach. Dwoje gimnazjalistów na szkolnym korytarzu. Romain jest lekki jak motyl i ma w sobie młodzieńczą radość uczniów, którymi się opiekuje.

– Nina, z laboratorium przyszły pani wyniki.

Powrót na ziemię jest brutalny. Głos Mylène Vidal prawie uroczysty. Nina od razu myśli o chorobie Étienne’a i Odile. To zmęczenie, którego od tygodni nie może się pozbyć, ten promieniujący ból pleców… Dostaje

dreszczy. Siada na brzegu wanny. Myśli o ich trojgu i o Romainie. Byliśmy tacy szczęśliwi…

– Gdzie pani jest? – pyta lekarka.

– Nad morzem – szepcze Nina.

– Nie jest pani w La Comelle? – Mylène Vidal wydaje się zmartwiona.

– Nie – odpowiada Nina. – Wyjechałam na weekend…

– Sama?

– Nie, z przyjacielem.

To takie głupie słowo, „przyjaciel”, myśli nagle Nina. Ale lepsze niż „towarzysz”, to zostawiam dla moich psów. A przecież nie powiem do lekarki „facet” czy „kochanek”.

Jest kwiecień i powinna być ładna pogoda.

Nina zamyka się w łazience na klucz. Słucha radosnych głosów Lili i Romaina w kuchni. Oni jeszcze nie wiedzą, myśli.

Ma ochotę się rozłączyć. Może zaczekać ze złymi wiadomościami do przyszłego tygodnia…

– Jestem chora? – pyta w końcu cichym głosem.

– Ależ skąd, Nino, wszystko jest dobrze.

– No to o co chodzi?

– Jest pani w ciąży.

92

4 grudnia 2018

Dziś rano Nina zobaczyła mnie po raz pierwszy. Długo na mnie patrzyła, gdy stawiałam trzydzieści kilogramów karmy pod tablicą z napisem PORZUCIĆ ZNACZY ZABIĆ i PROSIMY DOBRZE ZAMYKAĆ BRAMĘ.

Jej spojrzenie nie ześlizgnęło się jak krople deszczu po mojej pelerynie.

Podeszła do mnie z uśmiechem, lało jak z cebra. Miała na nogach za duże kalosze, a w ręce długi szlauch; w końcu rzuciła go na ziemię.

Podziękowania

Dziękuję czytelniczkom i czytelnikom. Wasz entuzjazm upiększa każdy mój dzień i zachęca do dalszej pracy.

Dziękuję moim trzem podporom: Valentinowi, Tess i Claude’owi.

Dziękuję moim trzem aniołom stróżom: Mickaëlowi, Davidowi i Gilles’owi.

Dziękuję całemu zespołowi schroniska dla zwierząt ADPA Refuge Annie-Claude Miniau: www.refuge-adpa-gueugnon.org.

Dziękuję Maud, jego kierowniczce, która pomogła mi zaprzyjaźnić się z Niną.

Dziękuję Annie, jego dyrektorce, która zadzwoniła do mnie z prośbą, bym została matką chrzestną tego schroniska.

Gdy piszę te zdania, Badi, nasz „ostatni staruszek”, znalazł rodzinę, a Boulet minionego lata dołączył w niebie do Pascale.

Dziękuję www.fondationbrigittebardot.fr za nieustającą pomoc.

Podziękowania dla wszystkich schronisk, gdziekolwiek się znajdują. Każda istota powinna mieć gdzie się schronić. Dzięki wolontariuszkom i wolontariuszom na całym świecie.

Dziękuję mojej niezrównanej rodzinie w wydawnictwie Albin Michel – bez was bym nie istniała.

Dziękuję równie wyjątkowemu zespołowi Livre de Poche.

Dziękuję czarodziejom z grupy Indochine, moim bohaterom. Wasz talent, wasze zwycięstwa, wasze świętowanie – tyle historii. Nicola, Olivier: dziękuję za wasze oddanie. To moja wielka radość i duma.

Dziękuję Philippe'owi Bessonowi za *Arrête avec tes mensonges*. Przez niego albo dzięki niemu musiałam napisać *Cudowne lata*.

Dziękuję Vincentowi, Noa i Boaz, że powierzyli mi wiele wspomnień z okresu dojrzewania.

Dziękuję Steph, że ofiarowała mi tak dużo.

Dziękuję Cécile i Dominique. Ich udziałem było wiele żyć, w tym życie listonosza.

Dziękuję przyjaciołom, rodzinie, mojemu szczęściu; w skład tej grupy wchodzą: Maëlle, mama, tata, Tess, Claude, Angèle, Julien C. (podpowiedział mi ostatnie zdania), Juju, Salomé, Sarah, Shaya, Simon, Caroline, Grégory, Amélie, Charlotte, Émilie, Audrey D., Audrey P., Béatrice, Florence, Elsa, Cath, Laurence, Arlette, Emma, Manon, Paquita, Carol, Paty, William, Michèle i Françoise.

Dziękuję Christianowi Bobinowi, Baptiste Beaulieu, Virginie Grimaldi, François-Henri Désérable'owi. Użyłam waszych nazwisk i nie był to przypadek.

Dzięki wszystkim, którzy mnie zainspirowali i których cytuję lub przywołuję w powieści. Są to: Indochine, Calogero, Zazie, Joe Dassin, Étienne Daho, Francis Cabrel, Michel Berger, Alain Souchon, William Sheller, Alain Bashung, Kurt Cobain, Nirvana, Bono, U2, Depeche Mode, Pierre Perret, Philippe Chatel, a-ha, Matka Teresa, Siostra Emmanuelle, Lady Diana, Jean-Jacques Goldman, Peter Falk, Richard Kalinoski, Irina Brook, Simon Abkarian, Corinne Jaber, Dario Fo, Victor Hugo, Faïza Guène, Nancy Huston, Patrick Süskind, Isabelle Adjani, Camille Claudel,

Danièle Thompson, Claude Lelouch, Henri-Georges Clouzot, Jean-Pierre Jeunet, Jean-Loup Hubert, Luc Besson, Patrick Poivre d’Arvor, Jacques Pradel, Patrick Sabatier, Christophe Dechavanne, Jean-Luc Delarue, Bernard Rapp, Marcel Pagnol, KOD, Les Inconnus, Lio, Jacno, Larusso, Françoise Hardy, The Cure, Madonna, Mylène Farmer, Enzo Enzo, The Cranberries, INXS, The Clash, Oasis, The Pixies, Sonic Youth, Spacemen 3, Bérurier Noir, Matthieu Chedid, Billy Ze Kick et les Gamins en Folie, Madame Bléton, Roger Federer, Marie Trintignant, Nelson Mandela, Cabu, Wolinski, Stromae, Prince, Michael Jackson, David Bowie, Jim Courier, Youri Djorkaeff, Cock Robin, The Christians, 2 Unlimited, Bruce Springsteen, Négresses Vertes, Mano Negra, Jim Morrison, Johnny Hallyday.

Dziękuję Vincentowi Delermowi, który dał mi tyle szczęścia, że będę mu dozgonnie wdzięczna.

Éric Lopez, Sylvaine Colin, Alain Serra, Isabelle Brulier, Patrick Zirmi, Marie-France Chatrier, Stéphane Baudin, Émilie i Benjamin Patou, Vincent Vidal, Yves-Marie Le Camus, Didier Lopes, Michel Bussi, Agnès Ledig – wszystkim Wam wielkie podziękowania!

Dziękuję Laure Manel: gdy wpisywałaś mi dedykację do *Délicatesse du homard*, objawiła mi się Virginie.

Dziękuję wszystkim moim zwierzętom, minionym, obecnym i przyszłym: dzięki wam jestem lepsza.